

KSIĘGA NOOY



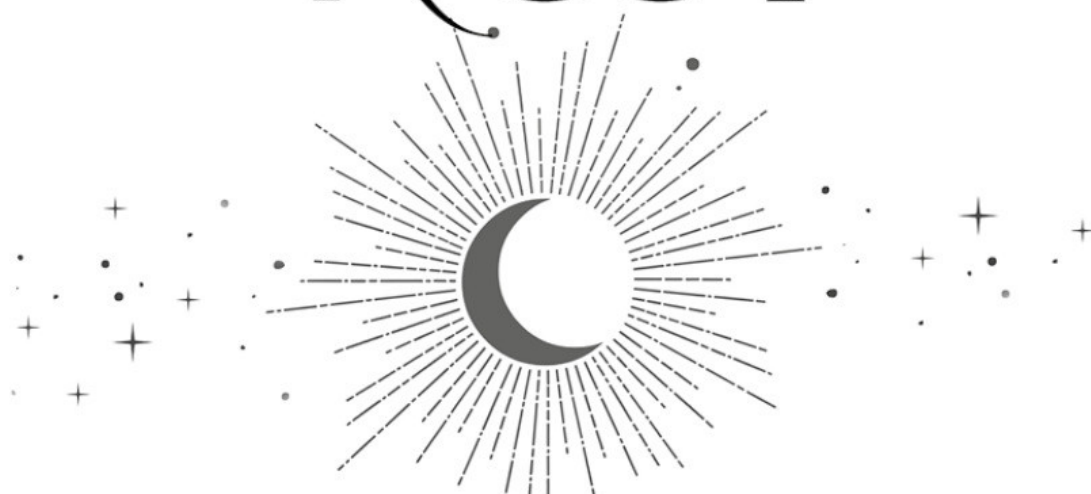
BESTSELLEROWA AUTORKA NEW YORK TIMESA

HOLLY BLACK

KSIĘGA
NOCY

A decorative graphic featuring a central sunburst with radiating lines, surrounded by scattered stars and dots, positioned behind the text.

KSIĘGA NOCY



HOLLY BLACK

Tłumaczenie: Stanisław Kroszczyński



Tytuł oryginału: *The Book of Night*
First published in the US by Tor Books in 2022.

Copyright © 2022 by Holly Black. All rights reserved.

Jacket design by theBookDesigners and Tor
Fotografie wykorzystane na okładce: © by Sophia Cole/Shutterstock.com
© by Bruce Amos/Shutterstock.com, © by Peratek/Shutterstock.com

Redakcja: Justyna Techmańska
Korekta: Marta Stochmiałek
Skład i łamanie: Robert Majcher
Adaptacja okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Copyright for the Polish edition © 2022 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-168-2

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)
[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)
[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)
twitter.com/WydJaguar

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2022

SPIS TREŚCI

PROLOG

1. GŁODNE CIENIE
2. ODWRÓCONY KRÓL KIELICHÓW
3. PRZESZŁOŚĆ
4. WIĘCEJ KAWY
5. NA LEWĄ STRONĘ
6. TEST CZEKOLADKI
7. PRZESZŁOŚĆ
8. *LIBER NOCTIS*
9. PRZESZŁOŚĆ
10. AMOK
11. JAKAŚ JAŚNIEJSZA GWIAZDA
12. PRZESZŁOŚĆ
13. NIEMOŻLIWE ANIOŁY
14. RÓJ CZARNYCH MUCH
15. PRZESZŁOŚĆ
16. WYLIZYWANIE RAN
17. NIE PRZESZKADZAĆ
18. PRZESZŁOŚĆ
19. LANDRYNKI, NA KTÓRYCH ŁAMIE SIĘ ZĘBY
20. TRUCIZNA
21. PRZESZŁOŚĆ
22. UCZONY I CIEŃ
23. KAWA I CIASTKA NIGDY NIE ZASZKODZĄ
24. W KÓŁKO STARE PIOSENKI
25. CZARNY KOT. ROPUCHA. KRUK

26. PRZESZŁOŚĆ

27. TO OKROPNE COŚ, CO LUBIĘ

28. PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ

29. PRZESZŁOŚĆ

30. WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE

31. GŁUPIEC, MAG I HIEROFANT

32. CHARLATAN

33. ZŁODZIEJKA

PODZIĘKOWANIA

PRZYPISY

*Każdemu, kto kiedykolwiek spędzał
wieczór sylwestrowy w moim domu*

*Czy wchodzę, czy wychodzę, to ze mną chodzi cień;
I po co za mną łazi – w nocy, i po co w dzień?
Bardzo do mnie podobny, właściwie od stóp do głów
I już jest w moim łóżku, gdy kładę się do snu.*

– *Mój cień*, fragment – Robert Louis Stevenson

PROLOG

Każdemu dziecku może się zdarzyć, że ściga je własny cień. Wystarczy pobiec prosto ku słońcu w letnie popołudnie. Dopóki dziecko biegnie, cień podąża za nim. Niby można się odwrócić i ruszyć w pogoń za cieniem, ale nawet największy wysiłek pulchnych nóżek nie zmieni faktu, że cień zawsze pozostaje odrobinę poza zasięgiem.

Zdarza się to każdemu dziecku, ale nie temu.

Chłopiec biegnie przez porośniętą trawą i mleczeniami podwórko, śmieje się i krzyczy, a jego palce zamykają się na czymś, co nie powinno być namacalne, nie powinno upaść na liście koniczyny prędzej niż on; chłopiec nie powinien być w stanie siłować się z tym czymś i wreszcie przygwoździć do ziemi. Potem chłopiec siada na mchu w cieniu klonu i wbija sobie ostrze scyzoryka w opuszkę serdecznego palca. Odwraca głowę, żeby nie musieć na to patrzeć. Dlatego za pierwszym razem nie przebija skóry. Za drugim także nie. Dopiero kiedy zniecierpliwienie bierze górę nad obawą, dociska mocniej. Boli, i to bardzo, więc aż wstyd, jaka maleńka kropla krwi wypływa z ranki. Ugniata skórę, by sprawdzić, czy zdoła wycisnąć więcej. Kropla się powiększa. Chłopiec czuje wyczekiwanie cienia. Palec piecze, kiedy otacza go mroczna mgła.

Nadchodzi powiew wiatru, strącając nasiona klonu; wirują wokół niego jak skrzydła helikopterów.

Wystarczy choć odrobinę dać mu się napić każdego dnia – usłyszał to w telewizji, tak ktoś mówił o swoim cieniu. – Wtedy stanie się twoim najwierniejszym przyjacielem.

Choć cień nie ma ust ani języka, a w jego dotyku brak wilgoci, chłopiec wie, że liże jego skórę. Nie jest to przyjemne uczucie, ale też nie jest bolesne.

Nigdy przedtem nie miał przyjaciela, ale przecież wie, że właśnie tak to się robi. W ten sposób stają się braćmi krwi, rana dotyka rany, aż nie wiadomo, gdzie kończy się jeden, a zaczyna drugi. Chłopiec potrzebuje właśnie kogoś takiego.

– Jestem Remy – szepcze do swojego cienia. – A ty będziesz się nazywał Red.

1

GŁODNE CIENIE

Brzydkie crocksy Charlie kleiły się do podłogi za barem, wydając przy tym obleśny, lepki odgłos. Pot spływał po skórze pod jej ramionami, po szyi i po wewnętrznej stronie ud. Właśnie odrabiała drugą zmianę tego dnia, bo facet, który miał pracować po południu, niespodziewanie rzucił robotę. Pojechał ze swoim chłopakiem do Los Angeles, więc musiała go zastępować, dopóki Odette nie znajdzie kogoś nowego. Charlie była zmęczona, ale bardzo potrzebowała pieniędzy. Poza tym potrzebowała zajęcia. Przez beczynność pakowała się w kłopoty.

Z Charlie Hall zawsze coś było nie tak. Od dnia, w którym przyszła na świat. Nie wyciągała właściwych wniosków z niewłaściwych decyzji, powtarzała te same błędy. Miała palce stworzone do obrabiania cudzych kieszeni, język stworzony do kłamstwa i wydrażoną pestkę wiśni zamiast serca.

Gdyby jej cień zaliczał się do tych magicznych cieni, najprawdopodobniej i on by od niej uciekł – była o tym przekonana.

Nie znaczyło to jednak, że nie mogła próbować się zmienić. A więc próbowała. Jasne, że trudno było powstrzymywać swoje najgorsze odruchy, ale udawało jej się już od dziesięciu miesięcy i było to lepsze niż bycie płonąca zapałką w oblanym benzyną mieście.

Miała pracę, i to taką, którą zaczynała oraz kończyła o określonych godzinach. Miała chłopaka, który płacił swoją działkę czynszu. Jej rana postrzałowa ładnie się goiła. Niewielkie osiągnięcia, ale jednak była z nich dumna.

Ta myśl towarzyszyła Charlie w charakterze motywującego bodźca, kiedy codziennie przekraczała podwójne drzwi baru Rapture.

Twarz Doreen Kowalski była zaczerwieniona i mokra od płaczu. Najwidoczniej usiłowała poprawić makijaż, ale tylko rozmazała tusz, tworząc ciągnącą się w bok smugę. W dawnych szkolnych czasach nawet nie spojrzalaby na Charlie, zresztą teraz też raczej nie.

Życie ludzi mających pieniądze różni się pod niezliczonymi względami od życia ludzi bez kasy. Na przykład tym, że kiedy nie ma się środków, by opłacić specjalistę, trzeba sobie tworzyć złożony ekosystem przydatnych amatorów.

Kiedy ojciec Charlie dostał czegoś, co lekarz nazwał rakiem skóry, spożył odpowiednią dawkę whiskey Maker's Mark i poprosił znajomego rzeźnika, żeby ten wyciął mu z ramienia guz, bo w żaden sposób nie stać go było na chirurga. Kiedy kuzynka przyjaciółki Charlie wychodziła za mąż, poprosiła mieszkającą trzy przecznice dalej panią Silvę o upieczenie tortu weselnego, bo pani Silva lubiła pichcić i w związku z tym miała różne fajne urządzenia do dekorowania wypieków. Co z tego, że krem był trochę za tłusty, jedna z warstw odrobinę zbyt przypalona – skoro tort był słodki, tej samej wielkości co na zdjęciu w czasopiśmie, a kosztował tylko tyle, co jego składniki.

W świecie magii cieni Charlie była wyjątkowo zręczną złodziejką, ale dla tutejszych na zawsze pozostała pożyteczną drobną cwaniarą, która potrafiła zwędzić obrączkę ślubną albo odnaleźć ukradzionego pitbula.

Charlie Hall. Ciągnęło ją do złego niczym ćmę do światła. Każda pokusa wydobywała na powierzchnię jej najgorsze skłonności.

– Muszę z tobą porozmawiać – odezwała się głośno Doreen, wyciągając rękę do przechodzącej Charlie.

W knajpie ruch był nieduży, ale Odette, podstarzała domina na częściowej emeryturze oraz właścicielka knajpy Rapture, siedziała przy wejściu i gawędziła ze swoimi kumpelami. Od razu by zauważyła, gdyby Charlie podjęła z kimś dłuższą rozmowę, a Charlie nie mogła sobie pozwolić na utratę tej roboty. Stanie za barem w Rapture było dla niej szczęśliwym zrzędzeniem losu, zwłaszcza biorąc pod uwagę jej dotychczasowe przygody.

Załatwił jej to Balthazar, który prowadził w podziemiu salon cieni (utrzymany w stylu nielegalnego baru z czasów prohibicji) i miał istotne powody, żeby ją mieć na oku – z których wcale nie najmniej ważnym było to, że miał ochotę namówić Charlie na powrót do pracy dla niego. Gdy tylko Charlie zerknęła na Doreen, poczuła przypływ dobrze znanego uczucia ekscytacji oraz zdała sobie sprawę, jak ulotne jest jej postanowienie, by trzymać się prostej drogi. Coś równie kręcącego jak strategia składająca się wyłącznie ze słowa „zysk”, tylko jeszcze z wieloma wykrzyknikami.

– Czym mogę służyć? Może drinka? – zwróciła się do Doreen.

Doreen potrząsnęła głową.

– Musisz mi pomóc znaleźć Adama. Znowu zniknął, a ja...

– Nie mogę teraz rozmawiać – przerwała jej Charlie. – Zamów coś, bo inaczej moja szefowa się przyczepi. Colę z tonikiem. Sok z limonką. Wszystko jedno. Ja stawiam.

Po wilgotnych, zaczerwienionych oczach Doreen widać było, że nie ma ochoty czekać. Albo że zanim tu przyszła, już parę drinków w siebie wlała. A najpewniej jedno i drugie.

– Hej – zawołał jeden ze stałych klientów.

Charlie podeszła do niego, żeby przyjąć zamówienie.

Przygotowała cosmopolitana; nalała rubinowego płynu z szejkera, wrzuciła do niego maleńkie ziarenko suchego lodu, żeby pojawił się dym jak z czarodziejskiego napoju.

Przy innym stoliku facet, który siedział nad piwem i drżącymi palcami, przyklejał do wnętrza przedramienia trzeci plaster nikotynowy, chciał otworzyć rachunek w zastaw za kartę kredytową.

Potem Charlie nalała szota Four Roses facetowi w tweedowym garniturze i brudnych okularach; sprawiał wrażenie, jakby spał w tym stroju. Powiedział, że nie lubi zbyt słodkiego burbona. Następnie znalazła się przy drugim końcu baru, po drodze zmieszała dla Balthazara we własnej osobie whiskey i piwo imbirowe.

– Jest robota dla ciebie – rzekł półgłosem, kiedy wręczyła mu drinka.

Ze lśnącymi oczami, nieco ogorzałą skórą i włosami dość długimi, by je spiąć w podejrzanie wyglądający kucyk, w sam raz wyglądał na właściciela salonu cieni, za sprawą którego urzeczywistniały się niektóre z brudnych marzeń mieszkańców tego miasta.

– Nic z tego – odpowiedziała Charlie.

Miała już odejść, ale ją zatrzymał.

– Daj spokój. Knight Singh został zamordowany we własnym łóżku, jego pokój splądrowano. Ktoś dokładnie przekopał jego osobiste portfolio magicznych wynalazków. W tym zawsze ty byłaś najlepsza.

– Nic z tego! – rzuciła przez ramię, tak radosnym tonem, jak tylko potrafiła.

Pierdolić Knighta Singha.

Był pierwszym umbromantą, który skorzystał z usług Charlie, jeszcze w dawnych czasach, kiedy była zaledwie małą. Z jej punktu widzenia mógł sobie zgnić w grobie, co jednak nie znaczyło, że to ona tę mogiłę obrabowała.

Charlie wycofała się z rynku. Była w tym niestety zbyt dobra, a skutki uboczne okazały się dotkliwe. Teraz została po prostu normalną osobą.

Trójka nawalonych dwudziestokilkuletnich dziewczyn o wyglądzie czarownic celebrowała narodziny weekendowej nocy. Ich usta usmarowane były czarną szminką. Zamówiły po szocie taniego, żarówiastozielonego absyntu i natychmiast wypily do dna. Jedna z nich musiała niedawno zmienić sobie cień, bo wciąż ustawiała się do światła, tak żeby widać go było na ścianie. Miał rogi i skrzydła, jak sukkub.

I był piękny.

– Moja stara mega się wnerwiła – mówiła nieco bełkotliwie do swoich przyjaciółek. Podskoczyła, przez chwilę zawisała w powietrzu, a wtedy skrzydełka jej cienia

zatrzepotały, kilku gości spoglądało z uznaniem. – Moja stara mówi, że kiedy będę chciała dostać normalną pracę, to pożałuję, że mam coś, czego nie mogę schować. Ale jej powiedziałam, że nigdy się nie sprzedam.

Kiedy Charlie pierwszy raz w życiu zobaczyła przemieniony cień, przypomniał jej baśń ze szkolnej biblioteki przeczytaną jeszcze w dzieciństwie. Nosiła tytuł *Czarownica i nieszczęśliwy braciszek*.

Wciąż jeszcze pamiętała pierwsze linijki tekstu: „Dawno, dawno temu urodził się chłopiec z głodnym cieniem. Szczęście zawsze mu sprzyjało, natomiast jego brat zawsze miał pecha, urodził się bez swojego cienia”.

Rzecz jasna, cień tej dziewczyny nie był wcale szczęśliwy. Po prostu fajnie wyglądał, nadawał jej też odrobinę magii. Tyle że mogła na kilka sekund unieść się trzy cale nad podłogę. Buty na porządnych obcasach dałyby więcej.

Nie czyniło to z niej umbromantki.

Manipulacja cieniem stanowiła specjalność osób parających się najbardziej znaną formą umbromancji, czyli modyfikacją. Modyfikatorzy potrafili dokonywać kosmetycznych zmian w kształcie cienia, ale też używać ich do wywoływania emocji tak silnych, że mogły prowadzić do uzależnienia, a nawet wycinać fragmenty podświadomości. Oczywiście, wiązało się z tym pewne ryzyko. Czasem ktoś tracił dużo więcej swojej osobowości, niż zamierzał.

Pozostałe trzy dziedziny umbromancji otoczone były nimbem tajemnicy. Skorupiarze koncentrowali się na własnym cieniu, aby wznosić się na jego skrzydłach albo wykorzystywać go jako pancerz ochronny. Pacynkarze powierzali swoim cieniem sekretne misje – z doświadczenia Charlie wiedziała, że najczęściej wyjątkowo obrzydliwe i nikt nie chciał o tym mówić. Z maskami też nie było lepiej: banda świrów i mistyków, którzy się zawzięli, by wyjawiać tajemnice tego świata, nie biorąc zupełnie pod uwagę, że mogą przy tym kogoś skrzywdzić.

Nie na próżno nazywano ich pomrokami, zamiast używać właściwego określenia. Nie można ich było obdarzać ani krztą zaufania. Na przykład niezależnie od tego, co umbromanci o sobie rozpowiadali, wszyscy handlowali kradzionymi cieniami.

Chłopak Charlie, Vince, został obrabowany ze swojego cienia. Prawdopodobnie po to, żeby jakiś bogaty chujek mógł dokonać kolejnej modyfikacji. Teraz w ogóle nie rzucał cienia, nawet w najjaśniejszym blasku światła. W powszechnym mniemaniu ludzie pozbawieni cienia mieli w sobie jakiś brak, chociaż nikt nie potrafił sprecyzować, o co konkretnie chodziło. W każdym razie czasem przechodnie na ulicy to dostrzegali i obchodzili Vince’a szerokim łukiem.

Charlie akurat wolałaby, żeby wszyscy się od niej odpieprzyli, ale Vince’owi działało to na nerwy.

Kiedy Charlie znów znalazła się w pobliżu, Doreen ją przywołała.

– Wezmę ginger ale, to powinno mi dobrze zrobić na żołądek.

Odette akurat nie patrzyła w ich stronę.

– Dobra, mów, co się stało.

– Adam chyba znowu ma ciąg – powiedziała Doreen, gdy Charlie postawiła przed nią szklankę i położyła obok serwetkę. – Dzwonili z kasyna. Jeżeli nie przyjdzie w poniedziałek, wywalą go na zbity pysk. Dzwonię do niego na komórkę, ale nie odbiera.

Charlie i Doreen nigdy za sobą nie przepadały, ale znały tych samych ludzi. Czasami zaś to, że się kogoś zna od dawna, jest ważniejsze niż sympatia do tej osoby.

Charlie westchnęła.

– To co mam zrobić?

– Znajdź go i sprowadź do domu – odpowiedziała Doreen. – Możesz mu przypomnieć, że ma dziecko.

– Wątpię, żebym była w stanie go do czegokolwiek nakłonić – stwierdziła Charlie.

– To przez ciebie Adam jest taki – oznajmiła wtedy Doreen. – Ciągłe bierze jakieś niebezpieczne ekstrazlecenia.

– Niby dlaczego to moja wina?

Charlie przetarła ścierką bar. Ot tak, żeby coś robić.

– Dlatego, że Balthazar zawsze go z tobą porównuje. Adam usiłuje ci dorównać. Tylko że nie każdy się rodzi kryminalistą.

Partner Doreen, Adam, był krupierem blackjacka w kasynie i po rezygnacji Charlie zaczął też dorabiać u Balthazara. Może sobie wyobrażał, że jakieś tam machlojki przy hazardzie przygotowały go na okradanie pomroków. Podejrzewała też, że zdaniem Adama, skoro Charlie sobie radziła w tej branży, nie mogło to być nic trudnego.

– Pogadamy, jak skończę zmianę – odpowiedziała Charlie.

Zdecydowanie powinna trzymać się z daleka od tej sprawy.

Przede wszystkim dlatego, że była ostatnią osobą, którą Adam chciałby zobaczyć, niezależnie od kontekstu.

Co więcej, Charlie nie zarobi na tym ani centa.

Jak głosiła plotka, Adam wydawał wszystkie dodatkowo zarobione u Balthazara pieniądze na seanse blisu, czyli manipulacje cieniem w taki sposób, żeby można było patrzeć całymi godzinami przed siebie i czuć się przecudownie. Pewnie właśnie leżał na plecach w pokoju hotelowym, czuł się błogo na maksa i z pewnością sobie nie życzył, żeby Charlie się pojawiła i ściągnęła go z powrotem do domu, zanim to z niego nie zejdzie.

Charlie zerknęła w stronę Doreen, która siedziała przy drugim końcu baru i bezmyślnie bawiła się mieszadłem. Tak, stanowczo nie powinna się w to pakować.

Już miała sięgnąć po syfon z wodą sodową, kiedy rozległ się głośny łomot. Facet w tweedzie, który nie życzył sobie zbyt słodkiego burbona, wylądował właśnie na czworakach obok pustej sceny, zaplątał się w aksamitną zasłonę. Jeden z karków pilnujących salonu cieni, niejaki Joey Aspirins, stał nad nim i najwyraźniej zastanawiał się, czy kopnąć go w twarz.

Balthazar z wrzaskiem wbiegł za nimi po schodach.

– Zupełnie ci odbiło? W co ty chcesz mnie zrobić? Żeby ktoś sobie pomyślał, że to ja zwinąłem *Liber Noctis*? Wypierdalaj stąd, ale już!

– Ale to nie tak – zaprotestował koleś w garniturze. – Saltowi naprawdę zależy, dobrze zapłaci nawet za tę jedną stronę...

Charlie wzdrygnęła się na dźwięk nazwiska Salta.

Po tym wszystkim, co już widziała i czego dokonała, trudno było zrobić na niej wrażenie. Jednak wspomnienie Salta zawsze działało.

– Zamknij mordę i wypad stąd.

Balthazar jednoznaczny gestem pokazał facetowi wyjście.

– Co się dzieje? – spytała Doreen.

Charlie pokręciła głową. Przyglądała się, jak Joey Aspirins wypycha tweedowego za drzwi. Odette wstała, żeby pogadać z Balthazarem, ale mówili zbyt cicho, żeby dało się ich podsłuchać.

Kiedy Balthazar wracał do sutereny, po drodze pochwycił wzrok Charlie i puścił do niej oko. Powinna unieść brwi albo się obruszyć, jednak wzmianka o Lionelu Salcie wprowadziła ją w otępienie, a Balthazar znikł, zanim zdążyła zdobyć się na jakąś sensowną reakcję.

Wkrótce przyszła pora na ostatnie zamówienia. Charlie przetarła kontuar, po czym wstawiła do zmywarki brudne szejkery i szkło. Przeliczyła kasę, odjęła od swoich napiwków zapłatę za drinka Doreen, dodając je do reszty rachunków. Bar Rapture mógł chlubić się swoją niezwykle atmosferą, mieć ściany i sufit pomalowany Black 30, farbą tak ciemną, że pochłaniała światło, i powietrze w nim mogło sobie być gęste od kadzidła... Mógł sobie być miejscem, w którym lokalsi mieli ochotę otrzeć się o odrobinę magii czy po prostu zajrzeć, gdy mieli już dosyć barów sportowych, w których podawali kombuchę z nalewaka. Jednak rytuał zamknięcia knajpy wszędzie jest taki sam.

Kiedy Charlie powlokła się na zaplecze po kurtkę i torebkę, większość pracowników już poszła. Wiatr się wzmógł, czuła go na swoim spoconym ciele, idąc do samochodu.

W końcu była już późna jesień i zanosilo się na zimę, a to znaczyło, że powinna zacząć ubierać się cieplej, cienka skórzana kurtka nie wystarczy.

– No i jak? – spytała Doreen. – Zmarzłam na kość, czekając tu na ciebie. Znajdziesz go? Suzie Lambton mówi, że jej pomogłaś, a przecież prawie jej nie znasz.

Robota nie wyglądała na trudną, a potem Charlie będzie miała Doreen z głowy. Jeżeli Adam leży gdzieś nieprzytomny, wystarczy gwizdnąć mu portfel. To go szybciotko sprowadzi do domu. Może jeszcze zgarnąć kluczyki od samochodu, choćby po to, żeby pokazać, że może.

– Twój brat pracuje na uniwersytecie, prawda? W biurze kanclerza?

Doreen zmrużyła powieki.

– Jest tylko recepcjonistą. Odbiera telefony.

– Ale ma dostęp do komputerów. Mógłby załatwić, żeby moja siostra dostała jeszcze miesiąc na zapłacenie rachunku? Nie chodzi mi o to, żeby skasował dług, tylko żeby przedłużył termin.

Chodziło o opłaty za kurs wprowadzający, jakieś koszty techniczne i administracyjne, które trzeba było pokryć, zanim przyjdą pieniądze z kredytu. Do tego jeszcze trzeba było skombinować kasę na jakiegoś grata, którym Posey mogłaby jeździć na uczelni. I jeszcze trochę na książki.

– Nie chcę, żeby sobie narobił kłopotów – odpowiedziała z godnością Doreen, zupełnie jakby nie usiłowała właśnie namówić swojej znajomej kryminalistki na poszukiwanie swojego chłopaka kryminalisty.

Charlie skrzyżowała ramiona.

Czekała.

W końcu Doreen niechętnie skinęła głową.

– Dobra, pewnie mogę spytać.

A to mogło wiele znaczyć. Charlie otworzyła bagażnik swojej rozklekotanej corolli. Oprócz splątanych kabli do odpalania i starej torby z narzędziami do włamów oraz butelki Grey Goose, którą kupiła po hurtowej cenie w barze, znajdowała się tam jej kolekcja jednorazowych telefonów.

Wybrała jeden z nich, wstukała kod, żeby go aktywować.

– Dobra, spróbuję. Zobaczmy, czy Adam się na to złapie. Podyktuj mi jego numer.

Jeśli odbierze – powiedziała sobie – zrobię to. Jak nie, odpuszczę.

Wiedziała, że tylko szuka pretekstu, żeby wpakować się w kłopoty. Wchodzi na ruchome piaski, żeby sprawdzić, czy ją pochłoną. Jednak i tak napisała do niego wiadomość:

Jest robota. Podobno jesteś najlepszy.

Dla kogoś, kto w gruncie rzeczy zdaje sobie sprawę, że jest kiepski, pochlebstwo będzie motywujące. Tak działa każdy szwindel, trzeba znaleźć słabą stronę ofiary. Rzecz jasna, nie powinno się w ten sposób podchodzić do relacji z ludźmi, bo można się zbyt przyzwyczaić.

– Zobaczymy, czy odpowie, jeśli... – zaczęła Charlie, kiedy na jej telefonie pojawił się symbol wiadomości.

Kim jesteś?

Amber

Charlie posiadała kilka tożsamości zbudowanych jako legendę do kantowania. Spośród nich tylko Amber była umbromantką.

Wybacz, że zawracam głowę tak późno, ale naprawdę potrzebuję Twojej pomocy.

Amber, ta z długimi brązowymi włosami?

Charlie przez dłuższą chwilę wpatrywała się w telefon, próbując odgadnąć, czy to była podpucha.

Naprawdę jesteś dobry.

Dodała do tego emoji z przymrużeniem oka, mając nadzieję, że w ten sposób wykręci się od innych pytań.

– Nie wierzę, on ci odpowiada na esemesy. Co napisał?

– Zobacz – powiedziała Charlie, podając jej telefon. – Widzisz? Żyje. Nic mu nie jest.

Doreen przygryzła paznokieć, czytając wiadomości.

– Nie powiedziałaś, że będziesz z nim flirtować.

Charlie tylko przewróciła oczami.

Po drugiej stronie parkingu owinięta potężnym futrem Odette kroczyła ku swojemu fioletowemu mini cooperowi.

– Naprawdę uważasz, że wyciągniesz od niego, gdzie jest?

Charlie skinęła głową.

– Jasne. Mogę nawet tam pojechać i go związać, jeżeli tego sobie życzysz. Tylko że w zamian za coś takiego musiałabyś mi wyświadczyć jakąś większą przysługę.

– Suzie powiedziała, że prosić ciebie o pomoc, to jak wywoływać diabła. Diabeł może i spełni życzenie, ale potem traci się duszę.

Charlie przygryzła wargę, spojrzała w stronę latarni.

– Sama mówiłaś, że jej prawie nie znam. Ta twoja Suzie musiała mieć kogoś innego na myśli.

– Może – zgodziła się Doreen. – Ale to, co zrobiłaś, chociaż wiem tylko tyle, co ludzie gadali... Ty chyba musisz mieć coś komuś za złe.

– A może zrobiłam to dla zabawy? – podsunęła Charlie. – To by znaczyło, że jestem potężnie walnięta, co nie? A ponieważ wyświadczam ci przysługę, to grzeczniej byłoby do tego nie wracać.

Doreen westchnęła ciężko, tak jak każdego dnia ciężko wzdychają matki małych dzieci, musząc znosić ich fochy.

– Dobra. Jasne. Tylko sprowadź go do domu, zanim zrobi się taki jak ty.

Charlie spoglądała przez chwilę na oddalającą się Doreen, potem wsiadła do toyoty. Zapięła pas. Starła się nie myśleć o propozycji Balthazara i o tym, kim kiedyś była. Zamiast tego skupi się na ramieniu, który zamierzała ugotować po powrocie do domu. Liczyła, że jej siostra dała kotce jeść. Już sobie wyobrażała materac na podłodze sypialni. Wyobrażała sobie śpiącego Vince'a w skotłowanej pościeli.

Wetknęła kluczyk do stacyjki.

Samochód jednak nie odpalił.

2

ODWRÓCONY KRÓL KIELICHÓW

Wiatr dął jak szalony tunelem Cottage Street, chłostał twarz Charlie zimnem i jej własnymi włosami.

Corolla pozostała na parkingu przed Rapture. Nic nie pomogło przekręcanie sto razy kluczyka i walenie w deskę rozdzielczą. Samym kablem nie da się uruchomić wozu, a holowanie kosztuje.

Pomyślała, że mogłaby zadzwonić po Vince'a, a może nawet po taksówkę, ale zamiast tego sięgnęła do bagażnika po flaszkę, po czym zdrowo z niej kilka razy pociągnęła, użalając się nad sobą i patrząc w niebo.

Resztki liści już całkiem zbrązowiły, tylko nieliczne jeszcze czepiały się gałęzi, zwisając niczym śpiące nietoperze.

Przy znaku stopu zwolnił jakiś samochód. Kierowca rzucił wulgarną propozycję, po czym zaraz dał gazu. Pokazała mu faka, chociaż nie sądziła, by to zauważył.

Nie pierwszy raz coś takiego słyszała i nie ostatni. Widziała swoje odbicie w szybach corolli. Ciemne włosy. Ciemne oczy. I sporo całej reszty: cycki i tyłek, i brzuch, i biodra. Aż nazbyt często faceci zachowywali się, jakby jej krągłości były jakimś rodzajem zaproszenia. Nie pamiętali, że każdy rodzi się z jakimś ciałem i nie można go zrzucić jak kapci; że to nie cień, który można sobie zmieniać.

Kolejny poryw wiatru wzbiał w powietrze kilka liści, lecz większość z nich pozostała w kałużach przy krawężniku.

I wtedy Charlie stwierdziła, że te półtorej mili do domu przejdzie sobie spacerkiem.

W końcu to nie tak daleko. Żaden problem.

W każdym razie dla kogoś, kto nie spędził całego dnia i połowy nocy na nogach.

Dopiero poniewczasie przypomniała sobie, że do pomysłów powziętych po pijaku należy się odnosić ze stosowną rezerwą.

Minęła witrynę księgarni; światło było zgaszone, ale w blasku latarni można było podziwiać piękną kolekcję dyń zaopatrzonych w plastikowe wampirze kły. Szczerzyły się obok powieści grozy i dekoracji z żelek candycorn. Ich oranżowe korpusy pomału już zaczynały gnić.

Ulica była zupełnie pusta, wszystko pozamykane. Otuliła się szczelniej kurtką i pomyślała, że byłoby fajnie, gdyby Easthampton bardziej przypominało pobliskie

miasteczka uniwersyteckie, na przykład Northampton albo Amherst. Gdyby po ulicach snuli się narąbani studenci, czynne byłyby z myślą o nich przynajmniej jedna pizzeria albo coffeeshop dla nocnych marków.

Przez tę ciszę zbyt wiele myśli pchało jej się do głowy.

Kiedy szła samotnie ciemną ulicą, nie mogła opędzić się od słów wypowiedzianych przez Doreen – o tym wszystkim, co kiedyś zrobiła i że na pewno ma komuś coś za złe.

Kopnęła walając się luzem kawałek cementu.

Kiedy była małolatą, miała zmierzwione czarne włosy, brązowe oczy i była niegrzeczna. Raz za razem pakowała się w kłopoty, ale po drodze się zorientowała, że w jednym jest dobra: w rozbieraniu rzeczy na części pierwsze. Rzeczy i ludzi. Lubiła rozwiązywać takie zagadki i dociekać, w jaki sposób dotrzeć do tego, co ukrywają. I jak się stać tym, w co chcieli uwierzyć.

To przypomniało jej historię z Adamem. W sumie teraz mogła się tym zająć, zamiast pograżać się w ponurych rozmyślaniach.

Sięgnęła po telefon i wstukała:

W księgozbiorniku Mortimera na Smith College jest pewien tom, który zawiera coś ważnego. Zapłacę. Ewentualnie możemy jakoś inaczej się dogadać.

Było rzeczą powszechnie wiadomą, że umbromanci wiecznie poszukują starych ksiąg, w których spisano sekrety manipulacji cieniem. Nie raz bywało, że zabijali się o nie, dosłownie. Podsuwała Adamowi łatwą pracę.

To musiało być coś kuszącego.

Charlie przez dziesięć lat kradła dla tego czy innego umbromanty. Księgi, zwoje, a czasem też inne, gorsze rzeczy. Przez dziesięć lat udawało jej się ukrywać swoją tożsamość. Nikomu nie się rzucała w oczy, dla przykrywki pracowała w barach i restauracjach, zlecenia załatwiał dla niej Balthazar. Nieco ponad rok minął od momentu, kiedy wpłaciła kaucję za wynajęty dom i namówiła Posey, żeby zdawała na studia.

A potem wszystko rozpieprzyła.

Tak jakby wewnątrz Charlie zawsze szalał ogień. Rok temu przekonała się, jak łatwo może wszystko obrócić w popiół.

Adam nie odpisywał. Może usnął. Albo był na haju. Albo po prostu go to nie interesuje. Schowała telefon z powrotem do torebki.

Kątem oka dostrzegła coś dziwnego w przestrzeni między dwoma budynkami.

Odwróciło to jej myśli od przeszłości, ale w niezbyt przyjemny sposób.

Ludzie opowiadali sobie historie o cieniach pozbawionych ciała i wędrujących po świecie, tak jak straszili się opowieściami o slendermanie czy dziewczynce, która

miała buzię pełną pajaków, ale Charlie wiedziała, że tak zwane struposze to nie żadne bajeczki, tworzą się, kiedy umiera umbromanta, a jego cień żyje dalej. Zmory takie są jak najbardziej rzeczywiste i bardzo niebezpieczne. Działa na nie onyks i ogień, i właściwie nic poza tym, o ile ktoś sam nie jest umbromantą.

Zaćwierkał jej prawdziwy telefon, sprowadzając ją na ziemię. To esemes od Vince'a:

Wszystko ok?

Niedługo będę – odpisała.

Trzeba było do niego zadzwonić jeszcze spod Rapture. Mógłby po nią podjechać. Pewnie nawet specjalnie by nie marudził. Tyle że nie chciała za bardzo na nim polegać. Wiedziała, że potem będzie trudniej. Potem, czyli kiedy Vince od niej odejdzie.

Z miejsca, w którym Nashawannuck Pond łączy się z RupperThreat Pond, czyli od strony porzuconego młyna, dobiegł jakiś odgłos. Ktoś tam był.

Przyspieszyła kroku, wsuwając jednocześnie dłoń do kieszeni, żeby owinąć palce wokół rękojeści składanego noża, który miała przy kluczach. Był nadal ostry, chociaż otwierała nim pudełka z płatkami zbożowymi i odłupywała kit z okna. Nie bardzo wiedziała, jak się nim posłużyć w obronie własnej, ale przynajmniej miał onyksową okładzinę rękojeści, a to się mogło przydać przy spotkaniu z cieniem.

W jednej z bocznych alejek dostrzegła jakiś ruch. Zewnętrzna lampka nad drzwiami jednego ze sklepów oświetlała poplamione ubranie, białą kość i ścianę zachlapaną czarnymi plamami krwi.

Charlie stanęła jak wryta, spięta, coś ścisnęło ją w żołądku. Umysł usiłował nadażyć za tym, co widziała. Dostarczał usłudze alternatyw – może to jakiś gadżet ze sklepu z okropnościami czy wesołego miasteczka? Manekin, zwierzę?

Jednak nie, to były ludzkie szczątki. Rozszarpane ciało, strzępy ubrania. Ktokolwiek to zrobił, usiłował chyba dobrać się do wnętrza ofiary. Charlie podeszła bliżej. Było zimno, więc nie czuła smrodu, ale mimo tego w powietrzu unosił się jakiś mdlący zapach. Twarz mężczyzny zwrócona była na bok, otwarte oczy lśniły szklanym blaskiem. Jego klatka piersiowa była rozszarpana, połamane żebra sterczały ze zwłok jak białe gałązki brzozy.

I potem znowu jakiś ruch przy ścianie: jego cień, który powinien pozostawać w takim samym bezruchu jak trup, a był poszarpany i powiewał na wietrze niczym strzęp wiszący na sznurze. Jakby silniejszy powiew mógł go uwolnić.

Śmierć tak odmieniła twarz mężczyzny, że poznała go najpierw po ubraniu – wymiętym i przybrudzonym, jakby nie miał niczego innego na zmianę. To facet,

którego Balthazar wyrzucił z Rapture. Ten, który proponował, że sprzeda mu coś za plecami Salta.

Jeszcze dwie godziny wcześniej postawiła przed nim szklaneczkę Four Roses. A teraz...

W przeciwnym końcu alejki rozległ się jakiś odgłos, Charlie drgnęła nerwowo i spojrzała w tamtą stronę. Oczami czarnymi jak dziury po kulach wpatrywał się w nią mężczyzna w kapeluszu, okryty długim ciemnym płaszczem.

Z jego dłońmi było coś nie w porządku.

Bardzo nie w porządku.

Były wyłącznie z cienia, aż po kikuty nadgarstków.

Ruszył w stronę Charlie, jego kroki się odbijały się głośno na asfalcie. Chciała uciekać, ale instynkt podpowiadał jej, żeby oczekiwać w bezruchu, przecież ucieczka wzbudzi u drapieżnika pragnienie pościgu. Czy rzeczywiście zamierzała się bronić? Nóż w jej dłoni był śmiesznie mały, niewiele większy od nożyczek do paznokci.

W oddali rozległo się wycie syreny.

Na ten dźwięk mężczyzna znieruchomiał. Spoglądali na siebie ponad zwłokami. W końcu facet się cofnął, następnie zniknął za rogiem. Charlie poczuła, że robi jej się słabo, a jednocześnie poczuła się przeraźliwie trzeźwa.

Zmusiła się, by ruszyć z miejsca, chwiejnym krokiem wyszła z alejki, potem prędej w stronę Union. Gdyby policja zastała ją w pobliżu zwłok, zaczęłaby zadawać mnóstwo pytań, a w dodatku mogłaby nie uwierzyć w opowieść o facecie, który miał ręce z cienia. Zwłaszcza gdyby ją usłyszała od Charlie, która jeszcze przed ukończeniem osiemnastu lat z powodu różnych przekrętów dwukrotnie wylądowała za kratkami.

Nogi same ją niosły, umysł zaś pracował na pełnych obrotach.

Od masakry w Boxford, kiedy opinia publiczna zdała sobie sprawę z istnienia umbromantów, czyli od mniej więcej dwudziestu lat, w zachodnim Massachusetts wprost się od nich roiło. Dolina Krzemowa umbromancji.

Od Springfield z jego zamkniętymi na głucho fabrykami broni i zabitymi dechami rezydencjami aż po szkoły i uniwersytety oraz ekstrawaganckie farmy na wzgórzach, zanieczyszczone rzeki i malownicze mokradła Quabbin Reservoir, Dolina była w sam raz. Tania i położona wystarczająco blisko Nowego Jorku i Bostonu.

Plusem była też panująca tam od dawna tolerancja dla rozmaitych dziwactw. Kozy do wynajęcia, aby przystrzyc gazon. Klub strzelecki, który co roku organizuje festyny historyczne. W zasięgu piętnastu minut jazdy można kupić osiemnastowieczną ramę do łóżka, ręcznie wykonany dzbanek w kształcie waginy i heroinę od dilerka na dworcu autobusowym.

Teraz należało do tego dodać możliwość odwiedzenia salonu cieni w celu zmodyfikowania któregoś z wyżej wymienionych upodobań lub nabycia nowego. Seanse błogostanu błyskawicznie zyskiwały coraz większą popularność. Im więcej pojawiało się umbromantów, tym bardziej miasta się zmieniały i całe zasoby onyksu na planecie nie zdołałyby tego powstrzymać.

Wszystko to nie zmieniało faktu, że to morderstwo było wyjątkowo potworne. Ktokolwiek tego dokonał, musiał dysponować niezwykłą siłą, żeby tak rozszarpać ludzkie ciało.

Wsadziła drżące dłonie do kieszeni. Znana trasa do domu stała się obca, wszędzie widziała postrzępione cienie poruszające się przy najmniejszym podmuchu wiatru i wciąż jej się zdawało, że czuje odór padliny.

Jeszcze dwie przecznice i szła już, zdyszana, po podjeździe prowadzącym do jej wynajętego domu. W zlewie tkwiły patelnia i dwa brudne talerze. Trzeci talerz, przykryty salaterką, stał obok mikrofalówki. Ich kotka, Lucypurr, obwąchiwała tę konstrukcję, wyraźnie na coś licząc.

W salonie Vince spał przed telewizorem, w którym leciał jakiś film bez głosu; leżał rozwalony na ich sfatygowanej wersalce, z gazetą na brzuchu. Kiedy tak na niego patrzyła, poczuła ukłucie tęsknoty, to paskudne uczucie, kiedy człowiekowi kogoś brakuje, jeszcze zanim ten ktoś odejdzie. Spojrzała tam, gdzie powinien padać jego cień. Nie było tam jednak zupełnie nic.

Kiedy Charlie zobaczyła go po raz pierwszy, odnotowała mimochodem, że facet ma jakby niewyraźny kontur, jakby widziało się go przez lekką mgiełkę. Niezbyt się tym przejęła, może dlatego, że była pijana, a może z powodu jego męskiej urody i faktu, że był gładko ogolony – faceci w tym typie nigdy na nią nie lecieli. Dopiero następnego ranka to zobaczyła. Stał w drzwiach, a światło padało z tyłu i jakby sączyło się przez jego postać. Wtedy dopiero zdała sobie sprawę, że facet nie ma cienia.

Posey zauważyła od razu.

Siostra Charlie siedziała w tej chwili na wytartym szmacianym chodniku, wpatrywała się w ziarnisty ruchomy obraz na laptopie, miała przed sobą rozłożone karty. Ubrana była w tę samą piżamę, którą miała na sobie, kiedy Charlie wychodziła z domu: brudną, o postrzępionych brzegach. Bez stanika. Jasnobrązowe włosy zwinęła w niechlujny kok na czubku głowy. Jediną jej ozdobą był tkwiący w nosie kolczyk ze złota i onyksu, którego nigdy nie zdejmowała. Posey wszystkie spotkania na zoomie odbywała z wyłączoną kamerą, tak żeby nie musieć się do nich przebierać.

Jej głos brzmiał jak najbardziej kojąco i profesjonalnie, gdy nie zwracając większej uwagi na Charlie, kontynuowała wróżbę z tarota.

– Dziewiątka buław, odwrócona. To znaczy zmęczenie i wyczerpanie. Chciałaby pani dać z siebie wszystko, ale ostatnio czuje pani, jakby już nic nie zostało do oddania...

Osoba po drugiej stronie musiała na to odpowiedzieć całą falą zwierzeń, bo Posey urwała, by jedynie słuchać.

Kiedy były małe, ich matka mnóstwo razy zabierała je do wrózek czy jasnowidzów. Charlie pozostało wspomnienie zakurzonych aksamitnych poduszek, zasłony z koralików we frontowym pokoju domu przy autostradzie. Posey leżała z głową na jej kolanach i obie słuchały opowiadanych mamie kłamstw o jej przyszłości.

Może i było to oszustwo, ale matka potrzebowała kogoś, z kim by mogła porozmawiać, a jakoś nie była w stanie się otworzyć przed nikim innym. Wróżby to terapia dla ludzi, którzy nie są w stanie przyznać, że potrzebują terapeuty. Magia dla ludzi, którzy desperacko jej potrzebowali, jeszcze zanim stała się rzeczywistością.

Charlie co prawda nie wierzyła w mantyczne predyspozycje Posey, ale przynajmniej klienci jej siostry mieli kogoś, kto podchodził poważnie do ich problemów i chciał pomóc. To było warte pięćdziesięciu dolarów i zapisu na jej patreona.

Charlie wróciła do kuchni, odkryła talerz. Vince zostawił na niej tacos z jajkiem, pokropione tabasco i sosem sriracha. Obok leżało pokrojone awokado. Sądząc po talerzach w zlewie, Vince nakarmił nawet Posey. Charlie zjadła posiłek przy zardzewiałym składanym stoliku w kuchni, słuchając, co mówi jej siostra.

– Król kielichów, także odwrócony. Jest pani mądrą kobietą, więc sama pani wie, że niektóre z podejmowanych przez panią decyzji nie były najlepsze.

Pozostałości adrenaliny sprawiły, że Charlie odłożyła na chwilę widelec, odetchnęła głęboko raz i drugi. Próbowwała się skupić na głosie siostry, na dobrze znajomej narracji.

Większość ludzi zwraca się do wróżki z problemami miłosnymi. Czasem chcą wiedzieć, czy mają szanse u kogoś konkretnego. Inni czują się samotni i chcą po prostu usłyszeć, że to nie ich wina, że po prostu nie trafili na odpowiednią osobę. Najczęściej jednak to ludzie pozostający w nieudanych związkach. Jednocześnie chcą, żeby im powiedziano, że warto się poświęcać, że coś z tego będzie – a zarazem trochę liczą na pretekst, żeby się z tej matni wyrwać.

Większość wizyt ich matki u wrózek dotyczyła właśnie związków. Wszystkie kobiety w ich rodzinie zakochiwały się tak, jakby rzucały się w przepaść. Miały szczególny dar do dobierania sobie niewłaściwych mężczyzn. Wyglądało to tak, jakby od pokoleń ciążyła na nich jakaś klątwa. Wszystko zaczęło się od babci, która wzięła sobie za męża faceta tak okropnego, że ciągle jeszcze siedziała w więzieniu za to, że strzeliła mu w tył głowy, kiedy oglądał telewizję rozparty w swoim fotelu BarcaLounger.

Następnie klątwa objawiła się, gdy mama posadziła Charlie i Posey na tylnej kanapie samochodu i kazała im być cicho, po czym krążyła po mieście, próbując przyłapać ich ojca na zdradzie. Potem zjawił się ojczym, który złamał Posey rękę w nadgarstku i był chłopak Charlie, który tak strasznie potrzebował pieniędzy na spłatę hazardowych długów, że zdołał ją namówić do składania zeznań podatkowych za zmarłe osoby – oddawała mu potem kasę ze zwrotów. Posey powiedziała kiedyś, że aby któraś z nich zabujała się w facecie, koleś musi mieć dziurę w głowie, w sercu albo w kieszeni.

Może i była to prawda. Może mężczyźnie musiało czegoś brakować i w ten sposób Charlie mogła mieć poczucie, że ten brak mu wynagrodzi, uzdrowi go sobą niczym czarodziejski eliksir. A może po prostu Charlie żyła w przekonaniu, że i jej czegoś brakuje, a podobieństwa przecież się przyciągają.

Vince był facetem, na którego można było liczyć. Solidnym, pracowitym. Powściągliwość Vincenta w tematach dotyczących rodziny dały Charlie jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty wracać do swojej przeszłości, natomiast była na tyle spostrzegawcza, że to i owo do niej dotarło. Stwardnienia na jego dłoniach były świeże i miał zęby tak proste, jak zwykle bywa dzięki zastosowaniu aparatu ortodontycznego. Wiedział różne rzeczy, których ludzie uczą się na studiach, i nie miał długów. Krótko mówiąc, pochodził z bogatej rodziny.

Charlie nie zdołała się zorientować, czy go odrzucili po tym, jak stracił cień. Próbowwała go pytać, ale wykręcał się od odpowiedzi. Nie naciskała, bo wcale nie była pewna, czy chce usłyszeć historię o lepszym życiu i o tym, jak ktoś je stracił.

Liczyło się to, że litościwie odwracał wzrok, kiedy na powierzchnię wypływała prawdziwa Charlie Hall, ta, która prosiła się o kłopoty, marudziła od samego rana. Ta sama, która przez długie lata próbowała zatkać pysk uroborosowi swoich myśli nadmiarem alkoholu i zbyt licznymi facetami oraz żyła od kradzieży do kradzieży. Niektórzy twierdzili, że osoba pozbawiona cienia mniej intensywnie przeżywa emocje niż inni ludzie. Może dlatego Vince'a mało obchodziło, kim była i co zrobiła.

W domu z Vince'em starała się być autorką bajki i jednocześnie jej główną postacią, a więc kobietą, której kanciarska przeszłość została już dawno pogrzebana i która teraz wcale nie zмага się z pokusą, by zboczyć na manowce.

A on, o ile czasem okazywał się zbyt uważnym słuchaczem i docierało do niego – jak podejrzewała – że jej zraniona, niebezpieczna jaźń rwie się na wolność, to chociaż jej nie odpychał.

– Pobudka – odezwała się, trącając nogę Vince'a stopą.

Chciała, żeby poszedł z nią do łóżka, potrzebowała jego oddechu we włosach i ciężaru jego ramienia, który by ją chronił od rozmyślań o białych kościach, zastygłej krwi i dłoniach z cienia.

Vince uniósł powieki. Przeciągnął się. Wyłączył telewizor. Jak niektórzy wysocy mężczyźni, miał zwyczaj lekko się garbić, kiedy wstawał, jakby nie chciał nikogo przytłaczać swoim ogromem.

– Zostawiłem ci kolację, zjadłaś? – spytał.

Mijając Charlie po drodze do sypialni, przesunął palcami po jej plecach. Poczowała dreszcz pożądania, zaciągnęła się zapachem chlorku, który pozostał na jego skórze po pracy.

– Tak. Jesteś dobrym człowiekiem – odpowiedziała.

Uśmiechnął się w odpowiedzi, trochę zawstydzony, ale zadowolony.

Vince płacił swoje rachunki. Wynosił śmieci. Był dobry dla kotki. Może tęsknił za lepszym życiem, ale teraz był z Charlie. Nie liczyło się tak bardzo, co skrywał w sercu, w każdym razie nie bardziej niż to, co ona skrywała w swoim.

3

PRZESZŁOŚĆ

Kiedy Charlie miała trzynaście lat, oznajmiła matce, że została nawiedzona. Mama po rozwodzie jeszcze mocniej wciągnęła się w kryształowe kule i wróżby, miała też przyjaciółkę, która otrzymywała „posłannictwa od aniołów”, więc ten pomysł nie wziął się znikąd. Charlie utrzymywała, że zaczął do niej, a potem przez nią, przemawiać duch czarownicy spalonej na stosie w czasach inkwizycji.

Patrząc z dystansu, to nie był dobry pomysł. Jednak w przeciwnym razie mama by jej nie chciała słuchać, a Charlie była zdesperowana.

W ten sposób pojawiła się Elvira de Granada – postać wywodząca się częściowo z oglądanej późną nocą anime, częściowo zaś z tandetnych powieści grozy ze sklepiku spożywczego. Rzecz w tym, że Elvira mogła mówić o tym, o czym Charlie Hall mówić nie mogła. Elvira mogła wyrzucić z siebie gniew nagromadzony w jej poranionym sercu.

Problem polegał na tym, że koniecznie, ale naprawdę koniecznie, trzeba było przekonać mamę, że jej nowy mąż jest bydlakiem – i to szybko. Travis był totalnie wredny, do tego nienawidził Charlie i Posey.

Nie był natomiast głupi. Kiedy przyłożył Posey – tak za nic, po prostu skakała, działała mu na nerwy i nie chciała iść do łóżka – zrobił to, gdy mama nie widziała, a potem wcale nie udawał, że nic się nie stało, tylko powiedział, że to Charlie uderzyła siostrę, a Posey ją kryje.

Charlie została oczywiście ukarana. Posey też, za kłamstwo.

Od tej pory Travis wiedział, że wszystko mu wolno. Powtarzał ich matce, że musi być surowsza w stosunku do swoich córek, że ojciec je rozpuszczał, że knują i kłamią, aby zwrócić na siebie uwagę, a do tego kradną mu pieniądze z portfela. I jeżeli matka czegoś z tym wszystkim nie zrobi, nigdy nie będą jej szanować i pewnie obie skończą w więzieniu.

Kiedy uderzył Charlie, nawet nie próbowała się poskarżyć.

Mama była zafascynowana tym, że córka okazała się medium. Ku jej zdumieniu Charlie opowiadała różne rzeczy o krewnych, chociaż były to tylko wydarzenia, które kiedyś zapamiętała albo jakieś podsłuchane plotki. Od czasu do czasu po prostu bezczelnie zmyślała coś o zmarłych, bo tego nie dało się sprawdzić.

Jednak nawet Elvira de Granada nie była w stanie przekonać matki Charlie, że Travis jest śmieciem. Matka Charlie uznała, że Elvirą kieruje rozgoryczenie i nieufność do mężczyzn, bo to w końcu mężczyźni doprowadzili do jej śmierci. W związku z tym pojawiła się kolejna postać: Alonso Nieto, czarownik. W przeciwieństwie do Elviry nie tyle został posądzony o czarostwo, co sam przyznawał, że uprawiał czarną magię.

Okazuje się, że mężczyznom łatwiej uwierzyć, nawet tym nieistniejącym.

Mama wprost uwielbiała rozmawiać z Alonsem. Charlie sądziła, że była całkiem przekonująca w roli Elviry, ale jeśli chodziło o Alonsa, to matka sama chciała być przekonana.

Charlie wiedziała, że musi uważać, jednak jeśli Alonso miał skutecznie przekonać mamę do spławienia Tralisa, czarownik musiał dostarczyć jakiegoś konkretnego dowodu.

Sprawę trochę ułatwiał fakt, że stopniowo zaczynał wychodzić na jaw prawdziwy charakter ojczyma. Świeżo po ślubie robił wielkie przedstawienie, wciąż powtarzał mamie, że jest ideałem i wmawiał, że czeka ich wspaniałe życie – jednak tego nie starczyło na długo. Teraz, gdy się kłócili, zdarzało mu się czynić aluzje do jej nadwagi i dawać do zrozumienia, że nie jest najmądrzejsza. Kwiaty i romantyczne randki odeszły w niepamięć, podobnie jak znaczna część jego wkładu finansowego w gospodarstwo.

Charlie wiedziała, że nadchodzi odpowiedni moment, potrzebowała jednak pomocy. Wtajemniczyła więc młodszą siostrę.

Posey miała spory problem z Elvirą i Alonsem, chociaż cieszyła się, że ktoś źle mówi o zniechęconym ojczymie. Jednocześnie jednak bała się, że jej siostra została opętana. Teraz, skoro już wiedziała, że to tylko część planu, wszystko się odmieniło.

Zawodowi wróżbici używają dwóch różnych metod, o czym zresztą wtedy żadna z siostr nie wiedziała. Pierwsza z tych metod to odczyt „na zimno”, nadal stosowany przez Posey udzielającą porad wróżbiarskich przez telefon i polega na bardzo uważnej obserwacji. Drugą jest odczyt „na gorąco”.

Podczas odczytu na zimno osoba wróżąca zwraca uwagę na to, czy klient spogląda w stronę telefonu, czy ma jaśniejszy ślad na palcu po obrączce, czy ma nowe buty, czy są widoczne jakieś tatuaże. Przez telefon trzeba polegać wyłącznie na doborze słów, akcentowaniu, sposobie wymawiania i umieć dostrzegać emocje w głosie. Dobry odczyt na zimno przekonuje klienta o rzetelności wróżby, pozwala mu się zrelaksować, a rozluźniony klient już sam z siebie dostarcza dalszych informacji.

Odczyt „na gorąco” to coś zupełnie innego. Zawczasu trzeba jak najwięcej się dowiedzieć o danej osobie. Niektórzy sławni wróżbici zakładali podsłuchy w swoich

poczekalniach, różnego rodzaju magicy występujący na scenie korzystają z usług asystentów, którzy podsłuchują rozmowy odbywające się na widowni.

Plan Charlie polegał na zdobyciu informacji właśnie w ten sposób.

Z pomocą Posey przeszukała kieszenie Trvisa. Wykombinowały hasło do jego komputera, po czym dokładnie sprawdziły historię przeglądarki, pocztę, wpisy na Facebooku. Namierzyły jego kolekcję porno, dosyć obrzydliwą, ale nie było tam nic dostatecznie zbrodnego, żeby go pogrążyć. Okazało się, że z nikim nie romansuje i nie wyłudza pieniędzy. Travis był człowiekiem złym, ale jednocześnie niestety nudnym.

Charlie miała kiepskie oceny, w szkole już dawno zaliczono ją do tych słabszych, którzy na pewno nie pójdą na studia. Jednak dużo czytała i potrafiła uważnie słuchać. Była po prostu bystra.

Co nie zmienia faktu, że bystre dzieciaki potrafią być przerażająco głupie.

Charlie całkiem niegłupio stwierdziła, że skoro nie udało jej się znaleźć żadnego haka na Trvisa, trzeba dowody sfabrykować. Założyła więc nową stronę na Facebooku na jego nazwisko i z jego zdjęciem, potem zaczęła flirtować z kobietami. Zaraz potem zaczęła się wymiana esemesów przez kupiony w tym celu telefon na kartę. Charlie musiała teraz jednocześnie być Trvisem i do tego Alonsem, co było bardzo męczące. Coś jak gra w udawanie, tylko na sterydach.

Jednak nie to najbardziej ją męczyło, bo o wiele bardziej doskwierała Charlie frustracja z powodu tego, że marnuje mnóstwo cennego czasu w swoim właściwym wcieleniu jako dziecko, które ma do odrobienia masę zadań z matmy. Nie mogła się doczekać, kiedy znów ją poniesie fala improwizacji, zaczną we właściwej chwili pojawiać się właściwe słowa nadchodzące z jakiejś części jej umysłu, której istnienia dotąd nawet nie podejrzewała.

Oczywiście mogła sfabrykować dowody, ale nie była pewna, czy to wystarczy, żeby przekonać matkę. Uznała, że trzeba najpierw udowodnić, jaką mocą dysponuje Alonso. Dzięki współpracy z Posey światło samo się zapalało w pustym pokoju, sama się włączała kuchenka, różne przedmioty pojawiały się w miejscach, gdzie mogła je znaleźć ich mama. Krótko mówiąc, nieświadomie dokonały rekonstrukcji od podstaw wiktoriańskiego spirytyzmu.

Charlie szybko skojarzyła, jak świetnie się sprawdza najbardziej upajająca ułuda: Alonso wciąż wmawiał mamie, że jest ważna, wyjątkowa, wybrana. Nie wyjaśniał dokładnie, pod jakim względem, ale takie szczegóły nie miały znaczenia.

Mama wkrótce dała się złapać na haczyk. Prawdę mówiąc, Charlie niekiedy przychodziło do głowy, że matka bardziej się interesuje Alonsem niż nią, woli spędzać

czas w jego towarzystwie, a nie ze swoim dzieckiem. Czasem Charlie odnosiła wrażenie, że liczy się dla matki tylko jako pośredniczka w tych spotkaniach.

Po pewnej wyjątkowo karczemnej scenie – Travis nawrzeszczał na Charlie, żeby posprzątała w swoim pokoju, a kiedy mu się nie spodobało, w jaki sposób to zrobiła, złamał na pół jej płytę z *Ruchomym zamkiem Hauru* – postanowiła, że nadszedł już czas. Trzy dni później Alonso poradził mamie, żeby zajrzała do schowka w samochodzie Travisa. Podłożony przez Posey telefon już tam czekał.

Potem wszystko rozegrało się całkiem szybko.

Mama przejrzała wiadomości zapisane w telefonie i zobaczyła, co (rzekomy) Travis obiecywał tamtym dziewczynom i co o niej (rzekomo) opowiadał. Travis wszystkiego się wyparł, a im bardziej się wypierał, tym mniej mama mu wierzyła, on zaś tym bardziej się wściekał i stawał się przez to tym mniej wiarygodny.

No i masz, kurwa, za swoje – pomyślała wtedy Charlie, z satysfakcją, bo doskonale pamiętała, ile razy jej matka uwierzyła Travisowi, chociaż łągał, a Charlie i Posey mówiły prawdę.

Charlie ucieszyła się z wyprowadzki, ucieszyła się jeszcze bardziej, kiedy matka wniosła o rozwód. Była wniebowzięta, kiedy przeniosły się do nowego mieszkania, chociaż forsy brakowało bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Jednak Charlie trochę się bała tego, co zrobiła. Ciężko było żyć ze świadomością, że dokonała oszustwa na taką skalę, że gdyby matka się kiedykolwiek o tym dowiedziała, prawdopodobnie nigdy by jej tego nie wybaczyła.

Poza tym zupełnie nie miała ochoty zaznajomić Alonsa z jej przyjaciółkami. Charlie stanowczo się sprzeciwiła. Płakała i krzyczała, że tego nie chce, że już mu nie pozwoli przemawiać za jej pośrednictwem.

Właśnie wtedy zaczęła dorastać. Była jeszcze w trzech czwartych dzieckiem, w jednej czwartej zżerało już ją pożądanie. Jej marzenia tworzyły zagmatwany kalejdoskop wizji z programów telewizyjnych, koktajli wyglądających jak wódka z martini i smakujących jak sprite, smarowania ust szminką i balerinek pokrytych czerwonym brokatem oraz ślubem z kimś, kto byłby w połowie gwiazdą pop, w drugiej zaś wypchanym zwierzakiem.

Wiedziała, że musi przestać udawać Alonsa, zanim ktoś ją zdemaskuje, nie wiedziała jednak, jak z tym skończyć, nie sprawiając jednocześnie matce zawodu.

Tylko pozwól mi, tylko tym razem, niech przemówi. To już będzie ostatni raz. Obiecuję ci, słoneczko.

Matka zdołała ją namówić, żeby ten jeden raz wystąpiła przed jej przyjaciółkami. A potem jeszcze raz. Za trzecim razem Charlie zorientowała się, że niektóre z nich

zaczynają coś podejrzewać. Niejaki Rand, rosy facet o przepięknie wywoskowanych wąsach próbował ją przyłapać na jakiejś historycznej nieścisłości. Nie do końca mu się to udało, ale Charlie spanikowała. Gadała za dużo. Kiedy wracały samochodem do domu, czuła rzucane w swoją stronę spojrzenia matki, którą wyraźnie nachodziły wątpliwości i nawet gotowa była stracić wiarę w Alonsa. Charlie czuła się, jakby jej ciało było z ołowiu.

Za trzecim razem nie sprzeciwiała się, chociaż jej matka już miała poważne wątpliwości. Charlie zawczasu zweryfikowała różne historyczne wydarzenia i uznała, że Alonso nie musi znać się na antybiotykach czy grawitacji. Przypuszczała, że jeszcze ten jeden raz może sobie poradzić.

Ponadto, Charlie mniej więcej wtedy uświadomiła sobie, co tak naprawdę poskutkowało w przypadku jej matki. Przecież nikogo z nich nie trzeba było do niczego przekonywać.

Należało za to sprawić, żeby chcieli uwierzyć.

Dlatego też zamiast odpowiadać na ich pytania, zaczęła zmyślać na całego. W końcu znała przyjaciółki swojej mamy na tyle dobrze, żeby wiedzieć, która marzyła o tym, żeby jej rzeźby pojawiły się w jakiejś gazecie, która marzyła o miłości; która ubolewała, bo straciła kontakt ze swoimi dziećmi.

Alonso mówił im to, co chciały usłyszeć – i to był czad.

Spotkałaś już mężczyznę, który jest ci przeznaczony, i wiesz, kim on jest, i wiesz, czemu nie jesteście razem.

Twoim dzieciom najlepiej będzie nad jeziorem, lecz będą się opierać, nie przyjmą tego do wiadomości.

Twoje dzieła zyskają uznanie po twojej śmierci.

Potem zaś Alonso oznajmił, że spełnił swoją misję i teraz może już podążyć do dalszych wymiarów. Pożegnał się z nimi uroczyście, ze łzami, po czym ciało Charlie zwiotczało. Zwaliła się na podłogę i udawała przez minutę nieprzytomną – dopóki nie przyszło jej do głowy, że mogą wezwać pogotowie i wtedy będzie problem.

Po tym wszystkim nawet najbardziej sceptyczne z przyjaciółek matki częstowały ją ciasteczkami i herbatką ziołową.

Nigdy potem nie zdarzyło jej się już kolejne „nawiedzenie”.

Matka czasami patrzyła na nią dziwnie, ale Charlie starała się nie zwracać na to uwagi. Tymczasem Posey, zazdrosna o względy, jakie Charlie sobie pozyskała, zaczęła się zajmować tarotem i ćwiczyć znaczące spojrzenia. Charlie natomiast miała wrażenie, że zostały jej już tylko najmniej atrakcyjne części osobowości, a całą resztę bezpowrotnie utraciła.

4

WIĘCEJ KAWY

Jaskrawy blask poranku rozświetlał kuchnię. Lucypurr siedziała w zlewku, przednimi łapkami opierała się o brudny talerz, zlizywała krople z ciekącego kranu.

Charlie naląka kawy, dostrzegła błysk w zaczerwienionych oczach Posey i zauważyła, jak jej siostra nerwowo podryguje nogą pod stołem. Ciągle była w tej samej piżamie, włożyła tylko na nogi papucie w kształcie jednorożców z szarego futerka.

– W ogóle nie spałaś? – spytała Charlie, chociaż odpowiedź na to pytanie była oczywista.

– Znalazłam nowy kanał.

Ton głosu Posey wskazywał, że oczekuje sprzeciwu ze strony Charlie.

Na stronach odwiedzanych przez Posey i w filmach, których szukała po internecie, można było znaleźć niebezpieczne informacje o tym, jak przebudzić swój cień, co stanowiło pierwszy krok do zostania umbromantą.

Większość tekstów wyskakujących w wyszukiwarce odnośnie do magii cienia dotyczyła jego modyfikacji i najczęściej opatrzone były sensacyjnymi nagłówkami w rodzaju *Hollywoodzka gwiazda zapoczątkowuje nowy trend w dziedzinie cienia. Jak raz na zawsze pozbyć się apetytu na niezdrowe pożywienie? Przydatne modyfikacje cienia dla młodych matek. Czy usunięcie pożądania to nowa lobotomia?* W takich artykułach umbromantów przedstawiano jako dostawców. Dilerów. Sprzedawców magii. Świętych Mikołajów przynoszących magię w prezencie.

Celebryci coraz częściej dokonywali modyfikacji cienia, stało się to po prostu modne i robili to równie często, jak niektórzy zmieniają fryzury. Pojawiali się na dorocznym balu charytatywnym w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku wyposażeni w cienie o kształtach smoków, łabędzi czy kotowatych drapieźników. Jednocześnie ich emocje były zaprogramowane w taki sposób, by lepiej odgrywali swoje role czy też tworzyli bardziej porywające piosenki.

Zdarzało się co prawda, że ktoś się zagłodził na śmierć albo skoczył z mostu, albo utracił tak wiele ze swojej osobowości, że poruszał się jakby w niebycie, ale co z tego? Jeśli cień ulegał zniszczeniu, przeszczep się nie przyjmował czy zanikał, bogaci zawsze mogli kupić nowy.

Jednak gdy ktoś sobie zadał trud przekopania się przez gąszcz linków i artykułów, to oprócz plotkarskiego bełkotu można było dotrzeć do różnych teorii na temat umbromancji. Pewien naukowiec z Helmholtz Research Centres w szeroko cytowanym wywiadzie dla „New Yorkera” stwierdził: „Cień działa na takiej zasadzie jak cienie umarłych u Homera, potrzebuje krwi, by się przebudzić”. Jednak od pewnego czasu już niemal każdy instruktor wellness czy inny czarodziej z bożej łaski miał swoje sposoby, na YouTubie i TikToku zaroilo się od kursów i poradników. *Jak ból obudził mój cień. Przebudzenie cienia po bójkę na pięści. Zdolności magiczne odkryte dzięki podtopieniu. Bezpieczne techniki podduszania przy użyciu plastikowej torebki – gwarantowane rezultaty.* W przepastnych głębiach 8kun pojawiały się jeszcze dziwniejsze i jeszcze niebezpieczniejsze koncepcje.

Charlie jeszcze pamiętała czasy, kiedy magia wydawała się niemożliwa. A potem zamęt, kiedy nikt na pewno nie wiedział, co jest realne, a co nie. Posey tymczasem bezpośrednio z dziecięcej wiary w magię przeskoczyła do świata, w którym te czary były czymś zupełnie rzeczywistym, z tym że akurat dla niej niedostępnym.

Charlie była przekonana, że nigdy nie zapomni, jak kiedyś weszła do łazienki i ujrzała siostrę siedzącą na podłodze przy wannie do połowy wypełnionej kostkami lodu. Owinięta ręcznikiem Posey była sina, szczykała zębami i zdołała tylko wyjąkać: „Za krótko wytrzymałam”. Charlie błagała ją, żeby nigdy więcej czegoś podobnego nie próbowała.

Zamiast tego Posey zrobiła sobie kolczyk w języku, przywiązała do niego grubą żyłkę i rozpoczęła powolny i z pewnością bolesny proces rozdawania. Podobno jeśli ktoś zdołał opanować sztukę posługiwania się mięśniami po obu stronach języka jednocześnie, wytwarzało to w mózgu „dwoistą świadomość”. Drugą cechą niezbędną każdemu umbromancie – po przebudzeniu cienia.

O ile Charlie mogła się zorientować, Posey zaczęła od tego tylko lekko seplenić.

Charlie ziewnęła, sprawdziła wiadomości na obu telefonach. Ten prawdziwy wyświetlił jej zaproszenie na barbecue od Laury, jej najlepszej przyjaciółki ze szkoły średniej, która teraz miała trójkę dzieciaków i raczej mało czasu. Prośbę, by wystąpiła jako barmanka na weselu w domu innej przyjaciółki. Spam ze sklepu z talizmanami, wyprzedaż onyksowej biżuterii.

Zajrzała do drugiego telefonu. Spróbowała raz jeszcze, napisała do Adama kolejną wiadomość:

Czy możemy się spotkać? Zależy mi na dyskrecji. Nie chcę, żeby widziano nas razem.

To miała być taka sprytna przynęta. Kiedy zdradzi, gdzie się znajduje, już po nim. Doreen będzie mogła wkroczyć na scenę, narobić jazgotu i zawlec go do domu.

Gdyby tylko dało się tak łatwo załatwić sprawę z Posey. Jednak w tym przypadku żaden kant, włam, czy przekręt nie mógł już chyba pomóc.

Jutro?

Kłopot polegał na tym, że nie miała samochodu, mogło być trudno.

Jasne – odpisała Charlie. – Najlepiej rano.

Rano odpada.

Zacisnęła zęby. Nie wiedząc, kiedy dojdzie do spotkania, musiała wyznaczyć jakieś miejsce, a ponieważ udawała umbromantkę Amber, nie mogła przecież mieć innej pracy. Charlie postanowiła więc nie wdawać się w szczegóły.

Jestem zajęta do północy. Możemy się spotkać potem.

Odpowiedział symbolem uniesionego kciuka oraz emoji z przymrużonym okiem. Kiedy Charlie przeczytała kolejną wiadomość z numerem pokoju w hotelu MGM w Springfield, ogarnęło ją coś w rodzaju poczucia winy, tak jakby umawiała się z kimś na schadzkę.

Przecież nie robię niczego złego – zapewniła w myślach samą siebie.

No dobrze, robiła coś złego. Tyle że nie to, co ktoś mógłby pomyśleć.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytała Posey.

– Oczywiście – zapewniła ją niezgodnie z prawdą Charlie.

Posey kopnęła stopą w kapciu nogę jej krzesła.

– Akurat. No więc widziałam film, w którym ludzie biorą ayahuascę i potem szaman pokazuje im, jak obudzić swój cień. Czytałam w paru miejscach, że to naprawdę działa. No i znam kogoś, kto ma dostęp do domu nad jeziorem Quinsigamond, chcemy tam urządzić taki seans. O ile ktoś zdobędzie DMT.

Charlie uniosła brwi.

– Od tego się rzyga przez całą noc. I nie tylko rzyga.

Posey wzruszyła ramionami.

– Możesz załatwić?

– DMT? – spytała Charlie, zastanawiając się jednocześnie, jak bardzo zły jest ten pomysł. – Nie wydaje mi się. Popytaj w pobliżu Hampshire College. Jeżeli ktoś tym diluje w naszej okolicy, to na pewno tam. Albo jak już zaczniesz studia, to pogadaj z kimś od chemii czy biologii, może ci to wyprodukuje w laboratorium.

Siostra Charlie większość ostatnich kilku lat spędziła na reddicie, śledząc wątki, oglądając filmiki i aż po świt dyskutując na chatach z innymi niedoszłymi umbromantami. Ostatnio jednak jej się pogorszyło. Nie spała przez kilka nocy z rzędu, całymi tygodniami nie wychodziła z domu. Popadała w coraz większe przygnębienie, bo jej cień uparcie odmawiał przebudzenia. Zabrnęła tak daleko, że Charlie zaczynała mieć wątpliwości, czy to, co miało być króliczą norą z *Alicji w Krainie Czarów*, nie okaże się dożywociem w lochu.

Właśnie dlatego tak bardzo jej zależało, żeby Posey poszła na studia. Na UMass, czyli Uniwersytecie Massachusetts, mogła sobie studiować umbrologię, ucząc się od prawdziwych profesorów, a nie świrów z internetu. Może nawet zainteresowałaby się czymś innym.

Jedynym problemem były masa formularzy, wysoki koszt studiów oraz nieoczekiwane dodatkowe opłaty. Charlie udało się uskładać większość potrzebnych pieniędzy, ale nie wszystko. Mogła jednak zarobić resztę, gdyby ten brat Doreen spełnił pokładane w nim nadzieje i pozwolił jej nieco zyskać na czasie.

Charlie nic lepszego niż studia nie potrafiła wymyślić, uznała więc, że zrobiła, co mogła, czasem tylko dopadały ją wyrzuty sumienia i nalegała, żeby siostra wcześniej kładła się spać. Tak jakby jej problemem była bezsenność. Jakby obie nie wiedziały, że Posey pije całe wiadra kawy oraz energetyków i może jeszcze łyka adderall, żeby pokonać zmęczenie. Cóż, taki trening przyda się na studiach.

Charlie miała paskudne przecucie, że jej siostra wpadła już pomysł, skąd wytrzasnąć to DMT, i będzie się to wiązało z jakąś kradzieżą. A konkretniej z tym, że Charlie ma coś ukraść.

Komórka Posey brzęknęła, dziewczyna zajrzała do niej, dzięki czemu Charlie miała chwilę dla siebie na delektowanie się kawą. Czuła, że kawa będzie jej bardzo potrzebna.

– Mama wyciągnęła dzisiaj siódemkę kielichów – burknęła Posey, pokazała telefon, tak żeby również Charlie mogła zobaczyć fotkę mamy z kartą tarota w dłoni.

Karta osoby śniącej na jawie, poszukiwacza. Ich matka mieszkała teraz w motelu wynajmującym apartamenty na dłuższe okresy. Z nowym facetem, ale w jej życiu zawsze był nowy facet. Chętnie korzystała z usług Posey jako wróżbitki, bo dla rodziny usługi były darmowe.

Charlie zignorowała znajome poczucie winy, stępione z czasem, ale nigdy się go całkowicie nie wyzbyła.

– I co jej powiesz?

Posey się nadąsała.

– A co cię to obchodzi? Przecież i tak nie wierzysz, że wiem, o czym mówię.

Słyszając ton jej głosu, Lucypurr wyjrzała ze zlewu i syknęła.

– Nieprawda, nie bądź taka – odpowiedziała Charlie. – Poza tym drażnisz kotkę. Ona nie cierpi kłótni.

Posey nie słuchała.

– Chyba istnieje jakiś powód, dla którego obcina się ludziom cienie i potem sprzedaje. Każdy chce magii. Nie tylko ja.

Charlie machinalnie spojrzała w stronę łazienki, gdzie Vince brał prysznic. Zniżyła głos.

– Przecież cię nie krytykuję. Wpadasz w jakąś popierdoloną paranoję.

Kiedy Charlie była mała, ktoś podarował jej na urodziny zestaw małego magika. Była tam chusteczka, którą można było wywrócić na lewą stronę, żeby zmieniła kolor. Kapelusz z podwójnym dnem. Talia znaczonych kart. Ćwiczyła długo i wytrwale. Tyle że to też był kant, ale innego rodzaju. Czy może innego rodzaju kłamstwo.

A więc oczywiście, że Charlie wiedziała, co to znaczy marzyć o magii.

Posey przyciągnęła do siebie laptop.

– Coś ci pokażę.

Charlie wypięła jeszcze łyk kawy i zaczęła układać w stosik rozrzuconą na stole pocztę. Katalogi, rachunek za prąd, rachunek za gaz, rachunek za telefon, kolejny list ze szpitala z czerwonym nadrukiem i aż trzy od komornika. Suma rosła z każdym miesiącem, bo dochodziły odsetki. Do tego jeszcze trzeba było doliczyć naprawę toyoty corolli z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, i to zanim ją odholują. Jednak przede wszystkim Posey.

– Pomyśl o tych zatuszowanych skandalach – odezwała się siostra Charlie. – O testowaniu promieniowania na martwych niemowlętach. O tym, jak zmuszano wytwórców składników używanych do pędzenia nielegalnego alkoholu w czasie prohibicji do ich zatruwania. I to nie tylko nasz rząd czy jakieś inne rządy. Firmy. Instytucje. Jeżeli znają jakiś sposób, żeby przebudzić cień, na pewno go zataili.

Posey odwróciła w jej stronę komputer z włączonym filmem. Grupa nastolatków zakradła się do szpitala. Podpis głosił, że to autentyczny zapis z monitoringu, bez wprowadzania żadnych zmian. Oczy tych dzieciaków świeciły na zielono w podczerwieni. Dziwnie to wszystko wyglądało, chichotali obok śpiących pacjentów, poruszając jednocześnie palcami, jakby grali w „kamień, papier, nożyce” – tylko za każdym razem pokazywali nożyce, jeszcze raz i jeszcze raz.

– Do czego oni używają tych wszystkich cieni? – zastanawiała się Posey. – Muszą mieć jakiś sposób, żeby je budzić.

Charlie spoglądała na ekran ze zmarszczonym czołem. Film nie zrobił na niej specjalnego wrażenia. Nie była też najlepszego zdania o złodziejach cieni. W świecie

magicznej przestępczości to były najgorsze szumowiny. O ile się orientowała, potem dilerzy cieni sprzedawali je ludziom, którzy własny cień utracili w wyniku zbyt licznych modyfikacji albo przy okazji jakichś eksperymentów. Charlie uważała, że gdyby ktoś naprawdę wiedział, jak można przebudzić cień, to raczej nie zachowałby tej informacji dla siebie, tylko pławiliby się w morzu pieniędzy, które mógłby dzięki tej wiedzy zdobyć.

– Słyszałaś kiedyś o podartych cieniach? – spytała siostrę, częściowo dlatego, że istotnie chciała się dowiedzieć, a częściowo, żeby zmienić temat.

Posey znów się naburmuszyła.

– Co?

– Widziałam taki cień, wczoraj w nocy. To było... Zresztą nie wiem. Wyglądało, jakby dostał się do niszczarki czy coś. I był tam taki facet...

Posey popatrzyła na nią tak dziwnie, że Charlie urwała w pół zdania. Posey, która gotowa była uwierzyć we wszystko, co znalazła w necie, najwyraźniej nie wierzyła własnej siostrze. Charlie sama wolałaby uwierzyć, że ten cień to była tak naprawdę podarta plastikowa torba, a tamten facet po prostu miał szare rękawiczki... Ale Charlie dobrze wiedziała, co widziała na własne oczy.

– Pewnie ktoś próbował go odciąć – odezwała się po chwili Posey. – Mówi się, że kiedy ciało utraci cień, to jakby odjęto mu duszę. – Zniżyła głos do szeptu. – A przecież wiesz, że Vince...

– Oj, daj spokój – przerwała jej Charlie. – Przecież ma, kurwa, duszę.

– Ale coś z nim jest nie tak – upierała się Posey. – W przeciwnym razie nie mógłby wykonywać takiej parszywej roboty.

Vince zajmował się sprzątaniami pokoi hotelowych, w których wydarzyło się coś, po czym zostało dużo krwi, albo leżały zwłoki – po bójkach na noże, strzelaninach, przedawkowaniach narkotyków. Jego szef załatwiał zlecenia, po czym przekazywał je trójce swoich pracowników: Winnie, starszej kobiecie, która miała już dorosłe dzieci, a przedtem pracowała jako zawodowy klaun; Craigowi, który postanowił popracować w ten sposób przez rok, bo zamierzał zdawać do szkoły Toma Saviniego, żeby studiować efekty specjalne, i chciał wiedzieć, jak to wszystko naprawdę wygląda. No i Vince'owi.

– Akurat co do gównianej pracy, to chyba ty nie powinnaś się na ten temat wypowiadać – zauważyła Charlie.

Posey nie zwróciła na to uwagi.

– Jest zbyt spokojny. I myślę, że skłamał, jeśli chodzi o francuski.

Charlie zaśmiała się, zaskoczona tak absurdalnym zarzutem i powagą, z jaką Posey go wypowiedziała.

– Co takiego?

– Oglądaliśmy telewizję i w pewnym momencie jeden z bohaterów powiedział coś po francusku, a on się zaśmiał, zanim pojawił się napis z tłumaczeniem. I to nie było żadne *bonjour* czy coś w tym rodzaju. On zrozumiał cały dowcip po francusku – wyjaśniła Posey.

– Może uczył się w szkole. I co z tego?

Posey potrząsnęła głową.

– Nikt nie pamięta języka, którego się uczył w szkole.

– Nie wiem, co ci w nim przeszkadza – odpowiedziała Charlie, rozkładając ręce. – I obawiam się, że ty też tego nie wiesz.

– Jasne, że jest przystojny, ale sama wiesz, że czegoś mu brakuje. Zresztą w tajemnicy przed nim piszesz esemesy do innych facetów. – Posey zgarnęła ze stołu komórkę Charlie. – O, właśnie! *Ach, Adamie, spotkajmy się gdzieś na osobności.*

– Oddawaj! – Charlie wyrwała jej telefon.

– Przyznaj, najbardziej u Vince’a podoba ci się to, że przymyka oko na twoje sprawy.

Nim Charlie zdążyła cokolwiek wytłumaczyć, rozległy się ciężkie kroki Vince’a. Miał mokre włosy, koszula opinała jego muskularne ramiona, szare oczy połyskiwały zielenią.

Posey wstała, przepchnęła się obok niego z laptopem pod pachą. Nie można powiedzieć, żeby zrobiła to z jakimkolwiek wyczuciem, bo po prostu odepchnęła Vince’a ramieniem.

Vince tylko uniósł brwi.

– Może się wreszcie położy? – spytał i nalał sobie kawy.

– Mam nadzieję.

Charlie odwróciła wzrok. Nie miała pojęcia, co usłyszał i czy podejmie temat. Co może powiedzieć, jeśli gniew rozwiąże mu język? Czy oznajmi, że chciałby być gdzie indziej i z kim innym? Że z nią jest tylko tak na przeczekanie? Czy przestanie być taki troskliwy?

Charlie Hall i jej wewnętrzny perwersyjny chochlik. Taka zadowolona z prostego związku bez komplikacji i zawsze gotowa sprawdzić, czy nie da się wszystkiego pogmatwać.

Niewiele myśląc, sięgnęła po telefon, przetłumaczyła pytanie na francuski.

– *Voulez-vous plus de café?* – spytała, dukając nieudolnie.

Popatrzył na nią z niepokojem, co nietrudno było zrozumieć, bo wydała z siebie jakiś bełkot.

– Co?

Charlie pokręciła głową, zdała sobie sprawę, że zrobiła z siebie idiotkę.

– Nic, nic.

– Może pojedziemy rzucić okiem na twój samochód – zaproponował, po czym upił spory łyk z kubka.

Charlie przygryzła wargę.

– Dobrze. Pewnie.

Vince jeździł białym vanem, w którym przerdzewiały fragmenty karoserii zamalował farbą do ścian. Mógł być równie stary jak wóz Charlie i istniało prawdopodobieństwo, że także wyzionie ducha w nieodpowiednim momencie, ale jak dotąd tego nie zrobił.

Siadła na miejscu pasażera. W stojaku pośrodku tkwił stary styropianowy kubek z Dunkin' Donuts, obok niego tkwiła ładowarka podłączona do telefonu na kartę, którym Vince zawsze się posługiwał, opodal leżało poźółkłe kieszonkowe wydanie *Cry of Evil* ze śliczną panią na okładce trzymającą spluwę w pozycji tyleż niestrzeleckiej co seksownej. Na lusterku wisiała choinka zapachowa, która zaledwie dodawała nikły odcień limonki do agresywnej woni chlorku, octu i lizolu.

Vince patrzył przed siebie, na drogę. Charlie spoglądała na jego profil. Na zarys szczęki. Ręce na kierownicy.

– Wydaje mi się – powiedziała – że wczoraj wieczorem widziałam zwłoki.

Zerknął w jej stronę.

– I o to się dzisiaj pokłóciłyście z siostrą?

– Wcale się nie... – zaczęła, po czym urwała. – Posey po prostu potrzebuje kogoś, na kogo mogłaby nawrzeszczyć. Jest nabuzowana od kofeiny i z niewyspania. Poza tym widziała film o dzieciakach, które włamały się do szpitala, i to ją wyprowadziło z równowagi.

Vince nie sprawiał wrażenia, jakby całkowicie jej uwierzył.

– A gdzie widziałaś te zwłoki?

– Po drodze do domu.

Znowu spojrzał w jej stronę, tym razem dłużej.

– Szłaś na piechotę?

– Nic się nie stało – stwierdziła, kiedy już zajeżdżał na pusty parking baru. – To było po prostu takie dziwne wrażenie. Nigdy przedtem nie widziałam trupa.

Człowiek, który wykonywał taką pracę jak on, musiał już ich widzieć mnóstwo. Nie próbował się jednak wywyższać, nie wspomniał o tym ani słowem.

Nie powiedział jej też, że nocą nie powinna wracać do domu sama i na piechotę, ani nie próbował wymóc na niej obietnicy, że nigdy więcej tak nie postąpi. Nigdy nie mówił jej, co ma robić ani co ma na siebie włożyć – nawiasem mówiąc, miała na sobie

ekstremalnie nudny czarny T-shirt w serek, czarne dżinsy i vansy w kratę – no i oczywiście to dobrze. Tyle że ona czasem miałaby ochotę z kimś się pospierać. Pewnie tak samo jak Posey, potrzebowała kogoś, na kogo mogłaby nakrzyczeć. Albo kto na nią by nakrzyczał.

Charlie starała się nie iść za tym impulsem.

Odwróciła się na fotelu, zwiesiła nogi za otwarte drzwi vana. Vince tymczasem otworzył przednią klapę corolli. Najpierw trochę grzebał w środku, potem siadł za kierownicą i spróbował odpalić. Silnik nawet nie drgnął.

– Jak myślisz, co padło?

– Chyba rozrusznik – odpowiedział, marszcząc czoło.

Czuła się głupio, przyglądając się bezczynnie, chociaż o samochodach nie miała praktycznie żadnego pojęcia.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Potrząsnął głową.

– Nie, w tej chwili nie.

Obserwowała go przy pracy, a właściwie przyglądała się jego ciału. Dostrzegła pewność jego dłoni. I to, że jakby rzucał wyzwanie słonecznemu blaskowi, bo jego cień nie kładł się na ziemię.

Charlie znała dziewczynę z sąsiedztwa, która po prostu sprzedawała swój cień. Tańczyła na rurze w knajpie niezbyt życzliwie nazywanej przez tubylców „Balety”. Kończyła swoją zmianę o tej samej porze co Charlie, więc nieraz wpadały na siebie w nielicznych już otwartych nocą miejscach, gdzie można było coś przekąsić.

– Słuchaj, on mi zapłacił aż pięć kawałków – zwierzyła jej się Linda szeptem, z wyrazem twarzy, który trudno było rozszyfrować. – A przecież na nic mi nie był potrzebny.

– Ale kto ci zapłacił? – spytała wtedy Charlie, racząc się bardzo tłustą jajecznicą.

– Nigdy przedtem tego faceta nie widziałam. Kupił lap dance i to wtedy złożył propozycję. Najpierw go wyśmiałam, ale on to mówił na poważnie. Zapewnił, że zna kogoś, kto chce właśnie takiego cienia jak mój.

W knajpie panował półmrok, a Linda siedziała. I nie widać było, żeby jej czegoś brakowało.

– A jak ci z tym, że już nie masz cienia? – zagadnęła ją Charlie, zerkając odruchowo na nieostry kontur swojego.

– Wiesz, jakie to uczucie, kiedy masz jakieś słowo na końcu języka, ale nie możesz go sobie przypomnieć? To coś podobnego. Było we mnie coś, czego już nie ma, ale nie wiem, co to było. Chyba nawet mi tego nie brakuje, ale mam wrażenie, że powinno.

Za każdym razem, kiedy Charlie przypominała sobie tę rozmowę, zastanawiała się, czy Vince także się tak czuje. Jednak kiedy go spytała, odpowiedział, że nie pamięta, jak było przedtem. Na pytanie, czy chciałby mieć nowy cień, odpowiedział, że na nic mu nie jest potrzebny.

Charlie sprawdziła wiadomości na jednorazowym telefonie, szukając jakiegokolwiek wzmianki o zwłokach znalezionych w Easthampton. Nic, ani słowa, chociaż kronika kryminalna tej okolicy była tak nieciekawa, że odnotowywała nawet kradzieże sklepowe i zatrzymania pijanych studentów. Kim był ten zabity? I czy naprawdę ukradł księgę Lionelowi Saltowi?

Nazwisko bogatego skurwiela figurowało na samym szczycie list fundatorów różnych muzeów, instytucji charytatywnych i biegów na cele dobroczynne. Dzieciaki powtarzały sobie, jak to kiedyś widziały samochód Salta sunący taką czy inną ulicą – był to srebrny i matowoczarny Rolls-Royce Phantom Mansory Conquistador – tę nazwę jej koledzy powtarzali sobie w całości z takim upodobaniem i tak często, że utkwiała jej w głowie niczym natrętna melodyjka jakiegoś przeboju.

Jednak mało kto miał okazję obejrzeć wnętrze domostwa Salta, siedzibę rodem z horrorów – czy przyglądać się, jak kogoś truje w nadziei, że uda mu się skraść przebudzony cień. Powiada się, że bogaczy obowiązują inne zasady, ale Lionel Salt nie przestrzegał po prostu żadnych reguł. Już sama myśl o nim wprawiała Charlie w zdenerwowanie.

Wolała już zastanawiać się nad tym zamordowanym facetem. Za swojego burbona zapłacił kartą, a to znaczyło, że gdzieś w biurze Odette jest rachunek z jego nazwiskiem. Wiedząc, jak się nazywał, będzie można popytać tu i tam. Dowiedzieć się, w co się wpakował.

Zabuczał jej telefon, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że to ten jednorazowy. A więc Adam.

Nie rozmawialiśmy jeszcze o wynagrodzeniu.

Właśnie dlatego Adam potrzebował Balthazara jako pośrednika. Nie aby zachować anonimowość, tylko dlatego, że Balthazar potrafił bezzwłocznie wyegzekwować gotówkę od klienta.

Ponieważ i tak nie miała zamiaru mu zapłacić, mogła obiecać każdą sumę. Pomyślała jednak, że wykorzysta okazję i spróbuje się dowiedzieć, na ile jest uzależniony od blisa.

Może mogę coś dla ciebie załatwić?

Odpowiedź na jej esemesa nadeszła prawie natychmiast.

Jakiego rodzaju masz powiązania?

Zaskoczył tym Charlie. Spodziewała się, że dalszy ciąg wymiany zdań będzie dotyczył blisa, a najwyraźniej chodziło o coś zupełnie innego. Ale o co?

Znam sporo różnych ludzi.

Tym razem potrwało chwilę, nim odpisał, i nic dziwnego, bo wiadomość była długa.

Jest coś, co muszę załatwić. Gruba sprawa i nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że się tym zajmuję. Jeśli weźmiesz to na siebie, dostaniesz swoją rzecz za darmo.

Za zlecenie takie jak to, które mu proponowała, mógł spokojnie zaśpiewać tysiąc, może nawet i dwa tysiące, gdyby klientowi wyjątkowo zależało. Co takiego miał Adam do ukrycia? Jakkolwiek by na to patrzeć, nie zaliczał się do szczególnie uzdolnionych złodziei. A do załatwiania spraw za niego miał Balthazara.

Czemu nie. A z kim robisz ten deal?

Teraz odpowiedź nadeszła bardzo szybko.

Wystarczy, że porozmawiasz przez hotelowy telefon. Powiem ci, co masz mówić.

Charlie zauważyła, że Vince na nią patrzy. Niedbałym ruchem schowała telefon do kieszeni.

– Skąd się znasz na samochodach?

– Mówiłem ci, że mój dziadek to był facet z zasadami, prawda? – odpowiedział Vince, znów skupiony na wnętrznościach corolli. – Nauczył mnie wielu różnych rzeczy. Wierzył, że praca uszlachetnia i to niezależnie od wieku. Żadnych wykrętów. No i miał limuzynę, która czasem się psuła.

– To znaczy, że był szoferem? – spytała Charlie. – Pozwalał ci czasami przejechać się z tyłu?

Vince wzruszył ramionami.

– Zawiózł mnie pierwszego dnia liceum pod samą szkołę. Wszyscy gapili się na mnie, jakbym naprawdę był kimś.

Próbowała go sobie wyobrazić w tym wieku. Czy był wiecznie głodnym chudzielcem, który pochłaniał dwa obiady i nadal było mu za mało? Nieśmiałym chłopakiem, który siedział w ostatniej ławce i czytał komiksy? Prymusem? Nic z tego do niego nie pasowało.

– Na mnie w tych czasach nikt by tak nie spojrział – stwierdziła Charlie, trąciła stopą drzwi samochodu. – Byłam wtedy niezłym dziwadłem.

Cycki jej urosły, kiedy miała dziesięć lat, nie mieściły się w biustonoszach z Walmarta. Od tego czasu starała się nie rzucać nikomu w oczy. Dopiero w szkole średniej znalazła sposoby, żeby jej się bano. Zbyt obszerne ciuchy, sporo makijażu i włosy opadające na twarz. Z butów Frankensteina, które nosiła, aż odpadły podeszwy.

Vince zerknął na nią spod przymrużonych powiek, tak jakby miał zażartować. Powiedział jednak tylko:

– Lubię dziwadła. – Po czym zajął się odłączaniem jakiegoś kabla w samochodzie.

Co on tam mógł wiedzieć.

Chwilę potem zajechał na parking lśniący fioletem mini cooper Odette. Wsiadła, powiewając obszerną czarną suknią. Zblakłe tatuaże na zwiotczącej cerze, ciężkie srebrne kolczyki w wargach i na policzkach aż do uszu jednoznacznie dawały do zrozumienia, że była ostrą zawodniczką, kiedy oni jeszcze robili w pieluchy.

Zbliżyła się do nich, machnęła dłonią okrytą rękawiczką wyposażoną w metalowe szpony u czubków palców.

– Ale z ciebie ciacho – orzekła Odette, zmierzywszy Vincenta wzrokiem. Jej spojrzenie nie powędrowało na asfalt, w miejsce jego cienia.

Vince otarł dłoń o spodnie.

– Vince – przedstawił się. – A ty musisz być Odette. Dużo o tobie słyszałem.

Charlie zastanowiła się, co jej szefowa widzi, patrząc na niego. Brudne paznokcie, bo majstrował przy samochodzie. Gęste ciemnoblonde włosy opadające na twarz. Szare oczy, które w złym świetle wyglądały na zapadnięte. Przystojny, barczysty facet o mocnej szczęce, jakby zaprzeczenie zepsucia i rozpusty. Wystarczająco przystojny, żeby drażniło Charlie, kiedy ludzie na niego patrzyli, potem patrzyli na nią i wyciągali mało dla niej pochlebne konkluzje.

Odette podała mu dłoń niczym królowa przyjmująca hołd rycerza.

– Mam nadzieję, że same złe rzeczy.

– Przeokropne – zapewnił z uśmiechem.

Odette puściła oko do Charlie.

– Cicha woda brzegi rwie – stwierdziła.

Po czym poszła do baru.

Vince już prawie kończył, kiedy pod Rapture zaparkował lexus, najdalej od nich, jak tylko się dało. Wsiadł z niego siwowłosy mężczyzna w lustrzanych okularach. Miał sportową marynarkę i nieskazitelne mokasyny.

– Ten facet chyba zabłądził? – zdziwił się Vince.

– Ten facet to klient – wyjaśniła Charlie.

Odette ciągle jeszcze kilku przyjmowała.

– Aha.

Mężczyzna musiał ich minąć po drodze do głównego wejścia. Nerwowo zerkał w ich stronę.

– Niektórych koleś wiąże już od czterdziestu lat – wyjaśniła szeptem Charlie.

Czyli o dziesięć lat z kawałkiem dłużej niż ona sama żyła na tym świecie.

– Kasiasty – stwierdził Vince.

– O, na pewno – przytaknęła Charlie. – Zabawne. Każdy z nich jest inny, niżby się człowiek spodziewał. Taki koleś wygląda jak poważany biznesmen, który ma zimowy dom na Florydzie, pokazuje fotki wnuków, głośuje na republikanów. Ma na etacie specjalnego pomroka, który śledzi i kabluje na pracowników, ale nie ma odwagi spojrzeć im w oczy.

Vince zmrużył powieki.

– Ma zegarek Vacheron Constantin. Stać go na pomroka.

Charlie się skrzywiła.

– Mam nadzieję, że Odette porządnie go wybatoży.

Vince wrócił do silnika, a Charlie oddała się obserwacji roju much nad parkingiem. Pomału robiło się już późno i nagle do niej dotarło, że Vince rozpoznał zegarek marki tak drogiej, że nigdy o niej nie słyszała. A może jego dziadek rzeczywiście był szoferem i po prostu woził bogatych ludzi. Może Vince widywał różne rzeczy pozostawione w pokojach hotelowych. Drażniło ją, że Vince ma przed nią jakieś tajemnice, chociaż ona sama kryła ich tak wiele. Chodziło jednak o to, żeby on nie był taki jak ona.

– Opowiedz mi o jakichś innych klientach Odette – zaproponował. – A ja tu będę dalej dłubał.

Vince uwielbiał plotki, nawet o ludziach, których nie znał. Mało kto by się tego spodziewał po milczącym mężczyźnie jego wzrostu, ale słuchał uważnie i komentował, tak jakby te opowiadki miały jakieś znaczenie. A potem pamiętał szczegóły. Czasem Charlie wolałaby, żeby nie miał takiej dobrej pamięci. Obawiała się, że przez to ją przejrzy i kiedyś się domyśli, dlaczego tak naprawdę wycofała się z gry.

Umbromanci nie przychodzili na świat z zasobem tajemnej wiedzy, nabywali ją dzięki zapiskom dotyczącym technik i eksperymentów przeprowadzonych na przestrzeni stuleci przez innych pomroków. Początkowo wszystko to digitalizowano i udostępniano w ogromnej i bezpłatnej bibliotece online, potem jednak ludzie zaczęli ładować zhakowane wersje.

Bibliotekę zlikwidowano po tym, jak ktoś tam wrzucił skan dzieła *CosmometriaGnomonica*, w którym szczegółowo opisywano, jak umbromanta może zyskać moc, przekraczając swoje ograniczenia, dostarczając swojemu cieniowi strumienia energii życiowej. Około trzydziestu umbromantów zmarło, nim stało się jasne, że w pedeeffie zabrakło ostatniej i najważniejszej części – instrukcji, w jaki sposób wyliczyć, jak wiele stanowi zbyt wiele, a więc kiedy przerwać.

Od tego czasu umbromanci zazdrośnie strzegli swojej wiedzy, a zarazem odnosili się z najwyższą podejrzliwością do wszystkiego, czego się nie dało zweryfikować. W ten sposób zajęcie zyskali ludzie tacy jak Charlie, ponieważ niezwykle poszukiwane stały się oryginały.

Trochę strach było pracować dla ludzi, którzy byli w stanie oderwać kawałek jej osobowości. Zdarzyło się raz, że pomrok ją przyłapał i zmienił cień Charlie w taki sposób, że przez dobry tydzień siedziała schowana w szafie i trzęsa się ze strachu.

Oprócz ryzyka było jeszcze to, że w celu dokonywania przekrętów musiała stawać się ciągle nowymi osobami. Kiedy odpoczywała między jednym a drugim zleceniem, czasami już nie bardzo wiedziała, kim jest tak naprawdę. Robiła więc sobie następny tatuaż, bo wydawało jej się, że w ten sposób jakoś się ukorzenia. Zalewała się w trupa. Znajdowała sobie kogoś, kto łamał jej serce. Przepuszczała stosy pieniędzy, trochę z tego odkładała, po czym następowała kolejna robota.

Wszystko się skończyło, kiedy ukradła księgę dla Vicereine, szefowej lokalnego gangu modyfikatorów, którzy sami siebie nazywali Artystami. To był cenny memuar z dziewiętnastego wieku, który niełatwo było wyrwać z łap pewnego kolesia w Albany, ten zaś z kolei ukradł go jednemu facetowi w Atlancie. Charlie zajęło miesiąc, żeby wkręcić się w odpowiednie towarzystwo i dorwać księgę.

A potem pewien tchórzliwy gnój, ówczesny chłopak Charlie noszący imię Mark, postanowił zhandlować manuskrypt na własną rękę. W tajemnicy przed Charlie dogadał się z innym gangiem, w dodatku na sumę dużo mniejszą, niż ta księga była warta. Podobnie jak Posey, chciał przebudzić swój cień, więc gotów był uwierzyć, że umbromanci są w stanie mu pomóc.

Charlie mogła po prostu wygarnąć Markowi, że połapała się, co knuje, i kopnąć go w dupę. Ale nie, Charlie koniecznie musiała udowodnić całemu światu, że jest najlepsza.

Podczas próby wymiany Mark poniewczasie odkrył, że strony księgi są puste. Charlie pracowicie zdjęła okładkę i wkleiła do niej zeszyt w linie z Targetu. Za tę obelgę urznęli Markowi cień i wszystkie palce prawej ręki. A Mark był muzykiem.

Charlie próbowała sobie wmówić, że zasłużył, że to nie jej wina. Mimo to popadła w ciężką depresję i serdecznie się znienawidziła.

Pracowała wówczas w barze Ten; kiedy kończyła zmianę, wracała do domu i padała na łóżko, dopóki nie trzeba było znowu iść na szychę. Była zbyt wykończona, żeby robić cokolwiek innego. W końcu i tak ją z tej roboty wywalili. Zaczęła więc wydawać oszczędności. Kilka miesięcy później Mark z bratem ostrzelali jej samochód, kiedy zatrzymała się na światłach. Trafiła ją tylko jedna kula, ale to w zupełności wystarczyło. Dwie załatwiły siedzącego na miejscu pasażera faceta, którego sobie poderwała. Zmarł na miejscu.

Przede wszystkim nie dawała jej spokoju myśl, że tam mogła siedzieć Posey.

Mark i jego brat poszli prosto do więzienia i jeszcze długo mieli tam gnić.

A wszystko dlatego, że Charlie chciała się popisać przed samą sobą. Dokonać spektakularnej zemsty. Charlie Hall sięgająca szczytów, kiedy w rzeczywistości sięgała dna. Kiedy próbowała coś stworzyć, rozłaziło jej się to w rękach. Ale żeby coś naprawdę spektakularnie spieprzyć... Dopiero wtedy talent Charlie ujawniał się w swojej pełni.

Kiedy jako tako wróciła do siebie, postanowiła, że to koniec. Nigdy więcej umbromantów, nigdy więcej przekrętów. Koniec z życiem na pełnym gazie. Koniec z narażaniem życia tych, których kochała. Po prostu już nie była w stanie tego robić.

Niedługo potem, jak pozbyła się bandaży, związała się z Vince'em. Kiedy siadł blisko niej przy barze, w pierwszym odruchu miała ochotę uciec, przesiąść się jak najdalej. Miał mocno zarysowaną szczękę, wielkie dłonie i gniewnie nastroszone brwi. Nachylał się nad swoim drinkiem, jakby chciał mu dowalić. Charlie zaś miała za sobą zły dzień złego miesiąca w najgorszym roku swojego życia i słabo jej się robiło na myśl, że ktoś się do niej przyczepi.

Jednak on najpierw stanowczo przywołał barmana, który nie zwracał na nią uwagi, a potem osłaniał ją przed napierającym tłumem. Rozmawiał z nią, ale nie zadawał żadnych niedyskretnych pytań.

Podobał jej się głęboki głos Vince'a i dziwny wyraz jego oczu, tak jasnoszarych, że chwilami wydawały się w ogóle bezbarwne. Doceniała, że nie dowalał się do niej na chama. No i był całkiem, całkiem. Czyli obiektywnie rzecz biorąc, o wiele fajniejszy od wszystkich facetów, którzy jej się zwykle podobali – tych chudzielców o pięknych, smutnych oczach i pociągłej twarzy, którym gęba się nie zamykała. Obiektywnie rzecz biorąc, Vince każdego z nich mógłby lewą ręką złamać na pół.

Być może potrzebowała jakiejś odmiany. Takiego mężczyzny jak plaster nikotynowy. Kogoś, kto stłumiłby jej najgorsze skłonności, przynajmniej na jedną noc.

Kiedy wyszli, delikatnie dotknął tatuażu z róż i skrzydlatych żuków na jej szyi. Jednak gdy zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała, przycisnął ją do ceglanej

ściany z całą mocą, jakiej by mogła pragnąć; wkrótce jego wzrost i siła okazały się nieznaną jej dotąd zaletą.

Zabrała go do siebie do domu, a rano nie zniknął, tylko zrobił kawę. Postawił kubek przy materacu wraz z talerzykiem, na którym znajdował się tylko trochę przypalony na brzegach tost. Może już wtedy trochę się w nim kochała, chociaż z pewnością by się do tego nie przyznała. Powiedział, że szuka jakiejś miejscówki. Może Charlie zna kogoś, kto ma pokój do wynajęcia?

Charlie jednak nigdy nie pozwoliła sobie zapomnieć, że Vince był u niej na wygnaniu. W portfelu nosił swoje zdjęcie z jakąś kobietą, o której nigdy jej nie opowiadał. Przejrzała ten portfel już pierwszej nocy, kiedy spał. Znalazła w nim dziesięć dolarów, prawo jazdy z Minnesoty i tę fotografię, startą od dotykania palcami.

Od czasu do czasu powtarzała ten niecny manewr, tak żeby sprawdzić. I zdjęcie cały czas tam było.

5

NA LEWĄ STRONĘ

Co prawda udało im się doprowadzić corollę do domu – bardzo powoli – ale coś niepokojąco w niej stukało i Vince stwierdził, że prawdopodobnie potrzebna będzie jakaś część, ale zrobiło się już za późno, żeby ją kupić. Powiedział, że podwiezie Charlie na wieczór do Rapture, natomiast chyba nie zdąży wrócić ze swojej roboty na czas, żeby zawieźć ją z powrotem do domu.

Charlie umówiła się więc ze swoją przyjaciółką, Barb, nie chciała już samotnie iść przez puste miasto nocą. Barb pracowała w kuchni wegańskiej restauracji w Northampton. Kończyli tam zamówienia o jedenastej, a zanim nakryto krzesłami ostatni stół, wysprzątało kuchnię i przygotowano wszystko na początek następnego dnia, dochodziła już zwykle pierwsza, czyli akurat w sam raz na koniec zmiany Charlie.

Stała teraz na zewnątrz, otulona kurtką i patrzyła, jak z baru wychodzi Balthazar w towarzystwie Joeya Aspirinsa. Nie potrafiła zapomnieć o bezimiennym zamordowanym mężczyźnie i jego zszarganym cieniu. Nie mogła się nie zastanawiać, czy to nie Balthazar sprzedał gościa Saltowi. Miała nadzieję, że nie. Wolałaby nadal lubić Balthazara.

Kiedy była jeszcze dzieckiem, wyobrażała sobie, jak zapłaci Saltowi za to, co jej zrobił. Ale pomysł takiej zemsty był dziecinadą i odszedł w niebyt razem z jej dzieciństwem. Charlie była praktyczną osobą. Ludzie tacy jak ona nie mogą się odegrać na kimś takim jak Salt.

Mimo wszystko zastanawiała się nad *Liber Noctis*, tą księgą, na której podobno tak mu zależało. Jakie by to było uczucie, dostać w swoje ręce coś, co było dla niego takie ważne. Zyskać w ten sposób nad nim władzę.

Potem Charlie napomniała siebie samą, że przecież nie chce skończyć jako trup w bocznej alejce, a już na pewno nie gdzieś blisko wynajętego domu. Jeśli już koniecznie musieliby ją zamordować, to wolałaby zginąć w Paryżu. Ewentualnie w Tokio.

Natomiast zdecydowanie chciała, żeby siostra poszła na studia, a długi się spłaciły. W każdym razie tego pragnęła chcieć.

„Nie możesz zrezygnować” – powiedział jej Balthazar, kiedy poinformowała go, że nie bierze więcej zleceń. „Za dobra jesteś. I tylko w tym jesteś dobra”.

Charlie poważnie obawiała się, że to ostatnie zdanie było szczerą prawdą.

Z braku lepszego zajęcia wyciągnęła telefon i wstukała „*Liber Noctis*” w okno wyszukiwarki. Pojawiła się wiadomość o aukcji w Sotheby’s.

LIBER NOCTIS. Potocznie zwana Księgą struposzy. To dzieło, którego każda litera została osobno odbita na stronach ze stopu niklu. Powstała w roku tysiąc osiemset trzydziestym pierwszym w Szkocji, jej autor jest nieznany, natomiast księga stanowi jeden z najbardziej istotnych dokumentów dotyczących zjawiska manifestacji bezcielesnych cieni. Istnieje pogłoska, iż w tworzeniu księgi brał udział prawdziwy struposz, co nie zostało oficjalnie potwierdzone, jednak dodaje księdze historycznego znaczenia.

Nota katalogowa: *Sotheby’s nie przyjmuje na siebie odpowiedzialności za wykonywanie przez kupującego jakichkolwiek rytuałów opisanych w księdze i zwróci się do nabywcy o podpisanie dokumentu, na mocy którego zrzeka się wszelkich roszczeń z tego tytułu.*

Licytacja rozpoczyna się od pięciuset dwudziestu tysięcy funtów. Zamieszczono także ilustrację przedstawiającą srebrzyście połyskującą księgę spiętą misternymi klamrami jak stara Biblia. Mało dyskretny gadżet, gdyby go trzeba było schować.

Czy może to ta rzecz, którą posiada Adam i chce coś z nią zrobić? Czy to za nią miałyby wziąć odpowiedzialność Amber?

Barb zajechała niebieściutkim, troszeczkę powgniatanym minivanem, wybijając Charlie z zamyślenia. Opuściła szybę i powitała Charlie szerokim uśmiechem.

– Wsiadaj, pączuszk.

Charlie wrzuciła torebkę na podłogę przed siedzenie obok kierowcy, po czym sama się tam wdrapała. Barbara Panganipan zdecydowanie była jej ulubioną przyjaciółką spośród osób, które poznała na swoim knajpianym szlaku, podejmując i tracąc kolejne prace w różnych punktach Doliny.

– Będzie dziś u mnie trochę ludzi – oznajmiła Barb, wycofując wóz. Jej gęste czarne włosy były gładko zaczesane pod oliwkową chustą, pod rozpiętym kucharskim fartuchem widniał podkoszulek. – Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale potem sobie pomyślałam, że łatwiej będzie cię po prostu porwać.

Kilka razy w miesiącu, najczęściej w weekendy, Barb i jej dziewczyna, Aimee, gościły u siebie zmienne towarzystwo składające się głównie z pracowników lokali oraz innych osób kończących zmianę po północy. Barb sporządzała wtedy ogromny gar *pancitu* według przepisu, który jej babcia przekazała jej mamie jeszcze na

Filipinach, albo zwyczajny *arrozcald* z mrożonki, a resztę (głównie alkohol) przynosili goście. Niektórzy też coś pichcili, najczęściej różne dziwne wynalazki.

Charlie dawniej była tam regularnym gościem, zwłaszcza kiedy ona i Barb pracowały w tym samym miejscu. Jednak potem była afera w Worcester, a potem jeszcze gorsza afera w Albany, a jeszcze potem Charlie została postrzelona. Odkąd poznała Vince'a, bywała u Barb tylko sporadycznie. Należało jednak sprawdzić na slacku, bo tam zawsze pojawiały się zaproszenia. Gdyby to zrobiła, wiedziałyby, czego się spodziewać.

– No, weź – powiedziała Barb. – Aimee się za tobą stęskniła.

To akurat nie brzmiało zbyt prawdopodobnie. Aimee była dziesięć lat starsza od Barb, chuda i milcząca, a nawet jeśli się odzywała, to tylko szeptem. Charlie nie miała pojęcia, czy na zasadzie kontrastu potajemnie uwielbiała ekstremalnie ekstrawertyczną energię tych spotkań, czy też Aimee tak bardzo kochała Barb, że gotowa była nawet ścierpieć jej koszmarne upodobania towarzyskie. Tak czy inaczej Charlie nigdy nie odniosła wrażenia, by Aimee w ogóle ją bliżej kojarzyła.

– O ile nie masz nic przeciwko temu, że się zjawię z pustymi rękami. – Może zresztą dobrze jej zrobi, jak się trochę rozerwie. Gdyby wróciła do domu, rozmyślałaby w kółko o tym, czy Adam ma księgę Salta i czy udałoby się ją zdobyć, ewentualnie klóciłaby się z Posey o DMT. – Vince mógłby wpaść po mnie, kiedy będzie wracał z pracy.

– Powiedz mu, żeby po prostu przyszedł – zaproponowała Barb. – Chętnie poznam twojego tajemniczego faceta. Czy ty wiesz, jak trudno jest spotkać w Dolinie kogoś, kto nie rozstałby się ostatnio ze swoim partnerem czy partnerką?

Charlie oczywiście wiedziała.

Kwadrans później wjeżdżały na zatłoczony podjazd wiejskiej posiadłości wznoszącej się u stóp Mount Tom. Farma mieściła się w pobliżu Oxbow, zakola rzeki Connecticut. Należała do rodziny Aimee, która odziedziczyła ją po śmierci ciotecznej babki. Domostwo z wolna chyliło się ku upadkowi, coś w rodzaju remontu przeszło ostatnio w latach pięćdziesiątych. W kącie kuchni stała fikuśna kuchenka elektryczna w kolorze musztardy, podłogi w całym domu, nawet w łazienkach, pokrywały ciemnooranżowe szmaciane dywany.

Kiedy Barb i Charlie weszły, właśnie co najmniej trzy osoby kręciły się koło sprzętu i próbowały puścić swoją muzykę. Pachniało imbirem, smażoną cebulą i pizzą.

Aimee, ubrana w legginsy i tank top ukazujący tatuaże *koi* na obu jej ramionach, w połowie jednak zakryte sięgającymi do pupy brązowymi włosami, nadpłynęła, aby pocałować Barb. Do Charlie szepnęła, że drinki i żarcie są w salonie oraz że niestety skończył się lód.

Charlie podziękowała i uznawszy, że nie może dreptać za Barb jak pisklątko, wyruszyła na poszukiwanie drinka. Po drodze zauważyła Angel i Iana, siedzieli na dywanie i grali w coś na kształt szachów, używając zamiast figur różnych snacków. Ian trzymał w kąciku ust waporyzator, jakby to było staromodne cygaro. Oboje pracowali w Cosmica, restauracji typu diner serwującej burgery z mięsa bizona i mnóstwo różnych koktajli. Na widok Charlie Ian otworzył usta tak szeroko, że wap wypadł z nich na planszę, przez co tartinka z serem potoczyła się na chipsa ziemniaczanego.

Pewnej nocy kiepskich pomysłów Charlie przespała się z Ianem. Miała nadzieję, że nie dojdzie przez to do niezręcznej sytuacji.

Na kanapie siedział facet z głową w szkicowniku. Rozpoznała go, publikował swoje komiksy w sieci. Znany był jako autor ukazujących się już od lat zdumiewająco śmiałych opowieści o mysim wojowniku, ale dopiero od niedawna zyskiwał szersze grono fanów. Podobno zaczął też wreszcie nieźle na tym zarabiać.

Mężczyzna o długich włosach siedzący obok niego z pewnością był o tym przekonany, bo usiłował przekonać artystę do zainwestowania w weedtrucka, czyli coś w rodzaju foodtrucka, tylko sprzedającego ciasteczka i jointy. Taki ziołobus jeździłby sobie po okolicy i – jak zapewniał długowłosey – cieszyłby się wielkim powodzeniem wśród starszych ludzi mających już kłopoty z mobilnością. Kilka osób wyraziło wątpliwość, czy to aby legalne, natomiast naprawdę ożywiona debata wywiązała się na temat tego, jaka trawiasta melodyjka powinna stać się sygnałem weedtrucka.

Potem rozmowa gładko przeszła na temat blisu, sporo z nich już tego próbowało.

– Poszedłem do tej modyfikatorki, wiecie. No tej, Raven. W Pittsfield – oznajmił długowłosey. – Wprowadziła mnie w taki stan, że jak wyszedłem, o mało od razu nie wpakowałem się pod ciężarówkę. Ale warto było. Uczucie jest takie, jak w dzieciństwie, kiedy się zaczynają wakacje i jednocześnie to jest jak pierwsza miłość z całym swoim optymizmem.

W kuchni Don kłócił się ze swoją dziewczyną Erin. Ich związek miał burzliwy przebieg, zawsze na granicy łez i krzyków. Teraz poszło o to, które z nich najpierw było podłe wobec tego drugiego. Don pracował jako barman w Top Hat, całkiem fajnym miejscu, jednym z pierwszych, z których Charlie wywalili.

Charlie nalała sobie na wysokość czterech palców burbona Old Crow do plastikowego kubeczka i precyzyjnie przycisnęła się obok Dona i Erin w stronę lodówki, ale przypomniała sobie, że przecież skończył się lód. Musiała się więc zadowolić odrobiną zimnej wody, żeby trunek nie palił za bardzo w gardło. Don pochylił głowę, by nie było widać, że ociera łzę.

Przynajmniej tym razem to nie Charlie płakała w kuchni.

– Charlie Hall! – zawołał José. – Kopeć lat. Już nas nie lubisz?

Tworzyli małą grupkę z Katelynn oraz Suzie Lambton – tą, która powiedziała Doreen, że Charlie jest jak diabeł.

– Masz jakieś wiadomości od niego? – spytał José, kiedy do nich podeszła.

Pracował w małym gejowskim barze Malebox i tam właśnie poznał swojego byłego, który był tym samym, który zwał do Los Angeles z nowym facetem, przez co Charlie musiała pracować na dwie zmiany.

Charlie potrząsnęła głową.

– Nie, ale pewnie dał swój adres Odette, żeby mogła mu przysłać ostatni czek. Wiesz, przyda ci się, jakbyś chciał mu wysłać jakiś przedmiot obłożony klątwą albo coś w tym rodzaju. Jest też taka firma, w której możesz zamówić dla swojego wroga paczkę pełną brokatu pod ciśnieniem. Wyobrażasz sobie, jak wygląda mieszkanie, w którym eksploduje coś takiego?

Obdarzył ją bladym uśmiechem, ale najwyraźniej pogrążony był w rozpacz.

– Wygrzewa się na słońcu, jest szczęśliwy, je sobie awokado prosto z drzewa i kocha się co noc z pięknymi surferami. A ja już nigdy nie znajdę miłości.

– Przecież mówiłam – wtrąciła Katelynn. – Umówię cię ze swoim kuzynem.

– A to nie ten, który zjadł zdechłą ćmę z podłogi w ubikacji? – spytał José.

– Był wtedy małym dzieckiem! Nie możesz go skreślać z takiego powodu – obruszyła się Katelynn.

– Powiniennem pójść do pomroka, żeby wyciął mi uczucia – oznajmił dramatycznym tonem José. – Może wtedy byłbym szczęśliwy.

– Nie mógłbyś być szczęśliwy, bo szczęście to przecież uczucie – stwierdziła jak zwykle przytomnie Katelynn.

Krótko mówiąc, Charlie zjawiała się dokładnie w momencie, kiedy wszyscy wypili już odrobinę za dużo, więc stawali się albo kłótlivi, albo popadali w przygnębienie. Wypiła duszkiem. Należało nadrobić zaległości w stosunku do towarzystwa.

– Słyszałam, że Doreen cię szuka – powiedziała Suzie, podczas gdy Katelynn i José dalej spierali się, czy usta skalane ćmą godne są pocałunku. Miała na sobie sukienkę w żółty wzorek, z bufiastymi rękawami, do tego ciężki naszyjnik. Ciemne włosy spięła do góry za pomocą szylkretowej klamry. Ubierała się w ciuchy z second-handu, które były droższe niż nowe.

Być może niektórzy z obecnych słyszeli, że Charlie zdarzało się pomóc komuś, kto się wpakował w kłopoty, i że jakoś tam otarła się o kryminał, natomiast raczej nie znali szczegółów. Widzieli to, co widzieć mieli: Charlie Hall, wieczną luzerkę, która zawsze z trudem utrzymywała jakąkolwiek posadę i nie miała nic przeciwko temu, żeby zadawać się po pijaku z facetami.

Suzie Lambton wiedziała nieco więcej. Kiedy studiowała w Hampshire, pewien profesor chciał ją wywalić za plagiat. Charlie znalazła sposób, żeby zmienił zdanie.

Teraz wzruszyła ramionami.

– Adam gdzieś zniknął. Doreen chce, żebym go znalazła i nakłoniła do powrotu.

– Na twoim miejscu nie pakowałabym się w takie szambo – stwierdziła Suzie. – Ludzie w pewnym wieku albo się zmieniają, albo przestają się rozwijać. Adam ma już ponad trzydziestkę, a chce żyć, jakby miał dwadzieścia lat. Przychodzi do pracy pijany po poprzedniej nocy, przegrywa forszę w kasynie i takie tam. W następny weekend wybieram się na odosobnienie z jogą. Daj sobie z tym spokój i jedź ze mną.

– Za późno – odparła Charlie, uniosła plastikowy kubeczek. – Za dobre rady i błędne decyzje.

Suzie, która prawdopodobnie rzeczywiście zerznęła tamtą pracę semestralną, uniosła swój.

Vince nadciągnął pół godziny później, dostarczył sok pomarańczowy i lód, bo Charlie zawiadomiła go esemesem, że na przyjęciu zabrakło jednego i drugiego.

Wybiegła mu na spotkanie, uściskała, tuląc twarz do jego wełnianej kurtki pachnącej liśćmi i zimnym nocnym powietrzem. Na jego twarzy ujrziała uśmiezek i znów poczuła tę gorzko-słodką tęsknotę za kimś, kto przecież do niej należał.

Tina, która pracowała w Hampshire Gazette i piła jak dziennikarki na filmach, głośno rozprawiała o tym, że chce zmienić swój cień, tak żeby miał koci ogon.

– Faceci lubią ogony – obwieściła, co spotkało się z niemal powszechnym sprzeciwem. Aimee wyraziła pogląd, że Tina nie powinna zbyt uogólniać, przypisując fetyszystyczne zachowania wszystkim przedstawicielom danej płci. Ian pragnął, by wszyscy się dowiedzieli, że jego zdaniem to po prostu obrzydliwe, bo mężczyźni nie chcą przecież molestować zwierząt. Artysta za to przyznał, że ogon byłby całkiem seksowny, ale sprzeciwia się przez solidarność wobec myszy, z którymi jest związany zawodowo.

Charlie zauważyła, że Tina być może dokonuje nadinterpretacji powiedzenia „odwrócić kota ogonem”.

– W sensie, że chce łapać różne sroki za ogon? – wtrącił Vince zupełnie od czapy, ale tak poważnym tonem, że trudno było stwierdzić, czy żartuje, czy naprawdę nie zrozumiał, o czym mowa.

Bez znaczenia. Rozbawił tym wszystkich. Zresztą tak czy inaczej, było to śmieszne.

Charlie naląła sobie kolejną porcję burbona, tym razem z lodem. W sumie cieszyła się, że Vince się zjawił. Była już na tyle wstawiona, że czuła narastające ciepło bijące od gości zgromadzonych w pokoju. No proszę, zachowywała się jak normalni ludzie i robiła to, co robią normalni ludzie. Zjadła trochę sera wytwarzanego przez Tinę

z mleka jej własnych kóz (jakoś nikt nie miał serca powiedzieć dziennikarce, że jej produkt bardzo dziwnie smakuje) i bez powodu się uśmiechnęła.

Jednak zaraz potem usłyszała głos Iana, zagłuszający muzykę.

– Hej, Vince. Jaką najgorszą rzecz widziałeś w tej swojej robocie?

Ton, jakim to powiedział, zrobił z pytania wyzwanie.

Vince zerknął na niego z fotela, w którym siedział, rozmawiał właśnie z Suzie i Josém. Charlie mimo woli odnotowała, że fotel jest zmasakrowany przez kota, z rozdartej tapicerki przy podłokietniku sterczą kępki włosów.

– Generalnie to nic fajnego – odpowiedział Vince, wyraźnie usiłując zbyć Iana.

– No nie, musi być coś ekstra. Jakaś gałka oczna w zlewie, włosy na suficie. No weź.

– Ian uśmiechał się, ale w zupełnie nieprzyjazny sposób. – Weź nas zabaw.

Do tego momentu Charlie czuła się całkiem nieźle. Jej aktualny chłopak nie siedział samotnie w kącie, nie obrażał ludzi, nie rwał się do bójk jak ci poprzedni. Vince słuchał i wydawał zachęcające odgłosy, tak że ludzie mieli ochotę dalej mu o sobie opowiadać – taka konwersacyjna kocimiętka dla kogoś, kto chce się wygadać. Ale co z tego, że większość jej przyjaciół od razu polubiła Vince'a, kiedy wszystko i tak zmierzało w stronę awantury.

– Ian – powiedziała Charlie z naciskiem, starając się, by jej głos zabrzmiał równie surowo, jak u Odette, gdy przemawiała do swoich klientów, dzierząc w dłoni pejcz.

Rzucił jej uśmiezek i wtedy nagle zrozumiała, że tu nie chodziło o zwykłą zaczepkę czy głupią ciekawość. Ian żywił wobec Charlie jakieś dziwne uczucia. Chciał jej coś udowodnić albo coś jej zepsuć.

– Ja tylko pytam. Chcę poznać człowieka. Ale, kurwa, jak nie, to nie, w końcu...

Vince przerwał mu, wstając z fotela.

– Raz widziałem człowieka wywróconego na lewą stronę.

Charlie przywykła, że zawsze był trochę przygarbiony, starał się nie zajmować zbyt wiele przestrzeni, nie górować. Nie tym razem. Stał wyprostowany, napiął mięśnie ramion. Mówił takim samym spokojnym tonem jak zawsze, ale Charlie przeszedł dreszcz.

– Kości i flaki, i palce, i tak dalej. Wszystko. Jak skarpetka. Na lewą stronę.

– Naprawdę? – spytał Ian, wyraźnie pod wrażeniem.

– Nie – odpowiedział z kamienną twarzą Vince.

Odpowiedział mu ryk śmiechu. Nawet Charlie się roześmiała, zaskoczona.

– Dobra, dupku, nie będę cię więcej pytał o twoją głupią robotę – oznajmił Ian, podchodząc blisko. Stał tuż przed Vince'em w wyzywającej postawie. Kiedy Vince nie zareagował, Ian go pchnął.

Vince pozwolił mu na to, cofnął się o krok, ale w jego oczach zalśniła wściekłość, jakiej Charlie jeszcze nigdy w nich nie widziała.

– Ja tylko zdrapuję resztki mózgu ze ścian. Nie ma o czym gadać.

Przez chwilę obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie.

Chwilę potem Ian odpuścił, odwrócił wzrok.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki nudziarz – mruknął.

Vince wzruszył ramionami i siadł, jakby nic się nie wydarzyło. Albo raczej jakby przed chwilą wcale się nie zanosilo na spektakularne wydarzenie.

Charlie szła już w jego stronę, ale ubiegła ją Suzie Lambton, która przysiadła na oparciu fotela. Dotknęła ramienia Vince'a i coś powiedziała, potrząsnęła włosami. Roześmiała się. Vince odpowiedział jej uśmiechem, swoim prawdziwym uśmiechem.

Charlie poczuła nagłą i przemożną chęć, żeby zwalić Suzie na podłogę.

Zamiast tego upiła spory łyk burbona.

– Ale wiesz, że od samego spojrzenia ta laska nie stanie w płomieniach? – powiedziała Barb.

Przyłapaną Charlie odwróciła się.

– Przecież ja...

Barb się roześmiała.

– Idź do niego i powiedz, że fajnie sobie poradził. Nie tak łatwo pozwolić, żeby jakiś mały gnojek człowieka obrażał.

– Dla Vince'a to bułka z masłem – burknęła wciąż jeszcze zdenerwowana Charlie. – Chyba nikt nie jest w stanie wyprowadzić go z równowagi.

Co więcej, najwyraźniej w ten sposób ściągnął na siebie uwagę. Vince, facet o włosach koloru starego złota, mógł się podobać. Uroda Charlie była raczej krzykliwej natury. Zero dyskrecji w jej okrągłościach. Nic subtelnego w dekolcie. Może Suzie uznała, że to jej szansa.

Suzie robiła teraz magisterkę na uniwersytecie Smitha. Plotka głosiła, że bogaci rodzice nadal płacą za jej czynsz. Umiała wykonać tę pozycję z jogi, podczas której staje się na głowie. Może faktycznie miała szanse.

– Co za okrucieństwo – stwierdziła Barb. – Zostawiasz go na pastwę wilków. No, w zasadzie jednej wilczycy, ale wiesz, co mam na myśli.

Charlie wzruszyła ramionami.

– Tylko żeby nie było na mnie, jak to się skończy trójcą.

Charlie pokręciła z dezaprobatą głową, ruszyła w stronę ganku. Musiała odetchnąć świeżym powietrzem. Niepokoiło ją, że tak się wściekła na Suzie. Przecież nie była osobą skłoną do zazdrości. Nie do tego stopnia.

A poza tym nie ma sensu tęsknić za kimś, kogo już się ma.

To przez alkohol – powiedziała sobie, siadając na bujanej ławce. – Byle tylko nie oblażyły mnie pająki.

W większości okolicznych domów światła były już zgaszone, jednak kilka pojedynczych okien przykuwało uwagę. Różowa poświata lampki nocnej w dziecięcym pokoju. Migotanie telewizora. Reflektor nad wjazdem do garażu oczekujący jeszcze na czyjś powrót. Kiedyś tu były tylko farmy. Pewnie uprawiano głównie tytoń. Przy bocznych drogach wciąż jeszcze wznosiły się suszarnie.

W oddali, po drugiej stronie autostrady, można było dostrzec rzekę Connecticut, wijącego się u stóp Mount Tom czarnego węża, który potem zrzucał skórę, stając się rzeką Chicopee, następnie rzeką Swift, a na koniec jeziorem Quabbin. Charlie pamiętała, że kiedyś była w tej okolicy na wycieczce szkolnej. Zwiedzili wylęgarnię ryb, a potem wspięli się na wieżę obserwacyjną. Charlie stała wtedy na szczycie i wpatrywała się w wodę, usiłując dostrzec zatopione budynki.

Jeziro Quabbin było zalewem stworzonym przez ludzi, woda pochłonęła cztery miasta. Mieszkańców rzecz jasna przeniesiono, ale ich domy, sklepy – to wszystko musiało zostać. I wciąż było gdzieś tam w dole, razem ze wszystkim, co zostało w środku. Ukryte, chyba że ktoś wiedział, gdzie i jak szukać.

Pomyślała o cieniach wędrujących w mroku, równie niewidocznych co zatopione miasta.

– Gotowa? – spytał Vince, drzwi zamknęły się za nim z łoskotem.

Drgnęła nerwowo. Jego oczy dziwnie wyglądały w świetle lampy na ganku. Jakby były srebrne.

– Nie będzie trójcy? – spytała po chwili.

Popatrzył na nią tak samo jak wtedy, gdy odczytała z telefonu francuskie zdanie. Chciałaby umieć zmusić go, żeby jej powiedział, co myśli. Najprawdopodobniej jego umysł zaprzętał głównie fakt, że jest zmęczony, jej przyjaciele go znudzili i chciał już wrócić do domu.

A może myślał, że z Charlie całkiem serio coś jest nie tak.

– Nic, nic.

Wstała z huśtawki, otrzepała spodnie.

Pomyślała, że nie powinna szukać kłopotów tam, gdzie ich nie ma. A właściwie w ogóle nie powinna szukać kłopotów, i kropka.

Przygotowując się do snu, umyła twarz i przebrała się w T-shirt. Kiedy przełaziła nad Vince'em na swoją stronę materaca, położył dłoń na jej biodrze. Znieruchomiała, okraciła nad jego klatką piersiową.

Za oknem świecił księżyc, jak srebrna moneta na czarnym niebie, jego blask był na tyle silny, że widziała, jak Vince się w nią wpatruje. Sięgnął dłonią do jej włosów.

– Fajni są twoi znajomi. – Skrzywił się w półśmieszku. – Prawie wszyscy.

Czy zamierzał ją spytać o Iana?

– Zrobiłeś furorę.

– Pewnie, bo przywiozłem lód – odpowiedział, najwyraźniej rzeczywiście w to nie uwierzył. – Każdy lubi gościa, który dowozi lód.

Mogłaby mu opowiadać, jakich okropnych koleśi przedtem przyprowadzała i jak świetnie Vince wypadł w porównaniu z nimi, ale to nie był odpowiedni moment.

– Ja na pewno lubię.

Natychmiast zdała sobie sprawę, co tak naprawdę powiedziała. To miał być niby taki żart, ale zabrzmiało tak, jakby w rzeczywistości lubiła lód, a nie jego.

Jemu to jednak wcale nie przeszkadzało, więc się uspokoiła. Po prostu była nawalona. A pijani ludzie gadają różne głupoty.

– Chodź no tutaj – powiedział, kiedy się nad nim pochylała, dotknął kciukiem jej obojczyka, lekko muskając skórę. Jej włosy opadły na niego jak zasłona.

Uniósł się, żeby ją pocałować, delikatnie, jakby była cenną i kruchą istotą. Jak z waty cukrowej, jak skrzydełko motyla. Jak ktoś, kto nie jest ludzką bliźną. Kamieniem gotowym, by nim cisnąć w szybę. Kimś, kto nie jest Charlie Hall.

Może wydawało mu się, że tak powinien całować dziewczyny, może tak całował się z tą kobietą ze zdjęcia w portfelu. Może po prostu chciał w ten sposób pokazać, że ją szanuje. Jednak za każdym razem, kiedy tak robił, Charlie mimo woli traktowała to jak wyzwanie.

Przesunęła dłonią po jego piersi, wsunęła palce za pasek jego slipów. Uwielbiała odgłos przyspieszonego, nierównego oddechu. Uwielbiała, jak znowu ją pocałował, jego usta stały się swobodniejsze, język śmielszy.

Podniosła się, zsunęła majtki, rzuciła je na bok, nie zawracała sobie głowy koszulką. Potem oparła się na łokciach i kolanach. Pochylił się nad nią, zakrywając swoim ciałem. Wargi dotknęły jej szyi, ramienia, palce sięgnęły do piersi tuż nad jej sercem.

Kiedy rozkosz zawirowała u nasady jej kręgosłupa, dała się jej ponieść poza wszelkie obawy.

6

TEST CZEKOLADKI

Charlie stęknęła, przewróciła się na drugi bok. W sąsiednim pokoju parzyła się kawa, jej aromat stawał się coraz intensywniejszy. Na zewnątrz ktoś sprzątał liście dmuchawą: ciągłe, jęklive wycie. Nad sobą Charlie widziała znajome kształty brązowych zacieków z nieszczelnego dachu tworzące jej codzienny test Rorschacha. Pistolet. Koza. Klepsydra. We wróżbie z fusów wszystko to byłyby przestrogi. Przetarła twarz dłonią, wstała.

Majtki znalazła gdzieś za poduszką. Wrzuciła je do kosza na pranie razem z koszulką, w której spała. Całkiem goła padła z powrotem na materac, sięgnęła po jednorazowy telefon. Potrzebowała lepszego planu niż po prostu (1) wybrać się do MGM i rozczarować Adama tym, że nie jest Amber, a potem (2) pogonić go, żeby wrócił do domu i rozczarował Doreen tym, że jest sobą.

Tylko... Jeśli Adam naprawdę miał *Liber Noctis*, Charlie chciała mu zabrać tę księgę.

Myślę, że mogę do ciebie wpaść około 1:15 w nocy. Zostaw klucz na recepcji, wjadę.

Niemal we wszystkich hotelach trzeba mieć kartę pełniącą funkcję klucza, żeby wjechać na górę, a to znaczyło, że gdyby takiej karty Charlie nie miała, Adam musiałby zjechać na dół. Liczyła, że zechce ułatwić sprawę jej i sobie.

OK

Do zobaczenia

Gdy zjawi się w hotelu, odbierze kartę. Potem wyśle esemesa, że zmieniła zdanie i głupio jej wchodzić do pokoju obcego faceta. W barze kasyna podają drinki do czwartej, więc mu zaproponuje, żeby tam się spotkali. Może będzie zmęczony, może się na nią rozzłości, ale przecież chyba nie zrezygnuje z roboty tylko dlatego, że musi w tym celu zjechać windą.

Ona tymczasem już będzie miała kartę do drzwi pokoju, więc szybciotko myknie na górę, podczas gdy on będzie na nią czekał w barze. O ile księga nie znajduje się w sejfie, to znajdzie ją, zgarnie i zniknie. A nawet jeżeli jest w sejfie, to przecież

Charlie dobrze znała Doreen – datę urodzin ich dziecka, urodziny Adama, rocznicę ślubu – przypuszczała więc, że łatwo trafi na odpowiedni szyfr.

Przebranie to też żaden problem. Charlie musiała tylko zmienić się na tyle, żeby nie być do rozpoznania na monitoringu, gdyby przypadkiem ktoś z hotelu mu go udostępnił. Właśnie w tym celu na dnie szuflady w szafie przechowywała kolekcję peruk zamkniętych w szczelnych plastikowych torebkach.

Wrzuciła do plecaczka sztuczną fryzurę jasnorudego koloru, agresywnie czerwoną szminkę, błyszczącą i elastyczną sukienkę oraz parę butów dobrych do biegania. Potem ubrała się do pracy – w czarny T-shirt, spódnicę na rowerowe szorty i poczciwe, brzydkie crocsy.

O ile tylko corolla zdoła ją dowieźć do Springfield i z powrotem, być może tej nocy zdobędzie coś, o czym nigdy nawet nie marzyła – satysfakcję, że odebrała coś Lionelowi Saltowi. Może zniszczy tę księgę i wyśle mu nieczytelne metalowe szczątki.

Kiedy już dorwie księgę, wystawi Adama Doreen i nawet pomoże jej wykombinować, jak go z powrotem sprowadzić do domu.

Charlie działała na autopilocie, dolewała bittera do old-fashionedsów, napełniała pokale z nalewaka, sporządzała obrzydliwe smirnoffy na lodzie z połówką szota chambord. Na scenie para drag queens w ponurych, lecz błyszczących strojach w stylu Elviry, pani ciemności, wyśpiewywała na cały głos przeboje z lat dziewięćdziesiątych. Dzięki temu, że Charlie wciąż miksowała nowe drinki, miała co zrobić z rękami i nie zostawało jej zbyt wiele czasu na rozmyślanie.

Kiedy zbliżała się pora działania, następował przyptyw adrenaliny. Stawała się skupiona, uważna. Tak, jakby w rzeczywistości budziła się do życia, tylko mając zagadkę do rozwiązania, perspektywę triumfu wykraczającego poza szary rytm zwyczajnych dni. Coś innego niż tylko wstawać rano, jeść, iść do pracy, znowu jeść, a potem jeszcze parę godzin przed snem – na pranie, seks, sprzątanie w kuchni, obejrzenie filmu albo zalanie ryja.

Tymczasem ten nudziarski rytm to życie. Nie wypada tęsknić za niczym innym. Zanim schrzaśniała i to, zaliczyła kilka semestrów w lokalnym college’u. Leciwy i trochę już zdiadziały profesor opowiadał podczas jednych z zajęć o tym, że kryminaliści są pozbawieni samokontroli. Istnieje taki test, polega na tym, że przed dzieckiem stawia się talerzyk, a na nim leży czekoladka. Potem mówi się dziecku, że jeżeli zaczeka na prowadzącego badania i nie zje czekoladki, to potem dostanie dwie. Otóż ze znaczną dozą prawdopodobieństwa można stwierdzić – opowiadał profesor – że dzieci, które od razu zjedzą czekoladkę, zjedzą na złą drogę, a to dlatego, że są niezdyscyplinowane, dążą przede wszystkim do zaspokojenia swoich zachcianek, więc kradną, kiedy liczą

na to, że im się upiecze, i kłamią, kiedy to dla nich korzystne. I wybierają doraźną przyjemność zamiast trwałej korzyści.

Charlie nalała trzy szoty chartreuse połyskującej jasną zielenią trucizny. Wstrząsnęła szejkerem z martini, wrzuciła do mętnej brei kilka oliwek.

W myślach tymczasem rozważała, co może pójść źle. Przypomniała sobie o rachunkach w biurze Odette, na jednym z nich widniało nazwisko nieboszczyka, który chciał opchnąć strony z *Liber Noctis*. Jeżeli to on miał resztę księgi, a zadanie Adama polegało tylko na tym, żeby ją przetransportować, Charlie miała przejebane. Księgi nie będzie w hotelu. Jednak znając nazwisko zamordowanego, mogła wybrać się potem do niego w odwiedzin.

Może tak bardzo się jednak nie zmieniła.

Gdyby w dzieciństwie ktoś postawił przed nią talerzyk z czekoladką, zjadłaby ją natychmiast, bo wiedziała, że nie można wierzyć w obietnice dorosłych.

O dziesiątej Charlie miała półgodzinną przerwę na kolację. Mogła wtedy wyskoczyć na siku i pospieszenie coś przetrącić, a potem pracowała aż do pierwszej, tylko z jeszcze jedną piętnastominutową przerwą. Najczęściej szła kilka ulic dalej do Daikaiju na ramen, ale tego wieczoru zajrzała tylko do sklepu na rogu i kupiła hamburgera z serem do podgrzania w mikrofalówce, pojemniczek winogron o smutnym wyglądzie i puszkę wody kokosowej.

Wodę kokosową wypiła po drodze, pojemnik wrzuciła do mijanego kosza, po czym weszła przez wielkie, podwójne i czarne drzwi Rapture. Ruszyła prosto do pokoju socjalnego, który w zasadzie był garderobą dla wykonawców, ale znajdowała się tam kuchenka mikrofalowa i było na czym usiąść.

Ponieważ artyści przebywali właśnie na scenie, mogła liczyć, że nikt się nie będzie czepiał. Podeszła do satynowej różowej sofy, lekko nadgryzionej przez mole. Na długim kontuarze pod lustrami zalegał wszelkiego rodzaju sprzęt do makijażu. Połyskliwe stroje sceniczne wisiały na wieszaku uginającym się pośrodku, jakby miał się zapaść pod ich ciężarem. Różne części strojów wisiały też na haczykach wbitych w ścianę, między innymi ciemnoczerwone satynowe spodnie, obiekt marzeń Charlie. Te czekały, aż ich właściciele wrócą, żeby się w nie przebrać po zakończeniu pokazu. Przy sofie stał stolik, a na nim brudny, kremowego koloru telefon stacjonarny.

Główna sala Rapture, nawet łącznie z barem i sceną, nie była wielka. Mogło tam się zmieścić może sto osób, kiedy goście mocno się stłoczyli – chociaż gdyby doliczyć gabinet cieni Balthazara znajdujący się w podziemiu, należałoby dodać do tego jeszcze ze trzydzieści miejsc. Na zaplecze prowadził tylko jeden korytarz, którym szło się właśnie do garderoby, w której na karuzeli mikrofalówki odgrzewał się hamburger

Charlie. Dokładnie naprzeciwko korytarza znajdowały się solidne metalowe drzwi prowadzące do biura Odette.

– Tylko szybciotko zerknę na rachunki – powiedziała do siebie Charlie.

Przecież jego nazwisko to żaden sekret. W końcu Charlie dostała do ręki jego kartę i przesunęła ją przez terminal. Dała mu rachunek do podpisania i wręczyła długopis. Gdyby tylko chciało jej się wtedy spojrzeć, to już by wiedziała, jak się nazywał.

Charlie podeszła do drzwi, zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc weszła do środka.

Ściany pokoju pokryte były tapetą w złote noże. Pośrodku królował pokryty matową, jaskrawofioletową farbą stalowy stół, na którym lśniła mosiężna lampa. Wzdłuż jednej ze ścian stał regał w stylu art déco, na którym piętrzyły się stosy papierów. Dalej znajdowały się drugie drzwi, tym razem otwarte, za nimi zaś widać było wnętrze donżonu Odette.

Z miejsca, w którym stała Charlie, wyglądał na niezbyt obszerny lecz dobrze zagospodarowany, z klatką w jednym rogu i krzyżem świętego Andrzeja dominującym nad resztą przestrzeni.

Charlie lubiła Odette. I lubiła pracę w Rapture. Odette ufała jej na tyle, że pozwalała jej zamawiać suchy lód, dodawać do wódki cytryny Meyera albo imbir, albo papryczki, wszystko to przechowywane było w wielkich szklanych słojach trzymany w chłodzie pod sceną. Charlie dostawała wypłatę i zgarniała przyzwoite napiwki, a kiedy ktoś był zbyt nachalny, ochrona go usuwała.

Głupio byłoby ryzykować dobrą pracę w imię czegoś, co przecież nie mogło mieć tak naprawdę znaczenia. Nawet jeśli by znalazła tę księgę, co dalej? Owszem, odebrałaby coś Saltowi – ale i tak nic w porównaniu z tym, co on jej odebrał.

Snując te rozmyślenia, jednocześnie przerzucała rachunki leżące na stole Odette. Charlie Hall, która nie zdała testu czekoladki. Pozbawiona samokontroli. Ciekawska jak kot na sterydach.

No i proszę, jest. Four Roses, cztery dolary, dwadzieścia pięć centów. Dodał do tego pięćdziesiąt centów napiwku, czyli słabo, ale nieważne, nie należy źle myśleć o umarłych. Paul Ecco. Charlie wsadziła rachunki z powrotem do neonowofioletowej torebki i zamknęła ją, powtarzając sobie jego nazwisko. Sięgnęła po długopis i już miała wycofać się do pokoju rekreacyjnego, żeby zapisać sobie nazwisko na dłoni, kiedy weszła Odette. Na widok Charlie stanęła jak wryta.

Noż kurwa – pomyślała Charlie. *Kurwa, kurwa, kurwa.*

– Charlotte? – odezwała się Odette, surowa jak pani nauczycielka. Z pewnością właśnie tym tonem zwracała się do swoich klientów, kiedy spuszczała im lanie i brała za to ciężką forszę.

– Przepraszam – powiedziała Charlie, pokazując, co ma w dłoni. – Szukałam długopisu.

– Ale to są moje długopisy, słoneczko. – Odette była święcie oburzona, ale chyba uwierzyła, że Charlie dopuściła się właśnie tej zbrodni, do której się przyznała.

– Przepraszam – wymamrotała jeszcze raz Charlie.

– I wolałabym, żebyś tutaj się więcej nie zjawiała bez wyraźnej zgody z mojej strony. Być może w Rapture panuje pewien dekadenski nastrój rozluźnienia, ale to nie znaczy, że nie ma zasad.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknęła gorliwie Charlie.

– To dobrze – odparła Odette tonem dającym jasno do zrozumienia, że Charlie może odejść.

Wymknęła się z pokoju, mając całkowitą świadomość, jak jej się poszczęściło.

Jedząc swój nędzny posiłek przyprawiony sosem z foliowej torebki, wygugłowała na telefonie Paula Ecco. Żadnych nekrologów, ani słowa w lokalnych doniesieniach. Dodała do wyszukiwania „książka” i ku swojemu zdziwieniu już na trzeciej pozycji pojawił się wynik identyfikujący go jako „kupno/sprzedaż książek rzadkich i antykwarycznych” prowadzącego antykwariat noszący nazwę Curiosity Books. Na stronie antykwariatu widniała bogata oferta a także adres w jednym z pofabrycznych budynków w Easthampton z adnotacją, że klientów przyjmuje jedynie po wcześniejszym umówieniu. Pośród sprzedawanych książek znajdowały się pierwsze wydania różnych dzieł, głównie science-fiction i komiksy, lecz była też osobna zakładka poświęcona starym książkom o magii.

Handlarze książek odgrywali interesującą rolę w umbromantycznym ekosystemie. To oni przeczesywali antykwariaty z książkami w jakichś zapadłych dziurach, przerzucając całe stosy pleśniejących książek i szukając ukrytego klejnotu. Zdarzało im się odkryć woluminy, o których istnieniu nikt nawet nie wiedział. Niekiedy zaś taki antykwariat był po prostu przykrywką dla złodzieja, bo dzięki oficjalnemu szyldowi łatwiej było dobrze sprzedać swój łup.

Rzecz jasna, bardzo możliwe, że Paul Ecco był jednocześnie antykwariuszem i złodziejem, ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że Adam zawarł z nim taki czy inny deal, że to właśnie on miał jakoś upłynnić *Liber Noctis*. Wobec śmierci Ecco Adam potrzebował kogoś innego, stąd propozycja złożona Charlie.

Jeśli była to prawda, prawdopodobnie Adam trzymał księgę przy sobie, co byłoby dobrą wiadomością. Jednak dlaczego Ecco mówił o kilku stronach, skoro miał dostęp do całości? Czy próbował jakoś ograć Balthazara? Może lepiej byłoby zacząć od jego sklepu. W tym celu należałoby sprawdzić, czy chata jest wolna. Podniosła słuchawkę

starego telefonu, usłyszała w niej sygnał. Wystukała numer księgarni. Ktoś odpowiedział już po dwóch piknięciach.

– Curiosity Books.

Głos niski i chrapliwy, odrobinę zbyt usłużny.

– Zastałam Paula? – spytała Charlie, zastanawiając się, jaka może być odpowiedź.

– Tak, to ja. Szuka pani jakiejś książki?

– Owszem, ilustrowanego wydania *Czarownicy i nieszczęśliwego braciszka* – odpowiedziała z miejsca Charlie. Serce biło jej mocno. O ile nie był to jakiś zupełnie inny Paul Ecco, facet po drugiej stronie podszywał się pod zmarłego. – Rozmawialiśmy o tym wczoraj.

Wczoraj, czyli dzień po jego śmierci.

– Ach, tak – powiedział mężczyzna. – Dopiero dzisiaj przyszły paczki, przejrzę spis i oddzwonię. Mogę prosić o nazwisko i numer...?

Milczał, czekając na odpowiedź Charlie.

Problem ze stacjonarnym telefonem polegał na tym, że numer Rapture i tak mu się już wyświetlił, mogła więc skłamać tylko co do swojego nazwiska.

– Damiano – odpowiedziała, podając mu nazwisko Vince'a zamiast własnego. – Będę pod tym numerem. Jeśli odbierze ktoś inny, proszę powiedzieć, że to do mnie.

– Na pewno się do pani odezwę, i to niedługo. – W jego głosie zabrzmiało coś na kształt pogroźki. – Miłego wieczoru, pani Damiano.

Tak jakby dotąd nie dosyć było grozy.

Zerknęła na komórkę. Zostało jej siedem minut do powrotu za bar. Niezbyt wiele. Tymczasem była jeszcze jedna osoba, która mogła wiedzieć coś istotnego o Paulu Ecco.

Charlie odsunęła welwetową zasłonę, postawiła stopę na pierwszym onyksowym schodku prowadzącym w dół do salonu cieni Balthazara. Całe obramienie wejścia też było z onyksu.

Oslabienie mocy cieni na krótką chwilę przejścia niczemu szczególnemu nie służyło, natomiast liczyła się tutaj inna właściwość onyksu, bo dzięki niemu przebudzone cienie nabierały materialnego wymiaru. Właśnie dlatego onyks stanowił niezbędny składnik magicznego oręża – dzięki niemu dało się zranić cień umbromanty.

Pomieszczenie było nisko sklepione, pomalowane tą samą pochłaniającą światło czarną farbą co inne wnętrza Rapture. Kilka osób siedziało przy stolikach, pogrążone w rozmowach popijały drinki. Jakaś dziewczyna siedziała z zamkniętymi oczami, a pomrok obok niej wykonywał ruchy przypominające szycie. Chłopak ze

skateboardem osunął się nisko w fotelu, oparł głowę o ścianę; oczy miał otwarte, ale widać było tylko ich białka.

Dalej znajdowała się kolejna zasłona. Za nią stały dwa klubowe fotele – dla klientów – umiejscowione naprzeciwko drewnianego biureczka, za którym zasiadał Balthazar. Joey Aspirins stał oparty o ścianę ze skrzyżowanymi ramionami.

– Jest pani umówiona? – spytał Joey Aspirins, głośniej, niż to było konieczne.

Balthazar niedbale machnął ręką.

– Oj tam, przestań się wygłupiać. Przecież to ta dziewczyna z baru. Zaraz, jak ty masz na imię... Shar? Cher?

– Bardzo śmieszne – odpowiedziała.

– Charlie! – strzelił palcami, jakby cały czas miał to imię na końcu języka. – A więc wreszcie zmieniaś zdanie, chcesz przyjąć zlecenie. Wiedziałem, że tak będzie. Witaj w świecie moich łask.

Balthazar miał falujące czarne włosy i długie rzęsy, nosił nieco zmięty czarny garnitur i takiż krawat oraz pogniecioną koszulę. Krawat zdobiła onyksowa spinka. Jak głosiła plotka, był kiedyś modyfikatorem, ale spalił swój cień, bo go nadużywał. Nadal miał rozdwojony język pomroka i nosił srebrny ćwiek w miejscu rozdwojenia. Przychodził późno, wychodził wcześniej i często zapominał zapłacić czynsz Odette. Był niemal wzorcowym typem chuderlawego gaduły, całkiem jak ci wszyscy faceci, z którymi Charlie się zadawała i potem było jej przykro.

Joey Aspirins był natomiast niski, napakowany i miał zapadnięte policzki, co nadawało mu niezdrowy wygląd, być może stanowiło to ślad nadużywania w przeszłości jakichś szkodliwych substancji. Siwe włosy zawsze miał obcięte na krótko. Na jego skórze widniało mnóstwo tatuaży, niektóre wpełzały aż na gardło; nosił wojskowe buciory i bojówki, a reszta jego garderoby składała się wyłącznie z białych T-shirtów noszonych pod zapinane na guziki koszule z krótkimi rękawami. Kiedy spojrział na Charlie, od razu wiedziała, że nie uważa jej za szczególnie bystrą osobę. Cóż, i ona nie miała go za geniusza.

Charlie oparła rękę o biodro.

– Zaraz kończy mi się przerwa. Przynieść ci coś z baru?

– Ach, jak miło, że o mnie pamiętasz – powiedział Balthazar, tonem sceptycznym, lecz nie na tyle, by odmówić drinka. – Może taki old-fashioned z amaro?

– Skórka pomarańczowa i wisienka?

– Kilka wisienek – poprawił. – Lubię sobie osłodzić gorycz.

Fajny tekst. Niemałym wysiłkiem woli Charlie powstrzymała wzgardliwe prychnięcie.

– I chciałabym cię o coś zapytać.

– No co ty?

Balthazar stanowiął w tej chwili wcielenie niewiniątka.

Westchnęła.

– Którejś nocy widziałam na ulicy takiego człowieka, miał dłonie z cienia. Znasz go?

– Spotkałaś nowego hierofanta – odpowiedział.

A więc hierofant. Kapłan w talii tarota oraz szycha pośród umbromantów. Magicy cienia wybierali spośród siebie przedstawicieli każdej dyscypliny, którzy zasiadali w czymś, co może nawet całkiem trafnie nazywało się Kabałą.

Ci przedstawiciele byli dobrze znani. Vicereine słynęła z tego, że pewien aktor o przebrzmiałej już sławie zdobył Oscara za rolę ze zmienionym przez nią cieniem oraz tym, że zmodyfikowała swojego byłego chłopaka, influencera, w taki sposób, że głowa jego cienia wyglądała jak świński łeb. Jej gang Artystów z roku na rok zyskiwał coraz większe wpływy, częściowo dlatego, że modyfikacje przynosiły gigantyczne zyski.

Pacynkarz Malik podobno posłał swój cień jako marionetkę, która ukradła z British Museum wyjątkowo wielki rubin, jeszcze zanim zainstalowali tam onyks, natomiast o Bellamym od masek właściwie nie było wiadomo nic, co stanowiło niezłą rekomendację dla kogoś uprawiającego tę właśnie dyscyplinę.

No i był jeszcze Knight Singh. Po jego zamordowaniu musieli znaleźć kogoś nowego.

Kabała zajmowała się rozstrzyganiem sporów między umbromantami, bo przecież nie można ich było załatwiać przed sądem, poza tym sprawowała nadzór nad procesem tropienia i wyłapywania struposzy; na to zrzucali się wszyscy umbromanci, bo żaden z nich nie życzył sobie, by wieść o istnieniu zmór się rozeszła.

Kiedy jakiś pechowy frajer zalażł Kabale za skórę, otrzymywał zaszczytną funkcję hierofanta.

– Nie wyglądał szczególnie przyjaźnie – zauważyła Charlie. – Zresztą chyba żaden z nich nie jest sympatyczny.

Jeśli ten gość w alejce to był rzeczywiście hierofant, najprawdopodobniej Paul Ecco został zamordowany przez struposza.

– A ten facet, który przyszedł tu niedawno i próbował ci coś sprzedać? – podjęła Charlie. – Dlaczego go wywaliłeś?

– Wiesz, skąd wzięła się ksywka Joey Aspirins? – przerwał jej Balthazar i zerknął w stronę swojego towarzysza.

Charlie wzruszyła ramionami.

Dobroduszny uśmiech Balthazara zniknął. Charlie poczuła ukrytą pogroźkę.

– Bo dzięki niemu mija ból głowy. A przez ciebie zaraz mnie łeb rozboli. Byłaś dobra, Charlie. Jedna z najlepszych. Wróć, to pogadamy. A jak nie, to spadaj.

Kiedy szła do baru, by sporządzić koktajl dla Balthazara, znów napomniała samą siebie. Zabójstwo Paula Ecco nie powinno mieć dla niej żadnego znaczenia. Zamówił banalnego drinka i dał mały napiwek. No dobrze, umarł, ale przecież w końcu wszyscy umierają. Prawdopodobnie i tak księga jest jednak u Adama.

Kiedy wróciła na górę, skinął na nią facet ze schludnie przystrzyżoną bródką, z loczkami. Zamówił absynt ze wszystkimi szykanami, z wodą i płonącą kostką cukru, dla siebie i swoich pięciu kumpli. Potem w drugim końcu baru miłośnik szkockiej miał ochotę z nią pogadać o dymnym i słonawym posmaku whiskacza ze Spelside.

Kiedy Rapture już się zamykała, Charlie spięła włosy w dwa przepocone kucyki, zarzuciła mokry ręcznik na kark. Balthazar i Joey Aspirins dawno już poszli. Artyści siedzieli w kącie z Odette, popijali bladofioletowe aviations, Charlie tymczasem zgarnęła do kieszeni napiwki i przeliczyła zawartość kasy.

– I co, taki był twój plan na życie? – spytała Odette któregoś z wykonawców.

– Nie, kochanie, nie – odpowiedział. – Mama chciała, żebym został doktorem.

Wszyscy troje roześmiali się głośno. Charlie zapełniła zmywarkę. Jeden z pomocników barowych zmiatał stłuczone szkło.

I właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Brodaty facet w ciemnozielonej rybackiej kurtce wszedł do środka, za nim jego cień o kształcie skrzydeł.

– Już nieczynne – oznajmiła Odette, odwróciła się w krzesło i machnęła wymownie ręką. – Zapraszamy jutro, koteczku.

Spojrzenie brodacza powędrowało ku Odette i jej stolikowi, potem znów w stronę Charlie.

– Pani Damiano? – spytał. Przez chwilę Charlie nie rozumiała. A potem dotarło do niej i ogarnęła ją groza. To był człowiek, z którym rozmawiała przez telefon. Ten, który podawał się za nieżyjącego Paula Ecco.

– Charlie Hall – powiedziała, pokazując na siebie.

W końcu znajdowała się w miejscu publicznym. I nie była sama, były jeszcze trzy osoby, które miały przy sobie telefony. Powiedziała sobie, że przecież jej głos nie jest znowu aż tak charakterystyczny, przecież facet nie może być pewien, że to właśnie z nią rozmawiał.

Jednak gdy przeszedł przez salę, zmierzając prosto do baru, zorientowała się, że jednak podjął decyzję. A gdy szedł, jego cień rósł, pióra wydłużały się, zmierzały ku Charlie jak mgła. Po drugiej stronie ktoś krzyknął, Odette wstała tak pośpiesznie, że przewróciło się jej krzesło.

Charlie zamarła.

Mrok dosięgnął jej nagle palcami przypominającymi noże. Cofnęła się gwałtownie, uderzając plecami o półki, aż butelki za nią zadrżały niebezpiecznie.

A potem cień opadł, jakby to wszystko się tylko zdawało. Jakby nic się nie wydarzyło. Cień tego mężczyzny wyglądał teraz zupełnie normalnie, nawet już nie miał kształtu skrzydeł.

– Abrakadabra, suko – powiedział, krzywiąc się w uśmiešku. Oparł się łokciami o podrapany drewniany kontuar.

PRZESZŁOŚĆ

Charlie nie przypuszczała, że mogłaby spotkać kogoś, kto zalazłby jej za skórę bardziej niż Travis, dopóki nie pojawił się Rand.

Był jednym ze znajomych mamy od kryształów tudzież tarota i odnosił się nad wyraz sceptycznie do jej channelingowania Alonsa. W ogóle nie był zbyt pochlebnej opinii o Charlie, toteż zaskoczyło ją, kiedy pewnego dnia mama oznajmiła, że Rand czeka na nią w dużym pokoju.

– Czego ode mnie chce? – spytała wtedy Charlie.

– Powiedział mi, że miał wizję, która ciebie dotyczy. Chce sam ci o tym powiedzieć.

– Mama parzyła zieloną herbatę w normalnym imbryku, ale z kilkoma kawałkami kwarcu na dnie, dla jasności umysłu. – No, idź. Ja zaraz do was przyjdę.

Rand siedział na wersalce. Jego wąsy wydawały się jeszcze dłuższe niż przedtem, nawoskowane po obu stronach w stylu, który nazywał „imperialnym”, chociaż wszyscy inni używali raczej określenia „hipsterski”. Miał na sobie tweedową marynarkę i spodnie, strój tylko nieco przetarty na łokciach i kolanach. Wszystko to razem nadawało mu dobroduszny wygląd kogoś pomiędzy profesorem, staromodnym właścicielem saloonu i bogatym wujkiem Pennybags z Monopoly.

Jego główny modus operandi polegał na przekonywaniu starszych kobiet, że jest kimś niezwykłym i dzięki powiązaniom z nim one także się takimi stają. Charlie nie miała pojęcia, że Alonso wchodził mu w drogę.

Nie miała też pojęcia, że Rand jest zawodowym oszustem.

– Siądź – powiedział, klepiąc wersalkę obok siebie.

Wybrała krzesło znajdujące się najdalej od niego, jak tylko jej zdaniem wypadało.

Obdarzył ją tym fałszywym uśmiechem dorosłych zwracających się do dzieci, zbyt szerokim.

– Twoja matka pewnie ci powiedziała, że mam dla ciebie wiadomość.

Charlie tylko patrzyła na niego. Jedyną zaletą mieszkania z Travisem było to, że raz na zawsze wyleczyła się z chęci przypodobania dorosłym.

Odkaszlnął, pochylił się, mówił dalej:

– Ale tak naprawdę to nie jest wiadomość ode mnie, tylko od Alonsa.

Charlie otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale zdała sobie sprawę, że nie może tego zrobić. Musiałaby bowiem przyznać, że Alonso nie istnieje.

– Bo widzisz – mówił dalej Rand, patrząc jej prosto w oczy, jakby dokładnie wiedział, co Charlie myśli – objawił mi się we śnie i powiedział, że to ważne, że musisz mi pomóc. Chyba wierzysz Alonsowi, prawda?

Później żałowała, że nie powiedziała tego czy tamtego. Mogła przecież wpaść na to, że ponieważ Alonso przemawia przez nią, ona sama go nie zna. Mogła zalać się łzami i wyznać Randowi, że nie cierpi, kiedy Alonso się nią tak wysługuje i że tak wiele jej odebrał. Krótko mówiąc, żałowała, że nie była oszustką, w którą dopiero on ją zmienił.

Jednak wtedy za bardzo się bała. Czuła się osaczona, przyłapana. Skinęła więc tylko głową.

– Świetnie – powiedział Rand. – W ten weekend pójdiesz ze mną na wizytę. Powiedz matce, że chcesz iść.

– Nie będę robiła żadnego seksu – oświadczyła Charlie.

Rand najpierw się zdziwił, potem oburzył.

– To nie żadne...

– To znaczy, że się nie rozbiore – sprecyzowała Charlie, na wypadek gdyby nie zrozumiał, co miała na myśli. Matka mówiła jej, że kiedy faceci chcą namówić dziewczynę do czegoś dziwnego, najczęściej chodzi o seks.

– Nie, podczas tej wizyty musisz tylko kłamać – wyjaśnił i dodał z przekąsem w głosie: – A w tym jesteś dobra, przyznaj?

To była prawie pogróżka. Kiedy matka spytała Charlie, czy chce iść z Randem, powiedziała, że tak, oczywiście.

Dużo później uświadomiła sobie, że jej matka nie powinna na to pozwolić. Trzynastoletnie dziewczynki nie powinny włączyć się z dorosłymi facetami, których nawet dobrze nie znają. Jednak wtedy matka była wyjątkowo zapracowana, więc pozbycie się Charlie z domu na kilka godzin oznaczało dla niej prawdziwą ulgę.

Ruszyli więc do Bergshires, gdzie odbywała się ta impreza. Charlie przez całą drogę nie odzywała się, chociaż do niej zagadywał. Zgodził się, żeby to ona wybrała stację w radiu. Zabrał do McDonalda i pozwolił zamówić, co chciała, czyli frytki i szejka. Opowiedział historyjkę o jej matce, która była nawet trochę śmieszna.

Dalej tak samo go nienawidziła, ale dzięki tym rozrywkom przynajmniej podróż była znośna.

Wreszcie, gdy jechali szosą wzdłuż której rosły drzewa, mijając rezydencje położone w odległości całych akrów od siebie, odważyła się i zadała pytanie, od którego należało zacząć, jeszcze zanim wsiadła do jego wozu.

– Po co mnie tam wiesziesz?

– Podczas przyjęcia zakradniesz się na górę.

Charlie popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Co, mam coś ukraść? A co będzie, jak mnie złapią?

Zaśmiał się, dając jej do zrozumienia, że ten oczywisty z jej punktu widzenia domysł jest zupełnie bzdurny.

– Nic podobnego. Wszystko zgodne z prawem. Włożysz pod kurtkę koszulę nocną. Potem pójdziesz na górę, trzeci pokój po lewej. Tylko żeby nikt cię nie zobaczył. Zaczekasz na mój sygnał, a potem staniesz przy oknie w tej koszuli. I uprzedzając twoje pytania, koszula nie jest ani obcisła, ani przezroczysta. Nic, co mogłoby urazić twoją wyrafinowaną skromność.

Mówił, jakby to nie było nic takiego, ale była pewna, że chodzi o coś poważnego.

– Po co?

Patrzył przed siebie na drogę.

Wciągnęła przez słomkę resztkę koktajlu truskawkowego, słodycz mieszała się z solą na jej wargach. Pociągnęła znowu, żeby wydać ten odgłos siorbania, którego dorośli tak nie cierpią.

– Jeżeli chcesz, żebyśmy to zrobiła, musisz powiedzieć.

Rand zerknął na nią, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że wyznaczył jej poważną rolę.

– Traktuj to jak zabawę w udawanie. Postoisz sobie przez chwilę jak księżniczka w oknie, a potem wymkniesz się ukradkiem i będziesz czekać na mnie w samochodzie. Nie musisz nawet z nikim rozmawiać.

Chyba myślał, że Charlie ma siedem lat, a nie trzynaście.

– No, niech będzie.

Zaparkował przy jakimś żywo płocie, wysiadł, otworzył bagażnik. Wrócił z torbą z Walmartu, w której była biała nocna koszula i blond peruka.

– No, już – ponaglił ją.

– Nie podglądaj – powiedziała, przesiadła się do tyłu, żeby mieć więcej miejsca.

– Nie zamierzam – zapewnił.

– I pilnuj, żeby nikt inny nie widział.

Mruknął coś pod nosem, ale posłusznie stanął plecami do okna, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Włożyła koszulę na ubranie, dopiero pod nią pozbyła się bluzki. Wetknęła koszulę nocną w dzinsy. Kiedy z powrotem włożyła kurtkę, utworzyło się dziwne wyrzucenie, ale tylko w taki sposób mogła schować tę koszulę. Potem nacisnęła perukę na głowę, utykając pod nią wymykające się kosmyki własnych ciemnych włosów.

Kiedy wysiadła, zaczął podkręcać wąsa kciukiem i palcem wskazującym, jak złoczyńca z filmu, który zamierza umieścić związaną ofiarę na torach kolejowych. Spojrzał z dezaprobatą na jej dżinsy.

– Zanim staniesz w oknie, musisz zdjąć te spodnie.

– Dobra – powiedziała.

Widać było, że im bliżej realizacji planu, tym bardziej Rand się denerwuje.

– I źle włożyłaś tę perukę.

– Nie wiem, jak ją się wkłada – wyjaśniła. – I nawet nie mam lustra.

– No... – Urwał. – Ja też nie wiem. Daj mi ją.

Próbował ułożyć sztuczne włosy i ukryć prawdziwe, aż w końcu dał za wygraną. Charlie pamiętała, że pewna starsza pani z sąsiedztwa miała całą kolekcję peruk i do tego mnóstwo wsuwek do włosów, ale najwyraźniej Rand nigdy o czymś takim nie słyszał, więc tym bardziej nie przyszło mu do głowy, żeby się w nie zaopatrzyć.

– W sumie to bez znaczenia – mruknął, bardziej do siebie niż do niej.

Jej kurtka była różowa, z kapturem obszytym zszarganym już sztucznym futerkiem. Dostała ją od jednej z przyjaciółek matki, która miała córkę nieco starszą od Charlie. Większość garderoby Charlie była podobnego pochodzenia, dlatego nosiła wesołe i barwne ciuchy, zupełnie inne niż te, które sama by wybrała. Nic z tego, co miała na sobie, nie było odpowiednie w takim miejscu. Charlie zdała sobie sprawę, że będzie się rzucać w oczy. Nagle ogarnęło ją przerażające przekonanie, że Rand nie ma pojęcia, co robi.

Kiedy zbliżyli się do bramy, zrobiło się jeszcze gorzej. Kamienne ściany prowadziły do kraty z kutego żelaza, do której przyspawano dwa konie wycięte z blachy.

Rand pochylił się, nacisnął guzik domofonu, podał swoje nazwisko. Oczekali chwilę, brama drgnęła i się otworzyła.

– Nie zdziwią się, że jesteśmy pieszo? – spytała szeptem, patrząc w stronę ogromnej rezydencji, do której prowadził bardzo długi podjazd. Trzy piętra, dach kryty malowaną dachówką, parter wyłożony kamieniem. Bluszcz pnący się wokół okien i wielkie białe kolumny przy drzwiach frontowych.

– Nie przejmuj się tak bardzo – powiedział, pociągając ją na bok. – Uchodzę tutaj za ekscentryka, dzięki czemu wszystko, co robię, da się wytłumaczyć właśnie w taki sposób. „Ale z niego ekscentryk”, mówią. Czy ty w ogóle wiesz, co to słowo znaczy?

– Wiem – odpowiedziała, znużona. Bądź co bądź przynajmniej kilku dorosłym zdołała wmówić, że jest martwym czarownikiem. Może powinien choć odrobinę ją docenić.

Pokazał palcem w stronę skrzydła gigantycznego domostwa.

– Ty idź tędy.

– Ale dokąd? – spytała.

Westchnął ciężko, po czym wręczył jej telefon.

– Wejdiesz bocznym wejściem. Już ci mówiłem, potem na piętro i trzecie drzwi po lewej. Idź prędko, ale nie biegnij. Nie zwracaj na siebie uwagi i bądź czujna. Cokolwiek się zdarzy, ten telefon nie jest po to, żebyś do mnie dzwoniła. Jest dla mnie, żeby ci posłać sygnał. Kiedy zabrzęczy, zajmiesz pozycję, tylko zdejmij przedtem spodnie.

Serce Charlie biło jak oszalałe, palce stały się zimne ze strachu.

– Nie chcę tam iść sama.

– Dobrze, spotkamy się przy bocznym wejściu. Może być?

Spojrzał w stronę bramy. Z domu nie byli widoczni, ale gdyby przejeżdżał jakiś samochód, to ukradkowa wymiana zdań na uboczu wyglądałaby nadzwyczaj podejrzanie.

– Chyba nie mogę tego zrobić.

Uniósł palcem jej podbródek i rzucił niecierpliwie:

– Szkoda. Bo jak to spieprzysz, to pogadam sobie na poważnie z twoją matką. Do ciebie należy decyzja: co będzie gorsze?

Cofnęła się. To, do czego chciał ją zmusić – by zakradła się do rezydencji i odegrała jakąś sztuczkę, żeby oszukać ludzi w środku – było okropne, ale stracić matkę byłoby jeszcze gorzej. Mama nigdy by jej tego nie wybaczyła, bo chodziło nie tylko o oszustwo czy rozbite małżeństwo, czy że przez nią zachowywała się jak idiotka wobec swoich przyjaciółek, chodziło przede wszystkim o to, że przysłby czar, magia. Posłałaby Charlie do ojca na jego eksperymentalną farmę bez prądu i internetu, za to z kurami i źle działającą biotoaletą. A jego nowa żona i tak nie pozwoliłaby jej zostać.

– Powiem, że kłamiesz.

– Wciągnęłaś w to swoją siostrę, prawda? – odpowiedział Rand z uśmiechem. – Jest jeszcze mała. Naprawdę myślisz, że nie przyzna się do wszystkiego, kiedy twoja matka ją przyciśnie?

– Posey nienawidzi Tralisa – odparła Charlie. – Nawet jeszcze bardziej niż ja.

Na twarzy Randa pojawił się teraz błysk zrozumienia, jakby wreszcie coś do niego dotarło. Może dotąd nie rozumiał, po co odgrywała tę komedię z Alonsem. Może myślał, że to dla rozrywki, żeby bawić się ludźmi, a może nawet coś wydębić od matki: *mamo, mamo, Alonso mówi, że powinnaś mi kupić nowego Xboxa. Duchy tak każą!*

Charlie nie była pewna, czy to dla niej źle, czy dobrze, że rozumiał.

– Travis był zaropiałym chujkiem – odezwał się po chwili.

Odpowiedziała mu półuśmiechem. Nie prawdziwym uśmiechem, ale zawsze.

Tak więc Charlie powędrowała w stronę rezydencji, z rękami w kieszeniach, ze spuszczoną głową. Niebo nad nią zasnuwane było chmurami. Po chwili zdała sobie

sprawę, że będzie lepiej, jeśli perukę założy dopiero na górze. Nie była jednak pewna, czy uda jej się upchnąć pod nią wszystkie swoje włosy. Poza tym akurat dla niej korzystniej było pozostać w przebraniu. W ten sposób, jeśli Rand popadnie w kłopoty, jej może nie będą się czepiać.

Naciągnęła jednak na głowę kaptur.

W pobliżu tego skrzydła domostwa rozłożyli się pracownicy cateringu, z namiotem i grillem. Nakładali na wielkie blachy paszteciki, krewetki i inne rzeczy, których Charlie nigdy przedtem nie widziała, po czym tace wędrowały do środka, gdzie pewnie rozkładano ich zawartość na jakieś bardziej eleganckie talerze.

Opodal drzwi mieściło się niewielkie wyłożone kamieniami patio, gdzie siedziało i paliło papierosy kilku kelnerów w czarno-białych strojach. Jeden pił kawę z papierowego kubka, od ich oddechów i gorącego płynu w powietrze wznosiły się kłęby pary. Inny powiedział do kolegi coś po hiszpańsku, półgłosem. Nie zrozumiała wszystkich słów, bo kiepsko uważała na lekcjach, ale z grubsza pojęła, że ten chłopak skarży się na innego, który jest piękny, ale podły.

Wszyscy byli zajęci swoimi sprawami, ale nie miała odwagi tak po prostu obok nich przejść. Wystarczy, że na nią spojrzą, a od razu się zorientują, że ona tu nie pasuje. Miała ubłocone tenisówki, a poza tym w ogóle sam fakt, że miała na sobie tenisówki... Z żarówiastymi sznurówkami!

Nie mogła tak po prostu przejść sobie obok nich, ale też nie mogła zostać tam, gdzie była. Prędzej czy później ktoś ją zauważy w tych krzakach i wtedy już po wszystkim. Wróciło ze zdwojoną siłą przekonanie, że Rand nie ma pojęcia, na co się porywa. Może należałoby zadzwonić do matki? Jeśli wpakuje Randa w kłopoty, może mama przestanie wierzyć w każde jego słowo.

– Hej, mała? – Drgnęła na dźwięk jego głosu. – Chodź. Szybko.

Stał w otwartych drzwiach. Gdzieś w głębi widziała ruch, ale w pobliżu nikogo nie było. Pochyliła głowę i pospiesznie ruszyła w stronę domu.

Przez chwilę aż ją zatkało na widok luksusu. Gładzone drewno. Kremowo-złote tapety w paski. Obrazy w ciężkich staromodnych ramach bez szyby. Rand poprowadził ją do schodów.

– Pamiętaj, co masz robić. – Mówił cichym, pełnym napięcia głosem. – Trzecie drzwi z lewej. To pokój dziecięcy. Zdejmij wszystko, zostań tylko w tej koszuli nocnej. Kiedy dam ci znak, ale nie wcześniej!, staniesz w oknie. Za firankami, tak żeby nie było zbyt wyraźnie widać twarzy, rozumiano? Czekać na mój sygnał. Wszystko jasne? Stój przez minutę, potem wkładaj kurtkę i wiesz z domu. Twoje zadanie polega na tym, żeby nikt cię nie zobaczył i żeby nie było żadnych śladów.

Charlie przytaknęła, czuła się głupio. Bała się. I była pewna, że ją złapią, a potem on i tak wszystko powie matce.

– No, już. Nie stój tutaj jak słup. Jazda!

Odwrócił się od niej, poszedł na przyjęcie.

Charlie wbiegła po schodach.

W korytarzu na górze było duszno. Jej dłoń sama przekręciła gałkę drzwi, trzecich po lewej. Charlie znalazła się w wielkim pokoju urządzonego wyłącznie na różowo, pośrodku stało łóżko w kształcie karety Kopciuszka. Na ścianach namalowano pnące się różowe winorośle.

Tutaj nie było tak czysto jak w korytarzu, na meblach zalegała warstewka kurzu.

Tak jakby ktoś, kto kiedyś sypiał w tym pokoju, dawno już odszedł. Jakby ktoś inny nie chciał tutaj niczego ruszać.

Charlie zdjęła kurtkę, położyła ją ostrożnie na komodzie, obok pozytywki. Pod wpływem ruchu urządzenie wydało z siebie kilka upiornie brzmiących nutek. Charlie zdjęła też buty, bo było na nich świeże błoto, a między nią a oknem rozciągała się połać jasnoróżowego dywanu. Potem zdjęła dzinsy.

Rzuciła w myślach do Randa: *Widzisz? Nie musiałeś mi tego mówić.*

Kiedy była gotowa, przeszła przez pokój. Jednak zamiast stanąć w pobliżu okna, otworzyła pierwsze wewnętrzne drzwi. Prowadziły do łazienki, też pomalowanej na różowo, z koroną i baldachimem nad wanną. Przy umywalce na talerzyku leżało różowe mydło, zaschnięte i popękane.

Drugie drzwi prowadziły do ogromnej garderoby, tak obszernej, że znalazło się tam miejsce na fotelik i toaletkę. Do ramy lustra tęczową taśmą ktoś przykleił zdjęcia jasnowłosej dziewczyny. Hailey. Tak miała na imię. Było wypisane na plecach różowej bluzy sportowej. Hailey z przyjaciółkami, objęte ramionami. Na innym zdjęciu dosiadała ogromnego wierzchowca kasztanowej maści. Wyglądała na szczęśliwą. Pełną życia.

Ale oczywiście nie żyła.

Charlie siadła przed toaletką. Teraz już rozumiała, po co Rand ją tutaj ściągnął.

Wyobrażała sobie, co Rand powie zrozpaczonemu rodzicom: proszę bardzo, oto państwa córka. Tam, w oknie. Chcielibyście z nią porozmawiać? Cóż, bardzo bym chciał pomóc, ale niestety wymaga to pewnych nakładów finansowych. Jak wiadomo, yerba mate i wosk do wąsów kosztują.

W jednej z szuflad znalazła grzebień i połyskujące spinki do włosów.

Charlie zdjęła perukę, starannie zaciesała włosy do tyłu, żeby kosmyki ciągle się nie wymykały. Potem grzebieniem spróbowała ułożyć włosy peruki tak, żeby wyglądać jak ta dziewczyna na zdjęciach.

Patrzyła na kogoś, kto był nią i kto nią nie był. Czuła lekki zawrót głowy na myśl o wcieleniu się w cudze życie. Próbie innej tożsamości, bycia kimś, kogo darzono tak wielką miłością, że pokój tej osoby stał się grobem, brakowało w nim tylko mumii.

Rand wciąż nie dawał znaku, więc przeszukała jeszcze rzeczy tej dziewczyny, znalazła jak najzwyklejszy T-shirt i torbę, do której mogła zmieścić perukę i koszulę nocną. Umieściła ją przy drzwiach i właśnie w tej chwili zabrzączał telefon. Spojrzała na ekran, widniało na nim tylko jedno słowo.

Już!!!!

Charlie podeszła do okna, pilnując, by cały czas między nią a szybą znajdowała się muślinowa firanka.

Myślała, że zobaczy w dole Randa kierującego całym zdarzeniem, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Przez chwilę już myślała, że nic się nie zdarzy, że nikt nie spojrzy w górę. Potem jednak kobieta skierowała wzrok w jej stronę. Krzyknęła.

To nie był krzyk przerażenia ani grozy tylko jęk czystej rozpacz. Charlie nigdy przedtem czegoś takiego nie słyszała.

Teraz cieszyła się, że ma przed sobą firankę. Nie chciała widzieć zbyt dobrze twarzy tej kobiety. Jednak kiedy tamta osunęła się na ziemię, z twarzą wciąż zwróconą w jej stronę, Charlie podniosła rękę i przycisnęła dłoń do szyby.

Skoro już, niech mama Hailey uwierzy, że córka ją widzi, no nie? Niech ma jakąś pociechę. Cokolwiek.

Nagle uświadomiła sobie, że stoi już chyba dłużej niż minutę, więc cofnęła się od okna i pobiegła przez dywan po swoje rzeczy. Wiać stąd, wiać natychmiast! Przecież Rand mówił, żeby jak najszybciej znikła. Przecież to oczywiste, kiedy się zobaczy ducha, pierwsza rzecz, to iść do pokoju, w którym się pokazał.

Charlie zerwała perukę. Zdarła z siebie koszulę nocną. Przez chwilę była tylko w bieliźnie i ogarnęło ją przerażające przeczucie, że przyłapią ją w takim właśnie stroju. W następnej chwili wciągnęła wywrócony na lewą stronę T-shirt, a potem była już w zapiętej kurtce i szła w stronę schodów.

Jednak zanim do nich dotarła, usłyszała głosy dobiegające z tamtej strony. Odwróciła się, pobiegła korytarzem w przeciwnym kierunku. To był duży dom, musiała gdzieś być łazienka, w której uda się ukryć.

Znalazła inne schody, szersze, zbiegła po nich do wyłożonej marmurem sieni. Zupełnie nie było gdzie się tam schować, zdecydowanie nie powinna znajdować się w tym miejscu.

Dała więc nura w najbliższe drzwi; okazało się, że znalazła się w pokoju muzycznym. Podłogę wyściełał wzorzysty dywan w zielonej tonacji, aż po sofę, która

wyglądała na zarówno zbyt twardą, jak i zbyt małą, żeby można się było na niej wygodnie rozsiąść. Obok stał strunowy instrument przypominający gitarę oraz pianino. Charlie nie była jeszcze na tyle dorosła, żeby zupełnie nie odczuwać pokusy, ale jednak nie nacisnęła klawisza, zadowolona się przesunięciem palcem po lśniącem czarnym lakierze.

– Tu jesteś – syknął Rand i chwycił ją za ramię. – Co się z tobą dzieje? Tylko mi nie wmawiaj, że niczego nie ukradłaś. Zresztą nieważne, nic nie mów. Wiejemy stąd.

– Boli – poskarżyła się Charlie, próbując się uwolnić.

Jeszcze mocniej zacisnęła palce na jej ramieniu.

– Czekaj w aucie – syknął, wciskając jej w dłoń kluczyki.

– Gdybym zrobiła tak, jak mówiłeś, toby mnie przyłapali – powiedziała, rozgniewana, bo do Randa nie dotarło, że postąpiła sprytnie. I jeszcze bardziej złościła się na siebie, bo oczekiwała po nim, że się zachowa fair.

Pchnął ją w stronę drzwi frontowych.

– Spadaj.

Charlie odetchnęła głęboko i wyszła. Minęła wielkie białe kolumny. Zeszła po kamiennych schodach. Szła ze wzrokiem wbitym w ziemię przed sobą, tak że gdyby zobaczyła ją kobieta, której dziecko przed chwilą udawała, nie rozpoznałaby jej.

Minęła jakichś służących, czuła się strasznie wyeksponowana. Potem kilkoro gości. Dosłyszała, jak jakiś mężczyzna mówi do swojej żony: „Przecież to oszust. Dlaczego ona tego nie może zrozumieć?”

Charlie poczuła gorąco na twarzy, ale szła dalej, aż znalazła się przy bramie. Zaczekała na wyjeżdżający samochód, przemknęła tuż za nim. Jeszcze jedna rzecz, na którą sama wpadła.

Kiedy dotarła wreszcie do wozu Randa, wsiadła, zatrzasnęła drzwi. Żałowała, że nie umie prowadzić. Zostawiłaby go, odjechała. Może potem by po niego wróciła, a może nie. Bo i co by jej zrobił, wezwał gliny?

W tamtej chwili czuła się bezradna jak dziecko i wcale nie chciała być tak dorosła, jak być musiała.

Spodziewała się, że Rand znowu ją zbeszta, tak jak przedtem, ale kiedy wsiadł do samochodu, wprost promieniał.

– Byłaś fantastyczna! – zawołał, wyjeżdżając z piskiem opon na szosę. – Ale numer. Naprawdę, byłaś świetna. Wiedziałem, że to masz.

– Że co mam? – spytała Charlie.

– Że jesteś taka jak ja. A ludzie tacy jak my są do tego stworzeni. Urodzeni kanciarze. Jak hieny, z uśmiechem na twarzy, grasujący na marginesie społeczeństwa, czatując na łatwy łup.

A kiedy Charlie nic nie odpowiedziała, szturchnął ją w ramię.

– No już, nie dąsaj się tylko dlatego, że cię zrugalem. To przez napięcie, kiedy jest akcja, nie ma czasu na miłe słówka. Naprawdę nieźle się spisaliśmy, no nie?

Charlie skinęła głową, zadowolona, że ktoś ją chwali, nawet jeśli to był Rand. Poczła się lepiej, bo pomyślała, że jeszcze wszystko będzie dobrze. Rand ją odwiezie do domu i koniec. To był tylko odosobniony incydent. Dalej będzie o nim myśleć jako o facecie mamy i starać się go unikać.

Była w stanie wmówić sobie, że Rand nie ma racji, że nie są tacy sami.

Po nieskończeniu długiej godzinie jazdy i majstrowania przy radiu, zajechali pod jej blok.

– Masz – powiedział, wręczając jej dwudziestaka. – Zasłużyłaś.

– Dzięki.

Charlie wzięła banknot i wysiadła z samochodu. Razem weszli na piętro.

Matka Charlie układała razem z Posey puzzle na stole w jadalni. Obok leżało pudełko z kawałkami pizzy.

– Dobrze, że już jesteście – stwierdziła jej matka. – Robiło się późno. Dobrze się bawiłaś?

Charlie już zapomniała, dokąd Rand miał ją rzekomo zaprowadzić, ale przytaknęła.

– No, to mu podziękuj – ponagliła ją matka, spoglądając z pełnym ubolewania uśmiechem na Randa. Odpowiedział tym samym. Dwoje dorosłych uczących dziecko, jak się powinno zachowywać.

Charlie w tamtej chwili zgodziłaby się na cokolwiek, byle już wreszcie było po wszystkim.

– Dziękuję – powiedziała do Randa.

– Musimy niedługo znowu zrobić jakiś wypad – stwierdził. – Trzeba dać twojej matce odetchnąć.

Charlie sięgnęła do pudełka, wzięła sobie porcję pizzy.

Mama zaprosiła Randa, żeby został i zjadł z nimi, ale ku uldze Charlie Rand odmówił.

Tydzień później była na ulicy i usiłowała uczyć się jazdy na desce. Zaliczyła sporo wywrotek; kiedy Rand wysiadł ze swojego samochodu, jej kolano krwawiło.

– Mam dla ciebie następną robótkę, moja mała szarlatanko – powiedział. – Szarlatanka Hall. Dobrze brzmi.

Charlie potrząsnęła głową, poczuła, że drętwieje.

– Ach, nie? – Wydawało się, że to go rozbawiło. – Dajże spokój. Tym razem lepiej ci zapłacę. A poza tym nie bardzo masz wybór.

Spoglądała na niego z otwartymi ustami.

– Nie możesz odmówić. Przecież wiesz, co zrobiłaś. Mogę o wszystkim opowiedzieć twojej matce.

– Ale co?

Pokazał jej telefon z wyświetlonym zdjęciem domu i ducha w oknie na górze.

– Przedtem to było twoje słowo przeciwko mojemu słowu, ale teraz już nie. Mam dowód, że jesteś małą oszustką.

Charlie patrzyła na zdjęcie i czuła, jak ogarnia ją rozpacz. Nie było widać zbyt wyraźnie, że to ona, natomiast postać była niewątpliwie jej wzrostu. A matka wiedziała, że tego dnia pojechała dokądś z Randem.

– Ale to ty mnie tam zabrałaś. To ty okłamałaś tamtych ludzi – zaprotestowała Charlie.

– O, tak – przyznał Rand z uśmiechem. – Mnie też by się oberwało. Tylko co mnie to obchodzi? A poza tym miałaś niezły ubaw. Nie byłabyś taka dobra, gdyby było inaczej.

Dopiero całe lata później zrozumiała, jaką techniką się posłużył, żeby ją wciągnąć w ruchome piaski oszustwa. Z początku mały haczyk na kogoś, potem coraz więcej, aż w końcu ma się człowieka na potężnym haku. Zaczyna się od szantażu. Może chodzić naprawdę o drobiazg, byle danej osobie zależało, żeby coś nie wyszło na jaw. Dla świętego spokoju zgodzi się coś tam zatuszować, pogmerać przy cyferkach, zmienić stopień, wyciągnie trochę gotówki z kasy. Cokolwiek. I wtedy osoba jest ugotowana. Skoro ktoś raz ustąpił, musi nie tylko kryć się ze swoją pierwszą, błahą wpadką, teraz ma już więcej na sumieniu. I im bardziej usiłuje się wygrzebać, tym głębiej się zapada.

Nie ma lepszej nauki wrabiania kogoś niż samemu dać się wrobić.

LIBER NOCTIS

Kiedy umbromanta się odezwał, Charlie zamarła, nie odrywając pleców od półek. Odwrócił się w stronę Odette i dwóch drag queens.

– Wynocha.

Pomrok dysponujący niewielką mocą potrafi zmusić cień, żeby podniósł z ziemi monetę. Potężniejszy może zmiażdżyć serce człowieka, sięgając przez gardło. Cała kariera Charlie na pograniczach umbromancji polegała na tym, żeby trzymać się z daleka od umbromantów.

Artyści wstali i podreptali pospiesznie w stronę tylnego wyjścia prowadzącego na śmietnik. Odette za nimi, obejrzała się jeszcze i bezgłośnie coś powiedziała do Charlie, ta jednak niestety nie miała pojęcia, co Odette usiłowała jej przekazać. Mogła tylko mieć nadzieję, że obiecała wezwać policję. Nie żeby Charlie oczekiwała od gliniarzy szczególnej odwagi w obliczu magii, ale może ten koleś się zniechęci, kiedy zobaczy mundur i jego nieodłączną część – kamery.

– Mów mi Hermes. Co macie z nalewaka?

Mówił z akcentem jakby z południowego Bostonu. Na oko mógł być trzydziestolatkiem, miał ciemne włosy i jasną skórę, zaczerwienioną teraz na policzkach od wiatru. Sprawiał wrażenie konkretnego faceta, nie kogoś zainteresowanego magią. Nie kogoś posiadającego magię.

– Może pan nie dosłyszał, ale właścicielka powiedziała, że już nieczynne – odpowiedziała stanowczym tonem Charlie.

W tym momencie jego cień stał się blady jak światło księżyca. Charlie wiedziała, że manipulowanie cieniem wiąże się z pewnym kosztem, ale jakim, tego nie była pewna.

– Właścicielka właśnie wyszła – odpowiedział. – Jesteśmy sami.

Eteryczny kształt znów ruszył ku niej. Był tak wielki, że pociemniało w całym pomieszczeniu. Charlie skrzyżowała ramiona.

Hermes trzasnął dłonią w bar, aż podskoczyła.

– Wiesz, co mógłbym ci zrobić?

Poczuła przypływ adrenaliny, trudno jej było przestać myśleć, ale przypomniała sobie, że przecież facet nie ma pojęcia, kim ona jest. Cokolwiek skłoniło go, żeby się tu zjawić, z pewnością nie wiedział, że rozmawia z Charlie Hall, wytrawną złodziejką

magii. Widział tylko Charlie Hall, zbyt ciekawską barmankę. I w ten sposób zamierzała to rozegrać, arogancją i ignorancją.

– Zrobić? Nie wiem, co potrafisz zrobić z tym straaasznym cieniem – odparła. – Unieść się trochę nad ziemię? Udawać wyższego o dwa cale, tak że nikt się nie zorientuje, o ile nie spojrzy zezem? Mieć lepszy węch?

Przez chwilę miała tę satysfakcję, że Hermes zbaraniał. Potem jednak warknął gniewnie:

– Ty naprawdę nic nie wiesz. Nie wiesz nic o niczym.

– No pewnie, głupia jestem – odpowiedziała Charlie, dumna, że głos jej nie zadrżał.

– Na przykład nie mam pojęcia, czego się mnie czepiasz.

Cień mężczyzny rozciągnął się jak guma do żucia – w stronę Charlie, a potem na wskroś przez cienkie drewno kontuaru, nad zlew, puste szklanki i plastikowe butelki z grenadiną oraz zwykłym syropem.

Przez te lata, kiedy ich okradała, nade wszystko się bała, że dopadnie ją któryś z ich cieni. Że pozna w najgorszy możliwy sposób granice ich mocy. Prawdziwa ironia losu, że tak długo jej się udawało, a wpadła dopiero teraz.

Cofnęła się o krok, ale ograniczona przestrzeń za barem uniemożliwiła jej ucieczkę. Znalazła się w pułapce między lustrzanymi półkami zastawionymi alkoholem, kasą i lśniąca maszyną do cappuccino.

– Paul Ecco – powiedział Hermes, przerywając milczenie. – Być może jesteś ostatnią osobą na tej ziemi, z którą rozmawiał. Przed taką ładną dziewczyną na pewno się przechwalał, jaki będzie bogaty. Może nawet pokazał ci rzadki przedmiot, który chciał sprzedać. Tylko że widzisz, ten przedmiot należał do pana Salta. Powiedz nam, jak Ecco go zdobył. Powiedz, a będziesz mogła wrócić do swojego smutnego małego życia i udawać, że nigdy się nie otarłaś o śmierć.

Pierdolony Lionel Salt.

Ale poza tym – blef, od początku do końca. Hermes nie miał pojęcia, czy Charlie cokolwiek wie. Tyle że nakłamała mu przez telefon i dlatego nabrał podejrzeń. Cóż, rok poza branżą zrobił swoje, Charlie stała się niezdarna.

– Ja mu tylko nalałam drinka.

Przecież on nie ma powodu, żeby mi zrobić krzywdę – powiedziała sobie, chociaż zdawała sobie sprawę, że ktokolwiek, kto pracuje dla Salta, nie potrzebuje żadnego powodu. W pomieszczeniu panowała cisza, tak jakby Charlie i ten mężczyzna jednocześnie wstrzymali oddech.

– Wiesz, czym to się karmi? – spytał umbromanta, cofnął się nieco od niej i własnego cienia. – Krwią. Może twoją.

Cień Hermesa w jakiś sposób pozostał na miejscu, jak zamrożony. Przez chwilę wydawało się, że facet się rozdzielił, tak przekonująco cień go odtworzył. Jakby był z prawdziwej materii, chociaż przypominające pępowinę połączenie z brodaczem pozostało widoczne, tylko nieco zamglone.

Palec cienia wyciągnął się w jej stronę, Charlie zebrała się w sobie, kiedy dotknął jej skóry, poczuła wilgoć i coś przypominającego prąd, tak jakby dotknęła ją burza. Zesztywniała, zatoczyła się w tył, gdy ogarnęła ją fala przerażenia – zbyt przemożnego i obezwładniającego, by to był jej własny strach.

Serce Charlie załomotało, wszystko było tak nierealne, że aż się kręciło od tego w głowie.

– Dobra, zabierz to ode mnie. Wygrałeś. – Głos Charlie drżał już teraz, gdy podniosła rękę, cofając się. Przygryzła od środka policzek, żeby się uspokoić. – Przekonałeś mnie. Należę ci piwo, chociaż już jesteście zamknięci.

Cień się nie poruszył.

– Żarty się ciebie trzymają, co? – odezwał się Hermes.

Charlie sięgnęła po kufel. Mało jej się nie wysliznął z rąk, miała spocone dłonie. Cień zwisał w powietrzu, zawieszony za jej plecami, kiedy naląła z kranu najlepsze IPA.

Może trzeba spróbować prawdy. Nie całej, wiadomo.

– Szłam do domu na piechotę i wtedy go widziałam. Paula Ecco, nie żył. Poznałam go, bo przedtem był w Rapture. Ktoś go paskudnie urządził. A potem, skoro nie było o tym w wiadomościach, pomyślałam, że spróbuję się czegoś dowiedzieć.

– Kłamiesz. Znałaś go. Zadzwońska i pytałaś o niego.

– Nie spodziewałam się, że ktoś odpowie – wyjaśniła. – A potem pomyślałam, że spytam o niego, a wtedy dowiem się od osoby po drugiej stronie, co mu się przydarzyło. Nie spodziewałam się, że będziesz się za niego podawać.

– Nie wierzę ci.

W jego głosie słyhać było gniew i jeszcze coś, zdesperowanie, jakby obawiał się wrócić do szefa z pustymi rękami.

– Nigdy przedtem go nie widziałam – zapewniła Charlie, widząc jednocześnie po twarzy Hermesa, że to na nic. Facet coś sobie wymyślił i nie zamierzał rezygnować z tej hipotezy.

Obawiała się, że nie da rady przemknąć do tylnych drzwi, ale być może będzie musiała spróbować. Przypomniał jej się ten głupi nożyk z onyksową rękojeścią. Został w torebce, na zapleczu. Przydałby się, cokolwiek by się przydało.

– Przestań kręcić – rzucił gniewnie. Jego cień migotał na krawędziach, jakby był zrobiony z czarnego płomienia. – Jesteś w to zamieszana. Więc kiedy następnym

razem się odezwiesz, to uważaj na to, co mówisz.

I tak już wiedział, co chce usłyszeć, w nic innego by nie uwierzył. A więc albo trzeba wiać, albo wymyślić jakąś naprawdę niezłą historyjkę.

Hermes chciał odzyskać *Liber Noctis* dla swojego szefa, pewnie przypuszczał, że Ecco miał coś więcej niż tylko te kilka stron, które chciał sprzedać, a które pewnie dorwał jego zabójca. Charlie mogłaby teraz powiedzieć, że próbował swój towar opchnąć Balthazarowi, ale podejrzewała, że Hermes z Balthazarem już rozmawiał i to właśnie on ją wystawił, przynajmniej częściowo. Bo niby skąd Hermes był taki pewien, że to ona dzwoniła?

Charlie przysunęła piwo w jego stronę i ostentacyjnie westchnęła.

– Dobra. Kiedy Paul przyszedł do Rapture, nie był sam – zaimprovizowała. – Był jeszcze jakiś facet i słyszałam, że mówił coś o „całej książce”. To ci się na coś przyda?

Hermes dotąd nie wspomniał o księdze, więc może to go przekona. Przecież mogło tak być, gdyby rzeczywiście miał upłynnić książkę za Adama.

– Jesteś pewna, że to coś, to był facet? – spytał Hermes.

– Tak mi się zdaje – odparła, zastanawiając się gorączkowo, czego innego tamten mógł się spodziewać.

Czy tamtego wieczoru w ogóle ktoś rozmawiał z Ecco?

– Edmund Carver – podsunął Hermes. – Czy tak Paul się do niego zwracał?

Charlie się zawahała. Gdyby powiedziała, że tak, prawdopodobnie by go zadowoliła. Nie miała jednak pojęcia, kim jest ten człowiek, i gdyby musiała go na przykład opisać, byłaby w kropce.

Znów pokręciła głową.

– Nie słyszałam imienia ani nazwiska, a jego cień raczej nie...

Cień Hermesa uderzył Charlie w twarz, na tyle mocno, że straciła równowagę. Uderzyła biodrem o zlew, a potem podłoga uciekła jej spod nóg. Upadła na kolana, oparła się dłońmi o kafelki podłogi.

– Nie kłam – pouczył ją Hermes.

Charlie zdała sobie sprawę z kilku rzeczy jednocześnie – z lepkości podłogi, kwaśnego zapachu rozlanego alkoholu, piekącego policzka i własnego strachu; do tego pojawiła się wizja kija bejsbolowego, który Odette uparła się trzymać za barem, pod maszyną do lodu. Poza jej zasięgiem.

Czas przyspieszył i spowolnił jednocześnie, gdy Charlie popełzała po kij.

Cień brodacza zawisł nad nią, niematerialna dłoń zrzuciła butelki z półek, rozległ się ogłuszający odgłos tłuczonego szkła.

Charlie odruchowo zasłoniła głowę rękami. Do połowy jeszcze pełna flaszka uderzyła ją w ramię, wokół rozbijały się inne butelki, eksplodując deszczem szklanych

igiełek, które wbijały się w ubranie i kłuły jej skórę. Rozlany alkohol ciekł strumieniem wokół jej kolan.

Palce Charlie zacisnęły się na bejsbolu, dźwignęła się, rozedrgana od adrenaliny, strachu i wściekłości.

Skoro zabrakło dobrych pomysłów, trzeba spróbować kiepskiego.

Może powinni to wypisać na jej grobie. Takie życiowe credo Charlie Hall.

Walnęła cień z całej siły. Kij przeszedł przez niego, jakby to był duch. Od rozmachu aż się zachwiała, o mało nie upadła na tyłek.

Hermes zachichotał. Stał w pewnej odległości od baru, jakby był tylko widzem wydarzeń, a nie sprawcą.

– Ale z ciebie petarda! Dobra, ostatnia szansa. Tylko tym razem mów prawdę. Kto dał Ecco strony z książki?

Powietrze wokół Charlie zgęstniało.

– Powiedziałam prawdę, mam coś zmyślić, żebyś się odpiardolił? – rzuciła najkąśliwszym z tonów, na jakie było ją stać.

Tym razem cień sięgnął prosto do jej gardła.

Wrażenie było takie, jakby tonęła. Jakby jej płuca wypełniły się czymś cięższym od powietrza, czego nie mogła wykrztusić.

W panice sięgnęła do szyi, cień ją dusił, nie była w stanie wydać głosu. Smugi czerni wydostawały się z jej ust i nosa, dostały się do oczu. Mrok narastał, zawężając jej pole widzenia, i nie wiedziała, czy to z braku powietrza, czy to cień.

Przez chwilę miała wrażenie, że znajduje się na zewnątrz swojego ciała i widzi własne siniejące usta. Widziała, jak usiłuje pochwycić powietrze, zadziera brodę, jakby tonęła i próbowała wydostać się na powierzchnię.

Kiedy otworzyła oczy, leżała na kafelkach. Znowu mogła oddychać, chociaż z trudem.

W lustrzanej kuli wiszącej pod sufitem Charlie dostrzegła, że za Hermesem ktoś stoi i przyciska ramię do jego gardła. Jednak nie potrafiła rozpoznać nowo przybyłego. Tymczasem to jego pojawienie się musiało sprawić, że Hermes przywołał z powrotem swój cień. Zaczęła się czołgać po pokrytej szkłem podłodze; postanowiła, że gdy tylko wydostanie się na otwartą przestrzeń, ruszy pędem do tylnego wyjścia i nie będzie się za siebie oglądać.

– Za długo twój cień żerował dziś w nocy. – Nie do wiary, ale usłyszała głos Vince’a. Tylko że brzmiał zupełnie nie tak. Był miękki i groźny. Hermes wił się rozpaczliwie, ale też zupełnie bezskutecznie. – Niewiele już z ciebie zostało. Czujesz to? Czujesz, jak coś z ciebie uchodzi?

Mężczyzna zacharczał, wciąż próbując się wyrwać.

– To już bez znaczenia.

Charlie prawie nie mogła rozpoznać takiego Vince'a. A on stał pośrodku pustej knajpy i ścisnął coraz mocniej.

A potem rozległ się odgłos, jakby pękła mokra gałąź.

Charlie wstrzymała oddech. W tuzinie małych lusterek widziała odbicie brodacza zwisającego bezwładnie w ramionach Vince'a.

PRZESZŁOŚĆ

Charlie w lot złapała, o co chodzi w doliniarstwie. Miała wciąż jeszcze trzynaście lat, kiedy Rand załatwił jej lekcje u emerytowanej prestidigitatorki; kradzieże portfeli i zegarków stanowiły część jej scenicznego repertuaru. Co wtorek i czwartek zaraz po szkole zawoził Charlie w okolice Leeds do domu pani Presto. Mamie dziewczynki mówił, że to lekcje gry na pianinie.

Pani Presto paliła, więc wszędzie cuchnęło petami. Dom był nieduży, miał tylko maleńkie podwórko. Wewnątrz było ciasno od nagromadzonych przedmiotów, takich jak automaton dawniej stanowiący ozdobę jakiegoś sklepu, który teraz stał w kącie, miał na głowie cylinder i brakowało mu pół twarzy.

– Słyszysz się tylko o mężczyznach magikach, tymczasem wśród kobiet było kilka najwybitniejszych przedstawicielek tego zawodu – powiadała pani Presto, gestykulując dłonią z papierosem. – I powiem ci coś, najlepszymi kanciarzami zawsze były dziewczyny. Po prostu my wiemy, w jaki sposób ludzie myślą. Mamy tupet. I nie dajemy się przyłapać!

Charlie podobało się, że pani Presto zalicza ją w swoich wypowiedziach do grona wybranek. Tak. My! A już szczególnie podobała jej się myśl, że zdoła uniknąć jakichkolwiek niemiłych konsekwencji.

– Pierwsza rzecz, którą powinnaś zrozumieć, to dotyk. Musisz dotknąć ciała osoby, którą obrabiasz. Możesz wpaść na kogoś na ulicy albo dotknąć ramienia, jeżeli ofiara siedzi w zatłoczonej restauracji. Niektórzy myślą, że to dla odwrócenia uwagi, ale wcale nie. Po prostu mózg nie jest w stanie przyjąć do wiadomości dotknięcia w dwóch miejscach jednocześnie, więc zwraca uwagę na silniejszy bodziec. Klepniesz gościa w ramię, to nie poczuje ręki w kieszeni. Tu nie ma żadnych subtelności. Łapiesz fanta i chodu.

Charlie przemyślała to sobie. Pani Presto poczęstowała ją kardamonowym herbatnikiem ze srebrnej czaszki na stoliku kawowym.

– A co, kiedy się włoży rękę do torebki i tam jest za dużo rzeczy? Albo jest zapięta na zamek?

– A, tutaj właśnie trzeba odwrócić uwagę. – Brzmiała odpowiedź. – Trzeba klienta zaskoczyć. Oszołomić. Albo po prostu wybrać sobie łatwiejszy cel. W morzu pływa

dużo rybek. Niektóre złote, a przynajmniej noszą złote łańcuszki.

– A jak sobie poradzić z zapięciem?

Kiedy pani Presto zaczęła opowiadać, wszystko wydawało się proste. Jednak im dłużej Charlie się nad tym zastanawiała, tym bardziej się komplikowało. Dopiero za trzecią próbą udało jej się założyć naszyjnik, ale o wiele szybciej nauczyła się go zdejmować jedną ręką z cudzej szyi, za każdym razem stosując różne zmyłki.

– Dłoń na karku, lekki docisk i zgrabne paluszki – mówiła pani Presto. – Kwestia wprawy, trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, ćwiczyć.

Z początku marynarka wisiała na manekinie, a zegarki były zapięte na podłokietnikach foteli. Potem, kiedy Charlie już opanowała podstawy, pani Presto przechadzała się po domu, a Charlie udawała, że na nią niechący wpada albo podchodzi do niej w tłumie.

Wreszcie była już gotowa do zajęć w terenie.

Któregoś popołudnia Rand zawiózł ją do centrum handlowego Holyoke zamiast do domu pani Presto.

– Idziemy na zakupy? – spytała Charlie.

Rand nawet nie zwrócił uwagi na zaczepny ton jej głosu. Zaśmiał się, jakby mu się spodobał taki żart.

– Dzisiaj tutaj masz lekcje.

Z panią Presto spotkała się w Macy's, jej mentorka kupowała sobie pantofle.

– Nigdy nie zaszkodzi mieć przy sobie torbę – pouczyła Charlie, potem się uśmiechnęła. – Albo starą kobietę.

Wyszły razem na główny pasaż.

– I co, mam patrzeć, jak pani to robi? – spytała Charlie z nadzieją w głosie.

Pani Presto pokręciła głową.

– Nie ma sensu odwlekać tego, co nieuniknione. Chodźmy do Starbucksa. Tam zawsze jest tłum.

I tak zaczął się dla Charlie pierwszy dzień praktyk. Przeciskała się wąskimi przesmykami między półkami, mówiła „przepraszam” i dotykała czyjegoś ramienia. Technika sprawdziła się i w Sephorze, i w Apple Store. Poszło nawet łatwiej, niż się spodziewała, natomiast łupy były raczej przypadkowe. Co prawda udało jej się zabrać jakiemuś facetowi portfel, ale z torebkami było gorzej. A to breloczek, a to szminka. Raz jej się trafiła zwinięta chusteczka.

Po pięciu podejściach pani Presto kupiła jej frappuccino.

– Dwie sprawy – powiedziała. – Kiedy już zdobędziesz fant, wsadzasz go do kieszeni. Jaki jest twój kolejny krok?

Charlie wzruszyła ramionami.

– No, idę sobie dalej?

– Na przyszłość – rzekła pani Presto, spoglądając na nią z powagą – wyjmiesz z tej kieszeni cukierek. Albo pieniądze. Wszystko jedno co, chodzi o to, żeby ludziom się zdawało, że po to wsadziłaś rękę do kieszeni, żeby coś wyjąć. Zawsze trzymaj tam coś, co będziesz mogła wyciągnąć. Zawsze. W przeciwnym razie podkładasz się na dwa sposoby. Po pierwsze ich okradasz, a po drugie wyciągasz z kieszeni pustą dłoń.

Co prawda nikt niczego nie zauważył, ale dłonie Charlie zaczęły się pocić na myśl, że popełniła tak oczywisty błąd.

– Aha, no i chyba nie za bardzo lubisz się obściskować, takie odniosłam wrażenie?

Charlie znów wzruszyła ramionami. W jej rodzinie nie było zwyczaju obejmowania się ramionami, jeśli nie liczyć babci, którą rzadko widywała. Nawet z Posey się nie obściskowały.

– Oswój się z dotykaniem ludzi podczas rozmowy. Muśnij dłonią rękę. Dotknij ramienia. Obejmij na powitanie i potem na pożegnanie. W ten sposób, kiedy będzie trzeba to zrobić, zachowasz się naturalnie.

– Dobra – zgodziła się Charlie i upiła spory łyk frappuccino. Może i była to bardzo mądra rada, ale doskonale wiedziała, że z niej nie skorzysta.

– No dobrze, dobrze. – Pani Presto wstała. – Zaczekam na ciebie w Macy's. Muszę zwrócić te buty.

– A co ja mam robić? – spytała Charlie, już się domyślając, że odpowiedź nie przypadnie jej do gustu.

– Ty znajdziesz tych ludzi, których obrobiłaś, i oddasz im te rzeczy.

Pani Presto obdarzyła ją tym swoim tryumfalnym uśmiechem, jakby wyciągnęła królika z kapelusza, po czym poszła sobie, a torba, którą trzymała w dłoni, sprawiała wrażenie o wiele cięższej niż na początku ich wyprawy.

Przez godzinę Charlie zdołała oddać klucze i portfel, pozostałych ofiar już jej się nie chciało szukać. Rand czekał na nią przed Macy's.

– Słyszałem, że byłaś dobra – powiedział, kiedy się zbliżyła. – Naprawdę dobra.

– Tak? – spytała.

– Tylko żeby ci woda sodowa do głowy nie uderzyła, mała – powiedział i się roześmiał.

Jednak zabrał ją na hamburgera i mogła zjeść tyle orzeszków, ile chciała, i w ogóle zamówić sobie cokolwiek, z czego wynioskowała, że istotnie otrzymała wysokie noty od pani Presto.

Charlie siłą rzeczy cieszyła się, że ma naturalny talent kieszonkowca, ale najbardziej lubiła włamanie.

Uwielbiała przebywać w przestrzeni należącej do kogoś innego. Chodzić po cudzych dywanach. Przymierzać ich życie w taki sposób, jak przymierza się czyjeś ubrania.

Poza tym najczęściej to było łatwe. Wielkie, drogie domy bogaczy miały mnóstwo drzwi, więc zazwyczaj dało się znaleźć takie, które były otwarte. Czasami klucz leżał pod wycieraczką. A jak nie, zawsze znalazło się niedomknięte okno. Wyczekiwała chwili, kiedy nikt nie przejeżdżał, i dyskretnie wnikała do środka. Mało kto miał system alarmowy, a jeszcze rzadziej taki system był włączony.

Kiedy Rand posyłał ją na robotę, najczęściej miała za zadanie znaleźć coś szczególnego. Pierścionek z wielkim szafirem. Zabytkowe serwetniki ze złotego filigranu cieniutkiego jak pajęcza sieć. Pierwsze wydanie *Sokoła maltańskiego* z autografem autora, które – jak głosiła wieść – miało pójść na aukcji za sto kawałków. Wcielała się w heroicznego kryminalistę, takiego jak na filmach. Takiego, który nigdy nie zniżyłby się do kradzieży telewizorów.

Jednak czasem Charlie wsiadała na rower, jechała na drugi koniec miasta i włamywała się na własny rachunek.

Kiedy była mała, ojciec pracował dla firmy instalującej baseny i luksusowe wanny. Czasami zabierał ją ze sobą, a wtedy mogła się gapić na ogromne gmaszyska, wymanikiurowane gazony i błękit wody niczym ze zdjęć w kalendarzu.

Teraz, kiedy ojciec spotykał się z Charlie oraz Posey, zabierał je na lody i zachowywał się, jakby wszystko nadal było w najlepszym porządku. Bez znaczenia, że ożenił się powtórnie, a jego żona zaszła w ciążę i zdecydowanie nie chciała mieć nic wspólnego z jego dwiema córkami z pierwszego małżeństwa.

Ojciec życzył sobie, żeby córeczki były uśmiechnięte i szczęśliwe. Żeby miały rumiane policzki, chichotały i radośnie wołały chórem „pa, tatusiu!” na jego „no to na razie, moje córy” – zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy były małe i wierzyły, że zawsze będą kochane. Musiały grać w tę grę, inaczej stawał się nieobecny i niemły. Jeżeli zaczynały narzekać i robiły się marudne, kompletnie je ignorował.

Tak więc, kiedy Charlie próbowała skarżyć się na Travisa, albo zwierzyć się ojcu ze swoich zmartwień czy obaw, nudziło go to, przenosił uwagę na jej siostrę. A jeżeli Posey także nie spełniała oczekiwań, po prostu od razu odprowadzał je do domu.

Jego miłość ojcowska była całkowicie warunkowa i wcale nie próbował tego ukrywać.

Natomiast te domy, do których dawniej ją zabierał... Właśnie do tych domów się włamywała, kiedy działała sama.

Charlie zaglądała do lodówek, robiła sobie kanapki z tym, co w nich znalazła. Z tuńczykiem i piklami. Z kimchi, z polędwicą wieprzową. Z tofu i brie. Przymierzała ubrania z ich szaf, wylegiwała się w ich łóżkach oraz czasem, kiedy była pewna, że

mieszkańcy domu wyjechali na wakacje, pływała sobie na plecach w tych krystalicznych basenach zbudowanych przez jej ojca i gapiała się na chmury.

Udawała, że te rodziny to jej rodziny. Że wkrótce ktoś ją zawoła, żeby odrobiła lekcje i nakrzyczy na nią, że nie posmarowała się kremem z filtrem i do tego jeszcze zostawia mokre ślady na dywanie.

W jednym z tych domów obejrzała program telewizyjny, do którego zaproszono umbromantkę. Towarzyszyło jej troje modeli jako żywa ilustracja zmodyfikowanych cieni. Jeden z tych cieni miał sylwetkę ptaka. Drugi w środku piersi wycięty kształt serca. A trzeci nosił koronę na cienistej głowie.

Kiedy prowadzący program spytał o inne zastosowania magii, umbromantka się roześmiała.

– A to nie wystarczy?

– Dlaczego tak długo kryliście się przed światem? – Brzmiało następne pytanie prezentera.

Charlie objadała się ukradzionymi lodami i z łyżką do zupy w dłoni słuchała wyjaśnień tej kobiety – że wcześni umbromanci nie wiedzieli nawzajem o swoim istnieniu. Każdy z nich dokonywał swoich odkryć w odosobnieniu, po czym całą wiedzę zabierał ze sobą do grobu. Zachowało się co prawda kilka listów, które czasami wymieniali między sobą, jeden czy drugi telegram z lat czterdziestych. Jednak cokolwiek zaczęło się zmieniać dopiero w latach osiemdziesiątych, wraz z pojawieniem się pierwszych BBS-ów. Współczesna praktyka umbromancji rozwinęła się w znacznym stopniu za pośrednictwem list dyskusyjnych i na zamkniętych forach, aż wreszcie w całym świecie ludzie obdarzeni przebudzonym cieniem zdali sobie sprawę, że nie są odosobnionymi odmieńcami.

Na Charlie największe wrażenie zrobił model, którego cień miał wyciętą w klatce piersiowej dziurę. Zastanawiała się, jakie to może być uczucie.

Z tych domów, do których włamywała się samotnie, nigdy niczego nie wynosiła.

10

AMOK

Patrząc na trupa leżącego na środku podłogi w Rapture, Charlie zdawała sobie sprawę, że powinna coś zrobić, ale wstrząs był zbyt potężny i nie mogła się ruszyć. Vince – jej Vince, taki opanowany, że zachował spokój, nawet kiedy ktoś go popchnął – właśnie kogoś zamordował.

I jeszcze nie wiedział, że go widziała.

Gdyby z powrotem położyła się w kałuży zmieszanego alkoholu i okruców szkła, mogłaby udawać, że przez cały ten czas była nieprzytomna. Dopiero gdyby ją dotknął, zamrugałaby niczym Królewna Śnieżka, która dopiero co pozbyła się kęsu zatrutego jabłka tkwiącego w jej gardle. Wtedy mógłby sklecić dowolne kłamstwo. „Zwłoki? Jakie zwłoki? A, faktycznie ktoś tu leży. Pewnie się poślizgnął na skórcie od banana”.

Charlie wyprostowała się z trudem, przytrzymując się kontuaru. Postarała się, by jej głos wyrażał zaskoczenie.

– Vince? Skąd się tu...

W świetle reflektorów jego rysy były ostre i przypomniała sobie, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, jeszcze zanim się odezwał, budził w niej lęk.

Obserwował, jak Charlie patrzyła to na niego, to na trupa, jak dostrzegła, że Hermes ma głowę przekręconą w niewłaściwą stronę. Twarz Vince’a była zdumiewająco pozbawiona wyrazu.

Masz być zaskoczona – pouczyła siebie Charlie. To wszystko naprawdę jest zaskakujące.

– Odszedł – stwierdził Vince, podchodząc do niej. – Krwawisz.

Zabawne, że załatwił Hermesa, ale nie powiedział, że facet nie żyje. Posłużył się eleganckim eufemizmem. „Odszedł”. Hm.

Pewnie, że odszedł, nawet bardzo daleko.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała Charlie, chociaż wcale nie była tego taka pewna.

Bolało ją w miejscach, gdzie trafiły spadające butelki. Czuła też pieczenie płytkich skaleczeń i chyba miała szkło za dekoltem. A w myślach chaos.

A pośrodku podłogi leżał trup.

Trup, którego cień wciąż się poruszał, szarpał się i naciągał więź łączącą go z brodaczem, jakby chciał się uwolnić.

Charlie wzdrygnęła się, groza przenikała ją aż do trzewi.

– Co... Co to jest?

– Uspokoi się za parę minut – odpowiedział Vince po dłuższej chwili.

Oboje spoglądali na wijący się cień.

– Czy to struposz?

Charlie nie wiedziała dokładnie, na czym polega wymiana energii u umbromantów, orientowała się jednak wystarczająco, by wiedzieć, że im więcej z siebie magicy wkładają w cień, tym cień staje się potężniejszy. Umbromanta może pozwolić, żeby cień ciągnął energię bezpośrednio od niego, ale może też karmić go kawałkami siebie – niepotrzebnymi już wspomnieniami, wstydliwymi pragnieniami, utrudniającymi życie emocjami – przekazując to wszystko cieniowi. Po śmierci umbromanty taki cień stawał się zmorą, czyli struposzem. Samodzielnym bytem, nie tylko oddzielonym od istoty ludzkiej, ale w ogóle od człowieczeństwa. Większość z nich niewiele się różniła od zwierząt, takie cienie umbromanci tropili i starali się likwidować. Niektóre potrafiły myśleć i rozumować. Charlie raz czy drugi widziała struposza, ale nigdy się nie spodziewała, że kiedyś będzie świadkiem narodzin zmory.

Vince nie spojrział na nią.

– Niewykluczone.

Charlie przypomniała sobie cień Paula Ecco. Był poszarpany, być może umyślnie sponiewierany przez coś, co zabiło jego właściciela. Pomyślała też o Vinsie, który najwyraźniej wiedział o umbromancji dużo więcej, niż sądziła.

– Czy on umiera? – spytała stłumionym głosem.

Przytaknął.

– O ile ktoś go nie oddzieli albo sam się nie uwolni, to tak, umrze.

Pamiętała uczucie wdychania cienia w płuca. A przedtem wymierzone przez niego uderzenie. Być może powinna się litować nad jego agonią, ale raczej cieszyła się, że nie może jej osiągnąć. I jeszcze bardziej się ucieszy, kiedy będzie już po nim.

Vince potrząsnął głową.

– Jest tu ktoś oprócz ciebie?

Charlie spojrzała w stronę zaplecza. Odette i tamci dwaj wycofali się do tylnego wyjścia, za scenę, natomiast możliwe, że nie wyszli na zewnątrz, że któreś z nich albo wszyscy zamknęli się w jej gabinecie.

– Ktoś może jeszcze być.

Skinął głową.

– Muszę zanieść zwłoki do wozu. Poradzisz sobie sama?

– Mówiłam ci, że nic mi nie jest.

Charlie oparła się dłońmi o bar. Trochę jeszcze jej się kręciło w głowie, ale poza tym było okej.

Chyba nie całkiem go przekonała, ale nie było czasu na spory.

Wyszła z baru, ostrożnie i powoli stąpając po szkle. Kilka kawałków już się wbiło w podeszwy crocksów, przez co źle jej się szło, a na dodatek z każdym krokiem wydawała ostry odgłos, jakby to były buty do stepowania.

Szklane pantofelki.

Charlie niepewnym krokiem dotarła do jednego ze stolików. Wciąż jeszcze paliła się na nim świeczka w czerwonym szkle, stearyna dawno przybrała całkiem płynną postać, brzegi naczynka były okopcone.

W tej samej chwili struposz uwolnił się i od razu rzucił na Charlie.

Gdy mamy do czynienia z przebudzonymi cieniami, onyks przydaje się na dwa sposoby. Osłabia je i jednocześnie nadaje im materialną postać, toteż, choć wydają się zrobione z niczego, można je przeciąć onyksowym nożem. Jednak Charlie nie miała przy sobie ani okruszka onyksu, natomiast wiedziała, że na cienie jest jeszcze drugi sposób – ich przeciwieństwo, ogień.

Charlie złapała świeczkę, nie zwracając uwagi na gorący воск spływający po jej dłoni i rozpalone szkło, które parzyło w palce. Cisnęła świeczką w struposza, płomieniem do przodu. Stanął w ogniu i spłonął w mgnieniu oka jak sucha, czarna bibuła.

Przez chwilę spoglądała na stłuczoną obudowę świeczki, na rozlaną stearynę. Na swoje poparzone palce.

Vince spoglądał zaś na nią.

– Niezły refleks – stwierdził.

Charlie usiadła ciężko na krześle. Skinęła głową.

Vince dźwignął zwłoki na ramię, jak zastrzelonego na polowaniu jelenia czy inną zwierzynę. Ruszył w stronę wyjścia z Rapture.

Czy to pierwszy człowiek, którego zabiłeś? Charlie miała ochotę go o to zapytać. Ugryzła się w język. Jego robota polegała na uprzątnięciu krwawych i rozkładających się ludzkich szczątków. Charlie chciała uwierzyć, że to dzięki temu zyskał inną perspektywę pod względem obchodzenia się z umarłymi, że dlatego był taki spokojny. Tylko że zamordować kogoś to jednak zupełnie co innego.

Brat jej byłego chłopaka – tego, który potem do niej strzelał – siedział w więzieniu za napad na sklep monopolowy. Opowiadał jej, że po pierwszym zabójstwie umysł przestaje sprawnie działać. Ludzie dostają amoku, panikują. Właśnie dlatego popełniają elementarne błędy, nawet jeśli wszystko było przemyślane i dobrze zaplanowane. Postępują zupełnie irracjonalnie, na przykład bez problemu wpuszczają

do domu policję, chociaż cała sypialnia jest zachlapana krwią. Albo samochód, którym chcą przewieźć zwłoki, wynajmują na własne, prawdziwe nazwisko.

Popatrzyła na te swoje głupie rowerowe szorty, obcisłą sukienkę przesiąkniętą teraz alkoholem. Na łydkach – tam, gdzie trafiły odłamki szkła – dostrzegła kropelki krwi, a kiedy popatrzyła na wierzch swoich dłoni, ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że także krwawią.

Ale też trudno było winić Vince'a za to, co się stało. Niezależnie od tego, jaką skrywał tajemnicę, nadal mogła na niego liczyć. Właśnie pozbywał się dla niej zwłok. Trudno o lepszy dowód lojalności.

Mimo woli zaśmiała się cicho. Dziwacznie to zabrzmiało.

Jej wzrok padł na deski podłogi i własny cień. Zmrużyła powieki raz i drugi, czekając, aż wzrok się wyostrzy. Cień jakby drżał. Czyżby Hermes coś z nim zrobił?

To ją zastanowiło, pochyliła się i wyciągnęła rękę. Dłoń i jej cień spotkały się, jak zawsze. Kiedy podniosła się, została na podłodze smużka krwi z pokaleczonych palców.

Drgnęła nerwowo, bo odezwał się dzwonek telefonu stacjonarnego za barem.

Charlie pokuśtykała z powrotem.

– Słucham?

– Och, moja droga – odezwała się Odette, niczym gwiazda z przedwojennego filmu.

– Słyszałam straszny hałas, a potem wszystko ucichło.

– Jesteś u siebie w gabinecie? – spytała Charlie. Z zawstydzeniem stwierdziła, że jej głos nie brzmi tak spokojnie, jakby sobie tego życzyła. – Poszedł sobie, ale zrobił straszny bałagan. Dobrze, że nie zostałam.

Odette się rozłączyła. Chwilę potem Charlie usłyszała odgłos otwieranych drzwi dochodzący z dwóch różnych stron: Odette wkroczyła do pomieszczenia, a jednocześnie przez podwójne drzwi wszedł Vince.

– Czy policja już jest? Od razu po nich zadzwoniłam, trochę czasu już minęło.

Spoglądała na nich i na wnętrze swojego klubu, oszołomiona zarówno ogromem zniszczenia, jak i obecnością Vince'a.

– Nikogo prócz nas tu nie ma.

Charlie nagle zdała sobie sprawę, że jednak wcale nie czuje się dobrze. Jej ręce się trzęsły. Pomyślała, że chyba musi usiąść. A potem, że nie jest pewna, czy zdoła dojść do krzesła.

Odette mówiła dalej:

– Znasz tego człowieka? Chciałam wyciągnąć broń z sejfu, ale nie mogłam sobie przypomnieć kombinacji.

Charlie uklękła na podłodze, zmusiła się, żeby kilka razy głęboko odetchnąć. Wiedziała, że to pomaga, kiedy grozi atak paniki. Miała wszelkie podstawy, by sądzić, że tym razem zapowiada się atak gigant.

– Słucham?

– No, chodzi o tego faceta. – Odette spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi. – Zachowywał się, jakby cię znał. Nie wiem, może lepiej, żebyś wstała. Na krześle będzie ci wygodniej. Tu jest nieposprzątane.

– Pierwszy raz go widziałam. Jemu się wydawało, że kogoś tam znam, ale nie znam. Nie wiem, o co mu chodziło. – Może to Charlie popadła właśnie w taki amok. – Nie, dziękuję. Dobrze mi tutaj.

Odette usiadła na stołku przy barze. Spojrzała po półkach ogołoconych z butelek i westchnęła głęboko.

– Nie rozumiem już tego świata, chyba się starzeję.

Charlie odpowiedziała:

– Skąd znowu.

– Widziałaś, co on zrobił? Ze swoim... – Odette urwała, spojrzała w stronę wejścia, tak samo jak patrzyła wtedy, kiedy magia nadciągała w stronę Charlie. – W gabinecie cieni u Balthazara miałam okazję podziwiać cudowną stronę umbromancji, nie tę okropną.

– No – przytaknęła bezmyślnie Charlie.

– To było potworne. – Odette spojrzała na Vince'a, potem znów na Charlie. – Myślisz, że to ma coś wspólnego z Balthazarem?

– Ten facet szukał gościa, którego wywalili zeszłej nocy – odpowiedziała po chwili. – Więc może tak?

– A dlaczego akurat ciebie o niego pytał? – zastanowiła się Odette.

Dobre pytanie.

Charlie myślała jeszcze nad jakimś sensownym wytłumaczeniem, kiedy przerwał im Vince.

– Macie tu gdzieś apteczkę? Ona krwawi.

– Och, oczywiście. W moim biurze. – Odette zsunęła się ze stołka.

– Wystarczy, że mi powiesz, gdzie... – zaczęła Charlie, ale Odette jej przerwała.

– Nie wygłupiaj się. Wszystko przyniosę.

Odette zniknęła na zapleczu.

Charlie westchnęła, starała się nie patrzeć na swój cień, który może się poruszał, a może i nie. I mogło to coś znaczyć, a może nic.

– Nic mi nie jest.

– Wiem.

Vince przykucnął obok niej, przesunął delikatnie dłońmi wzdłuż jej ramion, szukając skaleczeń. Jego palce były delikatne i uważne. Tak samo jak jego pocałunki. Nie jak brutalne, tępe uderzenie w szczękę.

– Vince?

Wziął ją za rękę i uśmiechnął się tak, jak powinien się uśmiechać troskliwy chłopak do swojej sponiewieranej dziewczyny. Chłopak, który nie wierzy, że ktoś podsłuchał, jak coś mówi o magii. Który miał nadzieję, że ona nie wie. Albo że jej nie przeszkadza, że zabił.

Odette wróciła z apteczką, gadała przez telefon przyciśnięty ramieniem do policzka.

– Wiem, wiem. Gdybym dzwoniła z Friday's, już dawno ktoś by tu był. – Bezceremonialnie postawiła ciężką czerwoną torbę z kaduceuszem obok Vince'a. – Ja wiem, moje podatki nie są takie dobre jak inne, bo mam pejcz na szyldzie, prawda?

Vince przeszukał apteczkę, wyciągnął z niej gaziki, które zmoczył wodą ze zlewu przy barze.

– Kilka kawałków szkła utkwilo, chcę je wyjąć.

– Jedź już – szepnęła do niego. – Nie trać czasu.

Miał trupa w samochodzie. Trudno liczyć, że policja przegapi taki drobiazg.

– Chwileczkę.

Otarł nieco krwi.

Potem znalazł w apteczce coś, co przypominało pęsetę do wrywania brwi. Charlie zastanowiła się wtedy, czy w torbie znalazłby się również ratunkowy eyeliner. Znając Odette, było to całkiem prawdopodobne. Szkło łatwo dało się wyjąć. Na widok odłamka, lśniącego kawałka butelki po ginie Bombay Sapphire, Charlie zrobiło się odrobinę słabo. Trochę miała ochotę strzelić sobie kielicha, ale akurat w tym momencie nie byłby to dobry pomysł.

– Jeżeli policja nie zjawi się w ciągu dziesięciu minut, obudzę burmistrza – fuknęła Odette do telefonu. – Zapewniam!

Charlie nie miała pojęcia, czy Odette rzeczywiście zna burmistrza, nie można było tego wykluczyć.

– Zobaczmy się w domu – powiedział Vince. Nie przestawał bandażować jej nogi, pewnymi, oszczędnymi ruchami, tak jakby i to już nie raz wcześniej robił, nie tylko zabijał.

Charlie odetchnęła głęboko, wypuściła powietrze. Cały ten wieczór był jak długie spadanie na dno studni. I jeszcze się nie skończył.

– No jedź, jedź. Pospiesz się.

Vince wstał, dotknął dłonią jej ramienia, po czym skierował się do tylnego wyjścia.

– A ten dokąd? – obruszyła się Odette.

Stała za barem, przeglądała szuflady, wyciągała z nich zapasowe serwety i paczki mieszadełek do drinków.

– Nie ma ochoty zadawać się z glinami. – Charlie z pewnym trudem wstała. – Czego szukasz?

Odette uniosła wytatuowane brwi, a kiedy stawało się jasne, że Charlie nie udzieli więcej wyjaśnień dotyczących Vince'a, odpuściła.

– Starej paczki goździkowych papierosów. Wiem, że gdzieś tutaj je schowałam, ale to było pewnie z pięć lat temu. A może dziesięć? Potrzebuję czegoś na uspokojenie. Ręce mi się trzęsą. Może powinnam wziąć gumę.

– Może – zgodziła się Charlie.

– Też chcesz? – spytała Odette.

Kusiło ją, ale jednak pokręciła głową. Nie napiła się, więc nie było sensu uciekać się do czegoś, co nie miałoby natychmiastowego działania.

Odette wyciągnęła z torebki plastikową butelkę, otworzyła ją i wysypała prosto do ust kilkanaście sztuk gumy z THC. Znaczyło to, że za pół godziny albo straci przytomność, albo będzie chodzić po ścianach.

– Nie mów im, że Vince tutaj był, dobrze? – poprosiła Charlie.

– No, niech ci będzie – przystała z ociąganiem Odette. – Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego ich unika.

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedziała Charlie, wymyślając na poczekaniu historyjkę: – Pewnie trudne dzieciństwo. Ma uraz do gliniarzy. Nie on jeden. Jakies dawne sprawy, a w tej chwili przeszłość się nie liczy.

– Och, moja droga. – Odette położyła dłoń na ramieniu Charlie, ucisnęła lekko. – Przeszłość to jedyne, co się liczy.

Policja zjawiła się kwadrans później, na sygnale, tak jakby nadciągała w ogromnym pośpiechu, a nie dowlokła się pięćdziesiąt pięć minut po wezwaniu. Odette wpuściła funkcjonariuszy do środka. Detektyw o nazwisku Juarez spisał zeznanie Charlie – o facecie, który wepchnął się do lokalu po zamknięciu i zdemolował wewnątrz. Skrzywił się, dopiero kiedy Odette mu powiedziała, że nie ma żadnych kamer, bo jej goście cenią sobie dyskrecję. Nie padło ani jedno słowo o cieniach czy magii.

Detektyw Juarez oznajmił, że spisze raport, a następnego dnia zjawi się fotograf i ktoś z ekipy technicznej, żeby udokumentować szkody. Potem wręczył Odette wizytówkę i powiedział, że będą w kontakcie. Osobiście Charlie wątpiła, żeby Odette jeszcze kiedykolwiek miała z nim do czynienia.

JAKAŚ JAŚNIEJSZA GWIAZDA

Charlie wsiadła do corolli i włączyła silnik, przez chwilę rozkoszowała się ciepłym powietrzem z nawiewu. Na fotelu obok leżała torba, a w niej połyskliwa sukienka i peruka, która miała jej posłużyć jako maskowanie w hotelu. I cóż, jej chytre plany dotyczące Adama oraz księgi wzięły w łeb.

Zegar na desce rozdzielczej pokazywał wpół do trzeciej. Jednorazowy telefon miał teraz pękniętą szybkę, a pod nią widniały trzy coraz wścieklejsze esemesy, aż po ostatni z pogrózką, że jeśli Amber go zwodzi, to jej rozwali łeb. Wystukała odpowiedź z wykrętem o zepsutym samochodzie, ale nie dostała potwierdzenia odbioru. Pewnie zablokował jej numer. A tymczasem Vince powinien już czekać na nią w domu.

Charlie oparła czoło o kierownicę i wzięła drżący wdech.

Przynajmniej dobrze, że wóz udało się uruchomić. Pojechała do domu, nadkładając drogi, nie miała ochoty mijać miejsca, w którym zaprzeszłej nocy widziała truchło Paula Ecco.

Van Vince'a nie stał pod domem.

Oczywiście, że go nie było. Pozbywał się ciała i kto wie, ile czasu to może zająć i co trzeba w tym celu zrobić. Zmęczony umysł Charlie usłuźnie przywołał sceny z filmów – bloki betonu przywiązane do nóg, kadzie pełne kwasu, maszyny do rozdrabniania drewna.

Kiedy wysiadła z samochodu i stanęła na sztywnych, drżących nogach, przypomniało jej się, jak to było, gdy wracała do domu z roboty.

Z roboty, czyli po jakimś starannie zaplanowanym i gorączkowo zrealizowanym włamie – do świata, który w takich chwilach wydawał jej się obcy. Teraz tak samo nierealny był ten mały trawniczek, który ktoś powinien przystrzyc i ten sam ganek z niepodłączoną brudną, przewróconą na bok latarnią z Targetu.

Kiedy otworzyła drzwi, ogarnęło ją znużenie, adrenalina przestała działać.

Posey stała przy kuchni, smażyła na patelni posiekane mięso z cebulą. Spojrzała na Charlie i wydała cichy okrzyk przerażenia.

– Rany, co ci się stało?!

– Jakiś koleś wparował do Rapture. Szukał kogoś. To znaczy tego faceta, o którym ci mówiłam, tego z poszarpanym cieniem. Trochę oberwałam.

Posey oparła dłoń o biodro.

– Trochę?

Charlie zmusiła się do wzruszenia ramionami.

– Mogło być gorzej. Co tam pichcisz?

– Spaghetti bolognese. Nieważne. Może byś mi powiedziała, co się dzieje?

Coś trzeba było odpowiedzieć. Tymczasem Charlie potrzebowała odrobiny czasu, żeby na nowo uruchomić swój mózg.

– Najpierw wezmę prysznic. Mam ciuchy nasiąknięte wodą. Po pierwsze to śmierdzi, a po drugie cholernie piecze, bo jestem pokaleczona od stłuczonego szkła.

Posey gwałtownym ruchem zamieszała mięso metalową szpatułką.

– A gdzie Vince? Myślałam, że po ciebie pojechał.

– Posłałam go, żeby dokupił trochę bandaży.

Kiepskie kłamstwo, zwłaszcza o tej porze, ale przecież byli taką właśnie rodziną. Jak nietoperze, aktywni nocą. Praca do późnych godzin, imprezy do rana i zakupy w nocnym sklepie. Zanim Vince wróci z pustymi rękami, Posey zapomni, będzie miała czym zająć myśli, kiedy usłyszy historię o spotkaniu pierwszego stopnia z magią.

Posey wyraźnym wysiłkiem woli powstrzymała się przed kolejną perorą o tym, jak to Vince'owi wyraźnie czegoś brakuje, jeśli chodzi o duszę, a tymczasem Charlie zdołała się schronić w łazience.

Siostra знаła przeszłość Charlie jako złodziejki. Dostała od niej parę książek, cyfrowych kopii – nieco podejrzanych, ale tak czy inaczej interesujących, a raz nawet cienki tomik poświęcony magii cienia, notatki z początku ery przemysłowej. Charlie starała się natomiast oszczędzić Posey tych straszniejszych opowieści. O tym, że kilka razy mało brakowało, żeby wpadła. O przekrętach, które mogły się bardzo źle skończyć. O tym, jak umbromanci używają magii przeciwko sobie nawzajem i przeciwko ludziom nieposiadającym obudzonych cieni.

Łatwiej było opisywać swoje wyczyny jako serię przygód. Jeśli tylko Charlie zdoła się pozbierać, z pewnością i tym razem uda jej się i to wydarzenie przedstawić jako błahy incydent.

W ciasnej łazience znajdowały się umywalka i prysznic z brodzikiem. Odgradzała go zawieszona na plastikowych kółkach zasłonka ze sklepu Wszystko za Dolara, woskowata od zaschniętego mydła. Charlie odkręciła kran, puściła wodę tak gorącą, jak mogła wytrzymać.

Kiedy w powietrzu zrobiło się gęsto od pary, Charlie zdjęła z siebie ubranie. Choć już przedtem postarała się wytrześć włosy i sukienkę, znalazła jeszcze na skórze drobniutkie odłamki szkła. Zwinęła w wałek kolarskie szorty, zamoczyła i wycisnęła, po czym użyła ich, żeby zdjąć z siebie resztkę lśniących igiełek. Kiedy się z tym

uporała, zwinęła wszystkie ciuchy i wepchnęła je do małego metalowego kosza na śmieci. Nie miała zamiaru nigdy więcej nosić tych rzeczy.

Przeszedł ją dreszcz, gdy weszła pod strumień gorącej wody. Odór alkoholu uniósł się w ciężkiej chmurze. Zaczęły powracać obrazy z tego wieczoru – deszcz butelek, zadany przez cień cios potężny jak piorun, odbicie Vince’a w lusterkach kuli, przyciśnięty do jego piersi brodaty mężczyzna, pełznąca ku niej gęsta czerń, elektryczny posmak cienia na języku. W jej myślach rozbrzmiewały imiona i nazwiska: Paul Ecco, hierofant, Hermes, Edmund Carver, Lionel Salt. I jeszcze tamten postrzępiony cień i sterczące białe kości.

Charlie zmusiła się, by wycisnąć na dłoń solidną porcję miętowego mydła doktora Bronnera i zaczęła się szorować. Dwukrotnie wymyła włosy. Woda spłukała założone przez Vince’a opatrunki, bandaże wiły się, zmierzając w kierunku odpływu i zatrzymując się na sitku.

Vince’a, który tyle przed nią ukrył. Poczowała ukłucie złości na myśl, że kto jak kto, ale właśnie ona dała mu się wywieść w pole.

A przecież niejedno powinno jej dać do myślenia. Człowiek, który nie ma zupełnie żadnych powiązań – przedziwne, nawet jak na kogoś, kto odciął się od swojego dawnego życia. Nikt nie jest niezapisaną kartą, nie istnieje coś takiego jak ludzka tabula rasa pozbawiona przyjaciół czy wrogów. No i nie ma tak, że kogoś spotykasz i facet z miejsca tak cię lubi, że chce zamieszkać z tobą oraz twoją szurniętą siostrą, a w dodatku zgadza się płacić połowę czynszu, chociaż zajmuje tylko jedną trzecią metrażu.

Z powodu jakiegoś niespłaconego kredytu nie chciał, żeby jego nazwisko figurowało w umowie wynajmu. Dlatego też zawsze używał telefonu na kartę. Dla swojego szefa robił na czarno. Ale przecież to lepiej, dzięki temu przynosił do domu więcej kasy, no nie? Jedno, drugie i trzecie miało sens, patrząc z osobna, natomiast wszystko zebrane razem przyprawiało ją o skurcz żołądka.

Ten facet uratował ci życie.

Co z tego, że miał swoje sekrety. Ocalił ci skórę i temu nie da się zaprzeczyć. Ciesz się, że Hermes zdechł, a ty żyjesz.

Czyżby Vince był umbromantą? Istnieją dwa proste sposoby, żeby to sprawdzić. Kiedy poświecisz na normalnego człowieka dwiema lampami o zbliżonej mocy, ale znajdującymi się w pewnej odległości od siebie, taki człowiek rzuca dwa cienie. Cień przyspieszony się nie rozdwaja. Drugi sposób, to sprawdzić język – większość pomroków ma język rozwidlony.

Język Vince’a był normalny, a skoro stracił swój cień, nie było jak sprawdzić, czy się rozdwaja. Ale jeżeli nie był umbromantą, to kim był? Co za sobą zostawił?

Stanąła bosymi stopami na kafelkach, ociekając wodą. Tarła ciało ręcznikiem z takim wigorem, że zrobiło się różowe i drażliwe. Kiedy wkładała już szlafrok, przez okienko wpadło światło reflektorów i zaraz znikło. Vince zajechał pod dom. Jednak kiedy wróciła do pokoju, nie zastała go przy stole, chociaż jedzenie już czekało, nad miską spaghetti unosiła się para.

Nałożyła sobie porcję i siadła, nawinęła na widelec makaron z czerwonym sosem.

– Charlie – odezwała się Posey.

– No?

W głosie siostry pobrzmiwało coś takiego, że spojrzała na nią z niepokojem.

Posey wpatrywała się w linoleum.

– Z twoim cieniem jest coś nie tak – powiedziała Posey ściszym głosem.

Charlie spojrzała w tamtą stronę. Cień nie marszczył się jak przedtem, natomiast poruszał się z pewnym opóźnieniem w stosunku do jej ruchów. Poza tym powtarzał dokładnie wszystko, co robiła, ale Charlie odniosła niepokojące wrażenie, że raczej ją przedrzeźnia.

– Rzeczywiście, co to może znaczyć?

Charlie przypomniał się artykuł pod tytułem „Jak pobudzić swój cień – dziesięć łatwych sposobów”, widziała go na BuzzFeed. Założyć foliowy worek na głowę. Wstrzymać oddech pod wodą. Walnąć się młotkiem w rękę. Zapomnieli tylko o jednym sposobie: stać się obiektem ataku cienia.

Posey skrzywiła się, jakby usłyszała wyjątkowo niestosowny żart. I faktycznie, to byłoby wyjątkowe świństwo, gdyby Charlie dostało się to, czego Posey tak usilnie pożądała. Nikt nie wie, dlaczego niektóre cienie doznają przebudzenia, inne zaś nigdy. Wygląda na to, że wstrząs albo ból są ważnym składnikiem, ale nie można określić tego sposobu jako niezawodny. Gdyby się zdarzyło, że Charlie posiada magiczne zdolności, cóż, trudno było nie oczekiwać, że siostra ją znienawidzi.

– Powiesz mi wreszcie, co się zdarzyło? – spytała Posey, wyraźnie chcąc zmienić temat.

Charlie westchnęła.

– Przyszedł taki jeden z cieniem zmieniającym kształt. W pewnym momencie cień się stał materialny, zdemolował knajpę, no i mnie też zdemolował.

– To z jakiegoś gangu?

Charlie pomyślała o Salcie, ale pokręciła głową.

– Nie, chyba działał na własny rachunek.

Siostra nie sprawiała wrażenia przekonanej.

– A nie zwinęłaś mu czegoś?

– Nie. Nic z tych rzeczy.

Charlie wstała, zniosła do zlewu talerz z niedojedzoną porcją. Przez okno zobaczyła białego vana stojącego na podjeździe. Zaparkowanego, ze zgaszonymi światłami. Za kierownicą chyba nikogo nie było. Przypomniała sobie błysk reflektorów w oknie łazienki.

– Vince wrócił, jak byłam pod prysznicem?

Posey wzruszyła ramionami, jakby akurat to w tej chwili najmniej ją obchodziło.

– Nie, chyba bym zauważyła.

– Sprawdzę, co się z nim dzieje.

Charlie wsunęła bose stopy w robocze buciory zostawione przez Vince'a przy drzwiach. Były potężnie ubłocone, poza tym o wiele za duże, jej stopy ślizgały się w nich, ale pomyślała, że jakoś doczłapie.

– Co ma się dziać? Nic mu nie jest – stwierdziła Posey i wstała. – A ja pogadam z przyjaciółmi. Jesteśmy umówieni na czat.

– Nie wolno ci nikomu opowiadać o tym, co się dzisiaj zdarzyło – zastrzegła Charlie.

– Nie muszę przecież mówić, że to moja siostra miała kontakt – oburzyła się Posey, jakby sama myślała o tym, żeby tego nie rozpapać, była po prostu śmieszna.

– Nikomu! – powtórzyła z naciskiem Charlie.

– Dobra – odpowiedziała Posey i wyciągnęła telefon, żeby sfilmować cień Charlie. Widząc minę siostry, ostentacyjnie westchnęła. – No przecież tylko próbuję się zorientować, co się dzieje z twoim cieniem.

Charlie była pewna, że Posey prędzej czy później wyrazi to przypuszczenie: jej cień się przebudził. Na szczęście jednak jeszcze tego nie zrobiła. A jeśli nawet Charlie czuła się odrobinę zawiedziona, łatwo było o tym zapomnieć.

Powędrowała na zewnątrz, odgłos zamykanych drzwi odciął ją od rozmyślań na ten temat. Teraz skupiła się na tym, żeby utrzymać równowagę w za dużych butach Vince'a. Owinęła się ciasniej szlafrokiem, bo wiał zimny wiatr.

Za rogiem domu ujrzała Vince'a siedzącego na schodach prowadzących do tylnego wejścia, gapił się na gwiazdy.

Nie miał na sobie kurtki. Łokcie oparł na kolanach, był w samym T-shircie. Czujnik ruchu zapalił lampę nad tylnym wejściem, przydawała mu blasku, złotej aury. Ćmy krążyły wokół źródła światła, ich maleńkie cienie przesuwają się po jego pozbawionej cienia postaci. Musiał tu siedzieć już od jakiegoś czasu. Kiedy się odwrócił do Charlie, jego twarz pozbawiona była wyrazu. Dotknęła dłonią chłodnej skóry jego ramienia, odetchnął głębiej.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Skinął głową.

Serce jej się ścisnęło na myśl, jak bardzo jej na nim zależy. Właściwie powinna to sobie uświadomić już w domu Barb, kiedy tak się wściekła na Suzie. Albo jeszcze wcześniej, bo niby dla czego tyle razy sprawdzała, czy w jego portfelu wciąż tkwi to zdjęcie? Czy właściwie w każdej chwili, kiedy do niej docierało, że prawie nic o nim nie wie.

Znów spojrzał w górę.

– Myślisz, że gwiazdy mają cienie?

Popatrzyła na niebo. Znajdowali się na tyle blisko Springfield, że światło miasta konkurowało z blaskiem gwiazd, jednak najjaśniejsze gwiazdozbiory wciąż były widoczne. Księżyc kończył już swoją nocną wędrówkę, gotów ułożyć się do spoczynku za horyzontem.

– Pewnie tak, jeżeli trafi się jakaś gwiazda jaśniejsza od nich – odpowiedziała Charlie. Przypomniało jej się, jak wiele miesięcy wcześniej leżała na wersalce i próbowała przekonać siebie samą, że warto poszukać nowej pracy, a w telewizji jakiś facet o głębokim głosie tłumaczył, o co chodzi z tym całym kosmosem. – Na przykład te, które potem stają się czarnymi dziurami. Przedtem robią się bardzo jasne.

Vince skinął głową.

– Kwazary. Rozbłyskują przed śmiercią. Myślę, że faktycznie w ich świetle każda gwiazda będzie rzucać cień.

Charlie pomyślała o tym wijącym się i szarpiącym bycie połączonym z brodaczem Hermesem. I o tym, jak ciężki wieczór Vince ma za sobą – chciał tylko zrobić dobry uczynek i zabrać ją swoim vanem do domu, a tymczasem musiał się pozbywać zwłok. Co z tego, że nie opowiedział jej o sobie, to jeszcze nie powód, żeby mu nie współczuć paru z pewnością nieprzyjemnych godzin. Może i był spokojny, może nie pierwszy raz zabił, ale to wcale nie znaczyło, że jest mu z tym dobrze. Może nie tylko ona starała się trzymać fason. Wyciągnęła rękę, dotknęła jego dłoni.

Drgnął, jakby się tego nie spodziewał.

– Ten facet mógł mnie zabić. – Charlie trudno było ocenić, jak długo leżała nieprzytomna, ale z pewnością chwilę to trwało. – Więc jeśli czujesz się winny, to niesłusznie.

– Nie, nie mam poczucia winy – odpowiedział Vince.

Spojrzała na niego, próbując coś odczytać z jego twarzy. Trochę ją drażniło, że nie potrafi.

– Chodź do środka – zaproponowała. – Jest zimno, a Posey ugotowała spaghetti.

Zerknął na nią z ukosa; Charlie kusilo, żeby go przycisnąć, wypytać. Powiedzieć, że słyszała, co mówił do Hermesa w Rapture. Zażądać, żeby wyjawiał wszystkie swoje tajemnice.

Za długo twój cień żerował dziś w nocy. Niewiele już z ciebie zostało.

Popatrzył na nią bladoszarymi oczami.

– Czuję złość – powiedział. – Nadal jestem wściekły.

Zaskoczona Charlie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć i zaraz je zamknęła.

– Wczoraj wieczorem, kiedy usnęłaś, patrzyłem na twój policzek. Na kosmyki twoich ciemnych włosów. Widziałem czarny lakier na paznokciach. Zastanawiałem się, o czym możesz śnić, że tak pomięłaś prześcieradło. Patrzyłem na ciebie i przeżywałem to wszystko tak intensywnie, że aż po zawrót głowy, aż prawie mnie mdliło. – Spoglądał na srebrzystą trawę gazonu. – Nie powinno się miewać takich odczuć.

Serce Charlie waliło jak młotem. Nigdy przedtem tak do niej nie mówił. Zresztą chyba nikt dotąd jeszcze się tak do niej nie odezwał.

– Vince?

– Kiedy zobaczyłem cię dzisiaj... Co ci zrobił... co ci robił. Chciałem go zabić. Ogarnęła mnie furia, która jest we mnie nadal. Nie, nie czuję się winny. Żałuję tylko, że już nie żyje, bo wtedy mógłbym go jeszcze raz zabić.

Ze zdumienia zaparło jej dech w piersiach. Przecież Vince nigdy się nie złościł. Nigdy nie opowiadał o swoich uczuciach. Nie siedział w ciemnościach i nie rozmawiał o cieniach czy gwiazdach.

– Udawaj, że tego wszystkiego nie powiedziałem. Jeśli możesz, udawaj, że dzisiejszy wieczór w ogóle się nie wydarzył, Charlie.

Uśmiechnęła się leciutko, próbując odzyskać swój naturalny luz.

– To co my tu robimy?

– Co tylko zechcesz.

Pocałował ją. Pocałunek też był inny niż kiedykolwiek dotąd, mocny, prawie do bólu. Ciało Charlie zareagowało gwałtownym przypływem pożądania. Jego wargi powędrowały po policzku Charlie, do szyi; stłumiła jęk. Wbiła paznokcie w mięśnie jego ramion.

Pragnęła go, tu i teraz, na betonowych schodach. Pomimo wszystkiego, co się zdarzyło tej nocy. I to straszne, ale może nawet z powodu tego wszystkiego.

Wcale nie był troskliwy i ostrożny, gdy jego ciało znalazło się nad nią, zamknęło ją w klatce. Miała na sobie tylko szlafrok, który łatwo było rozchylić.

– Powinienem... – odezwał się niepewnym głosem. – Na pewno jesteś...

Obolała. Zmęczona. I co z tego?

Pocałowała go, zanim zdołał skończyć zdanie.

Jedna z jego dłoni przesunęła się po jej żebrach, muskając ranę po kuli, potem powędrowała niżej, rozchyliła jej uda. Jego żądza była szorstka i zarazem bezbronna.

Jakby pierwszy raz jej się ukazał w swojej prawdziwej postaci.

Wsunęła palce w jego włosy. Wgryzła się w usta.

Gniew wciąż pozostawał w jej ciele, przez to pożądanie zapłonęło tym intensywniejszym ogniem, wszystko rozegrało się szybciej, mocniej. Lepiej. Jego głód odpowiedział jej gwałtowności.

Gdy myśli Charlie zawirowały, spojrzała na aluminiowy siding domu. Ujrzała, jak jej cień wygiął plecy i uniósł się ku górze pod nieprawdopodobnym kątem. Bez cienia Vince'a wyglądało to, jakby znalazła się w uściskach demonicznego kochanka. Jakby została opętana. Wyciągała ramiona ku komuś, kogo nie było.

12

PRZESZŁOŚĆ

Latawica Hall, tak mówili na nią w szkole.

„Przeleciałeś latawicę?” – tak pokrzykiwali do siebie chłopcy na jej widok, dziewczyny zadzierały nosa. Cieszyła się więc pewnego rodzaju sławą jako dziewczyna z doświadczeniem, co było o tyle szczególne, że Charlie nie miała absolutnie żadnego doświadczenia. I było upokarzające, że jej ciało jednocześnie przyciąga chłopców i budzi w nich odrazę. Ćwiczenia w grupach stawały się przez to udręką. Wystarczyło zestawić ze sobą stoliki i już taki Matt Panchak głównie zajmował się przesuwaniem obutej w trampki stopy wzdłuż jej nogi, biorąc milczenie za zgodę.

Nieważne, że się chodziło z nim do przedszkola.

Nieważne, że gdy kiedyś na wuefie dostał piłką w brzuch tak mocno, że z wymiotował, to właśnie Charlie zaprowadziła go do gabinetu pielęgniarki.

Wszystko stało się nieważne, teraz była tylko parą nóg z cyckami, a przez to dawała nadzieję na ukojenie wszystkich jego kompleksów.

Także na wuefie, ale w szatni, Doreen Kowalski wypytała kiedyś Charlie o mnóstwo rzeczy: kiedy miała pierwszy okres i czy się goli pod pachami, i o rozmiar jej stanika. Z początku Charlie wydawało się, że Doreen chce się zaprzyjaźnić, ale kiedy już odpowiedziała na jej pytania, tamta pobiegła do swoich koleżanek, a potem wszystkie chichotały. Nie rozumiały, jak to się dzieje, że ramiączka jej stanika wpijają się w ciało, a biustonosze, które były na nią dobre, przywodziły na myśl strój pielęgniarki z jakiegoś starego filmu. Nie było sposobu, żeby im to wytłumaczyć.

Charlie zaczęła używać ciemniejszego eyelinera, nosić obszerniejsze ubrania i cięższe buty.

Rand też nie wiedział, jak się zachować. Wciągnął ją do swoich przekrętów, kiedy miała trzynaście lat, i już wtedy wyglądała na starszą. Kiedy poszła do szkoły średniej, miała ciało dojrzałej kobiety. Nie ułatwiało też sprawy to, że Charlie radziła sobie odrobinę zbyt dobrze we wszystkich kunsztach złodziejskiego fachu. Miała nosa do niedomkniętych okien czy drzwi. Jako doliniara stała się tak zręczna, że Rand nie pozwalał jej za blisko do siebie podejść. Kiedy zaś odgrywała rolę, całkowicie się z nią utożsamiała.

Zrazu bawiło go, że jest mentorem całkiem nawet utalentowanego dzieciaka, ale nie chciał przecież, żeby Charlie go prześcignęła, a już zupełnie sobie nie życzył, żeby stanowiła dla niego konkurencję.

– Jesteśmy tacy sami, ty i ja – przypominał jej w kółko, na wypadek, gdyby zapomniała. – Udajemy, bo jesteśmy dobrzy w udawaniu i dlatego ludzie nas lubią. Ale gdyby wiedzieli, jacy jesteśmy naprawdę, to już by nas nie lubili. Zgadza się? I dlatego musimy się trzymać razem.

Czasem, kiedy wyjątkowo dobrze się spisała, Rand stawał się złośliwy. Zwracał się do niej tym swoim pobłażliwym „Szarlatanka Hall”, wytykał najdrobniejsze pomyłki i odpalał mniejszą działkę, niż na to zasługiwała.

Choć coraz większe umiejętności Charlie przyprawiły go o frustrację, jednocześnie potrzebował jej jako kogoś, komu mógł się zwierzać, przed kim mógł się przechwalać, kogo mógł besztać i pouczać. Jak wiadomo, w złodziejskiej profesji konieczna jest dyskrecja, a tymczasem Rand nie był z natury dyskretny.

Czasem nawet nieźle się bawiła w jego towarzystwie. Na przykład kiedy ją zabierał do Moose Lodge w Chicopee, gdzie notorycznie zalewali pałę starzy wyjadacze fachu, i pozwalał jej kręcić się w pobliżu, siorbać przepaloną kawę oraz wysłuchiwać ich opowieści. W ten sposób poznała paserów i fałszerzy; od Williego Leada nauczyła się, jak manipulować kartami, opowiedział jej też o Leticii, swojej zmarłej żonie i – jak twierdził – niezrównanej mistrzyni w obrabianiu sklepów alkoholowych.

– W końcu dopadł ją rak gardła – powtarzał ze smutkiem. – Gliniarze byli bez szans.

To właśnie w Moose Lodge Charlie zaczęła swoją karierę barmanki. Miała mniej więcej czternaście lat, nalewała szoty, kiedy nikomu innemu nie chciało się tego robić, sporządzała koktajle według przedziwnych zachcianek alkoholowych smakoszy.

– Tylko machnij butelką wermutu nad ginem – instruował ją Benny. – Tak się robi prawdziwe martini.

Jego specjalnością były bogate wdowy, które zawsze umiał zręcznie podejść, nawet kiedy waliło od niego wódą.

Willie gwałtownie protestował; wykrzykiwał, że wermutu musi być jedna czwarta drinka i ani kropli mniej, a Benny to pijak i przepalił alkoholem swój dobry smak, jeżeli w ogóle kiedykolwiek go miał.

– Aha, pijak, co? – zawołał wtedy Benny. – A kto jak nie pijak ma się znać na picciu?

Charlie ich lubiła. Opowiedziała im o babci i o tym, jak rozwaliła dziadka. Najbardziej ich rozbawił szczegół, że dziadek siedział w fotelu BarcaLounger, wprost zarykiwali się ze śmiechu. Willie obiecywał, że któregoś dnia zabiorą Charlie do North Central Correctional Institute w Gardner, żeby odwiedzić starszą panią, ale nigdy tego

nie zrobili. Przez to, że się z nimi zadawała, Charlie zyskiwała poczucie, że może nie jest taka zupełnie do niczego. I co, że się nie nadaje do szkoły, czy że ma takie ciało. I że rodzice jej przyjaciółek tylko na nią spojrzą, a już wiedzą, że jest nieodpowiednim towarzystwem dla ich pociech. Ba, nawet Laura, która znała ją, odkąd miały po osiem lat, zaczęła dziwnie się zachowywać. No i spoko. I Charlie już się nie spodziewała, że matce coś zaświta i się zainteresuje, dlaczego Rand ciągle ją dokądś ze sobą zabiera. Wszystkich ludzi, którzy ją osądzali albo których po prostu nie obchodziła, uznała za frajerów. To ona będzie się śmiała ostatnia!

– W tym biznesie musisz być jak rekin – mówił do niej Benny tym swoim miękkim głosem, przyglądając idealnie zaczesane do tyłu włosy. – Wyczuwać w wodzie zapach krwi. Zęby zawsze na wierzchu! I cokolwiek się dzieje, nigdy nie przestajesz płynąć do przodu.

Charlie wzięła sobie tę radę do serca, po czym, gdy dostała od Randa kasę za kolejną robótkę, zrobiła sobie tatuaż. Zrobiła, bo miała ochotę, ale poza tym chciała sobie udowodnić, że potrafi zrobić w głupa salon tatuażu, bo do osiemnastki brakowało jej jeszcze trzech lat.

Wymagało to zręcznej gadki i sfałszowania pieczęci notariusza, ale dała radę. Miała swoją pierwszą dziarę. Przez jakiś czas trochę bolało, kiedy się ruszała. Na wewnętrznej stronie jej ramienia znalazło się wypisane zamasytą kursywą słowo „fearless” (nieustraszona). Tyle że tatuator trochę dziwnie rozmieścił litery, więc czytało się je bardziej jako „fear less” (bój się mniej).

W każdym razie dziara przypominała jej, jaka chce być i że jej ciało stanowi jej własność. Może sobie po nim pisać, ile tylko zechce.

Umbromancja tymczasem stawała się niemal z dnia na dzień coraz popularniejsza w całym świecie – ku rosnącej fascynacji Randa. Przecież od niepamiętnych czasów wycinał różne numery przyprawione sosem z nauk tajemnych – jak choćby wtedy, kiedy Charlie musiała udawać ducha zmarłego dziecka. Oczywiście świetnie było przy odrobinie zręczności naciąć na kasę naiwną bogatą panią, ale od razu wyczuł, że prawdziwa magia daje nieporównanie większe możliwości.

Za to sztuczki z cieniami nie robiły najmniejszego wrażenia na Williem, który nie omieszkał oznajmić tego na głos w Moose Lodge.

– Jak byłem mały, pojawił się taki jeden, Uri Geller się nazywał. Zginał łyżeczki siłą woli. No i co z tego? Nic. Na cholerę komu pogięte łyżeczki?

Natomiast Benny kogoś znał. Rand wrócił ze spotkania z nim bardzo podkrecony. Powiedział Charlie, że facet obiecał sporą sumę, jeżeli coś mu załatwią.

– Frajer chyba nawet nie wie, jak cenna jest ta księga. To bogaty snob, nie żaden umbromanta. Trzeba go tylko dobrze podejść.

– Ale jeżeli nasz klient jest prawdziwym umbromantą, a frajer nie, to dlaczego umbromanta sam jej nie weźmie? – spytała Charlie. – Przecież mógłby po nią posłać swój cień.

– Dlatego, że jest onyks – odpowiedział Rand, jakby to było coś zupełnie oczywistego. – Od onyksu cienie się materializują, więc już nie mogą się przeciskać przez szpary.

Charlie nadal była sceptycznie nastawiona.

– Ale jeżeli frajer o tym wie, to może z niego wcale nie taki frajer i zna wartość swojej książki.

– Spokojnie to ogarniemy – zapewnił ją Rand. – A jak się dobrze sprawimy, będą następne zlecenia, tak facet powiedział. To nie dla cykorów, ale jak się postaramy, to będziemy bogaci, tego jestem pewien.

Charlie pokręciła z dezaprobatą głową. Rand marzył o jednym wielkim, życiowym skoku tak samo, jak jej matka o wielkiej miłości. Mógłby wtedy żyć sobie wygodnie, tak jak swoim zdaniem na to zasługiwał. Upragniony cel był zawsze tuż-tuż, odrobinę poza zasięgiem ręki. Jak miraż, już za następną wydumą. I za następną. I następną.

– Nasz klient nazywa się Knight, ale więcej ci nie powiem – oznajmił Rand. – Daje nam wolną rękę, byle tylko dostał tę książkę, możemy sobie zwinąć od frajera wszystko, co chcemy.

Charlie to się nie podobało. Zawsze pracowali na własny rachunek. Zlecenie od klienta wiązało się z ryzykiem.

– Wkręciłem nas na spotkanie w domu u tego gościa, Lionela Salta. Rodzinna firma, produkty farmaceutyczne. W tym to jest dopiero kasa, jakieś tam dinksy do chirurgicznych wihajstrów. Poinformowałem go, że ja i moja córka jesteśmy okultystami komunikującymi się z niewidzialnym światem, także z demonami. A te demony pomogą mu przebudzić jego cień.

Rand mówił spokojnym głosem, ale jednocześnie intensywnie podkręcał węża.

– Lionel Salt? – upewniła się. – Ten od samochodu?

Już wtedy wiedziała o istnieniu matowocznego phantoma, wielokrotnie omawiała ten temat z chłopakami w szkole.

– Tak, ten – odpowiedział lekceważącym tonem Rand.

Charlie się zastanowiła.

– Przecież on się nie da na to nabrać. Jakże znowu demony?

Rand jednak nie dał się zniechęcić.

– Naiwny frajer uwierzy w to, w co chce uwierzyć. Chce przebudzić sobie cień, no nie? Oni wszyscy chcą. Więc sprzedamy mu nadzieję.

Tak oto pewnego wieczoru Charlie znalazła się znów w jego samochodzie, ćwicząc wywracanie oczu w taki sposób, żeby widać było tylko ich białka. Trudno było nie zamykać powiek, ale wyglądało to dużo lepiej. I gdyby umiała to robić w dawnych czasach, kiedy channelingowała Alonsa, jej matka na pewno przegoniłaby Trvisa już po pierwszym nawiedzeniu. Efekt był naprawdę świetny.

Charlie miała nadzieję, że zlecenie pójdzie dobrze (albo przy okazji uda jej się gwizdnąć coś dostatecznie wartościowego), i będzie sobie mogła kupić skórzaną kurtkę, którą miała na oku. Przyuważyła ją na wyprzedaży za sto siedemdziesiąt pięć dolarów i chociaż pewnie dałoby się coś stargować, cena i tak będzie wysoka.

– Pamiętasz, jaki jest plan? – spytał po raz tysięczny Rand.

Pewnie, że pamiętała. Rand miał udawać jej ojca i oznajmić, że Charlie (oczywiście używając innego imienia) już kilka lat temu zaczęła opowiadać o swoich kontaktach z jakimiś tajemniczymi istotami. Już miała pójść na leczenie psychiatryczne, ale on wtedy zrozumiał, że córka naprawdę komunikuje się z nadprzyrodzonymi istotami, również tymi z piekła rodem. Dlatego zadbał, żeby rozwijała swój niezwykle metafizyczny talent.

Rand chciał wzbudzić u tamtego faceta coś w rodzaju obrzydzenia. Ludzie wierzą, że kiedy ktoś robi coś naprawdę okropnego, musi z tego mieć konkretne korzyści.

Rola Charlie polegała tylko na zapewnieniu efektów specjalnych. Najpierw miała być cichą, nieśmiałą dziewczynką, a potem dostać konwulsji i obrzygać wszystko dookoła sokiem z buraków, a na koniec dać im „podarunek diabła”.

Bogaci zawsze się uważają za szczęściarzy i że wszystko, czego jeszcze nie mają, da się kupić. Przecież tyle już mają, więc mogą mieć jeszcze więcej. I więcej.

– Powinieneś mnie nauczyć prowadzić wóz – powiedziała, spoglądając na autostradę i połyskujące w ciemnościach światła po drugiej stronie Connecticut River.

– Jesteś niepełnoletnia – zachnął się Rand.

– Ach, więc to niezgodne z prawem? – Wzruszyła ramionami. – No szok.

Sapnął, znużony.

– Dobra, może cię nauczę. Mam trochę czasu w przyszłym tygodniu. Nigdy nie wiadomo, kiedy to się może przydać.

Zjechali z autostrady, kierując się na przedmieścia, potem mijali ukryte w lesie rezydencje powstałe w czasach, kiedy Springfield było ośrodkiem przemysłowym.

Charlie przygryzała paznokcie, wyglądając przez okno. Trochę ją mdliło od buraczanego sosu i ze strachu.

Kiedy Rand zajechał na podjazd, ujrzała posiadłość, którą mieli odwiedzić. Nigdy przedtem takiego domu nie widziała. Przypominał raczej muzeum albo zamek z baśni, w którym śpi zaklęta królewna.

– To jest kiepski pomysł – mruknęła pod nosem, ale Rand nie zamierzał zrezygnować.

Wysiadł, otworzył drzwi z jej strony.

– Trema? – spytał. – Chcesz strzelić sobie whiskey przed występem?

– Mam dopiero piętnaście lat – przypomniała mu.

– Tak? – odpowiedział, naśladując jej głos. – Czyżby to było niezgodne z prawem? No szok!

Otworzyły się frontowe drzwi. Stał w nich mały rudowłosy człowieczek i spoglądał spod przymrużonych powiek. Charlie nie miała jeszcze wtedy pojęcia, jak wygląda Lionel Salt.

– Czy mogę panu pomóc coś wnieść, proszę pana? – spytał człowieczek i stało się jasne, że to lokaj albo kamerdyner.

– Nie mamy żadnych rekwizytów – odpowiedział Rand, niby to oburzony na samą taką myśl.

Charlie przybrała już minę przewidzianą do tej gry, więc nie okazała zażenowania.

Wewnątrz, w wielkiej bibliotece, na zielonych skórzanych fotelach siedziało kilku starców. Prawdziwy Lionel Salt miał siwą czuprynę, trzymał przy sobie okutą srebrem laskę. Jeden z jego przyjaciół był w zbliżonym wieku, pozostali może nawet o dwadzieścia lat młodszy. Rand przedstawił się im wszystkim po kolei, potem pokazał im Charlie, jakby była jakimś tresowanym lemurem, a nie człowiekiem. Próbowwała tymczasem ukradkiem zerkać na grzbiety książek.

Ta, którą mieli zdobyć, miała czerwoną okładkę i nosiła tytuł *Księga Amora Pettita*. Nigdzie jej jednak nie widziała. Zauważyła natomiast półki, na których stało kilka książek ze słowem „Grimoire” w tytule. To już wyglądało obiecująco. Plan działania był następujący: Rand podgrzewa atmosferę, potem Charlie urządza swój pokaz. Jeśli księga będzie w bibliotece, Rand ją zgarnia. Jeśli nie, korzystając z wywołanego przez Charlie zamieszania, znajduje jakiś wykręt, żeby sprawdzić inne pomieszczenia na piętrze. Człowiek, który go zatrudnił, zapewniał, że poszukiwaną księgę tam widział.

Charlie odgrywała swoją rolę zahukanej, nieśmiałej dziewczynki. Dopiero przy opętaniu miała pójść na całość.

Poproszono ich, żeby usiedli. Rudowłosy lokaj spytał, czego się napiją. Potem Rand perorował na temat różnych magicznych teorii ze szklaneczką whiskey w dłoni, Charlie zaś sączyła wodę.

– Słyszał pan kiedyś powiedzenie „wyżej cienia nie podskoczysz”? – spytał Salt.

Rand nie znał takiego zwrotu.

– To z niemieckiego. Znaczy, że każdy ma swoje ograniczenia.

– Ale pan w to nie wierzy – stwierdził Rand.

– Rzeczywiście, nie wierzę – odparł Lionel. – Zawsze hołdowałem pogładowi, że świat skrywa przed nami tajemnicę. Że istnieje droga, którą człowiek może zmierzać ku boskości. A droga ta wiedzie właśnie pośród cieni. Pan zaś twierdzi, że może obudzić mój cień.

Rand uznał, że moment jest odpowiedni. Wstał.

– Może w takim razie zaczniemy?

– Otóż to – podchwycił jeden z pozostałych gości.

Uśmiechnął się przy tym w sposób, który Charlie się bardzo nie spodobał.

– Jak panowie zdajecie sobie sprawę – zagaił Rand – świat oferuje poszukiwaczom prawie nieskończone obszary poznania. Nie jesteśmy wyznawcami. Nie jesteśmy wiernymi, którzy przyjmują dzieło za pewnik. Jesteśmy odkrywcami, eksploratorami ciemności. Domyślcie się zatem, panowie, jak byłem zaskoczony, kiedy się okazało, że moje rodzone dziecko posiada takie zdolności. Potrafi stać się pustym naczyniem, a wówczas przemawiają za jej pośrednictwem istoty wielkiej mądrości oraz mocy.

Dwaj z gości spojrzeli po sobie.

Charlie przygryzła policzek od środka. W tej rozmowie pobrzmiewał jakiś ukryty podtekst. Coś, co sprawiło, że Charlie ogarnął przemożny niepokój. Próbowwała odnaleźć spojrzenie Randa, ale ten upajał się brzmieniem swoich słów oraz whiskey.

– Fascynujące – odezwał się ktoś znudzonym tonem, który przeczył jego słowom. – A jakie to sekrety córuchna zazwyczaj objawia? Ukryte skarby? Kursy giełdowe?

Kilku z nich się zaśmiało. Rand wreszcie załapał, że nie dali się nabrać. Jednak nadal był pewny siebie, wciąż nie wyczuwał niebezpieczeństwa.

– Tego nigdy nie wiadomo, lecz ktokolwiek lub cokolwiek się odezwie, będzie to zawsze z pożytkiem i posłuży wyższemu celom. Jeśli przedmiotem dociekań jest pobudzenie cienia, niech odezwie się głos, który będzie nam w tym przewodnikiem. Być może myślę się co do was. Może jesteście zwykłymi dyletantami.

– Dawaj pan tu diabła – zaproponował któryś z nich. – Co pan na to? Istota z piekła rodem byłaby w sam raz.

– Czy jest pan pewien? – spytał Rand.

Pozostali milczeli, uśmiechając się do siebie.

Spojrzenie Charlie powędrowało w róg pokoju, gdzie na dywanie ścielił się cień. Przedtem go nie zauważyła, ale teraz nie mogła od niego oderwać wzroku. Cień był widoczny, ale nie było niczego, co mogłoby go rzucić.

– Moja kochana Lexi – odezwał się Rand. – Czy jesteś gotowa?

Charlie popatrzyła na niego, odetchnęła głęboko.

– Nie chcę tego robić.

To była prawda, lecz również część jej roli.

– Wiem, moja droga – odrzekł Rand i poklepał ją po głowie. Potem zamilkł, zmarszczył brwi, jakby nagle się pogubił i zapomniał, co ma powiedzieć dalej.

Dłonie Charlie zaczęły się pocić. Pomyślała, że to nerwy.

– Ja... – zaczął i urwał. Poczzerwieniał na twarzy. – To...

Nie, nie nerwy. Coś tu zupełnie nie grało. Bolał ją żołądek. Jeden z mężczyzn odezwał się do Salta z uśmiechem:

– Podziałało szybciej, niż myślałem. Liczyłem, że zdążę obejrzeć przedstawienie.

– Bardzo nieładnie, że próbowaliście mnie oszukać – oznajmił Salt, z uśmiechem grożąc im palcem. Potem odwrócił się do swoich towarzyszy.

Coś dodali do wody, którą piła Charlie. I do whiskey Randa.

Charlie zakryła usta, schylając głowę tak, jak to było zaplanowane i wepchnęła sobie palce do gardła, naciskając mocno podniebienie. Dławiąc się, wstała z krzesła i wprawiła swoje ciało w drgawki, tak jak zresztą zamierzała, udając opętanie. Potem zarzygała sokiem z buraków kosztowny dywan.

Słyszała krzyki, mężczyźni odskakiwali, żeby ich nie obryzgała. Zwaliała się na dywan, z zamkniętymi oczami, zmuszając się do bezruchu, chociaż leżała we własnych wymiocinach.

– Ona umiera? – spytał jeden z nich.

– Za duża dawka. – Głos kolejnego mężczyzny, jakby z niesmakiem.

Usłyszała jeszcze skrzypienie zawiasów gdzieś przy półkach z książkami. Poczowała zapach starego papieru. Potem jeszcze przez chwilę docierały do jej świadomości dźwięki. Odgłos obracanego koła szyfrującego, jakby ktoś otwierał sejf. Mieszanina męskich głosów.

Mniejsza o nią. Zajmiemy się facetem.

Chciałbym przeprowadzić pewien eksperyment. Zobaczmy, jak jego cień będzie się zachowywał w trakcie wykrwawiania.

Jeśli mała umrze, zawsze możemy pobrać od niej cień.

A potem jej myśli pogrążyły się w nicości.

Gdy odzyskała przytomność, wciąż jeszcze leżała na tym dywanie. Był przesiąknięty wilgocią od soku z buraka i jej soków żołądkowych. Nie mogło upłynąć wiele czasu.

– Ktoś tu idzie. Nie ruszaj się. – usłyszała głos rozlegający się za nią, głos jakiegoś chłopca. Nie była pewna, czy on tam rzeczywiście był, czy tylko słyszała echo snu rozgrywającego się przed przebudzeniem.

Zwalczyła pokusę, by się odwrócić. Po chwili usłyszała kroki w korytarzu, stukot twardych podeszew na kamiennej podłodze. Oddychała najwolniej i najciszej, jak

mogła, trwając w bezruchu, zanim kroki się nie oddaliły.

Wtedy spróbowała wstać. Wirowało jej w głowie. Trucizna wciąż jeszcze działała w organizmie.

– Tylko się nie odwracaj – rzekł głos.

Znieruchomiała.

– Jeżeli na mnie nie spojrzysz, to wyprowadzę cię z tego domu.

– A jeżeli się odwrócę? – wyszeptała.

– To cię zostawię i radź sobie sama. Oni myślą, że leżysz w kałuży własnej krwi, więc na razie się tobą nie zajmują – wybrzmiała odpowiedź. – Może ci się uda.

– A co z człowiekiem, który mnie tu przyprowadził? Mogę się do niego dostać?

Odpowiedź nadeszła po dłuższej pauzie.

– Jemu już nikt i nic nie pomoże.

Dotarło do niej znaczenie tych słów, ale myśli miała na tyle zmącone, że nie była w stanie się z tym pogodzić. Wstała powoli, przytrzymując się regału.

Jej uwagę zwróciła książeczka o czerwonym grzbiecie wytłaczanym w złote płomienie; zauważyła ją, bo była dziwnie przekrzywiona. Tytuł brzmiał *Inferno*. Gapiła się na nią, aż zdała sobie sprawę, że to nie książka, tylko dzwignia.

Teraz widziała, że ściana półek z książkami otworzyła się do wewnątrz, ukazując wejście do ukrytego pomieszczenia. Nawet w obecnym stanie nie mogła się powstrzymać, by tam nie zajrzeć. To była kolejna biblioteka, ale książki w niej wyglądały na starsze i cenniejsze. Na przeciwległej ścianie wisiało ponure malowidło – iluzjonistyczny obraz przedstawiający czarnego kozła, który leżał na drewnianym stole z rozciętym brzuchem, lśniące wnętrzości wypływały na zewnątrz, obok stał kubek i leżały ułożone owoce granatu. Pośród intensywnej czerwieni artysta zdołał odmalować nasiona połyskujące we krwi.

Uwagę Charlie przede wszystkim zwróciło to, jak dziwnie wisiał ten obraz. Jeden bok dalej od ściany niż drugi, jakby to były drzwi. A więc tam się znajdował sejf, za obrazem.

Postąpiła krok przed siebie, przekroczyła próg. Rozejrzała się po półkach. Znalazła ją prawie od razu, kolejny tomik z czerwonym grzbietem. *Księga Amora Pettit*.

Wyciągnęła po nią rękę, zawahała się.

– Czy pozwolisz?

Charlie czuła się, jakby jakaś moc ją przeniosła do fikcyjnego świata, w którym rządzą baśniowe reguły. Nie wolno jej się odwracać. Dobrze. Ale czy wolno kraść?

– Nie moją jest rzeczą pozwalać albo nie pozwalać.

Ta odpowiedź jej wystarczyła, by wsunąć książkę do torby, którą zarzuciła na ramię.

– Teraz dwa kroki w lewo. – Głos rozlegał się tuż za nią, na tyle blisko, że przeszedł ją dreszcz, chociaż nie czuła ciepła jego oddechu. – Przejdziesz przez drzwi do jadalni. Tam nigdy nikt nie chodzi, więc powinno ci się udać dojść do służbowych schodów, a potem tak przejść obok kuchni, żeby nikt cię nie zauważył.

– A potem?

– Tylko się nie odwracaj.

To było jak we śnie, szła przez dom i prowadził ją głos. Do korytarza, gdzie spoglądały na nią szklane oczy lśniące w zwierzęcych głowach zawieszonych na ścianie. Gazela. Koziorożec. Nosorożec. Potem minęła otwarte drzwi pokoju, w którym jasnowłosa dziewczyna przeglądała magazyn. Nie podniosła na nią wzroku, a Charlie błyskawicznie prześlizgnęła się mrocznym korytarzem. Kiedy dotarła do pasażu, usłyszała głos kogoś z personelu, rozmawiał przez telefon. Zamówił karczochy i organiczny szpinak. I było tam radio, Charlie usłyszała piosenkę Niny Simone: *I ran to the devil...*

– Co teraz? – spytała Charlie szeptem.

Czekała długą chwilę, głos się nie odzywał. Już chciała się odwrócić, ale przypomniała jej się historia Orfeusza wyprowadzającego swoją dziewczynę z podziemnego świata. Baśniowe zasady. Powstrzymała się.

Chłopiec być może zniknął, ale skierował ją tu nie bez powodu. Nie mogło mu chodzić o to, żeby poszła do kuchni, bo tam przecież ktoś był. Mówił wyraźnie o schodach. Wspięła się po nich, aż wyszła na długi korytarz. Przypomniało jej się, kiedy ostatnio była w tak wielkim domu. Tam były drugie, reprezentacyjne schody, po których można było dotrzeć do głównego wejścia. Może chłopiec chciał, żeby przeszła górą i w ten sposób ominęła mieszkańców domu oraz służbę.

A może Charlie była tak zaprawiona narkotykiem, że istniał tylko w jej wyobraźni. Przeszła na palcach korytarzem, przyciskając torbę do piersi. Usłyszała dobiegający z dołu głos jakiejś dziewczyny.

– No co, ja chcę go tylko pożyczyć!

A potem głos chłopca, może tego samego, którego słyszała przedtem.

– On cię nie lubi.

Dziewczyna się roześmiała.

– Nieprawda. Mamy swoje zabawy. Z tobą nigdy by się tak nie bawił.

A potem Charlie schodziła po schodach. Znów jej się zakręciło w głowie, ale jakoś dotarła na dół. Przekręciła mosiężną gałkę i pchnęła drzwi. Otworzyły się, potem zatrzasnęły za jej plecami.

Na tyle głośno, że ktoś musiał to usłyszeć.

Charlie ruszyła biegiem. Rezydencję otaczał las, a więc biegła między drzewami, choć gałęzie rozrywały jej ubranie, biegła, nie zważając na dudnienie w głowie i mdłości skręcające żołądek.

Biegła przez noc, przedzierała się przez gęste krzaki, których kolce raniły jej skórę, potykała się o paprocie. Słyszała w tyle jakieś krzyki, ale coraz dalsze. W mroku błyskały światła latarek. Charlie biegła dalej, szumiało jej w głowie.

Dalej i dalej przed siebie, przez mrok. Księżyc i gwiazdy wirowały nad nią, aż wreszcie dotarła na polanę. Czarnoskóry mężczyzna w średnim wieku drgnął na jej widok. Miał na sobie czapkę i ciężki płaszcz.

– Spłosisz mi sowy – rzekł z przyganą w głosie.

Potem dopiero spostrzegł, w jakim stanie jest Charlie.

Miała gałązki we włosach, zadrapania na skórze, zaschnięty sok z buraka wokół ust.

– Uciekaj. Musisz uciekać – powiedziała mu, dysząc ciężko. – Ludzie z pałacu mnie gonią.

Pokręcił głową, wyciągnął z kieszeni telefon.

– O nie, młoda damo. Nie trzeba mi kłopotów.

– Ludzie z pałacu. Oni tu będą – powiedziała jeszcze, a potem upadła na ziemię u jego stóp.

Trzy dni później odnaleziono samochód Randa. Wewnątrz znajdowały się zwłoki. Ślady wskazywały na to, że popełnił samobójstwo, podcinając sobie żyły, chociaż wewnątrz było zbyt mało krwi. W bagażniku policjanci znaleźli rozkładające się ciało kilkunastoletniej dziewczyny. Zaginęła prawie trzy lata wcześniej.

Tydzień potem Benny zadzwonił do niej do domu. Czy może ma tę książkę? Bo nabywca nadal jest zainteresowany.

– Jak rekin – rzekł z uznaniem, kiedy mu o wszystkim opowiedziała. – Zęby zawsze na wierzchu.

Spotkała się z Knightem Singhamem na parkingu za Dunkin' Donuts. Zajechał srebrzystym wozem o opływowych kształtach, miał na sobie elegancką wełnianą marynarkę ze stójką i zapłacił jej za księgę dwa tysiące.

– Jakbyś chciała, znajdzie się więcej roboty – powiedział, zerkając na nią znad ciemnych okularów.

Tego dnia Charlie ślubowała, że kiedyś wróci do rezydencji Salta i zemści się na tych skurwysynach. Ślubowała jednak tylko sobie samej, więc nie było obawy, że sprawi komuś zawód, gdyby tej przysięgi miała nie dotrzymać.

NIEMOŻLIWE ANIOŁY

Charlie uniosła powieki, oślepiało ją światło późnego poranka wpadające przez okno do pokoju. Dalej piekły ją skaleczenia, od upadku miała siniaka na biodrze, a włosy wyglądały jak fryzura Meduzy, bo najpierw prawie zamarzły, a potem ich nie wysuszyła przed pójściem spać.

Wstała z materaca. Zobaczyła na ścianie własny cień, dokładnie taki sam jak zawsze.

Jeśli możesz, udawaj, że dzisiejszy wieczór w ogóle się nie wydarzył, Charlie.

Ciemnozłote włosy Vince'a i powieki jego zamkniętych oczu połyskiwały w słonecznym blasku. Charlie patrzyła, jak unosi się i opada jego klatka piersiowa, przyglądała się jego zagiętym palcom... Jakby ktoś rzucił na nią czar.

Przewrócił się na bok we śnie.

– Adeline – odezwał się nagle do poduszki. – Adeline, przestań.

Charlie cofnęła się, urażona. Czy mówił o tej dziewczynie ze zdjęcia w portfelu? Przed czym chciał ją powstrzymać?

A więc Charlie miała udawać, że nic się nie stało. Udawała różne rzeczy od samego początku ich związku. Udawała, że nie ma za sobą swojej przeszłości i nie dba o przyszłość. On zaś jej na to pozwalał, bo też udawał.

Przykucnęła obok materaca i szepnęła:

– *Voulez-vous plus de café?*

To samo zdanie, które dwa ranki temu wyszukała w telefonie.

Vince schował twarz głębiej w poduszkę, jakby łaskotał go jej oddech, Charlie zrobiło się głupio. Była już przy drzwiach, kiedy odezwał się półgłosem, wciąż pogrążony w snach:

– *Je voudrai sun café noir, merci.*

Domyśliła się, co to może znaczyć: że owszem, prosi o kawę i z góry dziękuje. Oraz że Charlie ma przejebane.

Różne bywają kłamstwa. Kłamstewka towarzyskie. Ściema, by uniknąć konsekwencji. Łgarstwa, za którymi się kryjemy, bo obawiamy się, że nie zostaniemy właściwie zrozumiani, albo przestaną nas lubić, albo też czujemy, że zrobiliśmy coś

złego i się tego wstydzimy. I są jeszcze kłamstwa, które wygłaszamy dlatego, że składamy się wyłącznie z kłamstw.

Oskarżenie Posey, że Vince rozumie francuski, było zabawne, bo to jednak co innego mówić coś, a co innego o czymś nie powiedzieć. Mógł kiedyś mieszkać za granicą albo ktoś z jego rodziny był francuskojęzyczny, albo ściągnął sobie Duolingo i naprawdę się przykładał do nauki.

Jednak kiedy odezwała się do niego po francusku, udawał, że nie zrozumiał ani słowa. Ukrywanie doświadczenia w mordowaniu ludzi może budzić niepokój, ale właściwie trudno wymagać, żeby ktoś się tym przechwalał. Ukrywanie jakichś powiązań z magią cienia również może mieć racjonalne wytłumaczenie.

Skoro krył się z czymś, co nie powinno mieć żadnego znaczenia, Charlie zaczęła się zastanawiać, czy prawdą jest cokolwiek z tego, co rzekomo o nim wie.

Weszła do łazienki, zaryglowała drzwi i siadła na brzegu brodzika. Oparła głowę na dłoniach.

Jeśli Vince był kłamcą i mordercą, stanowiło to dowód, że jej instynkt nieomylnie ją zawiódł, tak jak przedtem matkę i babkę. Jasne, że z początku to była przygodna znajomość, jednak potem Vince sprawiał wrażenie solidnego, odpowiedzialnego faceta. Może nawet trochę zbyt dobrego dla niej i trochę się dziwiła, że z nią został, ale i to wskazywało, że dokonała właściwego wyboru. I że nie cała nadzieja stracona, może jeszcze jej się uda wieść normalne życie.

No ale nie, to wszystko nie było ani trochę normalne.

Charlie Hall, którą ciągnie do kłopotów niczym muchę do lepu. Najgorsze, że teraz, kiedy powinna go spławić, pociągał ją jeszcze bardziej. Stał się ludzką zagadką domagającą się rozwiązania.

Skoro ona nie mogła bezustannie udawać, to samo dotyczyło też jego. Pozostawił tropy tu i tam. Mogło jej się nie podobać, czego się dowiedziała, ale przecież od początku zakładała, że złamie jej serce. Zgodnie z rodzinną tradycją było to nieuniknione, prędzej lub później musiało do czegoś takiego dojść.

– Zrób makijaż i ogól nogi – powiedziała do siebie. – I zrób sobie porządek w głowie. Vince nie był jej jedynym problemem. Jeśli Hermes powiedział komukolwiek, dokąd się udaje minionego wieczoru, być może należało się spodziewać kolejnych odwiedzin. W dodatku czegoś się dowiedział od Balthazara, tego Charlie była prawie pewna. Mogłaby się założyć, że o niej rozmawiali.

Sięgnęła po myjkę i mydło, odkręciła wodę. Umyła się pod pachami i w miejscach intymnych. Nałożyła piankę na nogi. Tępe ostrze zdarło kilka świeżych strupów, znowu połała się krew.

Zastanawiała się nad tym, że cienie są jak te cienie umarłych u Homera, potrzebują krwi, żeby się obudzić.

Pamiętała słowa Hermesa. Mówił, że karmi to coś krwią i odgrażał się, że to może być jej krew, krew Charlie.

– A co, jeżeli...?

Charlie dotknęła wskazującym palcem strużki krwi spływającej po nodze. Pstryknęła nim, tak że kropla poleciała w stronę cienia. Zmarszczył się albo może zadrżał. Kropla nie spadła na kafelki podłogi.

Zmrużyła powieki, próbując skupić wzrok. Może po prostu nie widziała śladu krwi, bo to była bardzo mała kropelka. A może właśnie dokarmiła swój cień.

Zresztą jeśli rzeczywiście został obudzony, z pewnością coś jeszcze się wydarzy. Pojawi się jakiś nieomylny znak.

Odłożyła te rozważania na później, tymczasem włożyła koszulkę i bluzę znalezione wśród rzeczy przeznaczonych wcześniej do prania. Związała włosy w luźny kok na czubku głowy, po czym poszła zrobić sobie kawę.

Na jej oficjalnym telefonie widniały trzy wiadomości. Pierwsza była od Doreen, która domagała się, żeby Charlie się odezwała, bo jak Charlie nie sprowadzi Adama do domu, to termin płatności zobowiązań związanych ze studiami Posey zostanie przyspieszony zamiast odłożony na później. Drugi esemes był od Odette, wysłała go do wszystkich pracowników Rapture, informując w nim, że knajpa jest nieczynna, dopóki nie pojawi się rzeczoznawca z firmy ubezpieczeniowej, żeby ocenić rozmiar strat poniesionych podczas próby rabunku. Według oceny Odette mogło to potrwać trzy albo i cztery dni.

Potem prywatna wiadomość od Odette:

Mówiłaś komuś, co widziałyśmy?

Charlie nie bardzo wiedziała, o czym mowa, ale odpisała:

Nie, a Ty?

Nie dostała odpowiedzi. Charlie nie chciała popadać w paranoję, ale nie mogła nie zastanawiać się, dlaczego Odette ją o to pyta. Wsypała do pojemnika zmieloną kawę, dodała cynamonu i zalała wodą, jednocześnie zastanawiając się, czy Odette może znać Salta.

Jeśli Balthazar rozmawiał z Hermesem, nadszedł czas, żeby pogadał też z Charlie.

Już kiedyś była w jego domu, w starej ceglanej budowli wznoszącej się nad kanałem w Holyoke. Do środka nie weszła, bo urządził tam akurat szaloną imprezę i jej nie

wpuścił. Może tym razem jej się poszczęści. Włożyła kurtkę, sprawdziła, czy ma kluczyki, i wyruszyła na przejażdżkę.

Dzień był pochmurny, zanosilo się na deszcz. Prawie już czuła jego zapach, gdy wysiadła z samochodu i obeszała ceglany budynek, zmierzając do wejścia. Dom nie odznaczał się niczym szczególnym, mógł nawet sprawiać wrażenie niezamieszkanego, ale Charlie dostrzegła światło w jednym z okien.

W tej części Holyoke wciąż znajdują się stare opuszczone fabryki, których deweloperzy nie zdążyli jeszcze przekształcić w cokolwiek tandetne lofty dla artystów oraz innych klientów chętnych na duże pomieszczenia o postindustrialnym wystroju. Kilka ulic dalej rozpoczynały się apartamentowce, w pobliżu stało też kilka domów, przed którymi rozciągały się zachwaszczone trawniki.

Załomotała do pomalowanych czarną farbą drzwi, na których widniał wykaligrafowany napis ODEJDŹ.

Ponieważ nikt się nie odezwał, zastukała jeszcze mocniej.

– Czytać nie umiesz?! – krzyknął ktoś wewnątrz.

Charlie kopnęła drzwi.

– Wiesz, co to jest snapgun? Mam taki w bagażniku. Ten zamek otworzę w trzy sekundy. Może ulec uszkodzeniu, może nie ulec, ale tak czy inaczej wejść.

Balthazar szybkim ruchem otworzył drzwi. Miał na sobie czerwony szlafrok, był potargany, wyraźnie gotów rozprawić się z kimś, kto ośmielił się go obudzić. Zamrugął, wyraźnie zaskoczony jej widokiem.

– Przez ciebie tamten wczoraj o mało mnie nie zabił – powiedziała Charlie.

– Ojejku, o kurwa. Cześć, kochanie.

Przecisnęła się obok niego do środka.

– Co, dziwisz się, że żyję?

– Jestem tym zachwycony. Wejdz, właśnie miałem zaparzyć kawę. – Ton jego głosu dawał do zrozumienia, że Charlie przeszkadza, ale nie aż tak, żeby miał się tym przejmować. Pokazał jej schody, po czym weszli na piętro do zaskakująco nasłonecznionej kuchni z kilkoma wędnącymi roślinami w doniczkach. Na jednym z palników stał największy ekspres do kawy w stylu kubańskim, jaki Charlie widziała. – Mówiłem nawet staruszkowi Aspirins: „Pozory mylą, ta dziewczyna ma w sobie coś”. Na to Joey, że się robię sentymentalny, a ty masz ptasi mózdzek i...

– Odpuść sobie – przerwała Charlie rozpoczynający się słowotok. – Potrzebuję informacji.

– Siądź – zaproponował, skinął głową w stronę stolika, którego róg ktoś kiedyś musiał podpalić.

Formularze zesłotygodniowych zakładów bukmacherskich z wyścigów w Raynham Park służyły za serwetki.

– Chcę się czegoś dowiedzieć o tej księdze, którą Paul Ecco usiłował ci opchnąć.

– O, podsłuchiwałaś? – Ze słoika Café Bustelo nasypał zmielonej kawy do pojemnika, zalał wodą. Postawił urządzenie na kuchence, odkręcił gaz. Błękitne płomienie zaczęły lizać dno. – Dobra byłaś, naprawdę. Ludzie, którzy są przekonani, że są w sam raz do tej roboty, najczęściej zupełnie się do niej nie nadają. Ale to ty zdecydowałaś, że się wycofujesz.

Rand powtarzał jej, że niektórzy są po prostu urodzonymi złodziejami, kłamcami czy oszustami, a Charlie do takich właśnie ludzi się zalicza. Ma pewną rękę, zręczne palce i zawsze jest gotowa na poczekaniu wymyślić odpowiednie łgarstwo. Naprawdę była niezła. W dodatku bardzo jej się to podobało. Na tym polegał problem.

– Tamtej nocy widziałam ciało Paula. Po drodze, jak wracałam do domu – wyjaśniła. – Wyglądał, jakby ktoś go rozszarpał żywcem. Więc wiesz, zaciekało mnie, kto mógł coś takiego zrobić. Zaraz potem do knajpy łąduje się jakiś typ i jest przekonany, że wiem, skąd Paul skombinował te strony. To już naprawdę mnie zaciekało, zwłaszcza chciałabym wiedzieć, kto mnie zakablował.

– To potwarz – stwierdził Balthazar z miną niewiniątka. – Nie moja wina, że szukasz guza. Ja tylko odpowiedziałem na kilka pytań osoby zainteresowanej.

Balthazar odwrócił się, żeby sięgnąć po puszkę skondensowanego mleka, ale zdążyła dostrzec grymas na jego ustach. Pośród kryminalistów i osób z półświatka poczucie moralności jest cokolwiek elastyczne, natomiast jedna zasada obowiązuje wszystkich i zawsze: kto kapuje, krótko żyje.

– Zapewne dyskretnie pominąłeś fakt, że Paul próbował właśnie tobie sprzedać tę stronę? – przypomniała mu Charlie. Zdawała sobie sprawę, że wkrótce rozejdzie się wieść o tajemniczym zniknięciu Hermesa, dlatego pomyślała, że warto przypomnieć Balthazarowi: jeśli jej coś się stanie, on także może mieć kłopoty. – Dlaczego akurat ta blaszana księga jest taka strasznie ważna?

– Jej tytuł to *Liber Noctis* – obwieścił znudzonym tonem. – Potocznie zwana *Księgą struposzy*, ponieważ spisano w niej rytuały z nimi właśnie związane. Niektórzy umbromanci twierdzą, że to klucz do nieśmiertelności, bo można żyć po śmierci jako wyzwolony cień. Wszystko jedno, w każdym razie to wyjątkowy obiekt. Metalowe strony, tłoczone a nie drukowane. Kupił ją na aukcji ten wyjątkowo niecny starszy pan, niejaki Lionel Salt. Bogaty jak Medyceusze i o podobnych zainteresowaniach.

Charlie się skrzywiła.

– Znasz go? – zainteresował się Balthazar.

– Skąd. Tyle że to on przysłał Hermesa.

Balthazar postawił dwa duże kubki, szczerze nalał do obu gęstego skondensowanego mleka. Wypełnił oba kawą, jeden z nich wręczył Charlie, po czym usiadł i przyglądał szlafrok.

– Podobno wnuk Salta ukradł *Liber Noctis* i zwiął. Ed Carter, tak się chyba nazywał. A może Carver? W każdym razie ten wnuczek jakoś źle skończył, morderstwo czy samobójstwo... Natomiast księgę zdążył sprzedać, bo w jego rzeczach jej nie znaleziono. Saltowi tak zależy na odzyskaniu księgi, że obiecuje pięćdziesiąt tysięcy za jej zwrot.

Edmund Carver. To o niego pytał Hermes. Nie brzmiało to jednak, jakby dzieciak już nie żył.

– Sprzedał ją Paulowi Ecco? – spytała Charlie.

Balthazar pokręcił głową.

– Chyba raczej komuś innemu, kto potem sprzedał jedną stronę Paulowi Ecco.

– W takim razie dlaczego nie całość? Pięćdziesiąt tysi piechotą nie chodzi.

Balthazar rozłożył dłonie, przyznając jej tym gestem rację.

– Może ktoś chciał wzbudzić zainteresowanie Salta. Narobić trochę dymu.

Charlie wypięła łyk kawy. Była obrzydliwie słodka, ale tak straszliwie mocna, że musiała być taka słodka, by w ogóle dało się ją pić.

– Żeby więcej z niego wydusić?

– Kiedy *Liber Noctis* się zapodziała – odpowiedział Balthazar – wynajął jednego z moich ludzi. Tego nowego.

Charlie uniosła brwi.

– Adama?

– Tak, tego. Ale on nic nie zdziałał. Nie znalazł księgi. Staruszek zresztą za bardzo się nie zdziwił.

Balthazar wzruszył ramionami, napił się kawy.

– Aha.

Charlie wszystko to się bardzo nie podobało. Jak tylko Paul Ecco wyleciał z Rapture, wszyscy już od razu wiedzieli, że usiłuje upłynnić stronicę z księgi. Coś ta wieść dziwnie szybko się rozniosła. Zresztą nie tylko obecność hierofanta, lecz także brutalność morderstwa kazały jej się domyślać, że nie dokonała go istota ludzka. Właśnie struposz miałby powód, żeby poszarpać na strzępy cień zabitego i dosyć siły, żeby rozerwać klatkę piersiową.

Tylko dlaczego struposz miałby szukać *Liber Noctis*?

I kto ją może mieć, do cholery?

Adam został wynajęty przez Salta. Czy to możliwe, że odnalazł kryjówkę Edmunda Carvera i dorwał ten superfant?

Jasne, że przez wtykanie nosa w tego rodzaju sprawy Charlie dopiero co omal nie zginęła, a lokal Odette został zdemolowany. Sądziła, że już lata temu porzuciła marzenia o zemście na Salcie, w każdym razie teraz tym bardziej należało się ich wyzybyć. Zemsta była niemożliwa, a marzenia dziecinne.

– Właściwie ty byś mogła się tym zająć – podsunął Balthazar. – Chcesz się na dobre wycofać? No to zrób to na pełnej kurwie. Przecież potrafiłabyś ukraść oddech z ust, nienawiść z serca, księżyc z nieba.

– Pochlebstwa w ogóle nie są w twoim stylu. Natomiast pięćdziesiąt tysięcy dolarów to sporo pieniędzy, ale zaledwie ułamek tego, co Salt powinien zapłacić. Przemyślę twoją propozycję.

Balthazar rozpromienił się, jakby już się zgodziła.

– No i proszę. Wiedziałem, że tak się to skończy.

I dąc do swojego samochodu, Charlie zauważyła faceta stojącego po drugiej stronie ulicy. Pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi, gdyby szedł albo przynajmniej rozmawiał przez telefon – jak każdy. Ale nie, facet stał nieruchomo i wpatrywał się w ceglana remizę Balthazara, a ręce miał wetknięte głęboko w kieszenie płaszcza.

W świetle dziennym widać było, że hierofant jest jeszcze młody, ale w jego oczach płonie coś pradawnego. Jeśli poluje na struposzy, to czego szuka u Balthazara? Nie potrafiła zapomnieć, jak szedł w jej stronę i wszystko wskazywało, że żywił jak najgorsze zamiary.

Charlie wzdrygnęła się, wsiadła do corolli. Kiedy zawracała, spostrzegła, że jego głowa z wolna się odwraca, a spojrzenie podąża za samochodem. Potem jego cień przerodził się w wielkie skrzydła, które uniosły go w powietrze. Zawisł na tle błękitnego nieba jak niemożliwy anioł, jego płaszcz trzepotał na wietrze.

Omala nie wjechała pod autobus, jej serce waliło jak oszalałe. Na pierwszych światłach znów spojrzała w tył, ale chyba nie poleciał za nią.

P owróciła do domu przepelniona nerwową energią i kofeiną. Zmyła naczynia po bolognese z poprzedniego wieczoru. Wypucowała blaty. Jakby tego nie było dość, zabrała się do porządków w lodówce. Nie tylko przetarła szmatką i wyrzuciła najgorszy syf – w rodzaju zapomnianego ogórka, który zapadł się w sobie i pokrył pleśnią, czy kawałka sera, który zbieleł ze starości i stał się twardy jak kamień, oraz zapieczetowanego pojemnika z kluskami, który niebezpiecznie napęczniał. Nie, tym razem wszystko wyjęła, nawet przyprawy, po czym przetarła półki ściereczkami nasączonymi rozwodnioną bielinką.

– Pomóc ci? – spytał Vince.

Sięgał już po dzbanek z kawą.

Drgnęła na dźwięk jego głosu.

Wyglądał tak samo jak mężczyzna, z którym żyła już od kilku miesięcy. Blond włosy zmierzwione od snu. Nieogolony. Kiedy przemieszczał się po kuchni, nie wspominając ani słowem minionego wieczoru, trudno było uwierzyć, że dopiero co skręcił komuś kark, a potem kochali się na schodach w świetle księżycy.

I że ją okłamał.

A kłamał i kłamał, i kłamał od samego początku...

– Mogę sobie pożyczyć jakieś środki czyszczące z twojego wozu? – spytała.

Zawahał się.

– Może ci przyniosę...?

– Super – przerwała mu radosnym głosem.

Skoro nie chciał, żeby gmerała w zakamarkach jego samochodu, przypuszczalnie miał coś do ukrycia. Jeszcze natknęłaby się na czyjąś obciętą głowę.

A może po prostu chciał być miły, oszczędzić jej zachodu.

A może jeszcze był tam trup Hermesa, tylko poćwiartowany i popakowany w plastikowe torebki, a Vince po prostu chciał jej oszczędzić takiego widoku.

Charlie ze wzmożoną energią powróciła do szorowania lodówki. Starła się, jakby mogła w ten sposób wyczyścić własne wnętrze z pożądania i naiwnej głupoty.

Vince przyniósł środki czyszczące, po czym wyszedł na zewnątrz, żeby przetkać rynny. I żeby zejść jej z oczu – podpowiedział umysł Charlie. Zabrał ze sobą kubek.

Posey wstała jeszcze później niż zwykle, bo około czwartej. Wyglądała jak szmaciana lalka, kiedy przywlekła się do kuchni i wlała sobie do miski po płatkach zbożowych całą resztę kawy, po czym wstawiła ją do mikrofalówki.

Charlie kiedyś przez parę miesięcy chodziła z kolegą włamywaczem – zanim facet nie zwał z miasta, zabierając ze sobą parę kolczyków. Wcisnęła mu kit, że są z prawdziwymi diamentami. Mówił jej, że kiedy zaczął obrabiać domy, był przekonany, że bogaci ludzie najdroższe rzeczy trzymają w sejfach. Okazało się jednak, że większość z nich trzyma cenne rzeczy pod ręką. Bogacze tak samo kładą klucz pod wycieraczkę jak każdy inny, bo przecież oni też gubią klucze. W sejfie lądują metryki, świadectwa ślubu oraz inne dokumenty, wcale nie kosztowności. Biżuterii, nawet tej najdroższej, należy szukać raczej w szafce przy łóżku. Przecież nigdy nie wiadomo, kiedy nadejdzie moment w sam raz, żeby ją założyć. I tak dalej, laptopy stoją na biurku albo na sofie, telewizory wiszą na ścianach, wózki barowe są zastawione butelkami pełnymi kosztownych trunków. Broń – w górnej szufladzie nocnego stolika. Ludzie lubią mieć takie rzeczy pod ręką, zwłaszcza te, które kryją jakieś tajemnice. To ważne, móc przed snem upewnić się, że twój sekret nadal jest dobrze ukryty, dzięki temu można spać spokojnie.

Jeśli Vince ukrył coś godnego uwagi, to najprawdopodobniej należało tego szukać po prostu w ich wspólnej sypialni.

Kiedy już wpadła na ten pomysł, całkowicie zaprzętną jej myśli.

Musiała tylko pozbyć się go z domu – i to jak najprędzej, zanim pokusa stanie się tak przemożna, że weźmie górę nad rozsądkiem i Charlie zacznie grzebać w jego rzeczach, kiedy jeszcze będzie mógł ją na tym przyłapać.

Godzinę później Vince wrócił, dłonie miał czarne od brudu. Charlie zdążyła już przygotować sobie historyjkę.

– Katelynn chce się dziś umówić ze mną na kawę – oznajmiła niedbałym tonem.

Mył ręce w zlewie, namydlił je aż po łokcie.

– Ta od tatuaży? I kuzyna odżywiającego się ćmami?

– Zgadza się – przyznała, nieco zdenerwowana. Nie zauważyła, żeby rozmawiał z Katelynn podczas imprezy. – Rozglądam się za jakąś nową pracą.

– Poważnie? – spytał, otarł mokre dłonie o czarne dzinsy.

Wyraz jego twarzy, zwyczajny uśmiech, na pozór szczerze zainteresowanie, ani słowa o wydarzeniach minionej nocy – to wszystko też jej działało na nerwy. Wydawało się, że naprawdę mu na niej zależy. W końcu zabił, żeby ją ratować.

Chciała mu ufać.

– Vince? – Wzięła go za rękę, spojrzała w bladoszare oczy. – Jak to się stało, że straciłeś swój cień? Poważnie pytam.

Odwrócił wzrok.

– Nie straciłem. Ja... – Urwał, po czym podjął znowu: – To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie straciłem poczucia, jakie niebezpieczeństwo nam grozi.

Niekoniecznie kłamał. Prawda często jest skomplikowana i trudno ją wyjaśnić.

– O jakim niebezpieczeństwie mówisz?

Potrząsnął głową, podniósł wiadro z kompostem – w przypływie świadomości ekologicznej kupione przez Posey online, teraz wypełnione oślizgłymi resztkami ogórka i innymi odpadkami z lodówki oraz masą fusów po kawie.

– To żadna odpowiedź – zawołała za nim.

Nie wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje, w każdym razie nie otrzymała żadnej. Po prostu wyszedł, żeby wrzucić odpadki do dziwnego kompostownika z robakami. Żadne z nich nie było pewne, czy ten system rzeczywiście działa. Biorąc pod uwagę, ile kawy tam lądowało, te robaki z pewnością były na potężnym spidzie. Ptak, który takiego zje, polecą prosto w słońce.

Kiedy wrócił, trzymał telefon przy uchu. Wyglądało na to, że jest robota. Podwójne zabójstwo w jakimś domu.

– Ale jeżeli chcesz, mogę zostać – powiedział do niej, odsuwając telefon od ust. Usłyszała teraz słaby głos jego szefa, który darł się na kogoś. Do tej chwili nie była pewna, czy Vince przypadkiem nie udaje, że gada przez telefon – po prostu żeby uniknąć rozmowy z Charlie.

Pokręciła głową.

– Nie, dzięki. I tak wychodzę. Pamiętasz? Katelynn.

Włożył kurtkę, pocałował ją w usta i w policzek. Ten pocałunek bez wątpienia coś znaczył, lecz czy miał być przeprosinami, czy obietnicą, tego nie była pewna.

Kiedy poszedł, przez chwilę patrzyła na drzwi sypialni. Gdyby nie dostał tego wezwania, może otrzymałaby odpowiedź na swoje pytanie. Wiedziała, że każda specjalistka od porad z pierwszego lepszego kobiecego czasopisma doradziłaby jej, żeby czekać, uszanować jego prywatność, może podjąć temat, kiedy wróci.

Upłynęło piętnaście minut, zanim wstała i ostentacyjnie się przeciągnęła.

– Utnę sobie przed wyjściem szybką drzemkę.

– Chwila – odezwała się Posey. – Czekałam, aż wyjdzie. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Charlie nie miała ochoty znowu słuchać o DMT i że koniecznie musi je skądś skombinować, aby Posey gdzieś w leśnej głuszy mogła przeprowadzić na samej sobie kolejny eksperyment zakończony fiaskiem.

– Potem. To nie potrwa długo.

Starannie zamknęła za sobą drzwi, rozejrzała się. Skotłowana pościel. Ubrania i buty rozrzucone po podłodze. Szafka zawalona poźółkłymi czytadłami i akcesoriami do makijażu, do tego jeszcze waza pełna kartek z przepisami kuchennymi.

Kiedy spojrzała na swoje dłonie, zdziwiła się, widząc, że drżą.

Ściągnęła całą pościel z materaca, potem dźwignęła go i oparła o ścianę. Był ciężki i do tego się uginał, ale jednak to zrobiła. Na filmach ludzie często coś chowają pod łóżkiem. To znaczy, że ludzie, którzy często oglądają filmy, skrywają swoje sekrety właśnie tam.

Jednak pod materacem znalazła tylko dawno zgubione majtki, pogniecioną i rozpląszczoną chusteczkę jednorazową oraz coś obrzydliwego i kłaczastego, co było zapewne kiedyś wyrzyganą przez Lucipurr włosową wypluwką.

Przypomniała jej się matka, która szukała śladów zdrady w szufladach i kieszeniach. Usiłując sobie udowodnić, że się myli, i licząc, że niczego nie znajdzie, oraz jednocześnie wiedząc, że brak dowodu dowodzi tylko tego, że źle szukała. Charlie zarzekała się, że nigdy taka nie będzie, no i proszę.

Teraz zajęła się należącą do Vince'a połową komody. Wsuwała ręce do samego końca, wyjmowała wszystko i odwracała szufladę. Vince był schludny, nigdy nie

zostawiał ubrań na podłodze ani włosów w umywalce – zdziwiła się więc, widząc wciśnięte byle jak spodnie i koszulę. Miała nadzieję, że w tym chaosie nie ma systemu, bo nigdy nie zdołałaby go odtworzyć. Jeśli zwinięte w kłębek pary skarpetek zostały przez Vince’a rozmieszczone w jakiejś określonej kolejności, na przykład w celu zdemaskowania osoby grzebiącej w jego rzeczach, to Charlie miała pecha.

Niczego interesującego nie znalazła. Żadnych materiałów obciążających.

Następnie zajęła się szafą. Tutaj większość rzeczy należała do Charlie, ale Vince trzymał tam zimową kurtkę i buty – głęboko, po lewej stronie. Sprawdziła kieszenie, wydobyla z nich dwa rachunki. Jeden za paliwo, drugi za mleko, chleb i jajka. Oba opłacone gotówką.

W ciemnościach wypatrzyła worek marynarski, sprawiał wrażenie pustego. Tkwił za butami. Wyciągnęła go, rozpięła zamek. W nim znalazła tylko metalowy dysk wielkości mniej więcej pięciocentówki oraz prawo jazdy. Wywróciła torbę do góry nogami, żeby wszystko inne wytrząsnąć na podłogę, ale nic więcej już nie wypadło. Przyjrzała się metalowemu dyskowi. Był gruby i cięższy, niż należałoby się spodziewać, trochę jak bateria do zegarka, tylko bez żadnych znaków. Część elektronicznego urządzenia? Pionek od jakiejś gry? Wsadziła go do kieszeni.

Potem obejrzała prawo jazdy. Na zdjęciu widniał dużo młodszy Vincent, szeroko uśmiechnięty, elegancko uczesany jak świeżo po wizycie u fryzjera. Kołnierzyk koszuli na samym dole zdjęcia. Adres w Springfield z numerem mieszkania. Do tego zupełnie inne nazwisko.

Edmund Vincent Carver.

Przez chwilę, w oszołomieniu, uznała, że to po prostu fałszywy dokument. Jednak karta miała równe brzegi i wyginała się tak, jak trzeba, a kiedy spojrzała na nią pod światło, na zdjęciu Vince’a pokazał się charakterystyczny metalizowany hologram.

Wnuk Lionela Salta. Ten, który ukradł *Liber Noctis*. Ten, który miał nie żyć.

Spadkobierca Lionela Salta sypia u jej boku.

Charlie z trudem oddychała. Tym razem to z pewnością był atak paniki i wiedziała, że jeżeli będzie oddychać tak prędko i szybko, tylko sobie zaszkodzi.

Wyciągnęła telefon, zrobiła zdjęcie dokumentu, dziwiąc się jednocześnie, że jest w stanie tego dokonać. Wszystko działo się tak prędko. Zmusiła się jednak, żeby pójść do laptopa i uruchomić wyszukiwarkę. Wpisała „Edmund Carver” i „Springfield”.

Już w pierwszym wyniku znalazła artykuł z lata zeszłego roku zamieszczony w „The Republican”.

SPRINGFIELD – w centrum miasta, niedaleko kasyna MGM, w zaparkowanym samochodzie znaleziono zwęglone szczątki dwóch osób.

Policja zidentyfikowała jedne z nich jako należące do Edmunda „Remy’ego” Carvera, dwudziestosiedmiolatka, wnuka Lionela Salta. Drugą osobą była dwudziestotrzyletnia Rose Allaband, która była uznawana za zaginioną; ostatnio widziano ją w Worcester cztery miesiące temu. Wstępne wyniki dochodzenia sugerują morderstwo połączone z samobójstwem.

Urząd szeryfa nie określił innych podejrzanych w tej sprawie.

Serce Charlie biło jak oszalałe.

Jeszcze kilka kliknięć i znalazła wspólne zdjęcie Vince’a w towarzystwie kilkunastu młodych, barczystych mężczyzn z drużyny szermierczej nowojorskiego uniwersytetu. Miał na sobie biały strój, stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, włosy były krótsze niż w prawie jazdy, na skroniach przycięte prawie do skóry. Największe wrażenie zrobił na niej jego uśmiech: prosto do kamery, uśmiech człowieka, który jest przekonany, że świat stworzono dla takich ludzi jak on.

Vince nie uśmiechał się w ten sposób.

Tylko że wtedy miał ksywkę „Remy”, był bogaty i szczęśliwy. Jeszcze nikogo nie zabił i nie upozorował swojej śmierci. Nie pracował na czarno przy uprzątku trupów, nie mieszkał kątem u dziewczyny z półświatka, byle tylko mieć dach nad głową.

Pamiętała pot ściekający jej między łopatkami tamtego wieczoru, kiedy się spotkali. Smak ginu z niewielką domieszką toniku, bo chciała jak najszybciej tanim kosztem się nawalić. Przyjaciele zostawili ją samą, a Vince stanął murem, broniąc jej przed wypchnięciem za drzwi pożarowe przez tłum gości.

Czy gdyby wiedziała, że jest bogaty jak skurwysyn, wzięłaby go do siebie w przypływie autodestrukcji i głupoty? Na pewno nie. Rzecz jasna, i tak by mu nie uwierzyła. Uznałaby, że facet wybrał sobie najgorszy możliwy tekst na podryw. O ho, ho, jesteś wnukiem miliardera? Ja niestety sypiam tylko z bilionerami. Masz pecha.

A co, gdyby ją jednak przekonał? Nie ma mowy. Facet, który skończył prestiżową uczelnię, z funduszem powierniczym i czekającą go przyszłością? Na pewno nie zaprosiłaby go do wynajętego domu. Żeby kręcił nosem na byle jaki wystrój, gardził nią z powodu kiepskiej pracy, braku wykształcenia i wszystkich błędów popełnionych w życiu?

Przede wszystkim, gdyby wiedziała, że jest spokrewniony z Saltem, rozbiłaby butelkę na jego głowie.

Charlie usiłowała się skupić, wyobrazić sobie, co on mógł myśleć tamtej nocy. Pewnie był przekonany, że nie ma przed sobą żadnej przyszłości. Ukradł *Liber Noctis*, ale coś poszło nie tak. Może chodziło o tamtą dziewczynę? O coś, co skończyło się dwoma zwęglonymi trupami i koniecznością sfigowania własnej śmierci?

Jakoś skombinował fałszywe prawo jazdy z Minnesoty, na tyle dobre, że Charlie się nie zorientowała. Co prawda nigdy nie widziała prawdziwego dokumentu z Minnesoty, nie wyciągnęła go też z plastikowego pokrowca, żeby się dokładniej przyjrzeć, no bo po co? Pewnie nikt inny też zbyt uważnie nie sprawdzał. Nie miał natomiast ani karty kredytowej, ani kredytu, ani numeru ubezpieczenia. Tylko tę parszywą robotę na czarno.

I wtedy na scenę wkracza Charlie. Pewnie zauważył, że zalewa się w samotności i uznał ją za łatwy łup. Zmęczona życiem dziewczyna, która od razu weźmie go do łóżka. Na tyle zdesperowana, że nie będzie zadawać zbyt wielu pytań. Dobry kanciarz zawsze tak postępuje. Nie próbuje cię do niczego przekonywać, prawdziwy fachman tylko ci nie przeszkadza w oszukiwaniu samej siebie.

A potem, prawie po roku, Vince wchodzi do Rapture i widzi wynajętego przez dziadka czarodzieja-zbira. Jeśli Hermes go rozpoznał, będą kłopoty. A więc trzeba się pozbyć Hermesa. Nie zrobił tego, żeby uratować Charlie.

Trochę była nieprzytomna, trochę jej się kręciło w głowie.

– Będiesz wychodzić... – Posey zatrzymała się w drzwiach. Uniosła nieco brwi, widząc materac oparty o ścianę i wyciągnięte szuflady. Potem jej wzrok powędrował ku siedzącej na podłodze Charlie.

– Wiesz, że w tych ciuchach, które wyrzuciłaś do kosza, było trzydzieści dolców w drobnych?

– Cholera – mruknęła Charlie.

Napiwki z całego wieczoru. Zdecydowanie zaczynała tracić kontrolę. To już stawało się niepokojące.

Posey podeszła, wręczyła jej pieniądze, potem znowu się rozejrzała.

– Co tu się wyprawia? Bo chyba raczej nie śpisz, nie?

– Raczej nie – przyznała Charlie.

Posey westchnęła ciężko.

– Zrobię sobie ramen i jeszcze jedną kawę. Masz dziesięć minut, żeby skończyć to, co tutaj robisz, a potem sobie pogadamy.

Kiedy tylko siostra wyszła, Charlie znów zajęła się internetem. Jeszcze raz wpisała „Edmund Carver”. Pojawiły się zdjęcia na blogach poświęconych życiu celebrytów, fotki z różnych imprez. Ani jednego z ostatnich czterech lat, natomiast sporo wcześniejszych wzmianek o tym, że się pojawiał na balach i uroczystych otwarciach.

Znalazła też artykuł o gali urządzonej przez French Heritage Society i zdjęcie, na którym widniał w towarzystwie blondynki podpisanej jako Adeline Salt. Miała na sobie białą jedwabną suknię, która w zestawieniu z jej opalonym i przypuszczalnie starannie wyrzeźbionym ciałem sprawiała wrażenie wyjątkowo drogiej.

Na tym zdjęciu Vince – Edmund – obejmował ją ramieniem, w drugiej ręce trzymał kieliszek szampana. Był roześmiany, a światło padało tak, że jego cień wznosił się nad nimi obojgiem.

Charlie знаła tę dziewczynę. To ta ze zdjęcia w portfelu Vince'a. Córka Salta, a więc ciotka Edmunda, chociaż wyglądało, że są w tym samym wieku. Adeline. Ta dziewczyna, której imię wypowiedział przez sen.

Pod artykułem przeczytała kilka komentarzy internautów.

Jeden procent społeczeństwa świętuje, reszta głoduje. Byle znał, kogo trzeba, niech sobie będzie mordercą, no nie?

Nie wierzę zarzutom stawianym Remy'emu i nikt, kto go znał, też by nie uwierzył. Zawsze był chętny do pomocy innym ludziom. Pamiętam, jak przemókł do suchej nitki, pomagając personelowi rozstawiać namiot podczas imprezy w The Hamptons, kiedy rozpętała się burza. Jak położył się na brudnym chodniku, żeby sięgnąć po torebkę, która wpadła za kratkę kanalizacyjną jakiejś nieznanym kobiecie. Nigdy nie zapomnę, jak razem wymknęliśmy się z bankietu urządzonego przez zarząd Central Park Conservatory, żeby po prostu pójść na spacer. Takiego Edmunda chcę pamiętać.

Może jestem złym człowiekiem, ale cieszę się, że umarł. Szkoda tylko, że zdążył przed śmiercią odebrać życie tej niewinnej dziewczynie. To wstrętne, że ktoś usiłuje go bronić i „chce pamiętać” inaczej, niż jako tego, kim był naprawdę – zwykłego psychola.

Charlie usłyszała, że siostra wstawiła coś do zlewu i wiedziała, że zaraz będzie musiała z nią porozmawiać. Chciała jednak sprawdzić jeszcze jedno. Wpisała w Google Lionela Salta, nie robiła tego już od wielu lat.

Pojawił się profil nieruchomości w West Springfield, ponoć kupionej za 8,9 milionów dolarów w roku dwa tysiące pierwszym oraz kilka linków dotyczących jakichś procesów prawnych. Na widok zdjęcia domu Charlie poczuła, że poca jej się dłonie.

Był bardzo podobny do tego „pałacu”, który pamiętała.

RÓJ CZARNYCH MUCH

Kiedy Charlie wyszła z łazienki, Posey siorbała ramen zaprawiony całą toną sosu czosnkowego z chili.

Posey miała na sobie legginsy i za dużą koszulę, brązowe włosy splotła w warkocz. Normalka, ale do tego zrobiła sobie kreski na powiekach, posmarowała usta błyszcznikiem i włożyła zapinane na suwak buty sięgające do połowy łydki. To znaczy, że dokąś się wybierała. Charlie miała nadzieję, że nie do jakiegoś podziemnego laboratorium.

– No dobrze, chciałaś ze mną rozmawiać i żeby Vincent tego nie słyszał – odezwała się, zmuszając się do skupienia uwagi na rozmowie, a nie na tym wszystkim, czego właśnie się dowiedziała. – O co chodzi?

Posey stuknęła palcem w miseczkę.

– A nie powiesz mi, dlaczego zrobiłaś taki kipisz w sypialni?

Może powinna poprosić o tarota, kobiety na rozdrożu miewają takie pomysły. A może powinna usłyszeć od kogoś innego: „nie ufaj mu”.

– Najpierw ty, ty byłaś pierwsza.

– Dobrze. Wczoraj wieczorem rozmawiałam z takim facetem...

Charlie natychmiast pożałowała, że zeszłej nocy cokolwiek jej opowiedziała.

– Mówiłaś, że tego nie zrobisz.

– Niczego ci nie obiecywałam – odparła Posey. – Po prostu przerwałyśmy rozmowę.

Wystarczył jeden głupi telefon, żeby Charlie otarła się o śmierć. Mało brakowało. Co będzie, jeśli przez gadulstwo Posey ktoś skojarzy jej przygodę ze zniknięciem Hermesa i wieść dotrze do Salta?

– A poza tym byłam ostrożna – dodała Posey.

– Skasuj to. Cokolwiek tam wpisałaś, skasuj.

Charlie spojrzała na komputer Posey i ogarnęła ją nagła pokusa, żeby cisnąć laptopa do Nashawannuck Pond i przez to jakimś cudem zatrzeć ślady w internecie.

– To nie było online – wyjaśniła Posey. – Rozmawialiśmy na zaszyfrowanym czacie, gdzie po przeczytaniu wszystko samo się kasuje.

Charlie siadła przy stole. Bolała ją głowa. Po prostu za dużo wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Miała ochotę zaszyć się w czarnej dziurze i ewentualnie poddać terapii zorientowanej na wrzask.

– Może przez chwilę nie mówmy o tym – powiedziała Posey – bo chcę z tobą porozmawiać o czymś innym.

– Kurwa – odpowiedziała Charlie z braku lepszego pomysłu na odpowiedź.

– Nawiązałam kontakt z doktorantem na UMass. Nazywa się Madurai Malhar Iyer. Pisze doktorat na temat pobudzania cieni. Facet, który mi o nim opowiedział, od dawna usiłuje się z nim skontaktować, ale Malhar ciągle go spławia.

Charlie już przeczuwała, co będzie dalej i jak bardzo jej się to nie spodoba.

– Wiedziałam, że nie zgodzisz się z nim spotkać, więc napisałam do niego i opowiedziałam, że to wszystko, co ci się przytrafiło, zdarzyło się mnie. Tylko...

Charlie spoglądała na nią wyczekująco.

– No, nie mogę tam jechać sama – dokończyła Posey.

– Dlaczego?

– Bo to jednak nie zdarzyło się mnie – wyjaśniła Posey takim tonem, jakby tłumaczyła dziecku coś oczywistego.

Charlie sięgnęła widelcem do ramenu siostry po ostrą papryczkę, wsadziła ją do ust i poczuła, jak piecze.

– No, to masz problem.

– Powiedziałam mu, że możemy się spotkać w bibliotece UMass dziś wieczorem i porozmawiać – dokończyła Posey, tonem osoby, która zamierza czegoś zażądać, chociaż niby tego nie robi. – Dzisiaj wieczorem – powtórzyła.

– Nie. Nie – powtórzyła Charlie, podnosząc obie ręce. – Nie ma mowy, ja nie jadę. Nie ma takiej możliwości.

Posey zmrużyła powieki.

– A co, masz inne plany? Zamierzasz przetrząsnąć też duży pokój?

– Słuchaj, mam za sobą naprawdę paskudny wczorajszy wieczór i nie mam ochoty rozmawiać o tym z jakimś obcym facetem.

– Okłamałaś Vince'a, wcale się nie umówiłaś z Katelynn. Wiem o tym. Szukałaś czegoś i nie chciałaś, żeby on o tym wiedział.

Jawny szantaż, choć nie wypowiedziany wprost. Dłonie Charlie nieświadomie zacisnęły się w pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w ciało.

– Nie graj tak ze mną.

– Nie mam samochodu. Przynajmniej mnie podwieź – powiedziała Posey. – Proszę.

Charlie sapnęła gniewnie i poszła do swojego pokoju.

– Co robisz? – zawołała za nią Posey.

– Idę po kurtkę.

Minęła po drodze Lucypurr; kotka trzepała ogonem, wpatrywała się w ścianę przy łazience. Czasem dochodziło stamtąd skrobanie myszy, co wprawiało kocicę w stan niezdrowegożywienia. Charlie przyszło do głowy, że ostatnio w jej domu taki stan jest na porządku dziennym – wyjątkiem był tylko Vince.

W sypialni Charlie pospiesznie doprowadziła wewnątrz do porządku, zmieniła pościel, żeby dostarczyć w miarę wiarygodnego wyjaśnienia, na wypadek gdyby się okazało, że coś nie leży na swoim miejscu.

Kiedy wyjeżdżały z podjazdu, w myślach Charlie kłębiła się mieszanina wspomnień. Zamordowanie Randa przez Salta. I łatwość, z jaką Vince załatwił kwestię wczorajszego zabójstwa. Czy zabijał dla swojego dziadka? Czy zabił tę dziewczynę, którą znaleziono martwą w jego samochodzie i czy zrobił to na polecenie Salta? A może miał jakieś własne powody?

Vince był uważny, dokładny i przerażająco kompetentny, ale jednak nie sprawiał wrażenia, że lubi zabijać czy wręcz już się nie może doczekać, kiedy znowu to zrobi. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić, żeby krzywdził kogoś dla zabawy.

Co prawda dosyć trudno było jej również ujrzeć go oczami wyobraźni na jakiejś gali z rodzaju tych, które widziała tylko w telewizji; w garniturze, którego cena z pewnością przewyższała wartość jej samochodu; sączonego szampana i to takiego prawdziwego, z właściwego regionu Francji. Być może po prostu miała poważnie stępioną wyobraźnię.

– Powiedz mi coś więcej o tym całym Malharze – zaproponowała Charlie, żeby zająć myśli czymś innym.

Posey wzruszyła ramionami.

– Za dużo o nim nie wiem. Na czacie był całkiem miły.

– Bez obrazy, Posey, ale to, że ktoś robi doktorat, jeszcze o niczym nie świadczy. Zwłaszcza że dopiero robi. Skąd przypuszczenie, że akurat ten facet wie więcej niż ty? W końcu przesiadujesz całymi nocami w internecie i niczym innym się nie zajmujesz, więc przeczytałaś już pewnie z milion relacji o pobudzeniu miliona cieni.

– Ale ja nie prowadzę badań naukowych – sprzeciwiła się Posey. – Ludzie zmyślają albo przesadzają, żeby zwrócić na siebie uwagę. Filmy można zmanipulować. Może i sporo wiem, ale brałam za prawdę różne rzeczy, a potem się okazało, że wcale nie działają. A on ma sposoby na sprawdzenie pozyskanych informacji. Naukowe. – Posey poruszyła się niespokojnie w fotelu. Pewnie było jej niewygodnie, bo siedzenia w tym samochodzie były w podobnym stanie jak wszystko inne. – Aha, skoro już o tym mowa...

– No? – ponagliła ją Charlie.

Posey się skrzywiła.

– Ja też trochę przesadziłam...

– Żeby zwrócić na siebie jego uwagę – dokończyła za nią Charlie, spoglądając na ciemniejące niebo. – Cóż, z tym też jakoś sobie poradzimy.

Po tej wymianie zdań Posey zamilkła i nie odzywała się przez resztę drogi.

Przejechały przez Calvin Coolidge Memorial Bridge i dotarły do Uniwersytetu Massachusetts, który wznosi się niczym miasto niespodzianka pośród pustkowia, ma własny stadion futbolowy, wieżowce, korki uliczne i miniaturowy Stonehenge. Skręcisz nie w tę stronę na tamtejszym wiejskim jarmarku, a studenci otoczą cię całym rojem,

nadciągają tu co roku niczym szarańcza, spragnieni piwa i bubble tea. Studenci to żywy krwiobieg całej Doliny i chociaż działali Charlie na nerwy, doskonale wiedziała, że to dzięki ich zapotrzebowaniu na drinki ma zapewnioną pracę.

A wkrótce Posey dołączy do ich grona, by razem z nimi podążać ku świetlanej przyszłości. Przynajmniej taki był plan.

Charlie zaparkowała na ogromnym parkingu, miejsca były tam oznaczone różnymi literami, z czego niewątpliwie należało wnioskować, że albo wybrała właściwe miejsce, albo wręcz przeciwnie.

Kiedy wysiadły, Charlie znowu pożałowała, że nie wzięła czegoś cieplejszego od skórzanej kurtki. Słońce chyliło się ku zachodowi, zalewało wszystko swym czerwonym blaskiem. Z tego miejsca widać było iskrzącą w oddali elektrownię burzową w Sunderland.

– Co tam? – spytała Charlie.

– Jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że miałabym tutaj codziennie przyjeżdżać – odpowiedziała Posey.

Stały przez kilka chwil, aż Charlie przypomniała jej, że to ona wie, dokąd mają iść, więc niech prowadzi. Posey przez chwilę spoglądała w telefon.

– To ma być chyba gdzieś przy tamtym stawie.

Zgubiły się dwa razy, błąkały się po kampusie, mijając grupki studentów i studentek w piżamach i uggsach na nogach. Czarnoskóra dziewczyna z idealnym mejkapem siedziała przed świetlicą i czytała feministyczny przekład *Beowulfa*. Biały chłopak próbował wcisnąć Charlie ulotkę festiwalu anime. Obok nich przebiegło trzech koleś w dresach uczelnianej drużyny.

Vince chodził kiedyś do takiej szkoły, przesiadywał na wykładach, ćwiczył szermierkę. Z tym że to był droższy uniwersytet. Taki, który miał go przygotować do sprawowania władzy nad mniej uprzywilejowanymi warstwami społeczeństwa.

Miał wszystko. Pieniądze, przywileje.

Charlie pierwszy raz zastanowiła się, co sprawiło, że uciekł od tego wszystkiego.

Madurai Malhar Iyer czekał na nie w sieni biblioteki. Był wysoki, młody, miał brązową skórę, nosił okulary w drucianych oprawkach i flanelową koszulę narzuconą na T-shirt. Prawdopodobnie poświęcał swoim studiom tak wiele czasu, że zapominał o jedzeniu, bo był wyjątkowo szczupły.

– Jestem Posey. A to jest moja siostra Charlie.

Malhar wpisał je do książki jako gości, po czym zaprowadził do gabinetu na tyłach budynku.

– Dziękuję, że tak szybko zgodziłyście się na spotkanie – powiedział.

Posey skinęła głową, najwyraźniej czuła się skrępowana. Do Charlie dotarło, że jej siostra chce zrobić wrażenie na młodym naukowcu.

Malhar zsunął z ramienia torbę, postawił ją na stole, wyciągnął z niej laptopa i notes. Wypadło kilka długopisów, potoczyło się jabłko.

– Macie ochotę na coś do picia? Jest ekspres do kawy, ale taki sobie. Gorąca czekolada da się pić, ale ktoś mi mówił, że znalazł w kubku ugotowanego karalucha.

Posey zmarszczyła nos.

– To ja odpuszczę.

– A ja chętnie wypiję kawę z karakanem – oświadczyła Charlie.

Spid po przecukrzonej kawie Balthazara zaczynał z niej schodzić, a potrzebowała kofeiny, żeby móc jakoś dalej funkcjonować.

– To ja przyniosę – oświadczył, po czym się zawahał. – Na pewno nie jest taka zła. Mnóstwo ludzi ją pije.

Wrócił z trzema kubkami. Dwie kawy i czekolada. Pewnie uważał, że powinien sam też wziąć sobie napój z maszyny, niczym gospodarz, który wypija pierwszy łyk wina, aby udowodnić swoim gościom, że nie próbuje ich otruć.

– A więc – odezwał się i odkaszlnął. – Posey, proszę, żebyś jeszcze raz opowiedziała swoją historię, tym razem chciałbym ją nagrać. Co ty na to?

Posey się wyprostowała.

– Tak naprawdę, to chodzi o moją siostrę. Pisałam, że to mnie się zdarzyło, bo nie byłam pewna, czy będzie chciała rozmawiać. Jednak udało mi się ją przekonać, że to ważne.

Jego spojrzenie powędrowało ku Charlie. Wzruszyła ramionami.

– To znaczy, że u ciebie nastąpiło przebudzenie cienia?

Malhar sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

Charlie nie miała mu tego za złe. Odezwała się więc do Posey:

– Że co nastąpiło?

Posey zrobiła głupią minę.

– No przecież właśnie tak jest. No, w każdym razie coś się dzieje. Sama widziałaś, jak dziwnie wczoraj wieczorem ten cień wyglądał.

– Zabiję cię – powiedziała Charlie i wstała. – Tak po prostu, zwyczajnie. Nikt nie będzie mnie obwiniał. Nie mogę uwierzyć, że mnie tutaj zwabiłaś...

Malhar podniósł ręce, by zapobiec rozlewowi krwi.

– Ale jak już jesteś, to możemy zrobić parę testów.

Posey mówiła w samochodzie, że trochę przesadziła, jednak Charlie nie spodziewała się, że aż do tego stopnia.

– Odpada. Idziemy stąd. Moja siostra marnuje twój czas. Ona po prostu chce, żebyś jej powiedział, jak ma pobudzić swój cień. Powiedziałyby cokolwiek, żeby cię do tego namówić.

– Czekał – zawołała Posey, chwyciła ją za ramię. – Niech przynajmniej go obejrzy. Opowiedz mu, co się zdarzyło.

Charlie się wyrwała. Miała ochotę przewrócić jej kubek. Miała ochotę rzucić w nią krzesłem.

A jednocześnie jakaś część jej mózgu zaczęła się zastanawiać. Może istotnie jej cień stał się magiczny? Może nawet warto darować siostrze ten wyjątkowo wkurzający wkret, skoro akurat taka informacja może się naprawdę przydać?

– Niech będzie – powiedziała Charlie, ciężko opadając z powrotem na krzesło. – Dawaj. Testuj mój cień. Rób, co sobie chcesz. Tylko jeśli to wszystko okaże się gównie warte, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Malhar sięgnął po telefon.

– Więc mogę nagrywać?

– A skąd. Nie ma mowy – zaprotestowała Charlie.

– Daj spokój – wtrąciła Posey.

– Nie musisz podawać żadnych nazwisk podczas nagrania – zaznaczył Malhar. – W moich notatkach nie umieszczę danych dotyczących waszych tożsamości. Nagranie jest tylko dla mnie, do sprawdzenia, czy wszystko dobrze zapisałem. Nikt inny tego nie usłyszy.

Charlie popatrzyła na niego, potem na Posey.

– Niech ci będzie. Tylko żadnych nazwisk.

Dotknął ekranu, położył telefon między nimi.

– Dobrze, w takim razie zaczynamy. Najpierw spytam cię dla porządku o parę szczegółów, takich jak wiek. I ewentualnie inne detale, które uważasz za istotne.

– Dwadzieścia osiem lat. – Charlie nie zamierzała utrzymywać na nagraniu żadnych innych konkretów. – Nic specjalnego nie mam o sobie do powiedzenia.

– A ty? – zwrócił się do Posey.

– Ja? Ale co?

Skubała nerwowo skórę przy paznokciu kciuka. Odgryzła kawałek i dopiero wtedy zorientowała się, co robi. Położyła dłonie na blacie stołu.

– To samo pytanie. Wiek i co tam jeszcze chcesz o sobie opowiedzieć.

Uśmiechnął się zachęcająco.

Posey podniosła nieco głos, jakby się obawiała, że wyjdzie za cicho na nagraniu.

– Mam dwadzieścia pięć lat. Jestem jej siostrą i stawiam tarota przez internet.

– Naprawdę? – zdziwił się Malhar.

Skinęła szybko głową.

– Mogę ci powróżyć.

– Owszem, może by się przydało. – Charlie odniosła wrażenie, że Malhar gorzko żałuje, że zgodził się na to spotkanie. – Pozwólcie, że powiem kilka słów o projekcie, w którym weźmiecie udział. Zaczęło się od badań etnograficznych, od antropologicznego studium dotyczącego umbromantów. Chodziło o pogłębiony wgląd w tę społeczność. Wydawało się, że to ma sens, ponieważ wielu ludzi jeszcze pamięta, jak utrzymywano umbromancję

w tajemnicy, albo kojarzą ją wyłącznie z oglądanymi w magazynach przemienionymi cieniami. Jednak im więcej rozmawiałem z ludźmi, tym bardziej zaczęły mnie interesować pobudzone cienie oraz ich percepcja, skupiłem się więc na tej tematyce. Zdumiało mnie, jak różnie postrzegano cienie w różnych epokach i rozmaitych kontekstach społecznych. Przestało to pasować do oryginalnego konceptu mojej pracy. Krótko mówiąc, badania wzięły w łeb. Zacząłem zbierać dane historyczne i zestawiać je ze współczesnymi relacjami. Tych zaś brakowało, zacząłem więc przeprowadzać nowe wywiady. Poza tym sporo czasu zajęło mi bronienie projektu przed profesorami i kolegami ze szkoły doktorskiej. Oraz przed moimi rodzicami.

– Oni wszyscy powinni być zachwyceni, że się tym zajmujesz – zauważyła Charlie. – Czyż Uniwersytet Massachusetts nie pragnie stać się nowoczesną szkołą czarodziejów?

Malhar parsknął.

– Fizycy przeprowadzają eksperymenty z afotycznymi cieniami. Badacze folklorysty kolacjonują różne narracje. Biolodzy przyszywają myszom cienie kotów. Ja natomiast mam być antropologiem, więc wszyscy uważają, że drążę zbyt głęboko.

– Aha – odpowiedziała Charlie. – To znaczy, że ty sam chcesz założyć szkołę czarów i magii.

Zaprzeczył, ale z uśmiechem.

– Domyślasz się, że w zapisie rozmowy nie umieszczę tekstów, które mnie ośmieszają?

– A co, jeżeli ja nie będę chciała, żebyś coś zapisywał? – spytała wtedy Charlie.

– Zatrzymam nagrywanie i włączę, dopiero kiedy pozwolisz – odpowiedział. – A chcesz powiedzieć coś, co nie ma się znaleźć na nagraniu?

– Może.

Malhar chyba spodziewał się usłyszeć więcej, ale ponieważ milczała, skinął głową ze zrozumieniem, jakby był już przyzwyczajony do rozmów z różnego rodzaju paranoikami oraz dziwakami. Odkaslnął.

– Możesz opowiedzieć, jak doszło do przemiany twojego cienia?

Charlie łyknęła kawy, zastanawiając się, jak opowiedzieć tę historię, żeby sobie nie zaszkodzić.

– W miejscu, gdzie pracuję, pojawił się jakiś facet i jego cień mnie zaatakował. Ten cień czasami był jak mgła, a czasami przypominał jakby sylwetkę wyciętą z papieru i to skrzyżowaną z czarną dziurą. Taki kształt zrobiony z braku światła. I był na tyle materialny, że przewrócił butelki. No i...

Charlie urwała na wspomnienie mroku wypełniającego jej płuca, poczucia bezradności towarzyszącego tamtej chwili. Dopija kawę do dna w nadziei, że gorycz jej pomoże, ale niestety kawa była bez smaku i wodnista, na dnie również.

– No i potem cień wdarł mi się do gardła. Był gęsty i ciężki, jakbym połknęła chmurę burzową. Nie mogłam oddychać. – Zerknęła na paznokieć swojego kciuka, który

zdecydowanie należało na nowo pokryć lakierem. Nie chciała patrzeć na żadne z nich dwojga. – Straciłam przytomność, choć nie na długo.

Myślała o głosie Vince'a, który wtedy usłyszała. Przemawiał do Hermesa takim miękkim tonem. I ten prawie szept, kiedy na schodach domu powiedział jej: „Żałuję tylko, że już nie żyje, bo wtedy mógłbym go jeszcze raz zabić”.

– Spytam cię o parę szczegółów – powiedział Malhar. – Możesz mi powiedzieć, na jaką odległość cień oddalał się od tamtej osoby?

– Pewnie z osiem metrów – wyjaśniła Charlie, zadowolona, że może skupić się na szczegółach technicznych, a nie swoich odczuciach. – Ale normalnie był raczej bliżej.

Nastąpił jeszcze cały szereg podobnych pytań. Jak często stawał się materialny, jak bardzo materialny. Czy można było dostrzec połączenie z umbromantą. Czy jej zdaniem manipulowaniu cieniem towarzyszył wysiłek ze strony umbromanty. Czy umbromanta zasiliał cień krwią. Czy Charlie krwawiła i jeśli tak, czy cień zwrócił na to uwagę, czy był zainteresowany krwią.

Zanotował coś.

– A czy w jakimkolwiek momencie cień się odezwał?

Charlie zaprzeczyła, zaskoczona tym pytaniem. Słyszała, że struposze mogą mówić, przynajmniej niektóre. Te posiadające wielką moc, jak Rowdy Joss, sprawca masakry boksfordzkiej, albo Xiang Zheng, który około dwieście dwudziestego roku przed naszą erą poddyktował skrybom swoje obserwacje dotyczące ówczesnego świata, a uważany był za ducha. Jednak w większości struposze są prymitywniejsze od zwierząt, najwyżej pozostaje im nieco sprytu zaczerpniętego z ludzkich wspomnień, zmieszanego przy tym z obłędem dotykającym większość z nich.

Natomiast cienie pozostają przecież na uwięzi. Nie przemawiają, nie same z siebie. Przynajmniej tak się Charlie wydawało.

Posey wyraźnie zastanawiała się nad tym samym.

– To cienie mówią?

Malhar zastanowił się, ale raczej nie nad tym, czy w ogóle odpowiadać, tylko w jaki sposób to ująć.

– Nie wiem, na ile się orientujecie w mechanice wymiany energii zachodzącej między umbromantą a cieniem.

Posey zmarszczyła czoło. Wstydziła się przyznać, że nie wie nic, natomiast Charlie stwierdziła, że akurat na ten temat chciałyby wiedzieć coś konkretnego.

– Opowiadaj – zachęciła Malhara.

– Przeciętna istota ludzka w stanie spoczynku wytwarza wystarczającą ilość energii do zasilenia żarówki. Albo naładowania telefonu. Kiedy biegniemy, wytwarza się w nas energia, którą można by zasilić kuchenkę elektryczną. – Potrząsnął głową. – Chociaż właściwie to nie zupełnie tak. Zgodnie z pierwszym prawem termodynamiki energii nie

można ani wytworzyć, ani zniszczyć. Toteż energii właściwie nie wytwarzamy, tylko przetwarzamy ją z żywności i powietrza.

Podczas tych wyjaśnień Posey cały czas kiwała głową.

– Właśnie tę energię przekazuje się cieniom. Są jak mały pasożyt. Ciało i tak wytwarza nadmiar energii, a magiczna narośl ją wchłania. Im więcej energii zgromadzi, tym cień staje się potężniejszy.

– I w ten sposób można sprawić, żeby cień robił to czy tamto – stwierdziła Posey.

– Zauważyłem, że masz rozdwojony język – mówił dalej Malhar – więc z pewnością słyszałaś o rozdwojonej świadomości. Umbromanci trenują swoje umysły w taki sposób, żeby jednocześnie kontrolować cień i własne ciało. Osobom dwuręcznym przychodzi to łatwiej. Jeśli zobaczysz umbromantę, który nie ma rozdwojonego języka, istnieje spora szansa, że jest to właśnie osoba oburęczna.

– Wiadomo – mruknęła niecierpliwie Posey. Dla niej to były zupełne podstawy.

– Problem polega na tym, że przebudzony cień sam z siebie nie może przechować większego zasobu energii. Powiedzmy, że umbromanta nakazuje cieniowi wykonać coś, co wymaga większych ilości mocy, niż cień posiada. Może wtedy jakby otworzyć kran, pozwolić mu sączyć energię od umbromanty. Jednak jeśli trwa to zbyt długo, umbromanta umiera. I tutaj właśnie przydaje się rozdwojenie duszy. Jeśli umbromanta włoży nieco samego siebie w swój cień, może wówczas stworzyć osobną istotę, która już jest w stanie gromadzić energię. Cień staje się odbiciem jaźni, jej lustrem, alter ego, jednostką o lustrzanej tożsamości. Natomiast im potężniejszy staje się cień, tym bardziej przejmuje kontrolę nad swoim właścicielem.

– Struposze – odpowiedziała Charlie.

Malhar skinął głową.

– Kiedy umbromanta umiera. Tak. Natomiast jestem przekonany, że zyskują świadomość na długo przedtem.

Charlie nagle zrozumiała, dlaczego jego opiekunowie naukowcy mogli uznać, że zanadto zgłębia temat. Powiedział przecież, że cienie ciekawią go bardziej niż sami umbromanci; czy to znaczy, że to je chciałby badać, a nie ich właścicieli? Albo że już takie studia przeprowadza?

– No cóż, zrobimy teraz kilka testów – powiedział Malhar. Może zgadywał, o czym Charlie myśli. – Chciałbym przeprowadzić trzy różne próby, ale najpierw muszę rozstawić sprzęt.

– Będziesz to filmował? – spytała Charlie.

– No, to jest część testu – odpowiedział ostrożnie.

Charlie spoglądała, jak Malhar rozkłada statyw, po czym łączy kablem laptop z telefonem.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby filmować nasze twarze.

Skinął tylko głową, zajęty mocowaniem reflektorów na statywach. Potem wyciągnął lancet do nakłuwania palca w plastikowym opakowaniu.

– Charlie, mogłabyś wstać? – spytał, rozłożywszy cały ekwipunek.

Odsunęła krzesło.

– A teraz powiedzcie, co skłoniło was, by sądzić, że cień uległ przekształceniu pod wpływem tamtego zdarzenia?

– Dziwnie się poruszała – odpowiedziała natychmiast Posey. – Nie w taki sposób, żeby nad nim panowała czy coś, ale po prostu dziwnie.

Zwrócił się do Charlie:

– Karmiłaś go krwią?

– Wczoraj byłam pokaleczona szkłem – odpowiedziała. – A dzisiaj w łazience zdrapałam strup z jednego skaleczenia. Więc nie wiem. Może.

Posey sprawiała wrażenie urażonej, bo usłyszała o tym po raz pierwszy. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że do tego wszystkiego by nie doszło, gdyby młodsza siostra nie zawiodła jej zaufania, Charlie nie miała zamiaru mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

– Mogłabyś teraz nakłuć palec? – spytał Malhar. – Przed obiektywem.

– Jasne.

Charlie sięgnęła po lancet i rozdarła plastik. Wbiła czubek w palec i spoglądała na czerwoną kropelkę, która się pojawiła.

Wszyscy przyglądali się temu w milczeniu. Nie zdarzyło się nic. W końcu Charlie oblizała palec.

– No dobrze, to chyba nie działa. Robimy następny?

Nie bardzo wiedziała, jak ma się czuć. Raczej nie marzyła o tym, żeby stać się umbromantką, ale jednak oblała test.

– Dobrze, spróbuj sprawić, żeby się poruszył – polecił Malhar, chociaż przecież musiał już się zorientować, że to na nic.

Charlie się skoncentrowała. Była w zasadzie prawie dwuręczna, natomiast jej umysł nie przejawiał chęci rozdwojenia.

– Próbujesz coś zrobić? – ponagliła ją Posey.

Charlie popatrzyła na nią wymownie.

– Okej, ostatnia próba – oznajmił Malhar.

Włączył reflektory.

Światło pierwszego sprawiło, że cień Charlie pojawił się na ścianie z jej lewej strony.

Potem zaświecił drugi. Powinien utworzyć się drugi cień, tymczasem go nie było.

Charlie wpatrywała się, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

– Czy to...?

Malhar przytaknął. Po chwili odezwał się przyciszonym głosem.

– Twój cień jest w trakcie procesu. Jeszcze nie całkiem do tego doszło, ale za dzień albo dwa, jeżeli będziesz go karmić krwią, nastąpi całkowite przebudzenie. Chyba nigdy

jeszcze nie widziałem cienia na tym etapie.

Charlie z mieszanymi uczuciami wpatrywała się w ciemny zarys własnej postaci. Wiedziała, że to część jej jestestwa, ale zarazem mimo wszystko trochę się go bała.

– I co teraz?

– Możesz przestać go dokarmiać – wyjaśnił Malhar. – Wtedy powróci do poprzedniego stanu.

Skinęła głową.

– Ale chyba tego nie zrobisz – obruszyła się Posey, jakby sam ten pomysł był obelgą. Charlie sięgnęła po nietknięty trzeci kubek i wypła jeszcze nieco letniej, wodnistej kawy.

– Albo możesz zostać umbromantką. – Malhar wyłączył najpierw jeden reflektor, potem drugi. – Niektórzy obawiają się pobudzonych cieni. Są nawet tacy, którzy uważają, że jesteśmy wprowadzani w błąd co do ich prawdziwej natury.

Posey się zachnęła.

– On mówi o ludziach, którzy uważają cienie za demony.

Przytaknęła.

– Albo kosmitów. Ich zdaniem nasze umysły dokonują błędnej interpretacji tego, co widzimy, ponieważ prawda jest zbyt potworna, by ludzki rozum zdołał ją pojąć.

– Ale Charlie nie jest wariatką – stwierdziła Posey.

Sama Charlie nie była tego taka pewna.

– Dobrze, ale czym właściwie jest taki pobudzony cień?

– Chodzi ci o teorię? – podjął Malhar. – Zapewne słyszałaś o ciemnej materii: to dzięki niej grawitacja nie rozrywa naszej galaktyki. Musi istnieć, w przeciwnym razie wszystkie inne kalkulacje matematyczne biorą w łeb, natomiast z drugiej strony nikt jeszcze nie zdołał jej istnienia udowodnić. Ciemna energia jest zaś bytem jeszcze bardziej hipotetycznym. Za pomocą ciemnej energii próbowano wyjaśnić zjawiska w rodzaju pojawiania się duchów, natomiast pasuje ona znacznie lepiej do cieni. W pewnym sensie można je uważać za duchy żyjących osób. W każdym razie podobnie jak duchy stanowią echo traumatycznych przeżyć, afotyczne cienie powstają właśnie pod wpływem traumy i niektórzy naukowcy twierdzą, że tak jak duchy odgrywają raczej wspomnienia, nie mają prawdziwego życia. Tyle że to bzdura.

– Afotyczne? – spytała Charlie.

– Afotyczne, czyli rozwijające się bez dostępu światła – wyjaśnił usłużnie Malhar. – Takie tam akademickie określenie.

– A więc rzeczywiście trauma pobudza cień? – W głosie Posey słychać było napięcie, bo dotarli właśnie do najbardziej interesującego ją tematu.

Malhar rozłożył ręce.

– Na to wygląda, tylko że trauma jest czymś bardzo indywidualnym. W sieci krąży sporo filmów ukazujących kompletnie nieodpowiedzialnych ludzi, którzy wyczyniają

najgorsze głupoty, byle tylko pobudzić swój cień. Jednak to wszystko nie działa, bo pozbawione jest ładunku emocjonalnego. Trauma to coś więcej niż wyłącznie ból.

Charlie zerknęła z ukosa na siostrę.

– Czyli ayahuasca też nie zagra?

Malhar tylko się roześmiał.

Posey milczała, jednocześnie zawstydzona i rozzłoszczona.

– Musimy wracać – stwierdziła Charlie.

Wstała, starała się nie czerpać z tego momentu zbyt wiele satysfakcji.

Malhar wziął telefon ze stołu.

– Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać, tak żeby móc monitorować postępy twojego cienia. Wiesz, że możesz mi zaufać. To znaczy, mam nadzieję, że wiesz.

– Mogę zadać pytanie? Ale bez nagrywania – spytała Charlie.

Wyłączył dyktafon w telefonie.

– Oczywiście.

– Słyszałeś kiedyś o księdze zatytułowanej *Liber Noctis*?

Uniósł brwi.

– O *Księdze struposzy*?

Przytaknęła.

– Słyszałem o aukcji – odpowiedział. – Pojawiły się zupełnie obłąkańcze pogłoski o tym, że spisał ją struposz, taki, który „pochwylił oddech życia”. Bardzo bym chciał rzucić na nią okiem. To jedna z tych ksiąg, z którymi każdy pragnąłby się zapoznać, jak *Traktat Lucyfera*, *Codex Antumbra* czy *Fushi-no-Kage*.

– Sądzisz, że cokolwiek z tych pogłosek może być prawdą?

– Co? Że została napisana przez struposza? To by było fascynujące. Niemal wszystkie księgi o magii cienia zostały spisane przez umbromantów i przedstawiają ich optykę, natomiast jak by to wszystko wyglądało widziane oczami cienia? Takiego, który zyskuje świadomość i uczy się postępować według własnej woli?

Charlie miała pewne wątpliwości, czy chciałyby to wiedzieć, natomiast pomału zaczynała się domyślać, że inny struposz pewnie chętnie by to przeczytał.

Kilka minut później Charlie i Posey szły po trawie w stronę parkingu. Znów mijały ich stadka studentów.

– Domyślałaś się, że mój cień rzeczywiście zaczął się budzić? – spytała Charlie.

Posey pokręciła głową.

– A ty?

– Oczywiście, że nie. – Charlie wetknęła dłonie głęboko w kieszenie skórzanej kurtki. – Przecież bym ci powiedziała.

Posey fuknęła, jakby wcale nie była o tym przekonana.

– Pasujesz do tego miejsca – stwierdziła Charlie, rozglądając się dookoła.

Siostra nie odpowiedziała.

– Mówię poważnie. Jesteś taka, jak ci ludzie tutaj.

Posey kopnęła mokre liście.

– Mamy mnóstwo zaległych rachunków, sama mi ciągle przypominasz, że stać nas na dom tylko dlatego, że Vince dokłada się do czynszu. Studia to pieniądze wyrzucone w błoto. A poza tym teraz wszystko będzie inaczej. Jesteś jedną z nich. Za parę miesięcy, kiedy w stu procentach zostaniesz pomroką, będziemy mogły zrobić, co zechcemy. Nawet załatwić dla mnie ten nikomu niepotrzebny dyplom.

Charlie spojrzała z ukosa na ziemię, na swój cień. Nigdy nie brała pod uwagę takiej wersji przyszłości, w której zaliczałyby się do ludzi obdarzonych jakąś mocą czy władzą. Miło pomyśleć, że byłaby w stanie dać Posey coś, co by ją uszczęśliwiło. Tylko że od dzieciństwa akurat Charlie dostawało się to, czego pragnęła Posey. Zainteresowanie ze strony matki. Pieniądze. A teraz jeszcze prawdziwa magia.

Jednak nawet jeśli z tego wszystkiego miało wyniknąć coś dobrego, najpierw musiała załatwić sprawę Vince'a, który ją zdradził, który był kłamcą i ukrywał księgę, który miał coś wspólnego z Saltem i zbrodnią. Sekrety Vince'a były jak rój much w jej wnętrznościach. Obawiała się, że gdy tylko otworzy usta, wydostaną się na zewnątrz obrzydliwą, czarną chmarą.

PRZESZŁOŚĆ

Kiedy odszedł Rand, Charlie przez jakiś czas nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Miała teraz więcej czasu dla swoich przyjaciółek, na odwiedzanie ich domów i weekendowe imprezy.

Od dawna wmawiała sobie, że to Rand zmuszał ją do udziału w różnych przekrętach. Jednak teraz, gdy go zabrakło, jakoś nie mogła sobie znaleźć miejsca. Wyglądało na to, że potrzebuje intensywniejszych przeżyć niż większość ludzi, których znała; że musi przyjąć większą dawkę adrenaliny, żeby cokolwiek poczuć.

Sześć miesięcy po pogrzebie Randa wybrała się znowu do Moose Lodge. Benny roześmiał się na jej widok.

– No nie, maleńka – powiedział. – To nie lokal dla ciebie. Nie chcemy, żeby ktoś się nas czepiał za demoralizowanie nieletnich.

Rzuciła plecak na jeden ze stołów, weszła za bar. Sprawdziła maszynę do lodu, która miała to do siebie, że wyprodukowane przez nią kostki szybko się ze sobą stapiały, należało więc energicznie rozbijać je za pomocą specjalnego szpikulca. Zrobiła mu martini właśnie takie, jakie lubił, z zimną wódką i przybrane kilkoma oliwkami, żeby złagodzić jej smak.

– Chcę pracować na własny rachunek – powiedziała, przysuwając mu drinka. – Nie chcę robić dla Knighta.

Zmarszczył brwi.

– Czasy są takie, że właśnie pomroki dają zarobić.

– Dobra – powiedziała, chociaż zaczęły jej się pocić dłonie. – Tylko żeby to nie był on.

Benny wzruszył ramionami.

– Siostrzeniec Williego, Stephen, zajął się kradzieżą cieni. Mówi, że to łatwizna. Odcinasz cień tak samo, jakbyś przecięła pasek od torebki, wystarczy mieć tylko taki specjalny nóż z onyksu.

– Tak po prostu?

Skrzywiła się, bo przejęła po Randzie niechęć do przestępstw, które nie wymagały żadnego specjalnego talentu.

– Nie wiem, nie znam się – odpowiedział. – W każdym razie dostaje dwieście pięćdziesiąt za sztukę i dwadzieścia razy tyle, jeżeli to jest jeden z tych magicznych cieni, tylko to już jest niebezpieczne.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Ale to nie dla ciebie.

Wyprostowała się.

– A masz coś dla mnie?

– Może taką sztuczkę, o którą sam bym się pokusił, gdybym był dużo, dużo młodszy. Widziałaś kiedyś dom Arthura Thompsona?

– Pewnie – odpowiedziała Charlie.

Była tam na wycieczce w pierwszej klasie szkoły średniej.

– No więc zebrała się grupka umbromantów, zrzucili się i chcą, żeby ktoś tam się włamał i ukradł stronę z notesu, który znajduje się w zamkniętej na klucz szafce. Podobno można się z niej dowiedzieć czegoś bardzo ważnego o cieniach jako pochłaniającej energii, która służy do zmieniania innych cieni i tak dalej, i tak dalej, czary-mary. Myślisz, że dałabyś radę?

Arthur Thompson wynalazł sposób na ściąganie energii z wyładowań atmosferycznych, przed mniej więcej trzydziestoma laty założył pierwszą farmę burzową. Tym właśnie się wślawił, zanim doszło do masakry boksfordzkiej. I za to powinno się go cenić, jak stwierdziła nauczycielka Charlie, która pragnęła zainteresować młodzież pozytywnym aspektem legendarnej skądinąd postaci – wbrew naturalnej w tym wieku fascynacji wszelkimi okropieństwami.

Arthur Thompson interesował się mianowicie nie tylko błyskawicami, ale i magią cieni. Kiedyś podczas lokalnego festynu przechodził obok stoiska fundamentalistów głoszących, że umbromancja to dzieło szatana, zatrzymał się więc razem z dwoma przyjaciółmi i jak przystało na człowieka nauki, wszczął dyskusję.

Krótko mówiąc, wszyscy trzej zostali zastrzeleni. Cień Arthura po śmierci stał się strupozem, który zabił ponad sto osób. Jego domostwo zachowano w oryginalnym stanie, łącznie z pracownią i wszystkimi notatkami.

– Ile płacą? – zainteresowała się Charlie.

Benny machnął ręką.

– Pięćset.

Zerknęła na niego, próbując odgadnąć, ile może wynosić jego działka.

– To chyba nie za dużo. Tyle, co dwa cienie.

Wzruszył ramionami.

– No tak, może powinnaś poszukać łatwiejszej fuchy.

Oczywiście wzięła tę robotę.

Charlie zawsze uważała się za osobę kąśliwą niczym najeżony kolcami jeżowiec, a tymczasem, skoro chciała zostać kanciarą taką jak Rand, musiała popracować nad urokiem osobistym. Poza tym czym innym było postępowanie według jego wskazówek, a czym innym opracowanie całego planu akcji.

Ćwiczyła od podstaw. Najpierw szybciutki przekręt polegający na tym, żeby kupić paczkę gumy, zapłacić dychą, potem narobić zamieszania i nakłonić kasjera, żeby wydał resztę z dwudziestaka. Drobiażdżek, ale trzeba było nieźle się przy tym postarać, mieć sprawną gadkę i wyglądać na wcielenie niewinności.

Kolejny numer to „świnia w worku”, w sam raz dla nastolatki. Charlie zaczepiała ludzi na ulicy, pokazywała im rzekomo znaleziony złoty pierścionek albo coś równie wartościowego i pytała, czy to może ich. Najczęściej nawet nie musiała dawać do zrozumienia, że należy jej się ze dwadzieścia dolców znaleźnego. Byli święcie przekonani, że wykorzystują naiwność małolaty, do tego stopnia, że sami z siebie wręczali jej banknoty.

Dzięki temu uczyła się dawkować uśmiech, nieśmiałość, rzekomą nadgorliwość. I zarobiła przy okazji sześćdziesiąt baksów, czyli całkiem nieźle.

W sobotę poczyniła właściwe przygotowania do wykonania pierwszej robótki bez udziału Randa.

Wystarczyło zadzwonić, żeby personel domu Arthura Thompsona dostarczył jej podstawowych informacji. Dowiedziała się, jakie wycieczki będą zwiedzać muzeum w poniedziałek, po czym udała się do second-handu położonego najbliżej szkoły katolickiej, o której mówił pracownik. Zgodnie ze swoimi oczekiwaniami znalazła w nim szkolny mundurek. Był trochę nagryziony przez mole, a spódniczkę poprzednia właścicielka skróciła, jak tylko mogła, ale kosztował jedynie dwanaście dolarów za cały komplet, łącznie z białą bluzeczką.

W domu zajęła się włosami. Kiedy zrobiła sobie kucyki, wyglądała jak przebieraniec; natomiast kiedy je ujęła w koński ogon, włożyła czarne skarpetki, posmarowała wargi błyszczkiem i włożyła do ust kawałek gumy balonowej, prezentowała się wprost idealnie.

Przypuszczała, że do środka dostanie się bez trudu, w końcu chodziło o muzeum, czyli instytucję, której misja polega na przyjmowaniu zwiedzających. Problem sprowadzał się do tego, jak niepostrzeżenie przeniknąć do wnętrza zamkniętego gabinetu i otworzyć szafkę. Jeszcze większy, jak wyciąć strony z książki, a następnie wycofać się po cichu i nie dać się przyłapać.

W poniedziałek wprowadziła swój plan w życie. Powiedziała matce, że nocuje u Laury, potem sfalszowała zwolnienie lekarskie do szkoły. Następnie pojechała

autobusem do Northampton. Z pewnej odległości przyglądała się, jak dzieciaki wchodzą parami do środka, odczekała kwadrans, po czym wbiegła do muzeum.

– Spóźniłam się – powiedziała kobiecie w recepcji, odgrywając totalną panikę. – Strasznie przepraszam. Zasnęłam i mama musiała mnie podrzucić, i na pewno mi się oberwie. Moja klasa już tu jest, prawda? Mogę wejść?

Kobieta zawahała się, ale tylko na krótką chwilę.

– No już, biegiem!

Charlie pobiegła więc i dołączyła do grupy. Odetchnęła z ulgą, pierwszy etap miała za sobą. Trzymała się w pewnej odległości od klasy, dopóki wycieczka nie dotarła do gabinetu Arthura Thompsona. Tam się wmieszała w tłumek, by wejść razem z nimi. To był ważny moment, bo drzwi strzegł system alarmowy i wpuszczano tylko jedną grupę naraz.

Nauczyciel – młodo wyglądający księżulo ze wschodnioeuropejskim akcentem – chrząknął znacząco.

– A teraz proszę słuchać uszami, a nie ustami.

Charlie wślizgnęła się za regał.

Pracownik muzeum rozpoczął opowieść o dzieciństwie Arthura Thompsona, potem studiach na Harvardzie w latach osiemdziesiątych i wreszcie o tym, jak prototyp urządzenia pobierającego prąd z piorunów poraził go tak mocno, że musiał spędzić sześć tygodni w szpitalu.

– I to wtedy jego cień nabrał magii? – spytała jedna z dziewczyn.

Ksiądz rzucił jej karcące spojrzenie, ale facet z muzeum skinął głową.

– Tak się powszechnie uważa, ponieważ od tego czasu zajął się magią cieni. Zaczął uczestniczyć w wymianie informacji na jednej z wczesnych grup dyskusyjnych i nawet zamieścił tam wyliczenia dotyczące wymiany energii między umbromantą a jego cieniem.

– I co się z nim stało? – spytał chłopak stojący w głębi.

– Nie przeczytałeś lektury, Tobias? – spytał ksiądz.

– Nie, chodzi mi o cień – wyjaśnił chłopak. – Nazywał się Rowd Joss, prawda? I był struposzem. Chodzi mi o to, czy go odłowili?

– Niczego takiego nie było w czytance – zaprotestował ksiądz. – Nie będziemy tracić czasu na takie rzeczy.

– Ale ja widziałem wideo – zaproponował chłopak. – W internecie.

Pracownik muzeum uśmiechnął się, choć był to uśmiech nieco wymuszony.

– Nikt nie wie, co się stało z cieniem Arthura po masakrze boksfordzkiej. Niektórzy przypuszczają, że transfer energii doprowadził do utraty pamięci a przynajmniej jej

zamącenia. Pamiętajcie jednak, że Rowd Joss to nie Arthur. Arthur zginął, był ofiarą jak wszyscy inni.

Charlie przysłuchiwała się, jak ksiądz oraz przedstawiciel muzeum dzielnie usiłują wrócić do tematu. Po piętnastu minutach uczniowie ruszyli ku wyjściu, a Charlie została, schowana za półką z książkami. Odczekała, aż wszyscy wyjdą, po czym zmieniła kryjówkę, weszła pod ogromne biurko Arthura Thompsona.

Obserwowała stopy przychodzących i wychodzących, ponieważ uświadomiła sobie, że należało dołączyć do ostatniej grupy, a nie trzeciej od końca. Przynajmniej nie musiała wstrzymać oddechu i trwać w zupełnym bezruchu, wokół panował ciągły zgiełk złożony z wykładu przewodnika, szurania stóp, chichotów i charakterystycznych odgłosów gumy balonowej.

Wreszcie gabinet opuściła ostatnia grupa. Charlie słyszała dochodzącą z sąsiedniego pomieszczenia rozmowę pracowników muzeum – było ich tylko dwoje. Któreś z nich się zaśmiało. Potem zaniepokoił ją dźwięk pracującego odkurzacza.

Jednak wewnątrz gabinetu nikt nie sprzątał, a odgłos przycichł po kilku minutach.

Teraz Charlie mogła odetchnąć z prawdziwą ulgą.

Słyszała pikanie uruchamianego alarmu i odgłos zamykanych zamków. Na zewnątrz zapadła noc. Charlie wypełzła spod biurka, bała się o wiele bardziej, niż się tego spodziewała. Choć zwiedziła już tak wiele domów, tutaj czuła się inaczej. Wzdrygała się na najdrobniejszy odgłos.

Odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Posłużyła się telefonem, żeby oświetlić zamek gabloty. Ręce drżały jej tak, że zdołała go otworzyć dopiero za trzecim połączyć.

Bez trudu znalazła właściwy notes, był częścią ekspozycji. Przerzuciła go, aż znalazła stronę zatytułowaną *Energia wymiany*, wyciągnęła z plecaka żyłkę.

Kiedy już miała ciąć, ogarnęło ją poczucie winy. Nie mogła się zdobyć, żeby zniszczyć rękopis. Kiedy wszystko planował Rand, nigdy nie musiała się zastanawiać nad moralnym aspektem danego skoku. Rand był kryminalistą, razem popełniali przestępstwa i na tym koniec.

Charlie sięgnęła do plecaka po batonik, zjadła go, rozglądając się po gabinecie. Obeszła pomieszczenie, oglądając zdjęcia. Oryginalne szkice Arthura Thompsona, projekty farmy burzowej. List z gratulacjami od gubernatora. W rogu zaś list napisany literami przypominającymi pająki, od kogoś, kto chyba twierdził, że jest strupozsem.

Do A. Thompsona w mieście Northampton.

Próbował pan się ze mną skontaktować, proszę zaprzestać tych usiłowań. Owszem, prastare istoty przebywają w cieniu, ale lepiej dla pana, żeby tak pozostało.

Nie zamierzam się poddawać żadnym badaniom naukowym. Może i wywodzę się z tego samego gatunku co pan, ale już do niego nie należę.

Napisał dwudziestego trzeciego dnia kwietnia Cleophes z Yorku.

Skrzywiła się, bo przyszło jej na myśl, że struposz Arthura Thompsona może też nadal kręci się po świecie i pisze listy.

W końcu Charlie zdecydowała się, żeby zrobić telefonem zdjęcie strony w notesie. Fotografia zawierała tę samą informację, jeżeli o nią im chodziło, fotka powinna wystarczyć. Mimo wszystko miała jednak poczucie, że schrzaniła robotę, ale nie mogła się zdobyć, żeby po prostu wyciąć tę stronę.

Potem podeszła do okna w nadziei, że tamtędy uda się uciec. Jednak było podłączone do systemu alarmowego. Charlie siadła w fotelu, okręciła się na nim. Przez jakiś czas bawiła się grą w telefonie. Potem z powrotem wpełzła pod biurko, żeby się przespać.

A potem zobaczyła coś w świetle padającym przez okno. Cień w kącie pokoju, który po chwili oderwał się od ściany. Charlie starała się nie oddychać.

Cień przemierzył gabinet, zatrzymał się przy pasmie czarnych kafelków przecinających podłogę. Potem przeszedł nad nim i od razu stał się bardziej widoczny. Przez chwilę nabrał wyrazistszych rysów, zapewne pomroka, który go kontrolował. Chwilę potem minął onyksowe płytki i skierował się do gabloty. Wniknął w dziurkę od klucza, drzwi się otworzyły. Potem zaś cień stał się znowu materialny, tak jakby ktoś z nocnego mroku ulepił ludzki kształt. Musiał to zrobić, inaczej nie byłby w stanie unieść manuskryptu. Serce Charlie łomotało, wstrzymywała oddech, kiedy cień znów ją mijał. Wetknął książkę do stojącego w kącie kosza z rulonami jakichś papierów, zapewne reprodukcji planów Thompsona.

Następnie wypłynął przez szybę. Wtedy Charlie zdała sobie sprawę, dlaczego nie mógł zabrać ze sobą rękopisu. Nie zdołałby precyzyjnie się z nią przez szparę pod drzwiami ani przeniknąć przez szybę, tak samo jak nie mogła tego zrobić Charlie. Mógł natomiast przenieść książkę w inne miejsce, tak żeby czekała już tam na jego umbromantę, który przyjdzie rano i zabierze fant, wsunie do torby i tyle go widzieli.

Nastawał świt, kiedy uznała, że cień już chyba na dobre się oddalił i podeszła do kosza, żeby zerknąć na książkę.

Zakłęła bezgłośnie. Był to dokładnie ten sam notes, po który ją tu przysłano. Z którego miała wyciąć stronę. Teraz otworzyła go ze złośliwą satysfakcją i sięgnęła po żyletkę.

Nieważne, kim był umbromanta, który usiłował zdobyć te notatki, niewątpliwie czeka go przykra niespodzianka. Charlie miała nadzieję, że nieźle się wkurzy. Naszła

ją przemożna pokusa, by podpisać swoje dzieło, ale dzielnie zwalczyła tę dziecianną fanaberię.

Kiedy rankiem pojawiła się pierwsza grupa zwiedzających, Charlie była upojona zwycięstwem i strasznie chciało jej się siku. Kiedy sobie poszli, Charlie wyczołgała się spod biurka, znowu schowała za półkami. Jeszcze jedna klasa, jeszcze jeden wykład. A potem ewakuacja.

Do gabinetu wchodziła kolejna tura. Charlie uśmiechnęła się do jakiegoś chłopaka, który stanął obok niej. Dotknęła swoich ust, a następnie popatrzyła na niego uważnie.

– Masz tu coś.

Dotknął miejsca, które mu pokazała, wyciągnęła dłoń.

– O – powiedziała. – No, już.

Charlie starała się nie rzucać w oczy nauczycielom, a kiedy skończyła się pogadanka, ze spuszczoną głową wmieszała się w tłumek. Była już przy drzwiach, kiedy usłyszała głos.

– Ejże – powiedział jeden z nauczycieli. – Ty nie jesteś z tej klasy.

Mimo woli odwróciła się i zobaczyła, że nauczyciel spogląda surowo na tego samego chłopaka, którego usta pomazała swoim błyszczkiem.

– Keith! – powiedziała.

Zaraz potem Charlie była za drzwiami, a potem już na ulicy, unosząc ze sobą coś, co stanowiło powód jej wizyty i jeszcze ważniejszy powód, żeby jak najprędzej dać nogę.

Benny umówił ją na spotkanie później tego samego dnia na parkingu jednego z coffeeshopów w śródmieściu.

Stawiło się trzech pomroków w wieku dwudziestu kilku lat. Jeden z nich trzymał w ustach elektrycznego szluga. Drugi miał ze sobą deskorolkę. Patrzyli na nią wzrokiem, który wyraźnie mówił, że w żadnym razie by jej nie zatrudnili, gdyby sobie zdawali sprawę, jaka jest młoda.

– Masz tu swoje trzy stowy – powiedział pomrok z waporyzátorem.

Charlie otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale ubiegł ją drugi z nich, rzucając z krzywym uśmiechem:

– Bierz, co ci dają, albo nie robimy dilu.

– Nie robimy dilu – stwierdziła wtedy Charlie.

– A komu sprzedasz tę stronę, jak nie nam? – spytał chłopak. – Sądzisz, że ktoś inny da ci więcej?

Charlie podejrzewała, że być może któryś z nich posłał swój cień do domu Arthura Thompsona, żeby ubiec pozostałych. A może to któryś z nich rozmawiał z kimś jeszcze innym i to tamten postanowił zwinąć im stroniczkę sprzed nosa.

Pewnie mogłaby im o tym powiedzieć. Tyle że nie wydali jej się zbyt sympatyczni.

– Sześćset albo spalę świstek. I cena rośnie przy każdej kolejnej próbie targowania. Popatrzyci po sobie.

– Odpada.

– Siedemset – syknęła Charlie.

Jeden z nich roześmiał się, wtedy sięgnęła na dno torebki po zapalniczkę. Zakręciła kółkiem.

– Jeb się – powiedział ten z deskorolką.

Charlie przytknęła płomień do kartki. Zajęła się natychmiast, ledwo zdążyli krzyknąć, a kartka już zmieniła się w popiół, który porwał wiatr; jeszcze przez chwilę czarne skrawki wirowały w powietrzu niczym cienie.

Obrzuciła pomroków wzgardliwym spojrzeniem, ogarnęło ją znużenie po nieprzespanej nocy i po stracie pewnej, jak jeszcze przed chwilą sądziła, nagrody za odniesione zwycięstwo. Do tego dochodziło przekonanie, że Randowi z pewnością coś takiego by się nie przytrafiło.

– Wiesz, co zrobiłaś? – spytał ten z elektronicznym papierosem.

– Tak, zrobiłam takie czary, że już nigdy nikt nie będzie próbował mnie wystawić do wiatru – odpowiedziała Charlie, a potem odeszła, wyprostowana, z wysoko podniesioną głową.

WYLIZYWANIE RAN

Kiedy Vince wrócił do domu, Charlie udawała, że śpi. Oddychała równo, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Stał w drzwiach i przyglądał jej się na tyle długo, że Charlie przeszedł dreszcz.

Wiedziała, że konfrontacja jest nieunikniona, ale jeszcze nie teraz. Była zmęczona i gniew, który powinna odczuwać, jakoś się ulotnił, pozostawiając jej tylko obezwładniający smutek. Nie chciała, żeby Vince był wnukiem Lionela Salta, nie chciała oceniać, do czego gotów jest się posunąć, by chronić swoją tożsamość. Skoro zamordował Hermesa, bo tamten rozpoznał go jako Edmunda Carvera, czy to znaczy, że ją także by zamordował?

– On nie zdaje sobie sprawy, że wiem – powiedziała sobie. – Na razie nie. Jednak i tak wyobraźnia podsuwała jej wizję Vince’a, który kładzie się obok, a po chwili sięga po poduszkę, aby udusić nią Charlie.

Albo że wziął z jej własnej kuchni nóż i trzyma go za plecami, idąc do sypialni. Przypomniało jej się, że te noże kupiła w TJ Maxx i że ciągle trzeba było je ostrzyć. Kiedy ostatnio usiłowała przepołowić dynię, musiała rznąć niczym piłą. To byłaby straszna śmierć.

A biorąc pod uwagę, jak szybko pozbył się zwłok, jej trupa na pewno też bez trudu by upłynął. Nie wątpiła, że posiada wszystkie niezbędne do sprzątnięcia śladów rozpuszczalniki, tak że w razie czego ekipa śledcza nie znajdzie żadnego dowodu.

Znowu przeszedł ją dreszcz, przygryzła od środka policzek, żeby zmusić się do bezruchu.

Przypomniało jej się, jak często mówiono o mordercach „taki spokojny, zamknięty w sobie facet”. Pasowało do Vincenta.

Leżała nieruchomo, kiedy składał spodnie i wkładał koszulę do kosza na pranie. Nie poruszyła się, kiedy odłożył zegarek na szafkę, podłączył telefon do ładowarki.

Może powinna sama coś z tym zrobić. Kiedy mieszka się z kimś pod jednym dachem, chyba stosunkowo łatwo taką osobę obezwładnić. Wystarczy dodać do jedzenia końską dawkę środka uspokajającego. Albo przywiązać go do łóżka pod pretekstem perwersyjnej zachcianki, a potem przesłuchać i zmusić, żeby przyznał się do wszystkiego. Zadać pytania, które zawsze chciała mu zadać.

Tylko że po pierwsze nie mieli łóżka, a po drugie, tak naprawdę pragnęła, by wślizgnął się do niej i położył dłoń na jej ramieniu, i powiedział, że Charlie przecież nie śpi, on wie o tym, i że ją kocha do szaleństwa, i chce wyznać wszystko, co przed nią ukrywał, i wytłumaczyć, dlaczego to robił. To było dziecinne pragnienie. Marzenie, żeby świat stał się nagle inny, niż jest, a ludzie postępowali właśnie tak, jak nigdy nie postępują. To było marzenie luzerki gotowej dać się oskubać ze wszystkiego, co ma.

Tak, ale Vincent Damiano nie jest prawdziwą postacią. Tak bardzo się starała, żeby Vince nie dostrzegł tego, co się kryło pod jej maską, że po prostu nie zauważyła jednej wielkiej maski, którą był Vince.

Dziura w głowie, dziura w sercu albo dziura w kieszeni. Klątwa matki, babki i córki.

Po jakimś czasie wyszedł z pokoju, gasząc za sobą światło. Leżała sama w ciemnościach z otwartymi oczami. Na zewnątrz paliły się latarnie. Za domami sąsiadów wznosiła się stara fabryka, ciemny zarys budowli, a nad nią lśniła srebrna moneta księżycy.

Dopiero kiedy czerwony blask świtu zakrwawił niebo nad horyzontem, Charlie zdołała usnąć.

Z budziła się wczesnym popołudniem.

Wygramoliła się z łóżka, potem wetknęła głowę do pokoju siostry, żeby się upewnić, że Vince nie oszalał i nie poćwiartował jej czy coś w tym rodzaju. Posey spała, obejmując ramieniem swojego prastarego macbooka.

Charlie włożyła szlafrok, poszła do kuchni i naląła sobie kubek gorzkiej, ciepłej kawy. Do kieszeni szlafroka wsunęła kuchenny nóż. A potem czekała ze ściśniętym żołądkiem.

Nadszedł czas, żeby poważnie porozmawiać.

Dwadzieścia minut później pojawił się Vince z dwiema torbami pełnymi zakupów. Charlie mimo woli teraz patrzyła na wszystko jego oczami, oczami chłopaka z dobrej rodziny. Wszystko stare i zniszczone. Plamy tłuszczu. Nędza.

Dostrzegł wyraz jej twarzy, postawił torby na kontuar, nawet nie zaczął ich rozpakowywać.

– Coś się stało?

– Okłamałeś mnie – powiedziała Charlie, patrząc prosto w jego jasne oczy.

Jeszcze nie był w defensywie, ale już zaniepokojony.

– Ale ja...

– Próbujesz się domyślić, o którym kłamstwie mówię? Może być trudno, bo było ich tak wiele – warknęła. – Panie Edmundzie Carver.

– Nie zwracaj się tak do mnie – powiedział.

– Wolisz, żebym na ciebie mówiła Remy? A może boisz się, że ktoś usłyszy? – Spodziewała się, że ta chwila prawdy będzie czymś strasznym, tymczasem okazało się, że to było wspaniałe, świetne uczucie, móc tak wyrzucić z siebie skumulowaną złość.

– Jak się spało na materacu zamiast w atłasowej pościeli za miliony?

Pokręcił głową.

– Przysięgam ci, to nie tak.

Jednak kiedy na niego patrzyła, widziała tylko Edmunda Vincenta Carvera rodem z rubryk towarzyskich, dostrzegała tylko poczucie wyższości w jego szarych oczach. Starczyłoby nałożyć nieco pomady, nieco zmienić wyraz twarzy, a już byłby obcy. Gdyby tylko uważniej go obserwowała, dostrzegłaby to dużo wcześniej. Rozpoznał zegarek firmy Vacheron Constantin z odległości dwudziestu kroków, znał się na rezydencjach bogaczy, i jeszcze do tego, kurwa, uwielbiał plotki. No kurwa.

Nie mówiąc już o tym, że z pewnością zabijał i to z przekonaniem, że nic mu za to nie grozi.

– Ach, przysięgasz. W takim razie to na pewno prawda – odparowała ze zjadliwą kpinią w głosie.

– Chciałem zacząć nowe życie. – Głos Vince’a nadal był przyciszony. – Bez wszystkiego, co było w starym. Nie chciałem, żebyś mnie zobaczyła takiego, jakim kiedyś byłem.

– Dobry tekst. Jednak to nie wyjaśnia innej sprawy, bo podobno nie żyjesz – warknęła Charlie. – I tego, że wszyscy szukają księgi, którą ukradłeś, nie wykluczając tego faceta, który próbował mnie zabić. Szkoda, że jej nie trzymasz w tym worku w szafie, razem z twoim prawdziwym prawem jazdy.

– Grzebałaś w moich rzeczach?

Niespodziewanie bezbarwny ton jego głosu jeszcze bardziej ją rozwścieczył.

Cały ból, który był udziałem Charlie, teraz przeistoczył się w gniew.

– Zgadza się. I znalazłam to prawo jazdy. A potem dowiedziałam się z internetu, że zamordowałeś dziewczynę, a potem siebie samego! – zawołała. – I co, mam się teraz wstydzić, bo ośmieliłam się naruszyć twoją prywatną przestrzeń, tak?

– No, trochę tak – powiedział, przecierając dłonią twarz. – Zresztą nie wiem.

– I wiesz co jeszcze? Słyszałam wszystko, co powiedziałeś do Hermesa. Normalnie wszystko. Wtedy zrozumiałam, że kłamiesz. I teraz już wiem, dlaczego go zabiłeś. Bo on cię rozpoznał.

Vince znów potrząsnął głową, próbując strząsnąć z siebie jej słowa.

– No już – ponagliła go. – Zaprzeczaj. Powiedz mi, że nie jesteś jednym wielkim fałszem w fałszywym związku.

– Naprawdę tak myślisz?

W jego oczach zalśniła furia, jakiej nigdy przedtem nie widziała. Po prostu świeciły wściekłością.

Aż się zawahała.

– A co mam myśleć? Ilu ludzi zabiłeś dla Lionela Salta?

– Mnóstwo – powiedział i zamknął oczy.

Patrzyła na niego z przerażeniem.

– Tę dziewczynę?

– Nie, Rose nie. – Pokręcił głową.

– A ten facet, którego znaleźli w samochodzie? Którego ciało wszyscy uznali za twoje?

Jej głos był tak zimny, jak zamierzała i równie bezlitosny.

– Nie mogłem się powstrzymać od... – zaczął.

– Zabijania? – dokończyła za niego. – Ręka mi się omsknęła i akurat trafiłem na siekierę! O, cholera, znowu. Ups!

– Pójdę już – rzucił krótko i odwrócił się w stronę korytarza prowadzącego do sypialni.

– Wolisz odejść niż odpowiedzieć? – zawołała za nim.

Nie zatrzymał się, w pewnym momencie dotknął dłonią ściany, jakby potrzebował oparcia. Oczywiście, że odejdzie. Oczywiście, że był tu tylko po to, żeby mieć spokój, dopóki ona mu ten spokój zapewniała.

Kotka podążyła za nim, prężąc oskarżycielsko ogon.

Charlie poszła za Vince'em.

– Jeszcze jedno, gdzie jest *Liber Noctis*? No, powiedz? Wszyscy chcą wiedzieć. Hermes na pewno chciał.

– A po co ci ona? Chcesz ją komuś sprzedać? – spytał, otwierając szybkim ruchem szufladę.

– Tak byłoby najlepiej – powiedziała mu Charlie, stojąc w drzwiach i patrząc, jak wpycha ubrania do torby. – Na pewno nieźle bym się na tym obłowiła.

Przestał się pakować.

– Salt prowadzi pewną rozgrywkę, on i ktoś jeszcze. Chcą posłużyć się nami wszystkimi jako pionkami. W pewnym sensie najgorsze, co mogłoby się zdarzyć, to gdyby ta księga została znaleziona.

– Więc mi wytłumacz – powiedziała. – Wyjaśnij, co się dzieje.

– Nie mogę.

– Bo nie chcesz – zawołała. – Nigdy mnie nie chciałeś, prawda? Potrzebowałeś tylko miejsca, żeby się schować i wylizać rany. Nigdy mnie nie kochałeś.

Wyglądał, jakby go spoliczkowała. Potem coś zmieniło się na jego twarzy i nagle stał się twierdzą zamkniętą na trzy spusty, alarm uruchomiony.

– A co ty wiesz o miłości? – spytał, zarzucając worek na ramię. – Nie tylko ja kłamałem.

Charlie otworzyła usta, gotowa była odpowiedzieć za niejedno, jednak akurat nie za to.

– Może i nie powiedziałam ci o sobie wszystkiego, ale to co innego, niż udawać kogoś...

– Niech ci będzie – zawołał, przerywając jej. To było przerażające, widzieć, jak po tylu miesiącach panowania nad sobą traci to panowanie, a do tego w jego oczach widziała coś, co kazało się zastanawiać, czy i on nie jest przerażony. – Nie mogłem ci dać tego, czego potrzebowałaś. Pewnie, że nie powiedziałam ci prawdy. Nie wiedziałaś, co jest nie tak, ale przecież zaczęłaś to wyczuwać. Chciałbym móc powiedzieć, że było mi przykro, że zamierzałem być wobec ciebie szczery, ale to nieprawda. Wcale nie chciałem być szczery. Chciałem tylko, żeby to, co ci mówiłem o sobie, było prawdą.

– To powiedz teraz prawdę! – krzyknęła, nie chciała się wycofać. – Chociaż teraz bądź szczery. Przynajmniej tyle jesteś mi winien.

– Nie jestem – odpowiedział. – I nie będę.

– Dobra, to spierdalaj. Uciekaj. Bo przecież właśnie uciekasz, zgadza się? Znajdź sobie inną głupią dziewczynę, którą będziesz oszukiwać.

Kotka skoczyła i wspięła się po łydce Charlie, ugryzła ją trzykrotnie, raz po raz.

– Au! Kurwa! – zawołała, tymczasem Lucypurr umknęła w podskokach do drugiego pokoju. – Co ci odpierdoliło, kocico?

Vince uśmiechnął się, unosząc brwi, Charlie się roześmiała. W następnej chwili była wściekła na siebie, że pozwoliła sobie na śmiech i na kotkę, że akurat w takiej chwili wylazło z niej wredne bydlę, jednak nic na to nie mogła poradzić. I w tym momencie przyszło jej do głowy, że może myliła się, sądząc, że nie znała Vince'a i może rzeczywiście podświadomie dostrzegła jakąś prawdę skrywaną za kłamstwami.

Kiedy się odwracał do niej plecami, z workiem zarzuconym na ramię, na jego twarzy wciąż jeszcze widniał uśmiech.

– To naprawdę nie tak, jak myślisz – powiedział już w korytarzu. Nie odwrócił się w stronę Charlie, więc nie mogła pokusić się o próbę interpretacji wyrazu jego twarzy. W każdym razie jego głos nie brzmiał wesoło.

– Czyżby? – zawołała za nim. – To dlaczego odchodzisz?

– Bo chodzi o coś dużo gorszego.

Chwilę potem trzasnęły drzwi wejściowe.

Charlie musiała wbić paznokcie w dłoń, żeby powstrzymać się przed zatrzymaniem go. Usłyszała silnik jego vana. Opony zachrzęściły na popękany asfalcie podjazdu.

Charlie kopnęła komodę. Jej bosa stopa odczuła to boleśniej niż mebel. Kopnęła jeszcze raz.

Facet, co do którego miała pewność, że jest dobrym człowiekiem, okazał się mordercą i sfigował własną śmierć, a do tego jeszcze był wnukiem najbardziej zniechęconego przez nią osobnika. Na domiar złego nawet ten facet ją rzucił.

Poczuła się jak zadżumiona.

Charlie wymierzyła komodzie jeszcze jednego kopniaka.

A przecież sama się o to prosiła. Najpierw wykradła rachunek. Potem zadzwoniła do księgarni. Szeptała łamanym francuskim. Grzebała w jego rzeczach. Na tym polegał jej problem. Charlie Hall, która w żadnym razie nie spocznie, dopóki nie poruszy ostatniego truchła, dopóki nie odkryje ostatniego kłębówiska robali.

Nie, nie zamierzała roztrząsać minionych czterdziestu ośmiu godzin.

Postanowiła obrabować Adama i potem wystawić go Doreen, tak jak planowała. Przynajmniej tyle mogła zrobić. Zależć za skórę czyjemuś okropnemu chłopakowi, bo swojego już nie miała.

Charlie pamiętała jak przez mgłę, że właśnie takich rzeczy miała nie robić, ale to było dawno, w czasach, kiedy próbowała być grzeczna.

Wcale nie prosiła się o kłopoty, to one się wprosiły, ona tylko gotowa była serdecznie je powitać. A jeśli przypadkiem u Adama znajdzie się *Liber Noctis*, jeśli przypadkiem skroił z niej Vince'a, to tym lepiej.

Zemsta. Zemsta na wszystkich. To zapełni czas. To dostarczy jej zajęcia. Zagłuszy uczucia.

Skoro nie może być odpowiedzialna, troskliwa, dobra i kochana, skoro takie jej przeznaczenie, żeby być płonąca zapałką, trzeba się rozejrzeć za czymś, co można podpalić.

NIE PRZESZKADZAĆ

W takiej robocie cudowne jest, że trzeba na niej skupić całą uwagę. Kiedy zamierzasz coś ukraść albo kogoś okantować, nie będziesz przecież rozmyślać o swoim przebudzonym cieniu. Nie masz czasu roztrząsać ostatnich słów Vince'a ani tego, jak na ciebie patrzył, kiedy wrócił ze sklepu z pełnymi siatami.

Co ty wiesz o miłości?

Nie masz czasu myśleć o tym, że jedzenie zostało na wierzchu i pewnie już zaczyna się psuć.

Charlie musiała odsunąć na bok ból, zmartwienia i smutki. Zdusić wszystkie uczucia, dopóki robota nie będzie skończona.

Najwyższy czas przyznać, że Rand nie mylił się co do niej, a przecież minęło od tamtej pory tyle lat. Rzuciła się w wir przekrętu niczym tygrys do wody, bo to w niej znajduje ochłodę przed skwarem.

I Balthazar też miał rację. Tylko w tym była dobra i w niczym innym.

Na parkingu pod hotelem MGM Charlie najszybciej, jak mogła, poczyniła niezbędne przygotowania. Podkład na powieki, ciemnobrązowe jak dym cienie w zagłębieniach. Eyelinerem w płynie wykonała kreskę wzdłuż górnej linii rzęs, białym ołówkiem podkreśliła dół oka, a resztę wykończyła czarnym ołówkiem. Na koniec mascara – całe mnóstwo tuszu, powtórzyła tę czynność czterokrotnie. Potem dokleiła sztuczne rzęsy.

Mrużąc oczy do swojego odbicia we wstecznym lusterku, rozsmarowała na twarzy podkład o odcieniu dwa stopnie jaśniejszym od jej skóry, rozprowadziła go palcami, potem pędzlem nałożyła puder pod kośćcami policzkowymi i po obu stronach nosa, potem jeszcze nieco różu i rozświetlacz. Kiedy skończyła, jej nos wydawał się węższy, a policzki pełniejsze; twarz wyglądała zupełnie inaczej. Na koniec włożyła perukę, umocowała ją wsuwkami, przeczesała rude włosy palcami, tak żeby wyglądały możliwie jak najnaturalniej.

Kiedy spojrzała znów w lusterko, już nie ujrzała w nim Charlie Hall. Stwierdziła to z większą ulgą, niż gotowa była to przyznać.

Hotel MGM w Springfield znajduje się około dwudziestu minut od Easthampton. Kasyno otworzyło się kilka lat temu, w teorii miało zapewnić dochód miastu, które rzeczywiście rozpaczliwie potrzebowało pieniędzy. Pomimo niezliczonych artykułów w lokalnej prasie, których autorzy niezłomie dowodzili, że stanie się to z większą szkodą dla mieszkańców niż korzyścią, nic nie mogło powstrzymać inwestora, który wyczuł zysk.

W rezultacie powstał hangar wielkości stadionu pełen maszyn do gry, migoczących świateł, wielobarwnych dywanów. Zabawa trwa tam przez prawie całą noc. Jednak kiedy Charlie weszła do samego hotelu, ku swojemu zaskoczeniu stwierdziła, że jest jednocześnie industrialny w stylu i przytulny.

Ceglane ściany pokrywają półki z książkami, nad recepcją wznosi się taras z biblioteką. Za recepcjonistką wiszą ponadwymiarowe klocki drzeworytnicze, kanapy są pokryte brązową skórą, łatwo byłoby sobie wyobrazić takie meble w gabinecie profesora i zacnego gospodarza ucinającego sobie tam popołudniową drzemkę. Miejsce to emanowało nastrojem w stylu „spotkanie Las Vegas z dworcem kolejowym”, co Charlie bardzo się spodobało.

Jednak wystarczyło szybko się rozejrzeć i już wiedziała, że jest tu równie wielu gości jak w drugim hotelu, ludzie bowiem w takich miejscach imprezują z przyjaciółmi albo po prostu przyjeżdżają tu, żeby się wyrwać na parę godzin ze swojego życia, spędzić je w otoczeniu zawodowych oszustów, którzy tylko czekają, żeby ich jakoś oskubać z ewentualnej wygranej. Charlie nie miała nic także przeciwko temu.

W jednej z sal balowych musiał właśnie się zakończyć popołudniowy ślub, bo po kasynie biegało mnóstwo dziewczynek w białych sukienkach, z utrefionymi włoskami lub warkoczami, w które troskliwe mamusie wplotły kwiatki. Kilka eleganckich person we frakach i lśniących sukniach, łącznie z dwiema kobietami w oszałamiających kapeluszach, stało przy barze, prowadząc rozmowę.

Charlie siadła w jednym z foteli bibliotecznych, na tyle daleko od innych, żeby jej nie słyszano, po czym zadzwoniła do pokoju Adama. Po pięciu sygnałach odezwała się poczta głosowa. A więc dokądś wyszedł.

Sprawdziła dyskretnie, gdzie są rozmieszczone kamery monitoringu, poszła do windy. Przypomniało jej się, co mówił Vince.

Chciałbym móc powiedzieć, że było mi przykro, że zamierzałem być wobec ciebie szczery, ale to nieprawda. Wcale nie chciałem być szczery. Chciałem tylko, żeby to, co ci mówiłem o sobie, było prawdą.

To samo mogłaby powiedzieć o sobie, choć nigdy nikomu by się do tego nie przyznała.

W windzie Charlie starannie unikała spojrzeń współpasażerów – byli tam dostawca pizzy oraz dwie dziewczyny z mokrymi włosami i ręcznikami, najwyraźniej po basenie. Jednocześnie przywołała na twarz lekko znudzoną i trochę roztargnioną minę. Wsiadła na ósmym piętrze, spoglądając na numery, doszła do drzwi pokoju czterysta pięćdziesiąt pięć.

Klamkę zdobiła wywieszka NIE PRZESZKADZAĆ. Charlie zdjęła ją i schowała do kieszeni kurtki. Na wszelki wypadek jeszcze zapukała. Wewnątrz panowała cisza.

Wyśmienicie.

Charlie doskonale zdawała sobie sprawę, że ominęła ją jedyna w swoim rodzaju szansa na szybkie i bezbolesne przeprowadzenie akcji. Ponieważ nie da się cofnąć czasu o dwa dni, musiała wymyślić jakiś nowy sposób. Teraz było trudniej, ale przecież Charlie nie zamierzała się poddać z powodu jakichś głupich drzwi dzielących ją od celu.

Znała kobietę, która pojawiła się na recepcji w bieliźnie i z kubelkiem lodu w ręce. Waliło od niej alkoholem. Twierdziła, że drzwi od jej pokoju się zatrzasnęły. W ten sposób uzyskała zapasowy klucz, jednak Charlie nie była pewna, czy zdobyłaby się na coś takiego i była całkiem pewna, że nie chce w podobny sposób rzucać się w oczy. Jej obecny plan był mniej efektowny, natomiast z pewnością nie groził aż tak upiornym upokorzeniem.

We wszystkich hotelach wszystkich wielkich miast (poza tymi najwytworniejszymi), jest pokój z maszyną do lodu i przy odrobinie szczęścia także z automatem do sprzedaży napojów. Nigdy nie ma tam kamer. Znalazła takie pomieszczenie na ósmym piętrze, stamtąd zadzwoniła na recepcję.

– Halo – odezwała się. – Poproszę z kimś, kto się zajmuje sprzątaniami.

– Chwileczkę – odpowiedział męski głos.

Po dwóch sygnałach jakaś kobieta niezbyt wyraźnie mruknęła coś na powitanie.

– Tu mówi Shirley spod czterysta pięćdziesiąt – przedstawiła się Charlie, siląc się na charakterystyczny akcent z Long Island. – Mogę prosić, żeby ktoś posprzątał u mnie w pokoju?

Kobieta odpowiedziała, że tak, oczywiście, zaraz kogoś pośle. Gdy Charlie się rozłączyła, jej puls przyspieszył w wyczekiwaniu, tak jakby właśnie wypita mocne espresso. Najlepszy sposób na obniżone poczucie własnej wartości to rzucić wyzwanie wrogiemu światu i dzięki sprytowi oraz umiejętnościom odnieść choćby drobne zwycięstwo.

W końcu ten świat i tak zawsze wygrywa, ale może nie tak od razu.

Gdy kiedyś Charlie pogrążyła się w najczarniejszej depresji, wybrała się do terapeutki, której przedstawiła mocno skróconą listę swoich problemów.

W odpowiedzi otrzymała polecenie, by ćwiczyć „uwagę”, co oznaczać miało „bycie obecną tu i teraz” oraz „nieroztrząsanie dawnych błędów”, podobnie zresztą jak „błędów, które zamierzasz popełnić w przyszłości”. Charlie niezbyt się to udawało w gabinecie terapeutki, kiepsko też jej szło ze ściągniętą w tym celu uwagowościową apką, ale kiedy była w akcji, doskonale rozumiała, na czym to polega.

Właśnie tu i teraz była absolutnie obecna w swojej terażniejszości.

Po dwudziestu pełnych napięcia minutach z windy wyszła dziewczyna o fioletowych włosach, pchała wózek pełen ręczników. Ruszyła korytarzem.

Charlie odetchnęła głęboko, wyszła. Mijając ją, potknęła się i trąciła ją w łokieć, palce tymczasem wyłowiły z kieszeni fartucha uniwersalną kartę do wszystkich drzwi. Wrzuciła ją do kieszeni, z której wyciągnęła cyrkonowego lizaka, tak właśnie, jak uczyła ją pani Presto.

Możliwe, że kiedy ta dziewczyna zorientuje się, że nie ma karty, skojarzy jej brak z Charlie, ta jednak zamierzała być już daleko, kiedy ochrona zdecyduje się zastukać do drzwi Adama.

– Dobrze się pani czuje? – spytała sprzątaczką.

Charlie zachichotała.

– Oj, troszkę się nastukałam na ślubie – powiedziała, a zaraz potem minęła jeszcze trzy drzwi i weszła do pokoju Adama.

Nie ulegało wątpliwości, że tabliczka „nie przeszkadzać” wisiała na tych drzwiach już od jakiegoś czasu. Na drewnianej podłodze zalegały ubrania, obok płaskiego telewizora stała duża plastikowa butelka taniej wódki, odkręcona, do połowy pusta. W powietrzu śmierdziało papierosami, z odłączonego przez Adama detektora dymu zwisały kable.

Teraz trzeba było tylko znaleźć księgę.

Szuflada nocnej szafki przy łóżku była pusta, jeśli nie liczyć paczki prezerwatyw. W łazience znalazła szampony do włosów, płyn po goleniu i wodę kolońską. W szufladzie szafki tylko lśniący złotym lakierem waporizator i nic więcej.

Kiedy kręciła się po pokoju, powróciło niemiłe wspomnienie przeszukiwania własnej sypialni. Zaledwie dzień wcześniej.

To przypomniało jej o szafie. Otworzyła ją, wewnątrz wisiała tylko jedna kurtka. Wsunęła palce do kieszeni. Nic, tylko jakiś paperek.

Rozwinęła go i okazało się, że patrzy na kwit za pierścionek z lombardu Murraya. Adam dostał za niego siedem stówek. Hm. Opis głosił: *pierścionek cocktailowy damski, stare czerwone złoto, kamień sztuczny*. Doreen miała taki pierścionek, odziedziczyła go po swojej babci.

Charlie pomyślała, że nie ma co się dziwić. Nie zaskoczyło jej, że Adam kradnie rzeczy Doreen. Kiedy człowiek sięgnie po cudze raz, a potem drugi, kiedy w końcu zda sobie sprawę, że może zdobyć, co chce, mówiąc, co inni ludzie chcą usłyszeć, łatwo znaleźć preteksty, a trudno przestać.

Rand powiadał, że rasowi kanciarze żyją na marginesie społeczeństwa, zawsze z uśmiechem na twarzy, choćby działo się jak najgorzej. Wtedy brzmiało to całkiem romantycznie.

Jednak teraz Charlie dostrzegała w tym ciągły brak i niepokój. Nieustanny przymus bycia najsprytniejszym. Wiedzę, że nikt nie może wygrywać za każdym razem, co staje się bardziej wyzwaniem i obsesją niż ostrzeżeniem.

Przyszło jej do głowy, że Adam musiał się wpakować w jakąś kiepską historię i w dodatku nieźle zabrnąć, skoro chociaż miał księgę do upłynnienia, dodatkowo potrzebował kasy.

Dla zwykłych ludzi lombard to awaryjne źródło szybkiej gotówki pozwalające przetrwać czarną godzinę, z nadzieją, że nim nadejdzie czas spłacenia zastawionej porcelany po babci czy własnej obrączki ślubnej, czy czegokolwiek, zdołają skądś wytrzasnąć pieniądze niezbędne, żeby fanty wykupić. Dla przestępców to jeden ze sposobów na spieniężenie trefnego towaru. Akurat Murraya Charlie знаła, sama u niego sprzedawała różne gadżety.

Mając pokwitowanie, Charlie mogłaby odzyskać pierścionek, tylko musiałyby mieć na to siedemset dolarów. Których nie miała. A nawet gdyby miała, wydałaby je na coś innego.

Wsunęła papieraek do kieszeni. Doreen pewnie mogłaby go zanieść na policję. Sprzedaż kradzionych przedmiotów jest oczywiście nielegalna, a pełniąc funkcję paserów, handlarze muszą uwzględniać koszty wiążące się z ewentualną wpadką. Dla nich to po prostu cena tego, że w dużym stopniu robią biznes, przymykając oko na pewne braki części sprzedawanych towarów.

W każdym razie była to już jakaś zdobycz.

Już miała się odwrócić, kiedy zauważyła, że kurtka jakoś dziwnie wisi, jakby jej tył był znacznie cięższy od przodu. Charlie przesunęła dłonią po podszewce, aż wyczuła coś twardego.

Twardego, prostokątnego i... No, kurwa.

Wyjęła nóż, którym ostrożnie przecięła podszewkę, aż fant wypadł prosto do jej ręki: oprawiony w skórę zeszyt formatu A5. To nie była prastara *Księga struposzy*, tylko najzwyklejszy współczesny zeszyt, jaki można kupić w najzwyklejszym sklepie papierniczym. W środku zapisany długopisem.

Na pierwszej stronie widniał tytuł: *Miriada złotych myśli Knighta Singha*. Przez chwilę Charlie wpatrywała się w litery.

To była książka, której poszukiwanie chciał jej zlecić Balthazar, tej samej nocy, kiedy Doreen przyszła do Rapture. I kiedy został zamordowany Paul Ecco.

Charlie była tak zaintrygowana, że nawet nie poczuła się zawiedziona.

Co tak ważnego znajdowało się w zapiskach Knighta, że Adam musiał kryć się za kasztanowłosą Amber? Komu chciał je sprzedać, skoro zamierzał to zrobić za plecami Balthazara?

Charlie miała złe przeczucia.

Cóż, Adam może był dość sprytny, żeby dorwać się do zapisków Knighta, ale nie wystarczająco, by pozostać w ich posiadaniu.

Wsunęła zeszyt pod sukienkę, tak że gumka biustonosza dociskała go do jej skóry.

Pora zniknąć. W połowie drogi do drzwi usłyszała charakterystyczne kliknięcie zamka otwieranego kartą.

Dała nura do łazienki; kiedy drzwi się otwierały, była już w kabinie prysznicowej.

Przykucnęła, starała się bezgłośnie zasunąć zasłonkę, aby skryć się za nią na tyle, na ile się dało. Nie była w tej chwili jakoś szczególnie z siebie zadowolona.

Z pokoju dobiegał głos Adama.

– Tak, postawiłem sześć stówek. Ale to rzeczywiście pewniak?

Usłyszała kliknięcie i syknięcie gazu z zapalniczki. Poczowała zapach dymu papierosowego. Kolana już zaczęły ją boleć od niewygodnej pozycji, palcami przytrzymywała się brzegu brodzika, żeby zachować równowagę, róg notesu Knighta Singha wbijał jej się boleśnie w brzuch.

– Tak, tak. Postawiłem dokładnie na Vantablacka i Wild Mars Rovera. – Jego głos nagle się zmienił, stał się unізony. – Ależ skąd, nie śmiałbym w żadnym razie powątpiewać. Skąd znowu. Nie, skądże.

Charlie starała się nie oddychać, żeby na pewno usłyszeć każde jego słowo.

– Jak zarobię czternaście tyśi, natychmiast przekazuję księgę. Wrócę do domu i mojej dziewczyny jak bohater.

Brzmiałoby to bardziej przekonująco, gdyby nie rzucił Doreen i dzieciaka na kilka dni i nie gwizdnął jej pierścionka, żeby mieć za co obstawić według cynku, który dostał. W każdym razie teraz Charlie rozumiała już, po co mu to było. W zamian za księgę ktoś mu zaoferował informację, dzięki której mógł nieźle zarobić.

Knight należał do Kabały, lokalnego stowarzyszenia zajmującego się sprawami umbromantów. Poza tym stał na czele własnej niewielkiej grupki i maczał palce w różnych sprawach, włączając w to kradzież dzieł sztuki i manipulacje polityczne. Zatrudniał głównie pacyncarzy.

Kiedy go zabrakło, organizacja została bez szefa. Knight zgromadził wiedzę, która przydałaby się komuś, kto chciałby się pokusić o zajęcie jego miejsca. Pewnie jeszcze jeden pacynkarz, który za pomocą swojego cienia wcina się w sprawy tego świata. Na przykład, żeby spowolnić uderzenie podczas meczu bokserskiego. Szarpnąć dłonią na kierownicy podczas wchodzenia w zakręt. Sprawić, żeby potknął się koń biegnący w wyścigu. Jeszcze jeden pacynkarz. Bez pieniędzy, ale za to ambitny.

Z jednej strony mógł to być niezły układ. Z drugiej strony – zdecydowanie lewy biznes. Adamowi musiało się naprawdę spieszyć z upłynnieniem tych notatek.

– Zabrałem go Raven. – Rozległ się głos w sąsiednim pokoju. Usłyszała jęknięcie sprężyn łóżka. – Nie wiem, czy czytała.

Nogi Charlie drżały od pozostawania w tej pozycji. Mogła zaryzykować i usiąść, ale kiepsko by na tym wyszła, gdyby musiała szybko wstać. Mogła też dalej kucać i mieć nadzieję, że nie dostanie skurczu jakiegoś mięśnia, bo wtedy jeszcze trudniej byłoby jej się wyprostować i biec, gdyby zaszła taka potrzeba.

Spojrzała ze zmarszczonymi brwiami na swój cień, ciemnoszary na białych kafelkach. On też mógł ją zdradzić.

Po południu ugryzła ją kotka. Może tej krwi już wystarczyło, żeby do końca go obudzić? Cień bez właściciela mógłby wypłoszyć Adama, wygonić go na korytarz. Pewnie wiałby aż do hotelowego lobby, krzycząc wniebogłosy. Pomyślałaby, że ściga go jakiś rozgniewany umbromanta.

Rusz się – powiedziała do cienia. No, zrób coś.

Cień pozostał dokładnie w tym miejscu, w którym przebywał przedtem.

No już – powiedziała w myśli. Co z tą magią?

Bezruch.

Ale zrobiłbyś to za krew, co nie? Gdybym ci rzuciła serwetę nasiąkniętą krwią, jak psu patyk.

Zresztą pewnie ścierka nasiąkniętą krwią podziałałaby też i na psa.

Proszę.

Nic jednak się nie wydarzyło, tylko nogi drętwiały jej coraz bardziej.

Gówno nie magia. Postanowiła zaryzykować, oparła się dłonią o kafelki i powoli wyprostowała. Stać mogła długo, tylko jeśli Adam wparuje do łazienki, na pewno ją wtedy zobaczy.

Nie słyszała, żeby zamknął drzwi na zasuwkę. Gdyby wyskoczyła spod prysznicza i odpowiednio prędko przebiegła przez pokój, być może udałoby jej się wydostać z pomieszczenia, zanim zdążyłby wstać z łóżka. Problem polegał na tym, że nie było żadnych szans, żeby zdołała zupełnie bezgłośnie opuścić kabinę prysznicową. Mogłaby spróbować, dopiero gdyby włączył telewizor.

Tymczasem w pokoju Adam rozmawiał przez telefon, teraz z kimś innym.

– Tak, tylko wezmę prysznic, a potem spotkamy się w barze.

Musiała zmusić go do opuszczenia pokoju i to natychmiast.

Powoli i ostrożnie wyciągnęła z kieszeni telefon.

Znalazł już sposób, żeby pozbyć się towaru, więc telefon od Amber go nie zainteresuje, nie mówiąc o tym, że ją prawdopodobnie zablokował. Charlie musiała posłużyć się swoim własnym telefonem. Wysłać mu wiadomość, że niby ktoś się posługuje jego kartą kredytową? Może od menedżera hotelu? Ale gdyby oddzwonił, to musiałaby mu odpowiedzieć z łazienki jego hotelowego pokoju.

Charlie dokonała w myśli błyskawicznego przeglądu ludzi, których znała, zastanawiając się jednocześnie, do czego mogłaby ich namówić, co mogliby powiedzieć. Może mogłaby poprosić Barb, żeby zadzwoniła i powiedziała mu, że jest dla niego przesyłka, ale musi po nią zjechać na dół, bo trzeba podpisać pokwitowanie. A może Posey mogłaby do niego zadzwonić i poinformować, że jego samochód się pali.

Potem uświadomiła sobie, że jest jedna osoba, która z całą pewnością zdoła sprawić, żeby wstał i opuścił pokój. Doreen.

Charlie usłyszała odgłosy otwierania i zamykania szuflad, Adam czegoś szukał.

Skurwysyn sprzedał pierścioneł twojej babci – napisała Charlie.

Przez chwilę nie było odpowiedzi, Charlie zaczęła się pocić.

W końcu nadszedł esemes od Doreen.

Gnojek, zabiję go. Gdzie jest?

Charlie się uśmiechnęła. Napisała najszybciej, jak mogła:

Hotel MGM. Pokój 455. Właśnie tam jest, jakbyś chciała mu powiedzieć kilka słów.

Przez dłuższą chwilę nic. Charlie znowu oparła się dłonią o ścianę.

A potem odpowiedź:

Jesteś z nim?

Jednego Charlie była pewna, bo wystarczająco dobrze znała Doreen: cierpliwość nie była jej największą zaletą.

Niecierpliwiła się też ostatnio, w Rapture, przy każdym esemesie coraz bardziej. W szkole kopała z tyłu krzesło Charlie i pstrykała długopisem przez całe lekcje na okrągło.

Charlie po prostu nie odpowiedziała. Minęło zaledwie trzydzieści sekund, nim w pokoju odezwał się telefon stacjonarny.

Adam odebrał, potem nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

– Jak mnie znalazłaś?

A potem:

– Jak to, jedziesz tutaj?! – zawołał. – Kochanie, zaczekaj chwileczkę. A w ogóle skąd masz numer mojego pokoju?

Charlie usłyszała kroki zmierzające w stronę łazienki, znowu przykucnęła. Słuchała, jak Adam sika. Potem zaklął dwa razy, kopnął w ścianę, a następnie wyszedł z pokoju. Usłyszała odgłos zatraskiwanych drzwi i zamykającej się zasuwki elektronicznej.

Charlie dźwignęła się z trudem, wygramoliła z brodzika, przytrzymując wieszaka na rączniki. Na sztywnych i drżących nogach dotarła do drzwi. Kusilo ją, żeby je otworzyć, natychmiast się rzucić do ucieczki, zmusiła się jednak i odliczyła do pięćdziesięciu. Potem wyszła na korytarz i poszła do drzwi. Ewakuowała się schodami, przeskakiwała po dwa stopnie naraz. Na piątym piętrze musiała się zatrzymać i kilka razy głęboko odetchnąć. Przez panikę oddychała zbyt płytko, aż zrobiło się jej od tego słabo.

Lobby przemierzyła wyprostowana, godnym krokiem, patrząc przed siebie. Powtarzała sobie, że przecież ma na głowie perukę, więc Adam jej nie pozna, nawet jeśli przypadkiem kojarzy, jak Charlie wygląda. Prawdopodobnie mogłyby minąć się w drzwiach także z Doreen i ona również by jej nie poznała.

Na zewnątrz orzeźwiło ją chłodne, jesienne powietrze. Odetchnęła nim głęboko i poczuła ten przypływ czystej adrenaliny, który zawsze się pojawiał, gdy robota była już prawie wykonana. Mając zaś pod pachą notes Knighta Singha, miała przed sobą już następną.

Dziesięć minut później zaparkowała trochę za blisko zakrętu na Meadow Road przed sklepem z biżuterią artystyczną pana Murraya. Jeśli miał jeszcze pierścionek Doreen, to Charlie zdobędzie w ten sposób coś, czym będzie się mogła odwdzińczyć za przysługę wyświadczoną Posey w kancelarii uczelni. I poniekąd za to, że gwizdnęła notes Adamowi.

– Charlie Hall – powitał ją Murray, gdy rozległ się brzęk dzwonka i ujrzała znajome, zakurzone gablotki. – Co cię sprowadza?

Był małym, rudym człowieczkiem, nosił okulary w drucianej oprawce, o szklach tak grubych, że jego oczy w powiększeniu nabierały niesamowitego wyglądu. Sprzedawała mu skradzione fanty, odkąd miała piętnaście lat, kiedy to Rand uznał, że czas, by poznała tajniki biznesu także i z tej strony.

Charlie podeszła do lady, przyjrzała się pierścionkom.

– Mogę zobaczyć ten?

Murray zmrużył lekko oczy, ale wysunął szufladę.

Położyła palec na pierścionku Doreen.

– Ale wiesz, że jest kradziony?

Uniósł brwi.

– To wielka szkoda.

Westchnęła, bo o ile Doreen niby mogła zwrócić się o pomoc do policji, to należało wziąć pod uwagę, że przedstawiciele prawa i porządku raczej niechętnie interweniują w sprawach spornych dotyczących wspólnej własności małżonków.

– Zamienisz się za tipa na ustawione wyścigi konne?

Roześmiał się.

– Co, mam obstawiać koniki? A jak nie wygram, to zgłosić się do ciebie po pierścionek? Wiesz, mała, że cię lubię, ale ja wolę pewne interesy.

– To dwójka, trzeba postawić na Vantablacka i Marsa coś tam – powiedziała, obracając pierścionek w palcach, podziwiając połysk kamienia i suty blask złota. – No daj spokój, nie powiesz mi, że prowadzenie lombardu trochę nie przypomina hazardu.

– Jeżeli dobrze to robisz, nie przypomina – mruknął. – A czy ty wiesz, że ten kamień to podróba?

Faktycznie, to było zaznaczone w pokwitowaniu, ale zapomniała. Teraz przyjrzała się z bliska i dokładniej. Pazurki przytrzymujące rzekomy diament miały wyraźnie inny odcień – jasne żółte złoto.

– Adam wie? – spytała Charlie.

Murray znów się zaśmiał.

– Czy wie? Sam mi go sprzedał już dawno temu.

– To dlaczego tyle mu zapłaciłeś za wybrakowany towar? – spytała Charlie, przyszło jej do głowy, że być może Doreen nie ucieszy się tak bardzo z odzyskania pierścionka, skoro diament przepadł.

– O, nawet wiesz, ile mu dałem? – obruszył się Murray. – Dla twojej informacji, zapłaciłem mu za złoto. Dwudziestodwukaratowe. Właśnie dlatego jest tak porysowane. Po prostu za miękkie, żeby je nosić na co dzień.

Charlie posłała Murrayowi swój najlepszy uśmiech dobrej uczennicy.

– No weź, to dobry tip. A pierścionek jest troszeczkę felerny.

Murray bąknął coś niezrozumiałego i otworzył laptopa. Zaczął stukać w klawiaturę. Charlie zsunęła pierścionek na czubek środkowego palca. Przyglądała się kamieniowi.

W jednej z gablotek dostrzegła wyeksponowane towary z onyksu. Pierścienie, kolczyki, wisiory, siatkę z połączonych onyksowych paciorków i kajdanki inkrustowane onyksowymi pasmami. Obok leżały też rękawiczki takie jak miała

Odette, ale zamiast stalowych pazurów wyposażone w szpony z czarnego kamienia. Były tam też proszki, które można mieszać z lakierem do paznokci albo wcisnąć w rozproszoną na ustach szminkę, kilka fałszywych zębów i spory wybór rzeźbionych onyksowych noży. Naprawdę duży nóż wisiał za kasą. Druga specjalność Murraya. Sprzedaż amuletów przeciwko ceniom.

– Mam twój wyścig. Ten drugi to Wild Mars Rover. Cynk jest pewny? – spytał Murray.

Dobre pytanie. Adam najwyraźniej był o tym całkowicie przekonany, tylko że Adam to idiota.

– Absolutnie.

Jeśli straci pieniądze, tak czy inaczej będzie miał Charlie za złe. Czy mu zdradzi, że ma w tej sprawie pewne wątpliwości, czy nie.

– No, niech będzie – powiedział. – Oddaj pierścionek swojej przyjaciółce. Natomiast jeśli twój tip nie wypali, oddasz mi dwa razy tyle, co straciłem, i to w jakimś towarze łatwym do upłynnienia, jak nieoszlifowane kamienie. Albo kradzione cienie. Zgoda?

– Dobra – odparła Charlie, wsunęła pierścionek do końca, potem pokazała palcem czarne noże. – Dużo tego sprzedajesz?

– Coraz więcej. Ostrożność nigdy nie zawadzi – stwierdził. – Jak to mówią, onyks przebija noc na wskroś.

– Po ile są? – spytała.

Murray uśmiechnął się dobrotliwie, niczym pocziwy dziadunio do swojej wnuczki.

– Dorzucę ci gratis. Lepiej, żebyś to miała od kogoś, komu możesz zaufać. Namnożyło się ostatnio podróbek z polerowanej żywicy i nawet nieźle udają kamień.

– Wielkie dzięki.

Wybrał nóż z gabloty, owinął kawałkiem tkaniny, schował do torebki.

– Mam nadzieję, że koniki mnie nie zawiodą.

– Ja tym bardziej mam taką nadzieję – odpowiedziała, skinęła głową i poszła do drzwi. Po drodze zauważyła, że w kamienny próg wprawiono lśniącą czarną cegiełkę. Cień żadnego pacynkarza tu się nie prześlizgnie.

Wsiadła do samochodu, otworzyła torebkę i wyciągnęła nóż. Przesunęła palcem po krawędzi. Nie dałoby się nim łatwo ukroić chleba, bo kamień dużo trudniej naostrzyć, w końcu to nie metal.

Onyks może przebić noc na wskroś.

Nie nosiła ze sobą onyksowego noża od czasu, kiedy przestała okradać umbromantów – zresztą jej stary oręż przeciwko ceniom miał złamany czubek. Ostry

czy nie, onyks w razie starcia z mroczną istotą jest najskuteczniejszy. Sprawia, że się materializuje, a więc można ją skaleczyć, dodatkowo też ją osłabia.

Taki nóż mógł się przydać. Zwłaszcza że nie mogła już liczyć na Vince'a i jego umiejętności w dziedzinie łamania karków.

A więc po robocie. Teraz nie miała już jak się powstrzymać od myślenia o nim. Nie miała czym się zasłonić od ciosu, jakim było jego odejście. Nie dało się już uniknąć smutku, który nadchodził, by ją ogarnąć.

Cóż, przynajmniej się przekonał, że Charlie Hall nie jest frajerką. Nie jest łatwym łupem ani ofiarą.

Edmund Vincent Carver. Wyciągnęła telefon, żeby spojrzeć jeszcze raz na jego zdjęcie z prawa jazdy, przyjrzeć mu się, jakby mogło powiedzieć jej coś więcej. Przy okazji zauważyła adres – tutaj, w Springfield.

Właściwie mogłaby tam zajrzeć.

Był to niezbyt wielki apartamentowiec, trzypiętrowy o wysokich stropach. Ściany zewnętrzne ze starej cegły. Gdyby nie zdołała ocenić wieku budynku po patynie, łatwo by się dało go określić ze względu na nietypowy kształt okien. Wszystkie urządzenia klimatyzacyjne musiały być montowane pod dziwnymi kątami, bo inaczej w ogóle nie można by ich było umocować.

Charlie wspięła się po schodkach. Na domofonie było dziesięć przycisków. Pierwsze trzy nie odpowiedziały. Pod czwartym i piątym lokatorzy nie mieli pojęcia, o co jej chodzi. Po naciśnięciu szóstego rozległo się mrukliwe:

– Halo?

– Przesyłka dla pana Edmunda Carvera – powiedziała.

– Nie ma tu takiego.

Sądząc po głosie raczej facet.

– To może mógłby mu pan przekazać – zaproponowała Charlie. Gdyby tylko otworzył drzwi, prawdopodobnie wcisnęłaby się do mieszkania i nie wyszła, dopóki czegokolwiek by się nie dowiedziała. – Ktoś to musi podpisać.

– Powiedziałem, nie ma tu takiego. Nie mieszka tutaj. Nie żyje.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo zaczął od „nie mieszka”, dopiero potem dodał „nie żyje”. Postanowiła zagrać inaczej.

– Proszę posłuchać, skłamałam. Jestem jego przyjaciółką i naprawdę bardzo chcę go odnaleźć...

Jego głos jakby nieco drżał.

– Proszę stąd odejść. Nie chcę mieć z tym wszystkim nic wspólnego. Już powiedziałem, że nic nie wiem. Rzadko przychodził tutaj na noc i nie zostawił żadnych rzeczy. A teraz proszę już iść.

W interkomie rozległ się trzask odkładanej słuchawki.

Charlie nacisnęła znowu przycisk, potem jeszcze raz, ale już nie było odpowiedzi.

Spojrzała w stronę samochodu, jednak postanowiła jeszcze zajrzeć na tyły budynku, tam gdzie zwykle stoją kosze na śmieci. Nie zajęło jej wiele czasu znalezienie – pośród fusów od kawy, skorupki od jajek i pojemników po jedzeniu – adresowanego do apartamentu 2B opakowanego w nierozdartą folię katalogu krzewów ozdobnych. Na lśniącej naklejce, trochę tylko usmarowanej jakimś paskudztwem, widniało imię i nazwisko: dr med. Liam Clovin.

PRZESZŁOŚĆ

Przyszedłem na świat jako nic, ulotne niczym dym z papierosa. Karmione krwią, strachem i wstrętem do siebie. Wstydliwymi zachciankami. Chcę jej. Chcę jego. Chcę tego.

– Łap piłeczkę – mówi on, a ja ją łapię. To moje ręce czy jego?

– Goń mnie – mówi. – Znajdź mnie.

Łatwizna. Żeby go zgubić, musiałbym zgubić siebie.

Chce, żebym się śmiał. Pokazuje mi, jak to się robi. Pokazuje mi zabawne rzeczy. Śmieszne koty na filmikach. Dzieciaki wpadające z deskorolki do wody.

Czasami mówi, że jestem jego jedynym przyjacielem. To prawda, ale tylko dlatego, że matka trzyma go w domu, nie puszcza do szkoły. Dlatego, że ma brudne ubranie. Dlatego, że kolegów nie może zaprosić do domu.

Boję się, że ona umrze. Chcę, żeby mnie przytuliła, kiedy płaczę, kiedy mam gorączkę, kiedy się boję. Chcę, żeby mnie głaskała po głowie. Całowała w czoło. Nienawidzę jej. Może lepiej będzie, jak umrze. Te wszystkie odczucia wcale nie są moje, ale stają się moje. Stają się mną.

Czasami zabiera nas do supermarketu, a do wózka ładuje tylko tanie i ciężkie rzeczy. Cukier. Mąkę. Mleko. Mówi mu, żeby paczki z piersią kurczaka i wieprzowiną chował do swojego plecaczka.

– Tylko nie słodycze – przestrzega.

Oni wiedzą, że dzieci kradną słodycze. W ten sposób mogliby wpaść.

Na suficie są lustra, w których nas widać. Są też kamery.

Jednak na mnie nikt nie patrzy. Bierzymy więc, co ona chce. Bierzymy też słodycze. Wszystko bierzemy.

Potem jego dziadek zabiera nas do swojego wielkiego domu, gdzie jest dziewczynka, z którą można się bawić, i dość jedzenia dla wszystkich. Jeśli Remy jest głodny, ktoś daje mu jeść. Gdyby Remy płakał, też ktoś by przyszedł. Ale Remy już nie płacze. Oddaje mi wszystkie łyzy. Układ jest prosty. Możemy tu być, dopóki robię złe rzeczy. Ludzie mają w sobie iskrę, a ja muszę tylko ją wydobyć. Za każdym razem, kiedy to robię, coś z tej iskry przechodzi do mnie, tak jak smuga pyłu, którą pozostawia ćma.

Zabijać jest łatwiej niż kraść, ale nie lubię sposobu, w jaki Remy na mnie patrzy, kiedy jest po wszystkim.

Zmieniam się. Te iskry coś ze mną robią.

Trudno mi ma powrót usnąć, kiedy Remy mnie nie potrzebuje.

Nie zaznaję spoczynku. Coś ze mną jest nie tak. Coś ze mną jest właśnie tak. Mogę robić rzeczy, o których Remy nie wie. Kiedy śpi, włóczę się po domu, a łącząca nas nitka uwięź wcale się nie napina. A ja mogę żonglować pomarańczami i włączać radio niczym poltergeist. Czytam książki, rysuję obrazki na szybach pokrytych parą.

To mój pomysł, pierwszy raz. Zobaczyć, co się zdarzy. Przeciąć linę. A gdy to już się staje, czuję strach. Tam, gdzie był Remy, jest pustka. Czuję się, jakbym spadał w noc. Nigdy dotąd nie byłem sam. Za mało mnie na samotność.

Za każdym razem, gdy to się dzieje, zapominam. Zapominam różne rzeczy, drobiazgi. Gdzie byłem. Jak długo mnie nie było.

Adeline opowiada mi różne rzeczy, ale nie wszystkie są prawdą. Już nie chcę jej słuchać.

Czasami czuję, że powietrze wokół jest naładowane, jakby nadchodziła burza. Być może jestem rozgniewany. Być może jestem rozwścieczony. Myślę, że być może wkrótce zrobię coś, czego będę żałował.

Remy obiecuje mi coś. Ćśśś. Uciekniemy. Wtedy będę tylko ja i nie ja, i nie on. On mnie naprawi. On mi pomoże.

Ale najpierw trzeba zgasić jeszcze kilka iskier. Utopić jeszcze kilka gwiazd.

LANDRYNKI, NA KTÓRYCH ŁAMIE SIĘ ZĘBY

Charlie wysłała Doreen wiadomość, że ma pierścioneł, po czym wybrała się do Blue Ruin, żeby tam zaczekać i przemyśleć, co zrobi z zapiskami Knighta Singha.

Bar znajdował się daleko od centrum miasta. Mieścił się w ceglany m budynku, a wewnątrz urządzony był jak grotę. Nad wejściem widniał wyblakły szyld z nazwą „The Bluebird”. Nikt nigdy tej nazwy nie używał. Działał na trzy zmiany: otwierał się piątej nad ranem i przyjmował ostatnie zamówienia o drugiej w nocy. Między drugą a piątą stawał się zaś restauracją o dość ograniczonym jadłospisie. Wystarczyło zamówić tyle drinków, żeby wystarczyły na trzygodzinną przerwę w obsłudze, żeby chlać równo przez dobę.

O piątej lokal zaludniali pielęgniarki i doktorzy z Cooley Dickinson Hospital oraz różni pracownicy techniczni i urzędasz z rejestracji szpitala, poza tym pracownicy knajp, którzy ściągali tu, kiedy wszystko inne już było zamknięte.

Wnętrze Blue Ruin nie zachwycało swoją urodą. Bar i stoliki pochodziły z wyprzedaży po likwidacji jakiejś starej tawerny, zupełnie nie pasowały do tego miejsca. Podłoga lepiała się już od samych drzwi, trunki podawano w plastikowych kubeczkach przyozdobionych ewentualnie cieni m plasterkiem limonki o smutnym wyglądzie, innej opcji nie było.

Jeśli istniał jakiś bar, który odpowiadał samopoczuciu Charlie tego popołudnia, to z pewnością był nim Blue Ruin. Siadła na stołku z błogim uczuciem, że ma gdzie spędzić tę noc.

Godzinę później była już po trzech dziabach Maker’s Marks i wcale nie zamierzała wyhamować.

Doreen odpisała tymczasem, że jest w drodze i jeszcze coś, ale Charlie nawet nie chciało się tego czytać. Charlie dostała też esemesa od Laury, swojej przyjaciółki z czasów licealnych – chodziło o to, że nie stawiała się na barbecue, do tego wiadomość od matki o urodzinach jej nowego faceta i czy może dziewczyny chciałyby urządzić u siebie spotkanie, bo przecież u nich jest więcej miejsca?

Do tego dwie wiadomości głosowe z pracy, miała się stawić w poniedziałek wieczorem. Wyobraziła sobie, że znów stoi za barem i sporządza drinki. I stara się nie

myśleć o potłuczonym szkle oraz krwi, i jak się dławi cieniem. Stara się nie pamiętać, jak chrupnął kręgosłup Hermesa, kiedy Vince skręcił mu kark.

Olała więc te wiadomości i poszła do łazienki, żeby zmyć makijaż. Udało jej się tylko go rozmazać na powiekach i częściowo po policzkach. Zmęczenie i rozdrażnienie powalało ją szybciej, niż alkohol zdołałby temu zaradzić.

Zawsze po robocie miała taki euforyczny zawrót głowy, potem zaś adrenalina gwałtownie z niej schodziła i wszystko zdawało się nudne, płaskie, działało jej na nerwy. Tu i teraz, kiedy spoglądała na siebie w lustrze, w swoje własne ciemne oczy i przesunęła palcem po skaleczonej wardze, niespodziewanie ogarnęła ją upokarzająca chęć, żeby się rozpłakać.

I to wcale nie z powodu Vince'a. To nie miało z nim nic wspólnego.

Wróciła do baru, zamówiła kolejnego szota. Żeby utopić smutki, trzeba mieć w czym, do tego potrzebna jest odpowiednia ilość płynów.

Barman był przyjacielem Dona i od czasu do czasu ją zagadywał, na co Charlie nie zwracała specjalnej uwagi, dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że może ją podrywa.

– Kyle – powiedział, szczerząc zęby znad telefonu. – Tak mam na imię. Może Don coś ci o mnie opowiadał?

Charlie w tej chwili zorientowała się, że z pewnością Don coś opowiadał Kyle'owi o niej.

Kyle miał gęste, falujące brązowe włosy. Po jego ramieniu od nadgarstka w górę pięł się tatuaż przedstawiający różaniec. Jego cień wyglądał zupełnie normalnie. Na pewno skuteczniej pomógłby pozbyć się strachu, grozy i smutku niż cała whiskey świata. Co najmniej na jakieś piętnaście minut, a może i dwadzieścia. Powinna do kogoś zadzwonić. Do Laury, żeby przeprosić ją za swoją nieobecność na barbecue. Do Barb, która zawsze potrafiła ją rozbawić. Do José, który też miał swoje troski.

– A czy wiedziałeś – powiedziała do Kyle'a, próbując podtrzymać rozmowę – że kilka ziarenek soli podobno sprawia, że kawa nie jest gorzka? Czy to nie dziwne, że sól działa lepiej niż cukier?

– Ale to chyba nieprawda.

Kyle był raczej kiepskim barmanem. Wzruszyła ramionami.

– Nieważne, i tak lubię smak goryczy. W końcu kosztuję jej na co dzień.

Popatrzył na nią dziwnie, nie bardzo wiedział, jak ma to rozumieć.

Mogłaby mu wytłumaczyć: to jest ostrzeżenie. Owszem. Przyjmij jako ostrzeżenie to, że jestem w bardzo kiepskim nastroju i chętnie skorzystam z pretekstu, żeby się na tobie wyżyć.

Charlie chciała, żeby wszyscy uważali ją za twardzielkę o sercu z kamienia. Twardą jak stare spetryfikowane drewno, jak skała, jak landrynki, na których łamie się zęby. Tyle że ona wcale taka nie była.

– No, tutaj jesteś. – Doreen siadła obok niej przy barze, najwyraźniej kipiała z wściekłości. – Wielka Charlie Hall.

Doreen miała na sobie strój roboczy, białe dżinsy i błękitną bluzkę z kołnierzykiem, na lewej piersi nazwę przychodni dentystycznej, w której pracowała jako recepcjonistka. Kiedy dostała wiadomość, gdzie jest Adam, musiała być w pracy i prosto stamtąd się urwała.

Charlie uniosła wysoko brwi.

– No co? Wystawiłam ci twojego faceta i mam twój pierścionek.

– Tylko nie mów mi, że obrobiłaś lombard.

Głos Doreen rozbrzmiał wystarczająco donośnie, żeby kilku zawianych klientów marnujących czas w knajpie popatrzyło w ich stronę.

Charlie wzruszyła ramionami.

– Adam tylko pożyczył ten pierścionek. Powiedział mi, że te pieniądze wydał na deal, który miał zmienić nasze życie. – Doreen najwyraźniej bardzo chciała w to wierzyć. – Wcale nie jechał na blisie.

– O, to pewnie powiedział ci też, że kamień jest fałszywy – rzuciła Charlie. – Sprzedał go już lata temu.

Doreen poczerwieniała.

– Wiesz, że ty naprawdę jesteś jak diabeł? Znasz wszystkie nasze grzechy.

Charlie czuła się tak, jakby obserwowwała tę rozmowę z bardzo daleka.

– Przestań się wygłupiać, Doreen. Jestem przegrywem i tyle. Ale twojego faceta znalazłam i nawet odzyskałam twój pierścionek, więc jeżeli dowiedziałaś się o Adamie czegoś, czego wiedzieć nie chciałaś, no to bardzo mi przykro.

Przez dłuższą chwilę spoglądały na siebie w milczeniu.

Charlie wyjęła pierścionek i położyła go na barze. Jednak kiedy Doreen wyciągnęła po niego rękę, Charlie zakryła błyskotkę dłonią.

– Zaraz, zaraz. Musimy sobie jeszcze coś wyjaśnić. Odgrażałaś się, co to twój brat może zrobić na koncie Posey w UMass. Chcę mieć potwierdzenie, że płatność została odroczone i to na co najmniej trzy miesiące. Chcę to zobaczyć, kiedy zaloguję się z telefonu na to konto.

– Nie możesz oczekiwać, że on podejmie takie ryzyko...

– Ależ mogę, mogę i to na sto procent. Nawet tak się umawialiśmy.

Jednym z najbardziej frustrujących aspektów takiej pracy było to, że ludzie bardzo ją cenili przed wykonaniem roboty, a potem nagle nabierali przekonania, że to była

łatwizna. Nie cierpiała, gdy musiała targować się o coś, co jej się należało.

Doreen zerknęła na pierścionek skryty pod jej palcami.

– Ale to moje.

– Będzie twoje – poprawiła ją Charlie. – Gdy tylko zadzwonisz do brata i zaloguję się na to konto.

Doreen teatralnym gestem wydobyla telefon z kieszeni, po czym odeszła w stronę drzwi. Wróciła po kilku minutach z zaciśniętymi wargami.

– Bo wiesz, Adam powiedział, że miał odzyskać mój pierścionek. On tylko go użył jako zastawu za pożyczkę.

– Interesujące – powiedziała Charlie tonem jasno dającym Doreen do zrozumienia, że kompletnie jej te rewelacje nie interesują.

Doreen westchnęła ciężko.

– Rozmawiałam z bratem. Mówi, że nie ma dostępu do twojego rachunku. Po prostu nie działa.

– No chyba żartujesz – obruszyła się Charlie. – Co to ma znaczyć?

– On nie wie. – Doreen sprawiała wrażenie szczerze zaniepokojonej i tylko dlatego Charlie nie oskarżyła jej wprost, że zmyśla. – Może przysłali ci rachunek z innego wydziału, który nie jest obsługiwany przez jego biuro. A może twoje konto zostało zablokowane. W każdym razie próbował to zrobić.

Przez krótką chwilę Charlie poczuła, że dławi ją wściekłość, głównie na samą siebie.

Cofnęła dłoń, odsłaniając pierścionek. Nie po raz pierwszy dotarło do niej, że gdyby była choć w połowie tak zainteresowana zarobkiem płynącym z jej kombinacji jak samymi kombinacjami, znacznie lepiej by na tym wychodziła.

Doreen się zawahała.

– I co teraz?

– Kurwa, nic – odpowiedziała Charlie. – Weź go sobie. I jebać to. I jebać mnie, ciebie i jebać wszystko.

– Rany, o co ci chodzi?

Doreen machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć, że Blue Ruin to niefajne miejsce i że jest dopiero popołudnie, a Charlie już chleje.

– Świętuję – wyjaśniła Charlie. – Znów jestem do wzięcia.

Doreen zaśmiała się krótko i niewesoło.

– No proszę, kto by pomyślał. Porzucona Charlie, która cierpi zupełnie tak, jakby była zwykłą ludzką istotą.

– Napij się ze mną – zaproponowała Charlie, unosząc plastikowy kubeczek. – Za cierpienie.

– Muszę wracać do pracy – odparła z niesmakiem Doreen. – Mam swoje obowiązki. Ty zresztą chyba też, więc może nie wlewaj w siebie tyle, bo o nich zapomnisz. Aha, jeżeli faktycznie obrobiłaś lombard, to nie mieszaj mnie do tego, kiedy cię zgarnie policja.

– Przy odrobinie szczęścia wleję w siebie tyle, że zapomnę o tej rozmowie. – Charlie jednym łapczywym haustem wychyliła swój kubeczek. – Kyle, daj mi całą flaszkę.

– Wiesz co – powiedziała Doreen już w połowie drogi do drzwi. – Tego twojego faceta widziałam tylko raz, ale od razu wiedziałam, że cię zostawi na lodzie. Faceci, którzy tak wyglądają...

– Nikt go nie znał – przerwała jej Charlie.

– Poza tobą, co? – parsknęła pogardliwie Doreen.

Charlie potrząsnęła głową.

– Nie. Nikt, w ogóle. On nie istniał. Nigdy.

Doreen wydała odgłos wyrażający wzdrganie wobec pijackiego bełkotu, a następnie wyszła.

– Ale tak naprawdę nie obrobiłaś żadnego sklepu, co? – spytał Kyle, gdy przyniósł jej butelkę makera.

Uśmiechnęła się do niego jak najszerzej.

– Zdecydowanie nie.

– Na pewno chcesz to kupić? – Postawił flaszkę na kontuarze.

– Zdecydowanie tak.

Nalała sobie własnego drinka ze swojej butelki. Zupełnie tak, jakby trafiła do jednego z tych eleganckich lokali, do których można przynieść ze sobą butelkę wina, z tą jednak różnicą, że ten lokal akurat do eleganckich się nie zaliczał.

Nieważne, czy mogła sobie na to pozwolić. Jej przyszłość była już wyraźnie wytyczona. Wróci do zleceń dla umbromantów. Opłaci w ten sposób studia Posey, od początku trzeba było tak zrobić. Odetnie się od przyjaciół. Skoro ma rozpieprzyć wszystko wokół siebie, trzeba chronić tych, na których choć trochę jej zależy.

I jebać to wszystko.

Charlie została w Blue Ruin na resztę wieczoru. Bawiła się stojącą w kącie szafą grającą, w czym towarzyszyli jej ochoczo dwaj podstarzali alkoholicy, którzy zamówili sobie pizzę. Z jednym tańczyła przy dźwiękach pewnej piosenki z lat osiemdziesiątych. Rzeczywistość zaczynała się pomału zamazywać, w knajpie tymczasem robiło się coraz tłoczniej. Pamiętała, że siedziała na kiblu, raz za razem nakłuwając powierzchnię skóry szpilką, którą znalazła w torebce. Pamiętała, że się przewróciła i rąbnęła na podłogę, a Kyle mówił coś w rodzaju, że skoro Charlie nie jest

w stanie nawet się utrzymać na nogach, to chyba już nie powinien jej serwować drinków. Bardzo ją tym rozśmieszył.

Przecież go nie potrzebowała. Miała własną butelkę.

Kiedy z powrotem wgramoliła się na stołek, przytrzymując się krawędzi baru, by nie stracić równowagi, do Blue Ruin wszedł jej były szef z Top Hat, towarzyszyło mu trzech koleś.

– Proszę, proszę. Kogo my tu mamy – powiedział, rzucając jej wzgardliwe spojrzenie.

– Ritchie. Oto na barową scenę wkracza król banału – odpowiedziała, starając się za bardzo nie bełkotać.

Koleś miał pięćdziesiąt parę lat i wzrok drapieżnika, łysiał na czubku głowy. Posiadał nieruchomości w całej Dolinie, między innymi dwa bary i trzy restauracje. Kiedy ją wywalił, spodziewał się, że Charlie nie znajdzie pracy nigdzie indziej, toteż poczytywał sobie za osobisty afront fakt, że stało się inaczej.

– Słyszałem, że załapałaś się w Rapture.

– No.

Dolina to grajdół, jednak w tej chwili nie podobało jej się, że aż taki.

Wykonał ruch ręką, jakby trząsał z bicza i poruszył brwiami.

– Wiązesz teraz gości? Na pewno to ci się podoba.

Jego kumple zarechotali.

– Idź w cholerę – powiedziała bez cienia emocji w głosie.

– Ojoj, tylko mnie nie zakuj w dyby.

Charlie cisnęła w niego prawie już pustą butelką. Zdążył się uchylić, więc szkło rozbiło się o ścianę za nim. Trunek spłynął po brudnej farbie.

– Wariatka, psiakrew!

Ale kpina gdzieś się ulotniła, już nie był taki pewny, że będzie się z niej nabijał bezkarnie. Chyba nawet trochę się przestraszył. Fajnie – pomyślała Charlie.

Na jej ustach pojawił się uśmiezek.

– Musisz opuścić lokal – oznajmił głośno Kyle, potem pochylił się i zniżył głos. – I chyba lepiej przez jakiś czas tu nie przychodź.

– Nie z takich spelun mnie wywalali.

Charlie wstała i starannie włożyła kurtkę, Ritchie tymczasem spoglądał na nią spode łba.

Odliczyła gotówkę na rachunek razem z napiwkem, położyła ją na mokrym kontuarze. Potem posłała całusa temu staremu, z którym tańczyła; ku jej zachwytowi dziadek odpowiedział tym samym.

Po drodze do drzwi potknęła się tylko dwa razy.

Charlie obudziła się na tylnej kanapie swojego samochodu. Suszyło ją potwornie i bolała ją głowa, czemu towarzyszyło odczucie, jakby ktoś napchał do niej pianki izolacyjnej. Kończyny zeszytywniały jej z zimna. Deszcz bębnił o dach wozu, niebo na zewnątrz było ciemne i ciężkie, niosąc obietnicę dalszych opadów.

Dźwignęła się do pozycji siedzącej i dostrzegła swoje odbicie w szybie. Nałożony w toalecie Blue Ruin świeży tusz spłynął; chociaż nie przypominała sobie, żeby płakała, na policzkach miała smugi od łez. Ogarnęło ją dobrze znane poczucie winy. Ile takich nocy miała już za sobą, ile razy budziła się ze świadomością, że właśnie zrobiła coś, co dało jej chwilową satysfakcję, ale z pewnością cena za nią wkrótce się okaże pod każdym względem zbyt wygórowana.

Jednak gdy schodziła po zboczach pagórka do zagajnika, żeby się wysikać, już była gotowa pogodzić się ze wszystkimi swoimi przywarami. Kiedy twierdziła, że może się zmienić, okłamywała samą siebie.

Była tą samą Charlie Hall co zawsze. Chaotyczną, impulsywną, samotną.

Idąc z powrotem do samochodu, dostrzegła, że ktoś przy nim stoi. Mężczyzna o białych włosach, w długim wełnianym płaszczu.

Poczuła, że ją mdli.

– Ty musisz być Charlie Hall – stwierdził facet. – Jestem Lionel Salt. Myślę, że mam dla ciebie robotę.

TRUCIZNA

Salt podpierał się okutą srebrem laską. Za nim – legendarny, matowoczarny rolls. Nawet szyby tego samochodu były czarne. Obok stał drobny staruszek i trzymał otwarty parasol, żeby Lionel Salt nie zmókł. Połowa płaszczka tego pana była już ciemna od deszczu.

Sam widok Salta przepełnił ją uczuciem grozy tak silnym, że niemal paraliżującym. Wiedziała, że powinna wsiąść do samochodu, ale ciało nagliło ją, żeby uciekać biegiem do lasu.

– Robotę? – powtórzyła zadziwiająco spokojnym głosem.

– Zatrudniłem pewnego człowieka, niejakiego Hermesa Fortuno, który trudni się tym samym fachem co ty. Niestety, znikł bez śladu. Wygląda na to, że potrzebuję nowego złodzieja. Słyszałem, że jesteś niezła.

Charlie podeszła nieco bliżej i wyżej, obchodząc Salta z pewnej odległości i kierując się w stronę swojego wozu. Brokatowa sukienka, którą miała na sobie w hotelu MGM, lśniła w porannym słońcu. Pamiętała swoje odbicie, rozmazany makijaż i ślady przelanych łez, co sprawiało, że czuła się wyjątkowo bezbronna. Liczyła w skrytości ducha, że może deszcz choć trochę obmył jej twarz, podejrzewała jednak, że teraz wygląda jeszcze gorzej.

– Wycofałam się z interesów – stwierdziła. – Jest taki facet, ma na imię Adam. Częściowo przejął po mnie klientów. Balthazar może panów ze sobą skontaktować.

Kącik ust Salta drgnął.

– Czyżby Adam Lokken? On już pracuje dla mnie w innej sprawie.

Balthazar mówił, że Adamowi nie udało się odnaleźć *Liber Noctis*. Charlie nie przypuszczała, żeby Salt drugi raz dawał szansę komuś, kto go zawiódł. Czy to właśnie z nim Adam przeprowadził tę rozmowę telefoniczną, którą podsłuchiwała?

– Przykro mi – powiedziała Charlie. – Tak czy inaczej, ja już się w to nie bawię.

– A ja sobie porozmawiałem z moją starą znajomą, niejaką Odette Fevre. Wygląda na to, że jesteś ostatnią osobą, która widziała mojego Hermesa żywego. Cóż za zbieg okoliczności, prawda? Odette mówiła o tobie Charlie Hall. To jest twoje prawdziwe imię? Bo ja słyszałem, że nazywają cię „Charlatan”.

Trudno było się dziwić, że Odette go znała. Miała dość bogatych klientów, żeby prędzej lub później spotkać na swojej drodze lokalnego miliardera, Lionela Salta. Odette zresztą dawała do zrozumienia, że z kimś rozmawiała o Hermesie. Charlie popełniła błąd, nie zakładając od razu najczarniejszego scenariusza – czyli że tym kimś był właśnie Salt.

Przynajmniej jej nie poznał. W sumie nic dziwnego, wtedy była jeszcze dzieckiem, miała zaledwie piętnaście lat. Nie istniał zresztą żaden powód, żeby ją zapamiętać, w końcu z jego punktu widzenia nic szczególnego się nie wydarzyło. Z pewnością zabił mnóstwo ludzi i przedtem, i potem.

Natomiast jeśli mu się zdawało, że zdoła szantażować Charlie tajemniczym zniknięciem Hermesa, to grubo się mylił. Już od Randa nauczyła się raz na zawsze, że szantaż nigdy się nie kończy, tylko człowiek brnie coraz dalej w to gówno. Podejrzała przy tym, że Odette ma kompletnie gdzieś, czy Charlie przypadkiem nie zamordowała z zimną krwią świra, który zdemolował lokal; bardziej ją interesowało, żeby stawiała się punktualnie do pracy i rzetelnie rozliczała z rachunków.

Po dłuższej chwili milczenia, kiedy Salt zdał sobie sprawę, że nie będzie odpowiedzi, odezwał się znowu:

– A skoro już mówimy o zbiegach okoliczności, cóż to za przedziwny traf, że znana ze zręcznych kradzieży magicznych ksiąg Charlie Hall wiąże się z człowiekiem, który ukradł księgę, która do mnie należała.

– Nie odpowiada mi określenie „znana” – wtrąciła Charlie.

– Ale mój wnuk z pewnością cię znał, prawda? – Salt nadal przemawiał spokojnym tonem, ale wyraźnie działała mu na nerwy. Pewnie uważał, że ktoś, kto chodzi sikać do lasu i wygląda tak jak ona w tej chwili, powinien wykazać się stosowaną pokorą.

– Ach, świętej pamięci Edmund Carver... – odpowiedziała. – Moje kondolencje.

Zmrużył powieki.

– Mam wrażenie, że częściej się posługujesz raczej jego drugim imieniem? Odette opisała go z najdrobniejszymi szczegółami, więc darujmy sobie te wykręty.

– Och, Vince? – spytała Charlie z miną niewiniątka. – Akurat rzucił mnie wczoraj po południu. Trochę się minęliście.

– Wsiądź lepiej do samochodu – warknął Salt, nie próbując już skrywać rozdrażnienia. – Mamy dużo do omówienia i chyba żadne z nas nie chce tego robić tutaj, na deszczu.

Iluż młodych ludzi, których znała, zazdrościłoby jej zaproszenia na przejażdżkę rollsem, ale Charlie bardzo nie miała na to ochoty.

– Już i tak przemokłam, więc nie, dziękuję. Tylko zabrudziłabym piękne skórzane obicia.

Lionel Salt sięgnął do wewnętrznej kieszeni wełnianego płaszcza i wyciągnął z niej matowoczarne glocka. Idealnie pasował do samochodu.

Staruszek trzymający parasol nawet nie mrugnął.

– Obawiam się, że będę nalegać – powiedział Salt, machnął niedbale lufą pistoletu w jej stronę. Tylko machnął, nie celując. Jeszcze nie.

Było całkiem jasno, stali pośrodku parkingu, na którym co prawda nie było zbyt wielu samochodów, ale jednak. W każdej chwili ktoś mógł wyjść z Blue Ruin. Na ulicy panował niewielki ruch, ale od czasu do czasu ktoś nią przejeżdżał. Jednak Salt w biały dzień wyciągnął klamkę i wcale się z nią nie krył. Charlie uświadomiła sobie, co to znaczy: facet uważa, że dosłownie wszystko i cokolwiek ujdzie mu na sucho.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd rzygała na jego dywan sokiem z buraka, a potem uciekła, ratując w ten sposób życie. Choć przez całe dziesięć lat to wspomnienie nie dawało jej spokoju, chemia i upływ czasu zrobiły swoje, przeistoczyło się, zamgliło w kalejdoskopowy koszmar zamiast utrwalonej w pamięci traumy.

Jednak w chwili, gdy znów ujrzała Salta, cała groza powróciła. Znowu czuła się jak ścigane przez potwory dziecko biegnące przez las. Nie spieszyło jej się wcale, by wrócić do tego wielkiego domu i tym razem naprawdę wykrwawić się w bibliotece.

– W tej sytuacji tym bardziej nie powinnam z panem jechać – odpowiedziała, nie ruszając się z miejsca.

– Pojedziesz. – Obszedł corollę, podchodząc bliżej. – Jesteś bystrą dziewczyną. Dokonasz właściwego wyboru.

Charlie uniosła brwi.

– Najwyraźniej nic pan o mnie nie wie.

Gdy Lionel Salt miażdżył ją wzrokiem, mimo woli dostrzegła rodzinne podobieństwo między nim a Vince'em. Obaj byli wysocy, mieli podobny zarys szczęki, gniewne brwi. Tylko że Vince nie miał cienia, cień Salta trzepotał zaś za nim niczym rozwścieczony płomień. Odnotowała jego rozmiar, jego profil, kiedy Salt się odwrócił. Ciekawe, komu go ukradł, by wreszcie samemu stać się umbromantą.

– Moja córka czeka w samochodzie – oznajmił Salt, teraz już po prostu mierząc z pistoletu do Charlie. – Nie chciałbym jej rozczarować. Mogę ci nawet zapłacić za twój czas. Jednak to dla ciebie ostatnia szansa, żeby dokonać prawidłowego wyboru.

– Czyli zapłaci mi pan, jeżeli pojedę, ale zastrzeli, jeżeli zostanę?

Uśmiechnął się, jakby z uznaniem.

– Światem rządzi podwójna zasada: marchewki i kija.

– Skoro zna pan Odette, wie pan z pewnością, że czasem to kij bywa marchewką.

Jednak pomimo tej riposty i pewności, że jechać z nim dokądkolwiek to głupota, zdawała sobie jednocześnie sprawę, że nie ma wyjścia.

Kiepsko na tym wyszła, że kiedyś dała się postrzelić, teraz pewnie by tego nie przeżyła.

– No, już – ponaglił ją. – Zjemy sobie skromny lunch. W publicznym miejscu. W pełnej kulturze. Będzie okazja, żeby omówić, co możesz dla mnie zrobić oraz ile dostaniesz czasu na wykonanie zadania.

Nie wyraziła głośno zgody, ruszyła w stronę samochodu Salta. Być może czekała ją ostatnia przejażdżka, ale dobrze też pamiętała, że już raz mu się wymknęła, więc wymknie mu się znowu.

Aha, i tym razem dopilnuje, żeby Salt za to zapłacił. To znaczy za przeszłość, za wymierzoną w nią broń, ale przede wszystkim za nasłanie na nią Hermesa oraz zniweczenie harmonijnego związku opartego na perfekcyjnych kłamstwach.

Staruszek z parasolem – drobny i żyłasty, zbudowany jak dżokej – otworzył tylne drzwi.

Mówiłem ci, że mój dziadek był bardzo surowy, prawda? Nauczył mnie wielu rzeczy. Uważał, że w życiu trzeba się bardzo starać, dawać z siebie wszystko, i to niezależnie od wieku. Żadnych wykrętów. No i miał limuzynę, która czasem się psuła.

Nie do pomyslenia, żeby to Salt nauczył Vince'a naprawiania samochodów. Natomiast mógł z jakichś powodów się uprzeć, żeby zrobił to ktoś inny.

– Lubił pan Edmunda, prawda? – spytała kierowcę.

Nie sprawiał wrażenia zachwyconego zaczepką.

– Wszyscy lubili Edmunda, proszę pani – powiedział z godnością.

Wsiadła.

Kobieta siedząca z tyłu po drugiej stronie ogromnej konsoli niewątpliwie była tą samą, którą widywała na zdjęciach z nowojorskich przyjęć. Córką Salta i ciotką Edmunda Vincenta Carvera, chociaż byli w tak zbliżonym wieku, że sprawiała wrażenie raczej jego siostry. Miała na sobie obcisłe czarne spodnie wetknięte w zamszowe botki, wzorzystą bluzkę z żorżety i bomberkę z owczej skóry. Jej włosy były dużo jaśniejsze od włosów Edmunda, złote jak puch kaczuszki. Oboje musieli robić furorę, z takim wyglądem mieli otwartą drogę do serc manhattańskiej elity – i oczywiście łózek.

– Jestem Adeline – przedstawiła się, gdy Charlie wsiadła. – Przepraszam za ojca. Potrafi być strasznym despotą.

Marchewka i kij.

Salt powiedział coś półgłosem do kierowcy, potem zasiadł z przodu.

Zapach skóry i drogiego odświeżacza powietrza sprawił, że Charlie zrobiło się słabo.

– Zajrzyjmy gdzieś na kawę – powiedział Salt, odwracając się w jej stronę. – Chyba dobrze ci zrobi.

– I przydadzą się świeże ciuchy – dodała Adeline, marszcząc nos, po czym uśmiechnęła się do Charlie. – Bez obrazy. Sama nie raz po jakiejś imprezce budziłam się w szmatach z zeszłej nocy.

W szmatach po imprezce? Owszem, Charlie potrafiła sobie wyobrazić Vince'a spędzającego z nią czas, bo posiadał on dar niewyczerpanej cierpliwości. Nie potrafiła natomiast wyobrazić sobie, żeby Vince był taki jak ona.

Samochód wyjechał na ulicę, zostawiając w tyle bar, corollę Charlie i jakąkolwiek nadzieję na łatwą ucieczkę.

Po kilku minutach zatrzymali się przed The Roost, coffeeshopem na przedmieściach Northampton. Natychmiast pojawił się pracownik niosący tacę z kawą oraz torbą, którą kierowca wziął przez okno z przodu.

Charlie zastanowiła się przez chwilę, czy może mogłaby dać jakiś znak, że została porwana, tak jak te przytomne kobiety, którym udawało się przekazać zakamuflowaną wiadomość dostawcy pizzy.

Może i mogła coś zrobić, ale miała takiego kaca, że nie była w stanie. Samochód ruszył znowu, teraz w stronę I-91. Wycieraczki omiatały przednią szybę niczym metronom.

Upiła nerwowy łyk kawy. Adeline dostała jakąś miksturę z matcha, która zostawiła ślad zielonej pianki na jej górnej wardze.

– Przywykłem dostawać to, czego chcę – odezwał się Salt, a Charlie uznała, że nawet całkiem ogłędnie to ujął. – A chcę teraz, aby pewna księża do mnie wróciła. *Liber Noctis, Księga Nocy*. Odszukaj księgę, którą Edmund gdzieś ukrył, jest w metalowej okładce. I to wszystko. Na okładce nie ma żadnego napisu. Może wyglądać jak duży notes.

Charlie skinęła głową, nie miała ochoty zgodzić się na pracę dla niego, upiła więc tylko kolejny łyk kawy. Czekwała. Czasem milczenie sprawia, że ludzie się rozgadują. Czasem, kiedy się rozgadają, przestają zauważać, że ty nic nie powiedziałaś.

Zadziałało i tym razem. Salt podjął:

– Mój wnuczek jest uroczym młodzieńcem, ale bardzo samolubnym. To nie jego wina, że wykorzystuje innych ludzi. Wychowywała go matka, która była uzależniona. Stawiała go w sytuacjach, w jakich dziecko nie powinno się znaleźć. Z jej winy przebywał w nieodpowiednim towarzystwie. Żyli na ulicy, a nawet sypiali w samochodach. Od najmłodszych lat nauczył się walczyć o przetrwanie, a w jego wypadku polegało to przede wszystkim na tym, aby się dostosować, przypodobać ludziom, w których otoczeniu przebywał. Kiedy się nim zająłem, miał trzynaście lat i w zasadzie był skończony.

Charlie zerknęła w stronę Adeline. Kobieta przyglądała się swoim dłoniom, tak jakby niezadowolona z tego, co opowiada ojciec, ale jednocześnie nie zamierzając mu się otwarcie sprzeciwić.

Choć Charlie wzdragała się przed uwierzeniem w jakiekolwiek słowo Salta, ta opowieść tłumaczyła, jakim cudem Vince potrafił się zachowywać jak normalny człowiek – mimo że przez ponad dekadę tarzał się w nieprzyzwoitym bogactwie. Dzieciak, który przeżył trzynaście lat w ubóstwie; który był osobą odpowiedzialną w gospodarstwie – mógł wiedzieć, jak się czyści ścieki. Mógł się nauczyć przyrządzać tacos, robić pranie i zajmować się tymi wszystkimi rzeczami, które sprawiłyby kłopot komuś przyzwyczajonemu do dostatku.

A jeśli chodzi o wykorzystywanie ludzi... Cóż, przecież wykorzystał Charlie.

Salt tymczasem mówił dalej.

– Kiedy ludzie patrzą w gwiazdy, najczęściej przeraża ich bezmiar wszechświata i własna kruchość wobec niego.

Usłyszała jakby echo głosu Vince'a.

Myślisz, że gwiazdy mają cienie?

– A mnie ten widok zawsze podnosił na duchu – dokończył Salt. – Wiesz dlaczego? Charlie pokręciła głową, bo najwyraźniej tego po niej oczekiwał.

– Dlatego, że oznacza nieskończony zasób możliwości. W całym swoim ogromie wszechświat musi kryć niezliczone sekrety, których my możemy dociec. I kiedy zająłem się moim wnukiem, okazało się, że miałem rację. Bo wszystko w nim było popsute, ale posiadał jeden niesamowity talent.

– Magię – domyśliła się Charlie.

Salt skinął głową.

– Kiedy pierwszy raz widziałem, jak komenderuje cieniem, a zrobił to bez rozdwojonego języka, nie pobierał nauk u żadnego umbromanty, poczułem, że znalazłem coś, czego szukałem przez całe życie. Odkryłem prawdziwy sekret wszechświata i drogę do jeszcze większych tajemnic. Za to dla Edmunda to była tylko prosta sztuczka. Bawił się z tym stworem jak z wyimaginowanym przyjacielem i posyłał go, żeby kraść słodycze czy papierosy.

Samochód wjechał na długi podjazd wiodący od bramy i wykwintnego malowanego szyldu, który głosił, że oto wjeżdżają na obszar Grand Bergshire Private Club. Wyglądało to, jakby Salt rzeczywiście zamierzał dotrzymać słowa i zabrać ją na lunch, w dodatku naprawdę miało to być miejsce mniej więcej dostępne dla ogółu.

– Was dwie, dziewczyny, poślę teraz do SPA. Mają tu prysznice, można się odświeżyć. Obsługa dostarczy odpowiedni strój. Spotykamy się na lunch za pół godziny i wtedy dokończymy rozmowę o interesach. Prawda, że pełna kultura?

Istotnie, jeśli nie liczyć spluwy w kieszeni.

Kierowca znowu wysiadł i otworzył drzwi. Adeline z godnością przyjęła podaną sobie dłoń, tak jakby wysiadała z karety. Charlie wyszła za nią, gramoląc się pospiesznie i niezdarnie oraz starając się nie pokazać majtek.

Deszcz przemienił się w lekką mżawkę. Rozejrzała się, dostrzegła ciągnące się wokół zielone połacie, głównie pola golfowe. Trawa była niewiarygodnie soczysta jak na tak późną jesień. Nieco dalej wznosił się spory budynek, zapewne siedziba country clubu. Budynek SPA był mniejszy, drewniane deski pokrywające jego ściany pomalowano na uroczy, sielski kolor paproci. Tabliczka przy drzwiach głosiła, że jest to ośrodek SPA i wellness.

Wewnątrz powietrze było ciepłe, wilgotne, nasycone ciężką wonią eukaliptusa. Kobieta stojąca za kontuarem zdjęła z półki za sobą dwa ręczniki, położyła je na ladzie. Obdarzyła Adeline i Charlie uśmiechem, jakby to było zupełnie normalne, że przychodzi klientka na kacu, w krzykliwej sukience i z makijażem rozmazanym po twarzy. Nie, na widok Charlie nawet nie drgnęła jej powieka.

– Poprosimy prywatną saunę – powiedziała Adeline. – Oraz jakieś ubrania, rozmiar... Dwanaście?

– Czternaście – poprawiła ją Charlie.

Kobieta nadal się uśmiechała.

– Tu są ręczniki, szlafroki już czekają. Czy mogę zaproponować nieco wody ogórkowej?

– Zdecydowanie tak. – Charlie czuła się tak odwodniona, że gotowa była wypić całą wannę wody ogórkowej. – A macie aspirynę?

– Oczywiście. Coś jeszcze?

Charlie zastanowiła się przez chwilę, czego by sobie mogła zażyczyć, żeby zmącić ten nieskazitelną uśmiech. Może żyrafę? Balon na gorące powietrze? Może poprosić o wypożyczenie kuszy, żeby móc strzelić Saltowi w plecy?

Sporządzając dalej w myślach tę listę, Charlie podążyła za Adeline do pokoju z sauną. Wzdłuż ściany stały białe szafki, na haczykach wisiały szlafroki. Drzwi do samej sauny były zamknięte, widniały na nich różne pokrętła i zegary, które zapewne miały służyć regulacji poziomu ciepła i wilgotności, tak jakby ona i Adeline były jaszczurkami w bardzo luksusowym terrarium.

Była tam też kabina prysznicowa.

Charlie zgarnęła szlafrok.

– Wracam za minutkę – zawołała do Adeline.

Charlie obmyła twarz pod strumieniem gorącej wody i płynem do kąpieli, nie zważając, że szczypał ją w oczy. Dwa razy umyła włosy szamponem, potem narzuciła

szlafrok.

Adeline czekała na nią z włosami splecionymi w kok i umocowanymi szylkretową spinką.

– Naprawdę, nie ma to jak sauna na kaca. Po prostu wypacasz wodę.

Charlie dostrzegła dzbanek wody ogórkowej i fiolkę aspiryny na srebrnej tacy. Uraczyła się sownicie jednym i drugim, po czym podążyła za Adeline w kłęby pary.

Powietrze wewnątrz ciasnego pomieszczenia było jeszcze mocniej nasączone eukaliptusem niż w recepcji, tak gęste, że oddychając, Charlie odnosiła wrażenie, że także je pije. Nigdy wcześniej nie była w saunie, więc nie wiedziała na pewno, czy tak być powinno. Połączenie gorąca i wilgoci tworzyło efekt nieco klaustrofobiczny, ale zarazem całkiem przyjemny. Siedziała na bambusowej ławce i rozprostowywała bosc stopy.

– Masz siniaka – stwierdziła Adeline, pokazując miejsce, w którym widniał czarny ślad po uderzeniu zaledwie trzy dni wcześniej zadany przez cień Hermesa.

Charlie uznała, że najlepiej będzie nie wdawać się w zbędne tłumaczenia, zmieniała więc temat rozmowy.

– Ty i Edmund jesteście mniej więcej w tym samym wieku, prawda?

Adeline zawahała się, jakby to pytanie było dla niej kłopotliwe.

– Zaprzyjaźniliśmy się od razu, kiedy się do nas wprowadził. Moja przyrodnia siostra była ode mnie o wiele starsza, więc prawie jej nie znałam, dlatego dużo łatwiej było mi uznać Remy’ego za braciszka.

Aha. Jej przyrodnia siostra. Matka Edmunda.

– A co na to twoja mama? Nie przeszkadzało jej, że w domu się pojawiło drugie dziecko?

– Była modelką z Holandii. Przyzwyczaiała się, że dzieci zachowują się inaczej niż w Ameryce. Uważała, że coś z nim jest nie tak.

Adeline uśmiechnęła się, jakby na miłe wspomnienie.

– Edmund przeklinał. Często. Bardzo często.

– A co się z nią teraz dzieje?

Adeline westchnęła.

– Od rozwodu mieszka w Nowym Jorku. Moja matka uważała fascynację ojca umbromancją za coś... wstrętnego.

Lekarstwo chyba zaczęło działać, bo Charlie jakby już mniej bolała głowa. Trochę łatwiej się myślało, ale jednocześnie tym bardziej ją niepokoiła cała ta kłopotliwa sytuacja.

– A właściwie dlaczego Edmund się urwał?

– Już nie chciał wykonywać poleceń ojca. – Coś w głosie Adeline kazało Charlie domyślać się, że i siostra Vince’a przejawia niejaką skłonność do buntu. – Ojciec miał duże wymagania wobec Edmunda.

Nietrudno było to sobie wyobrazić. Wnuczek obdarzony magicznymi zdolnościami. Nawet kiedy Salt już sobie sprawił przebudzony cień, nadal brakowało mu tych lat doświadczenia, które wnuk już posiadał. Tego kupić się nie dało, więc Charlie mogła tylko sobie wyobrażać, jak się wściekał. Człowiek, który przywykł, że za pieniądze można wszystko, a jednak nie był w stanie kupić mocy, którą jego wnuk miał za darmo.

– Jaki był wobec ciebie? – spytała Adeline. Zabrzmiało dziwnie, tak jakby któreś ze słów miało znaczyć coś innego.

Może Adeline uważała Edmunda za coś w rodzaju kameleona, tak jak mówił o nim dziadek. Kogoś, kto się zmienia, by się dopasować do osoby, z którą ma do czynienia. Z tym trudno było się spierać. Może zawsze zachowywał się trochę odmiennie w zależności od tego, z kim rozmawiał, skąd ma wiedzieć?

Jednak Charlie z pewnością mogła o nim powiedzieć coś innego:

– Byłaś kiedyś nad Quabbin?

– Nad tym sztucznym zbiornikiem? – Adeline sprawiała wrażenie lekko przestraszonej.

– Na pewno wiesz, że pod jeziorem jest całe miasto – mówiła dalej Charlie. – Zatopione. Właśnie taki był Vince. Jak zatopione miasto. Na powierzchni wody cisza i spokój. Wszystko skrywa się pod nią.

– Nie możesz wiedzieć... – zaczęła Adeline i przerwała. Spojrzała na płaski złoty zegarek z diamentami, który miała na nadgarstku. Jakimś cudem pomimo gorąca i wilgoci nadal działał. – Już czas na lunch z ojcem. Musimy iść.

Wstała. Charlie również, wyprostowała się i rozkosznie przeciągnęła, aż chrupnęło w jej kręgosłupie między łopatkami.

W przebieralni Adeline zerknęła na nią z ukosa.

– Wiem, uznasz, że to niemiłe z mojej strony, ale cieszę się, że już nie jesteś z Edmudem.

Rzeczywiście, miłe to nie było. Natomiast bardzo interesujące.

Na jednej z szafek wisiało ubranie dla Charlie. Najwyraźniej pochodziło ze sklepu golfowego, który pewnie mieścił się w głównym budynku. Spodnie z elastycznego materiału w granatowym kolorze, biała bluzka i również granatowy żakiet zapinany na zamek błyskawiczny. Do kompletu białe tenisówki i skarpetki, ale zadowolili się swoimi własnymi butami, były tylko odrobinę ubłocone na krawędziach podeszew. Ubrała się, splotła włosy, ale bez spinki i tak natychmiast zaczęły się rozłazić.

Spojrzenie Charlie padło na jej cień. Podczas tej rozmowy nie pojawiła się kwestia tego, jak Vince utracił swój – ani kiedy to się stało.

– Charlie? – zawołała Adeline.

Charlie drgnęła, wybita ze swoich rozmyślań.

Przed SPA czekał wózek golfowy z kierowcą, który miał je zawieźć do głównego budynku. Charlie niby nie musiała brać udziału w tym lunchu. Mogła się wycofać, domagać się, żeby ktoś jej wezwał taksówkę. Wrócić do domu i przebrać się we własne ciuchy.

Tyle że gdyby Salt zechciał ją odnaleźć, miał po temu wszelkie środki. Mógł pojechać za nią swoim rollsem, kiedy udawała się do pracy lub kiedy z niej wracała. O ile Charlie się orientowała, mógł po prostu przysłać po nią policjanta.

Na przykład tego sympatycznego detektywa Juareza.

Pieniądze, jeśli ma się ich dostatecznie dużo, dają władzę prawie nieograniczoną.

Idąc do wózka golfowego, Charlie poczuła na kostkach dotyk mokrej trawy. Potem trzymała się barierki, kiedy przejechali przez parking, mijając bentleye i lexusy. Charlie pomyślała, że zapewne niektórzy z ich właścicieli należą do klientów Odette.

Znalazły się w głównym budynku. Charlie poszła za Adeline po lśniącej kamiennej podłodze prowadzącej do restauracji. Kelner przy wejściu nie pytał ich o nazwiska, od razu ruszył do prywatnej sali. Ściany w niej pokryto jedwabiem, zawieszono na nich malowidła przedstawiające konie o lśniącej mahoniowej sierści.

Lionel Salt czekał już przy stole, trzymał w dłoni szklankę whiskey z bryłką lodu w środku. Teraz widać było zmarszczki na jego twarzy, plamy wątrobowe i zbyt bladą skórę, jakby próbował je wybielić. Czoło gładkie od iniekcji. Miał na sobie czarny golf i ciemnoszare spodnie. Na jego palcu lśnił złoty sygnet z nieznanym symbolem. Charlie zwróciła uwagę, że ani on, ani Adeline nie nosili nic z onyksu.

– Zadał pan sobie dużo trudu, żeby ze mną porozmawiać – powiedziała Charlie, gdy kelner usłużnie odsunął dla niej krzesło.

– Widzę, że się odświeżyłaś.

Salt spojrział na Adeline, ta skinęła głową. Może w tej wodzie ogórkowej była jakaś trucizna. Charlie postanowiła, że gdy tylko zacznie jej się mącić w głowie, nadzieje Salta na nóż, taki nóż, jaki się trafi, choćby nóż do masła.

Salt zwrócił się do kelnera:

– Zjemy sałatkę z wędzonego bażanta pieczonego we własnym tłuszczu, łososia marynowanego w herbacie Kanzan z kwiatu wiśni i polędwicę jagnięcą z grilla. – Spojrział na Charlie. – Mam nadzieję, że nie jesteś wegetarianką?

Pokręciła głową. Co prawda po całej nocy chłania wybrałaby raczej jajecznicę z boczkiem, ale to Salt miał glocka.

– I do tego butelkę Château d’Esclans Garrusrosé, rocznik dwa tysiące osiemnaście – dokończył.

Kelner się skłonił.

– Dla mnie tylko mrożona herbata – powiedziała Charlie.

Po odejściu kelnera Salt położył dłonie na stole. Paznokcie miał czyste, wypolerowane. Gdyby Charlie miała kantować Salta, należało pamiętać o jego perfekcjonizmie. O obsesji kontroli.

Obsesji, która przejawiała się tym, że Adeline milczała, jeśli jej o coś nie spytał. Tym, że natychmiast sięgnął po broń do kieszeni, kiedy Charlie powiedziała, że z nim nie pojedzie. Oczekiwaniem automatycznego posłuszeństwa i uznania jego wyższości nad kimś takim jak Charlie. Albo Vince.

Najlepszym sposobem na okantowanie Salta byłoby pozwolić mu na dominację. Niech sobie wygrywa. Niech sobie w to wierzy i głębiej nie wnika.

– A więc – zaczął Salt, opierając łokcie o stół i wpatrując się w nią – mamy ze sobą coś wspólnego. Mój ukochany wnuczek oboje nas wystawił do wiatru. Odebrał mi cenną rzecz, a tobie złamał serce. Zgadza się?

Adeline wpatrywała się w talerz. Albo bardziej była po stronie Vince’a, niż chciała, żeby ojciec wiedział, albo naprawdę przeszkadzało jej, że Charlie była partnerką Vince’a. Może nienawidziła wszystkich jego dziewczyn.

– Można tak powiedzieć – przyznała Charlie.

– W takim razie bądźmy sprzymierzeńcami. Nie tylko pomożesz mi odzyskać księgę. Powstrzymasz też Edmunda przed popełnieniem wielkiego zła. Widzisz, jak już wcześniej mówiłem, mój wnuczek, na swój sobie właściwy sposób traktował własny cień jako coś pomiędzy ulubionym zwierzątkiem a kumplem. Aby panować nad cieniem, trzeba się nim dobrze opiekować. Dostarczać krwi i energii z własnego ciała. My obdarzamy cień życiem, on zaś w zamian oferuje nam bezwzględne posłuszeństwo. Przecież nasze cienie są nami. Powstały z nas, tak jak nas kiedyś stworzono z gliny i boskiego tchnienia.

Nawiązanie do religii zaskoczyło Charlie. Była kilka razy w kościele z Laurą; chodziło o to, by wpoić jej rodzicom przekonanie, że nie ma aż tak strasznie złego wpływu na ich córkę. Z tego wszystkiego zapamiętała tylko śpiewy, darmowe donuty w krypcie i takie właśnie teksty.

Salt perorował dalej:

– Tyle, że ten sakrament jest nieświęty. Dajemy naszym cieniem części nas, które chcemy zepchnąć w mrok. Nasze gniew, zazdrość, chciwość, najwstydlwsze pragnienia. Wyobraź sobie istotę przepełnioną nienawiścią, stworzoną ze

wszystkiego, co najstraszliwsze w danym człowieku. Stwora żywiącego się energią i krwią. A teraz wyobraź sobie, że coś takiego przytulasz.

Charlie przyszło do głowy, że może po doświadczeniach z własnym cieniem Vince'owi łatwiej było o wyrozumiałość wobec jej licznych wad.

– Nazwał go Red – dodał Salt. – Red i Remy, czy to nie słodkie? Być może ta kreatura teraz używa właśnie tego imienia.

– W jakim sensie? – spytała Charlie.

– Kiedy cień Edmunda został odcięty, stał się struposzem.

– Struposzem? Żyjącej osoby? – zdumiała się Charlie.

– Zaczął się tworzyć w dzieciństwie, za sprawą dziecięcego obżarstwa. Edmund go przekarmił. Dawał mu zbyt wiele krwi, nie tylko swojej własnej. Kiedy Edmund zaczął dorastać, jego cień był już potężny. Dość silny, by mieć własne zachcianki. Z tej to przyczyny Edmund ukradł mi *Liber Noctis*: – aby obdarować swojego struposza pełnią życia i aby ten już przestał być cieniem.

– Nie, to niemożliwe – mruknęła Charlie, nie bardzo nawet wiedząc, z którą częścią wyводу się nie zgadza.

– *Liber Noctis* opisuje szczegółowo sposób, w jaki struposz może otrzymać i utrzymać dość substancjalności, aby zyskać pozór człowieczeństwa. – Spojrzał jej w oczy, jakby dla podkreślenia wagi swoich słów. – Autor książki uważa, że to sposób na osiągnięcie nieśmiertelności. Jednak żaden umbromanta próbujący odtworzyć ten rytuał nie zdawał sobie sprawy, że choć istotnie coś z niego przetrwa, nie będzie to jego świadomość. W ten sposób sami się doprowadzili do zgonu, a ich cienie, nasycone skradzioną energią, przechadzają się pośród nas. Ze wszystkich pozorów są ludźmi. Być może niektóre z nich żyją do dziś.

Brzmiało to jak jakiś bełkot żywcem wyciągnięty z internetu.

Kompletna bzdura. Żenujący nonsens.

Jednak Charlie doskonale pamiętała, jak Vince powiedział, że to, co zrobił, jest znacznie gorsze od tego, o co go oskarżała. Było to coś tak złego, że nie chciał o tym mówić.

– Nie chcesz w to wierzyć – powiedział Salt. – Ale przecież wiesz, że to prawda.

Pojawił się kelner z winem, przerywając im rozmowę. Napełnił wszystkie trzy kieliszki różowym szampanem o głębokim odcieniu, potem owinął szyjkę butelki serwetką i wstawił ją do srebrnego wiadra z lodem. Postawił przed Charlie herbatę w wysokiej szklance udekorowanej grubym plasterkiem cytryny, w środku, pośród lodu, pływał listek mięty.

Lionel tylko machnął ręką, gdy kelner chciał spytać, czy życzą sobie czegoś jeszcze.

– Co pan zrobił Vincentowi, panie Salt? – spytała Charlie.

Adeline rzuciła jej szybkie, trwożliwe spojrzenie.

– Jak to, co zrobiłem? – spytał, jakby nie wiedział, czy ma się czuć urażony.

– Coś sprawiło, że odszedł. Przecież nie uwierzę, że to z powodu pańskich wyrzutów sumienia i dlatego, że chciał go pan powstrzymać od eksperymentowania z cieniem.

Adeline sięgnęła po kieliszek i opróżniła go jednym haustem.

– To okropne. Powiedz po prostu...

– Właśnie to robię – przerwał jej z naciskiem nieco zbyt silnym, by to była prawda. Zwrócił się do Charlie: – Edmund nie chciał słuchać głosu rozsądku, kiedy chodziło o Reda. Na pewno wiesz o struposzach wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, jakie są potworne. Nic dziwnego, powstały z naszych najgorszych części. W dodatku mogą być niewiarygodnie potężne. Co więcej, zawsze są obłąkane. Właśnie dlatego niektóre struposze się usuwa, inne zaś wychwytuje i wiąże z nowymi właścicielami. Tylko kontrola nad nimi zapewnia ludziom bezpieczeństwo.

Charlie słyszała o kilku umbromantach noszących struposze zamiast własnych ożywionych cieni, choć nigdy jej się nie wydawało, żeby to był dobry pomysł. Zdawała sobie jednak sprawę, że umbromancja jest na tyle młodym wynalazkiem, że jej adepci łatwo mogli ulec pokusie wstąpienia na niebezpieczne ścieżki wiodące do władzy. Na przykład Posey mogłaby się nie oprzeć.

Chwilę, jak to „mogłaby”? Rzuciłaby się łąpczywie na taką okazję!

Jednocześnie to nie w stylu Vince'a, żeby sobie nie zdawać sprawy z niebezpieczeństwa, żeby tak po prostu spuścić struposza ze smyczy. I zupełnie nie w stylu Salta, żeby martwić się o bezpieczeństwo ludzkich istot.

Charlie odetchnęła, kiedy kelner przyniósł jedzenie, bo zyskała w ten sposób kilka chwil przerwy w rozmowie.

Salt skinieniem dał znać, że jagnięcina jest dla niej. Charlie bezmyślnie odkroiła kęs, przeżuwała odruchowo, właściwie nie czując smaku.

– To prawda, miałem swój udział w tym, co nastąpiło – przyznał Salt, kiedy kelner powtórnie napełnił kieliszki i zniknął. – Próbowałem uchronić Edmunda przed Redem, ale mój wnuk wypuścił swój cień, nim zdołałem go zniszczyć. Teraz porusza się swobodnie po świecie. Już rozumiesz, dlaczego muszę odzyskać księgę, zanim Edmund zdoła dopełnić wszystkich opisanych w niej czynności. To, do czego zmierza mój wnuk, nie może się stać. Struposz, który jest w stanie udawać człowieka, jest nieskończenie głodny... Chciałabyś, żeby coś takiego chodziło po ulicy, robiło innym ludziom to, co zrobiło Paulowi Ecco i Knightowi Singhowi?

– Vince by na to nie pozwolił – stwierdziła Charlie.

– Nie będzie miał okazji pozwolić – poprawił ją Salt – bo ty przyniesiesz *Liber Noctis* na spotkanie w tę sobotę, a my zadbamy, by księgę bezpiecznie ukryć. Czy się rozumiemy?

Charlie wciąż nie mogła sobie poradzić z tym oskarżeniem.

– Ale po co cię Vince’a... Ten Red... Miałyby zabijać ludzi?

– Jeden z nich miał fragment księgi, a to mu się nie spodobało – odpowiedział Salt, gniewnie wykrzywiając usta. – Drugi wiedział za dużo o tym, co opisano w *Liber Noctis*. Zresztą Red po prostu musi zabijać. Im więcej energii, krwi i cienia pochłonie, tym potężniejszy się stanie i w ten sposób lepiej się przygotowuje do rytuału.

Kiedy Charlie spojrzała na swój talerz, były już na nim tylko czerwone smugi pozostałe po półsurowym mięsie. Otarła usta serwetką. W ogóle nie zdawała sobie sprawy, kiedy zjadła całą porcję.

– Ta księga zaginęła już rok temu albo więcej. Dlaczego pan myśli, że do soboty uda mi się ją znaleźć? – spytała Charlie.

– Znasz Edmunda. Możesz dokonać tego, czego nie potrafi zrobić nikt inny. Możesz dojść, gdzie mógł ukryć księgę, której nikt nie powinien odnaleźć. A ja w sobotę urządzam skromny wieczorek dla umbromanckiej społeczności, mianowicie pragnę uczcić w ten sposób moje wstąpienie do Kabały. Mając tę księgę, przedstawię zarazem dowód tego, jak skutecznie będę pełnił swoją nową funkcję.

Charlie ogarnęła zgroza. Rzecz jasna, Kabała to nieoficjalne kolegium zarządzające magiczną społecznością, ale dotąd celem jego istnienia, choć wynikającym z egoistycznych przesłanek, było jednak eliminowanie zagrożeń – jak właśnie wychwytywanie pozostających na wolności struposzy czy ustalanie zasad obowiązujących umbromantów, a także zatrudnianie hierofanta. Jednocześnie jej członkowie pilnowali porządku wśród lokalnych umbromantów. Gdyby potwór taki jak Salt miał się stać piątym decydentem, stanowiłoby to zagrożenie dla wszystkich.

Nie, nie piątym. Jednym z czterech. Przecież Knight Singh nie żyje.

– Doceniam pokładane we mnie zaufanie, ale to nie jest robota dla mnie – oznajmiła głośno. – Nie mam pojęcia, gdzie Vince się podziewa ani gdzie ukrył pańską księgę. Mogę tylko przypuszczać, że już dawno się jej pozbył. A poza tym nie lubię pana. Groził mi pan bronią i sprowadził wbrew mojej woli. I w ogóle z pana kawał chuja.

Powiedzieć mu to – to nie była jeszcze zemsta. Ale zawsze coś.

Adeline aż się zachłysnęła powietrzem.

Salt spojrzał na Charlie. Na jego twarzy odmalował się wyraz jakby bezmiernego ukontentowania. To był jedyny znak ostrzegawczy, nim jego cień ogarnął Charlie

i wsiąkł w jej skórę. Nim się zorientowała, jej dłoń już pochwyciła nóż do steków, akurat w tej samej chwili, kiedy do pokoju znowu wszedł kelner.

Czuła cień w sobie, odrębną świadomość. Słyszała jego myśli i czuła wyraźnie bezmiar jego nienawiści.

Jej usta otworzyły się, poczuła, jak język formuje słowa. Usłyszała własny głos, ochrypli – bo stawiała opór z całych sił.

– Za-mor-du-ję...

A potem znów była wolna, drżała ze zgrozy. Nie była pewna, czy otrząsnęła się z cienia za sprawą własnej woli, czy też Salt jej odpuścił.

Roześmiał się, widząc osłupienie na twarzy kelnera.

– Czasem tak się unosi w ferworze dyskusji, kiedy rozmawiamy o polityce, ale w rzeczywistości nie skrzywdziłaby muchy. Prawda, moja droga?

Charlie nie odpowiedziała, zbyt się obawiała, że z jej ust wydobędą się cudze słowa.

Salt pochylił się, przybliżył, zniżył głos do szeptu.

– Masz tydzień, żeby ukraść dla mnie *Liber Noctis*. Znam twoją reputację, więc jestem pewien, że ci się uda. A jeśli nie, to zobaczmy, do czego cię zdołam nakłonić, co zrobisz i komu. Masz chyba siostrę, prawda? A teraz może na pożegnanie jeszcze kawy, kieliszeczek czegoś mocniejszego?

Wściekłość i strach wezbrały w Charlie niczym fala, odsuwając na bok wszystkie inne myśli. Nie sądziła, że może jeszcze bardziej go nienawidzić, ale teraz jej dłonie aż drżały z pragnienia, by za wszystko mu odpłacić. Miała ochotę stłuc jakieś szkło i wbić je w twarz Salta. Marzyła, by patrzeć, jak wiję się na dywanie, gdy trucizna odbiera mu świadomość.

Salt spoglądał na nią, uśmiechnął się szerzej. Charlie miała paskudne wrażenie, że jej nienawiść sprawia mu szczerą radość jako jeszcze inna forma władzy nad nią.

Otarła usta serwetką.

– Chcę usłyszeć, że zrozumiałaś. Że pojawisz się u mnie w sobotę i przyniesiesz księgę.

Charlie odsunęła krzesło i wstała.

– Ma pan moje słowo.

Skinął głową.

– W takim razie do widzenia, Charlatan.

Kiedy już miała odejść, Adeline chwyciła ją za rękę.

– Wiem, że o nim czytałaś. Więc nim zechcesz osądzić mojego ojca, przypomnij sobie, do czego Red jest zdolny.

Czy rzeczywiście cień Vince'a grasował na wolności, mordując ludzi w oczekiwaniu na jakąś transformację? Czy właśnie przez to zginęła Rose Allaband? Na ile Vince jest

za to odpowiedzialny?

Tymczasem ciało Randa również znaleziono w samochodzie. Razem ze zwłokami dziewczyny, której raczej nie znał, Charlie była tego prawie pewna. Wszystko to było upozorowane przez Salta.

Więc może Vince również nie upozorował swojej śmierci. Może po prostu skradł księgę i uciekł? A Salt zaaranżował wypalony samochód i zwęglone zwłoki. Vince został uznany za zmarłego, co w znacznym stopniu ograniczało jego swobodę działania, nie mógł też się zgłosić do władz. Gdyby ktoś przypuszczał, że żyje, stałby się głównym podejrzanym o morderstwo.

Rzecz jasna, to wszystko nie wyjaśniało kwestii Reda.

– Puszczaj – powiedziała Charlie do Adeline.

Palce dziewczyny wbiły się mocniej w skórę Charlie.

– Tobie się wydaje, że znasz Remy’ego, ale się mylisz.

Charlie wyrwała rękę z jej uchwytu i pospiesznym krokiem wyszła z pokoju. Nawet nie bardzo wiedziała, dokąd idzie, byle dalej od Salta i jego córki, i ich przerażających żądań oraz pragnień. Kiedy szła przez recepcję, zauważyła mężczyznę opartego o ścianę.

Puls Charlie gwałtownie przyspieszył.

Był młodszy od większości ludzi przechadzających się po country clubie, miał ciemne włosy i głęboko osadzone oczy, pod nimi bruzdy. Dziury po kulach, tak jej się skojarzyły, kiedy ujrzała je nocą w bocznej alejce. Jednak z bliska były to po prostu oczy kogoś bardzo zmęczonego.

Potem jej spojrzenie powędrowało tam, gdzie kończyły się mankiety koszuli i zaczynały rękawiczki. Niewiele było widać, jednak niewątpliwie w miejscu, gdzie powinna być skóra, szarzał cień.

– Jesteś hierofantem. – Zmusiła się do wypowiedzenia tych słów.

Uśmiechnął się, ale ten uśmiech był kompletnym nieporozumieniem. Wzięło w nim udział zbyt wiele mięśni twarzy. Jego usta rozciągnęły się w zbyt wielu kierunkach jednocześnie.

– Tak – odpowiedział, jakby i jemu mówienie przychodziło z trudem. – Po-luję na struposza.

Charlie mimo woli cofnęła się, bardziej wystraszona jego sposobem mówienia niż tym, co powiedział. Tak samo mówiła, kiedy cień Salta przejął nad nią kontrolę.

– Reda? – spytała.

Jego oczy zabłyśły.

– Widziałaś go, prawda?

Potrząsnęła głową.

Hierofant znów tak dziwnie się uśmiechnął.

– Byłem kiedyś złodziejem. Tak jak ty.

Gdyby ją kiedyś przyłapano, w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwej chwili, mogłaby skończyć tak samo. Obcięte dłonie i misja polowania na struposza. Czy przedtem był umbromantą? Wątpliwe, choćby dlatego, że cieniowi trudno jest przebyć przeszkody z onyksu stosowane przez większość magów cienia.

– Twój cień... – zaczęła Charlie; chciała go spytać, czy ożywił się samoistnie, czy też powiązali go z jakąś istotą.

Jego oczy zmrużyły się, odepchnął się od ściany, ruszył w kierunku Charlie.

– Kiedy raz cię chwycą w swoje szpony, już nigdy nie wypuszczą.

Odskoczyła w tył.

Hierofant przechylił głowę na bok, z początku mówił monotonnym głosem, który jednak już po chwili nabrzmiał aż do krzyku.

– Powiedz Redowi, że chcę tę książkę. Powiedz Redowi, że możemy się podzielić. Powiedz Redowi, że go rozerwę na strzępy!

Szedł ciągle w jej stronę, więc Charlie odwróciła się i ruszyła biegiem.

– Nikt nie może wygrać ze swoim cieniem! – zawołał za nią.

Pchnęła drzwi ramieniem, otwierając je na oścież. Matowoczarna limuzyna czekała na nią, Charlie nie zwolniła biegu, dopóki jej nie dopadła.

PRZESZŁOŚĆ

Remy Carver stał na wybrukowanej ulicy w dzielnicy Bostonu zwanej Beacon Hill, starał się wyglądać jak zwyczajny nastolatek, a nie ktoś co najmniej zamieszany w morderstwo. Czuł napięcie między sobą a swoim cieniem, jakby ich łączyła lina, coraz cieńsza, w miarę jak Red wspinał się po schodach kamienicy.

Po drugiej stronie ulicy starsza pani w płaszczu z futrzanym kołnierzem prowadziła na smyczy tłustego chihuahua. Popatrzyła w stronę Remy'ego, odwrócił się więc, cofnął w cień, serce podeszło mu do gardła.

Może lepiej było przyjść o drugiej nad ranem, a nie zaraz po jedenastej wieczorem. Dziadek upierał się, że to odpowiednia pora. Mówił, że mniej będzie zwracał na siebie uwagę, kiedy pojawi się w porze, kiedy ludzie jeszcze chodzą ulicą, ale przecież o każdej godzinie wyglądałby podejrzanie – czternastoletni chłopak czekający przy kubłach na śmieci, aż jego niewidzialny przyjaciel dokona morderstwa.

Remy po prostu nie pasował do takiej dzielnicy. Niezależnie od tego, kim był jego dziadek. Skrzynki okienne pełne wiosennych kwiatów i lśniące, wypolerowane kołatki u drzwi sprawiały, że czuł się nie na miejscu.

Próbował myśleć o czymś innym niż to, co działo się na górze, ale przecież część jego umysłu patrzyła oczami Reda. Jego cień dotarł już do sypialni tego mężczyzny. Drzwi były lekko uchylone, żadnych utrudnień. Mężczyzna spał, obok niego żona. Miała w nosie plastikową rurkę dostarczającą tlen...

Remy potrząsnął głową, zacisnął powieki, jakby to mogło powstrzymać napływające obrazy.

Nie. Nie.

Myśleć o tym, że kiedy ostatnio widział matkę, było z nią dużo lepiej. Jednak to wspomnienie też nie było takie dobre, bo matka chciała, żeby Remy znów z nią zamieszkał, a on nie mógł.

Myśleć raczej o tej fajnej prywatnej szkole, do której teraz chodzi i jak Adeline przedstawiła go swoim przyjaciołom. Wszyscy od razu go docenili, bo wiedział, skąd da się skombinować dragi i jak wypatrzeć kolesia, który za ekstra dwudziestaka kupi im flaszkę Grey Goose w monopolowym. Chcieli, żeby podczas zimowych ferii pojechał z nimi na narty. A w wiosenne ferie miał zwiedzać ich prywatne wyspy.

No i czy to nie było, do ciężkiej kurwy, o wiele lepsze niż to, co przeszedł choćby w zeszłym roku, kiedy trzeba było owijać tenisówki taśmą klejącą, żeby stopy mu nie przemokły, kiedy brnął przez poszarzały śnieg?

Warto było. Zdecydowanie warto było.

Na tym właśnie chciał się skoncentrować w chwili, gdy Red wpłynął do gardła tego mężczyzny. Głowa Remy'ego wypełniła się strasznymi odgłosami. Żona faceta obudziła się i zaczęła krzyczeć. Myśleć o tym, że ma się dom. Myśleć, że mama trafi na odwyk do porządnego ośrodka, jak celebryci. Myśleć o przyszłości. Myśleć o Adeline, która chce być jego siostrą.

Nie myśleć o Redzie.

Gdy tylko dziadek odkrył, jak bardzo pomocny może być Red, od razu chciał, żeby Remy się nim posługiwał. Dziadek gromadził poza tym książki o umbromancji, rugał Remy'ego, że źle postępuje. Że Remy musi zrozumieć: Red jest tylko przedłużeniem jego osobowości, tak jak ręka, jak coś, nad czym ma się całkowitą kontrolę.

I że niebezpiecznie jest postępować tak, jakby Red mógł podejmować własne decyzje.

Tylko że Remy nikogo nie chciał zabijać. Już to, że musiał w czymś podobnym uczestniczyć, było wystarczająco okropne. Nie mógł sobie wyobrazić, że mógłby być w pełni świadomy tego, co robi, wpychać się do czyjegoś gardła i widzieć, jak oczy wyłazą mu z orbit, jak w agonii odgryza sobie język. Słuchać przeraźliwego zawodzenia jego żony z tak bliska, że mało krew mu nie popłynie z uszu.

Kiedy było po wszystkim, Remy otarł łzy z kącików oczu.

Nienawidził tej świadomości, że ów człowiek umiera, i nienawidził też tego człowieka, który umierał. Po co włąził w drogę dziadkowi Remy'ego, gdyby nie to, obaj by na tym lepiej wyszli.

Nie trwało długo, nim Red wrócił, pełznąc po bruku w jego stronę. Jednak jego cień zatrzymał się, nim powrócił na swoje miejsce. Zamiast tego ułożył się na ceglanej ścianie, tak samo pionowo jak Remy, rzucając wyzwanie ulicznym latarniom i wszelkim prawom optyki.

– Nie jesteś zadowolony – stwierdził Red, chociaż słowa te rozległy się tylko w umyśle Remy'ego.

Adeline wytłumaczyła mu, że Red jest częścią Edmunda, o której Edmund nie wie. Taką jakby jego podświadomością.

Jednak Edmund nie odnosił takiego wrażenia. Red nie był żadną podświadomością, był raczej strychem. Miejscem, w którym chowa się rzeczy, z którymi Remy nie chce mieć nic do czynienia. W tej nowej eleganckiej prywatnej szkole, do której zapisał go dziadek, bójkę nie były mile widziane. Dlatego też Remy odpuścił sobie solówki,

choć w poprzedniej szkole, żeby zyskać sobie jakiś taki szacunek, ciągle musiał się z kimś tłuc. Teraz jego złość musiała znaleźć inne ujście.

No i kiedy Remy czuł się czasami smutny, albo kiedy tęsknił za matką, oddawał ten smutek Redowi. I współczucie wobec ludzi, których dziadek chciał uśmiercić. Nie było to w porządku, bo Red nie powinien musieć zabijać i potem współczuć.

Tylko że Red nie był prawdziwy. Był podświadomością Remy'ego. Czy tam strychem.

A kiedyś był przyjacielem.

– I co z tego? Już po wszystkim – stwierdził Remy, odpychając od siebie smutek. Myślał, że może Red będzie narzekał, ale przecież był tylko energią, co nie? Tak jak krew, którą był karmiony.

– Następnym razem odetnij mnie – powiedział Red. – A kiedy sprawa zostanie załatwiona, to wrócę.

Remy nie cierpiał, kiedy jego cień mówił rzeczy, które wcale nie wychodziły z umysłu Remy'ego, które go zaskakiwały. Kiedyś to go bawiło, ale to było w czasach, kiedy grali w różne gry albo się ścigali.

– Musimy spadać – stwierdził, po czym ruszył przed siebie, szurając nogami po chodniku, z rękami w kieszeniach. Wkrótce zjawi się policja, no i ambulans.

A cień niech za nim pójdzie. Taka jest rola cienia.

Gdy skręcił za róg ulicy, od razu poczuł się lepiej. Nie istniał żaden sposób, żeby go powiązać z morderstwem.

Im dłużej Remy o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że Red chce przecież tego samego co on. Nawet jeśli to było niemożliwe. Więc właściwie nie powinien się tak bardzo dziwić propozycji Reda. Remy też miał ochotę się odciąć od tego, co mu wciskał dziadek. Więc te wszystkie wątpliwości to tylko wydziwianie, wszystko przez te bzdurne kazania dziadka.

– Obiecuję, że wrócę – szepnął Red. – Klnę się na serce swoje i duszę swoją. Ręka, noga, mózg na ścianie, oko na widelcu.

– Przecież nie masz serca ani mózgu – odpowiedział mu w myśli Remy. – Ani oka.

– W takim razie na swoje życie się klnę. Przysięgam na swoje życie.

– Jesteś tylko mną – przypomniał mu Remy.

– Jestem tylko tobą – odpowiedział Red jak echo, ale Remy nie był już pewien, co chciał przez to powiedzieć, co znaczą te słowa, wypowiedziane przez jego cień.

Kiedy byli młodszy, zawsze wiedział, co Red ma na myśli.

– Zastanówię się – obiecał Remy.

Ale już wiedział, że zrobi cokolwiek, co sprawi, że nie będzie musiał przeżyć kolejnej takiej nocy.

UCZONY I CIEŃ

Kiedy wyjechali już na autostradę, szofer chrząknął znacząco.
– Na tylnym siedzeniu jest coś dla pani, pani Hall.

Znalazła to coś co prawda nie na kanapie, ale na podłodze. Książka musiała się zsunąć podczas jazdy; była oprawiona w czerwony półskórek, tytuł wytłoczono złotymi literami. Po tym, jak ukradła tak wiele starych, rozsypujących się woluminów, dziwnie było trzymać w rękach współczesną książkę wyprodukowaną w taki sposób, żeby sprawiała wrażenie, jakby pochodziła z innych czasów.

Były to *Wszystkie baśnie Hansa Christiana Andersena*. Między strony w charakterze zakładki wetknięto studolarowy banknot, zaznaczono nim baśń zatytułowaną *Cień*.

Nie mając wiele więcej do roboty w drodze powrotnej, Charlie zaczęła czytać baśń o uczonym przybyłym z zimnej północy do wspaniałego miasta na południu, który jednak nie mógł znieść upałów. Kurczył się w skwarze palącego słońca, chudł i słabł. Nawet jego cień się kurczył. Tylko wieczorami, gdy nadciągał powiew chłodnej bryzy, uczony znowu był sobą. Siadywał na swoim balkonie z zapaloną świeczką i patrzył, jak długi cień płaszczył się u jego stóp.

Charlie przeszedł lekki dreszcz. Czytała dalej.

Uczony ze swojego balkonu podziwiał miasto, które w blasku księżyca prezentowało się wspaniale. W dole przejeżdżały hałaśliwe powozy pełne muzyków grających na mandolinach. Dzwoniły kościelne dzwony. Osły ciągnęły wózki wypełnione po brzegi dojrzałymi owocami. Uczony chłonał aromat przypraw, dymu i rozkwitających kwiatów. Jego uwagę przykuwały przede wszystkim kwiaty kwitnące na balkonie domu po drugiej stronie ulicy, skąd dochodził dźwięczny śpiew.

Każdego wieczoru uczony siadał na swoim balkonie i patrzył naprzeciwko. Pewnego razu zdawało mu się, że ujrzał pośród kwiatów piękną dziewczynę. Jednak kiedy znowu spojrzął, już jej nie było. W blasku świecy jego cień stał się tak długi, że sięgał na drugą stronę ulicy, aż do tamtego okna.

„Niech raz będzie z ciebie pożytek” – powiedział uczony do swojego cienia i roześmiał się. – „Idź, zajrzyj do środka i opowiedz mi, co widziałeś. Tylko żebyś na pewno wrócił”.

Uczony następnie poszedł do łóżka. Jednak jego cień tego nie zrobił. Wybrał się, by sprawdzić, co się znajduje w domu naprzeciwko, lecz wbrew wyraźnemu poleceniu, nigdy już nie wrócił.

Uczony uznał to za bardzo irytujące. Jednak wkrótce okazało się, że u jego stóp zaczyna tworzyć się zupełnie nowy, jeszcze maleńki cień. Kiedy wrócił z południowych krajów do ojczyzny, miał już świeżo wyrosły cień, który całkowicie mu wystarczał, a więc uznał, że należy się nim zadowolić.

Pewnej nocy wiele lat później ktoś zastukał do jego drzwi. Był to bardzo szczupły, nieskazitelnie ubrany osobnik. Uczony doznał na jego widok dziwnego niepokoju, jednak mimo złych przeczuc zaprosił obcego do środka.

Nieznajomy przedstawił się jako jego cień. Uczony zdziwił się, lecz zarazem trochę był rozbawiony, widząc go po tak długim czasie. Cień opowiedział mu o swoich licznych przygodach i o tym, jak dzięki temu, że potrafił wszędzie się wślizgnąć i widział rzeczy, które możni tego świata chcieli trzymać w ukryciu, doskonale sobie radził. Stał się bardzo zamożny.

Uczony przyjął to z pewnym rozgoryczeniem, bo on sam nadal był ubogi. Cień zaprosił go, by razem się wybrali w podróż, obiecując pokryć wszystkie koszty. Uraziło to dumę uczonego, lecz w końcu się zgodził.

Wybrali się więc razem do wód, bo cień liczył, że pobyt w uzdrowisku może wpłynąć dobroczynnie na porost brody – uskarżał się bowiem na brak zarostu. W czasie tej podróży to cień podejmował wszystkie decyzje, dlatego że płacił za wszystko, co jedli lub pili. Wkrótce cień zaczął traktować uczonego z góry, niemal jak swojego sługę.

Do uzdrowiska przyjeżdżało wielu ludzi z różnych stron, cień poznał tam królową, która przybyła do wód, aby się leczyć ze szczególnej przypadłości – z tego, że widziała wszystko nazbyt jasno. Wystarczyło, że spojrzała na cień i od razu stwierdziła, że przybył w nadziei, że odrośnie mu nowy cień. Cień zaśmiał się wtedy i powiedział, że w takim razie jest już chyba uleczony, bo przecież jego cień tu jest. Wskazał przy tym na uczonego.

Królową zaintrygowało to, że cień nowo poznanego mężczyzny jest tak różny od cieni innych ludzi. Potem zaś tańczyli, a ona opowiedziała mu o swoim kraju. On zresztą już tam był, posiadał wiedzę tak rozległą, że wkrótce królowa zapalała do niego miłością.

Chciała wyjść za niego, jednak musiała się upewnić co do jego mądrości, władca bowiem powinien posiadać nie tylko wiedzę, ale także rozum. Postanowiła więc poddać go próbie, zadając mu do rozstrzygnięcia trudne filozoficzne problemy. Cień tylko się roześmiał i odpowiedział, że to łatwe zagadnienia, nawet jego cień potrafiłby

je rozwikłać. Wtedy zadała te same pytania uczonemu, on zaś odpowiedział na nie tak trafnie, że królowna natychmiast zgodziła się poślubić cień.

Wieczorem tego dnia cień złożył uczonemu pewną propozycję. Miałby on zamieszkać z nim i do końca życia opływać w bogactwa, pod warunkiem że zgodzi się wobec wszystkich pełnić funkcję jego cienia, cień zaś będzie występował jako człowiek.

Uczony odmówił. Powiedział, że wyjawi wszystko królownie. Cień odrzekł na to, że jeśli tylko spróbuje, cień przekona królownę i jej straż, że uczony kłamie.

„Bądź rozsądny. To ja jestem jej narzeczonym, więc posłuchają nie ciebie, lecz mnie”.

Jednak uczony się uparł. I stało się tak, jak przewidział cień. Rozkazał strażnikom królowny pojmać uczonego, co też uczynili. Nim cień i królowna pobrali się, uczonego sprzątnięto po cichu.

Charlie zamknęła książkę. Zjechali właśnie z I-91, zmierzali bocznymi drogami w stronę Blue Ruin. Wciąż trzymając w dłoniach książkę, Charlie próbowała zrozumieć, po co Salt jej te baśnie podarował.

Chciał, by uwierzyła, że Red stanowi zagrożenie nie tylko dla świata, ale także dla Vince'a. Niby nie powinno jej to obchodzić, musiała jednak przyznać, że jednak ta opowieść wywarła na niej spore wrażenie.

Nienawiść do Salta sprawiała, że wszystko się w niej gotowało, jednak pomimo całej wzdargi oraz nieodpartej pewności, że ją oszukiwał, była również całkowicie przekonana, że nie okłamał jej we wszystkim.

Szofer zajechał na parking, zatrzymał się obok jej corolli. Wysiadła, zabierając ze sobą książkę i banknot. W końcu Salt zapewniał, że zapłaci za jej czas.

Matowy rolls odjechał, ruszając w słońce późnego popołudnia. Charlie otworzyła drzwi swojego samochodu. Wstrzymała oddech, ale silnik zakrztusił się i zaraz posłusznie zaterkotał. Jej torba leżała tam, gdzie ją Charlie zostawiła, na tylnej kanapie. W torbie był telefon, a na jego ekranie ślad nieodebranych połączeń: od Posey i z pracy.

Zignorowała oba, zadzwoniła natomiast do kancelarii UMass, by wyjaśnić, co się dzieje z kontem Posey. Linia była zajęta. Kiedy spróbowała powtórnie, odezwała się automatyczna sekretarka. Między jednym a drugim połączeniem biuro skończyło pracę i zamknęło się nieodwoalnie aż do dnia po dniu następnym, ponieważ nazajutrz wypadało Święto Weterana.

Nic nie wskórawszy, pojechała do domu. Było po czwartej po południu, w domu panowała cisza. Siostra albo jeszcze nie wstała, albo siedziała zamknięta w swoim pokoju. Wykończona Charlie poszła prosto do sypialni i padła twarzą w dół na

materac. Kiedy się obudziła, w domu unosił się zapach spalenizny. Zorientowała się, że spała z czerwoną książką przyciśniętą do piersi, jakby to był pluszowy miś.

W kuchni Posey spoglądała bezradnie na zwęglone ciasteczka.

– Nie wróciłaś na noc – stwierdziła. – I Vince też nie. A... A co to w ogóle za ciuchy?

Charlie spojrzała po sobie i na strój wybrany dla niej przez kogoś ze SPA. Wzruszyła ramionami, siadła na krześle, sięgnęła po ciasteczko, próbując je oderwać od blachy.

– Vince odszedł. Spakował się i już go nie ma.

Spodziewała się zachwyty ze strony Posey, a przynajmniej jakichś złościwości, tymczasem siostra wyraźnie była w szoku.

– Wywaliłaś go?

Charlie zaprzeczyła.

– Nie, powiedziałam ci. Odszedł.

– Ale dlaczego?

– Dlatego, że wcale nie nazywa się Vincent Damiano. Tak naprawdę to Edmund Carver, jest obrzydliwie bogaty i uchodzi za zmarłego.

Charlie westchnęła, odpuściła sobie ciasteczka i wstała po płatki zbożowe.

W domu były tylko płatki z otrębów, czyli coś jak pozbawione smaku trociny. I kupione przez Vince'a, zresztą na jej żądanie. Wsypała je do miski.

– Poważnie? – spytała Posey.

– Myślę, że ma kłopoty – odparła Charlie. – To znaczy na pewno ma. I to raczej poważne, i to ma coś wspólnego z jego brakującym cieniem.

Vince miał trzynaście lat, kiedy Salt go wziął do siebie, musiał być totalnie zaburzony i prawdopodobnie desperacko pragnął stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa. Trudno powiedzieć, co był gotów zrobić, byle to osiągnąć.

Charlie gotowa była się założyć, że odpowiedź brzmi „absolutnie wszystko”.

Posey szturchnęła spalone wypieki nieco nadtopioną plastikową szpatułką, która prawdopodobnie sączyła toksyny do sporządzanych z jej pomocą potraw. Kawałek ciastka udało jej się odłupać.

– Ktoś chce go dopaść?

– Sprawa jest dosyć skomplikowana. Pamiętasz takiego przyjaciela mamy, magika? Nazywał się Rand.

Posey zmarszczyła nos.

– Taki stary dziad, z którym się ciągle włóczyłaś? Jakoś kiepsko skończył, prawda?

– Został zamordowany.

Posey potrząsnęła głową.

– Nie, nie tak było. Znaleźli go w samochodzie z innymi zwłokami. Samobójstwo albo morderstwo połączone z samobójstwem. Już pamiętam. Ojciec miał za złe

mamie, że pozwalała ci się z nim zadawać. Obawiał się, że facet zrobił ci to, co pewnie zrobił tamtej dziewczynie, zanim ją zabił. Tak wszyscy przypuszczali.

Ojciec, rzecz jasna, jej samej nic nie powiedział. Aż do tej chwili Charlie nawet nie wiedziała, że zdawał sobie sprawę z istnienia Randa. Przez moment Charlie trudno było opanować wkurzenie na Posey, która najwyraźniej myślała, że siostrze wyleciało z pamięci jedno z najstraszniejszych wydarzeń jej życia.

– Nie. Rand został zamordowany – wyjaśniła. – Wiem, bo przy tym byłam.

Posey otworzyła usta, pewnie z przyzwyczajenia chciała się kłócić, ale potem je zamknęła.

– Zabił go dziadek Vince’a. Niejaki Lionel Salt.

– Jak to się stało, że przy tym byłaś? – Teraz głos Posey był cichszy i nie było już w nim słycać takiej pewności siebie.

– Dlatego, że Rand był oszustem – odpowiedziała Charlie. – A ja jego pomocnicą. Taką jakby asystentką podczas pokazu magii, tylko że tutaj chodziło o dokonywanie różnych przestępstw.

– Czyli to było coś zupełnie innego niż asystowanie podczas pokazu.

Charlie zmięła w palcach zwęglone okruchy.

– Posłuchaj. Rand nie był aniołem. Miał swoje fochy i sporo innych wad, nie mówiąc o tym, że podstępem mnie nakłonił do tego, że stałam się jego współpracownicą. Jednak z drugiej strony mnóstwo mnie nauczył. Tak czy inaczej, nie zasłużył na śmierć, w każdym razie na pewno nie na taką. Na coś podobnego prawie nikt nie zasłużył.

– Ale mamie zawsze mówiłaś, że chcesz z nim iść. – Posey nadgryzła ciasteczko, potem skrzywiła się i odłożyła je na bok. – Myślałam, że on ci kupuje różne rzeczy i nawet ci zazdrościłam, dopiero potem zaczęłam mieć wątpliwości. Poza tym zawsze miałaś pieniądze. A z niego był kawał oblecha.

W takim ujęciu rzeczywiście kiepsko to brzmiało. Ze zdwojoną mocą powróciła do Charlie myśl, co też matka myślała na temat jej i Randa oraz dlaczego nie miała nic przeciwko ich spotkaniom.

Ze zmarszczonymi brwiami przeżuwała zdrowe otręby.

O ile dawnych problemów nie mogła już rozwiązać, to kluczem do obecnych był Vince. Albo miał *Liber Noctis*, albo mógłby jej powiedzieć, gdzie ma tej książki szukać. A może już udało mu się przekształcić swój niecny cień w złego człowieka, albo upora się z tym do soboty, a wtedy Charlie będzie mogła oddać książkę Saltowi.

I chociaż poczuła ulgę na myśl, że ma powód, żeby się z nim skontaktować, nie zamierzała przyjąć tego do wiadomości. Sięgnęła po telefon, wstrzymując oddech wybrała jego numer. Czekwała na odpowiedź.

Po chwili głos automatu powiadomił ją, że numer został zdezaktywowany.

No jasne.

Cóż, znaczną część swojego życia Charlie spędziła, odnajdując to i owo. Sądziła, że jest w stanie znaleźć wysokiego faceta, który nie ma działających kart kredytowych i legitymuje się fałszywym dowodem tożsamości.

Spojrzała w stronę siostry.

– Sądzisz, że można się zaprzyjaźnić ze swoim cieniem? – spytała. – Albo nie wiem, naprawdę go polubić?

Posey zastanowiła się chwilę.

– Taka jedna wzięła ślub z Murem Berlińskim. Była zdruzgotana, kiedy został obalony. Przez jakiś czas nie rozstawała się z cegłą.

Coś było w tym, co powiedziała Posey, jednak Charlie nie o to chodziło.

– No dobrze, ale czy taka przyjaźń jest w ogóle możliwa?

– Nie wiem.

– Właśnie – stwierdziła Charlie. – Ja też nie.

– Może gdyby umiał mówić? – podsunęła Posey, wciąż zastanawiając się nad tą kwestią. – Tylko że to chyba jakby ktoś mówił sam do siebie?

Charlie wpatrywała się w podłogę. Nie miała akurat na myśli swojego własnego cienia, ale równie dobrze mogła mówić o nim. W każdym razie pozostawał tak samo obcy i nieruchomy jak zawsze. A już na pewno nie był przyjazny.

– Troszkę mnie znienawidziłaś, co?

Posey zerknęła na nią z ukosa.

– Dlatego, że to niesprawiedliwe, bo to twój cień się ożywił, a przecież to ja bardziej niż czegokolwiek na świecie chcę zostać umbromantką?

Charlie skinęła głową.

– Pewnie, że się wściekam – przyznała Posey. – Złoszczę się na cały świat. Więc na ciebie chyba też, chociaż wiem, że to nie twoja wina. Przejdzie mi. Ale jeżeli to spierdolisz, to naprawdę cię znienawidzę.

Charlie westchnęła. Odnosiła wrażenie, że już od jakiegoś czasu podąża najlepszą drogą, żeby „to” spierdolić, czymkolwiek „to” było. W każdym razie na pewno prędzej czy później do tego dojdzie. Miała to po prostu we krwi. Charlie Hall, wtopa wcielona. Uosobienie katastrofy.

Jedyną dziedziną, w której się jako tako sprawdzała, było oszustwo i naciąganie, uznała więc, że tego się należy trzymać. Paul Ecco w jakiś sposób wszedł w posiadanie strony *Liber Noctis*. Jeśli to Vince mu ją sprzedał, powinien pozostać jakiś ślad tej transakcji. Może Vince dał facetowi jakiś działający numer telefonu, a kto wie, może nawet adres.

Księgarnia Ecco nazywała się Curiosity Books. No właśnie, a Charlie, oględnie mówiąc, była coraz bardziej zaintrygowana i zadziwiona ostatnimi wydarzeniami. Wszystko to przedstawiało się „zdziwniej i zdziwniej”, jak by powiedziała Alicja w Krainie Czarów¹.

– Zaraz znowu wychodzę – oznajmiła.

Poszła do sypialni, żeby się przebrać.

Posey się nadąsała.

– A wrócisz na noc? Bo chciałam zamówić lo mein.

– Dla mnie też weź – odchrząknęła Charlie. – Najwyżej zjem na śniadanie.

Firma Curiosity Books mieściła się na drugim piętrze dość obskurnego pofabrycznego budynku, bezpośrednio nad rzemieślnikiem pracującym w betonie i naprzeciwko szkoły cyrkowej, w której uczono dzieci żonglerki wirującymi talerzami. Zamki w drzwiach siedziby antykwariatu Charlie skwitowała tylko uśmiechem. Nawet nie trzeba ich było pikować, wystarczyła karta lojalnościowa Big Y. Charlie wsunęła ją w szparę między framugą a drzwiami, potem za jej pomocą docisnęła zasuwkę. Obróciła gałkę, jednocześnie naciskając biodrem na drzwi. Otworzyły się.

Wzdłuż ścian ciągnęły się regały z książkami. Sprawiało to wrażenie, jakby ktoś hurtem kupował na wyprzedazach czy zgarniał wszystkie księgozbiory oferowane za darmo na Craigslist w całej okolicy. Książki były ustawione tak ciasno, że chyba nie dałoby się łatwo wyciągnąć żadnej z nich. Prócz tego na podłodze piętrzyły się kartonowe pudła, niektóre rozdarte, w niektórych znajdowały się kolejne spłaszczone kartony, najwyraźniej do dalszej wysyłki. Wysoko na ścianie w głębi, nad rzędem okien, widniał cytat, w cudzysłowie lecz bez autora: „Do ciekawskich świat należy”.

Pośrodku pokoju znajdował się metalowy stół w stylu lat pięćdziesiątych, na nim cicho buczał komputer, stał telefon stacjonarny o staroświeckim wyglądzie, obok niego drukarka. Podłogę zaścielały papiery, w których najprawdopodobniej ktoś niedawno grzebał.

Charlie przeszła z jednego końca do drugiego, wdychając zapach zakurzonych starych książek. W zamkniętej na klucz gablocie ktoś wybił szybę i opróżnił półki. Jedna z nich leżała na książkach zalegających na podłodze. Wróciła do stołu, siadła przy nim, poruszyła myszką. Po chwili monitor komputera ożył, ukazując straszliwie zaśmiecony pulpit. Uruchomiła wyszukiwarkę i wpisała „Noctis”. Bez rezultatu. Spróbowała więc „struposz”, co również nic nie dało.

Potem wpisała „katalog”; znalazła dzięki temu plik w formacie .xl. Otworzyła go, zawierał listę książek z krótkimi opisami, ceną, którą Paul za nie zapłacił, oraz ceną sprzedaży.

Wpisała „Noctis” w pole wyszukiwania wewnątrz pliku. Również bez skutku.

Nie mając więcej pomysłów, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Balthazara. Odebrał po trzecim sygnale.

– Kochanieeee... – odezwał się, przeciągając przedostatnią samogłoskę. – Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

– A co, gdybym jednak chciała wziąć tę robotę w sprawie Knighta Singha? – spytała, odpychając się od szafki z szufladami i obracając na krześle.

– Niestety, za późno. Słyszałem, że już ktoś inny się tym zajął. A co, żałujesz? Nic się nie martw. Mam kilka innych robótek. Niektóre z innych stanów, oczywiście o ile chce ci się ruszyć. Niektóre niewykonalne, jeśli marzy ci się dreszczyk emocji.

– Wiadomo, zawsze – odpowiedziała Charlie. – Ale kto ich szukał?

– Ale czego?

– Papierów Knighta Singha.

Charlie machinalnie zaczęła otwierać szuflady. Wydawały metaliczny zgrzyt.

Balthazar zawahał się, nim odpowiedział:

– Czy jest coś, co powinnaś mi powiedzieć?

– Chyba nie. – W szufladzie z teczkami znalazła mnóstwo szarych kopert opatrzonych nudnymi biznesowymi nagłówkami: rachunki, czynsz, dostawy jedzenia, ubezpieczenie, poza tym skróty różnych organizacji księgarskich: ABA, IOBA, NEIBA.

– To pacynkarz, prawda?

– Kilkoro pomniejszych skorupiarzy, a poza tym tak, też i pacynkarz. Bardzo bogaty.

– Umilkł, jakby coś go niepokoiło. – A mogłabyś mi powiedzieć, skąd o tym wiesz?

Zmogła pokusę, by się popisać i dać do zrozumienia, że wie o Raven, że to od niej zostały zabrane.

– Już taka moja robota, żeby o różnych rzeczach wiedzieć – odpowiedziała niedbałym tonem. Powinna teraz podziękować Balthazarowi i się rozłączyć, przestając na tym, co zostało powiedziane. Winna jednak mu była pewną informację. – Pamiętasz, mówiłeś o jednej robocie, o szukaniu *Liber Noctis*? Salt w zasadzie powiadomił mnie, że jeżeli jej nie znajdę, to zabije mnie i wszystkich, których kocham.

– Jakie to szczęście, że się nie zaliczam do tych osób – zauważył Balthazar.

– No, nie wiem. Jakoś coraz bardziej cię lubię – powiedziała, sięgając po ostatni folder w dolnej szufladzie z widniejącym na nim napisem „porno”. Był pusty.

– Same kłopoty z tobą, Charlatan – powiedział ciepłym tonem.

– Do widzenia – odpowiedziała i się rozłączyła.

Znów się zajęła komputerem. W pole wyszukiwania wpisała „porno”. Pojawił się folder, a w nim trochę jotpegów, trzy pliki .mov i kolejny folder zatytułowany „porno

geriatryczne”. Wewnątrz znajdował się tylko jeden plik .xl. Kiedy w niego kliknęła, otworzył się nowy katalog, tym razem z kolekcją tajemnych ksiąg, które mogłyby zainteresować umbromantów. Wyszczególniono w spisie rok powstania dzieła, specjalność umbromanty, nakład (albo informację, że jest to pojedynczy egzemplarz); zaznaczony, czy były inne edycje, na której półce księga się znajduje i w jaki sposób Paul ją nabył.

Dalej następowała lista nietypowych sposobów zapisywania umbromanckich sekretów. Aby ukryć wiedzę przed konkurencją, magowie zapisywali je w nietypowe sposoby. Zaszywali pod podszewką skórzanej kurtki. Notowali maleńkimi literkami ukrytymi w kompozycji jakiegoś obrazu. Widniały tam też przedmioty, których rzeczywistą wartość zamaskowano tak skutecznie, że ktoś nieorientowany mógłby je po prostu wyrzucić albo sprzedać za grosze na pchlim targu.

Do tego dochodziły jeszcze były NFT. Popularne wśród zamożnych, wciąż jeszcze nie bardzo rozpowszechnione w społeczności umbromantów. Paul w swoim katalogu miał tylko jeden, ale za to sprzedany chyba dwa tygodnie wcześniej za sto tysięcy.

Charlie przejrzała listę kupujących, szukając Remy’ego, Edmunda, Vincenta, Reda i nawet Salta. Rozpoznała jednak tylko jedno nazwisko, Liama Clovina.

Liam Clovin, dr med.

Wyglądało na to, że w ciągu tygodnia po rzekomej śmierci Edmunda sprzedał Paulowi Ecco trzy książki. Zgodnie ze wpisami, dwie z nich były to osiemnastowieczne memuary, po pięćset baksów każdy i trzymane były w oszklonej gablocie – i najwyraźniej ktoś je zabrał. Trzecią było dzieło *Umbromagia* na przestrzeni dziejów, wydane nakładem własnym przez jakiegoś albo jakąś Lulu w roku dwa tysiące jedenastym. Ta książka nie znajdowała się na półce, tylko w kartonowym pudle po drugiej stronie pomieszczenia oznaczonym symbolem 7A.

Charlie poszła po książkę. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Zamarła.

– Paul? – Rozległ się mrukliwy głos z korytarza.

Charlie, już z książką w ręce, stała nieruchomo. Drzwi były lekko uchylone, w następnej chwili drgnęły, zaczęły się otwierać do wewnątrz. Przykucnęła za stosem kartonów.

Ktoś w ciężkich roboczych butach przeszedł w stronę stołu.

– No, co jest – odezwał się ten ktoś niecierpliwym tonem. – Paul! Jesteś mi winny za czynsz, do ciężkiej cholery. Nie możesz w nieskończoność się ukrywać.

Wyszedł potem z pomieszczenia, trzaskając drzwiami.

Charlie, rzecz jasna, potrafiła poruszać się bezszelestnie, kiedy zachodziła taka konieczność, jednak w tak starym budynku nie sposób było przewidzieć, która z desek podłogi może skrzypnąć. Uznała więc, że na wszelki wypadek lepiej będzie pozostać

w miejscu i odczekać kwadrans, aż zyska pewność, że właściciel lokalu poszedł sobie na dobre.

Nie mając nic innego do roboty, otworzyła *Umbromagię* na przestrzeni dziejów i zaczęła ją czytać przy świetle ekranu telefonu.

Na księgę składał się zbiór wyimków z innych ksiąg. I chociaż właśnie reprinty były częstą przyczyną rozpowszechniania się błędnych informacji, ta kolekcja sprawiała wrażenie wyjątkowo wiarygodnej, ponieważ kompilator umieścił w niej po prostu bezpośrednio skany oryginalnych materiałów.

Charlie miała w rękach przegląd wycinków prasowych, artykułów oraz innych dokumentów. Trudno było określić, w jaki sposób zostały zgromadzone, natomiast informacje zawarte w księdze były interesujące.

Pewien tebański wojownik padł na polu bitwy, lecz jego cień walczył dalej i nie spoczął, dopóki nie zginął też zabójca.

Członkini pewnego tajemnego stowarzyszenia działającego mniej więcej w czasach Zakonu Złotego Świtu, twierdziła, że nocą potrafi posłać swoją świadomość daleko od ciała i przekonać się, co robią jej nieprzyjaciele w najbardziej intymnych chwilach. Z tej samej relacji wynikało, że kiedy cień oddalał się ze swoją misją, jej samej groziła napaść ze strony innych cieni, które mogły wówczas przejąć kontrolę nad jej ciałem.

Pewien mistyk próbował przetoczyć swojemu cieniowi całą swoją krew, aby za jego pośrednictwem żyć dalej.

Jakaś kobieta zdrzemnęła się na zboczu wzgórza, a gdy się obudziła, ujrzała trójkę starszych osób u swoich stóp, próbowali jej odciąć cień. Krzyknęła, wtedy napastnicy uciekli. Nigdy nie dowiedziała się, co dokładnie zamierzali zrobić, miała jednak przeczucie, że gdyby im się udało, doszłoby do czegoś potwornego. Pewien mężczyzna omal się nie udusił, kiedy mroczna postać przeistoczyła się w dym, który wniknął mu do gardła. Uratował go służący, który przypadkowo wszedł do pokoju ze świecą, wtedy cień umknął, nie dopełniwszy złowrogiej misji.

Kiedy Charlie skończyła przeglądać księgę, w budynku panowała już cisza. Wsadziła dzieło do torby, wymknęła się za drzwi i dalej, po schodach w dół.

Postanowiła pomówić z Liamem Clovinem, jednak był ktoś jeszcze, z kim chciała porozmawiać wcześniej. Jeśli Knighta Singha rzeczywiście zamordował Red, skąd w takim razie Raven wzięła jego papiery? A jeśli to Salt był tym bogatym pacynkarzem, który ich szuka, czemu zajmuje się odzyskiwaniem zapisków dotyczących cechu skorupiarzy, skoro jest ponoć tak bardzo zajęty kwestią odzyskania *Liber Noctis*?

W samochodzie Charlie odezwała się do pustego siedzenia obok, na które padał jej cień:

– No, mały – powiadomiła go. – Do ciekawskich świat należy.

KAWA I CIASTKA NIGDY NIE ZASZKODZĄ

Nieco przed dziesiątą Charlie dojechała do Amherst i centrum handlowego, w którym mieścił się zakład Eclipse, piercing i modyfikacja cienia. Znajdował się między kurczakiem po koreańsku a pralnią samoobsługową. Charlie zaparkowała na tyłach budynku, w cieniu gęstej kępy drzew. Powiew chłodnego nocnego powietrza niósł ze sobą z pobliskiego baru zapach piwa i smażonych potraw.

Zgarnęła leżącą na tylnej kanapie torbę z Dunkin' Donuts, podeszła do drzwi przy pojemniku na śmieci, nad którymi paliła się czerwona żarówka. Zastukała mocno knykciami w drewno. Szczelina srebrzystego światła rozdzieliła na krótką chwilę ciężkie czarne zasłony w oknie.

Zaraz potem w drzwiach pojawia się czarnoskóra kobieta. Miała na sobie wystrzępione dżinsowe szorty i top bez rękawów. Jej wełniste włosy były ufarbowane na kolor płomieni, żółte u nasady i dalej czerwone, z jasnobłękitnymi końcówkami; ramiona pokrywały tatuaże, od ciemnoskórej bogini księżycowej na tyle świeżej, że lśniła jeszcze od nawilżacza, po starsze i nie tak pieczołowicie wykonane sieci pajęcze, róże oraz czaszkę z wężem wypełzającym z oczodołu.

Spoglądając podejrzliwie na Charlie, Raven się odezwała:

- Nie przyjmuję nieumówionych klientów, zwłaszcza o takiej porze.
- Ostatnio zostałam okradziona – odpowiedziała Charlie. – Chcę z tobą porozmawiać o Knighcie Singhu i jego notatkach. Jeśli powiesz mi to, co chcę wiedzieć, możesz je odzyskać, kiedy już nie będą mi potrzebne. Obiecuję, że to nie potrwa dłużej niż tydzień.

Raven zmrużyła powieki, po czym cofnęła się, wpuszczając Charlie do wewnątrz. Kiedy zamykała drzwi, Charlie dostrzegła słowa *el arte es largo y la vida breve* wpisane wielkimi gotyckimi literami na wnętrzu jej ramienia.

Na nogach Raven widać było strupy. Ślady po karmieniu cienia.

Charlie wyciągnęła przed siebie rękę z torbą.

- Przyniosłam kawę, jeśli to może ci poprawić nastrój.
- Dobra, złodziejko, powiedz, czego chcesz. – Raven zajrzała do torby, potem podniosła wzrok. – No, no. Nawet coś do kawy przyniosłam.

Każdy przekręt zaczyna się od tego, by pozyskać zaufanie, a każda rozmowa jest po trosze przekrętem. Kawa i ciastka nigdy nie zaszkodzą.

– Jak weszłaś w posiadanie tych zapisków? – spytała Charlie. – Z tego, co słyszałam, jego śmierć wszystkich zaskoczyła.

– Można tak powiedzieć. – Raven uniosła brwi, upiła łyk kawy. – Znaleźli go w domu, na dywanie przy biurku. Ściany były wysmarowane krwią. Kabała nie życzyła sobie, żeby ktokolwiek poznał szczegóły, ale ja je znam – mówiła dalej Raven, nie zostawiając miejsca na jakieś stosowne uwagi czy odgłosy zdumienia. – Pewien umbromanta powiedział, że słyszano męski głos, który krzyczał i nie był to Knight. Żeby załatwić go w taki sposób, trzeba było niezwyklej siły, która pochodzić może tylko od cienia. Od bardzo potężnego cienia, wypasionego na krwi i energii.

– To straszne – rzuciła Charlie.

Raven skinęła głową.

– Knight był pierwszym umbromantą, którego poznałam, i to on mnie nauczył, jak się we właściwy sposób posługiwać magią. Mocno go wnerwiło, kiedy postanowiłam się skupić na modyfikacjach. Twierdził, że gonię za pieniędzem. Pewnie miał rację. Natomiast sprawy mają się tak, że on sam mi dał tę książkę. Na tydzień przed śmiercią. Powiedział, żebym ją przechowała w bezpiecznym miejscu. Był w posiadaniu informacji, która mogła zaszkodzić komuś ważnemu. Utrzymywał, że ta wiedza zapewnia mu bezpieczeństwo, zresztą nie tylko jemu. Pewnie pod tym względem się mylił.

– Lionel Salt? – podpowiedziała Charlie.

Raven popatrzyła na nią dziwnie.

– Może. Ten stary jest obłąkany. Chodzi z ukradzionym cieniem. Podobno w jego domu zniknęło sporo ludzi.

– Skoro wszyscy o tym wiedzą, dlaczego Kabała nigdy nie kiwnęła palcem? Dlaczego Knight Singh nigdy nie posłużył się swoją wiedzą?

Raven podeszła do szafki obok kuchenki i wyciągnęła z niej metalową miskę dla psa.

– Muszę coś zrobić. Nie będzie ci przeszkadzało, że się tym zajmę podczas naszej rozmowy?

– Proszę bardzo – odpowiedziała Charlie.

Raven otworzyła minilodówkę wciśniętą w róg za kontuarem, wyjęła z niej plastikową torbę pełną krwi. Otworzyła ją zębami.

– Podasz mi jeden z tych kubków? – spytała, wskazując ruchem głowy zlew, nad którym wisiała suszarka. Leżało tam kilka czystych widelców oraz kubki na kawę.

Charlie spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Że co mam zrobić?

Raven się uśmiechnęła.

– Kubki. Na suszarce. Podaj mi jeden z nich.

Charlie sięgnęła po pierwszy z brzegu. Ozdobiony był napisem DZIŚ DOKOP ŻYCIU W DUPE.

Raven przelała krew do kubka i umieściła go w mikrofalówce. Nastawiła czas na półtorej minuty.

– Żeby nie była taka zmrożona – wyjaśniła, jakby to cokolwiek tłumaczyło.

Kubek zaczął się obracać, Raven zwróciła się do Charlie.

– Nikt nie miał namacalnych dowodów. A Salt jest bogaty. Właśnie dlatego Kabała nic nie robi. A dlaczego Knight nie użył tego, co na niego miał, to po prostu nie wiem. Może nie zdążył.

– Przecież nie uwierzę, że nie przeczytałaś notatek Knighta, kiedy miałaś je pod ręką – stwierdziła Charlie.

Raven zaśmiała się cicho.

– Oczywiście, że przeczytałam. Tam jest mnóstwo informacji, bardziej dotyczących nosicieli cienia niż modyfikatorów, ale absolutnie nic, co mogłoby pogrozić kogoś ważnego.

– A pomijając te haki na Salta, to czy Salt miał jakiś powód, żeby sprzątnąć Knighta?

– Knight sprzeciwiał się przyjęciu go do Kabały. Teraz, kiedy go zabrakło, inni naginają zasady i chcą Salta przyjąć, chociaż przedstawicielem pacynekarzy jest już Malik.

– To znaczy, że od skorupiarzy nie będzie nikogo?

Raven machinalnie spojrzała na kubek, potem na talerz.

– To nie jest w porządku. Knight pomógł stworzyć Kabałę. Był jednym z pierwszych umbromantów, którzy mieli otwarte podejście do magii cienia.

Charlie otworzyła swoją kawę, wypłała trochę. Myślała o Redzie i o tym, co Salt mówił na temat Vince'a.

– A jakie miał Knight powiązania z *Liber Noctis*?

Mógł nie mieć żadnego, ale Charlie celowo w ten sposób sformułowała pytanie – Raven mogło się przez to wydać, że Charlie wie więcej niż w rzeczywistości.

– Z tą *Księgą struposzy*? – Kuchenka mikrofalowa wydała sygnał, Raven przelała zawartość kubka do stalowej miski. – Bardzo go bawiło, że Salt dał się wkręcić i tyle za nią zapłacił. Na tym polega problem z bogatymi umbromantami. Wykupują wszystkie książki magiczne, bo ich na to stać, a potem posługują się zdobytą wiedzą, by sobie

podporządkować innym umbromantom. Salt nigdy nie przestrzegał żadnych zasad, a teraz to on będzie tworzył swoje.

Istniały przekazy o pionierskich czasach umbromancji, kiedy to magowie cienia tworzyli wokół siebie złowrogie sekty. Lało się wtedy mnóstwo krwi, by wykarmić cienie. Nosiło się złowrogie szaty i uprawiało złowrogi seks. I kończyło się to za każdym razem całą serią zgonów.

Kiedy Charlie zastanowiła się, jak będzie wyglądać umbromancka mafia pod rządami Salta, wyobraziła sobie taką sektę, tylko w luksusowym, korporacyjnym wydaniu. Do takiej organizacji ludzie tym chętniej będą przystępować. Przecież Salt ma księgi i pieniądze. A im bardziej mafia się rozrośnie, tym większy wpływ będzie wywierać na innych umbromantom. Członkostwo Salta w Kabale oznaczało, że już nikt nie zdoła go powstrzymać.

Raven wręczyła Charlie pusty kubek z resztkami krwi, po czym podeszła do wejścia, ustawiła psią miskę na schodku.

– Na pewno chcę to zobaczyć? – spytała Charlie, unosząc brwi.

– Chcesz czy nie chcesz, chwilę możesz poczekać. – Raven sprawiała wrażenie bardzo rozbawionej. – A dlaczego pytasz o *Liber Noctis*? Czy wnuk Salta nie pozbył się księgi, zanim kopnął w kalendarz? Dlaczego w ogóle zadajesz te wszystkie pytania?

Charlie siadła ciężko na ławie, obok stosu magazynów.

– Coś poszło źle i chyba wpadłam w to po uszy. Nie mogę się teraz wycofać, nawet gdybym chciała. A zresztą wcale nie chcę. Chciałabym natomiast się zorientować, kto tu kłamie i w jakiej sprawie.

– Pewnie wszyscy i we wszystkich sprawach.

Na zewnątrz przepływająca chmura przyćmiła blask księżyca. Charlie dostrzegła kilka cieni sunących w stronę miski.

Były nikłe, ledwo dostrzegalne w silnym świetle żarówki nad drzwiami. Prawie niewidoczne. Jednak obszar wokół miski wciąż ciemniał, bo gromadziło się ich coraz więcej.

Krew poruszyła się, jakby musnął ją języczek fantomowego kota. W następnej chwili w psiej misce rozpętał się istny mały sztorm.

– Jeśli chodzi o *Liber Noctis* i Knighta, to wiem jedno – powiedziała półgłosem Raven. – Knight znał jednego faceta w domu aukcyjnym, pozwolili mu włożyć białe rękawiczki i rzucić okiem na księgę, zanim Salt ją kupił. Knight skopiował kilka zapisków na temat wiązania struposzy, ale nic więcej.

Czyżby przegapił rytuał nadawania struposzom wagi i kształtu, a może uznał to za taką potworność, że nic nie chciał o niej wiedzieć? Charlie siedziała, nie mając

pojęcia, co powinna dalej robić. Przyglądała się, jak ubywało krwi w misce. Cienie wokół ciemniały i pęczniały.

– A co z hierofantem? Podobno ma polować na struposze, a sama powiedziałaś, że Knighta Singha musiał zabić potężny cień. Czyli mógł to być struposz, prawda?

Raven westchnęła, spojrzała w stronę odległego krańca parkingu, na drzewa.

– Ach, tak, Stephen. Znałam go trochę, jeszcze zanim został hierofantem. Nawet nie był złym złodziejem, tylko po prostu ukradł niewłaściwą rzecz niewłaściwej osobie. Umbromanta, który go najął, zważył wszystko na niego. Ukarali go w taki sposób, że przyszyli mu tego starego struposza, no i cóż, chyba nie najlepiej to wyszło. Mieć taki cień, który jest obdarzony świadomością i szepcze ci do ucha? Straszne, kurwa. Wątpię, żeby cokolwiek upolował.

Charlie dobrze pamiętała, co mówił Salt o potędze struposzy.

Pamiętała też słowa hierofanta. Miała przekazać od niego Redowi, że chce dostać księgę. I że mogą się nią podzielić. Następnie, że rozszarpie Reda na strzępy.

– Dlaczego struposz miałby się zgodzić na takie połączenie? – spytała Charlie.

Raven machnęła ręką.

– W większości się nie godzą.

Charlie spojrzała na miskę.

– To właśnie struposze, no nie? Dajesz im krew, więc i siłę, prawda?

– Trochę siły – przyznała Raven. – Pewnie jesteś ciekawa, dlaczego to robię.

Charlie przypatrywała im się, myśląc o Redzie i hierofancie oraz o tym, jakie to było odczucie, kiedy cień poruszał jej ustami.

– Właściwie to zastanawiałam się, ile krwi trzeba, żeby cień stał się wystarczająco potężny i mógł przeistoczyć się w struposza, ale żeby jego umbromanta nie umarł.

– Wiesz co? – powiedziała Raven i wstała. – Zademonstruję ci jedno i drugie.

Jej własny cień otoczył jej dłoń jakby mglistą rękawicą. Wyciągnęła ją i pochwyciła jeden z kształtów zgromadzonych wokół miski. Cień wił się i szarpał w jej fantomowej dłoni, jednak druga trzymała już jakby nic i igłę, także utworzone z cienia.

Stwór wierzgał niczym schwytyany węgorz albo jakiś wewnętrzny organ drgający po wydobyciu z ciała. A także jak żadna z tych rzeczy. Gdyby ktoś zerknął pobieżnie, mógłby stwierdzić, że Raven tylko wykonuje dziwną pantomimę, udając, że coś trzyma. Zaraz potem wbiła tę wyobrażoną igłę w wyobrażonego stwora.

Charlie nie potrafiła stwierdzić, czy budzi to w niej większy wstręt, czy fascynację.

Raven zerknęła na nią i uśmiechnęła się.

– Za każdym razem, kiedy modyfikator dokonuje zmiany u kogoś, musi się w tym celu posłużyć częścią własnego cienia. Kto na to zwraca uwagę, oddaje samego siebie, kawałek po kawałku, aż w końcu nic nie zostaje. Ale ja bardzo uważam. Te małe

cienie, to jest nic. Nie posiadają żadnej inteligencji, ledwie zalążek świadomości. Mogłyby nawet nie przeżyć zszycia z żywą osobą. Ale w pewnym sensie masz rację, to są poniekąd struposze. To znaczy cienie, które przeżyły oddzielenie od swojego właściciela.

Krew się skończyła, kilka cieni oddaliło się, kilka jednak wciąż pozostało na schodach, jak przejrzysta ciemność, jak cieniutka warstewka mroku w powietrzu.

– To, co się teraz stanie, może cię trochę spłoszyć – przestrzegła Raven. – Jeżeli chcesz, to zamknij oczy.

Nie było takiej możliwości. Charlie nie zamierzała tchórzyc i odwracać wzroku.

– No co ty.

Raven pochwyciła cień i wrzuciła go do swoich otwartych ust.

Charlie przygryzła wargę, by powstrzymać okrzyk zdumienia. Tego zupełnie się nie spodziewała. Raven mówiła dalej z niezmałym uśmiechem:

– Kiedy umbromanta wkłada w cień nieco swojej świadomości, zaczyna wyrastać coś na kształt homunculusa. Struposz składa się z mocy, ale nie tylko z niej. Jeśli nie chcesz, żeby twój cień się od ciebie oddzielił, to nie traktuj go jak osobnej istoty. Nigdy nie nadawaj mu imienia. I nigdy nie karm go nie swoją krwią, bo wtedy otrzyma też energię, która nie jest twoja.

Charlie skinęła głową.

– Jednak większość struposzy powstaje na chwilę przed śmiercią. Umbromanci często przekazują swojemu cieniowi część siebie w ostatniej chwili życia, więc często jest to strach i ból. W ten sposób powstają twory groźne, lecz potężne. Aby stworzyć struposza bez tego wszystkiego, prawdopodobnie należałoby kraść energię, może potrzebna by była do tego śmierć kogoś innego i jednak cudza krew.

Charlie przypomniało się, co zrobił z nią Salt, jak jej palce zaciskały się na rękojeści noża.

– Jeśli cień stanie się wystarczająco silny, czy może przejąć kontrolę? Czy może stać się jakby pacynkarzem swojego właściciela?

Raven przyglądała jej się przez długą chwilę.

– Nie słyszałam, żeby jakiś cień zdołał przejąć władzę nad właścicielem czy w ogóle osobą, do której był przyszyty, ale zapewnić sobie całkowite bezpieczeństwo można tylko w jeden sposób. Otóż trzeba w ogóle nie mieć cienia. Osoby pozbawionej cienia nie da się kontrolować. Drzwi zamknięte, wstępu nie ma.

A więc to tak? Nie da się zdobyć władzy nad kimś, kto jest pozbawiony cienia? Czy to dlatego Vince pozbył się swojego? Żeby nie pozwolić dziadkowi dyrygować sobą i kierować w taki sposób, jak przez chwilę kierował Charlie? A może nie chciał, żeby Red przejął nad nim kontrolę?

Raven podjęła po chwili:

– Chyba to ci powinno wystarczyć. A teraz powiem jedno, jeżeli spróbujesz mnie wyruchać, to już ja się postaram, żebyś skończyła jako następny hierofant z jakimś prastarym stworem doszytym, żeby ci szeptał w uszko, kiedy będziesz polować na struposze, aż wreszcie któryś z nich cię dopadnie i pożre w całości.

– Spokojnie, przyniosę ci te notatki Knighta.

– Przy okazji ciastka też możesz przynieść – rzuciła Raven.

Charlie odeszła z powrotem w noc, która teraz o wiele bardziej niż dotąd zdawała się gęsta od cieni.

Następnego dnia po południu siedziała przy stole w kuchni z długopisem w każdej dłoni, nad dwiema kartkami wyrwanymi z zeszytu. Pisała na obu jednocześnie w kółko te same słowa.

NO, GŁUPIA, MASZ JUŻ PODZIELNY UMYSŁ?

– Nie wiedziałam, że jesteś dwuręczna – stwierdziła Posey, patrząc na nią ze zmarszczonym czołem.

– Nie byłabym tego taka pewna – odpowiedziała Charlie. – Ale jako tako sobie radzę, więc może tyle wystarczy.

Posey wyciągnęła z lodówki gazowany napój, otworzyła go, pochyliła się nad stołem, żeby zobaczyć efekty wysiłków Charlie.

– No i jak? Masz wrażenie, że świadomość ci się rozwidła?

Charlie westchnęła, przestała bazgrać.

– Nie mam pojęcia. A gdyby się rozwidlała, to co mam wtedy robić?

Posey wskazała palcem jej cień.

– Spróbuj poruszyć palcami. To znaczy tamtymi, no nie?

Charlie skupiła się, skoncentrowała na próbie poruszenia dłonią swojego cienia. Jednak choć starała się ze wszystkich sił i wpatrywała usilnie, i próbowała przenieść świadomość, a potem ją rozdzielić i myśleć równoległe, żadnej istotnej zmiany nie dostrzegła.

Posey pokręciła głową.

– No dobrze, to może spróbuj go wydłużyć?

To wydało się Charlie jeszcze trudniejsze, ale podjęła i tę próbę. Usiłowała sobie wyobrazić, jak jej cień się rozprzestrzenia, jakby się topił. Próbowała sprawić, żeby się rozplątał, choćby odrobinę rozmył na brzegach. I znowu nic.

– Staram się – zapewniła siostrę, uprzedzając ewentualne krytyczne uwagi.

– Może powinnaś spróbować się wcielić w swój cień – zaproponowała Posey.

Charlie bezradnie rozłożyła ręce.

– A niby jak?

Posey wzruszyła ramionami.

Dalej się tak bawiły, Posey wyszukiwała w internecie ćwiczenia, a Charlie bezskutecznie próbowała je wykonać, co stawało się coraz bardziej frustrujące.

W końcu przyszedł czas spotkania Posey na zoomie z klientem, co oznaczało koniec sesji. Charlie z ulgą odpuściła. Wyciągnęła swojego własnego laptopa.

Odetchnęła jeszcze raz, znów odnalazła artykuł o śmierci Edmunda Carvera, skopiowała z niego imię i nazwisko dziewczyny znalezionej z nim w samochodzie, wkleiła je do wyszukiwarki.

Rose Allaband.

Nie pojawiło się wiele wzmianek, najdłuższa została umieszczona w sieci tydzień po jej zniknięciu:

Rodzina i przyjaciele Rose Allaband zwracają się z prośbą o udostępnienie wszelkich informacji, które mogłyby pomóc w jej odnalezieniu.

Dwudziestotrzyletnia Rose Allaband zaginęła tydzień temu. Na podstawie zeznań świadków ustalono, że ostatni raz widziano ją w trakcie burzliwej sprzeczki z przyjaciółką. Jak wykazało dochodzenie, niedawno nawiązała nowe znajomości. Jej telefon komórkowy znaleziono na poboczu Interstate 91 tuż za zjazdem 19 B, jednak bez karty SIM.

Matka Rose Allaband apeluje do wszystkich osób, które mogłyby pomóc w poszukiwaniach: „Rose była miłą dziewczyną, która zbyt łatwo ufała ludziom. Uważała, że magia to świetna zabawa, i nie zdawała sobie sprawy, że ludzie mogą wykorzystać jej zdolności. Myślę z przerażeniem o tym, co mogło jej się przydarzyć. Jeśli ktokolwiek widział moją córkę lub posiada jakiegokolwiek informacje co do miejsca jej pobytu, proszę i błagam o telefon pod numer 911 i przekazanie wszelkich informacji, nawet jeśli się wydają bez znaczenia”.

Vince mógł mieć coś wspólnego z zaginięciem Rose Allaband. W końcu udało mu się wzbudzić zaufanie nawet Charlie, z natury dość nieufnej. Bez żadnych oporów wsiadała do jego samochodu i to nie raz. Młoda, naiwna dziewczyna nie miała żadnych szans.

To by jednak oznaczało, że istotnie był taką osobą, jaką opisał jej Salt – kimś zmiennym niczym kameleon. Tymczasem Vince, którego znała, to był facet, który szedł do sklepu i kupował jej te głupie płatki z otrębów, bo są zdrowe, a Charlie wpadła na pomysł, żeby się zdrowo odżywiać. Facet, który opatrywał skaleczenia Charlie, bo krwawiły i już.

Jednak jeśli to Red popełnił tamte morderstwa, Vince mógł się czuć odpowiedzialny. W końcu Red stanowił kiedyś część jego samego.

Pojawiła się Lucipurr. Otarła się łebkiem o brzeg laptopa. Charlie bezwiednie podrapała kotkę pod pyszczkiem.

Lionel Salt starał się wmówić Charlie, że Vince planuje wykorzystać *Liber Noctis*, by przemienić swój cień w coś na kształt nieśmiertelnego potwora. Z kolei Knight Singh twierdził, że Salt mocno za to dzieło przepłacił. Hierofant tymczasem zdecydowanie zachowywał się tak, jakby jednak była coś warta.

Jeśli zgodnie z tym, co twierdził Salt, Vince zamierza odprawić rytuał, to właściwie na co czeka? Ma tę księgę od roku i stanowczo nie jest typem faceta, który odkłada na później coś, co zamierza zrobić. W ich domu był jedyną osobą, która czyściła filtr w pralce.

Wiedziona impulsem wpisała „Edmund Carver + Adeline Salt” do okna wyszukiwarki. Przewinęła kilka artykułów ze zdjęciami – Vince z szalikiem na szyi, Adeline uwieszona u jego ramienia i chyba próbująca udawać trzeźwiejszą, niż jest w rzeczywistości, z leciutko rozmazaną szminką w kąciku ust.

Potem jakiś plotkarski blog, a w nim ludzie na pokładzie jachtu sfotografowani z lotu ptaka.

Charlie wyteżyła wzrok. Na dziobie można było dopatrzeć się dwojga splecionych ze sobą ciał, choć przysłaniał je żagiel. Jasne włosy kobiety leżały rozrzucone na deskach pokładu, górna część bikini była zsunięta do góry. Mężczyzna znajdował się nad nią, ale znała go wystarczająco dobrze, nie musiała widzieć twarzy. Znała ich oboje. Adeline i Vince.

CZY DZIEDZICZKA WIELKIEJ FORTUNY ZDRADZA ARMATORA?

Charlie doskonale pamiętała słowa Adeline. Powiedziała wprost, że się cieszy, bo Remy i Charlie już nie są razem. No i wszystkie te zdjęcia Adeline i Edmunda na nowojorskich wentach, balach i przyjęciach. Nikt inny nie pojawiał się u jego boku. Ani w jej towarzystwie.

Do tego jej zdjęcie w jego portfelu.

Do kuchni wróciła Posey, oparła się o framugę drzwi. Trzymała w dłoni talię kart.

– Czego szukasz?

– Dowodu na działanie klątwy naszego rodu – odpowiedziała Charlie i zamknęła komputer.

– Przetasuj, a potem wybierz trzy karty.

– No co ty, daj spokój – zachnęła się Charlie.

– Potraktuj tarot jako narzędzie psychologiczne – zaproponowała Posey. – Narzędzie ułatwiające dostęp do podświadomości. Jung był zwolennikiem takiego postępowania. A ty musisz właśnie odnaleźć w swoim umyśle to coś, co cię powstrzymuje przed pójściem drogą umbromancji.

– Niech ci będzie – powiedziała Charlie, wzięła od niej talię. Przetasowała ją wprawnie, jakby przygotowywała się do partyjki pokera.

– Skup się na pytaniu – nauczyła ją Posey. – Pójdzie ci łatwiej, jak zamkniesz oczy. Poproś karty, żeby odpowiedziały, co blokuje twoją magiczną osobowość.

Jednak Charlie tak naprawdę chciała dowiedzieć się czegoś na temat Reda.

Wzięła trzy karty z wierzchu i nie patrząc, wręczyła je Posey. W końcu może właśnie po to ludzie chodzą do wróżbitów. Potrzebują pomocy i w pewnym momencie już jest im wszystko jedno, skąd ją dostaną. W tym kurewskim labiryncie przyda się każda wskazówka.

– Same wielkie arkana – stwierdziła jej siostra. – Ciekawe.

– I co z tego?

Posey nie była zachwycona.

– To znaczy, że kroi się coś dużego.

– No, dobrze – mruknęła Charlie. – I co jeszcze?

Posey położyła pierwszą kartę na stole.

– Mag. Przemiana duchowości w substancję materialną. To karta nowych początków, więc pewnie chodzi o to, że zaczynasz jako umbromantka.

– Czyli nic nowego – stwierdziła Charlie, chociaż trochę była pod wrażeniem.

Druga karta.

– Głupiec.

Charlie prychnęła.

– Widzisz, stoi na skraju przepaści i zaraz zrobi następny krok. Może jest nieświadom niebezpieczeństwa, a może jest mu obojętne.

– Rozumiem.

Siostra Charlie z uniesionymi brwiami spojrzała na ostatnią kartę i uśmiechnęła się z przekąsem.

– Oho. Wygląda na to, że zmierzasz do złamania tabu.

Charlie zmarszczyła brwi.

– Co to za karta?

Posey pokazała jej wizerunek jakiegoś kapłana siedzącego w czerwonej szacie na tronie z uniesionymi rękami, przed nim dwaj klęczący mnisi. Na karcie widniał napis: hierofant.

ieczorem Charlie zeszła do piwnicy, żeby wyciągnąć szarfę akrobatyczną, na której nie ćwiczyła już od miesięcy. Dzięki niej miała zachować gibkość pozwalającą jej prześlizgiwać się przez okna nieco zwinniej niż Grinch. Zawiesiła szarfę na haku, otrzepała z kurzu, przeganiając przy tym przynajmniej jednego zirytowanego pająka. Potem podciągnęła się i zaczęła ćwiczyć jak dawniej. Kiedyś wykonywała te wszystkie ruchy każdego ranka przed ćwiczeniami z doliniarstwa. Była mniej elastyczna niż kiedyś, ale w miarę jak mięśnie się rozgrzewały, rozluźniała się w rytmie znajomej sekwencji ruchów.

Cień na ścianie wiernie powtarzał każdą figurę.

W KÓŁKO STARE PIOSENKI

Rankiem następnego dnia Charlie zrobiła sobie kawę i wróciła na materac. Dopiero wtedy oddzwoniła do Rapture. Chcieli, żeby przyszła do pracy następnego dnia wieczorem i przez resztę tygodnia pracowała w normalnych godzinach.

Charlie nie miała nic przeciwko temu, pod warunkiem że weźmie wolne w sobotę, na imprezę u Salta. Niezależnie od tego, czy znajdzie księgę, będzie musiała się tam pojawić.

Potem wypiła porządny łyk kawy i przyglądając się złotym plamom światła na pościeli, zadzwoniła do kancelarii kwestora UMass. Odebrała ją jakaś kobieta o zrzedliwym głosie.

– Czy mogłaby pani sprawdzić mój rachunek? – spytała Charlie. – Pod nazwiskiem Posey Hall.

– Chwileczkę – odpowiedziała kobieta udręczonym tonem.

Charlie odgryzła skórkę od kciuka, starając się nie oczekiwać najgorszego.

– Chyba przegapiła pani termin – stwierdziła z nieukrywaną satysfakcją urzędniczka. – Pani rachunek jest zablokowany.

Charlie się zaniepokoiła.

– Nie, termin upływa pod koniec miesiąca. Mam tu gdzieś pismo w tej sprawie.

– Pod koniec minionego miesiąca – skorygowało babsko.

Przez chwilę Charlie mogła tylko się gapić na ścianę. Niewykluczone, że Doreen namówiła brata, żeby to zrobił, jednak bardziej prawdopodobne było, że Charlie się po prostu pomyliła.

– Wszystko ureguluję – zapewniła. – W poniedziałek.

– Ale nie później. W przeciwnym razie osoba zostanie skreślona z możliwością powtórnego aplikowania w przyszłym semestrze – oznajmiła urzędniczka i rozłączyła się bez pożegnania.

Charlie padła na legowisko. Patrzyła na sufit, próbując zmusić się do jakiegoś działania. Wiedziała, że jeśli tego nie zrobi, być może nie wstanie z tego łóżka przez całe tygodnie.

Zadzwoniła więc do szefa Vince'a, z gotową już historyjką. Jednak kiedy tylko odebrał, od razu wydarł mordę:

– Pani powie temu pajacowi, że dla mnie jest trupem! Słyszała pani? Pani mu powie, że nie ma tak, że może sobie zachlać, a robota będzie czekała.

– Ale on nie... – zaczęła Charlie, jednak tamten już się wyłączył. Zresztą to było bez znaczenia, najwyraźniej nie wiedział, co się dzieje z Vince’em.

Trzy połączenia, a dwie rozmowy zostały przerwane i to w niezbyt uprzejmy sposób. Czyżby traciła swój uwodzicielski telefoniczny urok?

Charlie westchnęła ciężko, pozwoliła głowie opaść z powrotem na poduszkę. Tęskniła za Vince’em, a wcale nie była pewna, czy w ogóle go znała. Mogła bowiem się domyślać, dokąd udałby się Vince, natomiast Remy Carver był nieprzeniknioną tajemnicą.

Hm. Dla niej tak, ale może jednak nie dla doktora Liama Clovina, który sprzedał Paulowi Ecco trzy cenne książki. Który bez wątpienia wiedział dużo więcej, niż chciał powiedzieć.

Charlie wstała, a jej cień powtarzał wszystkie ruchy po swojej właścicielce. Przyglądała się jego zarysowi na ścianie, wkładając spodnie, potem stanik przez głowę, spinając włosy gumką.

– Magia jest w nas – szepnęła do swojego cienia, do siebie.

Nie było odpowiedzi.

– Chcesz coś przekąsić? – spytała.

Gdy sięgała dłonią do nogi, poczuła mrowienie na karku i wzdłuż ramion. Wsunęła paznokieć pod twardą krawędź strupa, po czym pociągnęła, jakby zrywała plaster z opatrunkiem. Krew popłynęła z ociąganiem, wąską strużką w kierunku kostki.

Do podłogi jednak nie dotarła.

To normalne, że po rozstaniu puszcza się w kółko stare piosenki. Zwyczajna rzecz, gapić się godzinami na stare zdjęcia i czytać listy, albo je palić na grillu, albo nawet dorysowywać diable rogi na każdym zdjęciu swojego byłego. Świetna okazja, żeby zeżreć cały karton lodów na wersalce i popić to butelką chardonnay. I kto by nie rozmawiał godzinami o facecie ze swoimi przyjaciółkami, nie wydzwaniał na jego numer tylko po to, żeby usłyszeć głos nagrany na sekretarce, a potem rozłączać się, nie zostawiając wiadomości.

Jednak choć ludzie rzeczywiście tak postępują, to jeszcze nie znaczy, że to jest dobry pomysł. Bardziej przypomina rozdrapywanie ran, żeby sprawdzić, czy dalej boli.

Zawracanie głowy byłemu współlokatorowi swojego byłego chłopaka trochę za bardzo przypominało te rzeczy, które normalnie się robi, ale których robić się nie powinno.

Charlie musiała odbyć jeszcze kilka rozmów telefonicznych, ale w końcu dowiedziała się, że Liam Clovin jest rezydentem w Baystate Medical Center.

W związku z tym pod pewnymi względami trudniej było do niego dotrzeć, ale pod innymi łatwiej. To znaczy Charlie nie mogła po prostu się umówić na wizytę z powodu halluksów, czy czegoś w tym rodzaju, i w ten sposób go dopaść.

Choć powszechnie wiadomo, że lekarze rezydenci są mocno przepracowani, a zmęczenie idzie w parze z osłabioną czujnością. Liam jest tak skoncentrowany na swojej pracy, że już mu nie starczy uwagi, by dostrzec pułapkę, nim ta się zatrzaśnie.

Mało tego, Liam Clovin zbliża się do momentu, w którym zacznie zbierać owoce swojej ciężkiej pracy. Poświęcił wiele, by dojść tam, gdzie dobrnął; ma za sobą lata studiów, na koncie niespłacone kredyty studenckie i pożyczki. Jako lekarz rezydent jest już o włos od sześciocyfrowych dochodów, już czuje, jak smakują. Ma więc mnóstwo do stracenia.

A Charlie praktycznie nic.

Istnieje kilka sposobów, żeby namierzyć adeptów medycyny, ale najprościej po prostu kręcić się po kafeterii w porze lunchu. Clovin może o jakiejś konkretnej godzinie mieć wykłady albo mogą go zatrzymywać inne obowiązki, ale w końcu przecież musi zgłodnieć.

Tylko że aby go rozpoznać, Charlie wprawdzie musiała się dowiedzieć, jak wygląda. Początkowe poszukiwania w sieci okazały się bezowocne. Nie było go wśród zdjęć rezydentów Baystate, chociaż przeszukała wszystkie oficjalne fotografie i zajęło jej to prawie godzinę. Chyba nawet nie miał profilu na Facebooku, przynajmniej na pewno nie pod swoim nazwiskiem. Wreszcie natrafiła na zdjęcie klasy dyplomowej Remy'ego w NYU. I na nim właśnie zobaczyła Liama Clovina – rudzielca mrużącego oczy od słońca. Całkiem niedaleko stał Edmund Vincent Carver i patrzył prosto w obiektyw.

Charlie wydobyła strój, którego używała do tego rodzaju występów. Bładoniebieski golf, żeby zakryć tatuaże. Zwyczajne dżinsy. Brązowa peruka, pod którą mogła schować własne włosy. Neutralny makijaż.

Kiedy zajechała pod Baystate Medical Center i zostawiła samochód na parkingu dla gości, już wcieliła się w rolę.

Znudzona pani siedząca za kontuarem na recepcji pokazała swoje prawo jazdy, a kiedy tamta ją spytała, w jakiej sprawie przychodzi, oświadczyła, że jest umówiona w kafeterii z kuzynem. Ta część szpitala jest otwarta dla odwiedzających, więc nie było żadnych dodatkowych pytań.

Poprosiła jeszcze o wskazanie drogi do sklepu z podarunkami, rozglądając się jednocześnie dyskretnie, by zlokalizować kamery. Było ich mnóstwo.

Kafeteria szpitala Baystate przypominała jej podobny lokal w college'u, do którego uczęszczała przez dwa semestry, studiując psychologię – nim rzuciła studia, żeby zamiast tego pójść na sześciotygodniowy kurs barmański. Były tam stalowe blaty,

w ogóle wszystkie powierzchnie urządzono tak, żeby można je było szybko umyć. Zapach także był znajomy – odgrzane mrożonki w tłustym sosie zagęszczonym skrobią kukurydzianą, mleczny chowder, cebula i kawa orzechowa.

Charlie znalazła stolik w kącie i czekała. Minęło pierwsze pół godziny, nic się nie wydarzyło. Wstała, kupiła sobie bułkę żytnią z szynką i serem, kawę oraz wodę. Kiedy wróciła, okazało się, że ktoś tymczasem zajął jej stolik. Znalazła nowe miejsce, odgryzła kęs i sprawdziła telefon.

Ujrzała na swoim własnym, osobistym i oficjalnym telefonie wściekłą i najprawdopodobniej mocno zakrapianą wódą wiadomość od Adama:

kurwo jedna czego się od nas nie odpiardoliłaś. Ty myślisz że Doreen mnie rzuci bożeś powiedziała jej o mnie no to się zdziwisz kurwa. Tak samo się wkurwiła na ciebie jak ja jak jej powiedziałem jak mnie oszukałaś i ukradłaś co moje kurwa. Wszystko mnie powiedziała ty kurwo kurwo kurwo żebyś zdechła

Charlie szybkim ruchem odłożyła telefon na stół, jakby ją parzył. To też było do przewidzenia, koncertowo spieprzyła całą akcję, oddając Doreen pierścionek. Tak jakby zostawiła swoją wizytówkę zamiast skradzionego notesu. Cholera, a Suzie Lambton od razu mówiła, że Charlie źle na tym wyjdzie.

Sam żebyś zdechł, chuju – pomyślała Charlie. Skasowała wiadomość.

Wciąż się zastanawiała, co jeszcze zdołała spierdolić, kiedy do kafeterii wszedł Liam Clovin. Był blady i chudy, miał rudawą brodę. Był w tej samej klasie co Edmund, więc orientowała się, że musi być mniej więcej w jej wieku, ale przez ten zarost i jeszcze kitel lekarski wydawał się starszy.

A poza tym coś już w życiu osiągnął. W przeciwieństwie do niej, Charlie Hall, która pół swojego czasu poświęcała na stępianie swoich pazurków, a resztę na ich ostrzenie i łowy.

Odczekała, aż doktorek weźmie sobie coś do jedzenia i znajdzie stolik.

– Dzień dobry – powiedziała, sadwiąc się obok niego. – Mogę się dosiąść?

Niektórzy sądzą, że dla zręcznej oszustki facet jest łatwym łupem. Wystarczy pokazać kawałek nogi, niczym królik Bugs łapiący stopa w kobiecym przebraniu, a ofiara już się łąsi z wywieszonym jęzorem.

Otóż nie ma w tym ani odrobiny prawdy. To po pierwsze.

Po drugie, kobiety rzeczywiście wykorzystują takie atuty jak głęboki dekolt, ale to dlatego, że przekręt w kobiecym wydaniu odbywa się nieco inaczej. Na przykład jeśli dziewczyna chce zaproponować facetowi interes, to będzie nieufny, wcale nie dlatego, że to kant, tylko dlatego, że ma do czynienia z kobietą, a kobiety przecież się nie znają na biznesie. Cała sztuka polega na tym, żeby się zachowywać w odpowiedni sposób,

czyli żeby gość traktował kobietę poważnie, a jednocześnie miał poczucie, że mógłby ją przelecieć. A jeśli rzeczywiście ma ochotę ją przelecieć, sprawa jest jeszcze trudniejsza.

Na szczęście, o ile robienie w konia facetów wiąże się z przelicznymi trudnościami, kobiecie zarazem łatwiej dokonać pewnych rzeczy, choć nieco w innym sensie, niż się powszechnie sądzi. Na przykład na widok kobiety facet na ogół nie czuje się zagrożony. Gdyby do Liama dosiadł się mężczyzna, reakcja byłaby zupełnie inna. A tak, choć wyraźnie nie życzył sobie towarzystwa Charlie, to przynajmniej nie budziła w nim obaw.

– Proszę – odpowiedział machinalnie i zaraz się poprawił: – Nie, dziękuję bardzo. Naprawdę chciałbym zjeść w spoko...

Wyciągnęła dłoń i chwyciła go za rękę. Wyszarpnął ją. Nic dziwnego, kto by chciał mieć do czynienia z jakąś wariatką?

Charlie pozwoliła, by jej oczy się napełniły łzami. Przycisnęła dłoń do ust.

– Ale to prawda! – zawołała zawodzącym głosem, przynajmniej na tyle głośno, że słyhać ją było przy sąsiednich stolikach, a siedzieli tam przecież ludzie, którzy Liama znali, lekarze, pielęgniarki.

Próbował wstać. Najwyraźniej chciał od niej uciec i to jak najprędzej. Całkiem rozsądnie. Złą stroną rozsądnych reakcji jest jednak to, że bardzo łatwo je przewidzieć.

Chwyciła go za nadgarstek i tym razem odezwała się tak cicho, że tylko on mógł usłyszeć.

– Siadaj, kurwa. Ty jesteś Liam Clovin, a ja mogę zaraz narobić takiego wrzasku, że się nie ogarniesz. Chcesz, żeby wszyscy usłyszeli, jak wyczułam od ciebie alkohol, kiedy zajmowałeś się moim umierającym ojcem? Potrafię narobić sporego hałasu i gwarantuję, że dobrze to odegram. Więc masz do wyboru: albo mi powiesz, co chcę wiedzieć, a ja będę się zachowywać jak wdzięczna pacjentka, albo będzie dym.

To prawda, że kobiet nie traktuje się poważnie, jednak ma to też swoją dobrą stronę: kiedy osoby postronne widzą mężczyznę i kobietę, kobiecie bardzo łatwo jest wyrzucić wrażenie, że to ona jest osobą skrzywdzoną.

– Kim pani jest? – Widać było, że jest wściekły, ale jednak usiadł z powrotem na krześle. – Czego pani chce?

– Zajmę tylko chwilę – powiedziała. – Chcę zadać kilka pytań. Chodzi o Edmunda Carvera.

Spochmurniał jeszcze bardziej.

– A, to pani się do mnie dobijała.

Prawdopodobnie miała tylko kilka minut, zanim zdoła się jej pozbyć.

- Gdzie on jest?
- Nie żyje – odpowiedział.
- Bez żartów.

Znów zaczął wstawać.

- Nie muszę nic pani mówić.
- Nie jestem pewna, czy przypadkiem nie jestem w ciąży – rzuciła.
- To nie jest scena z tandetnego serialu! – syknął.
- Na razie jeszcze nie – odpowiedziała, unosząc brwi.

Sapnął gniewnie, ale usiadł. Oparł głowę na dłoni. Potem chwycił kanapkę i zaczął ją odzierać z plastiku.

- Dobrze, proszę posłuchać. Zapłacił mi za przechowanie swoich rzeczy u mnie w mieszkaniu i za to, że mógł wykorzystać mój adres, żeby w tajemnicy przed dziadkiem odbierać listy. To wszystko.

- A co u ciebie trzymał? – spytała Charlie, jednocześnie zastanawiając się, czy rozwiązanie mogłoby się okazać tak łatwe.

- To była szafka zamknięta na kłódkę. Nie moja sprawa, co tam trzymał.

- Przecież wiedziałeś – zaoponowała Charlie w nadziei, że jeśli wypowie to odpowiednio pewnym głosem, doktor uwierzy w jej pewność.

- No, coś tam widziałem. – Liam rozejrzał się po kafeterii, jak gdyby w nadziei, że wypatrzy kogoś, kto go wybawi z tej sytuacji. – Zapasowy telefon. Jakieś książki z kolekcji jego ojca. Ubrania. Prawo jazdy. Złotego krugerranda, kurwa. Tyle wiem, że już dawno zamierzał się urwać.

- No i co potem? Włamałeś się do tej szafki i sprzedałeś jego książki Paulowi Ecco.

- Remy sam mnie prosił, żebym je sprzedał! – obruszył się Liam, nieco zbyt głośno.

Uśmiechnęła się, żeby wiedział, że się wysypał, bo przecież sprzedał te książki już po rzekomej śmierci kolegi.

- A dokładnie kiedy to było?

Liam westchnął.

- No, dobrze. Widziałem go tamtej nocy. Przyszedł i był kompletnie roztrzęsiony. I do tego właściwie nagi, miał na sobie tylko damski szlafrok. Powiedział, że go ukradł w pralni samoobsługowej. Był bosy. Kompletnie roztrzęsiony. Powiedział, że muszę mu pomóc, no i żebym sprzedał te jego książki. Zrobiłem to. Wtedy nie wiedziałem jeszcze o dziewczynie. W ogóle o niczym nie wiedziałem.

- Taaak. A potem pomogłeś mu upozorować śmierć – stwierdziła Charlie. – Zorganizowałaś fajnego trupa ze szpitala, zgadza się?

- Nie! – Liam prawie wstał, nim zdał sobie sprawę, ilu ludzi się odwróciło, żeby na niego spojrzeć. Usiadł z powrotem, jeszcze bardziej rozżłoszczony. – Nie, oczywiście,

że nie. Z tym nie miałem nic wspólnego. Ani trochę.

– A co powiedział? Że co mu się przydarzyło?

Doktor wzruszył ramionami.

– Nic nie opowiadał. Teraz obawiam się, że faktycznie kogoś zabił i pozbył się ubrania, bo było zakrwawione. Jednak wtedy uznałem, że to dziadek go wywalił, bo się dowiedział, że Remy kupił sobie bilet lotniczy do Atlanty.

A więc stało się coś, co sprawiło, że Vince uciekł z tamtego domu, chociaż przez długie lata jakoś nie miał nic przeciwko upiornym przedsięwzięciom dziadunia. Zdany na siebie, został bez grosza i to po ponad dziesięciu latach życia w luksusach. A biedę dobrze pamiętał, więc nie mógł mieć żadnych złudzeń i wiedział, jak to będzie, jak szybko rozejdzie się skitrane gdzieś na boku parę tysięcy.

– Czego szukał w Georgii?

Liam potarł dłonią twarz.

– Tam mieszkała jego matka. To od niej przychodziły listy, z którymi krył się przed dziadkiem. Przedawkowała i zmarła dzień przed tym, jak się u mnie pojawił. Z pewnością od tego się zaczęło.

– Czy twoim zdaniem taki gość jak on mógł kogoś zabić?

Charlie wiedziała, że źle zadaje to pytanie, że zostawia mu miejsce na zaprzeczenie. Że chce, żeby zaprzeczył.

Liam zastanowił się chwilę.

– Remy miał dość makabryczne poczucie humoru, ale słyszałem gorsze rzeczy. W końcu jestem lekarzem. Wisielczy humor jest u nas na porządku dziennym.

Uśmiechnęła się zachęcająco.

– W sprzyjających okolicznościach każdy jest zdolny do wszystkiego – podjął Liam.
– A poza tym, proszę posłuchać. Jeden z pracujących tu lekarzy nie ma większych oporów, jeśli chodzi o wypisywanie recept. Sam widziałem, jak kuzynka Remy’ego, Adeline, bierze od niego receptę na ketaminę. Bogaci imprezowicze lubią dragi na receptę. Są o wiele droższe niż kupowane od dilerów, ale zarazem o wiele bezpieczniejsze, bo dokładnie wiadomo, co się zażywa. Krótko mówiąc, nie mam pojęcia, czym Remy się zajmował.

– Ketamina?

Znajomi Charlie raczyli się raczej zielskiem, ewentualnie z oksy.

– Ma działanie dysocjacyjne – wyjaśnił Liam. – W mniejszych dawkach powoduje odczucie euforii. W większych stan zbliżony do śpiączki, poza tym, że utrzymuje się częściową świadomość. U niektórych pojawia się paraliż mowy, czasem halucynacje, utrata pamięci.

Charlie chętnie by się dowiedziała, co wiele lat temu znalazło się w szklance wody, którą jej podano.

– I to tyle, jeśli o mnie chodzi – stwierdził Liam, znowu przymierzając się do wstania. – Nie wiem, gdzie on jest, i nie wiem też, gdzie jest księga. Zrozumiano?

– Księga? – powtórzyła Charlie.

Liam się zachnął.

– A co pani myślała? Nie jest pani pierwszą osobą, która go szuka. Czy tej książki. Dwa miesiące po tym, jak Remy wpadł do mnie prawie goły, przyszedł taki młody facet, ciągle mruczał coś do siebie pod nosem. Ręce cały czas trzymał w kieszeniach. Groził mi. Potem przychodzili też inni. Powiem tak: gdybym wiedział, gdzie jest Remy, zawiadomiłbym policję, nie żadne z was.

Charlie sięgnęła po telefon, przewinęła fotki do swojego zdjęcia z Vince'em. Poszli wtedy do kina na *Narzeczoną Frankensteina*. Zdjęcie nie było najlepsze, trochę nieostre, jednak widać było, że to on.

– Byliśmy przyjaciółmi. Widzisz?

Liam wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Ale ja dalej nic nie wiem. Remy odszedł.

– Przysłał mi coś. – Charlie sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła małego kluczyk. W rzeczywistości był to kluczyk od pozytywki, którą ich matka podarowała Posey, był jednak mały i się srebrzył, i mógł pasować do czegośkolwiek. – Przedtem mówił, że gdyby mu się cokolwiek stało, to będę wiedziała, gdzie szukać. Tylko że ja nie mam pojęcia. Zapewniał, że to coś ważnego, że tam jest coś ważnego. Miałam nadzieję, że chodzi o jakiś dowód na jego niewinność. Jeżeli nie możesz mi pomóc go znaleźć, może wiesz, gdzie szukać tego dowodu.

To nie była najgorsza ze zmyślonych przez Charlie historyjek.

Liam się zamyślił.

– Kiedy razem chodziliśmy do szkoły, dziadek Remy'ego zatrzymywał go w domu na całe tygodnie, kiedy tylko zechciał. A gdy Remy wracał, był w rozsypce.

– Co to znaczy „w rozsypce”?

– Gniew, wściekłość – wyjaśnił Liam. – Ale chodzi mi o to, że nigdy nie wiedział, kiedy coś się może zdarzyć, więc ukrywał różne rzeczy, już wtedy. Nieraz powtarzał, że są takie miejsca, których bogaci nigdy nie zauważą, choćby patrzyli prosto na nie. Więc jeżeli rzeczywiście coś ukrył, to w tego rodzaju skrytce.

Charlie przyszło na myśl, że kiedy Liam już zostanie pełnoprawnym chirurgiem, szybko się wzbogaci i też przestanie dostrzegać takie miejsca. Będzie mu się zdawało, że to był sen.

Wyciągnęła rękę, by położyć dłoń na jego ramieniu, starała się, żeby to zabrzmiało szczerze:

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną porozmawiać, chociaż trochę cię do tego zmusiłam. Remy zawsze powtarzał, że porządny z ciebie facet.

Liam odpowiedział smutnym uśmiechem.

– Też go za takiego uważałem.

Gdy znów się znalazła na parkingu, słońce zwisało nisko nad horyzontem, świeciło na czerwono między budynkami. Charlie sprawdziła czas na telefonie. Miała jeszcze jeden wolny wieczór, jutro trzeba będzie zgłosić się do Rapture.

Zostały jeszcze cztery dni do wyznaczonego przez Salta terminu.

Opis człowieka, który wypytywał o Vince'a pasował do hierofanta. Charlie wiedziała, że on także szuka księgi i to przypuszczalnie od dość dawna. Wciąż jednak nie była w stanie dociec, do czego – pomijając oczywiste kłamstwa – potrzebna jest im wszystkim ta rzecz.

Jej myśli zakłócił odgłos kroków. Za jej plecami skradał się jakiś mężczyzna, zbliżał się, szedł coraz szybciej.

CZARNY KOT. ROPUCHA. KRUK

Gdy ludzie nie zachowują się w sposób powszechnie przyjęty za normalny, pojawia się dysonans. To ta chwila, w której cywilizowany człowiek zastanawia się nad powodem, dla którego ktoś biegnie w jego stronę, wciąż jeszcze zakładając, że nie po to, by go skrzywdzić.

Na szczęście Charlie nie była szczególnie ucywilizowana. Ruszyła biegiem do samochodu.

Tamten za nią, słyszała łomot jego butów na asfalcie.

Przyspieszyła, na ile była w stanie. Co wieczór w pracy stała lub chodziła przez osiem godzin, to sprawiło, że mogła ufać mięśniom swoich nóg.

Jednak był już za blisko i nie zdążyła się rozpędzić. Chwycił ją za ramię, szarpnął w tył. Oparła się o swój wóz, spojrzała w jego twarz.

– Adam?

Oczy miał przekrwione, jego oddech cuchnął gorzelnią, ale to był on.

Chwycił za jej perukę i mocno pociągnął. Została w jego ręce, wyrwał wsuwki razem z włosami.

– Charlie Hall. Ty wstrętna, wredna kurwo. Myślałaś, że mnie wyruchasz i okradniesz?

– No, tak jakby – odpowiedziała spokojnie Charlie, patrząc mu w oczy. Nie było sensu się wypierać.

Uderzył ją pięścią w policzek. Walnęła tyłem głowy o samochód. Upadłaby, gdyby nie to, że zdołała pochwycić palcami klamkę samochodu; tylko dzięki temu utrzymała się na nogach i w mniej więcej pionowej pozycji.

Następny cios trafił w żołądek.

Zaparło jej dech w piersiach. Od bólu zgięła się wpół.

Charlie była mocna w gębie, ale nigdy nie umiała się bić. Nawet z siostrą najwyżej ciągnęły się za kudły, czasami tylko drapały pazurami.

Myśleć, myśleć – nakazała sobie, ale szok i ból stępiły jej zdolność kojarzenia.

– Gdzie ten notes?! – wrzasnął. – Oddawaj go!

– Nie mam – wykrztusiła.

– Skasuję ci ten ryj. Ten jebany wstrętny ryj. Już tym normalnie rzygam, ciągle tylko o tobie słyszę. Wszyscy pieją z zachwyty, jaka to niby byłaś świetna. Ale ja jestem lepszy. Słyszysz, kurwa? Zawsze byłem najlepszy.

Splunęła mu w twarz. Ślina obryzgała jego policzek. Wzdrygnął się, zaskoczony, i zamknął oczy, dając jej ułamek sekundy, by się wyrwać.

Przebiegła na drugą stronę samochodu, szarpnięciem otworzyła drzwi. Chwyił ją za gardło.

A potem już była w dwóch miejscach jednocześnie, tak jakby świat miał więcej niż trzy wymiary. Jej świadomość się rozdwoiła. Była jednocześnie osobą, która się darła i usiłowała oderwać jego dłoń, i była jeszcze czymś innym. Czymś, co runęło na niego z boku.

Swoim cieniem. Czuła, jak coś ciągnie ją w samym środku. I widziała tę postać całą z mroku, jakby ktoś we wszechświecie wyciął dziurę. To była ona i nie ona. Lustro, które nie odbijało światła.

Zachwiał się, wtedy opadła na fotel, zanim Adam znów się na nią rzucił.

Wreszcie odezwał się zwierzęcy instynkt. Jej ciało ogarnął szal, kopała i krzyczała, jednym kopniakiem trafiła go w ramię, drugim w palec. Zawył z bólu, cofnął się. Charlie zatrasnęła drzwi. Walnęła z całej siły w przycisk blokady. Kliknięcie wszystkich drzwi zabrzmiało wprost ogłuszająco.

Adam szarpnął za klamkę i Charlie przez moment dopadła przerażająca pewność, że drzwi się zaraz otworzą.

Tłukł pięściami w szybę okna.

Siedziała z rękami na kierownicy. On coś wrzeszczał, ale słowa do niej nie docierały, czuła się ogłupiała od wstrząsu.

Przecież wiedziała, jakim człowiekiem jest Adam i że go okradła, i że on o tym wie. A jednak zlekceważyła niebezpieczeństwo. Wystarczył rok poza branżą, żeby kompletnie straciła instynkt samozachowawczy. Do czego się zabrała, to spierdoliła.

To coś było znów uspione, jednak między Charlie a jej cieniem pojawiło się wibrujące współodczuwanie, więź przywodząca na myśl pępowinę. Jakby jej wyrosła fantomowa kończyna. Jakby hodowała homunculusa.

Drżącymi dłońmi Charlie wygrzebała z torby kluczyki. Samochód na szczęście i tym razem odpalił. Adam tłukł w dach, Charlie ostrzegła go, na moment przyspieszając obroty, a potem ruszyła z piskiem opon. Odkoczył w samą porę, by uniknąć potrącenia. Z sercem w gardle Charlie pojechała parkingiem aż do bramy i wyjazdu na ulicę.

Na pierwszych światłach zdała sobie sprawę, że widzi wszystko jak przez mgłę, tak jakby przez szkło posmarowane wazeliną. Poczwała, że wokół jej oka zaczyna rosnać

opuchlizna.

Zatrzymała się na stacji benzynowej, obejrzała swoją twarz w lustrze. Owszem, miała podbite lewe oko i rozcięte usta, górną wargę spuchniętą, jakby obłąkany chirurg plastyczny wstrzyknął w nią o wiele za dużo silikonu.

Charlie pomyślała, że jeśli tak dalej pójdzie, zaczną się ustawiać kolejki chętnych, żeby jej przywalić. Trzeba będzie wydawać numerki, jak w poczekalni.

A potem pomyślała o swoim cieniu. Gdzieś słyszała, że po przebudzeniu cień dopiero zaczyna się rozwijać, że nie ma jeszcze zasobów energii.

Teraz trzeba dać mu jeść.

Charlie nie pamiętała już, gdzie pierwszy raz widziała obrazek przedstawiający wiedźmę karmiącą swojego chowańca trzecim sutkiem. To był chyba drzeworyt albo rysunek stylizowany na drzeworyt. I chyba wtedy, gdy szukała wiadomości o inkwizycji, kiedy jeszcze była Alonsem.

Jako dziecko Charlie nie wierzyła, że można mieć trzeci sutek, ale kiedy zaczęła sprawdzać, okazało się, że to całkiem realne. Że można go mieć właściwie wszędzie, na dowolnej części ciała. Teoretycznie może się zdarzyć, że wyrośnie komuś na łydce. Albo na palcu.

To z kolei przypomniało jej barowe mądrości, wypowiedane z wielką powagą: „Drinki są jak cycki. Jeden to za mało, trzy to za dużo”.

Oczywiście gówno prawda. Wystarczyłoby spytać kogoś, kto lubi sobie popić.

Trzeba by spytać jej cienia, który owinął się wokół, tuląc się do niej jak zwierzątko. Chowaniec. Czarny kot. Ropucha. Kruk. Duchy przysłane przez szatana, by psocić na tym świecie. Takiemu stworzeniu wystarczy jedna ranka, choć trudno wycisnąć choćby kilka kropel, gdy rany są płytkie i już się goją.

– Wszystko będzie dobrze – odezwała się łagodnym głosem, jakby do dziecka, które się przewróciło. – Już dobrze, prawda?

Tak trudno nie myśleć o czymś takim jak o osobnej istocie. Tak trudno nie traktować go w ten sposób.

Tak trudno go nie pokochać. Albo przynajmniej nie czuć się za niego odpowiedzialną.

Cień powrócił na swoje miejsce jako płaszcz na jej plecach, dywan u jej stóp, welon. Prawdziwa magia. Jej magia.

Dostać pięścią w twarz to nic fajnego, a jednak Charlie się uśmiechnęła. Uśmiechnęła się, choć zabolą ją rozcięta warga i przestała się uśmiechać dopiero, kiedy sobie uświadomiła, że skoro Adam pojechał za nią do szpitala, to musi wiedzieć, gdzie Charlie mieszka. I biorąc pod uwagę, w jakim jest stanie, prawdopodobnie już tam jedzie.

Chwyciła za telefon i przyciskając go mimo bólu do policzka, czekała, aż Posey się odezwie.

Sygnał za sygnałem. I jeszcze jeden, i następny, i następny...

– Wiem, że nie śpisz – mruknęła.

Odezwała się poczta głosowa. Posey musiała siedzieć na zoomie z klientem. Charlie nie dawała za wygraną. Dzwoniła, rozłączała się, znów dzwoniła.

Wreszcie Posey się odezwiała.

– Słuchaj, Charlie, jestem teraz...

– Musisz wiać z domu. Natychmiast.

– Dlaczego masz taki dziwny głos?

Charlie nie miała czasu tłumaczyć, że ma spuchniętą wargę.

– Mówię poważnie. Natychmiast. Idź do jakiejś knajpy. Kawiarni. Wszystko jedno. Weź komputer i portfel, wyjdź tylnymi drzwiami. Przejdź przez płot do ogrodu sąsiada. Do tego, który ma trampolinę.

– Ale co...

– Nie będę się rozłączać, zrób to. Teraz.

– Ale jestem w środku wróżby – zaprotestowała Posey.

– Nie ma czasu. Zrób to teraz – ponagliła ją Charlie.

– Daj mi sekundę.

Charlie usłyszała, że jej siostra z kimś rozmawia, jakby pojednawczym tonem, chociaż słów nie była w stanie rozróżnić. Miała nadzieję, że tłumaczy klientowi, że musi przerwać sesję.

Odezwała się po krótkiej chwili.

– Ale co potem?

– Będę z tobą przez cały czas – odpowiedziała Charlie, starając się, żeby jej głos emanował spokojem, żeby go nie podnosić. Żeby był głosem radiowym. Głosem negocjatora.

– Obiecuję. Zaraz po ciebie przyjadę.

Cisza po drugiej stronie.

– Proszę cię, Posey. – To by było na tyle, jeśli chodzi o spokój. – Prędko.

– Dobra, dobra. Już. Tylnym wyjściem?

– Tak żeby cię nie było widać z ulicy.

Charlie chciała już pędzić autostradą w stronę domu, byle zdążyć przed Adamem, ale wiedziała, że teraz najważniejsze jest, żeby jej siostra opuściła dom.

– No już. Prędko. Prędko. Prędko.

Słyszała, jak Posey krząta się po domu, zgarnia jakieś rzeczy, które podobno były jej potrzebne, potem wsadza Lucipurr do transportera. Charlie wbiła paznokcie w dłoń

pod kciukiem. Chciało jej się wrzeszczeć na Posey, żeby się pospieszyła. Chciała robić cokolwiek, byle nie siedzieć na parkingu z podbitym okiem i poczuciem bezsilności.

Potem słyszała trzaski i szelesty, przyspieszony oddech i wreszcie słowa wypowiedziane przez Posey:

- No dobrze, już jestem na zewnątrz, wzięłam kota. Idę do sąsiadów.
- Przejdź przez płot – przypomniała jej Charlie. – Zaraz będzie po wszystkim.
- Ale musisz mi wytłumaczyć...
- Wszystko wyjaśnię. Obiecuję. I bardzo cię przepraszam.
- A co, jeśli sąsiedzi...
- Na razie idź, nie zatrzymuj się. Nie odwracaj się. Po prostu idź przed siebie.
- Dobra – odpowiedziała całkiem pokornym tonem Posey. – Przelazłam przez płot.

Wiesz, że nienawidzę naruszać czyjegoś prywatnego terytorium. A co będzie, jak Elias wyjdzie i nawrzeszczy na mnie, że idę przez jego podwórko?

– Doskonale sobie radzisz, musisz tylko iść, nie zatrzymuj się. Unikaj głównych ulic, kieruj się prosto... – Charlie starała się skupić. W okolicy było sporo skrzyżowań. Łatwo byłoby wybrać nieodpowiednie. Nie sądziła, by Adam kojarzył Posey, ale trudno nie zwrócić uwagi na dziewczynę niosącą transporter z kotem.

Gdyby iść w jedną stronę, była tam biblioteka Villiston należąca do prywatnej szkoły średniej dla bogatych dzieciaków, z luksusami takimi jak nauka jazdy konnej. Posey może dałaby radę tam się wkręcić, musiałyby jednak sprzedać jakąś przekonującą gadkę. W drugą stronę był Dunkin, ale to już będzie zamknięte; studio tatuażu noszące nazwę Needle Inc., sklep alkoholowy Union Package, potem Glory of India, gdzie sprzedają głównie na wynos...

– Powinnaś wyjść na Clark, więc idź potem przez parking do School Street. Potem wejdź do Union Package. Udawaj, że wybierasz wino, czekaj na mnie.

- A co, jeśli mnie nie wpuszczą z kotem?
- Wtedy wymyślimy coś innego. Całkiem blisko jest Walgreens.

Charlie czekała, nasłuchiwała oddechu Posey, potem odetchnęła, słysząc dzwonek towarzyszący otwieraniu drzwi sklepu monopolowego.

- Ale zaraz będziesz? – spytała Posey przyciszonym głosem.
- Już jadę – potwierdziła Charlie i rozłączyła się.

Właśnie dlatego zawsze starała się trzymać z daleka od umbromantów. Nie zawsze się dało, ale zdecydowanie wolała zwykłe przekręty i włamy, kiedy nikogo nie było w domu. Czegoś się przecież nauczyła, ćwicząc żonglowanie nożami. Choćby człowiek nie wiadomo jak się starał, zawsze w końcu się skaleczy.

Raz jeszcze rzuciła okiem na swój cień, próbując przenieść na niego świadomość. Cień w odpowiedzi drgnął.

– No, dobrze – powiedziała i wyjechała z parkingu stacji benzynowej.

Pędziła autostradą, do jej świadomości ledwo docierało terkotanie silnika. Nie wiedziała, jakiego cudu dokonał Vince w bebechach wozu, ale jak dotąd toyotka funkcjonowała całkiem sprawnie, nawet kiedy Charlie porządnie dodała gazu i zaczęła lawirować między osobówkami i dostawczakami. Przez spuchnięte oko trudniej było zjeżdżać na lewy pas, uporczywy ból głowy mącił myśli, które stanowiły głównie litanię domysłów dotyczących tego, co jeszcze może pójść źle.

A co, jeśli Adam postanowi sobie strzelić łyka na odwagę, zanim wparuje do mojego domu? I pójdzie po gorzałę akurat do najbliższego sklepu? A jeżeli teraz za mną jedzie? A może ma współników? A co, jak Lucipurr zsika się w swojej klatce, wtedy wyrzucą Posey ze sklepu i to akurat w chwili, kiedy...

Charlie zajechała pod sklep i zwalczyła chęć wyskoczenia z samochodu. Nie wyłączając silnika, zadzwoniła do Posey.

Siostra odebrała już po drugim sygnale.

– Czekam przed sklepem – powiedziała Charlie, z trudem łapała oddech, chociaż przecież tylko prowadziła samochód. Może skurwysyn złamał jej żebro.

Po kilku chwilach Posey pojawiła się z butelką w papierowej torbie, wypchanym plecakiem na ramieniu, kocią klatką w dłoni. Wsiadła z tyłu. Lucipurr miauknęła rozdzierająco, gdy jej transporter twardo wylądował na podłodze.

– Wzięłam oba laptopy, twój i mój. Kupiłam wino dla mamy.

– Dla mamy? – powtórzyła Charlie.

Posey jednak nie zamierzała podejmować tego tematu. Gapiała się na odbicie Charlie w wstecznym lusterku.

– Co ci się stało, kto cię uderzył? I dlaczego boisz się wrócić do domu? Chodzi o Vince'a? Czy ci groził?

– Vince?

Charlie z niedowierzaniem spojrzała na siostrę.

Posey zrobiła bezradną minę.

– No, nie wiem! Czy to znowu ten magik z Rapture?

Charlie pokręciła głową, wjeżdżając na ulicę. Należało jak najszybciej oddalić się od domu.

– Tamten już nie żyje.

– Co? – Posey osłupiała. – Dlaczego nie żyje?

– Obejrzyj się. Sprawdź, czy nikt za nami nie jedzie.

Posey zsunęła plecak z ramienia i odwróciła się, klęcząc na tylnej kanapie.

– Jak mam sprawdzić? Widziałam coś takiego tylko na filmach.

Charlie wyjaśniła spokojnie:

– No, po prostu zwróć uwagę, czy nie jedzie za nami jakiś samochód, a zwłaszcza, czy potem nie skręci tam, gdzie my. Jeżeli przez dłuższy czas będziesz widzieć ten sam, to mamy problem.

– Rozumiem – odpowiedziała Posey, już skupiona na powierzonym zadaniu.

– Dobrze się czujesz? – spytała Charlie, patrząc na drogę przed sobą.

– Ja? No pewnie – odpowiedziała Posey. – To ty masz podbite oko. Wyjaśnisz mi wreszcie, co się stało?

– Kojarzysz Doreen? Ma takiego faceta, niejakiego Adama – zaczęła Charlie.

– To ten, do którego pisałaś esemesy?

Charlie przytaknęła. Pamiętała, że w środę siostra zgarnęła jej telefon. To było w czasach, kiedy jeszcze nie sądziła, że całe jej życie wywróci się do góry nogami.

– Czyli Doreen ci przyłożyła? Za to, że kręciłaś z jej chłopakiem?

– No nie! Czyś ty zwariowała? Adam się wkurzył, bo go przerobiłam i coś mu ukradłam. – W takim ujęciu naprawdę brzmiało to źle. – Zasługiwał na to. A ukradłam mu coś, co przedtem on ukradł komu innemu.

– Chyba nikt nas nie śledzi – odezwała się Posey, odwróciła się z powrotem, przybierając normalną, siedzącą pozycję. – Możemy już wrócić do domu?

– Nie. Dajmy czas Adamowi, niech przez noc wytrzeźwieje. Na razie lepiej, żeby nie wiedział, gdzie jestem. Potem pogadam z Doreen, ona go uspokoi.

Posey spoglądała przez okno z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

Charlie westchnęła.

– Przykro mi z powodu twojego klienta.

– Wiesz, że Vince wiedział o Adamie? – spytała Posey.

– Co, że go okantowałam? – Charlie pochwyciła spojrzenie siostry w lusterku. – Skąd mógłby...

– Nie, źle to sformułowałam. On myślał, że wie o Adamie.

– Wykrztuś to z siebie. O co chodzi?

– No, słyszał, jak czytałam wiadomość z twojego telefonu. Dowiedział się, że w tajemnicy przed nim spotykasz się z tym Adamem.

Charlie zrobiło się słabo.

– I mówił coś?

– Spytał mnie, czy widziałam, kiedy ma być to spotkanie. – Posey miała wyjątkowo głupią minę. – I że miałam co do niego rację. Od samego początku. Co do Vince'a, znaczy.

– A co mu wtedy powiedziałaś?

– Nic – odparła Posey. – Byłam zbyt zaskoczona. Naprawdę nie sądziłam, że to zauważył i że wie, co o nim myślę. Teraz mi się wydaje, że może byłam wobec niego

niesprawiedliwa.

– Aha, teraz ci się wydaje?

Charlie musiała się zmusić, żeby nie docisnąć gazu do dechy, tak bardzo ją kusiło, żeby chociaż w ten sposób uzewnętrznić swoje uczucia.

Posey wzruszyła ramionami.

– Był za spokojny. Zawsze czekałam, aż oliwa wypłynie na wierzch, aż ci coś zrobi. No bo wiesz, tacy przystojni, dobrze zbudowani faceci, zawsze w końcu się okazują skurwysynami. Podejrzewałam, że z niego też coś wylezie. No ale patrz, co prawda okazało się, że sporo zmyśla, ale chyba jednak był najfajniejszym z twoich dotychczasowych facetów.

Charlie przez chwilę rozważała możliwość zjechania z drogi w celu rozbicia samochodu o najbliższe drzewo.

„Nie tylko ja kłamałem”. Tak powiedział, kiedy się pokłócili.

Dopiero teraz, a więc o wiele za późno, zrozumiała, co miał na myśli. A mówił jeszcze, że nie może jej dać tego, czego Charlie potrzebuje. I że ukrywał przed nią różne rzeczy. I najlepsze: że nie wiedziała, co z nim jest nie tak, ale kojarzyła, że coś nie gra.

Czy w piątek nad ranem, kiedy pojechał po nią do Rapture, wiedział, że Charlie ma się spotkać z Adamem? Dotąd sądziła, że zjawił się z dobrego serca, bo po prostu podejrzewał, że jej samochód nie odpali, ale może spodziewał się ją zastać z innym facetem?

Chciałbym móc powiedzieć, że było mi przykro, że zamierzałem być wobec ciebie szczery, ale to nieprawda. Wcale nie chciałem być szczery. Chciałem tylko, żeby to, co ci mówiłem o sobie, było prawdą.

Charlie zawsze sądziła, że nic nie może Vince'a ruszyć, bo wszystko, na czym mu naprawdę zależało, pozostawił za sobą, w swoim dawnym życiu. W życiu, z którego został wygnany. I do którego tęsknił.

Tymczasem było całkiem możliwe, że tego starego życia nienawdził.

I że Charlie straciła znacznie więcej, niż jej się dotąd wydawało.

PRZESZŁOŚĆ

Szampan w trzymanym przez Remy'ego kieliszku rozgrzewał się za szybko. Zbyt wiele stłoczonych ciał. Wszędzie wokół perlisty śmiech sączący się przez gęste powietrze. Adeline rozmawiała z wicehrabią, baronetem czy jeszcze kimś innym z takimi tytułami, które nie łączą się z pieniędzmi, ale za to z zaproszeniami na rauty.

Remy'ego trochę niepokoiło, że potrafi ich bezbłędnie rozpoznać, że odruchowo dostrzega, kiedy ktoś nie ma na sobie garnituru skrojonego na miarę i zauważa znoszony pasek rolexa znajdującego się w posiadaniu rodziny od trzech pokoleń. Próbował sobie wmówić, że to tylko spostrzegawczość, nie żaden snobizm, ale jednocześnie wiedział, że trochę się okłamuje. Przywykł do pieniędzy, których nie zarobił, i był z tego dumny.

Przyjęcie dobroczynne odbywało się w domu jednego z żenująco majątnych szkolnych kumpli Remy'ego. Urządzono je rzekomo na rzecz jakichś tam dzieci. Może chorych, a może potrzebujących terapii sztuką. Albo chodziło o to, żeby mogły pojeździć na konikach. Albo te koniki zostaną poddane terapii. Nieważne. Bal był tematyczny – należało się przebrać w stylu starego Hollywood, co w zasadzie oznaczało, że wystarczyło włożyć cokolwiek dziwnego albo śmiesznego – albo jedno i drugie. To też nie miało żadnego znaczenia.

Liczyło się to, żeby młodzi uczestnicy imprezy naciągnęli swoich starych na pięćdziesiąt kawałków każdy. Dziesięć wędrowało do ich młodocianych kieszeni, reszta szła na cel dobroczynny. Później razem z kumplami zgarną nieuczciwie zarobioną kasę i pójdą do klubu, wezmą po flaszcze i naprują się tak, żeby zapomnieć całą tę noc.

Remy będzie tańczył i wył do księżycy, a potem, zataczając się, podąży do miejskiego mieszkanka swojego dziadka, obejmując ramieniem Adeline, jakby wszystkie kiedykolwiek dokonane przez niego wybory warte były tych upojnych godzin przed świtem.

Jego telefon brzęknął, sygnalizując wiadomość. Znowu babcia, chciała, żeby następnego dnia spotkali się na brunch. Fatalny pomysł. Nie tylko zamierzał mieć maksymalnego kaca, ale też nie miał ochoty rozmawiać na jedyny wspólny dla nich temat – czyli o jego matce, która nie najlepiej znosiła odwyk.

Spotkania z babcią przyprawiały go o napady tęsknoty pomieszanej z żalem i pretensją – to był jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał się z nią spotykać. Nie lubił takich uczuć.

Kiedy był mały, mieszkał u niej razem z mamą. Miał swoje własne łóżko i każdego dnia razem jedli kolację. Tylko że mama w końcu nie wytrzymała, uciekła stamtąd, zabierając go ze sobą.

Na samą myśl o tym spotkaniu Remy'ego ogarnęło znużenie. Miał jednak poczucie winy, gdy obmyślał wykręt, żeby do niej nie iść.

Może zresztą czuł coś innego niż to, ale nie chciał się nad tym zastanawiać.

Wstydzisz się – szepnął do niego Red, zawsze obecny z tyłu głowy, niczym ten pierdolony świerszczyk przebrany za sumienie. – Nie musisz się tak czuć. Przecież ja mogę się wstydzić za nas obu.

Remy zerknął na swój cień, który leżał na podłodze, większy niż w świetle dnia. Może Red mógłby pójść na ten brunch, a on zostałby sobie w łóżku. Red już potrafi utrzymać kształt Remy'ego wystarczająco długo. Przez te morderstwa i energię, którą Remy go karmił, jego cień niepokojąco urósł w siłę. Za każdym razem, gdy się stawał strupozsem, potrafił działać więcej niż przedtem.

– Co się dzieje? – spytała Adeline.

Miała na sobie sztywną vintage'ową sukienkę od McQueena, pokrytą lśniącymi paciorkami, które wyglądały jak kropelki. Przyniosła dwa koktajle, wyciągnęła rękę, wręczając mu jeden z nich.

– No właśnie nic się nie dzieje – odpowiedział, wetknął telefon z powrotem do kieszeni.

Zaśmiała się.

– Nudzisz się? – spytała. – Podobno w piwnicy mają basen. Chodź, wykąpiemy się na golasa.

Remy parsknął śmiechem. Wstawił kieliszek z szampanem za doniczkę i upił porządny łyk whiskey z pomarańczowym aromatem. Uwielbiał radosną socjopatię Adeline. Czasem przypominała pod tym względem swojego ojca, ale o ile on dążył do przejęcia władzy nad światem, to jej odchylenie skupiało się na zabawie.

Przyjęcie dobroczynne odbywało się w domu na Upper West Side, takie chałupy spokojnie chodziły po pięćdziesiąt milionów. Kuchnię udekorowano mosiądzami i marmurem, królował w niej dizajnerski włoski piec. Ściany w całym domu pokrywały nowoczesne tapety w jaskrawych kolorach, zawieszono fajnymi obrazami. Nawet dywany sprytnie dopasowali do całości; jeden miał wzór w labirynt, drugi był niby tradycyjny, ale w turkusowym odcieniu. Od rozglądania się po tym wnętrzu Remy'emu kręciło się w głowie. Wszystko tu wyglądało tak zupełnie inaczej niż w ponurym,

staroświeckim domostwie jego dziadka, pełnym boazerii z ciemnego drewna i ciężkich kotar.

Gdy dotarli do schodów, ujrzał w lustrze za barem swoje odbicie. Czarny garnitur, biały szalik na szyi. Chciwość czająca się w oczach.

– No, to jazda – rzucił, przywdziewając na twarz swój zwykły pogodny uśmiech. Nie miał powodu, żeby się czymkolwiek truć. Przecież świetnie się bawił.

Schody prowadziły spiralą do podziemia, gdzie znajdował się obszar wypoczynkowy pełen poduszek, szkarłatów i różów. Powietrze leciutko pachniało chlorem, a okna połyskiwały podwodnym błękitnym światłem. Żyrandol rzucał na sufit cienie o kształtach kozłów i wilków.

– Rozepnij mi zamek – zażądała Adeline, ze śmiechem odwracając się do niego plecami.

Remy wychylił drinka do dna. Zakręciło mu się przyjemnie w głowie, świat odrobinę się zamglił.

Po schodach zbiegła kobieta w czarnych spodniach i bluzce.

– Bardzo przepraszam, ale tu nie wolno – oświadczyła, sprawiała wrażenie zaniepokojonej.

– A kimże pani jest? – spytała Adeline imponująco wyniosłym tonem.

– Należę do personelu. Otrzymaliśmy polecenie, żeby nie wpuszczać gości do prywatnej części domu.

Przemawiała tonem uprzejmym, ale jednocześnie stanowczym.

– To jest dom Jeffersona – oznajmił Remy. – Mojego przyjaciela. On nie ma nic przeciwko temu, żebyśmy tu byli.

– Ale jego rodzice owszem. – Ruchem głowy wskazała szklaneczkę w jego dłoni. – Piliście państwo alkohol. Tu chodzi o ubezpieczenie.

– Red mógłby sprawić, żeby inaczej zaśpiewała – podsunęła Remy'emu Adeline.

Obruszył się.

– Chcesz strzelać z magnum do wróbla.

Kobieta zerknęła nerwowo w stronę schodów. Prawdopodobnie wzmianka o strzelaniu wprowadziła ją w jeszcze większe zaniepokojenie.

– Niech Red się zabawi. – Adeline nalegała z drapieżnym uśmiechem na ustach. Może dlatego, że tamta ją przyłapała w trochę krępującej sytuacji, bo miała już rozpiętą sukienkę. A może tak wyglądał inny aspekt jej radosnej socjopatii, jednak kiedy coś takiego ją nachodziło, nigdy się nie cofała. – No, weź. Będzie zabawnie.

– Swojego cienia użyj – powiedział Remy. – Albo najlepiej po prostu wróćmy na górę.

To był już drugi rozbudzony cień, który jej przyfastrygowali. Pierwszy uwiął, przeszczep się nie przyjął. Drugi zrósł się całkiem nieźle, ale rzadko z nim ćwiczyła. Remy uważał, że po prostu jej wystarczy samo posiadanie takiego cienia. Adeline jednak nigdy by się do tego nie przyznała.

Spiorunowała go wzrokiem.

– Ja się stąd nie ruszę. I ty tak samo.

To w końcu co mam robić? – Remy usłyszał w swoim umyśle pytanie, wyczuł irytację swojego cienia i nie był pewien, czy sam jej nie podziela.

Wstąpił w nią – odpowiedział także w myśli Remy. Niech wraca na górę albo powie coś głupiego. Przestrasz ją, ale nie rób jej nic złego.

A może bym tak zrobił, żeby się utopiła? Nie chcesz?

Remy był prawie pewien, że Red żartuje.

Były takie czasy, kiedy musiał utrzymywać rozwidloną świadomość, ale już minęły. Red po prostu robił różne rzeczy. Najlepiej, kiedy robił to, o co go proszono, ale czasami pozwalał sobie na coś zupełnie innego. Remy, gdyby się postarał, prawdopodobnie mógłby go przed tym powstrzymać. No właśnie: prawdopodobnie.

Kobieta wzdrygnęła się i cicho krzyknęła, kiedy cień Remy’ego przemieścił się, aby wejść na jej cień.

Adeline klasnęła z zachwytu.

Usta kobiety poruszyły się, wypowiadając słowa:

– Za mało mi płacą w tej gównianej robocie. Niech wam będzie. Kąpcie się, gnojki, ile wlezie.

Remy się roześmiał. Trochę nie dawało mu spokoju, jak wiele Red wie o ludziach, żeby wykombinować coś tak trafnego, ale tak czy inaczej, było to zabawne.

Adeline nie była zachwycona.

– Nie, niech powie coś naprawdę obciachowego.

Ciało kobiety szarpnęło się, w jej oczach widniało przerażenie.

– Przestań mi rozkazywać, Adeline – powiedziała. – Nie lubię, jak się rządysz.

Adeline popatrzyła na Remy’ego zdumiona i obrażona.

– Czy ty...

– Oj tam, daj spokój – przerwał jej Remy. – On się po prostu bawi.

Kobieta znów krzyknęła, zasłoniła dłonią usta, gdy Red ją wypuścił. Patrzyła na nich oboje, łzy spływały z jej oczu. Potem pobiegła na górę.

Adeline była wściekła. Remy przypuszczał, że nie złościłaby się aż tak, gdyby on to powiedział, natomiast Reda uważała za zabawkę, a zabawkom nie wolno pyskować. Zwłaszcza przy innych.

Nim jednak zdążyła wygłosić Remy'emu kazanie na temat panowania nad swoim cieniem, po schodach z łoskotem stóp zbiegli Madison, Topher i Brooks. Topher chodził do tej samej szkoły co Remy, wszyscy się znali, byli z tych samych sfer.

– No, stary – odezwał się Brooks, objął go po męsku, jednym ramieniem. – Dopiero się dowiedziałem, że mają tu basen. Mogłem się domyślić, że cię tu zastanę.

Maddy po drodze zgarnęła z lustrzanego barku butelkę Don Julio, rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi.

– O, cholera, nie mamy kieliszków – stwierdziła.

– Mogę wam odmierzać drinki prosto do paszczy – zaproponował Remy. Od razu wyluzował się w ich towarzystwie.

Wszyscy pięcioro kąpali się nago, pili tequilę i mieli świetny ubaw. Adeline jakby zapomniała, co się wydarzyło, i wszystko znowu wróciło do normy. Potem ubrali się, odnaleźli Jeffersona z jego dziewczyną i jeszcze czyjąś kuzynką, po czym wybrali się do The Box, gdzie odbywał się pokaz akrobatyczny w wykonaniu kilku osób i pojedynczego cienia. Za jego sprawą wykonawcy zawisali w powietrzu i wyglądało to, jakby nic ich nie podtrzymywało.

Topher miał ochotę na sesję blisu, więc Adeline miała okazję popisać się swoimi umbromanckimi umiejętnościami. Posłała go w kosmos, po chwili był w takim stanie, że mógł tylko siedzieć w kącie z wywieszonym językiem, mruzczał coś do siebie. Poruszał się nieznacznie, nieskładnie. Remy miał nadzieję, że Adeline załatwiła mu dobry trip. Zdarzało jej się bowiem wprawiać ludzi w trwający tydzień trans lękowy, a Remy wcale nie był pewien, czy jej zły humor minął.

W każdym razie Brooks i Jefferson byli pod wrażeniem, zadawali jej mnóstwo pytań. Najwyraźniej interesowało ich coś więcej niż tylko odpowiedzi.

Maddy i kuzynka zaczęły się obściskować, obie miały wysoko zadarte sukienki i widać było, że tylko jedna nosi bieliznę.

Remy unikał rozzłoszczonej Adeline, przyłączył się do dziewczyn w sąsiednim przedziale. Wciągnęły go do gry polegającej na tym, że trzeba było patrzeć na drugą osobę, a kiedy ktoś mrugnął, musiał krzyknąć „meduza!” jako pierwszy. Kto przegrywał, musiał wypić kielicha.

Wypił jeszcze co najmniej trzy szoty tequili, kiedy poczuł dłoń na swoim ramieniu.

Adeline. Kompletnie pijana.

– Powiedz Redowi, że ma mnie pocałować.

Remy sam daleki był od trzeźwości, ale nawet w tym stanie wiedział, że to kiepski pomysł.

– Daj sobie spokój, Adeline. Siądź, zagraj z nami.

Jej cień wystrzelił ku jednej z dziewczyn, uderzył ją w tył głowy na tyle mocno, że nadziała się ustami na kieliszek, z którego właśnie miała wypić.

Wstał, przyjaciółki dziewczyny obskoczyły ją, próbując serwetkami powstrzymać krwotok.

Remy wolał się nie przyglądać różowym od krwi zębom dziewczyny. I nie myśleć o tym, jak kawałek szkła spadł na stół i błyszczał od śliny.

– Doszyć tego. Chodź. Idziemy do domu. Już jest późno.

– Co, nie chcesz, żeby Red to zrobił?! – krzyczała, kiedy ciągnął ją za rękę do wyjścia z klubu.

Remy nie odpowiedział.

– Powiedz mu, że ma robić, co mu każe. – Byli już na ulicy. – Bo jak nie, to powiem ojcu, że jest struposzem na pół etatu.

Remy jęknął głucho.

– Przestań mi grozić. To nie do wytrzymania. W ogóle jesteś dzisiaj nie do wytrzymania.

– Masz mu powiedzieć! – upierała się.

– Dobrze – skłamał. – Właśnie mu powiedziałem.

Zresztą Red przecież i tak wszystko słyszał.

– Ja myślę, że to ty mu kazałeś, żeby taki dla mnie był – rzuciła oskarżycielskim tonem Adeline.

Remy nie zadał sobie trudu, żeby na to odpowiedzieć. Oboje byli nawaleni, po co się wdawać w głupie kłótnie? Przez ostatnie trzy miesiące zbyt dużo ze sobą przebywali. Stali się prawie nierozłączni, to nie było normalne. Mieli za dużo wspólnych, zbyt okropnych tajemnic. Przez to warczeli na siebie nieustannie.

Adeline wciąż jeszcze marudziła, kiedy się wtoczyli do mieszkania. Remy miał to gdzieś. Zamierzał iść do łóżka i przespać brunch. Szybko jednak wytrzeźwiał, bo ujrzał czekającego na nich dziadka. Siedział na kanapie przy zapalanej lampce, której blask nadawał niesamowity wygląd jego twarzy.

– Słyszałeś może kiedyś o Cleophesie z Yorku? – spytał, jakby podejmując wcześniej rozpoczętą rozmowę.

– Nie, a co? – odpowiedział niepewnym tonem Remy.

Taka była cena pieniędzy Salta, wszystko się działo na ustalonych przez niego warunkach i wtedy, kiedy on postanowił.

– To bardzo stary struposz – wyjaśnił Salt. – Uwięziony pięć lat temu. Chyba wymyśliłem sposób, żeby z nim porozmawiać. Tak, żeby osoba, do której jest przypisany, niczego się nie dowiedziała. Przeprowadzimy pewien eksperyment.

Adeline zamrugała powiekami.

– Ale jaki?

– Użyjemy do tego starej dobrej ketaminy. – Sięgnął po fiolkę leżącą na stoliku, potrząsnął nią. – Wstrzyknę to Edmundowi i zobaczymy, czy dzięki temu Red zdoła przejąć nad nim kontrolę.

– Ale ja sporo wypiłem – zaprotestował Remy. – Od mieszania alko i dragów umarła już niejedna gwiazda rocka.

– Nie schlebiaj sobie – obruszył się Salt. – jaka z ciebie gwiazda? Siadaj tu na kanapie i podwiń rękaw.

– Może naprawdę lepiej jutro – powiedział Remy. – Poważnie.

– Teraz – oznajmił Salt. – Zaraz się przekonasz, że jestem śmiertelnie poważny.

Remy rzucił Adeline spojrzenie, które było wołaniem o pomoc, ale ona tylko odwróciła wzrok. Wyrzała przez okno, jej twarz pozbawiona była wyrazu, jak gdyby wszystkie myśli odpłynęły. Przestała sprzeciwiać się ojcu już wiele lat temu. Cena nieposłuszeństwa była zbyt wysoka.

Mogę cię opętać bez żadnej igły – wyszeptał Red. – Jeżeli mi pozwolisz.

Jednak jego dziadek wcale nie chciał się dowiedzieć, do czego zdolny jest Red, zamierzał się przekonać, co może zdziałać ketamina.

To pozwól mi go zabić.

Dosyć zabijania – machinalnie odpowiedział mu w myślach Remy. Cóż, trzeba było jakoś to znieść, odcierpieć swoje i potem zapomnieć. Red po tym wszystkim dostanie od niego jeszcze więcej strachu i gniewu. I chociaż Remy odnosił czasem wrażenie, że oddał mu już z siebie zbyt wiele, nie zamierzał brać pod uwagę żadnej innej opcji.

Siadł ciężko na kanapie, zdjął marynarkę i rozpiął mankiet koszuli.

Dziadek Remy’ego wyjął z plastikowego opakowania jednorazową strzykawkę, zdjął osłonę z igły. Potem wbił ją w gumowy korek fiolki i wciągnął przejrzysty płyn. Remy’emu trudno było w tej chwili odróżnić myśli swoje i Reda. Obu ogarnęła panika.

Jeśli Remy przestanie oddychać, nikt nie uwierzy, że nie wziął ketaminy w klubie. Na tym polegał prawdziwy geniusz jego dziadka, zawsze potrafił wszystko urządzić w taki sposób, że cokolwiek by się stało, nikt nie przypisze mu za to winy.

Poczuł ukłucie igły wbijającej się w ramię. Znów spojrzał na Adeline. Teraz już na niego patrzyła, z dobrotliwym zainteresowaniem. A potem wydało mu się, że spada.

Poczuł smak krwi, jakby się ugryzł w język.

Potem jeszcze słyszał własny głos, który brzmiał zupełnie obco. „Nie ma Remy’ego. Tylko Red”.

TO OKROPNE COŚ, CO LUBIĘ

Kiedy Charlie wyprowadziła się od matki, oczekiwała, że tym samym uwolni się od lęku i poczucia winy, które towarzyszyło jej przez cały okres dojrzewania. Jednak za każdym spotkaniem to wszystko powracało, gotowe dławić ją tym, co nigdy nie zostało wypowiedziane.

Nie cierpiała tego uczucia. Nienawidziła tego motelu, w którym mieszkała jej matka. Mama nie mogła wynająć niczego normalnego, bo nie miała zdolności kredytowej ani ciągłości w zatrudnieniu. Charlie nienawidziła też całkiem prawdopodobnej wizji siebie samej zmuszonej pewnego dnia, by także zamieszkać w tego rodzaju miejscu.

Często się zdarza, że dzieci okłamują matki. To, że Charlie okłamywała swoją, nie było niczym wyjątkowym. Problem polegał na tym, że gdyby stara się o tym dowiedziała, nigdy by jej nie wybaczyła. Charlie wpoila jej przekonanie, że kosmiczne moce o nią dbają, że duchy zjawily się, aby ochronić ją w potrzebie. Matka znienawidziłaby każdego, kto by jej to odebrał. Zwłaszcza gdyby zrobił to ktoś, od kogo to dostała. Zwłaszcza że przez te kłamstwa stała się łatwiejszym łupem dla kolejnych oszustów.

Gdy Charlie zajechała corollą na parking Residence Suites i skręciła, żeby podjechać pod pokój matki, czuła ucisk w piersi. Był już listopad, więc miłośnicy złotej jesieni przestali przyjeżdżać do Doliny, nie przybywał też już nikt z Connecticut na jabłka, toteż hotele w większości straszyły pustkami. Było mnóstwo wolnych miejsc do parkowania i żadnego pretekstu, żeby opóźnić spotkanie.

Gdy wyciągnęła kluczyki ze stacyjki, zauważyła, że przylgnął do nich jakiś metaliczny przedmiot. Minęła chwila, nim sobie przypomniała, że ten krążek znalazła na dnie worka marynarskiego Vince'a. Wtedy przypuszczała, że to coś w rodzaju baterii do zegarka. Tymczasem był to po prostu magnes.

Wrzuciła kluczyki do torby, magnes wciąż ich się trzymał.

Posey zastukała do drzwi. Otworzył Bob, aktualny chłopak mamy. Zerknął tylko na opuchniętą twarz Charlie i zawołał:

– Jess!

Do drzwi podeszła ich matka. Chodziła do szkoły w latach osiemdziesiątych i wciąż używała karbownicy. Jej długie, suche włosy opadały na ramiona, pofalowane, kruczoczarne. Jej palce lśniły od srebrnych pierścieni, oczy podkreślała grubą kreską.

– Ojej, co się stało? I dlaczego jesteście z kotem?

Charlie przedstawiła skróconą wersję wydarzeń, z pominięciem kradzieży. Mama okazała współczucie, ale Charlie nie mogła się nie przyłapać na myśli, że i tym razem zyskała sympatię matki, posługując się kłamstwem.

– Powinnaś zadzwonić na policję – stwierdziła mama. – Niech cię odprowadzą do domu i aresztują Adama. Przecież on cię po prostu napadł!

Charlie nie zamierzała tego robić, ale planowała dać do zrozumienia Doreen, że istnieje taka możliwość. Biorąc pod uwagę, że większość przedsięwzięć Adama miała nielegalny charakter, należało się spodziewać, że nie będzie miał ochoty, żeby gliniarze zaczęli węszyć w jego okolicy. Może to sprawi, że ochłonie.

Charlie pozwoliła matce skierować się na wersalkę, Posey tymczasem znalazła sobie miejsce na stołku barowym przy kontuarze we wnęce kuchennej, gdzie mogła podłączyć telefon i laptopa. Apartament składał się w zasadzie z trzech pomieszczeń – sypialni z drzwiami, łazienki, do której wchodziło się przez sypialnię oraz właśnie kuchni, w której stał wysoki stół z dwoma krzesłami. Wersalka stała przed telewizorem, w cenę za tydzień wynajmu wliczona była kablówka.

Mama i Bob sprowadzili nieco mebli z poprzednich mieszkań. Dwie lampy, które Charlie pamiętała jeszcze z dzieciństwa. Nieznany jej chodnik, który jednak zdecydowanie nie miał hotelowego charakteru. Kilka półek z książkami oraz przede wszystkim piętrzące się stosy kartonów wypełnionych kartami do gry Magic: The Gathering. Każda z nich zapakowana była w osobny plastikowy futerałik, Bob je kolekcjonował i miał ich mnóstwo.

Twierdził, że są sporo warte, a kiedy będzie gotów, sprzeda cały zbiór i kupi dom, na razie jednak tego zrobić nie może, bo procesuje się ze swoim dawnym pracodawcą. Firma Mission Trucking była bez cienia wątpliwości odpowiedzialna za jego problemy z kręgosłupem i rzeczywiście, na mocy nakazu sądowego płaciła za jego ubezpieczenie. Chcieli iść na ugodę, żeby wykręcić się z tych zobowiązań, Bob jednak nie zamierzał się zgodzić na mniej niż milion.

Obiecywał mamie, że kiedy tylko go dostanie, rozpoczną życie na naprawdę wysokiej stopie.

Krótko mówiąc, taka była jego wersja szóstki na loterii. Z mniej więcej zbliżonym prawdopodobieństwem wygranej.

– Trzeba przyłożyć ci zimny kompres do oka – stwierdziła mama. – To naprawdę źle wygląda, a jutro będzie jeszcze gorzej.

– Przyniosę lód albo coś – zaoferował się Bob. – Chyba nieźle oberwałaś.

Charlie się zaśmiała.

– No, raczej.

– Mam nadzieję, że mu przykopałaś gdzie trzeba.

Przyniósł paczkę mrożonego groszku. Bob łysiał, jego brzuszek opinał T-shirt Ramonesów.

Podłączwszy swoją elektronikę, Posey zeskoczyła ze stołka, żeby nalać kotu wody do plastikowego pojemnika po zupie na wynos.

– W takim razie zostańcie obie na noc – powiedziała matka. – Koniecznie.

Od przyjęcia u Salta dzieliły Charlie zaledwie dni, nie miała więc czasu na podbite oko czy życie rodzinne. Jednak bolało ją wszystko, czuła się piekielnie zmęczona, poza tym właśnie w tym miejscu chciała coś znaleźć.

– Mam iść po dmuchany materac do twojego samochodu? – spytała Charlie.

Matka potrząsnęła głową.

– Nie, siedź i odpoczywaj. Twoja siostra może go przynieść. Albo Bob.

Charlie wstała, zadowolona z pretekstu, by się udać na poszukiwania.

– Nie, co ty. Przyniosę.

Lodówkę zdobiła konstelacja magnesów. Kilka z nich było reklamówkami lokalnych biznesów, inne zaś zdobiły hasła w rodzaju KAWY I WINA, NIC WIĘCEJ albo PUNK NOT DEAD, ALE SKOŃCZYŁY MI SIĘ AGRAFKI. Charlie zgarnęła z haczyka kluczyki od wozu i wyszła na dwór.

W wieku prawie sześćdziesięciu lat matka Charlie posiadała już tyle rzeczy, że trudno je było wszystkie upakować do skromnego hotelowego apartamentu, zwłaszcza że karty Boba wymagały spełnienia odpowiednich „warunków klimatycznych” i w ogóle były dla niego zbyt ważne, żeby nie mieć ich zawsze pod ręką. W związku z tym tylna część kombiaka mamy zawalona była – zależnie od pory roku – zimowymi lub letnimi ubraniami oraz pudłami pełnymi różnych gratów, no i znajdował się tam dmuchany materac na awaryjne okazje. Pudła były ciasno upchane, na jednym z nich widniał napis GWIAZDKA, na innym ZDJĘCIA RODZINNE. Charlie znalazła pachnący stęchlizną plastikowy materac pod kartonem opatrzonym napisem WAŻNE DOKUMENTY.

Tego właśnie szukała.

Facet, któremu padła u nóg po ucieczce z domu Salta, wezwał pogotowie. Niewiele z tego wszystkiego pamiętała, ale w szpitalu musieli przecież zrobić badania toksykologiczne.

Charlie zdjęła pokrywkę. Pod metrykami i dokumentacją rozwodu matki znalazła teczkę ze swoim imieniem, a w niej kopię raportu policyjnego, rachunek wysłany do

ubezpieczalni oraz wypis ze szpitala. Przeczytała szybko: zadrapania na ramionach i twarzy, prawdopodobnie od gałęzi. Lekkie odwodnienie. Oraz najważniejsze: ślady ketaminy w organizmie.

Zamknęła teczkę. Wszystko się zgadzało. Liam mówił o lekarzu, który dawał Adeline, kuzynce Remy'ego, recepty na ketaminę.

Jak widać, choć Salt sprawił sobie przebudzony cień, eksperymentował dalej, a nawet wciągnął do tego procederu resztę rodziny.

– Znalazłaś? – zawołała matka przez uchylone drzwi.

Charlie wetknęła teczkę za spodnie i zakryła ją bluzką.

– Tak, mam – odpowiedziała i wywlekła materac.

Matka zaparzyła tymczasem herbatkę ze złocienia, podobno o działaniu przeciwbólowym. Bob zaproponował Charlie ibuprofen, z pewnością skuteczniejszy.

Charlie wróciła do wersalki i mrozonki. Po chwili, kiedy upewniła się, że nikt nie patrzy, wysunęła teczkę spod bluzki i wetknęła ją w szparę z boku wersalki, a następnie zakryła poduszką.

Lucipurr zwiedzała nowe terytorium, ale przerwała tę czynność, kiedy mama wyciągnęła z lodówki mięso na kolację. Bob włączył w telewizorze program, który polegał na tym, że ludzie przynosili ekspertowi różne stare graty, a fachowiec zaś oceniał, czy są cokolwiek warte.

Jeżdżący na długich dystansach kierowca ciężarówki przytachał zegar z kukułką odziedziczony po dziadku. Przedmiot okazał się prawdziwym antykiem z epoki edwardiańskiej. Z wybiciem północy pojawiał się zamiast kukułki mężczyzna uciekający przed swoim cieniem. „Były to czasy wielkiego uduchowienia” – stwierdził niemłody już antykwariusz, w zamyśleniu gładząc się po brodzie. – „Umbromanci dokonywali niezwykle efektownych pokazów teatru cieni podczas spotkań towarzyskich. Widzowie mieli magię przed oczami, a jednak niewielu z nich przyglądało się na tyle z bliska, by ją naprawdę odkryć”.

– Nie mów na recepcji, że masz tu kota – pouczyła mama Posey. – Za zwierzę jest dodatkowa opłata, sto pięćdziesiąt pięć dolarów. Niby za sprzątanie, rozumiesz.

– Przecież nie zamierzałam nikomu opowiadać – odpowiedziała Posey głosem urażonej nastolatki. – Za to nie wiem, gdzie mam rozmawiać z klientami. Tutaj jest strasznie głośno.

– Może spróbuj w łazience? – podsunęła życzliwie mama.

Godzinę później usiedli na składanych krzesłach przy niskim stoliku, na którym nie mieściły się wszystkie talerze, i zjedli gulasz. Wypili wino kupione przez Posey. Zgodnie z tradycją rodziny Hall wszyscy udawali, że wszystko jej w najlepszym

porządku, co Charlie bardzo odpowiadało. Zwłaszcza że nic nie było w porządku i nie miała pojęcia, co z tym zrobić.

– Słyszałam od Posey, że Vincent się wyprowadził. Bardzo mi przykro – powiedziała mama.

Charlie skinęła głową. Im mniej się będzie o tym mówić, tym lepiej. Jeszcze jedna rzecz, która stanowczo nie była w porządku.

– No cóż. Wiesz, już takie mam szczęście.

Nie powiedziała „mamy” z powodu Boba. Rzecz jasna możliwe, że polubiłaby każdego, kto by jej zaproponował ibuprofen. Gdyby jeszcze podał kawę, może sama chciałaby za niego wyjść.

Matka spoglądała wyczekująco, jakby liczyła, że dowie się czegoś więcej. Że Charlie zechce się z nią podzielić swoimi zmartwieniami. Charlie jednak tego nie zrobiła, więc matce nieco zrzędała mina. Charlie znów poczuła się winna, choć w nowy sposób.

Po kolacji mama powiedziała do Boba:

– Chcę im pokazać, gdzie siadujemy na dworze.

– Na dworze? – zaniepokoiła się Charlie. – Przecież jest zimno.

– Pod gwiazdami. Weźmiecie koce, a ja zabiorę składane krzesła.

Po kilku minutach siedzieli wszyscy na parkingu, podziwiając odległe światła Springfield i gwiazdy nad swoimi głowami.

– Nieźle, prawda? – stwierdziła mama. – Jak na ganku.

Bob stał przy samochodzie, spoglądał w niebo.

– Chmury zmieniły się w deszcz i teraz niebo jest czyste.

– Nie będę tu marznąć – oświadczyła Posey. – Mam umówioną rozmowę z przyjaciółmi. Zmiana planów.

Należało mieć nadzieję, że oznacza to rezygnację z ayahuaski.

– Tylko ostrożnie – przypomniała jej Charlie.

Posey spiorunowała ją wzrokiem i wróciła do wewnątrz.

Po jakimś czasie zrezygnował też Bob, mruknął coś, że ma ochotę napić się herbaty. Charlie siedziała dalej, owinięta kocem. Nie miała ochoty wracać do tego klaustrofobicznego wnętrza, oddychać powietrzem gęstym od swoich własnych błędów. Martwiło ją też, że Posey tak zależy, żeby zostać umbromantką. Istniało ryzyko, że padnie ofiarą jakiegoś oszusta i wielkie nadzieje zmienią się w bolesne rozczarowanie.

– Cieszę się, że zdecydowałaś się do nas przyjechać – zaczęła mama.

– Ja tak samo – odpowiedziała machinalnie Charlie, już wiedząc, że ta rozmowa może pójść w niebezpiecznym kierunku.

– Żałuję wielu decyzji, które podjęłam jako twoja matka. Kiedy byłam młodsza, nie zawsze zwracałam uwagę na to co trzeba. Żałuję, że lata temu, kiedy miałaś kłopoty, nie czułaś, że możesz do mnie z nimi przyjść.

Charlie miała paskudne przeczucie, że chodzi o Randa, że Posey zdradziła się z czymś podczas ich pogawędek przy tarocie.

– Ja? Kiedy miałam kłopoty?

– Wiem, że nie lubisz o tym rozmawiać...

– Najwyraźniej chcesz mi coś powiedzieć, no to już powiedz.

Charlie przeklinała się za to, że dopuściła do tej rozmowy. Zamiast rozdzielać sobie język na dwoje, powinna go sobie odgryźć. Nie należało nic mówić, nie należało zostawać sam na sam z matką.

– Widziałam, jak bierzesz z samochodu swoje stare papiery ze szpitala. A ja nigdy nie zapomnę, co poczułam, kiedy zadzwonili z komisariatu. No i potem, kiedy znaleźli ciało Randa i martwą dziewczynę w jego bagażniku. To ty mogłaś być tą dziewczyną.

Matka miała rację, choć z innych powodów, niż sobie wyobrażała.

– Ale jednak to nie byłam ja. Nic mi nie jest.

– Na pewno? – spytała matka. – Wiem, że byłaś z nim tego wieczoru, kiedy wylądowałaś w szpitalu. Jeżeli nie zrobisz czegoś z tym, co się wtedy zdarzyło, nigdy się nie uwolnisz. Zostaniesz na zawsze z tym bólem i gniewem.

Charlie Hall, w której wnętrznościach zawsze płonął ogień.

Oczywiście, że pozostał w niej gniew.

Szkoda, że matka jej nie wierzyła, kiedy Travis się nad nimi pastwił, i że nie kochała jej bardziej niż Alonsa, który przecież nawet nie istniał.

Szkoda, że matka nie chroniła jej przed Randem, który był jednak dość złym człowiekiem, chociaż oczywiście dużo lepszym, niż mógłby być. Chciała, żeby matka jej uwierzyła teraz, chociaż Charlie okłamywała ją wcześniej.

– Daj spokój, nic się nie zdarzyło. Jestem zdrowa jak ryba – odpowiedziała Charlie.

– Naprawdę nic mi nie dolega.

– Chciałam, żebyście obie, ty i twoja siostra, miały swobodę wyrażania uczuć, popełniania błędów, odkrywania siebie samych. Nie chciałam was ograniczać. – Mama bawiła się jednym ze swoich srebrnych sygnetów, obracając go wokół palca wskazującego. – Ja jako dziecko tego nie miałam. Ty zaś miałaś szczególny dar. Liczyłam, że Rand cię nauczy, jak się nim posługiwać.

Charlie znów zalała falą poczucia winy. Musiała jakoś zmienić temat. Nie była już w stanie dłużej znosić tego uczucia. Tego rozdarcia, bo z jednej strony chciało jej się krzyżeć, z drugiej marzyła, żeby się komuś ze wszystkiego zwierzyć.

– No tak, ale w pewnym momencie w ogóle przestałam się nim posługiwać. Może ten dar przeszedł na Posey.

Po wyrazie twarzy matki zorientowała się, że nie o to chodziło.

Charlie westchnęła.

– Dobrze, chcesz porozmawiać? Jest coś, o co zamierzałam cię zapytać. Czy poznałaś kiedyś córkę Lionela Salta?

Były mniej więcej w tym samym wieku, a wtedy ta okolica była jeszcze gorszym grajdołem, w którym wszyscy się znali. Jeżeli matka знаła matkę Vince'a, może też wiedziała, co się z nią stało.

– Kiarę? – Zmarszczyła brwi, próbując skupić myśli. – Nie poruszałyśmy się w tych samych kręgach.

– Ale jej imię pamiętasz? – zauważyła Charlie. – Musisz więc coś o niej wiedzieć.

Mama wzruszyła ramionami.

– Kupowała grzybki od takiego jednego znajomego. Ostro imprezowała. Opowiadała jakieś straszne historie o swoim ojcu, ale ludzie chcą wierzyć, że bogaci są bez skazy, a ona sprawiała wrażenie osoby, która gotowa jest opowiedzieć cokolwiek, byle zwrócić na siebie uwagę otoczenia. Wpadła w Bostonie z jakimś wyrokowcem, stąd ten jej dzieciak. W końcu ojciec umieścił ją na odwyku i potem już o niej nie słyszałam. Zerwała wszystkie kontakty z dawnymi znajomymi. A co?

– Tylko słyszałam, że umarła, to wszystko – odpowiedziała Charlie.

– Smutne – stwierdziła matka.

Charlie przeciągnęła się, rozprostowała ramiona.

– Chyba wrócę i sprawdzę, jak się śpi na tym materacu.

– Przemysśl to, co ci powiedziałam.

Kiedy Charlie szła z powrotem do motelu, niespodziewanie powróciło wspomnienie z dawnych czasów, kiedy rodzice byli jeszcze razem. Była malutka i siedziała z tyłu w samochodzie, przy otwartym oknie. Wiatr rozwiewał jej włosy. Radio grało, nóżki małej Charlie machały w rytm muzyki, a mama i tata się śmiali. W złotych promieniach słońca świat był oślepiająco jasny i zdawało się, że nigdy nie nadejdzie noc.

Gdy na zmianę z Posey pompowały dla siebie łóżko, Bob i mama krzątali się swobodnie po pokoju. Sprawiali wrażenie zadowolonych z życia. To było dziwne, ale zarazem miłe. Tak jakby nie istniała klątwa, tylko zwykłe niefortunne zbiegi okoliczności, które przecież wcale nie muszą się powtarzać.

Charlie i Posey położyły się obok siebie, starając się nie kręcić, żeby nie wprawiać materaca w drgania. Charlie przez całe dzieciństwo spała w jednym łóżku z Posey, gadały ze sobą szeptem, dzieliły wtedy te same sekrety.

I posiadały te same dary.

Charlie przywołała w pamięci chwilę, kiedy rozwidliła się jej świadomość, kiedy zrozumiała, jak można znajdować się w dwóch miejscach jednocześnie. Nawet teraz, kiedy zamknęła oczy, czuła obecność swojego cienia. Gdyby odrobinę się skupiła, mogłaby zobaczyć siebie samą jego oczami.

Jednak kiedy to rzeczywiście zrobiła, ogarnęło ją przerażenie.

Charlie nigdy nie miała rybek w akwarium ani żółwia, bo obawiała się, że zapomni nakarmić stworzenie, które nie będzie się odpowiednio głośno domagać obiadu. Co najmniej dwa razy w miesiącu wylatywało jej z głowy, żeby zażyć pigułki antykoncepcyjne, czasami przez dwa dni z rzędu. Ściągnęła kiedyś apkę, która miała jej przypominać o regularnym picu wody. Wirtualna roślina, którą należało kliknąć z każdą wypitą szklanką, pokazywała stopień nawodnienia. Roślina w telefonie Charlie wędła raz po raz – czasami piła wodę, ale zapominała uruchomić apkę, czasami po prostu zapominała o wodzie. Jak ma teraz pamiętać, żeby codziennie dokarmiać krwią swój cień?

I jak zapobiec temu, żeby przypadkiem nie wyssał z niej całej energii, aż Charlie sama zwiędnie i wyschnie na wiór? Jak bronić się przed wyhodowaniem własnego prywatnego potwora?

Leżała na materacu, wokół siebie słyszała odgłos regularnych oddechów śpiącej rodziny. Jednak umysł Charlie nie zamierzał wyhamować, wciąż się zamartwiał, wciąż na nowo przetwarzał niedawno zdobyte informacje.

Kiedy Salt zdał sobie sprawę, że jego wnuk posiada magiczne zdolności, postanowił przejąć nad nim całkowitą kontrolę. Sytuacja życiowa Kiary doskonale temu sprzyjała. Salt bez trudu mógł uzyskać w sądzie prawo do opieki nad wnukiem. Miał pieniądze, by finansować nałóg Kiary, być może nawet nie miałyby nic przeciwko takiemu układowi.

Vince'owi obiecał, że pošle matkę na odwyk, że się nią odpowiednio zaopiekuje. Potem zaś ograniczył kontakty Vince'a z matką, stały się nagrodą za grzeczne zachowanie; perspektywa powrotu do mamy zawsze znajdowała się w bliskiej, lecz nieokreślonej przyszłości. Do tego dochodziła obawa, że to ona poniesie karę za jego nieposłuszeństwo. Marchewka i kij.

Skoro Charlie bez trudu zdołała obmyślić coś tak paskudnego, można było mieć pewność, że Salt wykombinował o wiele gorszy plan.

Tak więc Vince wykonuje polecenia Salta, tymczasem Red, czymkolwiek był przedtem, teraz się staje odzwierciedleniem tego, co robią razem. Jednak coraz trudniej jest sprawować kontrolę nad dorastającym chłopakiem, który przestaje już

być dzieckiem. Zwłaszcza nad chłopakiem tak długo wychowywanym w klimacie manipulacji i przemocy.

Tak więc Vince zamierza odejść, wrócić do matki, coś jednak musiało się nie powieść. Być może Salt zdał sobie sprawę, że skoro ma Reda, to Vince'a już nie potrzebuje, toteż pozbawił wnuka jego cienia.

Jednak jeśli zamierzał ów cień przejąć, z jakichś powodów do tego nie doszło. Red stał się strupozsem, obdarzonym zdolnością mówienia, a więc trzeba było zawrzeć z nim umowę. Być może to Salt mu zaoferował przeprowadzenie rytuału z *Liber Noctis*, a Vince ukradł księgę, aby powstrzymać Reda przed samodzielnym grasowaniem po świecie.

Salt z całą pewnością nie zawahałby się przed stworzeniem takiego monstrum, zwłaszcza że służyłoby jego interesom. A więc Red dalej dla niego zabija, wywiązuje się ze swojej części umowy. Razem doprowadzają do tego, że Salt zostaje przyjęty w poczet członków Kabały.

Jednak jeśli Red ma otrzymać obiecaną nagrodę w dniu ceremonii przyjęcia Salta do magicznej kliki, to po co mu była księga, dlaczego sam z nie skorzystał z jej rytuału? Podobno problem ze stworami mroku polega na tym, że trzeba je krótko trzymać, w przeciwnym razie zwrócą się przeciwko swojemu władcy, a więc może rytuał wymaga udziału ludzkiej istoty?

Hierofant pożądał tej księgi tak samo jak Salt. Czyżby doczepiony do niego struposz coś mu obiecał, na przykład wolność w zamian za przeprowadzenie tego samego obrzędu? A może tylko działał na zlecenie Kabały, próbując powstrzymać Reda przed stanieniem się jeszcze straszliwszym strupozsem nowego rodzaju?

No i przede wszystkim, co Charlie powinna zrobić w tej sytuacji? Salt zażądał, by mu dostarczyła *Liber Noctis* w sobotę, a dzień ten zbliżał się wielkimi krokami.

Charlie bolała głowa i oko, i zębra.

Jej spojrzenie powędrowało w stronę lodówki i umocowanych na niej magnesów. Gdy tak spoglądała, naszała ją pewna myśl. Przypomniała sobie o namagnesowanym krążku, który przywarł do jej kluczyków. Krążku znalezionym w rzeczach Vince'a.

Może to było rozwiązanie. Magnes. Magnes, żeby gdzieś umocować książkę oprawioną w metal.

Wstała najciszej, jak potrafiła, włożyła pożyczoną od Boba koszulę, wsunęła buty. Narzuciła jeden z płaszczy matki. Wymknęła się przez drzwi tak bezgłośnie, jak nieraz wchodziła do cudzych domów.

Wszystkie cienie na parkingu wydłużały się, bo światło latarni padało z daleka. Odległy był też szum autostrady, ledwo widoczne wyładowania nad farmą burzową.

Podniosła pokrywę silnika corolli, by ujrzeć przedziwną układankę metalowych kształtów i przewodów, świec zapłonowych i innych elementów, których nigdy tak naprawdę nie rozumiała. Bogaci ludzie nie grzebią w silniku swojego samochodu, nie odkurzają jego wnętrza, nie zmieniają opon na zimowe. A Vince spędził sporo czasu, naprawiając jej dogorywający pojazd.

Jednak *Liber Noctis* nie kryła się nigdzie w bebechach corolli. Charlie nawet wpełzła pod samochód, ale znalazła tylko wyciek oleju.

Następnego dnia rano Charlie poszła prosto do łazienki, żeby obmyć twarz zimną wodą. Odgarnęła włosy do tyłu. Złowrogie przewidywania matki nie całkiem się sprawdziły. Opuchlizna wokół oka zmaląła, natomiast siniak wokół niego rzeczywiście przybrał żywą fioletową barwę, z żółtym i zielonym obramieniem.

– Jadę do Rite Aid – oznajmiła przy śniadaniu, kiedy zjadła wszystkie płatki i wypila mleko.

– Nie możesz w takim stanie iść do pracy – stwierdziła mama.

– No właśnie – odpowiedziała Charlie. – I dlatego najpierw jadę na zakupy.

Posey bezczelnie parsknęła śmiechem.

Kilka minut później znajdowała się już za drzwiami.

Zgodnie z youtubowymi poradnikami, które oglądała, podczas gdy materac pod nią powoli wypuszczał powietrze, halloweenowy makijaż dawał jej największą szansę na zamaskowanie podbitego oka. Szczęśliwie na półce z wyprzedawanym towarem znalazło się jeszcze kilka zestawów. Wybrała tanią paletę złożoną z bieli, limonkowej zieleni, błękitu, jaskrawej żółci i wiśniowej zieleni. Obawiała się tylko, że będzie wyglądać jak klaun.

Zrobiła też normalne zakupy – zaopatrzyła się w kryjący korektor, eyeliner w płynie, agresywnie czerwoną szminkę, nowy dezodorant, trójpak majtek i jedyny czarny T-shirt, który na nią pasował. Niestety widniał na nim czerwono nosy renifer oraz napis OJ, CHYBA MAM TO W DUPIE wykonany puchatymi literami. Była to w każdym razie niezła okazja, żeby rozmienić studolarówkę od Salta.

Po powrocie do motelu Charlie wysypała zakupy na łóżko mamy i rozłożyła je na kołdrze.

Po długim googlowaniu dotyczącym zestawiania kolorów oraz kilkakrotnym jeszcze obejrzeniu filmiku stworzyła mieszankę żółtego koloru z odrobiną czerwieni, którą nałożyła na fioletową skórę.

Kiedy jej dzieło wyschło, okazało się, że po nałożeniu korektora jedynym śladem po ciosach Adama jest opuchlizna, ale i to mniej się rzucało w oczy w zestawieniu z czerwonymi wargami oraz odrobiną złotego brokatu na powiekach.

– Dobrze wyglądasz – pochwaliła ją matka. – Jednak nadal uważam, że powinnaś wziąć sobie wolne i iść na policję.

– Zastanowię się jeszcze – skłamała Charlie.

– Wychodzisz? – spytała Posey. – Mogę też się umalować?

Charlie włożyła wywróconą na lewą stronę koszulkę, po czym znów dała nura do łazienki, żeby zrobić porządek z włosami. Kiedy wróciła, Posey miała kreski na oczach i połyskliwe cienie na powiekach.

Charlie czuła się dziwnie, kiedy po tych kilku dniach znowu znalazła się w Rapture. Ślady zajścia zostały usunięte, na półkach stały już nowe butelki. Bar nie był co prawda jeszcze tak doskonale zaopatrzony jak przedtem – nie tak łatwo było zdobyć ulubione przez Odette nietypowe gatunki whiskey i ginu (o smaku różanym i rabarbarowym), ale niczego z klasyki nie brakowało.

W Rapture wieczorami dni powszednich nigdy nie było dużego ruchu, ale teraz, po tylu dniach bezczynności, artyści odrabiali kolejno swoje występy. Kiedy Charlie przyszała do roboty, na scenie produkował się specjalista od piercingu i rozdawiania języka, wykonywał zabiegi na oczach niezbyt licznej publiczności.

Kiedy nalewała pierwszego drinka, jego miejsce zajęła już akrobatka z ćwiekami w policzkach, wykonująca pokaz w połowie będący popisem żonglerki, w połowie burleską.

Po godzinie Charlie była spocona i bolały ją stopy. Musiała siłą woli powstrzymać się przed ocieraniem twarzy dłonią, bo w ten sposób zrujnowałaby swoje kunsztowne dzieło. I tak z pewnością niektórzy klienci zauważyli opuchliznę.

Balthazar rzucił jej dziwnie spłoszone, ukradkowe spojrzenie, kiedy jedyny raz wyjrzał ze swojego salonu.

– Przyrządź mi to moje okropieństwo. Wiesz, tak jak lubię – poleciała Odette, sadowiąc się przy barze. Miała na sobie vintage'owy czerwony sweter od Vivienne Westwood z nadrukiem przedstawiającym czarny drut kolczasty.

Charlie odwróciła się, żeby sięgnąć po składniki.

– Jak się trzymasz? – spytała Odette.

– W porządku. – Charlie potrząsnęła szejkerem z burnt martini, nalała i przyozdobiła kieliszek plasterkiem cytryny. – Cieszę się, że wróciłam do pracy – dodała, przysuwając drinka szefowej.

– Kochana jesteś, że tak mówisz – powiedziała Odette.

– Poznałam twojego przyjaciela – powiadomiła ją Charlie, przyciszonym głosem. – Nie wiedziałam, że masz klienta, który jest prawdziwym miliarderem.

Odette upiła łyczek, skrzywiła się nieznacznie, bo alkohol piekł ją w usta.

– Lionel? Jaki tam klient. Rany boskie, skąd znowu. Raczej mogłabym go sobie wyobrazić z batem w ręce.

Charlie udała zdziwienie.

– Byłaś kiedyś u niego w domu?

– Pewnie. Ponure zamczysko, pluszowe dywany, zapach kadzidła i okropne obrazy na ścianach. Natomiast barek ma świetnie zaopatrzony, no i zna wielu interesujących ludzi. – Zamilkła na chwilę. – Zadzwoił do mnie rano po tej rozróbie. Wypytywał mnie o twojego Vincenta. Jak myślisz, czego może od niego chcieć?

Charlie starała się zachować jak najobojętniejszy wyraz twarzy.

– Nie mam pojęcia. Może ma dla niego jakąś robotę.

– Aha, no tak. Całkiem możliwe.

– Pamiętasz, co powiedziałaś, że liczy się tylko przeszłość? – spytała Charlie. – Co właściwie miałaś na myśli?

– Tak powiedziałam? – zdziwiła się Odette. – Cóż, w takim razie chyba właśnie to miałam na myśli.

– A nie jest tak, że najbardziej się liczy, kim jesteśmy dzisiaj?

Charlie nie bardzo wiedziała, dlaczego tak się uczepliła tego tematu, bo akurat nie była szczególnie zachwycona osobą, którą była tego dnia. A szefowa mówiła wtedy o Vincencie, nie o Charlie.

Odette się zaśmiała.

– Ależ oczywiście, kochanie.

– Czy nie o to chodzi, żeby wciąż na nowo wymyślać samych siebie? – dodała Charlie.

Odette upiła drugi łyk, tym razem zmrużyła powieki z rozkoszy.

– Ojej, jakie to dobre. – Potem zaś popatrzyła poważnie na Charlie, która w tej chwili uświadomiła sobie, że jej rozmówczyni żyje na tym świecie o wiele dłużej niż ona i z pewnością też dużo więcej przeszła. – To, kim byliśmy i co zrobiliśmy, i co nam zrobiono... Tego się nie da tak po prostu strząsnąć z siebie i zostać nową wspaniałą osobą.

Charlie uniosła brwi.

– Ale możemy przynajmniej próbować.

– Weźmy na przykład fetyszym. Nikt nie ssie cudzej stopy i nie wielbi butów albo nie ubiera się w gumę bez powodu. Znam chłopaka, który w dzieciństwie siadywał pod stołem w kuchni i rysował, podczas gdy matka rozmawiała z przyjaciółkami. Patrzył na ich buty i wiedział, że jeżeli któregoś dotknie, zostanie odkryty i będzie musiał stamtąd wyjść. Możesz się domyślić, co teraz lubi. Jednak gdyby nie przyznał się do tego przed samym sobą, to co by było? Trzeba trochę odwagi, żeby zostać

poszukiwaczem przygód – stwierdziła Odette, wzięła kieliszek, żeby odejść do stolika.
– A czy jest ciekawsza przygoda niż odkrywanie swojego prawdziwego ja?

Mijały godziny. Charlie poddała się rytmowi swojej pracy, jej fizyczności. Tu nalać, tam wstrząsnąć, przesunąć kartę, otworzyć rachunek, zgarnąć drobne do kieszeni. Trzymać pokal pod odpowiednim kątem, żeby piwo miało taką piankę jak trzeba. Zrobić bossa dla jakiegoś hipstera. Podać następne fireballe tamtym trojgu, którzy nazajutrz gorzko będą tego żałować.

Wycierając kontuar, wciąż rozmyślała o ostatnich dniach spędzonych z Vince'em. Zanim zniknął, wyszedł z domu pod pretekstem czyszczenia rynny. Musiał zdawać sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, nim Salt skojarzy fakty i go odnajdzie. Może przy tej okazji zaniósł *Liber Noctis* do swojego vana. Charlie przetrząsnęła pokój dopiero parę godzin później. Być może jeszcze w nocy książka leżała gdzieś na dnie szafy. Być może mało brakowało.

Jednak ukrycie jej w samochodzie to by było rozwiązanie krótkoterminowe. Vince nie miał ważnego dowodu tożsamości, więc wóz nie mógł być na niego zarejestrowany. Gdyby z jakiegokolwiek powodu zatrzymała go policja, van zostałby skonfiskowany.

A gdyby Lionel trafił na ślad swojego wnuka, to byłaby pierwsza potencjalna kryjówka, którą by sprawdził.

Nawiasem mówiąc, jej samochód też się do tego celu nie nadawał. Na przykład Hermes mógł go dokładnie przeszukać, zanim przyszedł do Rapture. Ktokolwiek inny mógł przetrzepać corollę właściwie w dowolnym momencie później.

Pozostawało jednak całe nieskończone mnóstwo miejsc, w których można było ukryć *Liber Noctis*.

Liam mówił, że kiedy Vince chciał coś schować, wybierał takie miejsca, których bogaci ludzie nie dostrzegają. Może księga dalej jest w domostwie Salta, tylko gdzieś, gdzie dziadyga nigdy nie zagląda. W spiżarni? W pralni? Za telewizorem? Niezły numer, bo Salt przez cały czas miałby ją pod nosem. Jednak taka kryjówka to także ryzyko. Trudno by było księgę stamtąd wydostać, nie miałyby się też gwarancji, że nie natknie się na nią ktoś inny. Nawet gdyby ją schował w kominie. Kominy też się przecież czyści. Nawet na dach...

Charlie zamarła, omal nie nalała za dużo wody sodowej do scotcha.

Kto czyści rynny dzień po zamordowaniu człowieka i zaraz potem rzuca swoją dziewczynę? Ktoś cechujący się ogromnym zamiłowaniem do porządku, zapewne. Ktoś, kto stwierdził, że jest robota do wykonania i należy się z nią uporać, zanim odejdzie.

Ale jednak raczej ktoś, kto chciał przenieść pewną rzecz do nowej kryjówki i to takiej, na którą nikt przypadkiem nie natrafi oraz do takiego miejsca, o którego istnieniu ktoś w typie Salta z pewnością nawet nie pamięta. Na dachu wynajmowanego przez nich domu stał komin, podłączony do pieca podgrzewającego wodę, kominka nie było.

Komin był przykryty metalowym kołpakiem. Takim, którego mógłby się trzymać magnes.

Rzecz jasna w domu było wiele innych metalowych powierzchni. Jednak jeśli chciał chronić ludzi znajdujących się wewnątrz, kryjówka na zewnątrz byłaby bezpieczniejsza. Poza tym Vince mógłby księgę zabrać w dowolnej chwili, nie narażając się na spotkanie z Charlie.

W każdym razie warto sprawdzić.

Przy okazji przekona się, czy Adam splądrował ich dom. Jeśli nie stwierdzi śladów jego pobytu, będzie można tam wrócić, na przykład następnego dnia rano. Pomyślała też, że powinna trzymać przy drzwiach kij bejsbolowy. Porozumieć się z właścicielem domu, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby Charlie zamontowała trochę lepsze zamki do drzwi.

Natomiast jeśli rzeczywiście znajdzie *Liber Noctis*, będzie miała jeszcze jeden problem. Nie może być tak, żeby ktoś ją zmuszał szantażem do pracy. Wykonasz robotę, zaraz się pojawi następna. Marchewka i kij, tam i z powrotem, aż w końcu zapomnisz, że w ogóle miałaś jakiś wybór. I co wtedy? Żadnej nagrody nie będzie, tylko nóż w plecy.

Charlie nie zgadzała się z Odette co do tego, że liczy się tylko przeszłość, jednak ta przeszłość sporo ją nauczyła.

A poza tym prędzej ją szlag trafi, niż się będzie wysługiwać Lionelowi Saltowi.

Trzeba go jakoś przerobić. Jeszcze nie bardzo wiedziała, w jaki sposób, ale zamierzała go pokonać w jego własnej manipulacyjnej grze. Kiedy uświadomiła sobie, że musi tak uczynić albo po prostu zginąć, ogarnął ją spokój, tak jakby pozwoliła się nieść odpływowi.

Kiedy pomachała Odette na pożegnanie i wsiadła do samochodu, miała niepozbowione goryczy poczucie, jakie się ma przed wyjazdem z miasta. Człowiek żegna się ze wszystkim, bo nie jest pewien, czy jeszcze kiedykolwiek te miejsca zobaczy.

Charlie zaparkowała wóz w pewnej odległości od domu, resztę drogi postanowiła przebyć pieszo. Gdy się zbliżyła, ujrzała w oknie migające światło. Włączony telewizor.

Zwolniła kroku. Czyżby Posey zapomniała go wyłączyć przed wyjściem? Czy Adam się włamał, a potem bezczelnie się nawalił przed ekranem?

Cichutko wzięła drabinę opartą o ścianę domu, przystawiła ją do rynny.

Wspinając się po niej, mogła lepiej zobaczyć, co się dzieje wewnątrz domu.

Ktoś tam był. W migającym blasku telewizora dostrzegła spoczywającą na wersalce postać, tak jakby ten ktoś usnął, czekając na jej powrót.

PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ

Charlie wlaźła na dach, czołgała się po asfaltowych dachówkach w stronę komina. Spadziźna nie była szczególnie stroma, do tego jasno świecił księżyc, więc wyraźnie widziała metalicznie połyskujący kołpak na niskim kominie. Uniosła się nieco, rozejrzała dookoła, żeby się upewnić, czy nikt jej nie widzi z ulicy, po czym sprawdziła pokrywę. Ze zdumieniem stwierdziła, że w ogóle nie została przykręcona i jest cienka, z cynkowej czy aluminiowej blachy. Kiedy zajrzała do komina, stwierdziła, że ujście wybite jest wewnątrz dużo solidniejszą blachą.

Oraz że z jednej strony do tej blachy przymocowana jest stalowa skrzynka zamknięta na kłódkę.

Kradzież często bywała dla Charlie rozgrywką, w której grała przeciw komuś, kto przedmiot ukrył. W takiej grze chodziło o rozwiązanie zagadki oraz dreszczyk emocji. Jednak gdy teraz sięgnęła po metalową skrzynkę, czuła się wyjątkowo nieswojo. Nie potrafiła się pozbyć uczucia, że sama ciemność ją obserwuje i tylko czeka, by uderzyć.

Szarpnęła trochę za mocno, dwa magnesy spadły do rury komina. Towarzyszył temu metaliczny odgłos. Miała nadzieję, że nie rozległ się głośniejsze we wnętrzu domu.

Przez chwilę nasłuchiwała w bezruchu.

Z mieszkania nie dochodził żaden dźwięk. Czy to Adam? Jasne, że był na tyle wściekły, żeby się włamać i zdemolować jej dom, szukając przy okazji notesu Knighta Singha. Nie sądziła jednak, by chciało mu się czekać na powrót Charlie z górą dwadzieścia cztery godziny.

Natomiast Vince nie raz i nie dwa zasypiał tak przed telewizorem.

Może gotów był powiedzieć jej prawdę. A może przybył ze świeżym bukietem kłamstw. Nie mógł wiedzieć, co powiedział jej Salt i co sama wywęszyła. No i na pewno nie zdawał sobie sprawy, że znalazła i skradła jego zdobycz. Musiała mu tylko wytłumaczyć, jak bardzo się mylił co do niej i Adama.

Poczuła lekki zawrót głowy na myśl o kolejnej kłótni. Przemknęło jej też przez głowę, że powinna poprawić makijaż.

Ostrożnie przeczołgała się z powrotem do drabiny, zeszła, przytrzymując się jedną ręką, a drugą przyciskając do siebie metalową skrzynkę. Krzywiła się na każde ledwo dosłyszalne skrzypnięcie drewnianych szczebli.

Bezgłośnie zeskoczyła na ziemię, po czym skradając się, przemierzyła podwórko sąsiada, skrętnie unikając oświetlonych połąci. Gdy się znalazła w samochodzie, wsunęła metalowe pudełko pod przednie siedzenie.

Teraz w zasadzie należałoby odjechać. Wrócić do motelu i rozpracować kłódkę. Jednak mieszanina uczuć, nadziei na Vince'a i nienawiści wobec Adama, tworzyła nieodpartą pokusę.

Przemknęła chyłkiem z powrotem. Dziwnie było obserwować własny dom z punktu widzenia włamywacza. W każdym razie zaczęła od tego, od czego zawsze zaczynała, czyli od drzwi frontowych. Przekręciła gałkę – nie były zamknięte na zamek.

Posey mogła je zostawić otwarte, kiedy uciekała w pośpiechu. Adam mógł się włamać jakoś inaczej, a potem wyszedł frontowymi drzwiami, a następnie wrócił. Jednak najprostsze wytłumaczenie było takie, że Vince otworzył drzwi swoim kluczem, wszedł i zostawił je otwarte, bo spodziewał się, że Charlie wróci do domu późną nocą, po pracy.

Sięgnęła dłonią, by przytrzymać dzwoneczek na siatkowych drzwiach, zanim je uchyliła. Wślizgnęła się do kuchni, żeby wziąć ciężką patelnię z przyklejonymi do niej resztkami spalonego makaronu. Na wszelki wypadek.

Jeszcze kilka kroków i stanęła w drzwiach dużego pokoju. Przede wszystkim w nozdrza uderzył ją smród, trzewny odór wnętrza, aż ją zemdliło. Kątem oka spostrzegła, że ściany są wymazane czymś ciemnym.

Ciało na wersalce leżało zbyt nieruchomo. Groza sprawiła, że kończyny Charlie stały się jak z ołowiu.

Vince.

Jej drżąca ręka sięgnęła do przełącznika i nagle wszystko stało się ohydnie jasne.

Ściany pokryte zostały napisami zrobionymi krwią, która zdążyła już zgęstnieć i zakrzepnąć. Miejscami widać było przyklejone włosy. Słowa widniały też wysoko pod sufitem, tam gdzie żadna ludzka istota nie sięgnęłaby ręką.

Na wersalce spoczywało zmasakrowane ciało Adama, rozprute, z żebrami na wierzchu. Charlie wpatrywała się w zapadniętą dziurę, gdzie była jego klatka piersiowa, i dziwnie suchą płataninę wnętrza. Gapiła się na poszarpany żagiel cienia trzepoczący się u jego stóp.

Spojrzenie Charlie znów powędrowało ku ścianom. Raz za razem, to samo słowo nabazgrane palcami: RED. RED. RED. RED.

Kiedy nadszedła policja, Charlie wciąż stała w tych drzwiach. Nie była pewna, czy pamięta, jak wezwwała gliny. I nie pamiętała, jak długo tak stała.

– Ty – rzucił jeden z nich, z dłonią na kolbie pistoletu. – Rzuć to, co trzymasz. Ręce do góry.

Dopiero wtedy się zorientowała, że ciągle ma w ręce patelnię. Wypuściła ją. Usłyszała, jak walnęła o podłogę, ale ten dźwięk doszedł jakby z bardzo daleka. Błyskające na zewnątrz czerwone i niebieskie światła dodawały jeszcze surreality tej chwili. Posłusznie podniosła rękę.

Charlie widywała już zwłoki. W tym tygodniu nawet dwa razy. Tylko że teraz to był ktoś, kogo znała. I kogo zamordowano w jej dużym pokoju. Krwią nasiąkła jej własna wersalka z second-handu, którą trzeba będzie wyrzucić. Dywan tak samo. Może najlepiej spalić całą chałupę, niech właściciel zgarnie pieniądze z ubezpieczenia.

Kobieta w mundurze policyjnym podeszła do Charlie, obszukała ją. Głosy zniekształcone przez radiotelefon i przytłumione rozmowy nie pozwalały się skupić.

– To pani dom? – spytał gliniarz, chyba nie pierwszy raz zadał jej to pytanie. – To pani nas wzywała?

– Chyba tak – odpowiedziała Charlie. – Tak.

– To pani go zabiła? – spytał inny głos.

Charlie się roześmiała, kiepsko to zabrzmiało.

– Myślicie, że dałabym radę zrobić coś takiego?

Spojrzeli na siebie.

– A zrobiła to pani? – spytała kobieta.

– Nie, właśnie wróciłam z pracy. Byłyśmy wczoraj z siostrą u mamy.

Nadal trzymała rękę w górze, otwarte dłonie.

Pojawił się fotograf z ekipy dochodzeniowej. Charlie przynajmniej przypuszczała, że to dochodzeniówka. Pomyślała, że ktoś będzie musiał wspiąć się po drabinie i zdjąć ze ściany te przyklejone włosy. Może policjanci polecą jej tę firmę, dla której pracował Vince, żeby posprzątał tutaj, kiedy zabiorą już ciało.

– Znała pani nieboszczyka?

– To Adam Lokken.

– Mieszkał tutaj? Sąsiad zeznał, że tutaj mieszka mężczyzna i dwie młode kobiety.

Charlie zastanowiła się, co może powiedzieć. Wszystko jedno, jakie poda nazwisko, przecież cały dom jest pełny jego odcisków palców. Kiedy tylko je zdejmą, zorientują się, że Edmund Carver nie umarł. I natychmiast uznają, że to on jest zabójcą.

– Mieszkał z nami mój chłopak, Vincent. Ale się wyprowadził.

– Nazwisko?

– Damiano – odpowiedziała. Nawet nie miała pojęcia, czy ktoś taki rzeczywiście istniał.

– Co to za napis? – spytał któryś z nich. – Wie pani, co to znaczy?

RED.

Red, czerwony. Kolor krwi. Imię, które pewien chłopak nadał swojemu cieniowi.

Raven wyraźnie mówiła, że nie wolno tego robić. Tak, tylko że dzieci wszystkiemu nadają imiona. Misiom, rybkom w stawie i kawałkom gumy do żucia na chodniku. Przecież to jasne, że Vince nadał imię swojemu cieniowi.

Może ten cień po niego przyszedł, tak jak ten z bajki. Może pomylił się, wziął Adama za Vince'a, a potem się wściekł, kiedy się zorientował, że to pomyłka. Albo może zabił Adama za Vince'a, bo chciał się na kimś wyżyć. A może przyszedł po Charlie, ale w sumie wszystko jedno mu było, czyjej krwi się napije.

A potem podpisał swoje dzieło.

– Nie, nie wiem – powiedziała Charlie.

Jeden z nich stanął za nią, wykręcił jej rękę. Poczuła chłodny metal kajdanek.

– Pojedzie pani z nami. Złoży pani zeznania na komendzie.

– Jestem aresztowana? – spytała beznamiętnym tonem Charlie.

– Powiedzmy, że panią podwieziemy.

Był niski, barczysty, miał ciemne, kręcone włosy. Jego odznaka lśniła. Powiedział, że nazywa się Lupo. Zaprowadził ją do samochodu i pchnął w dół jej głowę, kiedy wsiadała. Sąsiedzi wyszli ze swoich domów, odziani jedynie w szlafroki, chcieli zobaczyć, co tu się wyprawia. Charlie miała ochotę im pomachać, ale przecież była w kajdankach.

Wielki ceglany budynek, w którym mieściły się zarówno komisariat, jak i straż pożarna, znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej. Znaleźli się więc tam już po chwili. Została zaprowadzona do pokoju na tyłach, posadzona przy stole. Powiedzieli, że pobiorą jej odciski palców, podobno „w celu eliminacji”, ale nie wiedziała czego lub kogo. Pozwoliła im przycisnąć wszystkie swoje palce po kolei do poduszki z farbą i potem do papieru. Zażądali jej prawa jazdy, więc im je podała. Chcieli, żeby odblokowała telefon, więc i to zrobiła. Przez dłuższy czas siedziała sama, tylko raz i drugi ktoś zajrzał, żeby sprawdzić, czy Charlie jeszcze tam jest.

Po mniej więcej czterdziestu pięciu minutach wszedł detektyw Juarez. Sprawiał wrażenie, że go wyciągnięto z łóżka i nie był tym zachwycony.

– Znowu pani? – zdziwił się na jej widok.

Milczała. Co miała powiedzieć?

– Czy to ma coś wspólnego z awanturą w Rapture? – spytał.

Charlie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, może tylko mam takiego pecha.

– Co ten cały Adam robił w pani domu? – Zerknął do notatek. – Pani go znała, tak?

Kiedy chcesz składać fałszywe zeznania, najlepiej, żeby te zeznania były dla ciebie możliwie najbardziej niekorzystne. Wtedy może ci uwierzą.

– Zdradzał ze mną swoją dziewczynę. Kiedy ze mną zerwał, wszystko jej powiedziałam. Przedwczoraj śledził mnie, a potem pobił na parkingu szpitala.

– Zgłosiła to pani na policję? – spytał, przyglądając jej się uważnie.

– Nie, chyba źle zrobiłam.

Nie sądziła jednak, by wątpił w jej słowa o pobiciu. Staranny makijaż, który sobie zrobiła, miała na twarzy już od bardzo wielu godzin, z pewnością podbite oko znów było widoczne. A opuchlizny i tak niczym by się nie dało zamaskować.

Potem ktoś przyniósł kawę, ale innych względów jej nie okazano. Wciąż zadawali jej pytania, w kółko te same. Głównie o Vince'a, także o Doreen, godziny pracy Charlie, kiedy wróciła do domu, czego dotyczyła. Charlie kilka razy pytała, czy jest aresztowana.

W końcu powiedzieli, że może iść. Tylko żeby nie wracała do domu, bo to teraz miejsce zbrodni i pracuje tam ekipa dochodzeniowa. I żeby nie wyłączała telefonu, bo może będą chcieli znów się z nią skontaktować.

– Za dużo jest pojebanego gówna na tym świecie – stwierdził oficer Lupo, zwracając się ściszym głosem do innego gliniarza. – Nie wszystko musi być prane akurat tutaj, u nas.

Charlie wychodziła już, kiedy ujrzała Doreen. W piżamie, płaszczu i uggach. Na twarzy miała plamy, policzki mokre od łez. Kiedy zobaczyła Charlie, jakby diabeł w nią wstąpił.

– Ty! – zawołała głosem tak gardłowym, że zabrzmiało to jak złowrogi warkot, a nie konkretne słowa. – Ty to zrobiłaś!

Charlie miała ochotę jej coś odpyskować, ale to by było świństwo. Doreen kochała Adama, a chociaż był upiornym kolesiem, to już nie żył.

– Słuchaj, strasznie mi przykro, że...

Nim zdołała skończyć zdanie, Doreen rzuciła się na nią. Wbiła pazury w policzek Charlie.

Gliniarz złapał Doreen i odciągnął ją; wrywała się i kopała, jakby myślała, że zdoła się wyswobodzić.

– Spokojnie – powiedział. – Rany, co pani odbiło?

– Au – powiedziała Charlie, dotykając dłonią twarzy. – No kurwa.

– To wszystko przez ciebie – wrzeszczała Doreen. – Ty miałaś mu pomóc. Miałaś go sprowadzić do domu.

Trudno by było się zdobyć na współczucie wobec faceta, który naszedł ją we własnym mieszkaniu, aby ją skrzywdzić, jednak Doreen w pewnym sensie miała rację. Adam robił w konia Doreen i w poniekąd też Balthazara, natomiast koncertowo dał się wyruchać Charlie.

– Jesteś diabłem, psujesz wszystko, czego się tkniesz! – krzyczała dalej Doreen. – Pamiętasz tę przysługę, którą miał ci wyświadczyć mój brat? No to nic z tego. Masz zaległe płatności.

Charlie machnęła ręką.

– Nie strasz mnie czymś, co już się stało. Kazałaś mu to zrobić, kiedy ci oddałam twój pierścionek.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Trzymana przez dwóch policjantów Doreen zdołała jeszcze splunąć w jej stronę.

Wykończona Charlie wróciła na piechotę do samochodu, na horyzoncie już świtało. Corolla stała tam, gdzie ją zostawiła, metalowe pudełko nadal tkwiło pod fotelem. Wsiadła, przyjrzała się w lusterku swojej twarzy i zadrapaniom, które piekły jak jasna cholera.

Nagle poczuła w ustach słony smak, zapiekły ją oczy. Zamrugła, żeby powstrzymać łzy.

– Weźże się do kupy, Charlie Hall – powiedziała do swojego odbicia w lusterku.

Był czwartek rano, co oznaczało, że zostały jej jeszcze dwa dni do imprezy u Salta. Dwa dni, żeby zorientować się, czego chce cień Vince'a, gdzie jest Vince i kto kłamie. Jeszcze dwa dni, żeby się dowiedzieć, co zrobi z książką, którą ma w skrzynce.

Teraz jednak przede wszystkim potrzebowała snu. Do domu wrócić nie mogła, bo stał się miejscem zbrodni i dochodzenia, ogrodzonym policyjną taśmą. Nie była też pewna, czy zdoła znieść powrót do mamy. Sama myśl o tym, że miałyby spać na dmuchanym materacu, podczas gdy wszyscy będą się kręcić po pokoju, bo przecież już jest dzień... Że będą zadawać pytania, że znowu trzeba będzie kłamać – przyprowadzała ją o poczucie klaustrofobii.

Nie mówiąc o grasującym struposzu, który szuka książki, być może znajdującej się w jej posiadaniu. Może szuka także Charlie. Krótko mówiąc, nie mogła też udać się do Barb ani w ogóle nikogo z przyjaciół.

Jesteś diabłem, psujesz wszystko, czego się tkniesz.

To Suzie Lambton wpadła na to, że Charlie jest diabłem. Może to zadziało jak klątwa i stąd ten diabelny pech.

Ale chyba jednak szczęście się nieco odwróciło, bo Charlie o czymś sobie przypomniała. Otóż Suzie Lambton wyjechała na tygodniowe warsztaty jogi, zostawiając pusty apartament, do którego Charlie spokojnie mogła się włamać.

Suzie mieszkała w pobliżu centrum Northampton. Kiedy Charlie tam zajechała, od razu zdała sobie sprawę, że włam nie będzie taki łatwy. Budynki były zupełnie nowe, z wielkimi oknami, w pobliżu nie rosły żadne drzewa ani nawet większe krzaki, które mogłyby ją zakryć przed oczami sąsiadów podczas rozpracowywania drzwi.

Kiedy ostatnio była w tym miejscu, bardzo jej się podobało, jednak teraz jej punkt widzenia diametralnie się zmienił.

Zaparkowała kilka ulic dalej, skrzynkę z kłódką wsadziła do torby, wyjęła z bagażnika narzędzia i wybrała się na spacer. Właśnie minęła szósta rano, więc z pewnością mnóstwo ludzi właśnie wstało z łóżek. Przygotowywali się do pracy, wyprawiali dzieci do szkoły.

Przechadzając się pośród budynków, Charlie zwróciła uwagę, że wszystkie szeregowce mają z tyłu ogródek. To już było coś. Ludzie mniejszą uwagę zwracają na kogoś, kto coś majstruje w ogródku, zresztą przesuwane szklane drzwi bardzo łatwo otworzyć.

Ludzie często montują stalowe drzwi od frontu, zakładają wymyślne rygle i zamki, a zupełnie zapominają o tylnym wejściu. Charlie wsunęła śrubokręt pod wejście od ogródka, potem pchnęła mocno i jednocześnie nacisnęła klamkę. Po dziesięciu sekundach była już w środku, a drzwiom nic złego się nie stało.

Idąc przez nowoczesną białą kuchnię z grubym marmurowym blatem i nieskazitelnymi kafelkami, Charlie nasłuchiwała echa swoich kroków. Przez chwilę czuła się zupełnie nierealnie, tak jakby nie była zwykłym intruzem, tylko przybyszem z innego świata.

Wspięła się po schodach. Sypialnia Suzie wyłożona była tapetą w wesoły wzorek z tropikalnych liści. Drzwi garderoby stały otworem, ciuchy leżały rozrzucone na podłodze, najwyraźniej Suzie pakowała się w pośpiechu.

Charlie dowlekkła się do łóżka. Nawet się nie rozebrała, usnęła na kołdrze w blasku porannego słońca.

Kiedy się obudziła, niebo czerwieniło się i złociło na zachodzie. Charlie czuła wate w głowie i suchość w ustach. Przez krótką chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Potem wszystko wróciło i zaalała ją falą paniki.

To jest robota – napomniała samą siebie. Tak jest, robota, chociaż nie bardzo dało się określić, kto jest klientem. W każdym razie przy pracy nie można sobie pozwolić na mazgajenie.

Zmusiła się, żeby wstać, zająć się najpilniejszymi sprawami. Przede wszystkim podłączyła telefon i ładowarkę, wysłała do siostry i matki wiadomość z informacją, że miewa się dobrze oraz w skrócie o tym, co stało się z Adamem. Potem wzięła prysznic.

Jedną z rzeczy, którą Charlie uwielbiała podczas włamów, była zabawa w udawanie. No i proszę, właśnie kosztowała życia Suzie, ubrana w czysty T-shirt i bluzę z kapturem znalezioną w garderobie. Płyn do kąpieli w tym domu pachniał wetiwerem, a szampon konopiami. W apteczce powitał ją pełny zestaw środków

przeciwbólowych w napoczętych fiolkach. Książka na stoliku u wezglowia obiecywała poznanie ośmiu sekretów skutecznej komunikacji.

Wszystkie lampy świeciły tak mocno, że prawie nie było cieni.

Dzinsy powędrowały do pralki, a Charlie zrobiła sobie kawę. W lodówce Suzie znalazła puszkę dietetycznej coli i słoik masła orzechowego. Wbiła łyżeczkę w masło, zjadła go trochę, natomiast zawartość puszek wylała do zlewu. Potem zaopatrzyła się w kuchenne nożyce, wyjęła z torby metalową skrzynkę Vince'a i przyjrzała się kłódce.

Najpierw rozcięła puszkę, tworząc z niej aluminiowy prostokąt, z którego wycięła kilka długich klinów. Jednym z nich napięła bloczek zamka, drugim gmerała w dziurce od klucza, blokując kolejne kołeczki. Po chwili zamek nie stawiał już oporu, pchany sprężyną pałąk kłódki odskoczył.

Kłódka była otwarta.

Wstrzymując oddech, Charlie otworzyła skrzynkę. W środku nie było żadnej *Liber Noctis*. Tylko kartka wyrwana z jakiegoś notesu.

Charlie trzasnęła dłonią w marmurowy kontuar. Szlag, szlag, szlag, szlag.

I co teraz ma robić?

Z początku przyszło jej na myśl, że to typowa zmyła. Fałszywy trop dla wprowadzenia przeciwnika w błąd. Ktokolwiek szukał *Księgi Struposzy*, miał tylko niepotrzebnie stracić czas. Co by znaczyło, że gdziekolwiek Vince przebywa, książkę ma przy sobie.

Rozłożyła kartkę i ze zdumieniem stwierdziła, że jest to notka adresowana do niej.

Do Charlatan,

jeśli to znalazłaś, to znaczy, że wszystko poszło jak najgorzej. Klucz to porzućcie wszelką nadzieję.

V

Charlie nalała kawy do kubka, wzięła też list i usiadła na kanapie. Ręczne pismo Vince'a, pospiesznie nabazgrana wiadomość – to sprawiło, że nagle gwałtownie zapragnęła z nim porozmawiać. Ba, nawrzeszczeć na niego. Przekonać, że dopóki chciał, żeby go znała, ona chciała go znać.

Klucz to porzućcie wszelką nadzieję. Może tak powinna zrobić. Nadzieja jest matką głupich. Przeczytała te słowa jeszcze raz.

Klucz to porzućcie wszelką nadzieję. Nie „porzucić” wszelką nadzieję, nie „porzuć”. Tak by napisał, gdyby o to mu chodziło. Te słowa były jakąś łamigłówką, zagadką, której nie rozumiała. Wpatrzona w pustą ścianę Charlie sączyła kawę.

Dalej nie miała pojęcia, gdzie go szukać. Sondowała w myśli możliwe rozwiązania, za każdym razem trafiając na ślepy zaułek. Próbowwała już dzwonić na jego komórkę.

Sprawdziła adres z prawa jazdy, rozmawiała z Liamem. Dzwoniła do szefa i dowiedziała się, że nie przyszedł do pracy, w związku z czym tak jakby został z niej wyrzucony.

Co go skłoniło, żeby zająć się sprzątaniami po zbrodniarzach i samobójcach? Zmywanie krwi z sufitu to dziwne zajęcie jak na wnuczka miliardera. Ale może do tego przywykł, może musiał robić porządki po wyczynach swojego cienia.

A może to po prostu lubił, działał sam w pustych hotelowych pokojach, tak samo jak ona lubiła się włamywać do cudzych domów.

Potem jednak wpadła na zupełnie inny pomysł.

Kiedyś Vince opowiedział jej historyjkę o tym, jak żona jego szefa wściekła się, bo mąż ją zabrał na weekend do eleganckiego hotelu, ale nie przyznał się, że ma klucz, bo ten pokój to świeżo wypućowane i wyszorowane miejsce zbrodni. „Założę się, że czyszciej tam było niż w jakimkolwiek innym pokoju tego hotelu” – tak mówił szef swoim pracownikom. „Naprawdę nie wiem, o co jej chodziło”. Żona była innego zdania, przez co musiał spędzić kilka nocy na wersalce.

Jeśli Vince miał do dyspozycji jakiś wolny pokój hotelowy, z pewnością tam się udał. Mógł mieć klucz, więc nie musiał pokazywać żadnych dokumentów na recepcji, nie musiał się włamywać.

Charlie po chwili poszukiwań znalazła w telefonie numer Craiga, jednego ze współpracowników Vince’a. To był ten młody facet, który podjął taką pracę po to, żeby w przyszłości opracowywać superautentyczne efekty specjalne do filmów.

Ostatnia wiadomość od niego pochodziła sprzed czterech miesięcy: bateria w telefonie Vince’a zdechła, mam ci przekazać, że będzie w domu za godzinę i przyniesie wegetariańskie lo mein.

To była tak zupełnie zwyczajna wiadomość, że nie potrafiła oderwać od niej wzroku.

Przypomniała jej się ta straszna chwila, kiedy była pewna, że na wersalce spoczywa ciało Vince’a, że to jego krwią pomazane są ściany. Musiała znaleźć Vince’a, zanim dopadnie go Red.

Zadzwoiła pod znaleziony numer. Craig odebrał.

– Tu mówi dziewczyna Vince’a – przedstawiła się Charlie. – Wiem, że w pracy ma przechlapane, dlatego dzwonię do ciebie.

– Co mu się stało? – spytał Craig, jak zwykle przyjaznym i pogodnym głosem. – Winnie i ja mówiliśmy staremu, że to nie w jego stylu, żeby tak nagle zniknąć z powierzchni ziemi.

Zawsze bawiło Charlie, jak radosnymi osobami są Craig i Winnie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, czym się na co dzień zajmowali.

Szef za to nie był zbyt sympatyczny.

– Zachorował, dość poważnie – wyjaśniła Charlie, bo ta odpowiedź była wystarczająco ogólnikowa. – Oddzwoni, kiedy się poczuje lepiej, ale na razie prosi, żebym cię o coś spytała. Chodzi o miejsce, które sprzątał. Konkretnie o pokój, w którym przez tydzień lub dwa raczej nie będzie można przyjmować gości. Podejrzewa, że zostawił tam zegarek.

– A, w Chicopee? – spytał nieco ostrożnie, choć raczej nie podejrzliwym tonem.

– Tak, tak – potwierdziła. – Chodzi o to, że wyleciał mu z głowy numer pokoju, a przecież nie będzie pytał na recepcji.

– Zaczekaj chwilę. – Napięcie znikło z jego głosu. W końcu nie pytała ani o nazwę hotelu, ani o adres. Czyli spoko, wiedziała od Vince’a, co to za miejsce. – Tutaj mam zapisane 14b.

– Super, dzięki – powiedziała. – Vince zadzwoni, kiedy wyzdrowieje.

– Dobra. Powiedz mu, żeby się trzymał – powiedział Craig i się rozłączył.

Charlie wstukała „morderstwo” oraz „Chicopee” w wyszukiwarkę. Najnowsza wiadomość pochodziła sprzed ośmiu dni i dotyczyła zabójstwa dokonanego przez nożownika w motelu East Star przy Armory Drive.

Dla uczczenia zwycięstwa uraczyła się kolejną łyżeczką masła orzechowego, po czym podeszła do suszarki, żeby wyciągnąć z niej swoje dzinsy.

Motel East Star mieścił się na skrzyżowaniu ulic, był piętrowym budynkiem z oddzielnymi wejściami do każdego apartamentu. Trochę przypominał ten, w którym mieszkała jej matka. Jednak o ile w tamtym chętnie przyjmowano gości na dłużej, East Star raczej wynajmował apartamenty na godziny, gwarantował na swoim bilbordzie wolne pokoje, wi-fi, kolorową telewizję oraz dyskrecję.

Charlie zajechała na parking. Corolla wydała dziwny odgłos, silnik jakby się zakrztusił, a potem zgasł.

– Nie – zwróciła się Charlie do samochodu tonem, który miał być niezwykle stanowczy. – Nie ma mowy. Nie teraz. No, już. Już!

Zdołała jednak uzyskać tylko tyle, że wóz szarpnął kilka razy w przód, po czym zatrzymał się na dobre, zaparkowany tylko do połowy.

Walnęła dłońmi w kierownicę, ale i to nie pomogło. Kręcenie kluczykiem również nie dało żadnego rezultatu.

W końcu dała za wygraną, zarzuciła torbę na ramię, a następnie pchnęła samochód tak, żeby tył nie wystawał. Stał pod dziwnym kątem i zajmował przez to trochę więcej niż jedno miejsce na parkingu, jednak niewiele mogła na to poradzić. Dobrze, że chociaż zdołała dojechać do motelu, zanim samochód zdechł.

W zasięgu wzroku nie wypatrzyła białego vana, co nie wróżyło zbyt dobrze. Tylko że przecież Vince mógł się dokądś wybrać, a nawet ukraść jakiś nowy samochód.

Z apartamentu 12b słyhać było telewizor, z 15b dochodziło charakterystyczne stękanie. Okiem profesjonalistki sprawdziła zamek.

Był cyfrowy, ale z tych tańszych, raczej kiepski. O ile drzwi nie kryły jakiejś tajemnicy w postaci rygła, prawdopodobnie da się go sforsować dobrze wymierzonym kopniakiem.

Żaluzje apartamentu 14b były spuszczone i zamknięte. Zawahała się, z ręką na klamce. Dopiero co wchodziła do innego mrocznego pokoju, a zaraz potem znalazła sponiewierane szczątki Adama i ujrzała ściany zamazane tym samym jednym słowem.

Myśl, że Vince może znajdować się po drugiej stronie tych drzwi, też trochę ją powstrzymywała, choć Charlie miała jakąś nadzieję go zastać.

Musiała też być gotowa na to, że Remy Carver może się okazać kimś zupełnie innym niż Vince. Być może to wszystko była gra, może cały czas udawał. Niewykluczone, że w prawdziwym związku był z Adeline, co byłoby mocno porąbane, tylko że ktoś wywodzący się z zaburzonej rodziny często wchodzi w zaburzone układy.

Cóż, jeśli Vince nie istniał, najlepiej będzie osobiście się o tym przekonać. Coś jak otwarta trumna podczas pogrzebu: czasem to jedyny sposób, by się pogodzić z faktem, że ktoś, kogo się kochało, naprawdę odszedł.

Na próbę wsunęła w szczelinę drzwi tę samą kartę Big Y, ale zamek stawiał opór. W samochodzie miała specjalny wygięty drut, który należało precyzyjnie pod drzwiami, potem wyginał się do góry i jeśli odpowiednio się nim manewrowało, pętla łapała klamkę. Potem wystarczyło pociągnąć i drzwi się otwierały.

Zerknęła w stronę parkingu i już miała iść po ten drut, kiedy jedne z drzwi się otworzyły. Wyszła z nich kobieta, która niosła wiaderko na lód.

Czekając, aż tamta zaopatrzy się w lód, a potem jeszcze upora z automatem do sprzedaży napojów, Charlie wpadła na pomysł, żeby użyć prostszego sposobu na dostanie się do wnętrza.

Swojego cienia. Pierwszy raz świadomie i z rozmysłem posłała go, żeby to on przeniknął przez szparę między drzwiami a framugą. Jej wizja się rozdwoiła, zaczęła ją boleć głowa między oczami.

Starła się skupić na ręce swojego cienia. Niech się zmaterializuje na tyle, by mogła chwycić klamkę. Charlie odnosiła jednak wrażenie, jakby łapała dłoń pustką. Część jej umysłu była jednak po drugiej stronie, miała świadomość osoby stojącej za drzwiami w rozpoczynającej się lekkiej mżawce. Reszta pogrążona była w ciemnościach.

Wyobraziła sobie, że przekazuje cieniowi swoją energię. Nie wiedziała, czy dobrze to robi, aż nagle jej dłoń stała się zupełnie materialna i po prostu nacisnęła klamkę.

Cień wrócił do niej w panicznym pośpiechu, uczucie było tak intensywne i dziwaczne, że Charlie musiała się oprzeć o ścianę, wstrząsana dreszczem. Wrażenie było takie, jakby ćmy całym rojem obsiadły ją, a potem wnikły w skórę na całej powierzchni.

Jednak jeszcze silniejsze było upojne zachłyśnięcie powodzeniem tej próby, otwierającymi się możliwościami; wszystkim, co będzie mogła zrobić, w jakie przedziwne miejsca przeniknąć.

Charlie odetchnęła głęboko i pchnęła uchylone drzwi.

Zapaliła światło i stłumiła krzyk. Na szarym wzorzystym dywanie widniała ogromna plama krwi. Musiała minąć chwila, nim Charlie opanowała przerażenie i zawrót głowy, zanim dotarło do niej, że to tylko plama i w dodatku już całkiem zaschnięta. Na jej brzegach widać było smugi, ktoś bezskutecznie próbował ją usunąć.

Właśnie dlatego pokoju nie można było od razu wynająć. Należało wpięrw wymienić dywan.

Charlie ostrożnie zamknęła za sobą drzwi, uważając, żeby nie trzasnęły.

Do ściany nad tandetną szafką ze sklejki ktoś taśmą klejącą przymocował zdjęcia. Na gołym materacu stojącego pośrodku pokoju łóżka leżały ubrania. Żaluzje uszczelniono dodatkowo plastikowymi torbami na śmieci, przy drzwiach leżał zwinięty w wałek ręcznik – zapewne po to, by nim zasłonić szparę pod drzwiami, żeby nikt nie zobaczył światła, kiedy Vince był w pokoju.

Na krześle przy wejściu do łazienki leżało rozdarte opakowanie z Williamsons Clothier, oprócz tego pudełko po butach, solidny drewniany wieszak i jeden z tych zapinanych na suwak worków, w których się sprzedaje eleganckie garnitury.

Kiedy weszła do pokoju, od razu zauważyła, że lampka na nocnym stoliku została przewrócona i rozbita. Łóżko stało trochę ukośnie, jakby pchnęło je coś ciężkiego. Po drugiej jego stronie leżało przewrócone na bok krzesło.

A więc doszło tu do walki. Czy nieobecność białego vana na parkingu dowodziła, że Vince zdołał uciec przed napastnikami? Czy też Salt po prostu zadbał o zatarcie śladów?

Charlie zbliżyła się do ściany. Na zdjęciach zobaczyła hierofanta – stał na rogu ulicy. Rozmawiał z Malikiem, jednym z członków Kabały. Na innym zdjęciu nosił zbroję z cienia, jakby był jakimś średniowiecznym rycerzem.

Poniżej spostrzegła wydruk artykułu sprzed dwóch lat: podejrzany w sprawie o kradzież cienia oczyszczony z zarzutów. Ofiary protestują. Zdjęcie było małe i rozmazane, bo wydrukowane z internetu, ale i tak od razu go rozpoznała. Hierofant nazywał się Stephen Vorman.

Nadal jednak nie rozumiała, jaki jest związek między nim a Redem, chyba że struposz, do którego został przyszyty Stephen, po prostu był Redem. Ale nie, przecież domagał się od niej, żeby przekazała Redowi wiadomość, czyli tu chodziło o coś innego. Nie dawało jej to spokoju: przecież skoro uważała, że rozumie Vince'a, powinna też wiedzieć, jak myśli jego cień.

Na nocnym stoliku oprócz lampki znalazła też notes, ze strzępami papieru w sprężynie pozostałymi po wyrwanych stronach.

W łazience – grzebień i pomadę.

A w koszu na śmieci obok toalety trafiła na sklezione pudełko z masą plastyczną, styropianowy kubek poplamiony czarną farbą, butelkę transparentnego lakieru do paznokci oraz dwa puste plastikowe pojemniki z resztkami żywicy epoksydowej.

A więc najwyraźniej robił jakiś odlew, ale czego? Odwróciła pudełko, zobaczyła na nim kwadratowe wgniecenia.

Wróciła do łóżka, żeby przejrzeć notes. Sięgnęła do torby, odnalazła ołówek i posłużyła się starą sztuczką polegającą na tym, żeby lekko posmarować grafitem kartkę, ujawniając odcisk tego, co było pisane na poprzedniej kartce.

*Char,
nie wiem, jak Cię pożegnać.*

Charlie długo wpatrywała się w białe duchy liter.

Najwyraźniej Vince realizował jakiś własny plan, choć Charlie wciąż nie pojmowała, na czym mógł polegać. Sądząc po tym, co napisał, raczej nie spodziewał się happy endu. Należało to wszystko przemyśleć.

Paul Ecco miał stronę z książki. Od kogoś musiał ją dostać.

Natomiast Knight widział książkę, chociaż nie znalazł w niej rytuału, którym *Księga struposzy* się wślawiła. Rytuału, który Red zamierzał wprowadzić w życie.

Być może Knight tę część po prostu przegapił. Pewnie miał tylko chwilę, żeby przerzucić dzieło i nie starczyło mu czasu, by się upewnić, że niczego istotnego nie pominął. Charlie nie raz już natrafiała na sekrety, które wcale się nie rzucały w oczy. Słowa zapisane maleńkimi literkami ukryte w obrazie. Zanotowane niewidzialnym atramentem, tak że trzeba było podgrzać kartkę, by móc je przeczytać. Szyfry, których się nie dało odczytać, jeśli się nie odnalazło dobrze ukrytego klucza. Wszystkie te łamigłówki tworzone przez umbromantów, by utrudnić dostęp do tajemnic innym umbromantom.

Jednak Knight mówił, że ma haka na kogoś ważnego i tym kimś najprawdopodobniej był Salt. Czyli coś gdzieś musi się kryć.

Sięgnęła więc po notes Knighta Singha, obejrzała jego skórzaną okładkę, przewracała strony, szukając nazwiska Salta, jakiegokolwiek wzmianki o struposzach, nieśmiertelności czy oddechu życia.

I nic. A Raven, która z pewnością uważniej czytała te zapiski, również niczego nie znalazła. Przynajmniej tak powiedziała.

Charlie wróciła do początku, przeglądając teraz notes o wiele uważniej. Sprawdzała każdą stronę, żeby się upewnić, czy nie ma sklejonnych kartek. Dokładnie obejrzała grzbiet, żeby sprawdzić, czy ktoś tam czegoś nie wsunął. Potem przyjrzała się wewnętrznym stronom okładki, przesunęła po nich palcami, szukając jakichkolwiek nierówności. Dostrzegła jakby ślady kleju przy krawędzi wyklejki tylnej okładki. Posługując się nożem, który miała przy kluczykach, podważyła krawędź. Wsunęła ostrze głębiej, oddzielając wyklejkę od skóry. Pod nią znalazła kartki zapisane nieznanym jej charakterem:

Wygląda na to, że są różne sposoby na odcięcie uspiętego cienia od żyjącej osoby. Remy potrafi sprawić, żeby Red posłużył się w tym celu cieniem noża. (Co ciekawe, taki nóż na zawsze traci swój cień, a następnego ranka dostrzegłem na jego ostrzu plamy rdzy, co należy przy okazji dokładniej zbadać). Remy jako umbromanta może użyć swoich palców, wystarczy ruch udający cięcie nożyczkami, by przerwać połączenie między osobą a jej cieniem. Mnie udało się odciąć cień przy użyciu onyksowego noża.

Wszystkie te sposoby mogą też zostać użyte do odciążenia cienia od zwłok, tylko taki cień ma zauważalnie inną fakturę i ciężar. To również trzeba będzie dokładniej zbadać.

Musiały to być zapiski Salta. Nie było to przyznanie się do winy, jednak wiele mówiło o autorze.

Dalej było gorzej.

Wielokrotnie naciąłem jej nadgarstek, licząc na to, że ból będzie wystarczający, żeby ożywić jej cień, ale umarła tak samo jak inni mimo dokonanych na niej alteracji.

Rzeczywiście, to już wyglądało bardzo źle. Charlie nie była pewna, czy takie zapiski wystarczą jako dowód w sądzie, na pewno jednak mogły stanowić wskazówkę i naprowadzić na dalsze tropy, które z pewnością są do odnalezienia.

Gdyby dostały się do jakiejś gazety, w oczach opinii publicznej Salt bez wątpienia byłby skończony. Nie mówiąc już o tym, jak musiałyby postąpić Kabała, bo przecież taka sprawa kompromitowała całą umbromancką społeczność.

Zapiski na trzeciej kartce znów dotyczyły Reda.

Remy przeprowadzał doświadczenia na własną rękę, w tajemnicy przede mną. Pozwalał swojemu cieniowi na samodzielne działanie. Nie wiem, jak tego dokonał, że cień po tym do niego wracał.

Czy może daje mu zbyt wiele krwi? Jeśli tak, to ile? Od jak dawna to robi? Odtąd będę go uważnie obserwować.

Jeszcze jedno muszę wiedzieć - czy sprawuje nad nim kontrolę? A jeśli nie, czy to znaczy, że Red posiada odrębną świadomość? Cogito, ergo sum? A jeśli tak, co cień odebrał Remy'emu, że tak się stało?

I potem ostatnia kartka.

Popetrzyłem błąd, ale mam nadzieję, że zdołam go naprawić.
Jeśli nie dostanę Reda, będę go musiał zabić.

Jeśli Salt wiedział, że Knight Singh ma te notatki, to z pewnością mógł chcieć go uśmiercić. Niewątpliwie to Salt był tym zleceniodawcą, dla którego Adam pracował w tajemnicy przed Balthazarem.

Charlie zyskała w ten sposób przewagę, o ile tylko zdoła wymyślić, jak ją wykorzystać. Oraz o ile w porę rozwiąże zagadkę.

W pewnym sensie każdy przekręt polega na odkryciu prawdy. Wiadomo, że potem trzeba ją zamącić, ale aby móc to zrobić, wpiery trzeba ją poznać. Coś jak tarot Posey, wiara w działanie sił wyższych. Jej siostra układała karty, które niby się powtarzały, ale za każdym razem wyczytywała z nich co innego. Tak samo Charlie snuła swoje plany, jedno wynikało z drugiego, ale pod koniec i tak musiała się zdać na swój instynkt, improwizować.

Kiedyś leżała na dywanie w domu Salta, tuż obok wejścia do tajemnej komnaty. Tam musiały się znajdować najcenniejsze obiekty, łącznie z tymi, których nikt nigdy nie miał odnaleźć. Tam właśnie musiała się dostać.

Na wypadek gdyby Vince wrócił, Charlie wyrwała kartkę z jego notesu, nabazgrała ołówkiem wiadomość.

Znalazłam list, którego do mnie nie wysłałeś. Zadzwoni, jeśli znajdziesz tę kartkę. I nie rób niczego głupiego.
XOXO, Char

Notkę zostawiła na materacu. Potem pogasiła wszystkie światła i uchyliła drzwi, wyjrzała ostrożnie. Starannie zamknęła je za sobą, przeszła przez parking ze

spuszczoną głową.

PRZESZŁOŚĆ

Vince siedział przy barze, chłonąc całym sobą obecność tłumu, zapach potu i resztek trunków, które wsiąkły między deski podłogi. Muzyka grała tak głośno, że prawie nie dało się rozmawiać, jednak po jego prawej stronie jakiś facet usiłował ją przekrzyczeć, wrzeszczał do drugiego coś na temat gry komputerowej, w której buduje się podwodny dom.

Właśnie o to chodzi – wykrzykiwał. – Żeby przeżyć. Zbudować bazę. Musisz być gotów w chwili, kiedy nadpłyną rekiny.

Minęło półtora miesiąca, odkąd opuścił rezydencję Salta i z każdym dniem spędzonym z dala od niej pałał jednocześnie coraz większą nienawiścią i coraz bardziej za tym miejscem tęsknił. Miejscem, które przecież przez tyle lat było jego domem. I za jedyną osobą, która najwięcej dla niego znaczyła, a teraz odeszła. Najtrudniejsze było to, że miał teraz tyle czasu na myślenie. Musiał podejmować własne decyzje. Radzić sobie z poczuciem winy, bo żył, a przecież nie do tego prawa. Vince przywykł do tego, że mierzył swoje życie krótkimi chwilami, nigdy nie spoglądał w przyszłość, nigdy nie śmiał oglądać się za siebie.

Tu i teraz na łodzi.

Tu i teraz z nożem.

Tu i teraz w sypialni dyrektora finansowego pewnej firmy, w środku nocy.

Jednak w obecnej sytuacji, aby przetrwać, musiał zacząć planować. Miał w zapasie coś, co mogło mu posłużyć za broń przeciwko staremu, jednak sam nie mógł tego użyć. Lepiej, żeby to dostał Knight Singh, który ma różnorodne powiązania, a przy tym serdecznie nie cierpi Salta. To coś znajdowało się w torbie Vince'a i Vince nie pragnął niczego bardziej, jak tego, żeby się owej rzeczy pozbyć.

Być może gdyby Vince nie oglądał się wciąż przez ramię, mógłby mieć przed sobą jakąś przyszłość. Ta myśl sprawiła, że wróciło poczucie winy.

Problem polegał na tym, że Vince nie przywykł do roli tego, który układa plany. Zawsze był tylko wykonawcą.

– Powtórzemy? – spytał go barman.

Vince dał sobie wcisnąć piwo z dyni, bo nie wiedział, co się zamawia w takim miejscu. Adeline wzięłaby szampana z wódką i powiedziałyby, że to „na rozpęd”. Salt

zamówiłby single malta pochodzącego z miejsca, którego nazwy Vince z pewnością nie potrafiłby wymówić, a koszt takiego drinka uczyniłby spustoszenie w jego zasobach finansowych.

Remy zawsze zamawiał to, co zamawiali inni. Jednak teraz Vince już nie musiał się zachowywać tak samo jak Remy.

Zaletą piwa z dyni była niska cena. Niestety, w opinii Vince'a była to jego jedyna zaleta.

– Nie, spróbuję czegoś innego.

Barman zaczął się rozwodzić nad tym, co mają z nalewaka, Vince wybrał cokolwiek, bo żadna z tych nazw nic mu nie mówiła. Do knajpy weszło dwóch umbromantów. Kątem oka spostrzegł, że się rozdzielili, sondując wzrokiem wewnątrz, próbując odnaleźć kogoś pasującego do podanego przez Vince'a opisu. Chyba usiłowali się zachowywać dyskretnie, udając, że ich cienie są uspięne, jednak Vince od razu ich namierzył. To była kwestia specyficznej energii, mrocznej aury przy zarysie sylwetki, jak dymu ulatniającego się spod na pozór wygasłych węgli.

Knight Singh obiecał, że będzie sam. Nie dotrzymał obietnicy. Innymi słowy, prawdopodobnie była to pułapka zastawiona na Vince'a.

Wybrał to miejsce, bo panował tu spory ruch, teraz był zadowolony, że tak zrobił. Nie mogło tu być zbyt wielu ludzi pozbawionych cienia, jeżeli w ogóle jacyś byli. Jednak dopóki trzymał się swojego kąta przy barze, nikt nie widział, że czegoś mu brakuje.

Vince cieszył się teraz, że tak zdawkowo opisał Knightowi swój wygląd – powiedział tylko, że „będzie miał na szyi czerwoną bandanę” – ta zaś nadal leżała w jego torbie.

Spojrzał w stronę stojącej obok niego kobiety. Jeśli będzie z kimś rozmawiał, umbromanci tym bardziej nie zwrócą na niego uwagi. Dziewczyna mniej więcej w jego wieku. Policzki zarumienione od panującego w barze upału. Właśnie kolejny raz skinęła na barmana, który chyba naumyślnie ją ignorował. Włosy czarne jak lukrecja opadały jej na plecy, tatuaże przedstawiające skarabeusze tworzyły na jej szyi obrozę.

Jeden z umbromantów ustawił się w pobliżu wejścia, drugi przy pustym stoliku. Knight pewnie zaraz wejdzie.

Vince podniósł rękę i jakimś cudem przyciągnął w ten sposób uwagę barmana.

– Ta pani chyba chciała coś zamówić.

Dziewczyna rzuciła mu spojrzenie, którego nie potrafił zinterpretować.

– Tak, gin z tonikiem – powiedziała. – Najtańszy gin, jaki pan ma, i trzy plasterki limonki.

Barman spojrzał pytająco na Vince'a, który zdał sobie sprawę, że pół jego piwa znikło. Nawet nie pamiętał, kiedy je wypił. Nie pamiętał też, czy mu smakowało.

– Burbon – rzucił. – Bez lodu.

Słyszał to chyba na jakimś filmie. Kiedy dostał drinka, przekonał się, że w samej rzeczy bez lodu smakuje lepiej.

– Zazwyczaj nie pijam takiego paskudztwa – powiedziała, wycisnęła do szklaneczki pierwszą ćwiartkę wysuszonej i odrobinę zbrązowiałej limonki.

– Więc dziś jest specjalna okazja.

Rzuciła mu krótki uśmiech, który pojawił się i znikł, ale to wystarczyło, by Vince nagle się zorientował, że z całą pewnością ją zna. Nie pamiętał, skąd ani w jakich okolicznościach ją poznał, ale kiedyś już się spotkali.

Tłum gęstniał, przytrzymał się więc baru, by nie dać się zepchnąć.

– Często tu bywasz?

Nie było to szczególnie błyskotliwe pytanie, ale pomyślał, że może odpowiedź przywoła jakieś skojarzenia. Dziewczyna odrzuciła w tył grzywę czarnych włosów, wypila porządny łyk, zapierając się jednocześnie, bo stojący po jej drugiej stronie facet omal jej nie zepchnął ze stołka.

– Tak, jestem tutejsza. A ty raczej nie, co?

Skinął głową, bo w sumie miała rację.

– Jestem w mieście dopiero od paru miesięcy.

Uniosła brwi.

– Szkoła?

Przesunął się, tak żeby stanąć między nią a napierającymi ludźmi. W nagrodę natychmiast ktoś go dźgnął łokciem w plecy.

Pokręcił głową.

– Nie, chciałem tylko coś zmienić w swoim życiu.

– Mamy tu dużo szparagów – powiedziała i roześmiała się, widząc jego minę. – Tak dużo, że mówi się tutaj o nich „trawa z Hadley”. Jest nawet festiwal szparagów. Aha, poza tym trzy rodzaje lodów szparagowych. Tego rodzaju urozmaicenie cię interesuje?

– Chyba tego rodzaju odmianę jakoś zniosę.

Zabawna rzecz, bo jednak w pewnym sensie był stąd, tylko że nic nie wiedział o tym mieście.

– Zdaje mi się, że jest też szkoła łucznicza i miejsce, w którym można ćwiczyć szermierkę dwuręcznym mieczem.

Tembr jej głosu mógł sugerować, że przyczyną rumieńców na policzkach było nie tylko ciepło.

– Aha, na wypadek gdybym chciał pokonać smoka?

– A chcesz?

Rzucił okiem za siebie, zobaczył, że pojawił się Knight Singh. Siedział we wnętrzu w przeciwnym końcu pomieszczenia. Jego ludzie rozstawili się w strategicznych punktach, tak żeby móc Vince'a otoczyć i odciąć mu drogę do wyjścia. Naliczył ich pięciu.

A więc z całą pewnością zasadzka. Vince zerknął w stronę pobliskiego wyjścia awaryjnego.

– Czy chcę zabijać smoki? – zastanowił się. – Wolałbym nie zabijać.

Pojawił się znów barman, który rzucił jej kwitek i chyba właśnie miał spytać Vince'a, czy życzy sobie następną kolejkę.

Dziewczyna spojrzała na świstek, potem na barmana.

– Co to ma być?

Wzruszył ramionami.

– Rachunek.

– A może jeszcze będę chciała się napić? – powiedziała lekko ochrypłym głosem.

– To proszę najpierw zapłacić za poprzedniego drinka.

Na jego twarzy malował się arogancki uśmiezek, wyraz pewności, że to on rządzi za barem.

Pochyliła się w jego stronę, powiedziała na tyle głośno, że ludzie czekający na drinki mogli ją usłyszeć.

– Tak tu siedzę i przyglądam się, jak za mało nalewasz, źle wydajesz resztę, używasz koncentratu zamiast świeżego soku z limonki i wyciskasz ścierkę prosto do wiadra z lodem – powiedziała, sięgając do torebki. Wysypała garść monet. – Będziesz się smażył w barmańskim piekle.

– Pani jest pijana – stwierdził barman urażonym tonem.

– Może jestem, ale to nie twoja zasługa.

Odliczyła ćwiartkami i dziesiątkami należną sumę, dorzuciła wszystkie jednocentówki, które miała na dnie portmonetki.

Spojrzała na Vince'a, wzrok jej złagodniał.

– Pewnie uważasz, że jestem wredna, co?

Vince uważał, że ta dziewczyna jest wszystkim, czego bał się Remy.

– Myślę, że jesteś czujna – odrzekł z uśmiechem.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę.

– Chodźmy stąd – zaproponowała. – Strasznie tu duszno.

Vince się zawahał. Jeśli wyjdzie razem z nią, Knight i jego ludzie mogą nie zwrócić na nich uwagi. Choć kiedy ruszy się z miejsca, widać będzie, że nie ma cienia.

Jednocześnie przyszło mu do głowy, że również Knight może się obawiać zasadzki. Niewykluczone, że wcale nie chodzi mu o to, żeby dorwać Vince'a, tylko sam się boi

napaści. Jeśli tak, to sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej, bo jego ludzie są skupieni raczej na obronie niż na ataku.

Poza tym Vince zdecydowanie chciał wyjść z tą dziewczyną.

Sięgnął po portfel, położył banknot na kontuarze.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do drzwi. Patrzył, jak pewnym krokiem idzie przed siebie. Szła przez tłum, jakby się spodziewała, że wszyscy zejną jej z drogi. I co dziwne, rzeczywiście schodzili.

– Jestem Vince – przedstawił się.

Ona zaś w tym momencie spostrzegła Knighta Singha i widać było, że go poznaje. W następnej chwili spojrzała w stronę Vince'a.

– A ja Charlie. – Pokazała palcem samą siebie: – Charlie Hall.

Vince naliczył pięciu umbrantów, ale nie znaczyło to, że Knight nie wynajął też ludzi, którzy nimi nie są.

Takich na przykład jak Charlie.

Mogła go zwabić w odludne miejsce, a potem wbić nóż pod żebra. Jeśli będzie miał szczęście, to ludzie Knighta Singha obezwładnią go i sprzedadzą Saltowi. Jeśli szczęścia mu zabraknie, to zaraz będzie trupem.

Owiało go chłodne powietrze, nagle było mu już wszystko jedno, nie dbał o ryzyko. A tę dziewczynę od razu polubił. Była złośliwa, zabawna i nie miała nic przeciwko temu, żeby komuś wygarnąć.

Podobała mu się, bo była zupełnie inna niż ktokolwiek z dawnego życia.

I podobała mu się na tyle, że poszedł z nią mimo wszystkich podejrzeń. Kiedy zatrzymała się i oparła o ceglana ścianę jakiegoś budynku, rzuciła mu spojrzenie, w którym było wyzwanie. Wtedy przycisnął ją do tej ściany i pocałował.

Jej usta były spierzchnięte. Jej perfumy pachniały dymem i różami. A jej wargi smakowały ginem.

Niech Knight Singh idzie się walić. Vince zdąży się z nim spotkać kiedy indziej.

Odsunął się, popatrzył na nią. Przesunął koniuszkami palców po linii skarabeuszy nad jej obojczykiem.

– Pójdziemy w jakieś miejsce? – wyszeptał do jej włosów, chociaż nie bardzo wiedział, dokąd właściwie mogliby się udać. Minioną noc spędził w vanie. Wiedział tylko tyle, że pragnie tej kobiety.

– Tutaj – odpowiedziała cicho i sięgnęła do klamry jego paska.

Nie wiedział, czy rzeczywiście jej się spodobał. Może po prostu chciała zapomnieć o jakichś smutkach, które zamierzała utopić w ginie z tonikiem. Mógł jej dać to zapomnienie.

Skupił się na jej gorącym oddechu.

Na krągłości jej bioder, kiedy ją podniósł.

Na szorstkości cegieł pod jego opartą o ścianę dłonią.

Nie śmiał myśleć o przeszłości i nie pozwalał sobie na rozmyślania o tym, co będzie.

Pozwalał sobie tylko na to, żeby myśleć o niej.

WY, KTÓRZY TU WCHODZICIE

W sobotę wieczorem Charlie zaparkowała samochód swojej matki przed zakrętem, na tyle daleko od domu Salta, że raczej nie spodziewała się, by ktokolwiek zwrócił uwagę na ich obecność. Oparła czoło o kierownicę, odetchnęła głęboko.

Potem odezwała się do siedzącej na siedzeniu pasażera siostry.

– Wiesz, że nie musisz tego robić.

Posey się skrzywiła.

– Ty tak samo nie musisz. Ja przynajmniej będę z tego coś miała. A ty?

– A ja zamierzam się przekonać, czy to prawda, że najlepszą obroną jest atak – powiadomiła ją Charlie.

Wiedziała, że Salt gotów jest spełnić swoje najgorsze pogrożki. Jeśli nie rozegra tego właściwie, raczej nie będzie miała drugiej szansy.

Charlie wysiadła z samochodu.

– No, to na razie – rzuciła, opierając się o drzwi.

Posey skinęła głową.

– Narka, siostra.

Charlie szła poboczem z plecaczkiem przerzuconym przez ramię. Im bardziej zbliżała się do zamku złego czarownika, tym wyraźniej pamiętała, jak to było, gdy się tu znalazła poprzednio, z jakim przerażeniem uciekała przez ten las. I pamiętała pewność siebie Randa oraz paskudne przeczucie, które od razu ją ogarnęło.

I oto znów się tu zjawiała, po tylu latach. Aby dokonać ostatecznego przekrętu. Ubrana była w nieskazitelną białą bluzkę, tanie czarne spodnie i marynarkę, jak przystało na kelnerkę od cateringu. Miała nadzieję, że Rand w zaświatach będzie z niej dumny.

Przygotowywała się przez cały piątek. Żadna peruka z jej kolekcji nie nadawała się do tego występu, wybrała się więc do centrum handlowego, gdzie świeżo upieczona absolwentka szkoły kosmetycznej ścięła ją na pixie. Trochę swędział ją kark, ale zdecydowanie wyglądała inaczej. Znów nałożyła halloweenowy mejkap, żeby zakryć podbite oko, wszystko, co mogło jej być potrzebne, upchała do plecaczka. Opuchlizna już trochę ustąpiła, poza tym Charlie była coraz pewniejsza, że jednak nie ma złamanego żebra.

W sumie czuła się wyśmienicie.

Charlie musiała się teraz wczuć w swoją rolę – urażonej i źle opłaconej pracownicy, która przychodzi spóźniona na imprezę, choć wcale nie miała ochoty brać w niej udziału. Nie było to bardzo trudne.

Kiedy weszła przez otwartą bramę, która – czego nie mogła nie zauważyć – tak samo jak ogrodzenie niewątpliwie zwieńczona była przewodami wysokiego napięcia – niemal zdołała już przekonać samą siebie, że nie ma nic przeciwko temu, by znów się znaleźć w tym miejscu. Potem zobaczyła domostwo i żołądek powędrował jej do gardła.

W oddali widniała budowla z szarego kamienia. Porastał ją bluszcz połyskujący czerwienią i złotem w jesiennym słońcu. Pokryte grynszpanem gargulce spoglądały na nią z dachu. Im dokładniej się przyglądała, tym wyraźniej powracały wspomnienia, wbiła więc wzrok w trawę i szła dalej.

Uciekaj. Musisz uciekać. Ludzie z pałacu mnie gonią.

Charlie miała wystarczająco duże doświadczenie, by wiedzieć, że powinna ufać swojej intuicji. Wewnętrznemu poczuciu, że coś nie gra. Że coś jej się wymyka, tak jakby wszystko już obejrzała z bliska, lecz dopiero po cofnięciu się mogła ogarnąć całość. To odczucie nieraz już ją uchroniło przed wpadką. Czasem po prostu czuła, że powinna się wycofać. Jednak tym razem mimo najgorszych przeczuć zamierzała doprowadzić sprawę do końca.

Jakiś lokaj patrzył na nią uważnie, kiedy zbliżyła się do budynku. Skinęła mu głową z wyrazem twarzy osoby, która doskonale rozumie człowieka zmuszonego do pracy w sobotę. To wyraźnie wystarczyło, by go przekonać, że należy do zatrudnionego personelu, bo przestał się nią interesować.

Charlie obeszła budynek, zmierzając do drzwi kuchennych. Nawet nie musiała długo szukać, żeby znaleźć kogoś ze znajomych zatrudnionego przy tym przyjęciu. Nie kto inny jak José zostawił dla niej drzwi otwarte.

Wewnątrz za pomocą szczypiec przekładano krewetki na srebrne tace przystrojone liśćmi sałaty oraz jakimś kremowym sosem. Kulki risotto przypiekały się na elektrycznym grillu ustawionym pośrodku wielkiej marmurowej wyspy – tak wielkiej, że można by na niej ułożyć trupa.

Nie, to nie było dobre skojarzenie, więc wyrzuciła je ze swoich myśli. Łatwo było przemknąć niepostrzeżenie podczas takiego przyjęcia, do którego obsługi zatrudniono kilka różnych firm i w dodatku kelnerów na doraźne zlecenie. Oprócz firmy zatrudniającej Joségo jakaś inna dostarczała kawior, ktoś jeszcze inny przyrządzał sushi, kolejny dostawca odpowiadał za ofiary z ludzi i tak dalej. Liczyła, że łatwo uda jej się prześlizgnąć między nimi wszystkimi.

Wychodziła właśnie na korytarz, kiedy ktoś ją przywołał.

– Spóźniłaś się – stwierdziła kobieta o zaaferowanym wyglądzie; trzymała w dłoni bloczek z podkładką do pisania, miała na głowie burzę kręcących się blond włosów. Prawdopodobnie była koordynatorką eventu.

Charlie odwróciła się w jej stronę, przybierając możliwie bezmyślny wyraz twarzy.

– No tak, przepraszam. Ale szukałam toalety i nigdzie nie mogłam znaleźć.

– Już nie ma czasu. Odłóż swoje rzeczy gdzieś na bok i weź te przekąski.

Charlie posłusznie wsunęła plecak pod stół, skąd łatwo później mogła go odzyskać, potulnie przyjęła metalową tacę.

Po drugiej stronie sali spostrzegła Joségo, który wprawnie formował róże z prosciutto. Puścił do niej oko.

Charlie zrobiło się gorąco, bo dopiero co przebywała w chłodnym jesiennym powietrzu, a teraz weszła do rozgrzanego wnętrza. Przemierzała korytarze siedziby Lionela Salta. Roznoszenie przysmaków i przekąsek stanowiło dobry pretekst, żeby na nowo się zaznajomić z rozkładem tego domu, a przy okazji rozejrzeć za Vince'em.

Charlie zgrzytała zębami, bo przemierzając te wnętrza, jednocześnie rozpoznawała je i musiała radzić sobie z lękiem, jaki w niej budziły. Chodziła z uśmiechem przyklepionym do twarzy, starała się nikomu nie patrzeć w oczy. Współpraca z Balthazarem niby gwarantowała jej brak kontaktu ze zleceniodawcami, ale jednak sporo kradzieży wymagało odgrywania różnego rodzaju teatralnych przedstawień, toteż niejeden pomrok mógłby ją kojarzyć. Miała jednak nadzieję, że żaden z nich nie przyjrzy się baczniej zwykłej kelnerce.

Przemierzając przekształconą na galerię sien w pobliżu wejścia, ukradkiem zerkała na antykwaryczne książki w gablotkach. Towarzyszyła im sporych rozmiarów grawerowana płyta z informacją, że słynna biblioteka Lionela Salta zostaje udostępniona wszystkim umbromantom, by stworzyć przestrzeń, w której można się dzielić tajemną wiedzą. Wypchane zwierzęce łby, które Charlie pamiętała z poprzedniej bytności w rezydencji, znajdowały się w tym samym miejscu, ich szklane ślepie lśniły tak jak wtedy, identycznie połyskiwały wypolerowane poroża.

Zbiory klasy kolekcji Salta zazwyczaj trzymano pod kluczem, toteż możliwość przyjrzenia jej się musiała budzić sporo niezdrowych emocji u jego kolegów, zwłaszcza tych młodszych.

Jako zawodowa złodziejka magicznych sekretów Charlie miewała do czynienia z różnego rodzaju osobliwościami. Często umbromanci, którym udało się wejść w posiadanie cennej książki, spisywali z niej przydatne dla siebie informacje lub sposoby, po czym zachowywali oryginał tylko po to, by nikt inny nie poznał tych samych tajemnic. Charlie kiedyś nie zdołała okraść pewnego magika, bo okazało się,

że po prostu palił wszystkie zdobyte dzieła, gdy tylko przepisał z nich do swoich notatek to, co go akurat interesowało. To wspomnienie wciąż jeszcze czasem ją irytowało.

Gdyby Salt rzeczywiście ufundował tego rodzaju publiczną bibliotekę, zyskałby sobie w środowisku pomroków niemałą popularność. Oznaczałoby to, że zgadza się dzielić swoje sekrety. Że jest hojny i wielkoduszny.

Albo że jest w posiadaniu tajemnic o wiele potężniejszych i groźniejszych, że takie proste sztuczki nic dla niego nie znaczą. Tak czy inaczej, bez trudu zdoła przekonać miejscowych umbromantów, że już dawno należało mu się miejsce pośród członków Kabały. Jego wpływy będą rosnąć, narastać też będzie groza podążająca jego śladem.

Charlie zerknęła odruchowo na swój cień, po czym szybko odwróciła wzrok.

W głębi korytarza wisiał olejny obraz przedstawiający ciemnowłosą kobietę spoczywającą na kanapie, w koronie wysadzonej diamentami. Jej suknia była rozpięta, ukazywała ciało nagie od pasa do stóp. Nad nią na rzemieniach zwisał ogier. Charlie odruchowo skrzywiła się, po czym szybko odwróciła spojrzenie. Nie było to jedyne dzieło sztuki budzące mieszane uczucia. Przy drzwiach wisiał obraz ukazujący rzymskiego króla pożeranego przez swoje konie. Pod kinkietem znajdował się szkic, na którym widniały rozkładające się zwłoki jelonka.

Tak jakby dom Salta potrzebował jeszcze dodatkowo budzących grozę dekoracji.

Charlie minęła potężne, imponujące schody o balustradach rzeźbionych w lwy, przeszła pod łukiem prowadzącym do głównego salonu. Dwaj barmani przygotowywali drinki. Zbici w gromadki goście sączyli drinki. Gangsterzy stali tam ramię w ramię z akademikami; artyści sceniczni gawędzili z mistykami. Umbromancja była nową gałęzią nauki, jej praktycy byli wygłodniali jak ich cienie trzepoczące w tyle za nimi, tworzące kształty peleryn lub owinięte wokół ich ciał niczym węże. Inne pozostawały nieco w tyle za swoimi właścicielami, uwiązane tylko na srebrnej smyczy. Wyglądały przez okna, przynosiły drinki. Jeden z cieni sięgnął też na jej tacę, zgarnął z niej endywię, nim zdążyła choćby się zatrzymać. Znieruchomiła chwilę potem, stłumiła przekleństwo, bo niemal nie upuściła tacy.

To był żarcik. I przypomnienie, że choć ona sama spięta jest do granic, choć walczy o życie – nie tylko swoje – dla większości zgromadzonych pomroków to tylko impreza.

Powstrzymała więc złość, zajrzała natomiast ukradkiem do wielkiej sali balowej, wznoszącej się na dwa piętra. Dostrzegła tam ubranego we frak Salta, który stał przy jednej z czterech monstrualnych kanap, pogrążony w konwersacji z kilkoma starszymi umbromantami. Adeline w eleganckiej, obcisłej czarnej sukni stojącą przy łupkowym kominku, w którym płonął zielony i błękitny ogień. Nad gzymsem kominka wisiał ogromny pejzaż leśny. Dopiero po dokładniejszym przyjrzeniu się można było

stwierdzić, że pośród pni przemyka mnóstwo cieni, których paszcze są głębokimi ranami, a ich szare kończyny nikną w gąszczu paproci.

Było tam też dwóch innych członków Kabały. Bellamy stał w kącie, natomiast Malik wyglądał niczym udzielny władca. Jego kręcone włosy zostały przyglądzone po bokach i przyozdobione lśniąca złotą nicią, cień powiewał nad nim niczym sztandar.

Trio w zwierzęcych maskach grało muzykę klasyczną. Sowa na skrzypcach, lisica na wiolonczeli. Niedźwiedź na wioli. Przez okno widać było ogród, a w nim lampiony rozświetlające marmurowe, zawołowane posągi.

Charlie próbowała sobie wyobrazić czternastoletniego chłopaka dorastającego w takim domu. Pośród takiego bogactwa i przepychu. W atmosferze absolutnej deprawacji.

Charlie dokonała swojego obchodu, ukradkiem zjadła resztkę przekąsek, miała więc pretekst, by ruszyć z powrotem do kuchni. Odstawiła srebrną tacę na marmurową wyspę, aby inni pracownicy przetarli ją i z powrotem napełnili. Korzystając z okazji, zgarnęła swój plecak.

Potem poszła prosto do biblioteki.

Pamiętała ten dom jak przez mgłę, niewyraźnie, bardziej jak koszmar senny niż prawdziwe wydarzenie. Pamiętała też ten głos, który rozlegał się tak blisko, choć nie czuła oddechu na karku. Przestronne komnaty łączące się ze sobą w labirynt.

Bibliotekę z ukrytym przejściem prowadzącym do skarbcza, w którym był sejf. Bibliotekę, w której zarzygała dywan i w której o mało nie umarła.

Gdy do niej zajrzała, zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących w skórzanych fotelach; byli pogrążeni w ożywionej dyskusji, jeden z nich gestykulował, trzymając w dłoni kieliszek koniaku. Obok drugiego stało puste naczynie, leżała serweta. Obaj sprawiali wrażenie, że rozgościli się tu na dobre.

Charlie musiała się ich pozbyć i to prędko.

– Bardzo pana przepraszam – powiedziała, przykucnęła przed tym, który wydawał jej się bardziej nadęty. – Przepraszam najmocniej, ale jakaś pani o pana pyta. Taka wysoka, rudowłosa. Bardzo ładna. Opisała mi pana i powiedziała, że jeśli pana zobaczę, to mam pana powiadomić.

Facet zrobił dość szczególną minę, od razu wstał.

– Zaraz wracam – oznajmił swojemu towarzyszowi, ale ten wstał również.

– Rozejrzę się za drinkiem – powiedział z nieco nazbyt widoczną ulgą. Charlie nagle zorientowała się, że zapewne ocaliła kogoś przed zakusami straszliwego nudziarza.

Charlie podniosła zgniecioną serwetę, by ścierać wyimaginowane okruszki, dopóki nie zostanie sama. Potem szybko podeszła do wyłącznika i zgasiła światło, tak żeby zniechęcić innych gości do wchodzenia.

Wyciągnęła z plecaka rękawiczki oraz okulary, bez szkieł, a za to wyposażone w światelka po obu stronach. Dzięki nim jej twarz stawała się dla kamer monitoringu zamazaną białą plamą pośród czerni, natomiast światło pozwalało Charlie działać w ciemności.

Podeszła do ściany książek. Czerwień i złoto. Czerwień i złoto. Jakieś płomienie, tytuł zaczynający się na I. Nie mogła znaleźć dźwigni. Poruszyła jedną i drugą książkę o czerwonym grzbiecie, ze złotym tytułem, do niczego to nie doprowadziło. A potem ją zauważyła, półkę niżej i trochę bardziej w lewo. Inferno. Poruszyła ją, a półka drgnęła, otwierając wejście do mniejszej biblioteki oraz widok na obraz, za którym krył się sejf.

Charlie znalazła się w sekretnym pomieszczeniu. Tutaj regały wypełnione były starszymi książkami. Pamięć tamtego zdarzenia wróciła z całą wyrazistością, jakby nie minęło tyle czasu, jakby znów była tamtą przerażoną dziewczynką. Szorstki dotyk wełny na policzku, mokre wymiociny, głos rozlegający się za jej plecami.

Tylko się nie odwracaj.

Od zapachu buraków wciąż robiło jej się niedobrze.

Charlie stąpała po onyksowych płytkach, patrzyła na zawartość regałów. Memuary, notesy, czasopisma naukowe. I księgi, każda warta, by ją ukraść. Mistyczne odkrycia Tovildy Gare, tuż obok *Wyznania* Nigela Lucy'ego, *Magus* oraz *Diarios* Juana Pedro Marii Ugartego. Książki i księgi, po portugalsku, chińsku, arabsku, po łacinie i po grecku, całe pół regału po francusku. Swędziały ją palce, żeby zgarnąć kilka pierwszych z brzegu i wrzucić do torby.

Zamknęła za sobą wejście, rozejrzała się za okablowaniem, które mogłoby oznaczać nieprzyjemną niespodziankę.

Nie natrafiła na nic, co by ją zaniepokoiło, podjęła więc eksplorację ukrytego pomieszczenia.

Iluzjonistycznie namalowany martwy kozioł z wyprutymi wnętrznościami oraz owocami granatu wisiał nad klubowym fotelem, jedynym meblem w tym pomieszczeniu.

Obmacała krawędź tego paskudnego obrazu. Natrafiła na zawiasy, po drugiej stronie nie było żadnego zamka czy blokady.

Obraz poruszał się bezszelestnie; odsłoniła sejf w ścianie.

Sejf marki Stockinger, znanej z solidnych wyrobów wykonywanych na zamówienie, ze wszystkimi szykanami oferowanymi przez inne luksusowe firmy, takie jak Buben & Zorweg czy Agresti. Z automatem do nakręcania zegarków, wyłożonymi filcem drewnianymi szufladkami, za to bez żalosnych wydziwiań, złotych neowiktoriańskich ozdóbek w stylu Boka do Lobo. Stockinger traktuje poważnie swoich klientów, bo są

nimi zazwyczaj bardzo poważni ludzie. Pośrodku drzwi pokrętko, obok lśniący uchwyt z wygrawerowanymi inicjałami Lionela Salta. Obok klawiatura. Większość współczesnych sejfów wyposażona jest w mechanizm cyfrowy, cały romantyzm dobierania się do kas pancernych odszedł bezpowrotnie w przeszłość. Żadnego nasłuchiwanie przez stetoskop ledwo dosłyszalnej różnicy w kliknięciu, kiedy właściwa zapadka wskakuje w odpowiednie miejsce. Sejfy cyfrowe pozbawione są jakiegokolwiek romantyzmu i prawie nie da się ich otworzyć, nie posiadając właściwego kodu.

Odetchnęła głęboko, zresetowała zamek, przekręcając pokrętko w prawo, potem poruszyła nim w przeciwnym kierunku. Usłyszała pierwsze kliknięcie przy piątce. Potem znów zresetowała, znowu przekręciła, aż uzyskała pięć liczb: dwa, cztery, pięć, sześćdziesiąt trzy i siedem. Była ich pewna. Tak pewna, jak tylko mogła być.

Nie miała natomiast najmniejszego pojęcia, jaka powinna być kolejność. A pięć liczb oznaczało pięć bębnow, pięć wewnętrznych kół oraz sto dwadzieścia możliwych kombinacji. Mogła jedynie próbować ich po kolei, podczas gdy kropelki potu spływały po jej czole i skroniach. Czas płynął, na dole odbywało się przyjęcie, w każdej chwili ktoś mógł ją przyłapać.

Charlie usłyszała wreszcie szcęknięcie rygła, kiedy odblokował się mechanizm. Odetchnęła, przekręciła uchwyt.

W połowie stawiał opór.

Potem rozbłysła cyfrowa klawiatura, błyskając mocnym, zielonym światłem.

Charlie spoglądała na nią z niedowierzaniem. Ten sejf był zarówno mechaniczny, jak i cyfrowy. Poczowała ogarniający ją lodowaty strach. Nie wiedziała przecież, czy ma ograniczony czas na wprowadzenie kodu, czy może próbować w nieskończoność. Tego rodzaju sejfy najczęściej ograniczają liczbę prób do trzech, potem blokują się i uruchamiają alarm.

Na dnie plecaka odnalazła latarkę świecącą promieniami UV. Wyłączyła lampki okularów. Oświetliła klawiaturę ultrafioletem.

Mało kto czyści klawisze po użyciu. W niebieskim świetle widoczne były ślady tłuszczu zostawione przez palce, w ten sposób mogła wyeliminować część kombinacji.

Dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem.

Te same cyfry co w analogu. Już chciała wpisać je w tej samej kolejności, która sprawdziła się przy pokrętkle, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Ślady na dwójce i szóstce były wyraźniejsze, co sugerowało, że te cyfry się powtarzały i że kod jest co najmniej siedmiocyfrowy.

Aby złamać zabezpieczenie analogowego mechanizmu, należy zrozumieć maszynę. Pokonanie cyfrowego sejfów wymaga zrozumienia osoby, która ułożyła kod. Czy to

ktoś, kto wybrałby przypadkową kombinację, a potem zapisał ją na kartce i schował gdzieś pod ręką? A może obmyślił nieprzypadkowy zestaw, który łatwiej zapamiętać? Lionel Salt był kimś, kto musiał być lepszy od innych. Świadczyło o tym wszystko, od rzeźbionych poręczy przy schodach, po okropne obrazy i skłonność do mordowania dla zabawy.

A więc nie jego urodziny, bo to by mu przypominało, ile ma lat i że jest śmiertelnikiem. Nie jego imię z cyframi podstawionymi pod litery, bo nawet on by wiedział, że to zbyt oczywiste. Może jednak jakieś inne słowo? Struposz? Cień? Umbromancja?

Nagle ją oświeciło.

Kluczem jest porzucenie wszelką nadzieję.

Porzucenie wszelką nadzieję. *Abandon all hope*. Litery na klawiszach, dwójka i szóstka wykorzystane po cztery razy. Saltowi musiała się spodobać myśl, że klucz jest nawiązaniem do książki otwierającej tajemne drzwi i fragmentem najsłynniejszego cytatu z *Piekieła* Dantego. Tak słynnym, że znała go nawet Charlie, choć nigdy nie czytała *Boskiej komedii*. „Porzucenie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzić”. Na pewno Salt był zachwycony swoją przebiegłością.

Nie zwracając uwagi na to, że pociły jej się dłonie, zapisała cyframi słowa na zakurzonych onyksowych płytkach podłogi: 2 2 2 6 3 6 6 2 5 5 4 6 7 3.

Ostrożnie wystukała kod na wciąż miarowo błyskającej klawiaturze. Rozległ się krótki elektroniczny odgłos, biiip, jakby za chwilę miał zawyc alarm. A potem odblokował się drugi mechanizm.

Znów przekreśliła uchwyt. Z wnętrza sejfu bił nikły blask, w którym ujrzała kilka półek i szufladki. Charlie wysunęła jedną z nich. Znalazła woreczek pełen diamentów. W następnej – złoty pistolet. A na samym dnie to, po co tu przyszła, przedmiot owinięty tkaniną. Szybko dokonała zamiany, przedmiot wcisnęła na samo dno plecaka, mając nadzieję, że nie popełnia największego błędu w swoim życiu.

Potem w zaciszu ukrytej komnaty Salta wydobyła swój strój wieczorowy. Suzie Lambton, jedyna osoba, do której szafy miała chwilowo dostęp, nosiła ubrania w zupełnie innym rozmiarze. Jednak Charlie wciąż jeszcze miała klucz do *Rapture* i była to wyjątkowa okazja, by pożyczyć sobie ten czerwony satynowy kostium porzucony na zapleczu. Wystarczyło nieco naciągnąć materiał, pasował na nią jak druga skóra. Do tego jeszcze wyzywająco czerwona szminka i Charlie już wyglądała, jakby dopiero co przybyła na przyjęcie, nie zaś zajmowała się przez ostatnią godzinę okradaniem gospodarza.

Nim wyszła, włożyła na palce złączone ze sobą trzy pierścienie z onyksami, a otrzymany od Murraya sztylet wsunęła za biustonosz. Umocowała go dodatkowo

taśmą klejącą, by w razie potrzeby móc szybko po niego sięgnąć. Czekwała na euforię po przyplywie adrenaliny, ale ta nie nadeszła.

Charlie już miała zamknąć sejf, kiedy dostrzegła w jego tylnej ścianie, w górnym rogu, tajemniczy czarny przycisk. Czyżby za sejfem kryło się coś jeszcze? Skrytka, której dotąd nie zauważyła?

Daj sobie spokój, Charlie Hall. Nie musisz wtykać palców między każde drzwi.

Jednak ten głos rozsądku dotarł do niej z zamierzchłej epoki, z czasów, kiedy jeszcze nie zdecydowała się postawić wszystkiego na jedną kartę. Dotknęła przycisku.

Coś szcęknęło po jej lewej stronie. Otworzyła się kolejna półka z książkami, ukazując korytarz. Musiał się ciągnąć wzdłuż ściany domu.

Charlie sprawdziła godzinę na telefonie. Do siedziby Salta weszła o wpół do siódmej. Od Joségo wiedziała, że przyjęcie oficjalnie ma trwać do godziny dziesiątej, natomiast o ósmej trzydzieści przewidziano szampana i uroczysty toast. Była siódma czterdzieści pięć. Czyli czasu pozostało niewiele.

Jednak Charlie wstąpiła w mrok.

Włączyła na nowo lampki przy okularach. W ich świetle ujrzała wewnątrz trochę przypominające piwnicę na wino, a trochę mauzoleum. Na podłodze również onyksowe kafelki. Przed sobą zobaczyła dwie zakratowane komórki, naprzeciwko nich drzwi. Podłogę rozcinało zagłębienie biegnące wzdłuż krat, płonęły w nim niebieskie gazowe płomyki. Powietrze pachniało zgnilizną i kadzidłem.

Znów poczuła pot na dłoniach i czole. To była niedobra adrenalina. Taka, od której Charlie robiła się nerwowa, a nie skupiona, coś ścisnęło ją w żołądku i drżały dłonie.

To wyglądało na nawiedzone miejsce.

Tak czy inaczej, należało je zbadać. Miękkie podeszwy butów wydawały cichy odgłos na podłodze. Komórki – cele – były na tyle głębokie, że lampki Charlie nie przenikały ich mroku.

Na ścianie wisiały różnego rodzaju więzy i okowy. Lina z onyksowymi koralikami. Para kajdanek wyłożona od wewnątrz niebieskim jedwabiem, do materiału mocno przyszyto prostokątne onyksowe płytki. Wyżej, na półce, stały onyksowe pojemniki.

Drzwi po drugiej stronie były lekko uchylone, za nimi migotało jakieś kolorowe światło. Pchnęła je lekko stopą, znalazła się przed szeregiem ekranów. Wewnętrzny monitoring domu.

Uwijający się w kuchni pracownicy cateringu. Goście snujący się po pokojach. Hierofant rozmawiający z Vicereine, zupełnie spokojny.

Charlie przyglądała mu się przez chwilę, w nadziei na jakąś wskazówkę. Dopatrzyła się jednak najwyżej tego, że był jeszcze chudszy i bladziej niż zwykle.

W innym pomieszczeniu obściskujący się dwaj faceci, jeden o zamglonym konturze. Czy tamten całował własny cień? Cień kogoś innego? Tego nie było widać.

Na zewnątrz w ogrodzie kłóciło się trzech mężczyzn. Jeden trzymał drugiego za koszulę, ich cienie wznosiły się za nimi wysoko niczym pióra walczących pawi.

Salt przechadzający się po pokojach z drinkiem w dłoni, spokojny i zadowolony, bo przecież wszystko przebiega po jego myśli. Przez chwilę Charlie serce zabiło mocniej, bo spojrział prosto w kamerę. Jednocześnie odnotowała godzinę: w prawym górnym rogu wyświetlały się cyfry 07:52.

– Charlie? – Rozległ się głos Vince’a w ciemności.

Odwróciła się gwałtownie.

Był w celi, stał tuż za kratami. Barczysty, o włosach barwy starego złota. Lekki uśmiech na ustach. Taki, jaki zapamiętała.

– Co ci się stało w oko? – spytał.

– Czekaj – powiedziała, odczuła taką ulgę na jego widok, że głos jej się załamał. – Wyciągnę cię stąd.

Zanim Charlie mogła się zająć zamkiem, należało wyłączyć ten gaz. Prawdopodobnie to była pułapka, w momencie otworzenia drzwi powstanie zaporą ogniową. Musiał jednak istnieć jakiś sposób, żeby to wyłączyć.

Charlie się zawahała. Coś jej w tym wszystkim nie pasowało, nie dawało spokoju.

Blade, zapadnięte oczy śledziły jej ruchy. Chciała wierzyć, że w tej celi siedzi Vince, za kratami z onyksu, za dzielącą ich ogniową zaporą. Nie były to jednak przeszkody stworzone z myślą o powstrzymaniu człowieka.

– Ty nie jesteś Vince, prawda? – spytała półgłosem. Podeszła do krat.

Milczenie w celi stanowiło odpowiedź.

Charlie popatrzyła struposzowi w oczy.

– Ty jesteś jego cieniem. Ty jesteś Red.

GŁUPIEC, MAG I HIEROFANT

Dopiero gdy uderzyła plecami o ścianę, zdała sobie sprawę, jak daleko od celi się cofnęła.

– Znalazłeś *Liber Noctis* – zdołała wykrztusić. – Przeprowadziłeś rytuał.

– Bo wyglądam jak człowiek? – spytał cień. – Edmund mnie takim uczynił.

– Nie, tego by nie zrobił. – Jej głos zabrzmiał zbyt piskliwie. Nie wiedziała, jak się odnosić do tej istoty, która przed nią stała. To był sobowtór. Odbicie w lustrze, które ożyło. Frankenstein poskładany z części Vince’a. Oczy sowy, kolce jeża, psi pysk i puch nietoperza. – On tu jest? Żyje?

Cień wzruszył ramionami. Nawet wyraz twarzy miał taki jak Vince, nieco zatroskany. Doskonale skrojony garnitur, który miał na sobie, był koloru jego oczu.

– My się znamy. Pamiętasz mnie?

Tylko się nie odwracaj.

Charlie milczała przez dłuższą chwilę. Już przedtem się nad tym zastanawiała, ale trudno jej było uwierzyć.

– W bibliotece.

– Pewnie wolałabyś, żeby to Remy cię uratował – stwierdził cień półgłosem. – A nie Red.

Charlie nie odpowiedziała. Owszem, naiwnie pragnęła takiego romansu, jaki chiromanta mógłby wyczytać na jej dłoni. Miłości z wyroku przeznaczenia zapoczątkowanej jeszcze w dzieciństwie. Miłość, ta rodzinna religia, wpojona Charlie, kiedy jeszcze była za mała, by się bronić przed tak zgubną dla jej duszy wiarą.

– Nawet wtedy... Już wtedy byłeś struposzem?

Cień skinął głową, nie podejmując tematu.

– I zabijałeś ludzi dla Salta.

Jej głos był twardy.

– Tak – odpowiedział cień.

Musiała przypomnieć obojgu z nich, że nie jest jakąś głupią i naiwną gęsią, która mu zaufa tylko dlatego, że w odległej przeszłości zdarzyło się coś nietypowego.

– Powiedz, czy Adama potraktowałeś w specjalny sposób? Wypatroszyłeś go jak indyka, aż nasiąkała nim wersalka, i potem jeszcze pomazałeś ściany jego krwią? Czy

zawsze w ten sposób to załatwiasz?

Cień podszedł bliżej krat.

– Jak to, Adama?

– Chyba pamiętasz faceta, którego ukatrupiłeś na mojej wersalce w dość drastyczny sposób.

Cień spoglądał na nią z chyba prawdziwą grozą.

– Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobił. Nigdy.

Charlie nie mogła znieść, że cień wygląda zupełnie tak samo jak Vince i że tak bardzo chciałyby mu zaufać.

– Bystra jesteś – powiedział cień z tym samym smutnym uśmiechem. – A ja nie jestem przyzwyczajony, żeby się tłumaczyć. Przedtem niewiele mówiłem. Chyba nie jestem w tym dobry.

– Spróbuj – zaproponowała Charlie.

– Źle się stało, że musiałaś tu przyjść. – Cień był smutny i zmęczony. Charlie nie wiedziała, czy to dlatego, że jest uwięziony, czy osłabia go ciało. – Skoro odeszłaś, nie powinnaś nigdy tu wracać. Mówiłem ci już tamtej nocy.

– I co, mam zgarnąć do wozu siostrę, matkę i wiać z miasta? Mam pozwolić, żeby Salt wygrał? Żeby coś zrobił Vince'owi, nawet nie wiem co?

– Tak – powiedział tonem bardziej stanowczym, niż oczekiwała. – On sobie poradzi.

– Nie powinien być do tego zmuszony – stwierdziła Charlie.

– On cię porzucił – zauważył cień.

– I ciebie też, prawda? – spytała Charlie. – To cię musi wkurzać, najpierw cię stworzył, a potem zrzucił z siebie, jakby wyszedł z poczwarki. Zostawił samego.

Teraz Red patrzył na nią oczami Vince'a z lekkim rozbawieniem.

– Powstałem z jego gniewu. A co ty myślałaś?

– Nie wiem – odpowiedziała Charlie, nie chcąc mu pozwolić, aby ją zbił z tropu. – Nic o tobie nie wiem.

Odwrócił twarz, już się nie uśmiechał.

– Zawsze się zajmowałem tym, z czym on sobie nie radził. Otrzymałem wszystko, co mu przeszkadzało: chęć sprawiania bólu, przerażenie tym, do czego nas zmuszał Salt. Wycuciem tego, co czują inni ludzie, gdy się dzieje coś złego. Stałem się silny, żeby on nie musiał być silny. A więc owszem, byłem wściekły, kiedy odszedł, ale kochałem Remy'ego bez względu na to, co zrobił i co ja za jego sprawą musiałem robić.

Charlie przeszedł dreszcz.

Red mówił dalej.

– Nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co się działo, kiedy spełniałem zlecenie przez jego dziadka zadania, więc poprosiłem go, żeby się ode mnie odłączył. Wtedy nie wiedzieliśmy, na czym taki proces polega, ale okazało się, że to działa. Za każdym razem, gdy do niego wracałem, byłem silniejszy niż przedtem. Coraz bardziej materialny, przez coraz dłuższy czas. Utrzymywaliśmy to w tajemnicy przed Saltem. Adeline wiedziała, ale dochowała naszego sekretu.

– Dlatego że ona i Vince byli ze sobą tak blisko – odpowiedziała Charlie.

Opuścił głowę.

– Wszyscy troje byliśmy kiedyś blisko. Może zbyt blisko. W końcu mieliśmy tylko siebie.

Dotarło do niej, co słyszała tamtej nocy. Ten chłopięcy głos. On cię nie lubi. A potem słowa wypowiedziane przez dziewczynę: nieprawda. Mamy swoje zabawy. Z tobą nigdy by się tak nie bawił.

W tym wszystkim było jakieś zło, czaiło się pod powierzchnią, lecz Charlie nie miała dość odwagi, żeby spytać.

Spojrzała w stronę monitorów. Widać było, że zaczęły się przemówienia. Miała już mało czasu.

– Gdzie jest Vince? – spytała.

Cień znów popatrzył na nią bladymi oczami Vince'a i znów przeszedł ją od tego dreszcz. Poczucie, że coś w tym wszystkim jest nie tak, stało się jeszcze silniejsze.

– Znam ten dom – powiedział Red. – Mógłbym powiedzieć ci, jak się z niego wydostać, tak żeby nikt nie wiedział, że w ogóle tu byłaś.

– Nie odejdę stąd bez Vince'a – powiedziała Charlie. – Mówiłeś, że jest ci bliski. Pomóż mi go ocalić. Pomóż mi go znaleźć.

– Zrobiłbym dla ciebie wszystko, Char – odpowiedział. – Ale o to mnie nie prosź.

Tylko jedna osoba na świecie nazywała ją Char.

– Nie. Ty nim nie jesteś. Przestań go udawać.

– Char – powtórzył.

– Gdzie on jest? – powtórzyła pytanie.

– Przecież wiesz – odpowiedział.

Nie chciała się z tym pogodzić. Vince skręcił Hermesowi kark i pozbył się trupa. Czyścił miejsca zbrodni. Jedno i drugie nie pasowało do Remy'ego. Pasowało za to znakomicie do Reda.

– Ale Vince upozorował swoją śmierć – powiedziała. – A może Salt ją dla niego upozorował. Uciekł. Dwa dni temu był w hotelowym pokoju...

Cień milczał.

Nie tak łatwo upozorować zgon. Zwłoki identyfikuje się po użębieniu. Po śladach przebytych operacji czy złamań. Na podstawie szczątków śledczy potrafią stwierdzić bardzo dużo – płeć, wiek, wzrost. I jest przecież DNA.

Owszem, Salt mógł kogoś przekupić, mógł przekupić wiele osób, żeby to wszystko załatwić. Istniało jednak inne wytłumaczenie: spalony trup w samochodzie to był rzeczywiście Edmund Carver, natomiast osoba, którą Charlie знаła, wcale nim nie była.

Cień nie przybrał postaci Vince'a. Cień był Vince'em. Vince'em złożonym z odrzuconych przez Edmunda Carvera części jego osobowości, ochłapów z jego stołu, jego przeciwieństwem, lustrzanym odbiciem, nocnym duchem.

I miał rację, w gruncie rzeczy wiedziała to od chwili, kiedy zobaczyła jego wyraz twarzy na wzmiankę o zamordowaniu Adama. Wiedziała, ale nie potrafiła tego zaakceptować. Charlie Hall nie umiała się pogodzić z tym, jak wyglądało rozwiązanie zagadki, bo nie chciała jej rozwiązać.

– Kiedy Salt pchnął Remy'ego nożem, kiedy umierał – podjął Vince – kiedy Adeline krzyczała, Remy mnie pochwycił i przyciągnął do siebie, by mi oddać swoją krew, całą swoją siłę. Potem jego krew stała się moją krwią. Ostatnie tchnienie wydał do moich ust. Przez chwilę nie pojmowałem, jak to możliwe, że jestem nagi, że czuję pod sobą zimną podłogę. Potem uciekłem. Obudziłem się po wielu godzinach pod jakimś wiaduktem, leżałem na asfalcie i potłuczonym szkle. Nie wiedziałem, jak tam się znalazłem. A potem musiałem się nauczyć, jak być człowiekiem i nie przestawać nim być. Postarałem się. Dla ciebie.

Charlie przypomniała sobie słowa wypowiedziane podczas ich ostatniej kłótni, jedynej prawdziwej kłótni: „Chciałbym móc powiedzieć, że było mi przykro. Że zamierzałem być wobec ciebie szczery, ale to nieprawda. Wcale nie chciałem być szczery. Chciałem tylko, żeby to, co ci mówiłem o sobie, było prawdą”.

Teraz, gdy wiedziała, co się kryło pod jego maską, rozumiała, dlaczego nie chciał tej maski zdjąć.

– I nadałeś sobie imię Vincent – stwierdziła Charlie.

– Imię to jedyna rzecz, której Remy mi nie dał, którą sam sobie wziąłem – odpowiedział cień, unosząc głowę, jakby gotów poddać się jej osądowi.

Z korytarza dobiegł odgłos uruchomionej maszynery. Ktoś otwierał drzwi tajnej komnaty za biblioteką. Za chwilę wejdzie do korytarza, w którym stała Charlie.

– Vince – powiedziała.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Schowaj się – powiedział.

Charlie przemknęła do ciemnego pokoju z monitorami, ukryła się za skórzaną kanapą; jednocześnie w korytarzu rozległy się kroki. Ile razy na tej kanapie siadał Salt i przyglądał się jakimś potwornym scenom rozgrywającym się na ekranach? Rand mógł umrzeć właśnie w jednej z tych cel. Charlie też mogła.

Mogła wtedy i mogła teraz, jeśli nie będzie ostrożna.

– Red. – Kobięcy głos, a w nim miękkość i niepokój. Adeline. – Dopiero teraz mi powiedział, że tu jesteś. Zrobił ci coś złego?

Nie odezwał się.

– Wiem. Powinam odejść, kiedy ty odszedłeś – powiedziała, westchnęła ciężko. – Musisz strasznie się na mnie gniewać.

Vince mówił spokojnym tonem, ale zarazem słychać było w jego głosie stłumione emocje.

– Kiedy zmarła jego matka, postanowił zrobić wszystko, żeby świat się dowiedział, co zrobił twój ojciec. Mogłaś ostrzec Remy’ego.

– Nie mogłam, bo nie wiedziałam. Skąd miałam wiedzieć, że ona przedawkuje? Myślałam, że ma się coraz lepiej. Wszyscy tak myśleliśmy.

– Dobrze wiesz, dlaczego jej stan się nie poprawił – stwierdził Vince. – Właśnie o to chodziło twojemu ojcu, żeby jej się nie polepszyło, a potem, żeby umarła.

Vince mówił o rodzinie, której nie uważał za swoją. Jego matka. Twój ojciec. Jedyną osobą, z którą czuł się spokrewniony, był Remy.

– Przysięgam, że o tym wszystkim nic nie wiedziałam.

W korytarzu było ciemno, Charlie uznała, że warto spróbować się prześlizgnąć za Adeline, dopóki będzie zajęta rozmową. Wysunęła się cichutko zza kanapy. Jednak gdy się zbliżyła do drzwi, Charlie ogarnęło z wątpienie.

Może należało walnąć czymś Adeline w głowę i potem próbować wydostać Vince’a z więzienia. Jednak jeśli Adeline nie miała klucza – przecież ani ona, ani Vince nie zachowywali się tak, jakby istniała opcja jego uwolnienia – to wszystko szlag trafi.

Charlie powoli przeszła za plecami Adeline.

– Jeszcze możesz mi pomóc – powiedział miękko Vince.

Nie patrzył w stronę Charlie, tylko w zupełnie innym kierunku, a więc musiał ją zauważyć.

Adeline dotknęła prętu onyksowej kraty.

– Ale jak?

Charlie była już na tyle daleko, że nie dosłyszała odpowiedzi Vince’a. Może się myliła, sądząc, że nie powinien ufać Adeline.

Jeśli plan Charlie wypali, nie będzie to miało znaczenia. Wróci tu z młotkiem i kocem przeciwpożarowym, żeby Vince’a wydostać z celi. Zrobi to. Zrobi to, chociaż

się go boi.

Charlie uchyliła drzwi, znalazła się po drugiej stronie. Potem przeszła do biblioteki. Teraz należało jak najszybciej wydostać się z domu i spotkać z Posey. Nie mogła przestać myśleć o tym, jak wtedy Red prowadził ją przez rezydencję.

Tylko się nie odwracaj.

Co by zobaczyła, gdyby jednak spojrzała za siebie? Może tylko mroczną smugę, jakby ducha. A może jakąś pośrednią istotę, coś między chłopcem a cieniem.

Nie odwracaj się.

Znalazła się w cieplarni. Między pomalowanymi na biało żelaznymi meblami wznosiły się wielkie rośliny o woskowatych liściach. Przez okna widać było ogród. Charlie wyjęła telefon, wysłała wiadomość. Sprawdziła godzinę: ósma szesnaście. Czternaście minut na to, co trzeba było zrobić, i nie mogła sobie pozwolić na najdrobniejszy błąd.

Dowiedziała się przynajmniej jednego. Jeśli to nie Red był strupozsem od mokrej roboty, stało się jasne, kto wykonywał zlecenia Salta.

Uchyliła przeszklone drzwi, wysunęła się na zewnątrz. Posey czekała na nią pod domem, zdyszana.

– Udało się.

Widać było przelęknienie w jej oczach.

– Dalej jesteś pewna, że tego chcesz? – spytała Charlie.

– To ty masz być pewna – zaprotestowała Posey, chociaż widać było, że się boi, i to nie tylko tego, że mogą je przyłapać. – Wciąż jeszcze możemy po prostu stąd odejść.

Odejść. Czy nie tak postępowwała przez całe lata? Odeszła swoją drogą, udając przed sobą, że nie przeraziła ją śmierć Randa. Udając, że nie pamięta. Że nie ma poczucia winy, choć przeżyła.

Potem uciekła w tak zwane zwyczajne życie, wmawiając sobie, że przestanie być złodziejką z powodu postrzału, z powodu tego, że straciła wyczucie – zamiast przyznać, że przestraszyło ją, jak łatwo i bezwzględnie zemściła się za zdradę Marka. Nigdy się nie bała bólu czy śmierci. Bardziej ją przestraszyło, do czego jest zdolna, nie tylko w dochodzeniu do rozwiązania zagadki, lecz przede wszystkim w tym, że gotowa jest na dosłownie wszystko, byle osiągnąć cel. Bała się więc tego, co mogłaby jeszcze zrobić, gdyby tylko zechciała.

Od kiedy zaczęła udawać, że przemawia przez nią Alonso, i udało jej się dzięki temu pozbyć Travisa, bała się siebie samej.

Ktoś musiał trzymać ją w ryzach, więc z braku takiej osoby Charlie sama się tym zajęła. Zaczęła sabotować wszystko, co szło zbyt dobrze. Jej dywersja polegała na tym,

że wybierała niewłaściwych facetów, narażała się pracodawcom na tyle, że ją wyrzucali z roboty. Że zawsze musiała wszystko spieprzyć.

Charlie przez całe życie odchodziła, unikała, odwracała się.

Usiadła na trawie.

Posey siadła obok, ich stopy się zetknęły. Charlie wydobyła onyksowy sztylet.

– Gotowa? – spytała.

Posey skinęła głową.

Charlie nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać, ale cięcia w ogóle nie poczuła. Największym problemem były kiepskie światło i brak doświadczenia. Odetchnęła z ulgą, kiedy zrobiła swoje, a resztą zajęła się Posey.

Przez okna widziała, że Salt staje przed zgromadzonymi gośćmi z kieliszkiem szampana w dłoni. Zapewne właśnie dziękował im wszystkim za przybycie oraz Kabale za przyjęcie w poczet swoich członków.

Charlie wstała, trudno jej było stwierdzić, jak się czuje. Nie, nie lżejsza. I nie czuła się mniej sobą. Ale coś się zmieniło.

Może rzeczywiście każdemu jest coś pisane i przeznaczenie można wyczytać w kartach? Może istnieje coś takiego jak fatum – pomyślała. Dlatego może Charlie powinna przestać walczyć ze swoim.

Zerknęła jeszcze ostatni raz na Posey, po czym otworzyła szklane drzwi prowadzące do wielkiej sali. Powiew zimnego wiatru, który wpadł za nią, poruszył białymi zasłonami, zatrzepotały jak żagle. Rozmowy umilkły, zdmuchnięte nim jak świece. Spojrzenia umbromantów skierowały się w jej stronę.

Nie spodziewała się, że urządzi sobie tak dramatyczne wejście.

Stała przy drzwiach, nie posunęła się dalej. Pilnowała, żeby światło padało na nią z przodu.

– Dzień dobry – powiedziała, jej głos niósł się echem w wysoko sklepionej sali. Zabrzmiał beztrzesko, choć wszyscy na nią patrzyli. – Przepraszam za spóźnienie.

– Charlie Hall – odezwał się Lionel Salt. Był wściekły, bo mu przerwała i nawet nie próbował tego ukryć. – Nie spodziewałem się, że przyjdiesz.

Czuła napięcie w plecach, kręgosłupie, ramionach. Z całą pewnością nie spodziewał się jej przybycia. Rzucił przerażającą groźbę i wyznaczył zadanie, którego nie można było spełnić. Spodziewał się, że Charlie będzie gdziekolwiek, ale na pewno nie na tym przyjęciu. Jeśli miała choć odrobinę oleju w głowie, związałyby z miasta, przynajmniej na kilka tygodni. A najlepiej na zawsze.

Jednak nawet jeśli Charlie posiadała coś na kształt instynktu samozachowawczego, był on całkiem innego rodzaju.

– Sam pan powiedział, co się stanie, jeśli nie przyjdę.

Kilka przyciszonych rozmów rozbrzmiało teraz nieco głośniej. Pogawędka jest przecież duszą każdego przyjęcia.

Jeden z muzyków – ten w sowej masce – ruszył w stronę wyjścia, niósł ze sobą instrument. Kelner szepnął coś do Joségo, pokazał ręką. José wziął ze srebrnej tacy tartinkę, zjadł ją. Cóż, to wydarzenie nie poprawi jej reputacji wśród kolegów.

Hierofant znajdował się w przeciwległym końcu sali, już zmierzał w stronę Charlie. Oczy miał bardziej zapadnięte niż kiedykolwiek. Usta przybrały sinawy odcień.

– Z początku sądziłam, że to jakiś występ artystyczny, że to było zaplanowane. Ale raczej nie, popatrzcie tylko na minę Lionela – odezwała się Vicereine. Przedstawicielka modyfikatorów ubrana była we frak, jej cień przybrał kształt wielkiego drapieżnego kota. – Czy to jakieś nieporozumienie?

Salt odkaszlnął.

– Zatrudniłem ją, żeby odzyskała dla mnie pewną księgę, a mianowicie *Liber Noctis*. To był klejnot mojej kolekcji i liczyłem, że zdołam tę księgę dziś wieczór wam pokazać. A więc, panno Hall, czy przyniosła pani moją księgę?

– Tak – odpowiedziała.

Uśmiechnął się z satysfakcją kogoś, kto zaszachował przeciwnika.

– W takim razie proszę podejść i mi ją oddać.

Zaaranżował przecież sytuację, z której nie miała żadnego wyjścia. Miała tylko księgę, a raczej notes, który należał do Knighta Singha. Mogła mu ją wręczyć, pewnie by się nawet ucieszył, skoro w okładce ukryte były jego własnoręczne zapiski niejako stanowiące przyznanie się do zbrodni. Jednak cokolwiek by mu dała, zawsze mógł jej zarzucić oszustwo i stwierdzić, że próbuje mu wcisnąć coś bezwartościowego zamiast bezcennej zguby.

Charlie odczekała jeszcze chwilę, pozwalając Saltowi rozkoszować się swoim tryumfem. Potem sięgnęła do plecaczka i wyciągnęła z niego to, co znalazła w sejfie. Księgę, która leżała tam przez cały czas. Najprawdziwszą *Liber Noctis*. Wypolerowany metal okładki zabłysł w świetle żyrandoli, jego odbłask rozszczepił się w kryształkach, tworząc na suficie maleńkie tęcze.

Uśmiech znikł z twarzy Salta w jednej chwili, jakby ktoś go spoliczkował.

– Skąd...

– Ukradłam – przerwała mu Charlie. – Taki mój zawód. Chciał pan, żebym ją zdobyła, no to jest.

Hierofant wyciągnął po księgę blade, drżące palce.

– Moje. Te sekrety do mnie należą.

CHARLATAN

Był tak blisko, że Charlie czuła kwaśny odór potu hierofanta. Uniosła księgę, spojrziała na Salta.

– Tak? Mam mu ją przekazać?

– Nie! – warknął Salt, potem dostrzegł coś w twarzy hierofanta, więc dodał łagodniejszym tonem: – Proszę zwrócić ją mnie, sprawdzę, czy to autentyk.

– Aha, więc nie dawać jej temu panu?

– Ile razy mam powtarzać – obruszył się Salt. – Proszę mi natychmiast oddać tę księgę.

Właśnie w tym momencie tak wiele mogło pójść źle i była tylko jedna szansa, że się uda. Wszyscy obecni patrzyli na nią i na Salta. Vicereine znajdowała się blisko, jednak wciąż jeszcze przekonana, że to jakiś zabawny i błahy incydent.

– Ależ zapewniam, że to najprawdziwsza w świecie *Liber Noctis* – powiedziała Charlie. – Gwarancją autentyczności jest fakt, że znalazłam ją w pańskim sejfie, razem z certyfikatem wystawionym przez Sotheby's oraz pokwitowaniem. Księga nie wydostała się poza ściany pańskiego domu. Pan tylko rozpuścił wieść, że ją skradziono.

– To prawda? – wychrypiał hierofant.

Salt szedł w stronę Charlie, dzięki czemu mógł już zniżyć głos, już nie wszyscy zebrani mogli go słyszeć.

– Nie musimy tej kwestii omawiać publicznie.

Charlie z początku nie mogła dociec, po co Salt zlecił jej misję, której spełnić się nie dało, i jeszcze dodatkowo ją utrudnił, wyznaczając niemożliwie krótki termin. Musiał być pewny, że Charlie nie zdoła dokonać tej kradzieży. Tymczasem na właściwy trop naprowadziła ją opinia wyrażona na temat *Liber Noctis* przez Knighta Singha. Gdyby w księdze naprawdę opisano rytuał pozwalający nadać struposzowi ludzki kształt, wtedy to wszystko nie miałoby sensu.

Tylko że takiego rytuału tam nie zamieszczono. Pod tym względem księga była zupełnie bezużyteczna i Knight to właśnie stwierdził.

Salt jednak potrzebował nie rytuału, lecz pogłoski, za pomocą której nakłonił struposza, by dla niego pracował. Wymagało to jednak, by księga nigdy nie wpadła

w ręce żywego cienia, ale wydawała się celem możliwym do zdobycia. Dlatego rozeszła się wieść o kradzieży rzekomo dokonanej przez Edmunda Carvera, który nie mógł temu zaprzeczyć, bo nie żył. Potem nowy trop – Paul Ecco. Teraz zaś najnowsza przynęta, Charlie Hall.

Gdyby się nie pokazała, Salt przekonałaby hierofanta, że uciekła z księgą i się ukryła. Charlie skończyłaby tak samo jak inni, z flakami rozmazanymi na suficie.

Mogła ewentualnie zjawić się na przyjęciu i przyznać, że nie udało jej się znaleźć księgi. Rezultat byłby taki sam, Salt oskarżyłby ją, że ukrywa *Liber Noctis* – i znowu flaki na suficie.

Salt po prostu potrzebował kogoś, na kogo mógłby skierować uwagę hierofanta. Kogokolwiek, byle to nie był on sam. To znaczyło, że wie, gdzie się znajduje księga. Wiedział zaś stąd, że wciąż ją miał, to było najprostsze wyjaśnienie. Wątpliwości ogarnęły ją, kiedy zobaczyła Reda uwięzionego w celi. Przez chwilę sądziła, że się myli w każdej kwestii. Potem jednak sobie uświadomiła, że Red jest przecież żywym dowodem. Że jego istnienie jest podstawowym argumentem, dzięki któremu Saltowi udało się zdobyć zaufanie hierofanta. Red stał się człowiekiem, czym potwierdził istnienie rytuału.

– Nie, omówimy to tutaj – odpowiedziała Charlie. – Popełnił pan kilka morderstw. Na przykład jest pan winien śmierci Knighta Singha. Nie mam ochoty stać się kolejną ofiarą.

Przez tłum przeszedł szmer. To już nie były żarty, nie jakiś błahy spór między gościem a gospodarzem. Takie oskarżenie wymagało zainteresowania ze strony Kabały.

– No, już. – Salt szarpnął ją za ramię.

– Co powiedziała ta młoda dama? – spytał Malik. Zbliżył się do nich razem z kilkoma osobami. Otoczyli Salta, prawdopodobnie stało się to przypadkiem, jednak wyraźnie sygnalizowało zmianę nastroju.

Gdy Salt pod groźbą użycia broni zmusił ją, by wsiadła do samochodu, dowiedziała się o nim najważniejszego: że bardziej niż cegokolwiek pożąda kontroli, pewnie bardziej nawet niż władzy. I że oczekuje bezwzględności posłuszeństwa od osób, które uważa za pośledniejsze od siebie.

Wypuścił na nią swój cień. Znajdował się na tyle blisko, że może nie wszyscy w tłumie to widzieli, jednak Charlie poczuła dotknięcie na policzku i ramieniu, jakby muśnięcie firanki poruszonej powiewem wiatru.

Zdążyła tylko cicho krzyknąć, gdy cień wniknął w jej skórę. Czuła, jak się wysila w jej wnętrzu, jak próbuje ją do czegoś zmusić. Że ma się odezwać, a jej język sformułować słowa, którymi wszystkiemu zaprzeczy.

Dawno temu, kiedy Rand przywiózł Charlie do domu Salta, ćwiczyła wywracanie gałek ocznych, jakby była opętana; gotowa była przemówić głosem nie z tego świata. Od czasów Alonsa dziwnie łatwo przychodziło jej stawać się kimś innym niż Charlie Hall. Teraz miała okazję znów się w to zabawić.

– Pijana jestem! – zawołała głosem niższym od swojego. – I kłamię! Pijana kłamczucha, to ja! No i trochę nie lubię naszego fantastycznego, superprzystojnego Lionela Salta, który w ogóle nie jest mordercą, ani trochę! I nie, nie, nie, wcale nie próbuje mnie opętać swoim cieniem!

Gapił się na nią z otwartymi ustami. Wszyscy zaś patrzyli na jego cień, nachylony nad nią, rzucający wyzwanie prawom fizyki.

– No, pożartowaliśmy, a teraz niech pan już wyjdzie z mojej głowy, panie Salt – odezwała się swoim zwyczajnym głosem.

Wokół rozległ się śmiech. Teraz Charlie już mogła sobie pozwolić, żeby odejść od zionącego mrokiem wyjścia do ogrodu i dać innym dostrzec, co się w niej zmieniło, co utraciła.

Osoby pozbawionej cienia nie da się kontrolować. Drzwi zamknięte, wstępu nie ma.

Charlie nie mogłaby przecież stawić czoła Saltowi, gdyby on mógł ją opętać. Zaskakująco trudno jej było się zdecydować na rozstanie z cieniem, jednak przyszyła go do stóp Posey i liczyła, że siostra odpowiednio się nim zajmie. Charlie nie powinna stać się umbromantką. Jej przeznaczeniem było to, co robiła teraz.

– Lionelu – odezwała się Vicereine. – Nieładnie.

– Chciałem ją zmusić, żeby wyznała prawdę – odpowiedział Salt, czerwony ze złości. Udało mu się jednak zachować spokojny ton głosu, jakby zaszło zaledwie drobne i krępujące nieporozumienie. – Nie powinienem tego robić, ale ktoś ją wprowadził w błąd.

– Czy coś ci wiadomo na temat śmierci członka Kabały? – spytał Malik. – Bo jeśli tak, to poważna sprawa, niezależnie od tego, na ile rzeczywiście jesteś w nią zamieszany.

– Nie zamierzałem o tym opowiadać, nie tu i nie teraz – odrzekł Salt, rozejrzał się, poirytowany. – Ale owszem, razem z hierofantem tropiliśmy zabójcę Knighta Singha. I wytropiliśmy.

– Och, czyżby złapał sam siebie? – zawołała Charlie. – Bo to on załatwił Knighta, na pański rozkaz.

– Milcz – wyrzeźbił hierofant.

Salt jadowitym tonem zwrócił się do Charlie:

– Hierofant wiernie służył Kabale. Kimże ty jesteś, złodziejko, żeby kwestionować jego lojalność?

– Stephen, o co tu chodzi? – spytał Bellamy, przyglądając się uważnie hierofantowi. Posłużył się ludzkim imieniem, imieniem człowieka, który z pewnością już nie panował nad swoim ciałem. Świadczyło o tym nie tylko to, jak mówił, ale także jego wygląd. Nie dało się zaprzeczyć, że jest ludzkim wrakiem, z którego coś wysysa energię.

– Ona kłamie – stęknął hierofant.

Salt spoglądał na Charlie z udawanym politowaniem.

– Ach, tak. Nasz chłopaczyna ci to wmówił, prawda? Oszustka oszukana. Cóż, nie ty pierwsza – zwrócił się do pozostałych, najwyraźniej odzyskując przekonanie, że i tym razem mu się uda.

– Może jednak byśmy to omówili na osobności? Chcę wam coś pokazać. Coś, co chciałbym, żeby zostało między nami.

Vicereine i Malik spojrzeli na siebie. Malik skinął głową Bellamy’emu.

– Tak, chyba tak będzie lepiej – stwierdziła Vicereine, zerknęła na Charlie. – Chwileczkę, jak się pani nazywa...?

– Charlie – przedstawiła się. – Charlie Hall.

– Pani Hall, obiecuję, że wysłuchamy oskarżeń i wydamy osąd.

Malik skinął głową.

Bellamy przyglądał się jej z zaciekawieniem.

– Potrafimy być sprawiedliwi.

Charlie nie wątpiła, że potrafią, nie miała natomiast wcale pewności, czy rzeczywiście będą.

– Przenieśmy się do biblioteki – podjął Salt. – Wszystko wyjaśnię. – Skinął na młodego człowieka w garniturze i krawacie. – Przyprawadźcie mi go. Tylko w kajdankach.

Zgromadzeni umbromanci spoglądali za nimi; ten i ów próbował zatrzymać członków Kabały, chcąc się dowiedzieć czegoś więcej. Niektórzy komentowali, niektórzy się śmiali. Hierofant szedł za nimi, wciąż spoglądając na książkę w rękach Charlie.

– Ty – syknął do niej półgłosem Salt. – Jesteś tylko chrząstką, którą zmiażdżę w zębach.

Starła się nie zwracać na niego uwagi, zignorować zimny dreszcz, który ją przeszedł. Tylko próbował ją nastraszyć. Tylko liczył, że Charlie spanikuje.

Nieprzyjemnie było znów się znaleźć w bibliotece, jej spojrzenie automatycznie powędrowało ku plamie na dywanie. Trwało to jednak tylko chwilę, bo natychmiast spostrzegła Vince’a stojącego przy regale, z rękami skrepowanymi onyksowymi więzami, tymi samymi, które widziała rozwieszane na ścianie w ukrytym korytarzu.

Dostrzegła desperację w jego szarych oczach. Widok szerokich ramion, ciemnozłotych włosów i gniewnie zaciętych ust sprawił, że zabolą ją serce.

– Char – odezwał się. – Trzeba było uciec, kiedy jeszcze mogłaś.

Odwróciła się, bo nie była pewna, czy zdoła zrobić to, co miała zrobić, kiedy on na nią patrzył.

– A któż to? – zdziwił się Malik.

– Edmund, jego wnuk – odpowiedział Bellamy, przyglądając się Vince’owi, jakby sam sobie próbował coś wmówić. – Ale myślałem, że on nie żyje.

– O, do tego jeszcze dojdziemy – zapewnił Salt.

Do pomieszczenia weszła Adeline w długiej czarnej sukni, przysiadła na podłokietniku jednego z foteli.

– Ktoś z państwa życzy sobie drinka?

Charlie potrząsnęła głową, miała dosyć napojów podawanych w tym domu. Vicereine usadowiła się na krześle obok Adeline.

– No dobrze, Lionelu. Wyjaśnij nam teraz wszystko.

Był wyluzowany, zadowolony z siebie. Charlie pomyślała, że chyba nawet dobrze się czuje w tej roli.

– Nawiązałem kontakt z hierofantem, ponieważ połączył nas wspólny interes. Morderca Knighta Singha to zarazem zabójca mojego wnuka. Stoi przed wami i przybrał jego postać, ale to nie on. Widzicie jego cień.

– To niemożliwe – powiedział Malik.

– Chce pan powiedzieć, że ten człowiek jest struposzem? – zawołał Bellamy, podszedł do Vince’a.

Vince spochmurniał, ale się nie cofnął.

Bellamy wyciągnął rękę. Cofnął ją niemal natychmiast po tym, jak dotknął ramienia Vince’a. Odwrócił się do Vicereine, która milczała.

– Mój wnuk przejawiał zupełnie nieortodoksyjne podejście do magii. Traktował swój cień jako zupełnie odrębną istotę, wręcz pozwalał mu podejmować decyzje dotyczące ich obu. W końcu cień stał się na tyle niezależny, że mógł go oszukać.

– Oszukać? – powtórzył Bellamy, bardziej zaintrygowany niż zdziwiony. Różnego rodzaju tajemnice interesowały magów z cechu masek najbardziej ze wszystkiego. Tworzyli karkołomne teorie i najbardziej spośród pomrocznych specjalności przywodzili na myśl szalonych naukowców, jakich się ogląda na filmach. Charlie zawsze przypuszczała, że to mieszanina wszystkich innych specjalności, w każdym razie nie dziwiło ją, że ktoś taki jak Vince może być dla nich szczególnie interesujący.

– Oszukał, bo nakłonił do przeprowadzenia rytuału z książki, fatalnego w skutkach...

Charlie przerwała mu:

– Nieprawda. To pan zabił Remy’ego.

– On ci to powiedział? – spytał Salt współczującym tonem. – Posłużył się życiem Remy’ego i stworzył tę skorupę, w której się kryje. Potem umknął z księgą i zaczął mordować wszystkich, którzy o niej wiedzieli. Pewnego antykwariusza. Knighta, który miał dostęp do *Liber Noctis* w Sotheby’s. I wreszcie złodzieja, którego wynająłem, by mu księgę odebrał.

Wszystko to brzmiało całkiem spójnie, w dodatku Vince tylko słuchał i niczemu nie zaprzeczał. Charlie czuła, że traci kontrolę nad sytuacją.

– Bo widzisz, moja droga, cienie kłamią – perorował dalej Salt. – Gdy ktoś ci przyfastryguje struposza, ten będzie ci szeptać do ucha i każdy umbromanta wie, że nie wolno wierzyć we wszystko, co mówi. Dlatego to taki ciężar, gdy trzeba nosić cień kogoś innego.

Charlie zerknęła na hierofanta. Salt najwyraźniej dobrze się bawił, ale on nie.

– Oboje twierdzicie, że rozwiązaliście zagadkę morderstwa. Pan mówi, że to struposz i jest on odpowiedzialny za wszystkie zabójstwa – powiedział Malik do Salta, potem odezwał się do Charlie: – Pani natomiast z jakiegoś powodu twierdzi, że dokonali tego Lionel i Stephen, tak?

Skinęła głową, znów zerknęła na milczącego Vince’a.

– Knight to nie pierwszy umbromanta, którego zabił Lionel Salt.

Salt uśmiechnął się i wstał, przeszedł przez pokój, najwyraźniej przekonany, że już zwyciężył.

– Pozwólcie, że przedstawię dowody przemawiające za moją wersją wydarzeń. Adeline, moja droga, jakie imię nadał Edmund swojemu cieniowi?

Charlie ubrana była w ten kolor. Czerwień, szkarłat maków i poderżniętych gardeł.

Adeline uśmiechnęła się do niej.

– Red.

– A jaki napis pojawił się na ścianach w miejscu, gdzie zabity został Adam Lokken, ten złodziej, którego nająłem? – zwrócił się teraz do Charlie.

– Owszem, tam widniało słowo „red” – przyznała. – Wymazane krwią. Tyle że to nie był podpis, a pogróżka skierowana do Vincenta, bo wówczas hierofant sądził, że to on ma księgę.

– Vincenta? – powtórzył Bellamy.

– Chodzi o mnie – wtrącił Vince.

Adeline drgnęła nerwowo, inni też byli zaskoczeni, tak jakby nie spodziewali się, że Vince potrafi mówić.

– A czy nie jest bardziej prawdopodobne, że struposz chełpił się swoim tryumfem i chciał, by wszyscy się dowiedzieli, kto zamordował Adama, i po prostu zostawił

swoją krwawą sygnaturę? – spytał Salt. – Tymczasem hierofant, przypominam, nie wykazał się skłonnością do przelewu krwi.

– Gównu prawda – zaoponował Charlie.

Salt nie spuszczał z niej wzroku spod półprzymkniętych powiek.

– No dobrze. Jak daleko mieszkał Red od miejsca, w którym zamordowano Paula Ecco?

– Kilka przecznic, ale co to ma wspólnego...

– A jak blisko mieszkał Red od miejsca, w którym zginął Adam Lokken?

Charlie westchnęła, zniecierpliwiona.

– Owszem, mieszkał w domu, w którym to się zdarzyło, ale nie wtedy. Wyprowadził się, nie było go już tam od paru dni.

– A z kim mieszkał w tym domu, zanim odszedł?

– Ze mną.

– Czy nie jest więc bardziej prawdopodobne, że po prostu dostałaś księgę od Reda, niż że zdołałaś się przedrzeć przez wszystkie zabezpieczenia i włamać do mojego sejfu?

– Mogę pokazać, jak to zrobiłam – zapewniła Charlie słodkim głosem.

– Tak – odpowiedział Salt. – I w ten sposób dochodzimy do kolejnej kwestii. Nie sądzisz, że miał szczególny powód, żeby wdrzeć się do twojego życia? Że masz coś, czego szczególnie pragnął?

Charlie popatrzyła Saltowi prosto w oczy.

– No nie wiem. Może cycki?

Te słowa sprawiły, że napięcie nieco zelżało. Vicereine parsknęła. Bellamy się uśmiechnął. Salt jednak nie ustępował.

– A może jednak chodziło mu o to, że jesteś renomowaną złodziejką? Niejaką Charlatan, która się wycofała i przestała przyjmować zlecenia akurat wtedy, kiedy spotkała Reda.

Charlie z trudem odetchnęła. Wiedzieli i przedtem, że jest złodziejką, jednak teraz pewnie się zorientowali, że każde z nich mogło ponieść jakieś straty z jej powodu. Co prawda zrealizowała dwa zlecenia na rzecz Vicereine, ale pozostali tylko ucierpieli.

Już po tobie, Charlie Hall. Teraz już ci nie uwierzą. Należało się domyślić, że miliarder może być oszustem pierwszej klasy.

– Powiedz nam, czy poinformował cię, że jest żywym cieniem? – wypytywał dalej Salt. – A może podał fałszywe imię i zmyśloną historię, tak fałszywą jak jego twarz?

Charlie przypomniała się opowieść o cieniu uczonego, który uwiódł księżniczkę. I pamiętała wygłodniałe usta Vince'a na swoich wargach. I jak to było pieprzyć się z nim.

– Wiem, kim jest Vince – oświadczyła Charlie. – I wiem, kim pan jest. Otruł mnie pan, kiedy miałam piętnaście lat. Pańscy ludzie gonili mnie w lesie. Więc niech mi pan nie opowiada o fałszywych twarzach.

Bellamy uniósł brwi. Adeline spojrzała na Vince'a, jakby szukając u niego potwierdzenia. Charlie jednak nie łudziła się, by którekolwiek z członków Kabały obeszło coś, co zdarzyło się ponad dekadę wcześniej i to komuś, kto nie był pomrokiem. Nawet gdyby jej uwierzyli.

Chciała jednak, żeby Salt wiedział.

– A więc masz do mnie żal – powiedział współczującym tonem, co było wyjątkową bezczelnością, ale jednocześnie sprytnym posunięciem. Wsunąć nogę w drzwi, przyznać się do czegoś złego, żeby myśleli, że nadeszła chwila prawdy, a potem wyprzeć się tego, co istotne.

Starał się obciążyc Vince'a i był w tym wyjątkowo przekonujący. Salt przytoczył niezbite fakty, które w rzeczy samej dało się interpretować na jego korzyść. I był bogaczem, a to zawsze pomaga, Vince natomiast dziwadłem i potworem. Kto by takiemu wierzył?

Świadomość, że może jej się nie udać odwrócić tego wszystkiego, sprawiała, że jeszcze bardziej się denerwowała.

– I cóż? – spytał Malik Vince'a. – Zabiłeś tych ludzi? Już wiemy, że umiesz mówić.

Vince popatrzył na niego beznamiętnym wzrokiem. Charlie przyszło na myśl, że w jego ocenie sytuacja może się przedstawiać jeszcze gorzej.

– Byłem cieniem Remy'ego. Nigdy bym go nie skrzywdził. I nie tknąłem Knighta Singha.

– Masz coś do dodania, Stephen? – spytała Vicereine. – Dziwnie się ostatnio zachowywałeś.

– Źle sypiam – wyznał Stephen. – Dręczą mnie koszmary.

Bellamy dotknął jego ramienia, hierofant zadrżał.

– Rozumiem swoją karę – powiedział Stephen. – Jedyne, czego pragnę, to spełnić wydany na mnie wyrok.

– Czy zamordowałaś umbromantę?

Pokręcił głową.

– Nie, poluję na struposzy. I dlatego szukałem Reda. Tylko Reda.

W połowie drugiego zdania Charlie dosłyszała, że przemawia coś innego. Była drobna różnica, łatwo było ją przegapić, jeśli ktoś nie słuchał uważnie.

– Dlaczego tak cię interesuje *Liber Noctis*? – spytała Vicereine.

Hierofant rozłożył ramiona.

– Lionel obiecał, że będę mógł ją przeczytać. To by mi pomogło w mojej pracy.

Od jak dawna ten struposz hierofanta skazany był na ciągłe niepowodzenia, wciąż o krok od sukcesu, zmuszony do polowania na swoich pobratymców? Charlie mogłaby mu współczuć, gdyby nie świadomość, że marzy tylko o jednym: żeby ją rozszarpać na strzępy.

Salt odkaslnął.

– Red zwodzi, to stwór powstały z zawiści i zepsucia oraz nienawiści, które mój wnuk na niego przerzucał. Sączyl słodkie słówka do uszu tej biednej dziewczyny. Skończmy tę żenującą rozmowę i wróćmy na przyjęcie. Cień mojego wnuka pozostanie w swoich okowach, a jutro możecie zdecydować, co z nim zrobić. Jutro czy któregoś innego dnia.

– Zaraz! – zawołała Charlie. – Mogę udowodnić, że wyjęłam tę księgę z sejfu. Mogę wam pokazać, gdzie jest sejf, i mogę go otworzyć.

– Nie jestem pewien, czy... – zaczął Malik.

– Już proponowałam przedtem, że to zrobię – przerwała mu Charlie. – Jakoś nikt na to nie zwrócił uwagi, a to będzie dowód, że mówię prawdę. Zresztą jeśli chodzi o dowody, to jeden już mam. Tym dowodem jest *Liber Noctis*.

– Dowodem, który może równie dobrze świadczyć na twoją niekorzyść – stwierdził Salt. – No i pamiętaj, że moim dowodem jest Red.

– Pozwólcie mi zademonstrować – powiedziała Charlie. – Proszę.

Vicereine zerknęła na Salta.

– Czy to może być prawda?

– Absolutnie nie – odpowiedział z uśmiechem. – Do mojego sejfu nikt się nie zdoła włamać. Ma tę księgę, bo Red ją ukradł.

Bellamy uniósł brwi.

– W takim razie, czemu nie? Zrobimy sobie mały pokaz, a potem będziemy mogli dołączyć do reszty gości.

Charlie czuła, jak pocałowała jej dłonie. Odłożyła *Liber Noctis* na stolik, w pobliżu którego stał hierofant, kątem oka spostrzegła, że postąpił krok w jego stronę.

– Niech będzie – powiedział Salt. – Bierz się do pracy, złodziejko.

Podeszła do regału i pociągnęła za *Inferno* Dantego. Wejście się otworzyło.

– Interesujące – stwierdziła Vicereine.

– Owszem – odpowiedział Salt. – Lubię ten pokoik.

Charlie podeszła do obrazu i odsłoniła sejf. Potem rozpoczęła pracę. Znała już kody, ale postanowiła urządzić prawdziwy pokaz, toteż udała, że szuka ich na nowo. Chodziło o efekt i o to, by nieco zyskać na czasie. Widziała, że są pod wrażeniem, kiedy przekreśliła uchwyt do połowy.

– A co znajdziemy wewnątrz? – spytał Malik.

– Złoto. Diamenty. Jak to w sejfie – odpowiedziała mu Charlie.

Salt uśmiechnął się szerzej. Cofnął się o parę kroków, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Przyszedł czas na cyfrową blokadę. Charlie uważnie wstukała kod. Popatrzyła na Kabałę, Vince'a, odetchnęła głęboko i przekreśliła uchwyt.

Rozległ się alarm, wypełniając pomieszczenie odgłosem syreny. Salt podszedł, wbił inny kod, odgłos alarmu umilkł.

– Pan to uruchomił – rzuciła oskarżycielskim tonem.

Potrząsnął głową, oczy mu błyszczały od satysfakcji z wygranej.

– To żałosne. Po prostu ci się nie udało i tyle.

– Dobrze, to proszę otworzyć sejf – podsunęła Charlie, z sercem bijącym jak oszalałe. – Proszę udowodnić, że to nie pan włączył alarm.

– Doskonale, jeszcze ten jeden raz zrobię, jak sobie życzysz – oświadczył, rozkoszując się tą chwilą tak bardzo, że aż ją przeciągał. Wprowadził dokładnie ten sam kod, którego użyła. Przekreślił uchwyt i drzwi sejfu stanęły otworem.

Oczywiście, telefon. Sięgnął po niego, kiedy zajęta była sejfem i włączył alarm. Ona robiła pokaz, a on znalazł sposób, żeby go zepsuć.

– Przykro mi, że wątpiliśmy w pana słowa – powiedział Malik do Salta. – Jednak rozumie pan, że musieliśmy...

– Chwileczkę – powiedziała Vicereine, odsunęła go bezceremonialnie. – Znam ten zeszyt.

Wyciągnęła z sejfu notes Knighta Singha, razem z odręcznymi notatkami Salta opisującymi jego zbrodnie, wetkniętymi byle jak za oderwaną okładkę. Znalazła zapiski tam, gdzie Charlie je zostawiła, zabrawszy uprzednio *Liber Noctis*.

– To... – zaczął Salt, ale zabrakło mu słów.

Charlie wiedziała, jak podejść Salta, od dnia, który spędziła w jego towarzystwie. Wpadła na sposób już wtedy, choć jeszcze nie przypuszczała, jak bardzo się to okaże przydatne. Należało mu pozwolić na tryumf. Niech zwycięży, niech ma poczucie, że dominuje. Jest tak pewny swojej wyższości nad innymi, że sam wlezie w zastawioną na niego pułapkę.

Wiedział, że naprawdę dobrała się do sejfu, musiała więc znać kod, a jednak dał się podpuścić, wziął przedłużające się gmeranie przy pokrętłach za nieudolność.

Wiedział, że Charlie potrafi otworzyć ten sejf, ale nie przyszło mu do głowy, że domyśli się sztuczki z telefonem.

– Nie wiem, co to takiego. Na pewno pani Hall to podrzuciła. – Salt wreszcie odzyskał mowę, bo wreszcie dotarło do niego, że musi na kogoś zwalić pojawienie się notesu Knighta w jego zamkniętym sejfie.

Lionel Salt był człowiekiem, który snuł dalekosiężne plany. Charlie była pewna, że ma przygotowane wykręty na wszelkie możliwe zarzuty dotyczące jego zbrodni i potrafi przeinaczyć wiele faktów. Nikt jednak nie może przewidzieć podrzuconego dowodu rzeczowego.

– Jak to, przecież twierdzi pan, że nie mogłam się włamać do tego sejfu? – przypomniała mu Charlie. – O tym właśnie przed chwilą rozmawialiśmy i tego podobno pan dowiódł. A więc jak to w końcu jest: czy ukrył pan *Liber Noctis* tutaj, a ja księgę ukradłam i podłożyłam zamiast niej w pańskim sejfie coś innego? Czy może skłamałam, jeśli chodzi o *Liber Noctis*, a pan kłamie teraz?

Lionel Salt spojrział na hierofanta. Potwierdzenie tego pierwszego zarzutu mniej go obciążało w oczach magów, ale równałoby się ze stwierdzeniem, że oszukał starego i bardzo potężnego struposza.

Vicereine przeglądała kartki wyciągnięte zza okładki notesu Knighta. Charlie nie była pewna, czy Salt je już skojarzył, natomiast po wyrazie twarzy Vicereine widać było, że właśnie dotarło do niej ich znaczenie.

Malik zmarszczył czoło.

– Chyba nadszedł czas, Lionelu, abyśmy jako Kabała zamienili z tobą i Stephenem kilka słów na osobności.

Salt sięgnął do kieszeni i wyszarpnął z niej swój matowoczarny pistolet, skierował jego lufę prosto w Charlie.

– Źle zrobiłaś, wchodząc mi w drogę, Charlatan...

Charlie zamarła. Koci cień Vicereine zaryczał, trzy cienie skoczyły od strony Malika, szczerząc długie kły. Bellamy dobył miecza z mroku.

– Lionelu – rzekł Malik. – To zbyt ciężkie.

Stojący za Saltem Vince podniósł ręce i kajdany się rozpadły, ich szczątki posypały się na podłogę. Z nieludzką zwinnością podskoczył, w następnej chwili już przytknął ostrze noża do gardła Salta.

Adeline wydała dziwny dźwięk, który najbardziej przypominał skrzek.

Odgłosy przyjęcia dobiegały z bardzo daleka.

– Powiedziałaś, że stworzyła mnie nienawiść. – Vince mówił prosto do ucha Salta. – I to prawda, bo nienawidzę cię. Za Remy'ego, którego krew jest moją krwią, którego ciało jest moim ciałem i którego nienawiść jest moją nienawiścią. Za Char, która przeżyje dzisiejszą noc. Wyceluj gdzie indziej, bo coś złego ci się stanie i będę cię ranić, dopóki nie zostanie już nic oprócz ran.

– Nie możesz... – wybełkotał drżącym głosem Salt.

– Wybacz mi, Char. – Na twarzy Vince'a pojawił się ten sam smutny uśmiešek. – Od początku się na to zanosilo. Wiedziałem, że da mi szansę, żeby się zbliżył.

Charlie powinna zorientować się wcześniej, jeszcze kiedy przyszli do biblioteki i czekał tam Vince. Coś się zdarzyło. Powinna się zorientować, bo był sam, ten facet w garniturze gdzieś zniknął. Powinna była skojarzyć, co Vince wyprodukował w hotelu, przecież znalazła ślady. Fałszywy onyks. Lipne kajdany, które niby trzymały go w ryzach, lecz w każdej chwili mógł się z nich uwolnić.

Wiedział, że Salt zechce go pokazać Kabale. Nie wiedział o Charlie, ale spotkania z Kabałą był pewien. Zamierzał rozerwać kajdany i zabić Salta, nim ktokolwiek zdoła go powstrzymać. A co potem?

Vince docisnął ostrze noża, po szyi Salta pociekła krew niczym łza.

Salt wydał z siebie gardłowy odgłos, jego ręka zadrżała, lecz nie upuścił glocka.

Jednak lufa pistoletu już nie mierzyła prosto w jej twarz. Charlie odetchnęła.

– Rzuć pistolet, Lionelu – powiedziała Vicereine. – A struposz cofnie nóż, prawda?

– Czy aby na pewno prawda? – podjął niedbałym tonem Vince. – Ja nie zamierzałem niczego rzucać.

Twarcz Lionela była trupio blada. Jego oczy spoglądały to tu, to tam, gorączkowo, desperacko. Jak bardzo musiał być zaskoczony. Malhar nazwał cienie duchami żyjących istot, lecz Vince był cieniem martwego człowieka.

Vince, który był niemalże wnukiem Salta, który z całą pewnością był upiorem mścicielem śmierci jego wnuka.

– Wyjdiesz stąd – powiedziała Charlie do Vince’a. – Ze mną. Plany się zmieniają. Kabała wie, co on zrobił. Przecież nie odpuści morderstwa dokonanego na kimś, kto do nich należał.

Vince nieznacznie, niemal niedostrzegalnie odsunął czubek noża od arterii szyjnej Salta.

– Ja nic nie zrobiłem... – Słowa uwięzły mu w gardle nagle, kiedy przed nim stanął hierofant. Stanął plecami do Salta, a jego oczy płonęły.

Struposz spoglądający oczami Stephena był prastary i pałał gniewem. Obejmował ramionami *Liber Noctis*.

– Powiedz – zażądał. – Powiedz mi o księdze. Opowiedz o jego kłamstwach.

Charlie odpowiedziała ochrypłym głosem:

– Vince prawdopodobnie wie lepiej...

– Ty – nakazał struposz.

Kiwnęła głową.

– Dobrze, dobrze. Kiedy umarł Remy, pchnął całą energię, ostatni oddech w swój cień. Dlatego Red przybrał człowieczą postać. – Patrzyła prosto w oczy hierofanta, nie pozwalając sobie na to, by jej głos zadrżał. – Na pewno chciałeś spytać o rytuał, dzięki któremu Red stał się tym, kim jest. Otóż taki rytuał nie istnieje. Nie został więc

zapisany w *Liber Noctis*. Ani nigdzie indziej. Właśnie to z początku mnie zmyliło. Dlaczego szanowny pan Salt kazał mi znaleźć księgę, która spoczywała bezpiecznie w jego sejfie?

Odetchnęła, pozwoliła sobie na powolny wydech dla dramatycznego efektu.

– Dlatego, że obiecał ci coś, czego nie mógł ci dać.

Palce hierofanta zacisnęły się na metalu, aż blacha okładki się wygięła.

– Salt cię namówił, żebyś się poddał jego woli – mówiła dalej Charlie. – Chociaż wiesz, że ten młody mężczyzna, którego opętałeś, już umiera. Niewiele pozostało w nim energii. Na próżno zabiłeś Knighta Singha. Na próżno zabiłeś Paula Ecco. Na próżno zabiłeś Adama Lokkena.

Salt zaśmiał się, choć zabrzmiało to całkiem nienaturalnie.

– A więc tylko o to chodzi? Oczywiście, że wiem, jak Red stał się tym, kim jest. Wszystko to jest zapisane w *Księdze struposzy*.

Trudno byłoby się spierać ze starcem, któremu przytknięto nóż do gardła. Postanowiła więc nie zwracać na niego uwagi.

– Red był już bardzo bliski zmaterializowania, bo Remy włożył w niego tyle swojej energii, a przy tym od lat pozwalał mu działać samodzielnie. Coraz bardziej przypominał Remy’ego, coraz dłużej utrzymywał jego kształt. Prawda, Adeline?

Córka Salta, zaskoczona, wydała z siebie nieartykułowany odgłos, jakby Charlie spytała ją o coś potwornego.

– Czyli zamordowałaś własnego wnuka? – spytała Vicereine. – I Knighta też?

– Okłamałaś mnie. – Te słowa wydobyły się niemal grzmotem z ust Stephena, zupełnie nieludzkim głosem. – Zdrajco, obedrę ciało z twoich kości. Tak się stanie...

Strzał z glocka przerwał mu w pół słowa.

Hierofant padł na dywan, krew pociekła z rany, sięgnął do niej zagiętymi palcami. Jego usta się otwały.

A nad ciałem wzniósł się cień hierofanta, coraz ogromniejszy.

– Oddech życia. – Rozbrzmiał jego głos.

Ten cień owiał ciało, które jeszcze przed chwilą zamieszkiwał. Stephen zawył i zwiotczał, jego skóra się skurczyła, ciało zwinęło. Krew wokół rany postrzałowej zastygła, skryzalizowała się w mgnieniu oka.

Cień wznosił się nad zwłokami, tryskał świeżą energią.

– O Boże – mruknęła Vicereine. – O kurwa.

Salt wyrwał się Vince’owi, przytknął dłoń do ranki na szyi.

Struposz uwolniony od hierofanta spoglądał na nich z góry, światła lamp płonących w bibliotece przygasły, bo cień je przysłonił.

– Jeśli nie dacie mi ciała, sam je wezmę.

– Musimy go powstrzymać – szepnął Malik.

– Mam broń – powiedział Salt. – Mam sposoby. Narzędzia są w tamtym korytarzu. Nie starczyło mu jednak czasu.

Hierofant rzucił się do ataku. Koci cień Vicereine skoczył mu na spotkanie z wyciągniętymi pazurami, lecz struposz jednym machnięciem odrzucił go na bok. Bellamy postąpił do przodu, wymierzył cios mieczem z cienia. Hierofant pochwycił ostrze, które przemieniło się w dym.

Charlie chwyciła Vince'a za ramię. Popatrzył na nią takim samym wzrokiem jak wtedy, tamtej chłodnej nocy, kiedy jakby nie wierzył, że ona go dotknie.

– No już – szepnęła. – Musimy uciekać. Natychmiast.

Pokręcił głową.

– Nie jestem już sługą. – Zagrzmiał głos upiora, zadudnił powiewem wichru, echem w pustej komnacie. Głosem ani trochę ludzkim. – Jam jest Cleophes, narodziłem się jako jeden z was, lecz przerosłem wasz rodzaj. Wezmę wszystko, czego zapragnę, a wy będziecie mi służyć.

Bellamy pobiegł korytarzem do sali balowej, wykrzykując słowa ostrzeżenia, z dobytym sztyletem mroku w dłoni. Trojaki cień Malika owionął ciało swojego pana, gotów na odparcie ataku.

– Dosyć ukrywania się. – Vince wziął Charlie za rękę.

Jego ciało zaczęło się mglić na krawędziach. Najpierw oczy stały się puste, potem wypełnił je dym. Potem ciemnozłote włosy przekształciły się w iskry, jak z ogniska. Ciemność wypełniła jego ciało, jakby go pożerała.

– Vince! – zawołała Charlie.

Głos Cleophesa wprowadził w drżenie całą salę, niczym wycie wiatru pośród drzew.

– Wy, którzy mnie spętaliście, których nędzna wola mnie ograniczyła i wasze nędzne ambicje, poznajcie mnie teraz!

Vince rzucił się na niego. Zwarli się w śmiertelnych zmaganiach. Cienie znikąd migają na ścianach, a tam, gdzie uderzyły, kruszył się tynk, sypał gruz. Jakiś obraz spadł ze ściany, pękła jego rama.

Dłonie hierofanta przeistoczyły się w długie szpony, ostre niczym igły. Paszcza rozwarła się, ukazując ostre kły. Pobiegł w stronę sali balowej, cień Vince'a pomknął za nim.

Charlie chciała też pobiec, jednak poczuła zimny metal dotykający tyłu jej głowy. Lufa pistoletu.

– Odwróć się – rozkazał Salt.

Odwróciła się. W całym tym zamieszaniu nikt nie pamiętał o glocku. Gdyby Salt teraz pociągnął za spust, Charlie z tak bliska nie miałyby żadnych szans, jednak dla

niego bardziej liczyła się chwila satysfakcji. Chwila, którą przeciągnął odrobinę zbyt długo.

Charlie odbiła jego ramię w bok. Padł strzał, kula ugrzęzła gdzieś w książkach, odłupała kawałek drewna.

Zamachnął się, by walnąć ją kolbą w głowę. Chwyliła jego nadgarstek i ugryzła z całej siły.

Salt zawył z bólu, opuścił broń. Charlie kopnęła pistolet, który poleciał daleko, aż pod przeciwległą ścianę biblioteki.

– Jesteś niczym – warknął. – Jesteś pyłkiem we wszechświecie. Nie potknę się przecież o pyłek!

Uderzył ją w głowę drugą ręką. Zachwiała się, uderzył znowu. Był stary, ale silny i wiedział, jak sprawiać ludziom ból.

– Szkoda, że cię nie zabiłem, kiedy była okazja.

– Żałuj, żałuj – rzuciła Charlie. – Bo teraz już ci się nie uda.

Chwylił spod kominka pogrzebacz, zamachnął się w jej stronę. Charlie zrobiła unik, złapała inne narzędzie ze stojaka. Akurat nie bardzo się nadawało na broń, bo trafiła na metalową szufelkę, ale zdołała nią sparować kolejny cios.

Metal brzęknął głośno, Charlie aż zabołało ramię.

Jedynie doświadczenia w takich pojedynkach zdobyła podczas dzieciennych zabaw z Posey, kiedy ćwiczyły szermierkę patykami. Nie był to niestety zadowalający poziom umiejętności. W tej chwili należało zadać decydujący cios, taki żeby Salt upadł i już nie wstał.

Ta myśl napawała ją zgrozą. Nienawidziła go. Ucieszyłyby się z jego śmierci. Co innego jednak własnoręcznie kogoś zabić.

Następny cios pogrzebaczem wymierzył w jej nogę. Odskoczyła w ostatniej chwili. Przecież to starzec. W końcu chyba się zmęczy?

Jednak dziki błysk w jego oczach mówił co innego. Ten starzec chciał ją powalić. Rozłupać czaszkę. Upajać się widokiem jej krwi.

Kolejny cios pogrzebacza wymierzony był prosto w jej głowę. Jednocześnie coś chwyciło ją za rękę. Rzuciła się w bok, tak że żelazny pręt tylko musnął jej biodro.

Przewróciła się na dywan.

Jego cień, cholerny cień. To on próbował obezwładnić Charlie.

Charlie poturlała się po podłodze, zdołała pochwycić pistolet. Wymierzyła go w Salta, z palcem na spuście.

Zamarł, jego cień wił się niczym kobra, poruszał tam i z powrotem na ścianie ponad nią.

Charlie wstała, wciąż mierząc do Salta.

- Nie ruszaj się.
- Chyba mnie nie zastrzelisz – rzucił kpiącym tonem.

Wolną ręką Charlie wydobyła zza stanika onyksowy nóż. Zębami zerwała z niego taśmę.

- No i co ty chcesz z tym zrobić? – Salt wyraźnie był rozbawiony.
- Ten twój cień nie jest tak zupełnie twój, co nie? Należał do jakiegoś prawdziwego umbromanty, pewnie nawet wybitnego. Innego byś sobie nie doszył.

– No i co z tego?

Przykucnęła, ciągle mierząc do niego z pistoletu.

– Tylko tyle, że może cię trochę nie lubić.

Jednym stanowczym cięciem uwolniła jego cień. Salt skoczył w tył tak szybko, że się potknął. Cień na dywanie przybrał postać czarnoszklistej kałuży, niczym plama ropy naftowej; z jego środka coś zaczęło się wznosić.

– Chyba miałeś rację, Salt. Chyba cię nie zastrzele.

Wybiegła z biblioteki akurat w chwili, kiedy Vince starł się z Cleophesem, dwie tytaniczne postacie zmagaly się na ścianie. Ktoś nie zamknął drzwi prowadzących do ogrodu, do sali wpadało chłodne powietrze, wprawiając w taniec zasłony.

– Żyję już dwieście lat – wyrzycał Cleophes głosem, jakiego Charlie dotąd nie słyszała. – I będę żyć jeszcze tysiące.

Wokół rozlegały się krzyki. Ludzie wbiegali na zewnątrz, potrącali Charlie, niektórzy dobywali onyksowej broni. Jakaś umbromantka wzniosła się na skrzydłach swojego cienia, mierząc w Cleophesa czarnym, lśniącym ostrzem. Upiór jednym ruchem zerwał cień z jej pleców, ciskając ją na zastawiony stół.

Chmara onyksowych strzał spadła na obu walczących. Groty wbiły się w fantomowe ciała. Vince zwinął się z bólu i zaskoczenia; zaraz potem strzały odpadły, zaścielając podłogę. Jeden z łuczników podbiegł, by je pozbierać. Inni nakładali nowe strzały na cięciwy.

Nie po to wróciłam, by stąd uciec.

Vince nie miał szans na przetrwanie tego starcia. Charlie widziała zęby i szpony wbijające się w jego ciało. Widziała, jak jego ruchy spowolniły, zataczał się teraz jak pijany.

Cleophes wyciągnął ręce, jego zakrzywione palce wyorały długie bruzdy w ścianach po obu stronach sali.

– Zaprzestańmy walki, Red. Razem stać się możemy najpotężniejszą mocą od czasów Masakry. Będziemy jak zmory z dawnych lat, pożremy cały wszechświat aż po jego kres.

Vicereine starała się kierować uciekających gości do wyjścia.

Malik stał na galerii, trzymał w rękach jakąś połyskującą tkaninę. Towarzyszyło mu jeszcze dwóch innych umbromantów.

Adeline wyszła na korytarz, blisko Charlie. Jej palce były umazane krwią.

Charlie zdała sobie sprawę, że Vince nie walczył na oślep. Napierał na Cleophesa, kierując go w określoną stronę. Zbierał potężne ciosy, szpony rozdzielały jego pierś, ale Vince wciąż parł przed siebie, wciąż zmuszał Cleophesa do cofania.

Zbyt późno zorientowała się, do czego zmierza.

Drżącymi dłońmi zdjęła z palców potrójny onyksowy pierścień przypominający elegancki kastet. Włożyła go z powrotem, teraz onyksem do wnętrza dłoni. Pobiegła do kominka.

Tam właśnie Vince chciał naprowadzić Cleophesa, dlatego przyjmował ciosy, chociaż mógłby ich uniknąć. Charlie czuła jakby ładunek elektryczny w powietrzu, kiedy cienie zmagaly się nad nią.

Vince skoczył na Cleophesa. Ujrzała szpony wbijające się w bok Vince'a. Potem zaś Vince przetoczył ich oba zwarte ze sobą ciała w stronę ognia. Zamierzał w ten sposób unicestwić przeciwnika, nawet gdyby miało to oznaczać, że sam spłonie. Charlie zdążyła się tam znaleźć w ostatniej chwili i pochwycić jego niematerialną postać, która za sprawą onyksu nagle nabrała wagi. Zwalił się na nią całym ciężarem, a Cleophes wydał z siebie upiorny wrzask. Płomienie objęły go w mgnieniu oka, zajął się też obraz wiszący nad kominkiem. Chwilę później Malik i jego pomocnicy zarzucili sieć z koralikami na Vince'a i Charlie.

ZŁODZIEJKA

Nawet nie pozwolili Charlie z nim porozmawiać.

Vicereine zaprowadziła ją do jadalni i zostawiła pod strażą dwóch skorupiarzy. Ktoś poczęstował ją drinkiem z barku Salta, Charlie prawdopodobnie nigdy nie piła droższej whiskey, ale nie czuła jej smaku.

Początkowo zamierzali ją zaprowadzić do biblioteki, ale tam znaleziono zwłoki Salta, z nożem do otwierania kopert wbitym w pierś.

Charlie siedziała więc i czekała, wciąż kipiała z wściekłości, adrenalina wciąż krążyła w jej żyłach. Przypatrywała się polerowanym kredensom, zdradzającemu fatalny gust srebrnemu, zdobionemu stojakowi na owoce oraz wstrętnemu olejnemu malowidłu przedstawiającemu misę pełną ściętych głów. Potem jej wzrok powędrował ku ciężkim jedwabnym draperiom z równo przeciętymi frędzlami zwisającymi nad ręcznie tkanym jedwabnym chodnikiem, który musiał mieć co najmniej ze sto lat. Widać było na nim ślady popiołu.

Świat bez Salta będzie lepszym miejscem.

Spojrzała po sobie, na swój czerwony kostium. Na nogawce spostrzegła ślady sadzy. Prawdopodobnie to sama Charlie zabrudziła cenny dywan.

– Miała pani rację – oznajmiła Vicereine, właśnie naląła sobie skocza do pękatej szklanki. – To znaczy co do Salta. I to chyba od początku do końca. Pewnie chciała to pani od kogoś usłyszeć, więc ja to pani powiem.

– Świetnie – odpowiedziała Charlie, już wstając. – W takim razie chcę porozmawiać z Vince'em.

Jeden z pomroków postąpił krok w jej stronę, Charlie westchnęła i usiadła.

Na twarzy Vicereine pojawił się wyraz ubolewania.

– Musimy się jeszcze zastanowić, co zrobimy z pani strupozsem. Jeszcze nie widzieliśmy takiego, który przybrałby całkowicie ludzką postać.

– Vince omal nie zginął. W waszej obronie.

– Zdajemy sobie z tego sprawę, naprawdę. Musi jednak pani się z tym pogodzić, że najpierw z nim porozmawiamy i wspólnie dojdziemy do jakichś decyzji. – Vicereine westchnęła. – Jest zbyt niebezpieczny, by go zlekceważyć, poza tym kto wie, ilu jeszcze takich krąży po świecie. Niech pani wraca do domu, Charlie Hall.

– Nigdzie nie pójde, dopóki nie pozwolicie mi z nim zamienić kilku słów.

Do sali weszli Bellamy i Malik, sprawiali wrażenie bardzo zmęczonych. Płaszcz Bellamy’ego był rozdarty, z pewnością od szponów cienia.

– Mogę wam pokazać sekretny donżon Salta – zaproponowała Charlie, po czym uniosła brwi. – I naprawdę potrafię otworzyć jego sejf.

– Doceniamy te propozycje, ale teraz już sobie poradzimy sami – stwierdził Malik.

– Daję pani moje słowo, nie skrzywdzimy Reda. Mamy wobec was obojga dług wdzięczności.

Charlie nie była zachwycona.

– Ach, słowo. To znaczy jasne, jestem zachwycona, ale właściwie to co mi po pańskim słowie?

Malik rzucił jej gniewne spojrzenie.

– Dla mnie jest tak fascynujący, że nie pozwolę, żeby włos mu spadł z głowy – wtrącił Bellamy i w to akurat Charlie skłonna była uwierzyć. – Może pani się z nim spotkać u mnie za trzy dni. Co pani na to?

Spojrzała na pozostałych, oczekując, że może się będą spierać, ale milczeli. Albo podjęli decyzję już wcześniej, albo pozostali nie chcieli mieć z Vince’em nic wspólnego.

– Cóż, niech będzie – powiedziała w końcu, zdając sobie sprawę, że nie ma właściwie żadnego innego wyboru. – Dobrze. Trzy dni.

Wychodząc z rezydencji Salta, zgarnęła po drodze antyczny kałamarz oraz dwa ciężkie srebrne lichtarze, które wsunęła do bufiastego rękawa.

Posey czekała na nią w samochodzie mamy, drzemała na fotelu pasażera.

Kiedy Charlie wsiadła, podskoczyła nerwowo, ale widząc, że to tylko jej siostra, ziewnęła.

– Gdzie Vince? – spytała, zerkając na czarne, usiane gwiazdami niebo, tak jakby potrafiła w ten sposób stwierdzić, która jest godzina. – Jak długo tam siedziałaś?

Charlie potrząsnęła głową.

– Jedźmy stąd. Potem ci wszystko opowiem. Musimy jeszcze zahaczyć o jedno miejsce, zanim wrócimy do domu. Pamiętasz Tinę?

Po spotkaniu z Tiną wróciły do wynajętego domu, chociaż nadal był ogrodzony policyjną taśmą. Charlie weszła przez okno do własnej sypialni, wzięła prysznic w swojej łazience i wyciągnęła się na własnym materacu. Siostra spała obok. Cięż Charlie otulił je obie.

Kiedy się zbudziła, poczuła zapach wybielacza i zdała sobie sprawę, że pościel dalej pachnie Vince’em.

Popatrzyła na swoje dłonie. Długie palce. Łuszczący się lakier na paznokciach. Zręczne paluszki, które potrafią rozpracować zamek i otworzyć sejf.

I pochwycić cień, złapać Vince'a. Gdyby nie zgadła, co planuje zrobić, gdyby nie zdążyła na czas, siłą bezwładu także wpadłby w ogień.

Nie byłoby nawet ciała.

Ta myśl sprawiła, że poczuła wewnętrzną pustkę, której nie zdołała spłukać pod prysznicem. Czuła się schwytana w potrzask tego postawionego na głowie świata, z którego on już odszedł. Spojrzała na ścianę i kafelki, i nicość tam, gdzie powinien być jej cień.

Jego brak być może istotnie zamknął jakieś drzwi. Głównie te, które mogły prowadzić do potencjalnej przyszłości, bo teraz już nie zostanie umbromantką. Wcale nie była przekonana, czy miałyby na to ochotę, ale w każdym razie teraz już klamka zapadła.

Czy Vicereine i pozostali traktowali by ją lepiej, gdyby Charlie miała obudzony cień? Czy pozwoliliby jej się spotkać z Vince'em?

Dotąd towarzyszyła jej niezachwiana pewność, że Vince będzie chciał wrócić z nią do domu, dopiero kiedy się nad tym głębiej zastanowiła, przyszło jej do głowy, że może to złudna pewność. Kiedy ją poznał, nie był przyzwyczajony do samotnego życia, miał ograniczone możliwości. Być może nie widział dla siebie innej przyszłości niż ukrywanie się przed Saltem aż do jego śmierci, teraz jednak ta przyszłość nadeszła i być może po raz pierwszy w życiu będzie mógł ją ukształtować, jak zechce.

Rzecz jasna, o ile Kabała mu na to pozwoli.

Charlie zastanawiała się, co teraz Vince myśli o tej osobie, którą się okazała Charlie Hall. Oboje kryli się z tym, do czego są zdolni, jeśli się pojawi wyzwanie. I z tym, że jak najchętniej takie wyzwania podejmują.

Kiedy była już czysta, włożyła własne ciuchy. Czekwała na Posey.

– Dostałam chyba z siedemnaście esemesów od mamy, strasznie się trzęsie o swój samochód.

Siostra wyszła ze swojej sypialni, również przebrana w czyste ubranie. Charlie popatrzyła za nią, na cień.

Posey odruchowo też tam spojrzała.

– Co, dziwnie wygląda?

– Nie wiem. A dziwnie się z nim czujesz? – spytała Charlie.

Posey bezgłośnie poruszyła ustami i cień zbliżył się, owinął na jej ramionach niczym peleryna. Sprawiał wrażenie, że mu tam dobrze. Charlie mimo woli wzdrygnęła się: ten cień tak znajomo wyglądał.

– To najlepsze, co mi się w życiu zdarzyło. Zobaczysz, jakich fajnych rzeczy się nauczę.

Oczy Posey lśniły jak chyba nigdy dotąd. Charlie nie chciała, żeby cokolwiek przyćmiło ten blask.

Podeszła do okna, otworzyła je szeroko.

– Skoro mama i Bob tak tęsknią za swoim kombiakiem, trzeba im go odwieźć. Czyli czas się ruszyć, zwłaszcza że chciałabym jeszcze wstąpić gdzieś po drodze na kawę.

– Dzięki niech będą wszystkim bogom – odpowiedziała z uczuciem Posey.

Zajechały do Small Oven Bakery, gdzie Charlie zamówiła trzy espresso w maleńkich kubeczkach, ustawiła je przed sobą jak szoty. Posey skubała lepką bułkę, jednocześnie wpatrując się w ekran telefonu.

Charlie sięgnęła po pierwsze espresso, wypić do dna.

– Ty, zobacz – powiedziała Posey i odwróciła ekran telefonu w stronę siostry.

Dziś wczesnym rankiem „Gazette” otrzymała strony z osobistego dziennika własnoręcznie zapisane najprawdopodobniej przez niejakiego Lionela Salta, bezpośrednio dotyczące kilku otwartych dochodzeń, między innymi w sprawie Rose Allaband. Zwęglone ciało Allaband zostało znalezione w spalonym samochodzie razem ze zwłokami wnuka Salta, Edmunda Carvera. Niewykluczone, że oboje byli ofiarami Salta. Informacje znajdujące się w tych notatkach powinny doprowadzić do ponownego otwarcia innych dochodzeń, między innymi w sprawach Randalla Grigorasa, Ankity Eswaran oraz Hectora Blanco. Dziennik nie tylko szczegółowo opisuje, w jaki sposób doszło do ich zgonów, ale też zawiera relacje z eksperymentów medycznych dokonanych na ich cieniach.

Biegli grafolodzy na podstawie innych próbek rękopisów dostarczonych im przez „Gazette” stwierdzają, że z pewnością rzędu 98% mogą potwierdzić autentyczność wspomnianych zapisków Salta.

Z prośbą o wyjaśnienia zwróciliśmy się do prawnych przedstawicieli pana Salta, lecz jak dotąd nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

– To ty tak załatwiłaś wielkiego Lionela Salta? – spytała z podziwem Posey. – Jak to zrobiłaś?

Charlie dokonała tego wyczynu w bardzo prosty sposób. Kiedy otworzyła sejf po raz pierwszy, spodziewała się znaleźć w nim tylko księgę *Liber Noctis*, okazało się tymczasem, że czeka tam na nią też coś innego. Notes, z którego wyrwano kilka stron.

Była przekonana, że na łamy „Hampshire Gazette” nie co dzień trafia tak sensacyjny materiał.

Charlie strzeliła drugie espresso, zaraz po nim trzecie.

– Nie ja go załatwiłam. Sam się tak urządził.

Wsobotę Charlie stawiała się na swoją zmianę do Rapture. Nie mogła jednak się skupić na pracy, raz za razem musiała prosić gości o powtórzenie zamówienia. Stłukła dwa kieliszki do wina, podpaliła absynt w szklance zamiast podpalić tylko kostkę cukru. Ta szklanka też pękła, nawet efektowniej.

Mniej więcej w połowie zmiany Odette poprosiła ją na stronę. Charlie sądziła, że dostanie jej się bura albo padnie pytanie o czerwony kostium, jednak chodziło o coś zupełnie innego. Odette mianowicie chciała jej przedstawić nowego barmana, który miał przejąć dyżury po Josém. Ku zdumieniu Charlie nowym pracownikiem okazało się Don.

– Cześć – odezwał się. – W Top Hat jest nowy menadżer, pomyślałem sobie, że fajnie będzie zmienić scenerię.

– Tutaj na pewno jest inaczej – zapewniła go Charlie, następnie zaś oprowadziła go i wyjaśniła, co gdzie się znajduje, jak obsługiwać kasę oraz ile pigułek suchego lodu wrzucać do drinka.

– Jak któryś taką połknie, to czeka nas proces!

– Może lepiej je skreślić z menu? – podsunął Don.

– Myślę, że zaraz załapiesz klimat tego miejsca – zapowiedziała Charlie.

Gdy zbliżała się już pora zamknięcia, do baru przyszedł Balthazar.

– Polej nam ostatniego drinka. Napiję się tego samego co ty – oznajmił.

– A ja coś piję? – spytała z uśmiechem.

– Na twoim miejscu bym się napił.

Trudno było się spierać, skoro tak postawił sprawę. Sięgnęła po nowiutką butelkę piętnastoletniego Laphroaiga, otworzyła ją, nalała sobie i jemu na dwa palce.

– No, no. Ten twój facet – zagał Balthazar.

Charlie skinęła głową.

– A, już słyszałeś. Niezły numer, co?

– To znaczy, że wracasz do obiegu? – spytał.

Wzruszyła ramionami.

– Zrobiłam z siebie takie widowisko, że pewnie chwilowo powinnam położyć uszy po sobie.

– Czy ja wiem? W tej chwili reputacja niejakiej Charlatan sięgnęła raczej zenitu – powiedział, zanurzył usta i skrzywił się. – O matko, to smakuje, jakby ktoś podlał oponę benzyną, podpalił ją, a potem jeszcze posypał ziemią.

Odette podeszła do nich, usiadła obok Balthazara.

– Oho, popijacie sobie. Ale dlaczego beze mnie?

– Chętnie ci odstąpię swojego drinka – powiedział Balthazar, podsunął jej szklanę.
– Proszę bardzo.

Odette przyjęła dar bez słowa. Charlie nalała Balthazarowi amaretto.

– Słyszałaś, co się porobiło? – spytał Balthazar.

– Z Lionelem? – parsknęła pogardliwie. – Zawsze wiedziałam, że to pieprzony sadysta, w dodatku o narcystycznym zabarwieniu. Tyle że jednak wydawał mi się interesujący i sądziłam, że nie jest aż taki głupi. Wiecie, jak to jest. Niby kogoś znacie, a potem się okazuje, że jednak zupełnie nie wiadomo, do czego taki jeden z drugim jest w stanie się posunąć. Sądziłam, że facet zna swoje granice, a teraz to mi nie daje spokoju. No, bo nie mam pewności, czy intuicja już wcześniej mi nie podpowiadała, że jest kompletnie pomyłony, tylko próbowałam to wypierać?

Charlie łyknęła nieco, zastanawiając się, jak to jest z jej własnymi granicami.

– A teraz mówią, że może to on jest winny śmierci tego słodkiego chłopczyka Fiony.

– Edmunda Carvera? – podpowiedział Balthazar, starannie artykułując każdą sylabę. Spoglądał jednocześnie znacząco na Charlie.

– Wydawało mi się, że jego matka miała na imię Kiara – wtrąciła Charlie.

Odette skinęła głową.

– Tak, ale ja mam na myśli żonę Salta, tę pierwszą. Znałam ją jeszcze przedtem i w ten sposób poznałam Lionela. Biedna. Najpierw straciła córkę, potem wnuka, a teraz jeszcze taka historia. A wszystko w ciągu zaledwie dwóch lat.

– Jak to się dzieje, że ty znasz absolutnie wszystkich? – spytał Balthazar.

– E tam, czy można powiedzieć, że się kogoś tak naprawdę zna? – Odette spojrzała w lustro, jakby zastanowiła ją kwestia samopoznania.

Balthazar się wyprostował.

– Dobrze, ta rozmowa przybiera ponury obrót, więc dla odmiany opowiem wam coś weselszego. Czy któraś z was przypadkiem zna Murraya, tego z Murray's Fine Jewellery?

– No raczej – powiedziała Charlie, od razu przypomniała sobie o srebrnym kałamarnu i świecznikach, które należałoby sprzedać. – A co?

– Zwinął interes – oznajmił Balthazar. – Trafiła mu się większa kasa. Podobno wycofuje się z biznesu i wyjeżdża do Boca.

– Tak o tym opowiadasz, jakby wykopał garnek złota na swoim podwórku – stwierdziła Odette z przyganą w głosie.

– Bo prawie tak było – potwierdził Balthazar. – Plotka głosi, że obstawił tylko jeden zakład na wyścigach i na tym się tak obłowił.

– Ha – powiedziała Charlie. – Kto by pomyślał.

zas trzydniowego oczekiwania na spotkanie z Vince'em był dla Charlie straszny.

CW myślach wciąż przerabiała najrozmaitsze scenariusze. Co będzie, jeżeli ci z Kabały skłamacz i zrobią mu coś złego? Albo jeśli zechcą przeprowadzać na nim jakieś chore doświadczenia? Może po prostu uznali, że jego istnienie pociąga za sobą zbyt wielkie ryzyko. Kto wie, czy w ogóle pozwolą jej się z nim zobaczyć. Jej umysł podążał to jedną drogą, to znów inną; w wyobraźni przewidywała posunięcia i kontrposunięcia, rozgrywając sama ze sobą partię szachów – zupełnie bezsensowną, bo od tych rozmyślań tylko jeszcze bardziej się denerwowała. Była niczym wąż pożerający własny ogon i dławiący się tym smakołykiem.

Przynajmniej wróciły z Posey do własnego domu. Winnie, ta koleżanka z pracy Vince'a, została zatrudniona do czyszczenia krwi ze ścian. Wysłała do Charlie esemesa z wiadomością, że szczególnie się postarała, a to ze względu na przyjaźń z Vince'em. Nie omieszkała też ze szczegółami powiadomić Charlie o najprzeróżniejszych zakamarkach, w których trafiła na kawałki Adama.

Posey większość czasu spędzała z Malharem. Twierdziła, że chodzi tylko o jakieś testy, że pomaga mu w badaniach, jednak na wyczucie Charlie nie była to cała prawda, bo te badania obejmowały zbyt wiele wspólnych posiłków.

Tak czy inaczej, Charlie została sama z nadmiarem energii i nerwów, nie mając na kogo się wyrzucić, gdy się przygotowywała do wizyty, wciągała czarne dżinsy i sweter bez dziur. Spodnie były na tyle elastyczne, że można było się w nich szybko poruszać, a buciory wystarczająco ciężkie, żeby zabolą, jeśli trzeba będzie komuś dokopać.

Corolla powędrowała do warsztatu, jednak Charlie udało się odnaleźć vana Vince'a zaparkowanego dwie przecznice za East Star Motel. Kluczyki znalazła za osłoną przeciwsłoneczną po stronie kierowcy. Tkwiące za wycieraczką dwa mandaty wrzuciła do schowka, samochód odprowadziła pod swój dom.

Właśnie tym wozem pojechała do twierdzy Bellamy'ego.

Zgodnie ze swoim zamiłowaniem do tajemniczości, mag zajął opuszczoną wieżę w Holyoke; jedzie się do niej zapomnianą boczną drogą, a sama budowla z zewnątrz sprawia wrażenie opuszczonej ruiny.

Drzwi frontowe były przegniłe u dołu, ich zawiasy pokryte grubą warstwą rdzy. Charlie załomotała pięścią.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem już po chwili, pokazała się dziewczyna z ogoloną głową, grubym czarnym makijażem na oczach. Sztuczne rzęsy przy jednej z powiek przyklejone były trochę krzywo. Cień wirował wokół niej niczym wąż gotowy do uderzenia. Przypuszczalnie jakaś uczennica czy praktykantka.

– Ja do Vince'a – wyjaśniła Charlie

– Kogo?

Jeśli Bellamy i cała reszta sądzili, że zdołają spławić Charlie, to zamierzała się postarać, by gorzko pożałowali takiego błędu.

– No, do struposza.

– Aha – odpowiedziała dziewczyna. – Jasne, proszę bardzo. Czeka ją na panią.

Wnętrze przywodziło na myśl bunkier albo grobowiec. Dziewczyna zaprowadziła ją głębiej, przez pomieszczenia o nagich betonowych ścianach pomazanych graffiti, potem po schodach na górę, do sali zawieszonych brokatowymi storami. Cienkie woskowe świece płonęły w srebrnych kandelabrach o kształcie czaszek, jak na Halloween. Na cementowej podłodze piętrzyły się stosy poduszek.

Bellamy siedział rozparty na wielkim welwetowym pufie czerwonego koloru.

Charlie rozejrzała się nieufnie.

– Gdzie on jest?

– Trzymamy go w komnacie na samym szczycie baszty, niczym zaklętą księżniczkę wyczekującą swojego rycerza – odpowiedział Bellamy. – Nic mu nie jest.

– Dzisiaj stąd wychodzi – zapowiedziała Charlie. – Ze mną.

Bellamy upił łyk z filiżanki, tak delikatnej i cienkiej, że światło prześwitywało przez jej brzegi.

– Proszę, niech pani pójdzie porozmawiać ze swoim struposzem. Po schodach, na górę. No już, już, już. Potem sobie pogadamy.

Nie spodobało się to Charlie, jednak przede wszystkim chciała jak najprędzej zobaczyć Vince'a, więc chwilowo odpuściła. Wycofała się na schody, ale zatrzymał ją kobiecy głos.

– Charlie Hall – odezwała się Adeline Salt. Siedziała na nieco wystrzępionej kanapie w pokoju pełnym metalowych skrzyń z książkami.

Miała na sobie ciemne sprane dżinsy i szmaragdową bluzkę zawiązaną pod szyją na kokardę. Na kolanach trzymała otwarty komputer w różowo-złotej obudowie. I miała tę dziwną opaleniznę, którą mają tylko bogaci ludzie, wyjątkowo jedwabiste włosy, i nieskazitelną cerę.

Trudno było sobie wyobrazić kogoś, kto mniej by pasował do tego miejsca.

Charlie oparła się o framugę, nie wchodząc do pokoju.

– Przyszłaś do Reda, prawda? To bardzo dobrze, na pewno się ucieszy. Pytał o ciebie.

Uśmiech Adeline był wyjątkowo obłudny.

– Tak, przyszłam do Vince'a.

Ciekawie było przegłądać się, jak Adeline stacza wewnętrzną walkę, nie mogąc zdecydować, czy ma się kłócić o to imię. Wyraźnie jej to przeszkadzało, może nawet nie dlatego, że Charlie się uparła, żeby nazywać go po swojemu, tylko że zachowywała

się, jakby używane przez nią imię było jedynym prawdziwym. A tymczasem przecież on sam się tak przedstawił.

– Rozmawiałam z Kabałą. On zostanie ze mną. Będę jego opiekunką, pomogę mu zacząć tam, gdzie się skończyło życie Edmunda.

Dziwne, ale w jej oczach widać było jakby lęk.

– A dokładnie, jak on ma to zrobić? – spytała Charlie.

– Już wystąpiłam o unieważnienie aktu zgonu. – Adeline znów się uśmiechnęła, znowu dziwnie sztywno. – Chyba rozumiesz, że to dla jego dobra, prawda? Red będzie bardzo zamożny. I pozostanie przywiązany do mnie tylko na kilka lat.

Myślę o tym, że Adeline miałyby zostać opiekunką Vince'a, podczas gdy ze wszech miar to ją powinna spotkać kara, wprawiła Charlie we wściekłość. I jeszcze gorszy był ten arogancki ton, budził niepokój.

– Tylko czy on właśnie tego chce?

Adeline odrzuciła w tył złote włosy.

– A co, sądzisz, że wolałby się prowadzić ze złodziejką?

– Wydaje mi się, że zdecydowałby się niemal na wszystko, byle nie mieszkać w domu twojego ojca.

– Co, nie słyszałaś? – Jedna z perfekcyjnie z wypielęgnowanych brwi się uniosła. – Tamtej nocy mój ojciec zginął, znaleziono go martwego po tym, jak przebywał z tobą sam na sam. Został pchnięty trzydzieści siedem razy nożem do otwierania kopert.

– Ach, co za nieszczęście – skomentowała spokojnym tonem Charlie.

Owszem, coś o tym słyszała.

– Co mu zrobiłaś, kiedy tam byliście? – spytała Adeline jedwabistym tonem.

– Odebrałam mu pistolet, bo chciał mnie zastrzelić, a potem odciąłam jego cień – poinformowała ją usłużnie Charlie. – Cokolwiek zdarzyło się później, mnie przy tym nie było.

– Doprawdy? Cóż za to korzystny zbieg okoliczności.

– Trudno się nie zgodzić – przyznała Charlie. Spoglądała na laptopa Adeline, na pokrowiec z zielonej skóry opatrzony logo Chanel, diamentowe kolczyki w jej uszach.

– A ty jesteś jego jedyną spadkobierczynią, zgadza się?

Adeline poprawiła dłonią włosy, nerwowo owinęła kosmyk wokół palca.

– Proszę bez takich insynuacji, nie dam sobie wmówić współudziału w tej zbrodni – oświadczyła wyniośle. – Twoja wina to twoja sprawa i ty będziesz musiała się z tym zmagać.

– To zabawne – stwierdziła Charlie. – Dużo się działo i miałam wtedy inne sprawy na głowie, ale jednak zauważyłam, że kiedy weszłaś do tej dużej sali, to akurat ty miałaś krew na rękach.

Odwróciła się i zanim wyszła na korytarz, rzuciła jeszcze przez ramię:

– Nawiasem mówiąc, wcale ci się nie dziwię.

Charlie próbowała zachować spokój, wspinając się po betonowych stopniach, ale od drugiego poziomu szła coraz prędzej, w końcu niemal biegła. Na samym szczycie ujrzała obramione onyksiem drzwi zamknięte na skobel. Charlie uniosła go, choć okazał się zaskakująco ciężki.

Vince stał plecami do niej w małym, pozbawionym okien pokoiku. Na pierwszy rzut oka wyglądał tak samo jak zawsze, był barczysty, tego samego wzrostu. Jednak kiedy się odwrócił, ujrzała, że zamiast oczu ma puste wgłębienia wypełnione tylko dymem. Jego ciało, które znikło, było tylko zewnętrzną powłoką dla żyjącej wewnątrz istoty.

Charlie przypomniała sobie kartę tarota z talii swojej siostry. Maga, tę kartę, która podobno opowiada o przekształceniu pierwiastka duchowego w materialny.

Kiedy Vince zamknął oczy, zauważyła, że włosy mu pociemniały, były teraz brązowe, tak jakby złoty odcień zniknął podczas przemiany. Ubrany był w czarną koszulę zapiętą pod samą szyję oraz spodnie z jakiegoś drogiego materiału.

Strój Remy'ego.

Jego bliskość sprawiła, że Charlie poczuła się jak wywrócona na lewą stronę, całkiem jak ten człowiek z historyjki opowiedzianej podczas przyjęcia u Barb. Wszystkie bebechy na wierzchu, najłżejsze dotknięcie mogło sprawić ból.

– Wróciłem trochę inny niż przedtem, no nie? – odezwał się Vince.

Charlie zdała sobie sprawę, że zatrzymała się i stoi w drzwiach. Nic dziwnego, że Vince ma taką smutną minę. Musiał sobie pomyśleć, że Charlie się go boi.

Zresztą owszem, bała się, ale tylko trochę. Zrobiła krok w jego stronę. Jak Głupiec na skraju przepaści.

– Podoba mi się. Dziwnie wyglądasz.

Ten sam zaskoczony uśmieszek w kąciku ust. Jakby Vince zapomniał, że przecież można się uśmiechać. Uśmiech tak znajomy, że Charlie od razu się uspokoiła.

Im dłużej na niego patrzyła, tym mniej przeszkadzały jej te dziwne oczy.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Dlaczego cię okłamałem? – spytał. – Dlaczego ukrywałem, kim jestem?

– Nie. – Charlie przysiadła na wzorzystym oparciu kanapy. – Dlaczego, po co walczyłeś z Cleophesem? O mało nie umarłeś. No i w imię czego? Przecież te chujki mają cię gdzieś.

Uśmiechnął się szerzej.

– Wiesz, tego pytania nikt mi tutaj nie zadał, a pytali o niejedno.

– Ciekawe dlaczego. Może po prostu gównu ich obchodzi, co się z tobą stanie?

– No co ty. Bardzo się o mnie troszczą.

Gestem zaprosił ją, żeby siadła na krzesło. Dopiero wtedy obejrzała wystrój wnętrza.

Oprócz tej twardej kanapy stały tam dwa krzesła, na podłodze leżał materac z pościelą, był też dywan. Żadnych książek. Żadnych ciężkich przedmiotów. Żadnych ostrych przedmiotów. Pod sufitem jedna jasna żarówka. Vince miał na nodze obręcz z litego onyksu, przymocowaną łańcuchem do metalowej płyty w podłodze. Niewykluczone, że onyks go utrzymywał w materialnej postaci. Charlie nie wiedziała tego na pewno. Teraz żałowała, że nie czytała książek, które kradła.

Usiadła, zniósł się obłoczek kurzu.

– Słuchaj, trochę jestem spięty – wyznał Vince. – Może powiedz od razu, co chcesz powiedzieć? Domyślam się, że masz problem ze mną jako cieniem...

– Prawdę mówiąc, staram się o tym za dużo nie myśleć – wyznała Charlie

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– I jak ci to idzie?

– Zakładam, że o tym pogadamy, kiedy stąd wyjdiesz. A może – dodała Charlie z nadzieją w głosie – może nawet się o to pokłócimy. Nawrzeszczymy na siebie, będziemy rzucać przedmiotami. Wtedy mogłabym ci powiedzieć, jaki byłeś głupi, bo myślałeś, że coś kręcę z Adamem.

– Wpadłem na to, kiedy opisałaś, jak to wszystko wyglądało. Najbardziej przejęłaś się zniszczoną wersalką – roześmiał się, ale natychmiast zasłonił usta dłonią. – Oj, przepraszam. Wiem, że to nie jest śmieszne.

– No, trochę jest – musiała przyznać.

Spoglądał na nią oczami, z których sączył się dym.

– I o co jeszcze powinniśmy się pokłócić?

Odwróciła wzrok.

– Kiedy się zorientowałeś, że jestem tą dziewczynką, którą wyprowadziłeś z domu Salta?

– Jeszcze wtedy, w barze. Tamtej pierwszej nocy.

– Coś takiego! Chciałeś wykorzystać dziewczynę, którą uratowałeś?

Właśnie, to już temat na porządną kłótnię.

– Może. Nie. Nie wiem. – Vince albo nie dostrzegł okazji, albo ją zignorował. – Lubię cię, Char. Zawsze cię lubiłem. Szkoda, że nie powiedziałem różnych rzeczy, ale ja nie jestem kimś dobrym. Nawet nie jestem pewien, czy w ogóle jestem kimś.

– Och. – Zaskoczona Charlie wzięła go za rękę, splotła jego palce ze swoimi. Były jak najbardziej materialne. – Ależ jesteś kimś. Jesteś kimś moim.

Pochylił się, by podnieść do ust jej dłoń.

I wtedy Charlie zaczęła ogarniać panika.

Właśnie odbyli skróconą wersję kłótni – no, może jednak raczej rozmowy – którą spodziewała się odbyć z nim po powrocie do domu. A jedynym powodem, dla którego Vince podjął temat tu i teraz, mogło być to, że nie zamierza wyjść stąd z Charlie.

Tak jak mówiła Adeline, to z nią ułoży sobie życie. Przebierze się w osobowość Edmunda Vince'a Carvera, tak jakby nigdy nic się nie stało. Odzyska swoje dawne życie. Stanie się jedynym struposzem, który wydał bal na cele dobroczynne.

– No i co teraz? – spytała Charlie, bo musiała to usłyszeć od niego. – A konkretnie, co będzie z nami?

Na jego twarzy odmalowało się coś, co jej przywiodło Charlie na myśl dawną rozmowę z Adeline, kiedy opisała go jej jako jezioro o gładkiej powierzchni, pod którą kryje się zatopione miasto.

– Zabiłem hierofanta. Kabale potrzebny jest nowy hierofant.

– No nie, kurwa. Kurwa, nie. – Charlie zerwała się z krzesła. Zaczęła się przechadzać nerwowo po pokoju, próbując zapanować nad myślami. – Nie możesz im na to pozwolić. Nie po tym, co dla nich zrobiłeś.

– To nie jest gorsza robota od sprzątnięcia trupów.

Jego głos brzmiał spokojnie, ale palce zagięły się, jakby chciał zacisnąć dłoń w pięść.

– Z tego, co słyszałam, Adeline ma być twoją opiekunką. Czy może strażniczką? Skinął głową.

– Można tak to określić. Tak czy inaczej, ja będę ścigał struposzy.

Kipiała ze złości.

– Nie możesz na to przystać. Ile czasu minie, nim znienawidzisz nie tylko tego, co stało się z tobą, ale też osoby, do której jesteś przywiązany?

Odwrócił twarz

– Już jej nienawidzę.

Och.

Teraz wreszcie rozumiała, co ta obłudna suka dawała jej do zrozumienia. W jaki sposób Vince zostanie z nią związany. Przyfastrygują go do niej. Stanie się jej cieniem.

– Właśnie dlatego musimy się rozstać na jakiś czas – powiedział. – Nigdy nie przestanę czuć do ciebie tego, co czuję, Char. Ale nie będę już taki sam. Ktoś będzie starał się sprawować nade mną kontrolę.

Charlie pamiętała, jak mówił przez sen: Adeline. Adeline, nie.

Na tę myśl Charlie przeszedł dreszcz.

– Mogę otworzyć te kajdany. Uciekniemy.

Potrząsnął głową.

– Gdybyśmy to zrobili, nie tylko mnie by ścigali.

– Nieważne – stwierdziła Charlie.

Dotknął dłonią jej policzka.

– Mam udowodnić, że można mi zaufać. Tak mi powiedzieli. I że potem już nie będę musiał pozostawać na uwięzi. Stanę się wolny. Wtedy znajdę sposób, żebyśmy znowu byli razem.

O, nie. To się zdarzy dużo prędyzej.

– I co, mają to zrobić dzisiaj?

Ależ oczywiście. Właśnie na to czekała Adeline. Mieli przyszyć go do niej, gdy tylko Charlie odejdzie.

Vince odwrócił się, żeby nie widziała za dobrze wyrazu jego twarzy, jednak Charlie dostrzegła na niej coś w rodzaju rezygnacji. Cóż, Charlie nie ułatwiała mu tej trudnej decyzji.

– Owszem. Już wyraziłem zgodę.

Tak, Charlie widziała to wyraźnie, przez nią było mu jeszcze trudniej.

– Powiedz mi tylko jedno – poprosiła. – Czy gdyby to było możliwe, wybrałbyś mnie?

– Bez wahania.

– Okej – powiedziała po chwili. – Moim zdaniem to zła decyzja, ale sama niejedną taką w życiu podjęłam.

Właśnie tego rodzaju wzorce dał sobie wpoić jako cień Remy’ego: kiedy pojawia się problem, to on ma go rozwiązać. Za wszelką cenę. Powinien dać się schwytać, aby potem podjąć próbę unieszkodliwienia prastarego struposza. Zrezygnować z wolności, byle Kabała nie musiała rezygnować z dobrego samopoczucia. Kiedy trzeba było zrobić coś strasznego, on miał się tym zająć.

A zaczęło się całkiem zwyczajnie, od niechcianych emocji, które spychał na niego Remy.

Jego złote rzęsy pochwyciły promień światła, kiedy zmrużył powieki, kryjąc dym w oczodołach.

– Czasami nie ma dobrej decyzji.

Czasami.

– Skoro nie mogę cię od niej odwieść, może chociaż zdałam odwrócić twoją uwagę? Założę się, że mamy jeszcze parę minut, zanim mnie stąd wykopią.

Uniósł brwi, wyraźnie zdziwiony. Może przypuszczał, że będzie miała jakiś problem z dymem w jego oczach czy faktem, że jest cieniem. A może myślał, że nikt nie jest tak szalony, żeby chcieć się pieprzyć w zimnej betonowej celi z kimś przykutym za kostkę do podłogi.

W takim razie się mylił i jeszcze nie znał Charlie Hall. Przysunęła swoje usta do jego warg.

Przez chwilę nawet nie drgnął. Przeraziła się, że ją odepchnie. Policzki zapiekły ją ze wstydu.

A potem ją pocałował, jakby już nigdy więcej nie miał tego zrobić; dłońmi ujął jej głowę, palce wsunął we włosy Charlie. Przez chwilę było tylko to uczucie: usta, wargi, języki. I zapach jego skóry już nie zamaskowany mydłem czy wybielaczem, jak zapach naelektryzowanego powietrza.

A kiedy przycisnął jej plecy do ściany, jak wtedy, przed barem na tyłach knajpy, tamtej pierwszej nocy, uśmiechnęła się do niego.

– Charlie Hall – wyszeptał do jej włosów. – Nigdy nie będzie drugiej takiej jak ty.

– Może to i lepiej – odpowiedziała.

W duchu przeklinała się za to, że wpadła na pomysł włożenia obcisłych spodni. Nie było łatwo się z nich wyswobodzić.

Trudno było wyjść z tego pokoju. Jednak wyszła. Na korytarzu odczekała jeszcze chwilę, żeby mógł ją zawołać i powiedzieć, że popełnił fatalny błąd i że jednak powinni razem uciec. Ale nie zawołał, choć bardzo tego pragnęła.

Kiedy już się znalazła na dole, poszła do Bellamy'ego i jego czerwonego pufu. Nie był już sam. Towarzyszyli mu o Vicereine i Malik. Żadne z nich nie sprawiało wrażenia zaskoczonego obecnością Charlie, nie można też było powiedzieć, żeby byli zachwyceni.

– Witam – rzuciła Charlie, rozejrzała się za siedziskiem dla siebie, znalazła i usiadła.

– Wyświadczyła nam pani niezwykłą przysługę – oznajmił Malik. – Kabała jest pani ogromnie zobowiązana. Pragniemy spłacać długi i wolimy załatwić nasze sprawy we własnym gronie, bo kiedy zewnętrzny świat zacznie się w nie wdawać, nasze spory tylko wzbudzą lęk.

– Nagradzamy przyjaciół Kabały – oświadczyła Vicereine. – Ale nieprzyjaciołom wymierzamy kary. Pani okazała się naszą przyjaciółką, Charlie Hall.

Piracka sprawiedliwość. Marchewka i kij.

– Chcemy i potrafimy się odwdzięczyć – podjął Malik. – Proszę żądać nagrody.

– Wiecie, czego chcę – odpowiedziała Charlie. – Wypuście go. Albo przynajmniej nie przywiązujcie do nikogo. Czy historia ostatniego hierofanta niczego was nie nauczyła?

– Owszem, nauczyła nas jednego. Żeby nie ufać struposzom – odpowiedział Malik.

– Proszę pomyśleć, o ile gorzej by było, gdyby Cleophes nie był związany.

– Nie dla Stephena – zauważyła Charlie.

– Stephen kradł cienie – odpowiedział Bellamy. – Przebudzone cienie, cienie ludzi, których w ten sposób bardzo krzywdził. Sprzedawał te cienie dilerom. Nie trzeba za bardzo go żałować.

Malik przytaknął.

– Zresztą nie chodzi wyłącznie o Stephena. Przypuszczamy, że Lionel zaaplikował mu jakiś środek, który pomógł Cleophesowi opętać jego ciało. Z czasem albo struposz nauczył się to robić samodzielnie, albo nadal wspólnie go faszcerowali.

– Proszę zażądać czegoś, co nie dotyczy struposza. Zdziwi się pani, jak wiele możemy dokonać.

Pewnie tak, Kabała bez wątplenia wiele mogła jej dać. Załatwić przyjęcie siostry na studia, może nawet stypendium. I spłacić też przy okazji szpitalny dług Charlie. Dorzucić do tego fajny nowy wózek. Kurczę, właściwie mogłaby nawet domagać się, żeby jej odpalili phantoma po Salcie.

Tyle że Posey wcale nie chciała iść na żadne studia, a Charlie nie zamierzała dać się przekupić.

– Chcę, żebyście wypuścili Vince’a.

Malik zachnął się, zniecierpliwiony.

Cóż Charlie mogła na to poradzić? Taka już jej natura, nie zamierzała się uczyć na błędach. Zawsze gotowa była walić głową w ten sam mur, raz za razem, choćby strasznie bolało.

– Co wam dała Adeline, że pozwoliliście jej zostać opiekunką Vince’a?

Bellamy wyraźnie się zdziwił.

– Odnoszę wrażenie, że pani nie całkiem dobrze pojmuję sytuację.

– No, pozwalacie jej zabrać go do domu, tak czy nie?

Vicereine pozwoliła sobie na okrutny uśmiezek.

– W pewnym sensie. Tylko że nie do niej należał wybór. Wie pani, czym się będzie teraz zajmować?

– Będzie polować na struposzy – odpowiedziała Charlie.

– A wie pani, czemu tę funkcję się wyznacza za karę, dla odkupienia popełnionych win?

– Bo to niebezpieczne?

– Jeszcze jak – wtrącił Malik z nutką zgrozy w głosie.

Jak to powiedział Balthazar? Że Charlie potrafiłaby skraść oddech z piersi, a nienawiść z serca i księżyc z nieba? Jakoś tak. W takim razie może nie trzeba niczego kraść. Może dostanie za darmo wszystko, czego chce.

Jedyny koszt, to kilka jej sekretów.

Charlie przywdziała uśmiech na twarz. Zerknęła na napis FEAR LESS po wewnętrznej stronie swojego ramienia.

– No, dobrze – powiedziała, choć przez zaciśnięte zęby. – W takim razie chciałabym się przyznać.

– Przyznać? – powtórzyła machinalnie Vicereine.

– Pamiętacie może Brayana Arayę oraz jego sekrety zapisane za pomocą lasera na ziarenkach ryżu i trzymane w szklanym słoiczku pod poduszką? Zgarnęłam je, jakbym była wróżką zębuszką. A może pamiętacie, jak Eshe Godwin zdobyła księgę z przepięknymi ilustracjami, ale nigdy nie mogła zrozumieć, o co w niej chodzi? Klucz do sekretów wpisano właśnie w obrazki, a ja te obrazki wycięłam. Co prawda nie wiem, czy choć raz otworzyła księgę i zdołała się połapać, że czegoś brakuje. To ja zabrałam osiemnastowieczny memuar Owaina Cadwalladera, prócz tego zresztą także cały stos notatek przypiętych do wewnętrznej oprawy innej książki, tytułu nie pamiętam, ale sama księga zapięta była na takie sprytne metalowe klamry, które zapewniły mi dodatkową rozrywkę. Zgarnęłam świstki, potem je zamknęłam z powrotem i nikt się nie zorientował. Aha, może jeszcze dodam całą kolekcję magicznych fanzinów z lat siedemdziesiątych należącą do Jadena Coffeya. Mam mówić dalej? Zajmuję się tym od lat.

To było upojne, jakby szusowała na krechę po stromym zboczu, prosto przed siebie, już nie było jak się zatrzymać. Co za radość, wreszcie móc się tym chełpić.

– Ach, to pani pocięła księgę Eshe? – Vicereine najwidoczniej miała wobec tych ilustracji inne plany.

– O co w tym wszystkim chodzi? – Malik był zdezorientowany. – Po co pani o tym opowiada?

– Ukarzcie mnie – odpowiedziała Charlie. – Jestem o wiele groźniejsza od Adeline.

– Chce pani, żeby to do pani go przywiązać? – skojarzył Bellamy.

Myśl, żeby mieć kogoś we wnętrzu własnej świadomości, nie móc skryć przed tą osobą swoich najgorszych myśli, żeby to był ktoś, kogo kocha, przyprawiała ją o zawrót głowy.

– Tak. Za karę albo w nagrodę, ale oddajcie go mnie. Ja będę hierofantką.

Kiedy Vince wszedł do pokoju, na jego szyi wisiała kolia z onyksu, do nadgarstka miał przymocowaną czarną obrozę. Jego oczy zmieniły się na widok Charlie. Spytał Bellamy'ego:

– Gdzie Adeline?

– Odesłaliśmy ją – odpowiedział Malik.

– Kto zatem...

– Ja – oświadczyła Charlie. – Skoro ty możesz podjąć głupią decyzją, mnie też wolno.

– Ale to ma być kara.

– Wiem, wiem – powiedziała. – Będziesz mi siedział w głowie i znał wszystkie tajemnice. Nawet ja wszystkich swoich sekretów nie znam, więc wyrazy współczucia.

Miał taką minę, jakby zupełnie poważnie chciał ją udusić.

– Char.

– Sama się zgłosiła – wyjaśniła Vicereine. – Przyznała się zresztą do kilku występków, tylko po to, żeby nas przekonać.

Rzucił jej miażdżące spojrzenie.

– Czyżby?

– Trzeba zdjąć buty – poinformowała rzeczowo Vicereine.

Charlie się schyliła. Były już rozsznurowane, bo przecież dopiero co je zdejmowała, żeby móc ściągnąć spodnie.

Vince poniewczasie wpadł na pomysł, żeby uwolnić się z onyksowych oków i uciec. Szarpnął lśniącą pętlę na nadgarstku. Musiała trzymać mocno, bo spochmurniał.

– Nie wiesz, jaki będę potem. Tego nikt nie wie – rzekł półgłosem.

– Ale to nadal będziesz ty – odpowiedziała Charlie, również szeptem.

Bellamy powiedział do Malika coś, co obu rozbawiło. Charlie nie podejrzewała jakiegoś docinku dotyczącego jej bezpośrednio, jednak wzmogło to jej zdenerwowanie. Powtarzała sobie, że przecież już raz to przeszła, własnoręcznie odcięła swój cień i przyszyła go do stóp siostry. Szycia musiała dokończyć Posey. Żadna z nich nie była wirtuozką igły, a jednak cień się trzymał i Posey specjalnie nie narzekała.

Powtarzała sobie, że zgarnia im Vince’a sprzed nosa.

Vicereine kazała im stanąć naprzeciw siebie.

– Winnie kazała cię pozdrowić – wyszeptała. – Twój szef jest megawściekły, ale pewnie i tak nie chcesz wrócić do swojej starej roboty. Aha, nie wiem, czy uwierzysz, ale nie wykluczam, że Posey może nawet cię przeprosi.

Vince spojrzął na nią i westchnął. Jednak kiedy sięgnęła po jego dłoń, nie cofnął swojej.

Zdążyła ścisnąć ją tylko raz, nim na nowo stał się cieniem.

Wrota wieży z łoskotem zamknęły się za Charlie. Szli przez polankę usianą suchymi, obramionymi szronem liśćmi, które chrzęściły pod jej butami.

– Vince? – odezwała się półgłosem. – Widzisz, mówiłam, że razem stamtąd wyjdziemy. No i co? Wyszliśmy.

Nie odpowiedział, lecz kiedy spojrzała w dół, cień towarzyszącego jej cienia był jego cieniem. Wsunęła dłonie do kieszeni kurtki. Nasłuchiwała szumu wiatru między drzewami.

– Wiem, wiem. Wściekasz się na mnie – szepnęła.

W samochodzie sięgnęła po nożyk, który nosiła przy kluczykach. Przycisnęła ostrze do opuszka palca, wypłynęła kropelka krwi.

– Vicereine powiedziała, że to trzeba zrobić jak najszybciej, więc proszę bardzo.

Krew przyciągnęła jego uwagę.

Cień owionął Charlie czarną chmurą. Poczowała na skórze coś, co mogło być językiem, lecz nie było mokre. Zadrzała od tego odczucia.

– Vince? – odezwała się znowu, zaczęła już się denerwować. – Przestań ze mną pogrywać. Powiedz coś.

W jej myślach rozległ się szept, aż się wyprostowała.

– Ty nie jesteś Remy.

– Jasne, że nie. Jestem twoją dziewczyną – powiedziała niepewnym głosem. – A ten żart wcale nie jest śmieszny.

Charlie widziała cień padający na fotel pasażera w jesiennym blasku sączącym się przez gałęzie drzew. Przyglądała się, jak poza jej kontrolą przybiera kształt. Jak się staje mroczną postacią z tymi samymi płonącymi oczami, ale teraz brakowało w nich znajomego błysku.

Poczucie tryumfu przerodziło się w chwytającą za gardło gorzycz.

W jego głosie pobrzmiwała miękka pogróżka.

– Gdyby to była prawda, tobym cię znał. A ja cię nie znam.

Przypomniało jej się, jak Vince opowiadał o swojej ucieczce od Salta; jak obudził się pod jakąś wiaduktem i całkiem nie pamiętał, w jaki sposób tam się znalazł. Nie pamiętał niczego, co się zdarzyło od śmierci Remy’ego aż do tamtej chwili. Być może jednak teraz utracił znacznie więcej i na dłużej.

Może też stało się jeszcze inaczej. Może już nigdy sobie nie przypomni, jak razem z nią spoglądał w gwiazdy. Że przywiózł lód na party do Barb, że kiedyś jadł chleb z masłem i pił kawę w łóżku. Poczowała pieczenie pod powiekami. Mrugając, powstrzymała łzy, lecz słony smak pozostał.

Zmierzchało, w powietrzu zawirowało kilka pojedynczych płatków śniegu.

Charlie walnęła pięścią w kierownicę.

Spoglądał na nią oczodołami, z których unosiły się smużki dymu.

Z Charlie Hall zawsze były problemy. Już jako dziecko była dziwaczką. Gdy tylko zdarzyło jej się popełnić błąd, brnęła dalej, byle popełnić następny.

– Skoro potrafię ukraść cię z wieży – powiedziała do niego – zdołam też na nowo ukraść twoje serce.

Nie zareagował. Minęło kilka chwil i cień się rozwiął, pozostawiając ją samą.

PODZIĘKOWANIA

Wszystkim napisanym przeze mnie powieściom towarzyszy moja ogromna wdzięczność wobec wielu osób, tej zaś większa niż kiedykolwiek dotąd.

Po pierwsze, dziękuję wszystkim, którzy byli ze mną w Grecji na warsztatach pisarskich i cierpliwie znosili wszystkie moje falstarty. Oprócz współczucia należą się Wam podziękowania.

Mam wielki dług wobec Steve'a Bermiana za pomoc, i to wielokrotną, w opracowaniu magicznego systemu, raz nawet wspólnie rozrysowaliśmy ów schemat, zużywając całą rolę papieru i zakrywając tajemnymi arkanami podłogę w mojej kuchni.

Bardzo jestem wdzięczna Marie Rutkoski za pomoc w sformułowaniu tego, co próbowałam ująć słowami.

Chris Cotter, Emily Lauer i Eric Churchill: dziękuję Wam za rozmowy o tym, jak ludzie wchodzą ze sobą w interakcje oraz nadużywają magii w czasach szalejącej pandemii.

Dzięki Ci, Roshani Chokshi, za to, że namówiłaś mnie do wprowadzenia wątku miłosnego.

Dziękuję Ci, Paolo Bacigalupi, za to, że nakłoniłeś mnie, żebym (jeszcze raz!) przemyślała początek książki.

Sarah Rees Brennan, Robin Wasserman i Leigh Bardugo: dziękuję Wam za przeczytanie bardzo zagmatwanego pierwotnego zarysu książki – za narady na zoomie, dzięki którym poczułam, że może jednak uda mi się to wszystko jakoś poukładać.

Joshua Lewis: dziękuję Ci, to dzięki Tobie zajął mnie los tamtego nieboszczyka.

Oraz – tysiąckrotne dzięki Cassandrze Clare i Kelly Link, za to, że nie zamordowały mnie, kiedy wszystko zmieniałam, a potem znowu zmieniałam, a potem... znowu zmieniałam. Przeczytałyście mnóstwo wersji szkicowych, słuchałyście niekończących się marudzeń. Doprawdy, Wasza cierpliwość jest niezmierna.

Wielkie dzięki mojej fantastycznej redaktorce, Miriam Weinberg, która kazała mi się nie spieszyć i zadbać o koloryt powieści. Jestem również ogromnie wdzięczna za entuzjazm i fachowe podejście wszystkich w wydawnictwie Tor Books – a zwłaszcza Devi Pillai, Lucille Rettino, Renacie Sweeney, Eileen Lawrence, Sarah Reidy, Lauren Hougen, Molly McGhee i Michelle Foytek. Dziękuję Samowi Bradbury'emu, Roisin O'Shea oraz wszystkim w Del Rey UK. Dwadzieścia lat temu postanowiłam napisać książkę dla dorosłych, a teraz dzięki Wam chyba wreszcie mi się udało.

Dziękuję mojej agentce, Joannie Volpe, która uwierzyła, że zdołam napisać tę książkę, umieściła ją więc w planie, a potem postarała się, żebym ten plan zrealizowała. Jestem wdzięczna jej oraz i wszystkim w New Leaf, zwłaszcza za organizacyjny heroizm Jordan oraz strategiczne podejście ze strony Pouyi Shahbazian.

Dziękuję towarzyszowi mojego życia, Theo, oraz naszemu synowi, Sebastianowi. Bez Was obu pazurami zdarłabym sobie skórę z twarzy, i to już dawno.

Na koniec dziękuję The Valley w Western Massachusetts, mieszkam tu już prawie dwadzieścia lat i wciąż odkrywam coś nowego. Przepraszam za wszystkie miejsca, które po prostu zmyśliłam i inne geograficzne uproszczenia. Proszę, uznajcie to za alternatywną wersję Western Massachusetts, taką, w której farmy iskrzą się blaskiem lampionów, w barach strugami leje się absynt i rządzi tam magia cieni.

¹ W przekładzie Macieja Słomczyńskiego.